

NICHOLAS SPARKS

ANIOŁ STRÓŻ

Tytuł oryginału: THE GUARDIAN

*Larry'emu Kirshbaumowi i Maureen Egen,
wspaniałym ludziom,
wspaniałym przyjaciołom.*

PODZIĘKOWANIA

Na wstępie pragnę podziękować Cathy, mojej żonie od prawie czternastu lat. Jesteś najmilszą osobą, jaką znam, i kocham cię bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Oczywiście, żadna książka nie mogłaby się obejść bez podziękowania dla moich dzieci. Miles, Ryan, Landon, Lexie i Savannah bywają niesforni, mimo to jednak są dla mnie źródłem nieustannej radości. Moje życie byłoby bez was niepełne.

Theresa Park z Sanford Greenburger Associates również zasługuje na wyrazy mojej wdzięczności. Thereso, jesteś moją agentką i menedżerem, ale też dobrym duchem i życzliwą słuchaczką. Zaliczasz się do grona moich najukochańszych przyjaciół. Trudno uwierzyć, że współpracowaliśmy już przy siedmiu powieściach, i mam nadzieję, że będzie ich o wiele więcej w przyszłości.

Jamie Raab, mój redaktor, jest po prostu najlepszy w swojej branży, a ta książka, bardziej od innych wymagała jego cierplivej pomocy. Jamie, nie ukończyłbym tej powieści bez ciebie, to dla mnie zaszczyt pracować z kimś tak mądrym i życzliwym jak ty.

Denise DiNovi, producentka *Listu w butelce* oraz *Jesiennej miłości*, stała się dla mnie kimś szczególnym. Denise, dziękuję ci za to, że zmieniłaś moje życie na lepsze. Nie wiem, czy zdołam ci się kiedykolwiek odwdziaczyć.

Julie Barer, agentka w Sanford Greenburger, była tak uprzejma, że przeczytała podczas urlopu mój maszynopis i podsunęła mi pewne propozycje. Julie, brak mi słów podziękowania za to, co dla mnie zrobiłaś, i mam nadzieję, że spodobała ci się główna bohaterka.

Chciałbym również podziękować Howiemu Sandersowi i Richardowi Greenowi, moim agentom filmowym w UTA, za ich wkład pracy nie tylko w odniesieniu do tej powieści, lecz do wszystkich moich książek. Są najlepsi w tym, co robią.

Scott Schwimer, mój prawnik, który fantastycznie zna się na swoim fachu, jest również przyjacielem i ogromnie ułatwia mi życie. Dzięki za to, że zawsze stoisz u mego boku.

Dave Park, mój telewizyjny agent w UTA, cierpliwie prowadził mnie przez zawiłości świata telewizji i należą mu się moje podziękowania za pracę, jaką włożył w realizację „Na ratunek”.

Wyrazy wdzięczności za ogromne zaangażowanie niech przyjmą również Lorenzo De Bonaventura i Courtenay Valenti z Warner Brothers, Lynn Harris z New Line Cinema oraz Mark Johnson, Hunt Lowry oraz Ed Gaylord II.

Jennifer Romanello, Emi Battaglia, Edna Farley, pracujący w reklamie, redaktor John Aherne oraz Flag, pomogli mi wszyscy stać się tym, kim jestem. Serdeczne dzięki.

I na koniec chciałbym podziękować Toddowi Robinsonowi za tak gorliwą pracę nad telewizyjnym serialem. Miałem szczęście, że mogłem być w jednym zespole z tobą.

PROLOG

Wigilia Bożego Narodzenia, 1998

Dokładnie czterdzieści dni po tym, gdy po raz ostatni trzymała męża za rękę, Julie Barenson siedziała przy oknie, wyglądając na spokojne ulice Swansboro. Było zimno. Od tygodnia niebo miało złowieszczy wygląd, deszcz stukał cicho o szyby. Nagie gałęzie drzew kurczyły się w lodowatym powietrzu jak powykręcane artretyczne palce.

Wiedziała, że z pewnością chciałby, by posłuchała dzisiaj muzyki - z głębi pokoju dobiegały ją dźwięki „White Christmas” w wykonaniu Binga Crosby'ego. Przystroiła też dla męża choinkę, choć zanim się zdecydowała na jej kupno, w supermarkecie zostały już tylko same drapaki, wyłożone na zewnątrz do wzięcia za darmo. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Nawet gdy skończyła dekorowanie drzewka, nie potrafiła wykrzesać z siebie dość energii, żeby się nim interesować. Od czasu gdy guz mózgu odebrał życie Jimowi, trudno jej było odczuwać cokolwiek.

W wieku dwudziestu pięciu lat została wdową i całym sercem nienawidziła tego słowa - jego dźwięku, wszystkiego, co oznaczało, sposobu, w jaki poruszały się jej usta, gdy je wymawiała. Unikała go za wszelką cenę. Kiedy ludzie pytali, jak się czuje, wzruszała po prostu ramionami. Czasami jednak, ale tylko czasami, miała wielką ochotę zareagować. Jesteście ciekawi, jak się czuję po stracie męża? - chciała odpowiedzieć pytaniem. Proszę bardzo, posłuchajcie więc.

Jim umarł, a teraz, gdy go nie ma, czuję się, jak gdyby ze mnie również uszło życie.

Czy to właśnie, zastanawiała się Julie, chcą usłyszeć ludzie? A może woleliby komunały? „Poradzę sobie. Jest mi ciężko, ale jakoś przez to przebrnę. Dziękuję za zainteresowanie”. Przypuszczała, że potrafiłaby się zdobyć na żołnierską dzielność, nigdy jednak nawet nie próbowała. Łatwiej i uczciwiej było tylko wzruszyć ramionami i nic nie mówić.

Przecież wcale nie miała wrażenia, że wszystko będzie dobrze. Często wydawało jej się, że nie zdoła przeżyć dnia do końca, nie załamując się. A już zwłaszcza takiego wieczoru jak dzisiejszy.

Julie przycisnęła dłoń do szyby, w której odbijały się kolorowe lampki świątecznej choinki, czując chłód szkła.

Mabel zaproponowała jej, żeby zjadła z nią dzisiaj kolację, Julie jednak grzecznie odmówiła. Nie przyjęła też zaproszenia Mike'a, Henry'ego i Emmy. Wszyscy ją zrozumieli, a raczej udawali, że rozumieją, ponieważ jasne było, że każde z nich uważa, iż nie powinna

spędzić tego wieczoru sama. I może mieli rację. Wszystko w domu, co widziała, czego dotykała, zapachy, które wdychała, przypominało jej Jima. Jego ubrania zajmowały pół szafy, maszynka do golenia nadal leżała obok mydelniczki w łazience, wczoraj nadeszła w poczcie prenumerata „Sports Illustrated”. W lodówce stały dwie butelki Heinekena, jego ulubionego piwa. Gdy zobaczyła je na półce wcześniej tego wieczoru, szepnęła do siebie „Jim nigdy ich już nie wypije”, zatrzasnęła drzwiczki, oparła się o nie i przepłakała w kuchni całą godzinę.

Była tak zatopiona w myślach, że widok za oknem rozmazywał jej się przed oczami, dobiegał ją tylko cichy stuk gałęzi o ścianę domu. Dźwięk był uporczywy, ciągły i niemal w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że się myli, że to wcale nie gałąź.

Ktoś puka do drzwi.

Julie wstała, poruszając się jak na zwolnionym filmie. Zatrzymała się przed drzwiami, przeczesawsza palcami włosy, mając nadzieję, że uda jej się uspokoić. Jeśli to wpadł ktoś z jej przyjaciół, nie chciała sprawiać wrażenia osoby, która potrzebuje wsparcia i chce, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Jednakże gdy otworzyła drzwi, okazało się, że stoi za nimi młody mężczyzna w żółtym błyszczącym płaszczu przeciwdeszczowym. W rękach trzymał duże, owinięte w papier pudło.

- Pani Barenson? - spytał.

- Tak.

Nieznajomy postąpił niepewnie krok do przodu.

- Mam to pani dostarczyć. Mój ojciec powiedział, że to bardzo ważne.

- Pański ojciec?

- Chciał być pewien, że dostanie to pani dzisiaj wieczorem.

- Czy ja go znam?

- Nie wiem. Bardzo nalegał, żebym dostarczył przesyłkę właśnie dziś. To prezent od kogoś.

- Od kogo?

- Ojciec powiedział, że wszystko stanie się jasne, gdy rozpakuje pani prezent. Tylko proszę nie potrząsać pudłem i trzymać je tą stroną do góry.

Młody mężczyzna wcisnął jej paczkę w ramiona, zanim zdołała go powstrzymać, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie.

- Chwileczkę - powiedziała Julie. - Nie rozumiem... Chłopak obejrzał się przez ramię.

- Wesołych Świąt! - zawołał.

Julie stała na progu, patrząc za nim, gdy wsiadał do furgonetki. Wróciła do środka i postawiła pudło na podłodze przed choinką, po czym uklękła przy nim. Szybka inspekcja

potwierdziła brak wizytówki oraz jakichkolwiek innych wskazówek co do nadawcy. Rozwiązała wstążkę, następnie podniosła pokrywę, owiniętą oddzielnie w kolorowy papier, i dosłownie odebrało jej mowę. Wpatrywała się bez słowa w prezent.

Był pokryty meszkiem i przypominał karzełka, ważył około dwóch kilogramów. W rogu pudła kulił się szczeniak tak brzydki, jakiego nigdy w życiu nie widziała. Miał nieproporcjonalnie duży łeb w stosunku do reszty ciała. Spoglądał na nią, skomlał cicho, w kącikach oczu zebrała mu się bladawa wydzielina.

Ktoś, pomyślała, kupił mi szczeniaka. Brzydkiego szczeniaka.

Do wewnętrznej ściany pudła była przyklejona taśmą koperta. Gdy po nią sięgnęła, zaświtało jej w głowie, że pismo jest jej znajome - i zamarła. Nie, pomyślała, to niemożliwe...

Znała je z listów miłosnych, które do niej pisał z okazji kolejnych rocznic, z pośpiesznie nabazgranych liścików zostawionych obok telefonu, z papierów piętrzących się na biurku. Trzymała kopertę przed oczyma, odczytując w kółko swoje imię. Następnie wyjęła drżącymi palcami list. Jej oczy powędrowały do słów, napisanych w lewym górnym rogu.

Najdroższa Jules!

Tak nazywał ją pieszczotliwie Jim. Julie zamknęła oczy, mając wrażenie, że jej ciało skurczyło się nagle. Wzięła głęboki oddech i zaczęła czytać od nowa.

Najdroższa Jules!

Skoro czytasz ten list, to znaczy, że nie ma mnie już na tym świecie. Nie wiem, kiedy odszedłem, ale mam nadzieję, że potrafisz się jakoś otrząsnąć. Zdają sobie sprawę, że gdybym znalazł się na Twoim miejscu, byłoby to dla mnie bardzo trudne, pamiętasz jednak, że zawsze uważałem, iż z nas dwojga Ty jesteś silniejsza.

Jak sama widzisz, kupiłem Ci psa. Harold Kuphaldt był przyjacielem mojego ojca. Prowadzi hodowlę dogów niemieckich od czasów, gdy byłem dzieckiem, ponieważ jednak nasz dom był bardzo mały, mama nie zgadzała się na to, byśmy trzymali psa. Zgoda, są to duże psy, ale Harold twierdzi, że również najmiłsze na świecie. Liczę na to, że on (a może ona) przyniesie Ci wiele radości.

W głębi duszy chyba zawsze byłem świadomy, że nie uda mi się pokonać choroby. Odsuwałem jednak od siebie tę myśl, ponieważ wiedziałem, że nie masz nikogo, kto pomógłby Ci przejść przez to wszystko. To znaczy rodziny. Serce mi się kraje, gdy pomyślę, że zostaniesz sama. Nie mając pojęcia, co zrobić, poczyniłem starania, żebyś dostała psa.

Oczywiście, jeśli Ci się nie spodoba, nie musisz go zatrzymać. Harold powiedział, że bez problemu przyjmie go z powrotem. (W załączeniu powinnaś znaleźć numer jego telefonu).

Wierz, że jakoś sobie radzisz. Od kiedy zachorowałem, nieustannie się o to

martwiłem. Kocham Cię, Jules, naprawdę bardzo Cię kocham. Od momentu twojego pojawienia się w moim życiu byłem najszczęśliwszym facetem na świecie. Serce pękłoby mi z bólu, gdybym przypuszczał, że Ty nigdy już nie będziesz szczęśliwa. Proszę więc, zrób to dla mnie. Ciesz się życiem. Znajdź kogoś, kto Cię uszczęśliwi. Może to być trudne, możesz uważać, że to w ogóle niemożliwe, ale pragnę, żebyś spróbowała. Świat jest piękniejszy, kiedy się uśmiechasz.

I nie obawiaj się. Gdziekolwiek się znajdę, będę Cię strzegł. Zostanę Twoim aniołem stróżem, kochanie. Możesz mi zaufać, postaram się, żebyś zawsze była bezpieczna.

Kocham Cię

Jim

Ze łzami w oczach Julie zajrzała, znowu do pudła i sięgnęła do środka. Szczeniak przytulił się do jej dłoni. Wyjęła go i przysunęła bliżej do twarzy. Był malutki i drżał na całym ciele, wyczuwała pod skórą delikatne zębra.

Pomyślała, że to naprawdę małe brzydactwo. A gdy dorośnie, będzie wielkości niedużego konia. Co, u licha, pocznie z takim psiskiem?

Czemu Jim nie załatwił dla niej szarego brodatego sznaucera miniatury albo jeszcze lepiej cocker - spaniela ze smutnymi okrągłymi oczami? Posłusznego, miłego psiaka, który od czasu do czasu sypiałby zwinięty w kłębek na jej kolanach?

Szczeniak zaczął skomleć, dźwięk wznosił się i opadał niczym echo gwizdzącego w oddali pociągu.

- Cśś... wszystko będzie dobrze - wyszeptała Julie. - Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy...

Nie przestawała mówić cicho do szczeniaka, chcąc, żeby się do niej przyzwyczył i próbując pogodzić się z myślą, że Jim zrobił to dla niej. Szczeniak skowyczał dalej, niemal jak gdyby dostrajając się do melodii płynącej ze stereo, i Julie podrapała go pod brodą.

- Śpiewasz dla mnie? - spytała, uśmiechając się łagodnie po raz pierwszy od dawna. - Tak to brzmi, wiesz?

Pies przestał na chwilę skomleć i popatrzył na nią, wytrzymując jej spojrzenie. Potem rozkwilił się znowu, choć tym razem nie wydawał się już tak bardzo przerażony.

- Śpiewak - powiedziała szeptem. - Myślę, że dam ci na imię Śpiewak.

ROZDZIAŁ 1

Cztery lata później

Przez lata, które upłynęły od śmierci Jima, Julie Barenson udało się jakimś cudem znaleźć sposób, żeby zacząć znowu żyć. Nie nastąpiło to od razu. Pierwsze dwa lata po jego śmierci były trudne i samotne, ale czas uczynił w końcu cud dla Julie, łagodząc poczucie straty. Mimo że kochała Jima i wiedziała, że na zawsze pozostanie w jej sercu, ból nie był już tak ostry jak kiedyś. Pamiętała swoje łzy i kompletną pustkę, jaką stało się jej życie, gdy Jim odszedł na zawsze, ale przejmujący ból tamtych dni był już za nią. Teraz wspominała męża z uśmiechem, wdzięczna, że przez pewien czas był częścią jej życia.

Była mu również wdzięczna za Śpiewaka. Jim postąpił słusznie, kupując jej psa. W pewnym sensie to Śpiewak sprawił, że udało jej się jakoś przejść przez to wszystko.

W tej chwili, leżąc w łóżku pewnego wczesnego wiosennego poranka w Swansboro, w Karolinie Północnej, Julie nie koncentrowała się bynajmniej na tym, jak cudownym wsparciem był dla niej Śpiewak podczas minionych czterech lat. Przeklinała natomiast jego niezwykle namacalną obecność, próbując schwytać oddech i powtarzając w myśli: Nie mogę uwierzyć, że umrę w taki właśnie sposób.

Rozgniewiona na placek przez własnego psa.

Śpiewak leżał na niej, przygważdżając ją swoim ciężarem do materaca, i Julie widziała już oczyma wyobraźni, jak wargi zaczynają jej sinieć z powodu braku powietrza.

- Złaż ze mnie, ty wstrętne leniwe psisko - wyrzęziła. - Mordujesz mnie.

Chrapiący głośno Śpiewak nie słyszał jej, toteż Julie zaczęła się wiercić, próbując wyrwać go ze snu. Dusząc się pod ciężarem psa, czuła się, jak gdyby owinięto ją w koc i wrzucono do jeziora, jak to bywa podczas mafijnych porachunków.

- Mówię serio - wymówiła z trudem. - Nie mogę oddychać.

Śpiewak podniósł w końcu ogromny łeb i unióś powieki, patrząc na nią półprzytomnym wzrokiem. „O co ten cały krzyk?” - zdawał się pytać. „Nie widzisz, że próbuję odpoczywać?”

- Złaż! - wychrypiała Julie.

Pies ziewnął, przytulając zimny nos do jej policzka.

- Tak, tak, dzień dobry - wymówiła z trudem. - A teraz spadaj.

Parsknął i zaczął gramolić się na łapy, nie przestając przygniatać podczas procesu wstawiania różnych fragmentów ciała Julie. Wyżej. I wyżej. Po chwili stał, górując nad nią potężnym cielskiem niczym potwór z niskobudżetowego filmu grozy, smużka śliny lśniła na

jego wargach. Dobry Boże, pomyślała Julie, ależ on jest wielki. Chyba powinnam była już się do tego przyzwyczaić. Zaczerpnęła tchu i zmierzyła go groźnym spojrzeniem, marszcząc brwi.

- Czy pozwoliłam ci włączyć na moje łóżko? - spytała. Śpiewak zwykle sypiał w nocy w kącie jej pokoju, jednakże przez ostatnie dwie noce tarabanił się za nią do łóżka. A ściślej mówiąc, kładł się na niej. Zwariowany pies. Teraz pochylił łeb i polizał ją po twarzy.

- Nie, nie wybaczyłam ci. - Julie odepchnęła psa. - Nie próbuj nawet się wymigać. Mogłeś mnie zabić. Ważysz dwa razy więcej ode mnie, wiesz przecież doskonale. A teraz wynocha z łóżka.

Śpiewak zakwilił jak nadąsane dziecko, po czym zeskoczył na podłogę. Julie usiadła, masując obolałe zębra, i zerknęła na zegar, myśląc, już? Oboje przeciągnęli się w tym samym momencie, zanim Julie odrzuciła kołdrę.

- Chodź - powiedziała. - Wypuszczę cię na dwór, a potem wezmę prysznic. Ale pamiętaj, nie wolno ci kręcić się znowu przy pojemnikach na śmiecie naszych sąsiadów. Zostawili mi nieprzyjemną wiadomość na automatycznej sekretarce.

Pies popatrzył na nią wymownie.

- Wiem, wiem, to tylko śmiecie, ale niektórzy ludzie mają takie dziwactwa.

Śpiewak wyszedł z pokoju, kierując się w stronę drzwi wyjściowych. Julie podążyła za nim, obejmując się ramionami i zamykając na chwilę oczy. Poważny błąd. Wychodząc z sypialni, walnęła się z całej siły w duży paluch o komodę. Ostry ból przeszył jej nogę od czubka palca aż do uda. Krzyknęła głośno, po czym zaczęła kłać, łącząc przekleństwa w najrozmaitsze wymyślne wiązanki. Skacząc na jednej nodze w różowej piżamie, pomyślała, że musi wyglądać jak zepsuty reklamowy króliczek baterii Energizer. Śpiewak posłał jej tylko spojrzenie, które zdawało się mówić: „Co cię zatrzymało? Kazałaś mi przecież wstać, pośpiesz się więc. Mam sprawy do załatwienia na dworze”.

- Nie widzisz, że się uderzyłam? - jęknęła Julie.

Pies ziewnął znowu i Julie roztarta palec, po czym pokuśtykała za nim do drzwi.

- Dzięki, że pośpieszyłeś mi na ratunek. Jesteś wprost nieoceniony w nagłych wypadkach.

Śpiewak wybiegł na dwór, następując przedtem Julie na obolały palec - była pewna, że zrobił to naumyślnie. Zamiast skierować się do pojemników ze śmieciami, powędrował w stronę niezabudowanej zalesionej działki, przylegającej z jednej strony do jej domu. Julie śledziła wzrokiem psa, który kręcił potężnym łbem we wszystkie strony, jak gdyby chciał się upewnić, że nikt nie zasadził nowych drzew ani krzewów poprzedniego dnia. Wszystkie psy

lubią zaznaczać swój teren, ale Śpiewak uważał chyba, że jeśli znajdzie jakimś sposobem wystarczająco dużo miejsc, żeby się załatwić, zostanie namaszczoney jako Psi Król Całego Świata. Dzięki temu przynajmniej na króciutką chwilę oderwie się od swojej pani.

Dzięki niebiosom za drobne łaski, pomyślała Julie. Przez kilka ostatnich dni Śpiewak doprowadzał ją do szału. Chodził za nią trop w trop, nie spuszczał jej z oczu nawet na dwie minuty, chyba że wyprowadzała go na dwór. Nie mogła nawet pochować naczyń, żeby nie wpaść na niego po drodze kilkanaście razy. Jeszcze gorzej było w nocy. Wczorajszego wieczoru warczał przez godzinę, od czasu do czasu urozmaicając tę czynność szczekaniem, aż w końcu Julie zaczęła marzyć o nabyciu dźwiękoszczelnej budy lub strzelby dużego kalibru.

Faktem jest, że zachowanie Śpiewaka nigdy nie było, powiedzmy sobie... normalne. Poza siusianiem, pies zachowywał się tak, jak gdyby sądził, że jest człowiekiem. Nie chciał jeść z psiej miski, nigdy nie musiał chodzić na smyczy, a gdy Julie oglądała telewizję, wskakiwał na kanapę i gapił się w ekran. Kiedy mówiła coś do niego - a właściwie, kiedy ktokolwiek coś do niego mówił - wpatrywał się w tę osobę z natężeniem, przechylając łeb na bok, jak gdyby wszystko rozumiał. W większości przypadków chyba rzeczywiście tak było. Bez względu na to, co kazała mu zrobić, nieważne, jak idiotyczne było polecenie, Śpiewak je wypełniał. „Czy możesz przynieść moją torebkę z sypialni?”. Po chwili pies nadbiegał, niosąc ją w pysku. „Zgaś światło w sypialni”. Śpiewak stawał na dwóch łapach i pstrykał wyłącznik nosem. „Wstaw tę puszkę z zupą do spiżarni, dobrze?”. Brał puszkę w zęby i stawiał ją na półce. Oczywiście, inne psy też bywają dobrze wyszkolone, ale nie tak. Poza tym Śpiewak nie potrzebował szkolenia. Wystarczyło, że tylko raz pokazała mu, co ma robić, a natychmiast już to potrafił. Znajomym wydawało się to zdecydowanie dziwne, ale ponieważ dzięki temu Julie czuła się jak współczesny doktor Doolittle, nawet jej się to dość podobało.

Chociaż oznaczało to, że mówiła do swojego psa pełnymi zdaniami, kłóciła się z nim i od czasu do czasu pytała go o radę.

Przecież nic w tym dziwnego, prawda? - pomyślała Julie. Przebywamy ze sobą tylko we dwoje od śmierci Jima, i na ogół Śpiewak jest świetnym kompanem.

Dziwne zachowanie psa zaczęło się, gdy znowu umawiała się na randki. Nie polubił żadnego faceta, który stanął na progu jej domu w ciągu dwóch ostatnich miesięcy. Julie właściwie się tego spodziewała. Od swoich szczenięcych czasów Śpiewak warczał na każdego obcego mężczyznę, gdy widział go po raz pierwszy. Julie myślała często, że pies ma szósty zmysł, który pozwala mu odróżnić porządných facetów od tych, których powinna unikać, ostatnio jednak zmieniła zdanie. Nie potrafiła oprzeć się myśli, że jest to po prostu wielka futerkowa wersja zazdrosnego mężczyzny.

To zaczyna stanowić problem, stwierdziła. Będą musieli odbyć poważną rozmowę. Śpiewak nie chce, żeby spędziła życie w samotności, prawda? Jasne, że nie. Być może upłynie sporo wody w rzece, zanim przyzwyczai się do czyjejś obecności, ale w końcu zrozumie. Do licha, kiedyś będzie prawdopodobnie cieszył się jej szczęściem. Ale jak ma to wszystko najprzystępniej mu wytłumaczyć?

Stanęła, zastanawiając się nad tym, zanim zdała sobie sprawę z tego, co sugeruje tok jej myślenia.

Wytłumaczyć mu to wszystko? Dobry Boże, pomyślała, naprawdę tracę rozum.

Pokuśtykała do łazienki, by przygotować się do pracy. Po drodze zdjęła piżamę. Stojąc nad umywalką, wykrzywiła się do swego odbicia w lustrze. No proszę, pomyślała, mam dwadzieścia dziewięć lat i kompletnie się rozpadam. Żebra bolały ją przy każdym oddechu, palec rwał, a widok w lustrze bynajmniej nie wpłynął na poprawę jej nastroju. W ciągu dnia brązowe włosy były długie i proste, teraz jednak, po całej nocy, wyglądały, jak gdyby zaatakowały je poduszkowe gnomy, niszczące grzebienie. Były potargane i nastroszone, „jakby trafił w nie piorun” (tak określał to kiedyś czule Jim). Na jednym policzku widniały smugi tuszu do rzęs. Czubek nosa był zaczerwieniony, zielone oczy zapuchnięte z powodu wiosennego uczulenia na pyłki. Prysznic powinien pomóc na te kłopoty, prawda?

Cóż, chyba nie na alergię. Otworzyła apteczkę i połknęła tabletkę claritinu, po czym znowu spojrzała w lustro, jak gdyby liczyła na natychmiastową poprawę.

Fu!

Może wcale nie musiała dokładać zbyt wielu wysiłków, żeby zniechęcić Boba, który się nią zainteresował. Od roku strzygła mu włosy, a raczej to, co z nich zostało. Dwa miesiące temu Bob wreszcie zdobył się na odwagę, żeby umówić się z nią na randkę. Szczerze mówiąc, Boba trudno raczej uznać za adonisa - łysiejący, z okrągłą twarzą, zbyt blisko osadzonymi oczami oraz zaczątkami brzucha - ale był kawalerem i dobrze mu się powodziło, a Julie od śmierci Jima nie umówiła się z nikim ani razu. Pomyślała, że to okazja, żeby przekroczyć pewien próg i zacząć znowu się umawiać. Myliła się. Nie bez kozery Bob był samotny. Poza tym, że nie grzeszył urodą, był tak nudny podczas randki, że nawet ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach w restauracji spoglądali na nią ze współczuciem. Potrafił rozmawiać wyłącznie o rachunkowości. Nie wykazywał najmniejszego zainteresowania niczym innym - ani nią, ani kartą dań, pogodą czy sportem lub małą czarną, w którą się wystroiła na spotkanie. Tylko rachunkowością. Przez trzy godziny słuchała, jak Bob głądzi bez chwili wytchnienia o odliczeniach wyszczególnionych, dystrybucji i amortyzacji zysku kapitałowego, i tak dalej, i tak dalej. Gdy pod koniec kolacji pochylił się nad stolikiem i

wyznał, że zna „ważne persony z urzędu skarbowego”, oczy Julie były tak szkliste jak tafła lodu.

Nie trzeba dodawać, że Bob bawił się wspaniale. Od tamtego spotkania dzwonił trzykrotnie w ciągu tygodnia, pytając, „czy mogliby spotkać się na drugą konsultację, chi, chi, chi”. Był bez wątplenia wytrwały. Denerwujący jak diabli, ale wytrwały.

Następnym facetem, z którym się umówiła, był Ross. Ross lekarz. Ross przystojniak. Ross zboczeniec. Wystarczyła jedna randka, żeby się na nim poznała. Serdeczne dzięki.

Nie można pominąć poczciwca Adama. Powiedział jej, że pracuje w administracji hrabstwa, że lubi swoją pracę. Po prostu równy gość.

Wkrótce odkryła, że Adam jest kanalarzem.

Nie czuła od niego brzydkiego zapachu, nie miał pod paznokciami substancji nieokreślonego pochodzenia ani tłustych włosów, Julie wiedziała jednak, że do końca życia nie zdoła pogodzić się z ewentualnością, że któregoś dnia mógłby stanąć w progu, wyglądając właśnie tak. „Miałem wypadek w pracy, kochanie. Przykro mi, że wracam do domu w takim stanie”. Na samą myśl o tym dostawała dreszczy. Nie potrafiła też wyobrazić sobie, że po czymś takim bierze od niego rzeczy do prania. Ich związek był skazany od początku na niepowodzenie.

Właśnie gdy zaczęła wątpić, czy w ogóle jeszcze istnieją tacy normalni mężczyźni jak Jim, kiedy zaczęła się zastanawiać, co ma w sobie takiego, że zdaje się przyciągać różne dziwolągi męskiego rodzaju niczym neon ze świecącymi literami: „JESTEM DO WZIĘCIA! NORMALNOŚĆ NIE JEST KONIECZNYM WARUNKIEM!”, w jej życiu pojawił się Richard.

I dziw nad dziwy, nawet po pierwszej randce, nadal sprawiał wrażenie... normalnego. Konsultant w J.D. Blanchard Engineering z Cleveland, w firmie remontującej most łączący nabrzeża po obu stronach kanału, zawarł z nią znajomość, gdy przyszedł do salonu, żeby się ostrzyc. Na randce otwierał przed nią drzwi, uśmiechał się w odpowiednich chwilach podczas rozmowy, podał kelnerowi jej zamówienie, gdy byli na kolacji, i nie próbował nawet jej pocałować, kiedy odwiózł ją do domu. A w dodatku był przystojny w artystycznym stylu - miał mocno zarysowane kości policzkowe, szmaragdowe oczy, czarne włosy i wąsy. Gdy wysiadła z jego samochodu, miała ochotę wykrzyknąć: „Alleluja! Widzę światelko w tunelu!”.

Śpiewak natomiast nie wydawał się wcale taki zachwycony. Gdy Julie pożegnała się z Richardem, odegrał jedną ze swoich ról z cyklu „Ja tu jestem panem!”. Warczał, dopóki Julie nie otworzyła frontowych drzwi.

- Och, przestań - skarciła go. - Nie bądź dla niego taki surowy.

Śpiewak usłuchał jej, ale wycofał się do sypialni, gdzie dał się przez całą noc.

Gdyby mój pies był jeszcze odrobinę bardziej cudaczny, pomyślała Julie, moglibyśmy stworzyć zespół i znaleźć pracę w wesołym miasteczku, gdzie występowałibyśmy tuż obok faceta, który zjada żarówki. Ale wtedy moje życie też nie byłoby normalne.

Julie odkręciła kurek i weszła pod prysznic, próbując powstrzymać napływające wspomnienia. Po co wracać myślą do trudnych chwil? Często myślała, że jej matka miała zgubny pociąg do dwóch rzeczy: alkoholu oraz toksycznych mężczyzn. Już jedno byłoby złe, ale ta kombinacja stała się dla Julie wręcz nie do zniesienia. Matka używała mężczyzn, tak jak dzieci używają papierowych ręczników, a gdy Julie wkroczyła w wiek dojrzewania, w obecności niektórych czuła się bardzo nieswojo. Ostatni próbował się do niej dobierać. Kiedy Julie powiedziała o tym matce, ta w napadzie pijackiej płaczliwej wściekłości oskarżyła ją, że to ona go prowokowała. Nie minęło wiele czasu, a matka wyrzuciła ją z domu.

Mieszkanie na ulicy było straszliwym doświadczeniem, nawet przez te pół roku, zanim poznała Jima. Prawie wszyscy, z którymi się stykała, brali narkotyki i żebrali lub kradli... albo jeszcze gorzej. Prerażona, że niebawem zacznie przypominać udreńczonych uciekinierów, których widywała co noc w schroniskach i w bramach, szukała gorączkowo dorywczych prac. Dzięki temu nie rzucała się w oczy i miała coś do jedzenia. Kiedy po raz pierwszy spotkała Jima w taniej restauracji w Daytona, siedziała nad filiżanką kawy, na którą wysupłała ostatnie drobniaki. Jim kupił jej śniadanie, a kierując się do drzwi, obiecał, że jutro też jej zafunduje, jeśli Julie tu przyjdzie. Przyszła, ponieważ zmusił ją do tego głód, a gdy podała w wątpliwość jego intencje (przypuszczała, że zna prawdziwe powody, którymi mężczyzna się kieruje, i pamięta, że wygłosiła raczej żenującą publiczną tyradę na temat facetów lubiących młode dziewczęta, jak również odpowiedzialności karnej), Jim zapewnił ją, że w jego zainteresowaniu nią nie ma nic zdrożnego. Pod koniec tygodnia, gdy szykował się do wyjazdu do domu, przedstawił jej propozycję: jeśli Julie postanowi przenieść się do Swansboro, w Karolinie Północnej, on pomoże jej zdobyć pełnoetatową pracę i załatwi miejsce, gdzie mogłaby się zatrzymać.

Pamięta, że gapiła się na niego, jak gdyby zobaczyła, że z uszu wyłażą mu robaki.

Po miesiącu, zwłaszcza że raczej nie miała zaplanowanego kalendarza towarzyskiego, zjawiła się w Swansboro. Wsiadła z autobusu, myśląc, co ja, u diabła, robię w tej zapadłej miejscinie. Niemniej jednak odwiedziła Jima, który - mimo jej wiecznego sceptycyzmu - zaprowadził ją do salonu i przedstawił swojej ciotce Mabel. I rzeczywiście, od tej pory zamiatła podłogi, otrzymywała wynagrodzenie od godziny i mieszkała w pokoju nad

salonem.

Z początku Julie odczuwała ulgę z powodu braku zainteresowania Jima. Później, o dziwo, zaczęło ją to irytować. W końcu, gdy mimo iż ciągle na niego „przypadkowo” wpadała i robiła - według niej - bezwstydną aluzję, nadal nie zwracał na nią uwagi, nie wytrzymała i zapytała Mabel, czy jej zdaniem jest dla Jima mało atrakcyjna. Chyba dopiero wówczas poszedł po rozum do głowy. Umówili się na randkę, potem kolejną, a po miesiącu spotkań hormony zagrały. Potem nie trzeba było długo czekać na miłość. Oświadczył się jej, stanęli na ślubnym kobiercu w kościele, w którym odbył się kiedyś chrzest Jima, a później przez kilka pierwszych lat małżeństwa Julie rysowała bezwiednie uśmiechnięte buźki, rozmawiając przez telefon. Czy ktoś mógłby sobie wymarzyć lepsze życie? Czego tu jeszcze chcieć?

Wkrótce zdała sobie, niestety, sprawę, że o wiele więcej. Kilka tygodni po ich czwartej rocznicy ślubu Jim dostał ataku w drodze z kościoła do domu i został przewieziony karetką do szpitala. Po dwóch latach choroby zmarł na nowotwór mózgu i nagle okazało się, że dwudziestopięcioletnia Julie musi zaczynać wszystko od nowa. Gdy dodać jeszcze do tego nieoczekiwane pojawienie się Śpiewaka, młoda kobieta znalazła się w takim momencie życia, kiedy już nic nie było w stanie jej zdziwić.

Obecnie, pomyślała, w życiu liczą się drobiazgi. O ile w jej przeszłości nadawały mu ton najważniejsze wydarzenia, to teraz codzienne zdarzenia stanowią o tym, kim jest. Pocziwa Mabel okazała się aniołem. Przyszła jej z pomocą w zdobyciu uprawnień, dzięki czemu Julie mogła strzyc włosy i zarabiać całkiem wystarczająco, a może nawet lepiej, na życie. Henry i Emma, dwoje dobrych przyjaciół Jima, nie tylko pomogli jej znaleźć własne miejsce w miasteczku, gdy się tu sprowadziła, ale utrzymywali z nią bliskie kontakty po śmierci jej męża. No i był Mike, młodszy brat Henry'ego i najlepszy przyjaciel Jima od czasów dzieciństwa.

Julie uśmiechnęła się pod strugami wody z prysznicą. Mike.

To jest facet, który pewnego dnia uszczęśliwi jakąś kobietę, nawet jeśli czasami wydaje się nieco zagubiony.

Po kilku minutach, wytarłszy się do sucha ręcznikiem, Julie umyła zęby i wyszczotkowała włosy, umalowała się dyskretnie i ubrała. Ponieważ jej samochód był w naprawie, musiała iść do pracy piechotą - około półtora kilometra - toteż włożyła wygodne buty. Zamykając drzwi na klucz, zawołała Śpiewaka, omal nie przeoczywszy tego, co dla niej zostawiono.

Kątem oka zauważyła kartkę wetkniętą w szparę skrzynki na listy, tuż przy drzwiach

wejściowych.

Otworzyła ją z ciekawością i przeczytała, stojąc na werandzie, gdy tymczasem Śpiewak wypadł z lasu i podbiegł do niej.

Droga Julie!

Wspaniale spędziłem czas w sobotę. Nie mogę przestać myśleć o Tobie.

Richard

A więc to dlatego Śpiewak wariował wczorajszej nocy.

- Widzisz - powiedziała, pokazując kartkę psu - mówiłam ci przecież, że to sympatyczny facet.

Śpiewak odwrócił pysk.

- Nie rób mi tego. Mógłbyś przyznać, że się myliłeś. Myślę, że jesteś po prostu zazdrosny.

Śpiewak zaczął się do niej łąsić.

- O to chodzi? Jesteś zazdrosny? - Julie nie musiała schylić się tak jak w przypadku innych psów, żeby pogłaskać go po grzbiecie. Był wyższy niż ona w czasach, gdy rozpoczynała naukę w szkole średniej.

- Nie bądź zazdrosny, dobrze? Ciesz się moim szczęściem.

Śpiewak obszedł Julie dookoła i spojrzał na nią.

- No, chodźmy. Musimy iść piechotą, ponieważ Mike nie skończył jeszcze naprawiać dżipa.

Słyszając imię Mike'a, Śpiewak pomachał ogonem.

ROZDZIAŁ 2

Teksty piosenek Mike'a Harrisa pozostawiały wiele do życzenia, a głos nie sprowadzał szefów firm nagraniowych pod drzwi jego domu w Swansboro. Mimo to grał na gitarze, ćwicząc codziennie w nadziei, że jego wielki dzień jest tuż - tuż. Od dziesięciu lat pracował z kilkunastoma różnymi zespołami - zarówno długowłosymi facetami grającymi hałaśliwego rock and rolla lat osiemdziesiątych, jak i kapelami uprawiającymi muzykę w stylu country, słuchaną chętnie przez kierowców ciężarówek. Na scenie wkładał na siebie wszystko, poczynając od skórzanych spodni i węża boa, a kończąc na skórzanych ochraniaczach na spodnie i kowbojskim kapeluszu, i chociaż grał z ogromnym entuzjazmem, a członkowie zespołu nie mogli go nie lubić, zwykle rozstawano się z nim po kilku tygodniach, tłumacząc, że z jakiegoś powodu im nie wyszło. Zdarzyło się to tyle razy, że nawet Mike zrozumiał, że nie wynika to raczej z niezgodności charakterów, choć nadal nie odważył się przyznać, że być może nie jest taki dobry.

Mike miał notatnik, w którym zapisywał w wolnym czasie swoje myśli z zamiarem wykorzystania tych impresji w przyszłej powieści, jednak sztuka pisania okazała się znacznie trudniejsza, niż przypuszczał. Rzecz nie polegała na tym, że brakowało mu pomysłów, raczej miał ich za dużo i nie potrafił zdecydować, co powinno, a co nie powinno znaleźć się w książce. W ubiegłym roku próbował napisać powieść kryminalną, której akcja dzieje się na statku wycieczkowym, coś w stylu Agaty Christie, u której zwykle występuje kilkunastu podejrzanych. Fabuła nie wydawała mu się dość intrygująca, toteż starał się ją ubarwić, wykorzystując każdy pomysł, jaki mu kiedykolwiek przyszedł do głowy, wliczając w to głowicę nuklearną, ukrytą w San Francisco, nieuczciwego policjanta, który był świadkiem zabójstwa Johna Kennedy'ego, irlandzkiego terrorystę, mafię, chłopca oraz jego psa, niegodziwego inwestora dostarczającego kapitału wysokiego ryzyka, jak również uczonego podróżującego w czasie, który uciekł przed prześladowaniami Świętego Cesarstwa Rzymskiego. W rezultacie prolog osiągnął objętość stu stron, a główni podejrzani nie pojawili się jeszcze na scenie. Nie trzeba dodawać, że na tym się skończyło.

W przeszłości próbował również swoich sił w rysunku, malowaniu, układaniu witraży, ceramice, rzeźbił w drewnie, wykonywał prace techniką makramy. Obecnie, w przypiływie twórczej inspiracji, stworzył dzieło sztuki o nieregularnej formie, co oderwało go od pracy na tydzień. Zespawał i umocował drutem fragmenty starych samochodów, komponując trzy ogromne chwiejne konstrukcje, a gdy zakończył pracę, usiadł na stopniach werandy, przyglądając się z dumą efektowi i czując całym sercem, że wreszcie odnalazł swoje

powołanie. To uczucie nie opuszczało go przez tydzień, dopóki rada miejska na pośpiesznie zwołanym zebraniu nie wydała rozporządzenia, zakazującego zaśmiecania podwórek. Podobnie jak wielu ludzi, Mike Harris marzył i pragnął zostać artystą. Niestety, nie miał talentu.

Potrafił za to naprawić praktycznie wszystko. Był niezastąpioną „złotą rączką”, prawdziwym rycerzem w lśniącej zbroi, gdy pod kuchennym zlewem tworzyły się kałuże albo nawałyły młynki do rozdrabniania odpadków. O ile jednak Mike był dobry w naprawach sprzętu domowego, to można go nazwać współczesnym Merlinem, kiedy szło o cokolwiek, co wiązało się z czterema kółkami i silnikiem. On i jego brat Henry byli właścicielami najbardziej obleganego warsztatu naprawczego w miasteczku. Do Henry'ego należała przede wszystkim papierkowa robota, Mike natomiast wykonywał właściwą pracę. Potrafił naprawić każdy samochód, czy to zagraniczny, czy krajowy, od czterocylindrowych fordów escortów do porsche 911 z turbosprężarką. Słyszał stukanie i brzęki w silniku, gdy inni ich nie słyszeli, i zazwyczaj potrzebował niecałych dwóch minut, żeby wykryć usterkę. Znał się na kolektorach, zaworach wlotowych, amortyzatorach, popychaczach i tłokach, chłodnicach i regulacji kolumny kierownicy, umiał ustawić z pamięci zapłon właściwie w każdym samochodzie, który kiedykolwiek wjechał do jego warsztatu. Potrafił złożyć z powrotem silnik bez zaglądania do instrukcji. Palce miał wiecznie poplamione smarem i chociaż zdawał sobie sprawę, że jest to całkiem niezły sposób zarabiania na utrzymanie, czasami marzył o tym, żeby móc zastosować część tego talentu w innych dziedzinach swego życia.

Mike'a ominęła tradycyjna sława bawidamka, towarzysząca mężczyznom, wykonującym zawody mechanika czy muzyka. Miał w życiu dwie dziewczyny, z którymi chodził na poważnie, a ponieważ pierwszy z tych związków sięgał czasów liceum, a drugi, z Sarą zakończył się trzy lata temu, można by wyciągnąć wniosek, że Mike nie chce się wiązać na dłuższą metę, a nawet choćby na lato. Mike też się nad tym czasami zastanawiał. Bez względu na to, jak bardzo sobie życzył, żeby było inaczej, większość randek kończyła się pocałunkiem w policzek, gdy kobieta dziękowała mu za to, że jest takim dobrym przyjacielem. W wieku trzydziestu czterech lat Mike Harris był niemal ekspertem w subtelnej sztuce obdarzania braterskimi uściskami kobiet, podczas gdy one wyplakiwały mu się na ramieniu, skarżąc się, jakim palantem był ich poprzedni chłopak. Nie chodziło o to, że Mike był nieatrakcyjnym facetem. Był przystojny w typowo amerykańskim stylu: miał ciemnoblonde włosy, niebieskie oczy, miły uśmiech i szczupłą budowę ciała. Nie można też powiedzieć, żeby kobiety nie lubiły przebywać w jego towarzystwie, ponieważ lubiły. Jego brak szczęścia wiązał się raczej z faktem, że kobiety, z którymi się spotykał, wyczuwały, iż

Mike'owi tak naprawdę wcale na nich nie zależy.

Jego brat Henry doskonale wiedział, czemu tak się dzieje, jego bratowa Emma również. Mabel też знаła przyczyny, jak zresztą właściwie wszyscy znajomi Mike'a Harrisa.

Wszyscy oni wiedzieli, że jest zakochany w kimś innym.

* * *

- Hej, Julie, zaczekaj.

Julie, która dotarła właśnie na peryferie dzielnicy handlowej, wybudowanej w starodawnym stylu, obejrzała się, słysząc wołanie Mike'a. Śpiewak popatrzył na nią, zadzierając łeb do góry. Julie pokiwała przyzwalająco głową.

- Leć - powiedziała.

Śpiewak pogalopował, spotykając Mike'a w pół drogi. Mężczyzna, nie zatrzymując się, pogłaskał go po głowie i po grzbiecie, a następnie podrapał za uszami. Gdy Mike zabrał rękę, pies zaczął trącać go nosem, domagając się więcej pieszczot.

- Na razie dosyć, wielkoludzie - rzekł Mike. - Pozwól mi porozmawiać z Julie.

Po chwili zrównał się z Julie, a Śpiewak usiadł obok niego, w dalszym ciągu podstawiając łeb pod jego dłoń.

- Cześć, Mike - powiedziała Julie z uśmiechem. - Co się stało?

- Nic szczególnego. Chciałem ci tylko powiedzieć, że dżip jest gotów.

- Co to było?

- Alternator.

Pamiętała, że dokładnie to samo powiedział jej w piątek, gdy zostawiała samochód w warsztacie.

- Trzeba było zamontować nowy?

- Tak. Twój kompletnie wysiadł. Drobiazg, diler miał ich mnóstwo w magazynie. Przy okazji zlikwidowałem też wyciek oleju. Musiałem wymienić uszczelkę przy filtrze.

- Wyciekał olej?

- Nie zauważyłaś plam na podjeździe?

- Nie, ale prawdę mówiąc, nie przyglądałam się. Mike uśmiechnął się.

- Cóż, jak powiedziałem, to również naprawione. Czy chcesz, żebym podrzucił ci kluczyki?

- Nie, odbiorę je po pracy. Dopiero później będą mi potrzebne. Przez cały dzień mam klientów. Wiesz, jakie są poniedziałki - wyjaśniła z uśmiechem. - A jak ci poszło w „Clipper”? Żałuję, że nie udało mi się przyjść.

Mike przez cały weekend grał grunge rocka z zespołem chłopaków, którzy rzucili naukę w szkole średniej i nie mieli większych marzeń niż podrywanie dziewczyn, popijanie piwa i oglądanie ciurkiem MTV. Mike był od nich starszy o kilkanaście lat i gdy pokazał Julie workowate spodnie i złachany podkoszulek, które zamierzał włożyć na występ, Julie pokiwała głową i powiedziała: „O, fajne”, co naprawdę znaczyło: „Będziesz w tym wyglądał absolutnie idiotycznie”.

- Chyba dobrze - odpowiedział.

- Tylko dobrze?

Mike wzruszył ramionami.

- Nie jest to raczej mój szczególnie ulubiony rodzaj muzyki. Julie przytaknęła ze zrozumieniem. Mimo że bardzo lubiła Mike'a, jego śpiew nie budził jej zbytniego zachwytu. Śpiewak najwyraźniej był innego zdania. Uwielbiał go. Zawsze gdy Mike śpiewał dla przyjaciół, pies wtórował mu, wyjąc głośno. Zgodnie z lokalną opinią trudno przewidzieć, który z nich pierwszy zdobędzie rozgłos.

- Ile jestem winna za naprawę? - spytała.

Mike zdawał się rozważać to pytanie, drapiąc się z roztargnieniem po brodzie.

- Myślę, że dwa strzyżenia będą w sam raz.

- Daj spokój. Pozwól, że tym razem zapłacę. Przynajmniej za części. Mam pieniądze.

W ciągu ostatniego roku jej džip, starszy model CJ7, był trzykrotnie w naprawie. Mike'owi udawało się jakimś sposobem utrzymywać go w dobrej formie między kolejnymi wizytami.

- Przecież płacisz - zaprotestował Mike. - Chociaż moje włosy lekko się przeredziły, potrzebują od czasu do czasu dobrego strzyżenia.

- Ale dwa strzyżenia to chyba niespecjalnie dobry interes.

- Naprawa nie zajęła mi dużo czasu, a części dostałem tanio. Facet był mi winien przysługę.

Julie zadarła lekko brodę.

- Czy Henry wie, że to robisz? Mike rozłożył ręce z niewinną miną.

- Oczywiście, że wie. Jestem przecież współnikiem. Poza tym to był jego pomysł.

Jasne, pomyślała Julie.

- No cóż, dzięki - powiedziała wreszcie. - Jestem ci bardzo wdzięczna.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Mike umilkł. Miał ochotę porozmawiać z nią dłużej, ponieważ jednak nic nie przychodziło mu do głowy, spojrzął na Śpiewaka. Pies przyglądał mu się bacznie, z przekrzywionym na bok łbem, jak gdyby go ponaglał: „No, Romeo,

zbierz się na odwagę. Obaj znamy prawdziwy powód, dla którego z nią rozmawiasz”. Mike przełknął ślinę. - Jak ci poszło z... eee... - Starał się ze wszystkich sił, żeby zabrzmiało to całkiem swobodnie.

- Z Richardem?

- Tak, z Richardem.

- Było sympatycznie.

- Aha.

Mike pokiwał głową, czując, że na czoło występuje mu kroplisty pot. Dziwiło go, że wczesnym rankiem może być tak gorąco.

- A więc... eee... Dokąd się wybraliście? - spytał.

- Do „Slocum House”.

- Bardzo szykowne miejsce jak na pierwszą randkę - zauważył.

- Miałam do wyboru to albo „Pizza Hut”. Pozwolił mi zdecydować.

Mike przestąpił z nogi na nogę, czekając, czy Julie powie coś więcej. Nie powiedziała.

Niedobrze, pomyślał. Richard różnił się zdecydowanie od Boba, romantycznego pozeracza liczb, czy Rossa, maniaka seksualnego. A także Adama z wnętrzości Swansboro. Mike uważał, że wytrzymuje konkurencję z facetami tego pokroju. Ale Richard? „Slocum House”? „Było sympatycznie”?

- Czyli... spędziłaś miło czas? - spytał.

- Tak, oboje bawiliśmy się dobrze.

Bawili się? Jak dobrze? Nie podoba mi się to ani trochę, pomyślał.

- Cieszę się - skłamał, starając się jak najlepiej udawać entuzjazm.

Julie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie przejmuj się, Mike. Wiesz, że i tak ciebie będę zawsze kochała najbardziej.

Mike wepchnął ręce do kieszeni.

- To dlatego, że naprawiam twój samochód.

- Masz o sobie zbyt niskie mniemanie - zaprotestowała Julie. - Pomogłeś też załatać mój dach.

- I doprowadziłem do stanu używalności twoją pralkę. Julie wspięła się na palce i pocałowała go w policzek, a następnie poklepała po ramieniu.

- Cóż mogę powiedzieć, Mike? Jesteś po prostu porządnym facetem.

* * *

Julie czuła na sobie wzrok Mike'a, gdy szła w kierunku salonu, choć nieco inaczej niż

w przypadku innych mężczyzn, którzy się nią interesowali. Ani trochę nie irytowało jej, że się na nią gapił. Jest dobrym przyjacielem, pomyślała, po czym szybko dodała w myślach: nie, nie dobrym, lecz naprawdę dobrym, kimś, kogo nie zawahałaby się poprosić o pomoc w trudnej sytuacji. Przyjacielem, dzięki któremu jej życie w Swansboro jest znacznie łatwiejsze, ponieważ wie, że może na niego liczyć teraz i w przyszłości. Rzadko ma się takich przyjaciół, dlatego też czuła się podle, nie wtajemniczając go w bardziej prywatne aspekty swojego życia - jak na przykład ostatnia randka.

Nie miała serca opowiadać o niej ze szczegółami, ponieważ Mike... cóż, uczucia Mike'a do niej nie były raczej tajemnicą i nie chciała sprawić mu przykrości. Co miała powiedzieć? „W porównaniu z poprzednimi facetami, z którymi się umawiałam, Richard jest fantastyczny! Jasne, że znowu się z nim spotkam!”. Wiedziała, że Mike chce się z nią umówić przynajmniej od dwóch lat. Ale jej uczucia do niego - poza tym, że uważała go za najlepszego przyjaciela - były skomplikowane. Jak mogły nie być? Jim i Mike przyjaźnili się od dziecka. Mike był drużbą na ich weselu, a potem to on pocieszał ją po śmierci Jima. Traktowała go raczej jak brata i trudno jej było przestawić się nagle na inny układ.

Ale to nie wszystko. Ponieważ Jim i Mike byli bardzo bliskimi przyjaciółmi, a Mike stanowił część ich życia, nawet myśl o randce z nim pozostawiała jej niejasne poczucie zdrady. Gdyby zgodziła się z nim umówić, czy nie oznaczałoby to, że w głębi duszy zawsze tego pragnęła? Co powiedziałyby na to Jim? A ona, czy potrafiłaby patrzeć na Mike'a, nie myśląc o Jimie i o tamtych czasach, kiedy byli jeszcze wszyscy razem? Nie miała pojęcia. A co by się stało, gdyby się umówili, ale z jakichkolwiek powodów randka by się nie udała? Ich stosunki zmieniłyby się, a Julie nie zniosłaby utraty takiego przyjaciela. Będzie lepiej, jeśli wszystko pozostanie między nimi po staremu.

Przypuszczała, że Mike również zdaje sobie z tego sprawę, i prawdopodobnie właśnie dlatego nigdy nie zaproponował jej spotkania, mimo że najwyraźniej miał na to wielką ochotę.

Jednakże czasami - tak jak ubiegłego lata, gdy popłynęli łodzią z Henrym i Emmą żeby pojeździć na nartach wodnych - miała wrażenie, że Mike zbiera się na odwagę, żeby to zrobić. Zachowywał się trochę komicznie, gdy wpadł w taki nastrój. Mike, zwykle dusza towarzystwa, beztronski facet, który śmieje się pierwszy z dowcipów, nawet robionych jego kosztem, i który chętnie skacze po piwo do sklepu wtedy, gdy nikomu innemu się nie chce, niespodziewanie stał się milczący, jak gdyby podejrzewał, że cały jego problem z Julie bierze się stąd, iż ona nie uważa go za dość odlotowego faceta. Zamiast śmiać się z tego, co mówili inni, krzywił się, robił miny albo przyglądał się swoim paznokciom, a gdy uśmiechnął się do

niej na łódce, wyglądało to tak, jak gdyby próbował powiedzieć: „Hej, dziecinko, a może rzucimy to wszystko w diabły i pójdziemy się naprawdę zabawić?”. Jego starszy brat był bezlitosny, kiedy Mike zachowywał się w ten sposób. Zauważywszy tę nagłą zmianę nastroju, Henry spytał go, czy nie zjadł za dużo fasoli na obiad, ponieważ nie wygląda najlepiej.

Mike natychmiast popadł w przygnębienie.

Julie uśmiechnęła się na to wspomnienie. Biedny Mike.

Nazajutrz był znowu sobą. Tę wersję Mike'a lubiła zdecydowanie najbardziej. Uprzykrzyli jej się faceci, mający tak wysokie mniemanie o sobie, że uważają, iż każda kobieta powinna być szczęśliwa, że się nią interesują. Jak również tacy, którzy udają zimnych twardzieli albo wdają się w bójkę w barach, żeby pokazać światu, że nie dadzą sobą dyrygować. Faktem jest, że bez względu na jej podejście do tej sprawy tacy mężczyźni jak Mike są w cenie. Ma dobre serce, jest miły i przystojny. Podobały jej się drobne zmarszczki, które tworzyły mu się wokół oczu, gdy się uśmiechał, uwielbiała dołeczki w jego policzkach. Zaczęła wysoko cenić sposób, w jaki otrząsał z siebie złe wiadomości zwykłym wzruszeniem ramion. Lubiała mężczyzn, którzy się śmieją, a Mike śmiał się bardzo często.

I naprawdę, naprawdę lubiła jego śmiech.

Jak zawsze, gdy zaczynała myśleć o tym, usłyszała natychmiast wewnętrzny głos, który ją ostrzegał: daj sobie spokój. Mike jest twoim przyjacielem, najlepszym przyjacielem, nie chcesz chyba tego zepsuć, prawda?

Gdy tak szła, pogrążona w myślach, Śpiewak trącił ją nosem, przywracając do rzeczywistości. Patrzył na nią wymownie.

- Tak, tak, leć, ty włóczykiju - powiedziała.

Śpiewak pobiegł przodem, minął piekarnię i skręcił w otwarte drzwi salonu Mabel. Dostawał od niej codziennie herbatnika.

* * *

- No i jak poszła jej randka? - spytał Henry, patrząc na brata znad plastikowego kubka. Stał oparty o framugę drzwi warsztatu, obok ekspresu do kawy.

- Nie pytałem jej o to - odpowiedział Mike. Jego ton sugerował, że już sam pomysł jest idiotyczny. Wciągał kombinezon, nie zdejmując dzinsów.

- Dlaczego?

- Nie przyszło mi to do głowy.

- Hm - mruknął Henry.

Trzydziestoośmioletni Henry był o cztery lata starszy od Mike'a i pod wieloma

względami stanowił jego dojrzsze alter ego. Był wyższy i potężniejszy, w miarę jak wkraczał w wiek średni, obwód w pasie zwiększał mu się mniej więcej w tym samym tempie, w jakimłysiał. W ciągu dwunastu lat małżeństwa Emma urodziła mu trzy córki, mieszkał we własnym domu, a nie w mieszkaniu, jego życie było ustabilizowane. W przeciwieństwie do Mike'a nigdy nie miał żadnych ciągót artystycznych. W college'u specjalizował się w finansach przedsiębiorstw prywatnych. Jak większość starszych braci, nie potrafił zapanować nad uczuciem, że musi czuwać nad młodszym braciszkiem, by mieć pewność, że wszystko u niego w porządku, że nie robi nic, czego by potem żałował. To jego braterskie wsparcie przejawiało się czasami w dokuczaniu, bezceremonialnych uwagach, a niekiedy nawet w złościwościach, które miały sprowadzić Mike'a na ziemię, i mogło niektórym wydawać się nieczułością, ale jak inaczej miał postępować? Henry uśmiechnął się. Ktoś musi troszczyć się o Mike'a.

Mike'owi udało się wciągnąć poplamiony smarem kombinezon do pasa.

- Chciałem tylko powiedzieć jej, że samochód jest gotowy.

- Już? Zdawało mi się, że mówiłeś coś o wycieku oleju.

- Rzeczywiście.

- I tak szybko naprawiłeś?

- Zajęło mi to zaledwie kilka godzin.

- Uhm... - Henry pokiwał głową, myśląc: Gdybyś był jeszcze odrobinę bardziej rozpalony, braciszku, można by na tobie smażyć jajecznicę.

Nie powiedział tego jednak na głos i odchrząknął.

- No więc, co robiłeś podczas weekendu? Naprawiałeś jej samochód?

- Nie przez cały czas. Grałem też w „Clipper”, ale chyba o tym zapomniałeś, prawda?

Henry podniósł ręce obronnym gestem.

- Wiesz, że jestem raczej fanem Gartha Brooksa i Tima McGrawa. Nie podoba mi się ta nowoczesna muzyka. Poza tym rodzice Emmy przyszli na kolację.

- Mogłeś ich zabrać ze sobą.

Henry parsknął śmiechem, omal nie rozlewając kawy.

- Tak, jasne. Potrafisz wyobrazić sobie, że zapraszam tych dwoje do „Clipper”? Uważają, że muzyka, którą puszczaają w windach, jest zbyt głośna, a muzyka rockowa to narzędzie szatana, umożliwiające mu zapanowanie nad ludzkimi umysłami. Dostaliby krwotoku z uszu, gdyby wybrali się do „Clipper”.

- Naskarzę Emmie, co powiedziałaś.

- Zgodzi się ze mną - odparł Henry. - To były jej słowa, nie moje. No więc, jak ci

poszło? Mam na myśli „Clipper”.

- W porządku.

Henry pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Przykro mi to słyszeć.

Mike wzruszył ramionami, zapinając kombinezon na suwak.

- Ile policzyłeś Julie tym razem za naprawę samochodu? Trzy ołówki i kanapkę?

- Nie.

- Błyszczący kamyk?

- Cha, cha.

- Pytam poważnie. Po prostu jestem ciekaw.

- Jak zwykle. Henry zagwizdał.

- Dobrze, że ja prowadzę księgi rachunkowe naszego warsztatu.

Mike rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie.

- Wiesz dobrze, że ty potraktowałeś ją tak samo.

- To prawda.

- Dlaczego więc się czepiasz?

- Ponieważ chcę wiedzieć, jak się jej udała randka.

- Co ma wspólnego to, ile jej policzyłem za naprawę, z jej randką? Henry uśmiechnął się.

- Nie jestem pewien, braciszku. A ty jak sądzisz?

- Przypuszczam, że wypiełeś za dużo kawy dzisiaj rano i nie myślisz logicznie.

Henry odstawił kubek.

- Pewnie masz rację. Jestem pewien, że nic a nic nie obchodzą cię randki Julie.

- Właśnie.

Henry sięgnął po dzbanek z kawą i nalał jeszcze jeden kubek.

- Wobec tego prawdopodobnie nie interesuje cię też, co o tym sądzi Mabel.

Mike popatrzył na niego.

- Mabel?

Henry dodał hojną ręką cukru i śmietanki.

- Tak, Mabel. Widziała ich razem w sobotę wieczorem.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ rozmawiałem z nią wczoraj po kościele i powiedziała mi o tym.

- Naprawdę?

Henry odwrócił się do Mike'a tyłem i skierował do kantorku, uśmiechając się pod

nosem.

- Skoro twierdzisz, że nic cię to nie obchodzi, to lepiej dajmy temu spokój.

Siadając przy biurku, Henry wiedział z doświadczenia, że Mike długo jeszcze będzie stał jak słup soli za drzwiami.

ROZDZIAŁ 3

Mimo że Andrea Radley zdobyła uprawnienia rok temu i została zatrudniona przez Mabel dziewięć miesięcy temu, nie była najlepszym pracownikiem. Nie tylko miała tendencję do brania bez uprzedzenia wolnych dni na załatwienie spraw osobistych - zazwyczaj nie zadawała sobie nawet trudu, żeby zadzwonić - ale w dni, kiedy udało jej się dotrzeć do pracy, rzadko bywała punktualna. Nie była też raczej mistrzynią w stryżeniu i układaniu włosów i nie brała pod uwagę wskazówek klientów. Nawet jeśli klienci przynosili jej zdjęcie albo wyjaśniali jasno, powoli i precyzyjnie, o jaką fryzurę im chodzi, Andrea strzygła wszystkich dokładnie w taki sam sposób. Było to jednak bez znaczenia, bowiem Andrea miała prawie taką samą liczbę klientów co Julie, i to, jak można się było spodziewać, samych mężczyzn.

Dwudziestotrzyletnia blondynka o długich nogach, z których] nigdy nie zniką opalenizna, wyglądała, jak gdyby przyjechała tu prosto z kalifornijskich plaż, a nie z małego górskiego miasteczka Boone, z Karoliny Północnej, gdzie dorastała. Robiła też co w jej mocy, żeby się odpowiednio do tego ubrać - bez względu na pogodę, nawet gdy było zimno, nosiła w pracy minispódniczki. Latem uzupełnieniem stroju były obcisłe tryl kotowe bluzki z odkrytymi plecami, zimą długie skórzane kozaki. Do każdego klienta zwracała się per „złotko”, trzepotała długimi, pogrubionymi tuszem rzęsami i bez przerwy żuła gumę. Julie i Mabel chichotały, widząc rozmarzone spojrzenia, które posyłał Andrei mężczyźni, gapiący się na jej odbicie w lustrze. Podejrzywały, że nawet gdyby Andrea przypadkiem ogoliła któregoś klienta do gołej skóry, i tak by do niej wracał.

Pomimo wyzywającego wyglądu Andrea była dość naiwna w kontaktach z mężczyznami. Owszem, myślała, że wie, czego chcą, i na ogół miała rację. Nie wiedziała natomiast, jak zatrzymać przy sobie mężczyznę. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że taki wygląd może przyciągać określony typ mężczyzn, a odstraszać innych. Andrea nie miała najmniejszego problemu z umawianiem się z wytatuowanymi harley owcami, pijakami snującymi się po „Clipper” czy więźniami wypuszczonymi warunkowo, nigdy jednak nie udało jej się umówić z mężczyzną mającym stałą pracę. Tak przynajmniej twierdziła, gdy wpadła w nastrój uzalania się nad sobą. W rzeczywistości Andreę regularnie zapraszali na randki solidni, pracujący mężczyźni, ale to nie oni, lecz ona błyskawicznie traciła nimi zainteresowanie, a potem natychmiast zapominała, że w ogóle chcieli się z nią spotkać.

W ciągu trzech minionych miesięcy zaliczyła różnych mężczyzn; trzydziestoletniego wytatuowanego, sześciu harleyowców, dwa pogwałcenia przepisów zwolnienia warunkowego oraz zero pracujących, toteż w tej chwili była w płaczliwym

nastroju. W sobotę musiała zapłacić za kolację i kino, ponieważ jej partner był goły jak święty turecki, ale czy zadzwonił dzisiaj rano? Nie, oczywiście, że nie. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby zadzwonić. Jej faceci nigdy nie telefonowali, chyba że potrzebowali pieniędzy albo „czuli się trochę samotni”, jak wielu z nich lubiło to określać. Za to Richard zadzwonił rano do salonu, pytając o Julie. Co gorsza, Julie zapewne nie musiała fundować mu kolacji, żeby go do tego nakłonić. Dlaczego, zastanawiała się, do Julie Igną wszyscy fajni faceci? Przecież nawet się dobrze nie ubiera. Często wygląda po prostu pospolicie w tych swoich dzinsach, workowatych swetrach i - powiedzmy szczerze - brzydkich butach. Nie kiwnęła palcem, żeby dobrać stroje, w których byłoby jej do twarzy, nie robiła sobie manikiuru i nie była w ogóle opalona, chyba że w lecie, kiedy wszyscy są opaleni. Dlaczego więc spodobała się tak bardzo Richardowi? Były obie w salonie, gdy Richard przyszedł się ostrzyć w zeszłym tygodniu, obie miały akurat przerwę między kolejnymi klientami i obie jednocześnie powiedziały: „Dzień dobry”. Jednak Richard poprosił Julie, żeby go ostrzygła, a nie ją, i jakimś sposobem zaowocowało to randką. Andrea skrzywiła się na samo wspomnienie.

- Au!

Wyrwana tym okrzykiem z rozmyślań, Andrea spojrzała na odbicie swojego klienta w lustrze. Był prawnikiem, niedawno przekroczył trzydziestkę. Pocierał teraz głowę. Andrea cofnęła dłonie.

- Co się stało, złotko?

- Dziabnęłaś mnie nożyczkami.

- Naprawdę?

- Tak. Zabolało mnie. Andrea zatrzepotała rzęsami.

- Przepraszam, złotko. Nie chciałam sprawić ci bólu. Nie jesteś na mnie wściekły, co?

- Nie... właściwie nie - powiedział w końcu prawnik, zabierając rękę. Spojrzał znowu w lustro, przyglądając się jej dziełu. - Nie sądzisz, że moje włosy są trochę nierówne?

- Gdzie?

- Tutaj. - Pokazał jej palcem. - Zanadto wystrzygłaś bak z tej strony.

Andrea zamrugała dwukrotnie, potem powoli przechyliła głowę z boku na bok.

- Lustro jest chyba krzywe.

- Lustro? - powtórzył.

Położyła mu dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się.

- Myślę, że wyglądasz bardzo przystojnie, złotko.

- Doprawdy?

Siedząca przy oknie po drugiej stronie salonu Mabel podniosła głowę znad

czasopisma. Zauważyła, że facet po prostu roztapia się w fotelu. Pokręciła głową, gdy Andrea puściła znowu w ruch nożyczki. Po chwili uspokojony mężczyzna usiadł prosto.

- Wiesz co, mam bilety na koncert Faith Hill w Raleigh za dwa tygodnie - powiedział.
- Może wybrałabyś się tam ze mną?

Niestety, myśli Andrei krążyły znowu wokół Richarda i Julie. Mabel powiedziała jej, że byli w „Slocum House”. „Slocum House”! Wiedziała, choć nigdy tam nie była, że „Slocum House” jest wytworną restauracją, w której na stolikach stoją świece. Jeśli sobie zażyczysz, wieszają twój płaszcz w specjalnym pomieszczeniu. I są tam prawdziwe obrusy z materiału, a nie plastikowe w biało - czerwoną kratkę. Faceci, z którymi się umawiała, nigdy nie zabierali jej do takich eleganckich lokali. Przypuszczalnie nie mają nawet pojęcia, gdzie ich szukać.

- Przykro mi, ale nie mogę - odpowiedziała bezmyślnie. Richard na pewno przysłałby też kwiaty. Może nawet róże.

Czerwone róże! Widziała je wyraźnie oczyma wyobraźni. Dlaczego Julie dostają się ci najlepsi?

- Och! - Z ust mężczyzny wymknął się jęk zawodu. Powiedział to takim tonem, że wyrwał ją z zamyślenia.

- Słucham? - spytała.

- Nic. Powiedziałem tylko: „Och”.

Andrea nie miała pojęcia, o czym on mówi. Jeśli masz wątpliwości, pomyślała, uśmiechaj się. Tak też uczyniła. Po chwili mężczyzna stopniał znowu jak śnieg.

Siedząca w kącie Mabel stłumiła śmiech.

Po chwili, gdy do salonu wpadł Śpiewak, Mabel zobaczyła Julie w drzwiach. Chciała się z nią przywitać, ale przeszkodziła jej w tym Andrea.

- Dzwonił Richard - powiedziała, nie starając się nawet ukryć niesmaku. Piłowała swoje idealnie wymanikiowane paznokcie z taką zajadłością, jak gdyby usiłowała zetrzeć z nich niewidoczne mikroby.

- Naprawdę? - spytała Julie. - Czego chciał?

- Nie pytałam - odparła ostrym tonem Andrea. - Nie jestem twoją sekretarką.

Mabel pokręciła głową, jak gdyby chciała powiedzieć Julie, żeby się nie przejmowała.

Sześćdziesięcioletnia Mabel była jedną z najbliższych przyjaciółek Julie - i fakt, że była zarazem ciotką Jima, niewiele miał z tym wspólnego. Jedenaście lat temu Mabel zaoferowała Julie pracę oraz kąt do mieszkania i młoda kobieta wiedziała, że nigdy jej tego nie zapomni, lecz jednocześnie był to na tyle długi okres, by Julie zdała sobie sprawę, iż towarzystwo Mabel cieszyłoby ją również, gdyby żadna z tamtych rzeczy nie miała miejsca.

Nie przeszkadzało jej, że Mabel była, łagodnie to ujmując, nieco ekscentryczna. Po wielu latach spędzonych w miasteczku Julie zdołała na tyle poznać wszystkich jego mieszkańców, że miała świadomość, iż każdy z nich jest barwną postacią. Jednakże Mabel była ekscentryczką przez, duże „E”, zwłaszcza w tym małym konserwatywnym południowym miasteczku, i to wcale nie dlatego, że miała dwa nieszkodliwe dziwactwa. Mabel różniła się od innych i dobrze o tym wiedziała. Mimo dwóch propozycji małżeństwa nie wyszła za mąż i już choćby to wykluczało ją z rozmaitych klubów oraz kręgów towarzyskich osób w jej wieku. Jeśli nawet pominąć jej inne dziwne przyzwyczajenia - fakt, że jeździ motorowerem, nosi z upodobaniem ubrania w kropki i uważa swój zbiór pamiątek po Elvisie za dzieła sztuki - Mabel nadal uznawano by za osobę dość dziwną z powodu tego, co zrobiła ponad ćwierć wieku temu. Gdy miała trzydzieści sześć lat, po całym dotychczasowym życiu spędzonym w Swansboro, zniknęła nagle, nie mówiąc nikomu, dokąd wyjeżdża, a nawet, że w ogóle wyjeżdża. Przez kolejne osiem lat przysyłała swojej rodzinie widokówki z całego świata - Ayers Rock w Australii, Kilimandżaro w Afryce, fiordy w Norwegii, port w Hongkongu, Wawel w Polsce. Gdy wreszcie wróciła do Swansboro - zjawiając się w rodzinnym mieście równie niespodziewanie, jak kiedyś zniknęła - rozpoczęła dokładnie od tego miejsca, które opuściła, wprowadzając się z powrotem do tego samego domu i zaczynając znowu pracę w salonie. Nikt nie wiedział, dlaczego to zrobiła ani skąd zdobyła pieniądze na podróż albo na kupno salonu rok później, ona też nigdy nie odpowiedziała na to pytanie, gdy je zadawano. „To tajemnica” - mówiła, robiąc oko, co dolewało jeszcze oliwy do ognia i mieszkańcy miasteczka szeptali po kątach, że jej przeszłość nie tylko jest trochę podejrzana, ale że majątek Mabel jest znacznie większy niż parę skorup w serwantce z porcelaną.

Mabel nie przejmowała się tym, co myślą o niej ludzie, ale dla Julie stanowiło to część jej uroku - ubierała się, jak chciała, przestawała z tym, z kim chciała, i robiła to, co chciała. Julie zastanawiała się wiele razy, czy dziwactwa Mabel są prawdziwe, czy też starsza pani po prostu wymyśla je po to, żeby wiecznie intrygować ludzi. Tak czy owak, Julie uwielbiała w niej wszystko. Nawet skłonność do wścibiania nosa w nie swoje sprawy.

- A więc jak się udała randka z Richardem? - spytała Mabel.

- Szczerze mówiąc, martwiłam się trochę o ciebie przez cały czas - odparła Julie. - Obawiałam się, że możesz naciągnąć sobie mięsień szyi, jeśli będziesz dalej wykręcała głowę, próbując podsłuchać naszą rozmowę.

- Och, nie musiałaś tak się przejmować - uśmiechnęła się Mabel. - Tabletką tylenolu i nazajutrz czułam się jak nowo narodzona. Nie zmieniaj tematu. Jak było?

- Całkiem niezłe, biorąc pod uwagę, że dopiero się poznaliśmy.

- Stamtąd, gdzie siedziałam, wyglądało to prawie tak, jak gdyby cię już skądś znał.

- Dlaczego tak myślisz?

- Nie wiem. Może sprawiła to jego mina, a może sposób, w jaki się w ciebie wpatrywał przez cały wieczór. Odniosłam wrażenie, że jego spojrzenie jest przytwierdzone do twojej osoby niewidzialnymi sznurkami.

- To nie rzucało się chyba aż tak bardzo w oczy, co?

- Kochanie, on wyglądał jak marynarz, który uzyskał pozwolenie zejścia na ląd i ogląda kabaret z gołymi panienkami.

Julie roześmiała się, wkładając kitel.

- Przypuszczam, że musiałam zrobić na nim piorunujące wrażenie.

- Może.

Coś w tonie Mabel uderzyło Julie.

- O co chodzi? Nie podoba ci się?

- Tego nie powiedziałam. Przecież jeszcze go nie znam, zapomniałaś o tym? Nie było mnie tutaj, kiedy przyszedł do salonu, a w sobotę nie przedstawiłaś nas sobie. Byłaś zbyt zajęta odwzajemnianiem spojrzeń. - Mabel puściła do niej oko. - Poza tym w głębi duszy jestem starą romantyczką. Dopóki mężczyzna słucha z takim zainteresowaniem tego, co mówisz, wygląd nie jest taki ważny.

- Według ciebie nie jest przystojny?

- Och, znasz mnie, mam słabość raczej do facetów, którzy przychodzą do Andrei. Te tatuaże na ramionach są takie seksowne.

Julie parsknęła śmiechem.

- Uważaj, żeby Andrea nie usłyszała tego, co mówisz. Mogłaby się obrazić.

- Nie ma obawy. Dopóki nie zacznę rysować, nie domyśli się, o kim rozmawiamy.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do salonu weszła kobieta. Pierwsza poniedziałkowa klientka Julie. Po chwili zjawiała się klientka Mabel.

- No więc... czy zamierzasz się z nim znowu umówić? - spytała Mabel.

- Nie wiem, czy mnie o to poprosi, ale jeśli tak, to chyba się zgodzę.

- A chciałabyś, żeby tak się stało?

- Tak - przyznała Julie. - Raczej tak.

- Hm... a co na to powie twój cukiereczek, Bob? - spytała Mabel z błyskiem z oku. - Złamiesz mu serce.

- Może jeśli zadzwoni znowu, powiem mu, że jesteś zainteresowana.

- Och, bardzo proszę, koniecznie zrób to, potrzebuję kogoś, kto pomógłby mi obliczyć

podatek. Obawiam się jednak, że będzie uważał, iż jestem dla niego nieco zbyt śmiała. - Mabel umilkła na chwilę. - A jak to przyjął Mike?

Widziała ich przez okno, jak rozmawiali.

Julie wzruszyła ramionami. Wiedziała, że Mabel ją o to zapyta.

- Dobrze.

- To świetny facet, wiesz o tym.

- Tak, wiem.

Mabel nie naciskała więcej, mając świadomość, że jej wtrącanie się może tylko pogorszyć sytuację. Próbowwała już kilkakrotnie, niestety, bez skutku. Żałowała jednak, że sprawy między tymi dwojgiem dotąd się nie ułożyły. Uważała, że Mike i Julie stanowią świetną parę. I bez względu na to, co każde z nich sobie wyobraża, była pewna, że Jim nie miałby absolutnie nic przeciwko temu.

Kto może lepiej od niej to wiedzieć? Przecież była jego ciotką.

* * *

Gdy poranne słońce zaczęło nieźle dopiekać, klucz francuski Mike'a zablokował się we wnętrznościach silnika. Usiłując go uwolnić, szarpnął trochę za mocno, kalecząc się przy tym w rękę. Zdezynfekował ranę i założył opatrunek, po czym spróbował jeszcze raz z dokładnym takim samym skutkiem. Zaklął pod nosem i odszedł ze złością od samochodu, mierząc go lodowatym spojrzeniem, jak gdyby próbował wymusić na nim, żeby poddał się jego zabiegom. Przez cały ranek Mike robił błąd za błędem w naprawianiu, zajęciu, które było jego drugą naturą, a teraz nie potrafił nawet wyswobodzić głupiego klucza. Oczywiście nie była to jego wina. Winą obarczał Julie. Jak mógł się skoncentrować na pracy, skoro nie potrafił przestać myśleć o jej randce z Richardem?

Sympatycznej randce. Świetnej zabawie.

Co w niej było, zastanawiał się, takiego sympatycznego? I co Julie rozumiała przez zabawę?

Zdawał sobie sprawę, że jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć, drżał jednak na samą myśl o tym. Ale jaki miał wybór? Julie nie rozmawiała z nim całkiem otwarcie i nie mógł teraz pójść prosto do salonu i zacząć wypytywać Mabel w obecności Julie. Pozostawał mu zatem tylko Henry.

Henry, dobry, miły starszy brat.

Tak, jasne, pomyślał Mike.

Henry mógł mu powiedzieć już wcześniej, ale, nieeeee, musiał go przetrzymać.

Wiedział doskonale, co robi, gdy przerwał rozmowę w takim miejscu. Chciał, żeby Mike błagał go o informację, by się przed nim płaszczyl. Miałby okazję do kilku złośliwości.

Nie tym razem, braciszku, pomyślał Mike. Nie tym razem.

Podszedł do samochodu i uczynił jeszcze jedną próbę wyciągnięcia klucza francuskiego. Bez powodzenia. Spoglądając przez ramię, zastanawiał się, czy nie użyć śrubokrętu w charakterze dźwigni. Postanowił spróbować, ale gdy już trafił narzędziem w odpowiednie miejsce, znowu przypomniał sobie, co powiedziała Julie, i śrubokręt wysliznął mu się z palców.

„Było sympatycznie. Świetnie się bawiliśmy”.

Gdy sięgnął po śrubokręt, ten zsunął się głębiej, terkocząc niczym kulka flipera, aż w końcu całkiem zniknął z pola widzenia. Mike pochylił się i chociaż znał ten silnik na wylot, nie miał pojęcia, gdzie mógł wpaść ten cholerny śrubokręt.

Stał, mrugając z niedowierzaniem.

Świetnie, pomyślał Mike, po prostu świetnie. Klucz francuski uwiązał, śrubokręt pochłonęła mechaniczna czarna dziura, a ja nie posunąłem się z robotą. Pracowałem przez godzinę i jeśli dalej tak pójdzie, będę zmuszony złożyć nowe zamówienie u Blaine'a Suttera, przedstawiciela firmy narzędziowej Snap - On.

Musi pogadać z Henrym. To jedyne rozwiązanie, będzie miał to w końcu za sobą.

Cholera.

Mike sięgnął po ścierkę i wycierał ręce, idąc przez warsztat, wściekły, że do tego doszło, i zastanawiając się nad najsprytniejszym sposobem podejścia brata. Zdawał sobie sprawę, że nie może pozwolić, by Henry zorientował się, dlaczego tak bardzo go to interesuje. Najlepiej, żeby temat wypłynął całkiem naturalnie, w przeciwnym razie Henry będzie się na nim wyżywał. Jego brat delectował się takimi chwilami. Prawdopodobnie cały ranek minął mu na obmyślaniu złośliwostek. Z takimi ludźmi jak on pozostawało tylko jedno wyjście - zastosowanie subtelного podstępu. Mike myślał przez moment intensywnie, po czym zajrzał do kantorka Henry'ego.

Brat siedział przy zaśmieconym biurku, składając akurat telefoniczne zamówienie. Przed nim stała torebka z miniaturowymi pączkami i puszka Pepsi. Henry trzymał w szufladzie ukryty zapas niezdrowego jedzenia dla uzupełnienia zdrowych lunchów, które przygotowywała dla niego Emma. Gestem dłoni zaprosił Mike'a do środka. Mike usiadł w fotelu naprzeciwko biurka, właśnie gdy Henry odłożył słuchawkę.

- To diler z Jacksonville - wyjaśnił Henry. - Nie będą mieli w ciągu tygodnia stacyjki, która jest ci potrzebna do volvo. Przypomnij mi, żebyśmy zadzwonił do Evelyn, dobrze?

- Dobrze - odpowiedział Mike.

- No, to w czym rzecz, braciszku?

Oczywiście, Henry domyślał się, o czym Mike chce z nim rozmawiać. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na jego twarz. Mimo że mógł mu powiedzieć od razu, co usłyszał od Mabel, nie uczynił tego. Było coś takiego w widoku wijącego się jak piskorz Mike'a, co zapewniało Henry'emu świetny humor przez resztę dnia.

- Eee... - zaczął Mike - doszedłem do wniosku, że może powinienem zacząć znowu chodzić do kościoła z tobą i całą rodziną.

Henry podrapał się w brodę, myśląc: No, no, to naprawdę oryginalny sposób rozpoczęcia rozmowy. Nie na wiele ci się zda, ale jest zdecydowanie oryginalny.

- Och, doprawdy? - rzekł, ukrywając uśmiech.

- Tak, tak. Nie byłem tam dawno, a z pewnością dobrze mi to zrobi.

Henry pokiwał głową.

- Uhm... może masz rację. Spotkamy się na miejscu czy chcesz, żebyśmy po ciebie wpadli?

Mike poruszył się niespokojnie w fotelu.

- Zanim to ustalimy... chciałbym zasięgnąć języka, jaki jest nowy pastor. To znaczy, czy ludziom podobają się jego kazania. Czy rozmawiają o tym po nabożeństwie?

- Czasami.

- Ale rozmawiają, prawda? Gdy wyjdą z kościoła?

- Jasne, ale sam się o tym przekonasz w niedzielę. Idziemy na dziewiątą.

- Dziewiątą. Dobrze. Jasne. - Mike skinął głową milknąc na chwilę. - No, a na przykład, co mówili ludzie w ostatnią niedzielę?

- Ach, zaraz, zaraz... - Henry bębnił palcami w blat biurka z udawanym skupieniem. - Właściwie to naprawdę nie wiem. Rozmawiałem z Mabel.

Bingo, pomyślał Mike z zadowoleniem. Dokładnie tak, jak sobie zaplanowałem. Jestem mistrzem fortelu.

- Z Mabel? - powtórzył.

Henry sięgnął po pączki. Odgryzając kęs, machnął ręką i odchylił się na oparcie fotela, po czym odpowiedział niewyraźnie, przeżuując:

- Tak. Zwykle chodzi na wcześniejsze msze, ale chyba się wtedy spóźniła. Rozmawialiśmy bardzo długo i dowiedziałem się dużo ciekawych rzeczy. - Przerwał, wlepiając wzrok w sufit i licząc drobne dziurki w kafelkach, po czym wyprostował się i pokręcił głową. - Ale ty przecież nie masz ochoty o tym słuchać. Tematem rozmowy była

randka Julie, a ty już zastrzegłeś, że cię to nie interesuje. No, to mamy wpaść po ciebie w niedzielę czy nie?

Mike, który uświadomił sobie, że jego plan spalił na panewce, potrzebował dobrej chwili, żeby dojść do siebie.

- Eee... cóż...

Henry nie spuszczał z niego wzroku, w oczach zapalały mu się prowokacyjne błyski.

- Chyba że, oczywiście, zmieniłeś zdanie.

Mike zbladł.

- Uhm...

Henry roześmiał się. Zabawił się już kosztem brata i choć czerpał z tego nie lada przyjemność, wiedział, że pora przestać. Z całą powagą pochylił się i powiedział:

- Odpowiedz mi na jedno pytanie. Dlaczego z uporem udajesz, że nie chcesz umówić się z Julie?

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - odparł automatycznie Mike. Henry nie przyjął do wiadomości tej odpowiedzi.

- To z powodu Jima?

Gdy brat milczał, Henry odłożył pączek.

- Od jego śmierci upłynęło wiele czasu. Nie próbujesz ukraść mu żony.

- To dlaczego sugerujesz swoim zachowaniem, że nie powinienem się z nią umawiać? Tak jak zeszłego lata na łodzi?

- Ponieważ Julie potrzebowała czasu, Mike. Dobrze o tym wiesz. Rok temu czy nawet pół roku temu nie była jeszcze gotowa, żeby zacząć spotykać się z mężczyznami. Teraz już jest.

Postawiony w niezręcznej sytuacji Mike nie był pewien, co odpowiedzieć. Kompletnie nie rozumiał, skąd Henry tak dużo wie.

- To nie takie łatwe - rzekł wreszcie.

- Pewnie, że nie. Czy sądzisz, że łatwo mi było poprosić Emmę pierwszy raz o spotkanie? Wielu facetów chciało się z nią umówić, ale pomyślałem, że najgorsze, co może się zdarzyć, to że mi odmówi.

- Daj spokój, Emma zwierzyła mi się, że zwróciła na ciebie uwagę, zanim jeszcze zaproponowałaś jej randkę. Byliście sobie przeznaczeni.

- Ale ja o tym nie miałem pojęcia. W każdym razie nie wtedy. Wiedziałem tylko, że muszę stanąć na głowie.

Mike popatrzył bratu prosto w oczy.

- Ona nie była żoną twojego najlepszego przyjaciela.

- Nie - zgodził się Henry - nie była. Ale też nie byliśmy wcześniej przyjaciółmi, tak jak ty i Julie.

- Dlatego to jest takie trudne. A jeśli to zmieni wszystko między nami?

- To się już zmienia, braciszku.

- Właściwie nie.

- Ależ tak, tak. W przeciwnym razie nie musiałbyś mnie pytać, jak udała jej się randka, prawda? Julie opowiedziałaby ci sama. Czy nie zdawała ci dokładnych relacji ze spotkań z Bobem?

Mike nie znalazł na to odpowiedzi, gdy jednak po chwili wyszedł z kantorka, uprzytomnił sobie, że brat ma rację.

ROZDZIAŁ 4

Śpiewak uniósł głowę z koca, gdy tylko Richard wszedł do salonu. Zawarczał, dźwięk jednak był stłumiony, jak gdyby pies bał się, że Julie znowu go skarci.

- Witaj, złotko. Przyszedłeś znowu się ostrzyć? - spytała z uśmiechem Andrea.

Richard miał na sobie dżinsowe spodnie i taką samą koszulę, rozpiętą pod szyją, tak że widać było kędzierzawe włosy na jego klatce piersiowej. I te oczy.

- Będę wolna za parę minut. Richard pokręcił głową.

- Nie, dziękuję - odparł. - Czy zastałem Julie? Uśmiech zniknął z warg Andrei. Zrobiła balonik z gumy do żucia, strzeliła z niego i kiwnęła głową w stronę zaplecza.

- Jest tam - odpowiedziała z nadąsaną miną.

Mabel, która usłyszała dźwięk dzwoneczka zawieszzonego na drzwiach, wyszła z za przepierzenia.

- Ach... Richard, prawda? Jak się pan miewa? - spytała.

Richard splótł dłonie przed sobą. Poznał ją. Siedziała w sobotę przy sąsiednim stoliku w restauracji i chociaż miała raczej sympatyczną minę, Richard czuł, że wciąż go ocenia. Małe miasteczka są wszędzie takie same.

- Dziękuję, świetnie. A pani?

- Dobrze. Julie zjawi się za chwilę. Właśnie sadza klientkę pod suszarką, ale powiem jej, że pan przyszedł.

- Dziękuję.

Mimo że Richard był odwrócony do Andrei tyłem, wiedział, że dziewczyna nie spuszcza z niego wzroku. Szałowa babka, tak określiłaby ją większość mężczyzn, ale na Richardzie wcale nie zrobiła takiego wrażenia. Pomyślał, że jej atrakcyjny wygląd jest jakiś wymuszony, jak gdyby Andrea za bardzo się starała. Podobały mu się kobiety, które wyglądały zdrowo, tak jak Julie.

- Richard? - spytała w chwilę później Julie. Uśmiechnęła się pod wrażeniem jego męskiej urody.

Śpiewak wstał z koca i powoli podszedł do niej, ale Julie podniosła dłoń, zatrzymując go. Pies zastygł w bezruchu i przestał warczeć.

- Witaj - powiedział Richard. - Chyba zaczął się do mnie przyzwyczajać, prawda?

Julie popatrzyła na Śpiewaka.

- On? Och, odbyliśmy poważną rozmowę. Myślę, że teraz wszystko już będzie dobrze.

- Rozmowę?

- Jest zazdrosny.

- Zazdrosny?

- Musiałbyś z nim mieszkać, żeby zrozumieć - odparła Julie, wzruszając ramionami.

Richard uniósł brwi, ale pozostawił tę uwagę bez komentarza.

- Co tutaj robisz? - spytała Julie.

- Pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, co u ciebie słysząc.

- Wszystko w porządku, ale mam sporo roboty. Od samego rana był duży ruch. A ty dlaczego nie jesteś w pracy?

- Jestem. Przynajmniej w pewnym sensie. Stanowisko doradcy technicznego daje mi odrobinę swobody, postanowiłem więc wpaść do miasta.

- Tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć?

- Nie potrafiłem myśleć o niczym innym.

- Świetnie się bawiłam w sobotę wieczorem - powiedziała Julie z uśmiechem.

- Ja również. - Richard powiódł spojrzeniem od Mabel do Andrei i chociaż obie były pozornie zajęte swoimi sprawami, wiedział, że podsłuchują ich rozmowę. - Czy nie mogłabyś zrobić sobie króciutkiej przerwy, żebyśmy spokojnie porozmawiali na dworze? Dzwoniłem wcześniej, ale cię nie było.

- Bardzo bym chciała, ale mam klientkę.

- To zajmie tylko chwilę.

Julie zawahała się, spoglądając na zegar.

- Obiecuję - dodał Richard. - Wiem, że pracujesz.

Oceniła szybko, że ma jakieś kilka minut.

- No dobrze - zgodziła się - ale naprawdę tylko na chwilę. Inaczej ja spędzę resztę dnia na utrwalaniu koloru, a ty będziesz miał krechę. Zaczekaj moment, zajrzę tylko do niej, dobrze?

- Jasne.

Julie zajrzała do klientki, która miała robione pasemka, w związku z czym jej głowę okrywał plastikowy perforowany czepek. Pasemka włosów, powyciągane przez otworki, pokrywała warstwa fioletowej mazi. Julie sprawdziła kolor, włączyła suszarkę na „min.”, zyskując w ten sposób dodatkowe parę minut, i wróciła do głównego pomieszczenia.

- Już w porządku - powiedziała, kierując się do drzwi. - Jestem gotowa.

Richard wyszedł za nią. Drzwi zatrzasnęły się za nimi, rozległ się znowu brzęk dzwonka.

- To o czym chciałeś porozmawiać? Richard wzruszył ramionami.

- O niczym ważnym, serio. Chciałem po prostu mieć cię tylko dla siebie.
- Żartujesz.
- Ani mi to przez myśl nie przeszło.
- Ale dlaczego?
- Jezu - odparł niewinnym tonem - naprawdę nie miałem pojęcia.
- Znalazłam kartkę od ciebie. Nie musiałeś tego robić. Wiem o tym, ale chciałem.
- Po to dzwoniłeś dzisiaj rano do salonu? Żeby dowiedzieć się, czy ją znalazłam?
- Nie. Chciałem po prostu usłyszeć twój głos, odświeżyć przyjemne wspomnienia.
- Już?
- Jestem pod twoim urokiem.

Julie spojrzała na niego, myśląc, że miło zaczynać dzień od słuchania komplementów.

- Prawdę mówiąc, poza chęcią zobaczenia się z tobą mam jeszcze jeden powód, dla którego przyjechałem.

- Ach, rozumiem. Teraz, gdy już mi się podliziałeś, prawda wychodzi na jaw, co?

Richard wybuchnął śmiechem.

- Coś w tym rodzaju. Prawda jest taka, że zamierzałem się przekonać, czy zechcesz umówić się ze mną również w tę sobotę.

Julie przypomniała sobie z ukłuciem w sercu, że w sobotę jest zaproszona na kolację do Emmy i Henry'ego, na której będzie również Mike.

- Bardzo bym chciała, ale przyjaciele zaprosili mnie do siebie. Może spotkamy się w piątek? Albo któregoś innego dnia w tygodniu?

Richard pokręcił przecząco głową.

- Przykro mi, ale nie mogę. Dziś wieczorem wyjeżdżam do Cleveland i wracam dopiero w sobotę. Dowiedziałem się też, że może nie być mnie w mieście również w następny weekend. Nie mam całkowitej pewności, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że będę musiał wyjechać. - Umilkł. - A tobie nie uda się jakoś wykręcić?

- Naprawdę nie mogę - odrzekła Julie, żałując, że musi wypowiedzieć te słowa. - To bliscy przyjaciele. Sprawiałabym im wielką przykrość, psując im plany w ostatniej chwili.

Na moment twarz Richarda przybrała trudny do rozszyfrowania wyraz, który jednak zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- W porządku - odezwał się w końcu.
- Przykro mi. - Julie miała nadzieję, że Richard wierzy, iż jest to szczerą prawdą.
- Och, nie przejmuj się. - Zapatrzył się na jakiś niewidoczny punkt w oddali, potem jego spojrzenie spoczęło na Julie. - Zdarza się. Nie ma sprawy. Chyba pozwolisz, żebym

zadzwoił do ciebie za dwa tygodnie? To znaczy, kiedy wrócę? Może wtedy uda nam się spotkać.

Za dwa tygodnie?

- Zaczekaj - powiedziała Julie. - Możesz przecież pójść na tę kolację ze mną. Jestem pewna, że moi przyjaciele nie będą mieli nic przeciwko temu.

Richard pokręcił przecząco głową.

- Nie. To twoi przyjaciele, a ja nie czuję się szczególnie dobrze, poznając nowych ludzi. Zawsze taki byłem... to chyba nieśmiałość... a poza tym nie chcę, żebyś musiała zmieniać plany. - Uśmiechnął się, kiwnąwszy głową w stronę salonu. - Posłuchaj, obiecałem ci, że nie będę cię zatrzymywał, a jestem facetem, który dotrzymuje słowa. Zresztą ja też muszę wracać do pracy. - Znowu się uśmiechnął. - A tak przy okazji, wyglądasz wspaniale.

Gdy Richard odwrócił się, ruszając przed siebie, Julie zawołała, zanim zdołała się powstrzymać:

- Poczekaj! Mężczyzna przystanął.

- Słucham?

Zrozumieją, prawda? - zadała sobie w myśli pytanie.

- Skoro nie będzie cię w mieście w przyszłym tygodniu, może uda mi się zmienić plany. Porozmawiam z Emmą. Jestem pewna, że się nie obrazi.

- Nie chcę, żebyś przeze mnie odwoływała umówione spotkanie.

- To nic takiego... Spotykamy się często.

- Jesteś pewna? - spytał. Tak, jestem pewna.

Popatrzył jej głęboko w oczy, jak gdyby zobaczył ją po raz Pierwszy w życiu.

- To cudownie... - powiedział i zanim zdała sobie sprawę, co się dzieje, pochylił się i ją pocałował.

Niezbyt mocno, niezbyt długo, ale pocałował.

- Dziękuję - rzekł szeptem.

Zanim w ogóle pomyślała, jak ma zareagować, Richard odwrócił się i odszedł. Julie patrzyła za nim bez słowa.

* * *

- Tak po prostu ją pocałował? - spytał Mike, otwierając usta ze zdumienia.

Gdy wcześniej stał w otwartych drzwiach warsztatu, zobaczył Richarda, idącego ulicą. Patrzył, jak znika w drzwiach salonu, a następnie wychodzi z niego razem z Julie. Henry dołączył do brata w chwili, gdy Richard pochylał się, by pocałować Julie.

- Na to mi wyglądało - odparł Henry.
- Przecież nawet się nie znają.
- Teraz już się znają.
- No, super, Henry. Dzięki tobie poczułem się o wiele lepiej.
- Wolałbyś, żebym skłamał?
- Teraz chyba tak - mruknął pod nosem Mike.
- Dobra - zgodził się Henry, zastanawiając się nad tym, co ma powiedzieć. - Ten facet jest brzydki jak noc.

Słyszając słowa Henry'ego, Mike złapał się za głowę.

* * *

Julie wróciła do salonu i zajęła się klientką.

- Już myślałam, że zapomniałaś o mnie - poskarżyła się kobieta, odkładając czasopismo.

Julie sprawdziła kolor na kilku pasmach włosów.

- Przepraszam, ale patrzyłam na zegarek. Ciągle jeszcze zostało ci kilka minut. Chyba że chcesz takie ciemne.

- Powinny być jaśniejsze, prawda?

- Tak myślę.

Kobieta rozwodziła się dalej nad kolorem, jaki pragnęła uzyskać. Chociaż Julie słyszała jej głos, nie koncentrowała się na słowach. Myślała o Richardzie i o tym, co zdarzyło się przed chwilą na ulicy.

Pocałował ją.

Nic wielkiego, oczywiście, się nie stało, a jednak z jakiegoś powodu nie mogła przestać o tym myśleć ani sama nie potrafiła połapać się w swoich odczuciach. Sposób, w jaki to zrobił, był taki... taki... właśnie, jaki?

Bezczelny? Zaskakujący?

Gdy Julie podeszła do umywalki po odpowiedni szampon, wciąż bezskutecznie usiłując określić własne uczucia, zbliżyła się do niej Mabel.

- Czy ja przed chwilą widziałam to, co widziałam? - spytała. - Pocałowałaś go?

- Prawdę mówiąc, to on mnie pocałował.

- Nie wydajesz się szczególnie szczęśliwa z tego powodu.

- Nie jestem pewna, czy słowo „szczęśliwa” jest w tym przypadku odpowiednie.

- Dlaczego?

- Nie wiem - odrzekła Julie. - To było takie... - Julie umilkła, nadal nie znajdując właściwego określenia.

- Nieoczekiwane? - podpowiedziała Mabel.

Julie zastanawiała się. Chociaż gest Richarda był raczej zbyt śmiały, nie odniosła wrażenia, że posunął się za daleko. I naprawdę się jej podobał, chętnie zgodziła się na kolejne spotkanie, toteż „zaskoczenie” nie było tu chyba właściwym określeniem. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że gdyby zachował się w ten sposób po ich kolejnej randce, w przyszłą sobotę, prawdopodobnie nie miałyby żadnych zastrzeżeń. Wtedy poczułaby się urażona, gdyby nie próbował jej pocałować.

Dlaczego więc czuła się tak, jak gdyby właśnie przekroczył pewną granicę, nie pytając jej najpierw o zgodę?

- Chyba tak - odrzekła, wzruszając ramionami. Mabel przyjrzała jej się badawczo.

- Cóż, powiedziałabym, że oznacza to, iż bawił się równie dobrze jak ty - zauważyła. - Prawdę mówiąc, nie jestem wcale tak bardzo zaskoczona. Najwyraźniej ostro się do ciebie zaleca.

Julie pokiwała wolno głową.

- Chyba tak - powtórzyła.

- Chyba?

- Zostawił mi też kartkę na werandzie. Znalazłam ją dzisiaj rano.

Mabel uniosła brwi.

- Nie uważasz, że to trochę za szybko? - spytała Julie. - Zważywszy na to, że dopiero go poznałam?

- Niekoniecznie.

- Ale możliwe?

- Och, nie wiem. Może być typem faceta, który wie, czego chce, i kiedy już to znajdzie, idzie na całość. Spotkałam wielu takich mężczyzn. Mają swój wdzięk, a ty jesteś łakomym kąskiem.

Julie uśmiechnęła się.

- Albo też - dodała Mabel z wystudiowanym wzruszeniem ramion - może być stuknięty.

- Wielkie dzięki.

- Nie ma za co. Tak czy owak, mogę tylko powiedzieć witaj z powrotem we wspaniałym świecie randek. Tak jak mówię wszystkim, to się nigdy nie nudzi, prawda?

* * *

Już dawno Richard nie śmiał się głośno, a w kabinie samochodu jego śmiech wydawał się jeszcze głośniejszy.

„Jest zazdrosny” - powiedziała Julie o swoim psie. Jak gdyby naprawdę wierzyła, że Śpiewak jest zdolny do ludzkich uczuć. Rozczulające.

Spędzili razem wspomniały wieczór. Rzecz jasna, było mu przyjemnie w jej towarzystwie, ale najbardziej podziwiał w niej odporność. Miała ciężkie życie i większość osób w jej sytuacji nosiłaby piętno gorzkości lub gniewu, on jednak nie zauważył nawet ich śladu podczas randki.

Była też urocza. Sposób, w jaki się do niego uśmiechała niemal dziecięcym podnieceniem, rozterka malująca się na jej twarzy, gdy biła się z myślami, czy odwołać spotkanie z przyjaciółmi... odniósł wrażenie, że mógłby przyglądać się jej godzinami i nigdy nie miałby dość.

„Świetnie się bawiłam w sobotę wieczorem” - przyznała.

On też odniósł takie wrażenie, ale musiał zobaczyć ją dzisiaj, żeby się upewnić. Pamięć może płatać różne figle nazajutrz po randce, wiedział to dobrze. Pytania, obawy, niepokój... Czy powinien był zrobić to, powiedziec tamto? Wczoraj rekapitulował w pamięci ich spotkanie, szczegół po szczególe, przypominał sobie każdą minę Julie i próbował odkryć podteksty w wypowiedzianych przez nią zdaniach, które sugerowałyby, że zrobił coś niewłaściwego. Leżał z otwartymi oczyma, nie mogąc zasnąć, aż wreszcie wstał, napisał kartkę i podrzucił ją na werandę, żeby Julie znalazła ją rano.

Nie miał jednak powodu do zmartwienia. Oboje bawili się dobrze - nie, nawet świetnie. Śmieszne, że w ogóle przeszło mu przez myśl, że mogło być inaczej.

Zadzwoił jego telefon komórkowy i Richard sprawdził na wyświetlaczu, kto dzwoni.

Blansen z pracy. Brygadzysta, który bez wątpienia ma do przekazania złe wiadomości o niedotrzymaniu harmonogramu lub o przekroczeniu kosztów. O opóźnieniach. Blansen zawsze przekazywał złe wiadomości. Zwiastun złych wieści. Przygnębiający. Twierdzi, że troszczy się o swoich pracowników, ale tak naprawdę oznacza to, że nie chce, żeby się przepracowywali.

Zamiast odebrać telefon, wyczarował znowu w wyobraźni obraz Julie. Musiało maczać w tym palce przeznaczenie, że spotkał ją w taki sposób. Tamtego ranka mógł być w tysiącu innych miejsc. Strzyżenie nie było jeszcze na razie konieczne, a on wszedł do salonu, jak gdyby popychany jakąś niewidzialną siłą Przeznaczenie.

Telefon zadzwonił znowu.

Tak, randka naprawdę się udała, ale pozostaje jedna rzecz. Dzisiaj, pod koniec dnia...

Może nie powinien był jej pocałować. Wcale tego nie planował, ale był taki uszczęśliwiony, gdy postanowiła odwołać umówione spotkanie z przyjaciółmi, żeby go znowu zobaczyć... po prostu stało się. Zaskoczyło ich oboje. Czy to nie za wiele, nie za szybko?

Tak, pomyślał, chyba się pośpieszyłem. Żałował tego. W tych sprawach nie należy się śpieszyć. Następnym razem, gdy się z nią spotka, zwolni tempo. Da jej trochę swobody, pozwoli, żeby sama wyrobiła sobie o nim zdanie, bez żadnej presji. W naturalny sposób.

Komórka zadzwoniła po raz trzeci, on jednak nadal nie odbierał telefonu. Odtworzył jeszcze raz w pamięci tamtą scenę.

Uroczą.

ROZDZIAŁ 5

W sobotę przy kolacji Richard przyglądał się Julie ponad stołem, lekki uśmiech błąkał mu się po wargach.

- Do czego się uśmiechasz? - spytała.

Richard otrząsnął się z zamyślenia, wyglądał na zmieszanego.

- Przepraszam. Pograżyłem się na chwilę w marzeniach.

- Jestem taka nudna?

- Ani trochę. Po prostu cieszę się, że mogłaś przyjść tutaj dzisiaj ze mną. - Podniósł chusteczkę i wytarł delikatnie kąciki ust. - Czy mówiłem ci, jak ślicznie wyglądasz? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Kilkanaście razy.

- Chcesz, żebym przestał?

- Nie. Możesz mnie nazwać dziwaczką, ale nawet podoba mi się życie na piedestale.

Richard roześmiał się.

- Uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię tam zatrzymać.

Byli w „Pagini”, przytulnej restauracji w Morehead City, pachnącej masłem topionym ze świeżymi przyprawami, takiej, gdzie kelnerzy noszą czarno - białe stroje, a dania przyrządzane są często obok przy stoliku. Chardonnay chłodziło się w kubku z lodem. Kelner nalał dwa kieliszki złocistego płynu, połyskującego w przyćmionym świetle. Richard przyjechał po Julie, ubrany w Inianą marynarkę, trzymając w ręku bukiet róż. Pachniał delikatnie wodą kolońską.

- Opowiedz mi, jak minął ci tydzień. Co się zdarzyło interesującego, gdy mnie nie było?

- Chodzi ci o pracę?

- Pracę, życie, wszystko. Chciałbym po prostu wiedzieć.

- To raczej ja powinnam ci zadać to pytanie.

- Dlaczego?

- Ponieważ - odparła Julie - moje życie nie jest ekscytujące. Przypominam ci, że pracuję w salonie piękności w małym południowym miasteczku. - Mówiła to z ożywieniem, pogodnie, jak gdyby nie chciała dopuścić, żeby jej współczuł. - Poza tym uświadomiłam sobie przed chwilą, że niewiele o tobie wiem.

- Ależ wiesz.

- Nie, nie. Mało mi o sobie opowiedziałaś. Nie wiem nawet, czym się właściwie

zajmujesz.

- Wspominałem ci przecież, że jestem konsultantem, prawda?

- Tak, ale nie wdawałeś się w szczegóły.

- To dlatego, że moja praca jest nudna.

Julie zrobiła powątpiewającą minę i Richard zastanawiał się przez chwilę.

- No, dobrze... co ja robię... - Umilkł. - No więc jestem facetem, który działając zakulisowo, pilnuje, żeby most się nie zawalił.

- To nie jest nudne.

- W zawołany sposób staram ci się uświadomić, że mam na co dzień do czynienia z liczbami. Prawdę mówiąc, większość ludzi uważa takich facetów jak ja za durniów.

Obrzuciła go spojrzeniem, myśląc: Bardzo wątpię.

- I tego właśnie dotyczyło spotkanie?

- Jakie spotkanie?

- To w Cleveland.

- Ach... nie - odparł, kręcąc głową. - Nasza firma staje do przetargu na kolejny projekt na Florydzie i czeka nas mnóstwo pracy: planowanie kosztów, projektowanie ruchu, spodziewane obciążenie, i tak dalej, i tak dalej. Mają, oczywiście, własnych ludzi, ale zatrudniają konsultantów takich jak ja, żeby zyskać pewność, iż wszystko przejdzie bez problemów przez rządowy system przetargowy. Nie uwierzyłabyś, jak wiele pracy trzeba, żeby przygotować projekt. Jestem odpowiedzialny za wycinkę rozległych obszarów leśnych, za papierkową robotę, której wymaga rząd, i obecnie trochę mi brakuje personelu.

Julie przyglądała mu się w przyćmionym świetle restauracji. Twarz o ostrych rysach, surowa i chłopięca zarazem, nasuwała jej skojarzenie z mężczyznami z reklam papierosów. Bezskutecznie natomiast próbowała wyobrazić sobie, jak mógł wyglądać jako dziecko.

- Co robisz w wolnym czasie? Mam na myśli twoje zainteresowania.

- Raczej niewiele. Pomiędzy pracą a próbami utrzymania się w formie nie mam zbyt wiele czasu na cokolwiek innego. Bawiłem się trochę fotografią. Zapisalem się na kilka kursów w college'u i przez pewien czas zastanawiałem się poważnie, czy nie zająć się nią zawodowo. Kupiłem nawet sprzęt. Nie jest to jednak łatwy sposób płacenia rachunków, chyba że chce się otworzyć atelier, a ja nie miałem ochoty spędzać weekendów, robiąc zdjęcia podczas ślubu i bar micwy albo dzieciakom zaciągniętym do fotografa na siłę przez rodziców.

- Wobec tego zostałeś inżynierem.

Richard skinął twierdząco głową. Na chwilę oboje umilkli, Julie podniosła do ust kieliszek z winem.

- Pochodzisz z Cleveland? - spytała.

- Nie. Nie mieszkałem w Cleveland aż tak długo. Załedwie rok czy coś koło tego. Dorastałem w Denver i tam spędziłem większość mojego życia.

- Co robili twoi rodzice?

- Ojciec pracował w zakładach chemicznych, a mama była po prostu mamą. W każdym razie z początku. No wiesz... zawsze w domu, gotowała obiady, utrzymywała porządek, była pracowita jak mrówka. Po śmierci ojca musiała zatrudnić się w charakterze służącej. Nie zarabiała wiele, ale udawało jej się jakoś nas utrzymać. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak sobie radziła.

- Jest chyba niezwykłą kobietą.

- Była.

- Była?

Pochylił głowę, obracając w palcach kieliszek z winem.

- Kilka lat temu miała wylew i... cóż, jest niedobrze. Słabo orientuje się w tym, co dzieje się wokół niej, i w ogóle mnie nie pamięta. Prawdę mówiąc, nie pamięta niczego. Musiałem umieścić ją w placówce w Salt Lake City, która specjalizuje się w takich przypadkach.

Julie zmarszczyła brwi. Widząc jej minę, Richard pokręcił głową.

- W porządku. Nie wiedziałaś. Jeśli mam być szczery, zwykle nie lubię o tym rozmawiać. Rozmowy kończą się wtedy szybko, ponieważ ludzie czują się skrępowani, zwłaszcza gdy usłyszą, że mój ojciec również nie żyje. Zmusza ich to do zastanowienia się, jak to jest, kiedy człowiek nie ma rodziny. Ale chyba nie muszę ci tego wyjaśniać, prawda?

Nie, pomyślała Julie, nie musisz. Znam to dobrze z własnego doświadczenia.

- To dlatego wyjechałeś z Denver? Z powodu twojej mamy?

- To tylko jeden z powodów. - Odwrócił wzrok, zanim spojrzał jej znowu w oczy. - Myślę, że nadszedł czas, żeby powiedzieć ci, że byłem kiedyś żonaty. Moja żona miała na imię Jessica. Wyjechałem również z jej powodu.

Julie, choć była lekko zaskoczona, że nie wspomniał o tym wcześniej, powstrzymała się od uwag. Czuła, że Richard waha się, czy ciągnąć ten temat, w końcu jednak powiedział obojętnym tonem:

- Nie wiem, co było nie tak. Całymi nocami rozmawiałem o tym i usiłowałem zrozumieć, ale szczerze mówiąc, nie udało mi się. Po prostu nam nie wyszło.

- Jak długo byliście małżeństwem?

- Cztery lata. - Ich spojrzenia spotkały się nad stołem. - Naprawdę chcesz o tym

słuchać?

- Nie, jeśli nie chcesz o tym mówić.

- Dziękuję - rzekł, oddychając z ulgą i śmiejąc się nerwowo. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że mnie z tego zwolniłaś.

- No więc mówimy o Cleveland, tak? - powiedziała z uśmiechem Julie. - Podoba ci się tam?

- Owszem, ale nie spędzam tam dużo czasu. Zwykle jestem na budowie, tak jak teraz. Nie mam pojęcia, dokąd pojedę, kiedy zakończymy projekt.

- Czasami bywa to pewnie męczące.

- Tak, czasami, zwłaszcza gdy jestem skazany na hotele. Ten projekt mi się podoba, ponieważ zatrzymam się tutaj przez dłuższy czas. Udało mi się wynająć dom. No i, oczywiście, miałem okazję poznać ciebie.

Podczas rozmowy z Richardem Julie uderzyło to, że życie ich obojga biegło podobnym torem - począwszy od tego, że w dzieciństwie wychowywały ich samotne matki, a skończywszy na decyzji, by rozpocząć życie od początku w zupełnie nowym miejscu. I chociaż ich małżeństwa zakończyły się całkiem inaczej, coś w tonie mężczyzny nasuwało myśl, że to on został porzucony i że w rezultacie to on walczył z uczuciem straty. Podczas swego całego pobytu w Swansboro Julie nie spotkała nikogo, kto potrafiłby zrozumieć, jak samotna czuła się niekiedy, zwłaszcza w okolicy świąt, kiedy Mike i Henry wspominali, że jadą odwiedzić rodziców albo Mabel wybierała się do Charlestonu, żeby spędzić trochę czasu z siostrą.

Richard natomiast wiedział dobrze, jak to jest, i w Julie rosło coraz bardziej poczucie wspólnoty, jakie staje się, na przykład, udziałem ludzi, którzy będąc w restauracji za granicą, odkrywają nagle, że goście przy sąsiednim stoliku pochodzą z miasta w ich ojczystym kraju.

Robiło się coraz później, na granatowym niebie rozbłysły gwiazdy. Ani Julie, ani Richard nie śpieszyli się. Na zakończenie posiłku zamówili kawę i jedną porcję placka z limonką i jedli go, odkrawając z obu stron, aż pozostał tylko wąski pasek ciasta, którego żadne z nich nie tknęło.

Gdy wreszcie wyszli z restauracji, na dworze było nadal ciepło. Julie spodziewała się, że Richard weźmie ją za rękę lub poda jej ramię, on jednak tego nie uczynił. W głębi duszy zastanawiała się, czy powstrzymuje się od tego, ponieważ wyczuł, że zaskoczył ją pocałunkiem na początku tygodnia, czy też jego samego zdziwiło to, że opowiedział o swojej przeszłości. Pomyślała, że jest wiele spraw do przemyślenia. Nowinka o tym, że był kiedyś żonaty, pojawiła się ni stąd, ni zowąd i Julie zastanawiała się, dlaczego Richard nie

wspomniał o tym na pierwszej randce, kiedy powiedziała mu o Jimie.

Nie szkodzi. Przecież ludzie reagują różnie, kiedy dochodzi do rozmów o przeszłości. W każdym razie teraz będą ze sobą bardziej swobodni. Julie zdała sobie sprawę, że ta randka sprawiła jej nie niniejszą przyjemność od poprzedniej. Było miło - wprawdzie ziemia nie zdrząła, ale było zdecydowanie miło. Gdy przystanęli przed przejściem dla pieszych, Julie spojrzała na Richarda. Lubię go, pomyślała. Nie szaleję na jego punkcie, nie będzie mi trudno rozstać się z nim po randce, ale lubię go. A to mi na razie absolutnie wystarczy.

- Lubisz tańczyć? - spytała.

- A co? Chciałabyś gdzieś pójść?

- Jeśli czujesz się na siłach.

- Och, nie wiem. Nie jestem szczególnie dobrym tancerzem.

- Daj spokój - powiedziała Julie. - Znam świetne miejsce.

- Jesteś pewna, że nie chcesz pospacerować tutaj? Na pewno znajdziemy jakiś lokalik, gdzie dostaniemy drinka.

- Siedzieliśmy tyle godzin. Chętnie bym się trochę zabawiła.

- To znaczy, że do tej pory wieczór był dla ciebie nudny? - spytał Richard, udając urażonego. - A ja tak świetnie się bawiłem.

- Wiesz doskonale, co mam na myśli. Jeśli ma ci to poprawić humor, to wyznam, że ja również nie jestem najlepszą tancerką, obiecuję więc, że nie pisnę, jeśli nastąpisz mi na palce. Postaram się nawet nie skrzywić.

- Będiesz cierpiała z uśmiechem na ustach?

- Taka już jest dola kobiety.

- No dobrze - zgodził się - ale trzymam cię za słowo. Julie roześmiała się, wskazując głową jego samochód.

- Idziemy.

Richarda zachwycił dźwięk jej śmiechu, który usłyszał po raz pierwszy tego wieczoru.

Jest ostrożna, pomyślał. Jeden pocałunek i wydaje się stawiać pod znakiem zapytania wszystko. Gdy jednak oddać jej inicjatywę, zastrzeżenia znikają. Wiedział, że Julie próbuje go rozgryźć, usiłując dopasować jego opowieść do żywego człowieka. Bez wątplenia jednak na jej twarzy odmalowała się sympatia w chwili, gdy uświadomiła sobie, jak są podobni.

ROZDZIAŁ 6

„Sailing Clipper” był knajpką typową dla małych nadbrzeżnych miasteczek. Słabo oświetlony, przesycony wonią stęchlizny oraz zastałego dymu papierosowego i alkoholu, cieszył się popularnością wśród robotników, którzy tłoczyli się przy barze, wlewając w siebie hektolitry budweisera. W drugim końcu sali znajdowało się podium dla orkiestry, górujące nad nieco wypaczonym parkietem, który rzadko pustoszał, gdy grały rozmaite zespoły. Kilkadziesiąt stolików z powycinanymi inicjałami prawie wszystkich, którzy kiedykolwiek przeszli przez drzwi baru, rozstawiono chaotycznie po całej sali, a wokół nich krzesła nie od kompletu.

Zespół Ocracoke Inlet często występował w „Clipper”. Jego właściciel, mężczyzna bez jednej nogi, któremu goście nadali przyzwisko Kulawy Joe, lubił tę kapelę, ponieważ grała kawałki, które wprawiały ludzi w dobry nastrój. Dzięki nim mieli ochotę posiedzieć dłużej w barze, zamawiając alkohol w dużych ilościach. Nie grywali niczego oryginalnego, niczego szokującego, raczej to, co można było znaleźć w szafach grających jak kraj długi i szeroki. Mike uważał, że właśnie dlatego ludzie ich tak bardzo lubią. Naprawdę ich lubią. Gdy występowali, do baru zwały się tłumy. Jednak ani razu nie zaprosili Mike'a do wspólnego występu, mimo że prawie ze wszystkimi był po imieniu. Chociaż był to zespół drugorzędny, myśl o tym go przygnębiała.

Zresztą cały wieczór był przygnębiający. Do diabła, prawdę mówiąc, me tylko ten wieczór, ale cały tydzień. Już od poniedziałku, kiedy Julie wpadła po swoje kluczyki i mimochodem (mimochodem!) wspomniała, że umówiła się w sobotę z Richardem zamiast spędzić wieczór z nimi, Mike wpadł w popłoch. Prawie bez przerwy mamrotał sam do siebie pod nosem o tym, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie, tak że dwóch klientów nawet poskarżyło się Henry'emu. Co gorsza, przez resztę tygodnia nie potrafił zdobyć się na śmiałość, żeby porozmawiać z Julie, wiedząc, że jeśli to uczyni, będzie chciała za wszelką cenę wyciągnąć z niego, co go trapi. Nie był gotów na to żeby powiedzieć jej prawdę, ale gdy przechodziła codziennie obok warsztatu, za każdym razem uświadamiał sobie, że nie ma pojęcia, co począć w tej sytuacji.

Owszem, Henry oraz Emma byli wspaniali i bardzo lubił spędzać z nimi czas - ale bądźmy szczerzy - takiego wieczoru jak ten Mike czuł się niczym piąte koło u wozu w ich małej grupce. Każde z nich miało do kogo wracać do domu, gdy tymczasem Mike był sam jak palec, jeśli nie liczyć myszy, czmychającej sporadycznie przez kuchnię. Każde miało też partnera do tańca, natomiast Mike siedział przez połowę czasu przy stoliku sam, obdzierając

nalepki z butelek z piwem. Gdy Emma prosiła go do tańca, zresztą dzisiaj wyjątkowo regularnie, Mike prowadził ją na parkiet z nisko zwieszoną głową, mając nadzieję, że nikt nie zauważy, iż tańczy z bratową. Czuł się, jak gdyby matka zaproponowała mu, że pójdzie z nim na bal na zakończenie roku szkolnego, ponieważ nie potrafił znaleźć partnerki.

Plany na dzisiejszy wieczór były zupełnie inne. To Julie miała z nim tańczyć, uśmiechać się do niego nad szklaneczką z drinkiem, śmiać się i flirtować. I byłaby z nimi, gdyby nie Richard.

Richard.

Nienawidził tego faceta.

Nie znał go. Nie chciał go poznać. Nieważne. Na samą myśl o nim nachmurzył się i z taką nachmurzoną miną siedział już Przez cały wieczór.

Obserwując bacznie brata, Henry dopił ostatnią butelkę Coors i odstawił ją na bok.

- Chyba powinienes dać sobie spokój z tym tanim piwem, które żłopiesz - zauważył Henry. - Wygląda na to, że nieźle idzie ci do głowy.

Mike zwrócił na niego wzrok. Henry uśmiechnął się znacząco, sięgając po piwo Emmy. Wyszła do toalety i biorąc nawet pod uwagę kolejkę tworzącą się przed nią z powodu tłoku, Henry zdawał sobie sprawę, że żona może zaraz wrócić. Zamówił następną butelkę, żeby ją zamienić.

- Piję to samo świństwo co ty.

- To prawda - rzekł Henry - ale musisz mieć świadomość, że niektórzy mężczyźni radzą sobie z tym lepiej niż inni.

- Tak, tak... mów dalej.

- No, no, coś humorek nam dzisiaj nie dopisuje - zauważył Henry.

- Dogryzasz mi przez cały wieczór.

- Zasłużyłeś na to, biorąc pod uwagę twoje zachowanie. Zjedliśmy pyszną kolację, niemal prześcigałem się w dowcipach, Emma starała się, jak mogła, żebyś nie siedział sam przy stoliku niczym ofiara, którą dziewczyna właśnie wystawiła do wiatru.

- To nie jest śmieszne.

- Wcale nie miało być. Mówię prawdę. Traktuj mnie jak swój prywatny krzak gorejący. Kiedy masz wątpliwości, gdy chcesz uzyskać odpowiedzi na pytania, przyjdź do mnie. Na przykład, musisz się teraz wyluzować. Pozwalasz zepsuć sobie cały wieczór.

- Posłuchaj, robię, co mogę, jasne?

- Ach, rozumiem - rzekł Henry, unosząc brwi. - Przepraszam, widocznie te wszystkie głębokie westchnienia to wytwór mojej wyobraźni.

Mike zerwał resztki nalepki z butelki i zwinął papier w kulkę.

- Tak, tak. Jesteś zabawnym facetem, Henry. Powinieneś pojechać na występy do Vegas. Wierz mi, pierwszy pomogę ci spakować walizki.

Henry odchylił się na oparcie fotela.

- Oj, daj spokój. Trochę się tylko bawię.

- Moim kosztem.

Henry podniósł ręce do góry, robiąc niewinną minę.

- Jesteś tutaj tylko ty. Komu mam dokuczać?

Mike zmierzył go gniewnym spojrzeniem, po czym się odwrócił.

- Dobrze, dobrze... Przepraszam - powiedział Henry. - Powtórzę jeszcze raz. To, że umówiła się z Richardem, nie oznacza bynajmniej, że na zawsze straciłeś swoją szansę. Zamiast snuć się z kąta w kąt z nieszczęśliwą miną, potraktuj to jako wyzwanie. Może to cię zmobilizuje, żeby się z nią umówić.

- Zamierzałem to zrobić.

- Doprawdy?

- Tak. Po naszej poniedziałkowej rozmowie postanowiłem zrobić dokładnie tak, jak mi radziłeś. I miało to nastąpić właśnie dzisiaj wieczorem.

Henry przyjrzał mu się uważnie.

- Świetnie - powiedział. - Jestem z ciebie dumny. Mike czekał na dalsze słowa, ale brat milczał.

- I co? Żadnych złościwości? Żartów?

- Nie ma powodu do żartów.

- Ponieważ mi nie wierzysz?

- Ależ wierzę. Chyba nie mam wyjścia.

- Dlaczego?

- Bo sam niedługo będę tego świadkiem.

- Jak to?

- Bogowie ci sprzyjają, braciszku.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

Henry uniósł brodę, wskazując na drzwi baru.

- Zgadnij, kto właśnie wchodzi.

* * *

Richard stał w drzwiach obok Julie, która wyciągała szyję, szukając wolnego stolika.

- Nie przypuszczałem, że będzie tutaj taki tłok - powiedział głośno Richard, przekrzykując hałas. - Jesteś pewna, że chcesz tu zostać?

- Daj spokój, będzie fajnie. Przekonasz się.

Richard uśmiechnął się, ulegając jej, miał jednak spore wątpliwości. Lokal zrobił na nim wrażenie przystani dla osób, które piją, żeby uciec od swoich problemów lub rozpaczliwie szukają towarzystwa nieznanym. Pomyślał, że nieodparcie nasuwa się wrażenie, że wszyscy - niezależnie od tego, czy są sami, czy z kimś - są gotowi na podryw. Julie, podobnie jak on, nie pasowała do tego miejsca.

Zespół na estradzie zagrał kolejną piosenkę i niektóre pary zeszły z parkietu, żeby odpocząć, inne zamieniły się z nimi miejscami. Richard nachylił się do ucha Julie tak, że czuła jego ciepły oddech.

- Chodźmy się czegoś napić - powiedział - a potem poszukamy jakiegoś miejsca przy stoliku.

Julie skinęła głową.

- Jasne. Prowadź. Bar jest tam, prosto przed nami.

Gdy Richard zaczął przeciskać się przez tłum, wyciągnął rękę do Julie. Ujęła ją bez wahania. Dopchnęli się do baru, ale nie puścił jej, podnosząc drugą dłoń, żeby zwrócić uwagę barmana.

* * *

- A więc to on, tak? - spytała Emma. Trzydziestoosmioletnia Emma była zielonooką blondynką o pogodnym usposobieniu, co kompensowało fakt, iż nie zaliczała się do klasycznych piękności. Niska i pyzata, nieustannie się odchudzała bez widocznych rezultatów, chociaż zarówno Mike, jak i Henry nie rozumieli, po co zawraca sobie tym głowę. Ludzie lubili Emmę nie za jej wygląd, lecz za to, kim była i co robiła. Udzielała się systematycznie w szkole, do której chodziły jej dzieci, i codziennie o trzeciej po południu otwierała gościnnie drzwi swego domu, żeby dzieciaki z sąsiedztwa miały gdzie się podziać po lekcjach. Zbierały się tam chętnie - dom przypominał ul przez te kilka godzin, kiedy jej mali goście przychodzili i wychodzili - skuszeni domową pizzą, którą piekła prawie codziennie.

Dzieci za nią przepadały, natomiast Henry ją wprost uwielbiał i uważał się za szczęściarza, że ma ją u swego boku. Emma była dobra dla Henry'ego, a on dla niej. Tak jak często mówili innym, zbyt dużo się śmiali, żeby mieć czas na kłótnie. Podobnie jak Henry Emma kochała przekomarzać się, i gdy już wpadli w trans, podpuszczali się nawzajem. A po

kilku drinkach? Strzeż się, pomyślał Mike. Są niebezpieczni jak rekiny, które pożerają swoje małe.

Niestety, Mike był w pełni świadom, że w tej chwili to on jest małym rekinem, płynącym tuż przed otwartą paszczą mamusi. Jedno spojrzenie w ich błyszczące pożądliwie oczy sprawiło, że miał ochotę dać nura i poszukać schronienia pod stołem.

- Tak, to on - potwierdził Henry, kiwając ochoczo głową. Emma nie spuszczała wzroku z Richarda.

- No, no, naprawdę jest niezły.

- Zdaje się, że Mabel określiła go słowem „seksowny” - odpowiedział Henry.

Emma podniosła palec do góry, jak gdyby Henry był oskarżycielem, który przedstawił właśnie w sądzie ważne argumenty.

- Tak... seksowny. Bardzo seksowny. I przystojny w taki dość egzotyczny sposób.

Mike skrzyżował ramiona i poprawił się na krześle, zastanawiając się, czy mógłby mu się trafić gorszy wieczór.

- Mam dokładnie takie samo wrażenie - rzekł Henry. Wciąż czekając na drinki, Richard i Julie stali przy barze, zwrócenii do nich profilami. - Ładna z nich para - dodał.

- Z pewnością wyróżniają się z tłumu - przyznała Emma.

- Jak gdyby wycięto ich z artykułów w „People” o najbardziej olśniewających parach na świecie.

- Mogliby zagrać razem w filmie.

- Dajcie już spokój, dobrze? - przerwał im w końcu Mike. - Zrozumiałem. Jest doskonały, wspaniały, po prostu chodzący ideał.

Henry i Emma odwrócili się do Mike'a, w ich oczach błyszczało rozbawienie.

- Tego nie powiedzieliśmy, braciszku - sprostował Henry. - Mówimy tylko, że wygląda, jak gdyby taki był.

Emma wyciągnęła rękę nad stołem i poklepała Mike'a po ramieniu.

- Poza tym - dodała - to nie powód, żeby upadać na duchu. Liczy się nie tylko dobry wygląd.

Mike zmierzył ich gniewnym spojrzeniem. Henry pochylił się ku Emmie.

- Powinnaś chyba wiedzieć, że mój braciszek ciężko to wszystko przeżywa. Po jego minie widzę, że wcale mu nie pomagamy.

- Och, doprawdy? - spytała Emma z niewinną minką.

- Poczuję się dobrze, gdy wreszcie ze mnie zejdziecie. Czepiacie się mnie przez cały wieczór.

- Jesteś łatwym celem, gdy zachowujesz się w ten sposób - zachichotała Emma. -
Dąsas się jak dziecko.

- Już to przerabialiśmy z Henrym.

- A Richard wcale nie jest atrakcyjny - mówiła dalej Emma, nie zwracając uwagi na jego słowa. - Możesz wierzyć doświadczonej kobiecie. Jeśli nie chcesz przegrać z takim facetem, lepiej zacznij śpiewać na inną nutę, zanim będzie za późno. Zachowuj się nadal tak jak dziś wieczorem, a możesz od razu pożegnać się z Julie.

Mike zamrugnął powiekami, zaskoczony szczerością bratowej.

- Mam się więc zachowywać, jak gdyby mi nie zależało?

- Nic podobnego, Mike. Okaż jej, że ci na niej naprawdę zależy, że chciałbyś dla niej jak najlepiej.

- Jak mam to zrobić?

- Bądź jej przyjacielem.

- Jestem jej przyjacielem.

- Nie, teraz nie jesteś. Gdybyś był, potrafiłbyś cieszyć się jej szczęściem.

- Dlaczego mam być szczęśliwy, że jest z nim?

- Ponieważ - odparła Emma, jak gdyby odpowiedź była oczywista - oznacza to, że Julie jest gotowa, by zacząć szukać odpowiedniego dla siebie mężczyzny, a wszyscy wiedzą, kto nim jest. Szczerze wątpię, żeby to był tamten facet. - Uśmiechnęła się i jeszcze raz dotknęła jego ramienia. - Naprawdę myślisz, że dalibyśmy ci tak popalić, gdybyśmy nie wierzyli, że w końcu wszystko obróci się dla was na dobre?

Mimo że Emma drażniła się z nim, w tej chwili Mike zrozumiał, dlaczego Henry tak bardzo ją kocha. I dlaczego on również ją kocha.

Oczywiście jak siostrę.

* * *

Julie i Richardowi podano wreszcie drinki - jemu bourbona, jej dietetyczną colę - i po zapłaceniu Richard schował portfel, po czym spojrzał na mężczyznę siedzącego przy końcu baru.

Mężczyzna mieszał drinka, pozornie zajęty własnymi sprawami. Richard nie dawał jednak za wygraną, pewny, że za chwilę spojrzenie tamtego powędruje do Julie. Przez cały czas, gdy czekali z Julie na drinki, facet zerkał na nią, choć starał się robić to dyskretnie. Tym razem Richard przyłapał go na tym i patrzył na niego bez zmruczenia powiek, aż w końcu zmusił do odwrócenia wzroku.

- Na kogo patrzysz? - zainteresowała się Julie.
- Na nikogo - odpowiedział. - Po prostu się zamyśliłem. - Uśmiechnął się do niej.
- Jesteś już gotów do wyjścia na parkiet? - spytała Julie.
- Jeszcze nie całkiem. Najpierw muszę dokończyć drinka.

* * *

Andrea, ubrana w czarną obcisłą minispódniczkę, szpilki i trykotową bluzkę z odkrytymi plecami, wyciągała z ust gumę do żucia i okręcała ją wokół palca ze znużeniem, gdy tymczasem Cobra wychylał właśnie szóstą szklaneczkę tequili z kropelką limonki. Otarłszy usta grzbietem dłoni, uśmiechnął się do Andrei, jego złoty siekacz rozbłysnął w świetle neonu.

Cobra zajechał na swoim harleyu pod salon we wtorek rano - chociaż Andrea nie miała o tym pojęcia, jej imię wymieniano często w barach dla motocyklistów nawet w dalekiej Luizjanie - i zanim wyszedł, Andrea dała mu swój telefon, po czym przez resztę dnia paradowała dumnie po salonie, bardzo z siebie zadowolona. W swoim samozadowoleniu nie zauważyła współczujących spojrzeń, które posyłała jej Mabel, nie zdawała sobie też sprawy, że Cobra, podobnie jak wszyscy mężczyźni, z którymi się umawiała, jest nieudacznikiem.

Zadzwoił do niej wcześniej tego wieczoru po kilku piwach i zaproponował, żeby spotkała się z nim oraz z jego przyjaciółmi w „Clipper”. Mimo że formalnie rzecz biorąc, nie była to randka - nie powiedział, że po nią przyjedzie, żadnemu z nich nie przyszło też do głowy, że mógłby najpierw zaprosić ją na kolację - Andrea nie posiadała się z radości, odkładając słuchawkę, uważała bowiem, że nareszcie jest to coś zbliżonego do randki. Przez godzinę zastanawiała się, w co się ubrać - ważne jest pierwsze wrażenie - zanim wyruszyła do „Clipper” na spotkanie z Cobrą.

Gdy tylko ją zobaczył, objął ją, kładąc obie dłonie na jej pośladkach, i pocałował w szyję.

Nie zdenerwowało jej to. W końcu Cobra był całkiem przystojny, zwłaszcza w porównaniu z innymi facetami, z którymi się spotykała. Chociaż miał na sobie czarny podkoszulek ozdobiony wizerunkiem zakrwawionej czaszki, a na dżinsach skórzane ochraniacze, nie był gruby ani długowłosy. Musiała też przyznać, że tatuaż syrenki na ramieniu był względnie gustowny w porównaniu z innymi, które widziała. Niezbyt podobał jej się złoty ząb, ale Cobra wyglądał i pachniał dość czysto, na co nie zawsze można liczyć.

Mimo to uświadomiła sobie w końcu, że wieczór jest kompletnym niewypałem i że popełniła błąd, dając mu swój numer telefonu. Po pierwsze, ledwie zdążyli wypić po dwa

drinki i sytuacja zaczęła robić się interesująca, w barze zjawili się kilku jego przyjaciół, z których jeden poinformował ją, że jej wybranek naprawdę wcale nie ma na imię Cobra, lecz mówią tak na niego kumple. W rzeczywistości nazywa się Ed DeBoner.

Właśnie wtedy jej zainteresowanie zmalało niemal do zera. Za żadne skarby nie potrafiła sobie wyobrazić, że musiałaby się do tego komuś przyznać. W przeciwieństwie do imion takich jak Cobra (lub Snake, Rat, a nawet Dean), imię Ed nie pasowało do kogoś, kto jeździ harleyem, kogo tylko krok dzieli od konfliktu z prawem i kto wiecie niczym nieskrępowane życie. Ed nie jest nawet imieniem prawdziwego mężczyzny. Na miłość boską, tak nazywa się filmowy koń, który mówi. Nie wspominając już o nazwisku.

DeBoner.

Kiedy je usłyszała, omal nie zakrztusiła się drinkiem.

- Chcesz wracać do domu, mała? - wybełkotał Cobra. Andrea włożyła gumę z powrotem do ust.

- Nie.

- No to strzelmy sobie jeszcze po jednym.

- Nie masz kasy.

- Fundnij mi drinka, a ja ci potem zwrócę, mała.

Chociaż wcześniej tego wieczoru Andrei całkiem się podobało, że mówił do niej „mała”, uważając, że czyni ją to bardziej zmysłową, wtedy robił to Cobra. Nie jakiś dupek, który nazywa się Ed DeBoner. Andrea wydmuchała balonik z gumy i strzeliła z niego.

Cobra wyraźnie nie zdawał sobie sprawy z jej nastroju. Sięgnął pod stół i powiódł dłonią po jej udzie. Andrea wstała gwałtownie od stolika, czując, że musi się jeszcze napić.

Gdy zbliżała się do baru, zauważyła Richarda.

* * *

Julie rozpromieniła się, widząc Mike'a, Henry'ego i Emmę przy stoliku obok parkietu. Chwyciła Richarda za rękę.

- Chodźmy - powiedziała - chyba znalazłam miejsce, gdzie możemy usiąść.

Przecisnęli się przez tłum na parkiecie i podeszli do stolika.

- Cześć. Nie spodziewałam się was tu zobaczyć - przywitała się z przyjaciółmi Julie. - Jak się macie?

- Świetnie - odparł Henry. - Wpadliśmy tu na chwilę po kolacji, żeby zobaczyć, co słychać.

Julie pociągnęła za rękę stojącego za nią Richarda.

- Chciałabym wam kogoś przedstawić. Richardzie, to jest Henry i Emma. A to mój najlepszy przyjaciel, Mike.

Henry podał mu rękę.

- Miło mi - powiedział.

Richard zawahał się przez moment, zanim ją uściskał.

- Cześć - odrzekł po prostu.

Następnie przyszła kolej na Mike'a i Emmę. Gdy Julie spojrzała na Mike'a, uśmiechnął się do niej miło, chociaż przyszło mu to z ogromnym trudem. W barze było gorąco i twarz Julie była lekko zarumieniona. Mike pomyślał, że wygląda dzisiaj wyjątkowo pięknie.

- Może się przysiądziecie? - zaproponował Henry. - Mamy dwa wolne krzesła.

- Nie... nie chcemy wam przeszkadzać - odpowiedział Richard.

- Daj spokój, absolutnie nam nie przeszkadzacie. Przyłóżcie się do nas - zawtórowała mężowi Emma.

- Na pewno nie macie nic przeciwko temu? - spytała Julie.

- Nie wygłupiaj się - prychnęła Emma. - Wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi.

Julie uśmiechnęła się i okrążywszy stolik, usiadła. Richard poszedł za jej przykładem. Gdy już usadowili się wygodnie, Emma pochyliła się do przodu.

- No to, Richardzie - rzekła zachęcająco - opowiedz nam o sobie.

* * *

Rozmowa była wymuszona, początkowo szła jak po grudzie, ponieważ Richard nie rozwijał z własnej woli tematu, odpowiadał tylko na bezpośrednio zadawane pytania. Od czasu do czasu Julie wtrącała jakąś dodatkową informację o nim, kiedy indziej znów szturchała go łokciem, karcąc żartobliwie i dopingując, żeby mówił dalej.

Mike starał się, jak mógł, sprawiać wrażenie zainteresowanego jego opowieścią.

W pewnym sensie był rzeczywiście zainteresowany, z pobudek czysto egoistycznych, chciał się bowiem zorientować, z kim ma do czynienia. Jednakże w miarę jak mijały minuty, poczuł się jak pstrąg płynący w górę strumienia. Jego przyszłość nie malowała się w różowych barwach. Potrafił nawet zrozumieć, co pociągało Julie w Richardzie. Był inteligentny (i, owszem, przystojny surową urodą sportowca), poza tym, w przeciwieństwie do Mike'a, zarówno zdobył wykształcenie (ukończył college), jak i wiele podróżował. Mimo że nie śmiał się ani nie żartował - nie doceniał też żartów Emmy i Henry'ego - jego skrepowanie wynikało chyba raczej z nieśmiałości niż z arogancji. Gołym okiem było widać, co czuje do Julie. Ilekroć coś mówiła, Richard wpatrywał się w nią niczym młody małżonek,

który budzi się pierwszego ranka miodowego miesiąca.

Przez cały ten czas Mike uśmiechał się i kiwał głową, nienawidząc Richarda z całego serca.

Nieco później, gdy Emma i Julie zagadały się na temat najświeższych ploteczek, Richard dokończył drinka. Spytał Julie, czy coś dla niej jeszcze zamówić, przeprosił towarzystwo i skierował się do baru. Gdy Henry spytał go, czy nie sprawiłoby mu kłopotu przyniesienie kilku piw, Mike wstał również, proponując, że pójdzie razem z Richardem.

- Pomogę ci je przynieść.

Gdy już się tam znaleźli, barman dał im znak, że zaraz do nich podejdzie. Richard sięgnął po portfel i chociaż Mike stał tuż obok niego, nie nawiązał rozmowy.

- Ona jest wspaniałą kobietą - rzekł w końcu Mike.

Richard odwrócił się i przyglądał mu się przez chwilę uważnie, po czym uciekł spojrzeniem w bok.

- Tak, to prawda - rzekł po prostu. Żaden z nich nie odezwał się już słowem.

Gdy wrócili do stolika, Richard spytał Julie, czy ma ochotę zatańczyć, następnie pożegnali się i już ich nie było.

* * *

- No i co, nie było tak źle, prawda? - spytała Emma. Mike wzruszył ramionami, nie mając ochoty odpowiadać.

- On wydaje się dość sympatyczny - dodał Henry. - Raczej milczący, ale uprzejmy.

Mike podniósł do ust piwo.

- Nie podoba mi się - oznajmił w końcu.

- A to mi niespodzianka - roześmiał się Henry.

- Jakoś mu nie ufam.

Henry nie przestawał się uśmiechać.

- Cóż, skoro przeszła ci koło nosa taka okazja, chyba będziemy musieli poczekać trochę dłużej.

- Jaka okazja?

- Powiedziałaś, że dzisiaj wieczorem się z nią umówisz.

- Zaniknij się, Henry.

* * *

Mike siedział sam, bębniąc palcami o blat stolika. Henry i Emma poszli przywitać się z innym małżeństwem, które znali, Mike zaś próbował dojść, co nie podoba mu się w

Richardzie Franklinie.

Poza sprawą oczywistą.

Nie, nie, było w tym coś więcej. Bez względu na to, co powiedział Henry czy co najwyraźniej myśli Julie, Richard nie zrobił na Mike'u wrażenia szczególnie sympatycznego faceta. Sytuacja przy barze potwierdziła jego opinię. Gdy wyraził swoje zdanie o Julie, Richard popatrzył na niego, jak gdyby go rozgryzł i zorientował się, jakimi uczuciami Mike darzy Julie, a jego mina mówiła dokładnie to, co myślał: Przegrałeś, stary, trzymaj się więc na dystans.

Nie jest to raczej cecha sympatycznego faceta.

Dlaczego zatem Julie zdaje się nie dostrzegać tej cechy Richarda, którą on widzi? Dlaczego nie zauważają jej Henry czy Emma? A może wszystko jest tylko wytworem jego wyobraźni?

Mike przypomniał sobie jeszcze raz całą scenę. Nie, doszedł do wniosku, niczego sobie nie wyobraziłem. Wiem, co widziałem. Nie lubię go.

Odchylił się na oparcie krzesła, wzdychając głęboko i lustrując spojrzeniem salę. Odnalazł Richarda oraz Julie i przyglądał im się, zanim zmusił się, żeby odwrócić wzrok.

Gdy zespół zrobił przerwę, Julie i Richard zeszli z parkietu i znaleźli dla siebie mniejszy stolik. Mike spoglądał od czasu do czasu w ich stronę. Nie potrafił się powstrzymać. Chociaż próbował udawać, że nadal chce wyłącznie rozszyfrować Richarda, wiedział, że ten wewnętrzny przymus przyglądania się można porównać z tym, co czują ludzie, kiedy natkną się na scenę makabrycznego wypadku. A raczej, pomyślał, obserwowanie tej pary przypomina oglądanie z lotu ptaka, przez przednią szybę, katastrofy samochodu spadającego w przepaść.

Takie miał przynajmniej wrażenie. W miarę upływu czasu nie mógł pozbyć się uczucia, że jego szanse u Julie maleją w zastraszającym tempie. On siedział samotnie, a w tym samym czasie Julie i Richard patrzyli sobie w oczy, uśmiechając się niemądrze. Pochylali się ku sobie, szepcząc i śmiejąc się; najwyraźniej dobrze się bawili.

Obrzydliwość!

Przynajmniej gdy zerkał na nich ostatni raz zaledwie kilka sekund temu.

Zastanawiał się, co robią teraz.

Powoli i ostrożnie spojrzenie Mike'a znowu rozpoczęło wędrówkę. Na szczęście Julie była zwrócona twarzą w inną stronę, nie widziała więc, że ją obserwuje. Gdyby napotkała jego wzrok, mogłaby mu pomachać lub skinąć z uśmiechem głową albo co gorsza - zignorować go. W dwóch pierwszych przypadkach poczułby się jak idiota, w trzecim serce by

mu pękło.

Gdy znaleźli się w polu jego widzenia, zauważył, że Julie szuka czegoś w torebce, całkowicie pochłonięta tą czynnością.

Napotkał natomiast wzrok Richarda, który wyrażał chłodną, niemal pewną siebie konstatację: Tak, Mike, wiem, że się gapisz.

Mike zamarł niczym dziecko przyłapano na kradzieży dwudziestu dolarów z portfela matki.

Chciał się odwrócić, ale nie potrafił wykrzesać z siebie dość energii, żeby się poruszyć, dopóki nie usłyszał za sobą czyjegoś głosu. Obejrzał się przez ramię i zobaczył stojącego przy stoliku Drew, wokalistę zespołu.

- Cześć, Mike - powiedział Drew. - Masz chwilę? Chciałem z tobą o czymś pogadać.

* * *

Po godzinie, gdy Cobra był już kompletnie zalany, Andrea wyszła z sali, kierując się do toalety. Zrobiła to, ponieważ zauważyła Richarda wcześniej, gdy szukała go wzrokiem, stojąc w kolejce. Schodzili oboje z Julie z parkietu. Richard pochylił się i powiedział jej coś na ucho, po czym ruszył w stronę toalety.

Wiedząc, że będzie musiał przejść obok niej, Andrea szybko przygładziła włosy i poprawiła na sobie ubranie. Wystąpiła z kolejki, idąc w jego stronę.

- Cześć, Richardzie - powiedziała radośnie. - Jak się masz?

- Świetnie, dzięki - odparł. Choć trwało to dobrą chwilę, na jego twarzy pojawił się w końcu błysk rozpoznania. - Andrea, tak?

Uśmiechnęła się, myśląc: Wiedziałam, że zapamięta.

- Nie widziałam cię tu przedtem.

- Jestem tutaj pierwszy raz.

- Nie uważasz, że to fantastyczny lokal?

- Raczej nie.

- Och, ja też nie, ale nie ma specjalnego wyboru, jeśli idzie o knajpki. Takie małomiasteczkowe życie, wiesz?

- Uczę się - odpowiedział.

- Piątkowe wieczory są zwykle fajniejsze.

- Tak?

- Aha. Zazwyczaj bywam tutaj w piątki. Właściwie niemal zawsze jestem wtedy w „Clipper”.

Richard milczał, patrząc jej prosto w oczy i wytrzymując jej spojrzenie, po czym wreszcie skinął głową w kierunku Julie.

- Słuchaj, chętnie bym sobie jeszcze z tobą pogadał, ale naprawdę nie mogę dłużej zostać.

- Ponieważ jesteś z Julie, prawda?

- Przyszedłem z nią - odrzekł, wruszając ramionami.

- Tak, wiem - powiedziała Andrea.

- No cóż, miło mi cię było spotkać - dodał.

- Dzięki. Mnie również.

Pchnął wahadłowe drzwi, pozwalając, żeby się zamknęły. Andrea stała, patrząc za nim, a wtedy podszedł chwiejnym krokiem Cobra i zaczął mamrotać coś ordynarnego pod nosem na temat czynności fizjologicznych.

Gdy on również wyszedł za drzwi, Andrea stwierdziła, że pora się wynosić.

Pomyślała, że gdyby jeszcze raz rzuciła okiem na Cobrę, ulotniłoby się gdzieś to uczucie, którego doznała, gdy jej i Richarda spojrzenia się spotkały.

* * *

Tuż po północy Julie stała z Richardem na werandzie pod rozgwieżdżonym niebem. Kumkały żaby, ćwierkały świerszcze, szeleściły liście poruszane lekkim wietrzykiem i nawet Śpiewak zdawał się bardziej akceptować Richarda. Mimo że wystawił pysk między zasłonami i obserwował ich czujnie, nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

- Dziękuję za dzisiejszy wieczór - powiedziała Julie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Miło spędziłem czas.

- Nawet w „Clipper”?

- Jeśli ty się dobrze bawiłaś, cieszę się, że się tam wybraliśmy.

- To nie jest lokal w twoim stylu, co? Richard wruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, pewnie wolałbym coś bardziej kameralnego, gdzie moglibyśmy być sami.

- Byliśmy sami.

- Nie przez cały czas.

Popatrzyła na niego z lekko zdziwioną miną.

- Chodzi ci o to, że usiedliśmy przy stoliku moich przyjaciół? - spytała. - Sądysz, że zaciągnęłam cię tam, bo źle się bawiłam?

- Nie bardzo wiedziałem, co myśleć. Kobiety stosują czasami takie wybiegi, kiedy

randka nie spełnia ich oczekiwań. Coś w rodzaju: „Ratunku! Potrzebuję pomocy!”.

- Och, nic z tych rzeczy - odpowiedziała Julie z uśmiechem. - To z nimi byłam dzisiaj umówiona na kolację, kiedy więc ich spostrzegłam, chciałam się przywitać.

Richard powędrował spojrzeniem do lampy na werandzie, potem z powrotem do Julie.

- Posłuchaj... wiem, że zachowałem się trochę jak mruk w obecności twoich przyjaciół. Bardzo mi przykro. Chyba nigdy nie wiem, co powiedzieć.

- Zachowywałeś się super. Jestem pewna, że cię polubili.

- Nie wydaje mi się, żeby Mike mnie polubił.

- Mike?

- Obserwował nas.

Mimo że Julie tego nie zauważyła, zdała sobie sprawę, że powinna była tego się spodziewać.

- Znamy się z Mikiem od lat - wyjaśniła. - Troszczy się o mnie, to wszystko.

Richard zdawał się rozważać jej słowa. W końcu przez jego twarz przemknął krótki uśmiech.

- W porządku - powiedział. Przez pewien czas żadne z nich się nie odzywało, wreszcie Richard podszedł do niej bliżej.

Tym razem, chociaż spodziewała się, że ją pocałuje, i chciała, by to zrobił - a przynajmniej wydawało jej się, iż tego pragnę - nie mogła zaprzeczyć, że poczuła lekką ulgę, gdy po chwili odwrócił się i odszedł.

Nie ma potrzeby się śpieszyć, pomyślała. Lepiej poczekać, aż będzie wiedziała, czy to na pewno ten mężczyzna.

ROZDZIAŁ 7

- Popatrz, idzie - powiedział Henry - punktualny jak zegarek.

Był wtorkowy poranek, od wieczoru w „Clipper” minęło kilka dni. Henry trzymał w ręku puszkę Dr Peppera, śledząc wzrokiem Richarda, który szedł ulicą w stronę salonu. Mężczyzna trzymał w ręku podarek - pudełeczko - jednakże nie ono wzbudziło ciekawość Henry'ego.

Skoro powiedział Richardowi podczas sobotniego spotkania, gdzie pracuje, spodziewał się, że mężczyzna przynajmniej rzuci okiem w stronę warsztatu. Wczoraj Henry nawet mu pomachał, lecz Richard go nie zauważył albo też udawał, że go nie widzi. Podobnie jak dzisiaj minął go ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie.

Słyszając głos brata, Mike wynurzył się spod maski samochodu. Wyjął szmatę, zatknął ją za pasek, i wytarł ręce.

- To musi być chyba fajna rzecz taka praca konsultanta - zauważył Mike. - Czy ten facet wiecznie ma wolne?

- Nie denerwuj się. W zeszłym tygodniu wyczerpałeś roczny limit fochów. Poza tym chyba lepiej, że widzisz, jak odwiedza ją w salonie niż w domu, prawda?

Jedno spojrzenie na brata powiedziało Henry'emu, że Mike'owi nie przyszło to do głowy. Niemal natychmiast na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

- Czy on niesie prezent dla niej?

- Tak.

- To jakaś specjalna okazja.

- Może chce zrobić na niej wrażenie.

Mike nerwowo zatarł ręce.

- Hm, skoro tak, to może wpadnę do niej trochę później ze swoim prezentem.

- Nareszcie zaczynasz mówić rozsądnie - rzekł Henry, poklepując brata po plecach. - To właśnie chciałem od ciebie usłyszeć. Mniej biadolenia, więcej działania. My, Harrisowie, zawsze byliśmy facetami, którzy stają na wysokości zadania.

- Dziękuję, Henry.

- Zanim przystąpisz do zmasowanego ataku, pozwól, że dam ci pewną radę.

- Jasne.

- Daj sobie spokój z prezentem.

- Jak to? Przecież przed chwilą powiedziałeś...

- To jego działka. Tobie nie wyszłoby to na dobre.

- Ale...

- Zaufaj mi. Wyglądałbyś na zdesperowanego.

- Jestem zdesperowany.

- To sobie bądź, ale ona nie może się o tym dowiedzieć. Pomyśli, że jesteś żaloszny.

* * *

- Richardzie. - Julie wpatrywała się w otwarte etui. W środku znajdował się medalion w kształcie serca, zawieszony na złotym łańcuszku. - Jaki piękny.

Stali przed salonem, nieświadomi, że Mike i Henry obserwują ich z przeciwnej strony ulicy i że Mabel wraz z Śpiewakiem zerkają przez okno.

- Ale... dlaczego? Jaka to okazja?

- Bez okazji. Zobaczyłem go i, cóż... spodobał mi się. A raczej pomyślałem o tobie i stwierdziłem, że powinnaś go mieć.

Julie rzuciła okiem na medalion. Bez wątplenia był drogi i, co za tym idzie, Richard wiązał z nim zapewne określone nadzieje.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Richard podniósł ręce obronnym gestem.

- Proszę... Po prostu chcę, żebyś go miała. Jeśli musisz, uważaj go za prezent urodzinowy.

- Moje urodziny są dopiero w sierpniu.

- No, to trochę się pośpieszyłem. - Milczał przez chwilę. - Proszę.

- Richardzie... to ogromnie miłe, ale naprawdę nie powinnam.

- To tylko medalion, a nie pierścionek zaręczynowy. Nadal niepewna, poddała się w końcu i pocałowała Richarda.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Przymierz go - poprosił Richard, wskazując gestem ręki medalion.

Julie odpięła zameczek i przyłożyła go do szyi.

- I jak? Pasuje?

Patrzył na medalion z dziwnym uśmiechem, jak gdyby myślał o czymś innym, po czym odparł, nie spuszczać z niego wzroku:

- Idealnie. Wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałem.

- Zapamiętałeś?

- U jubilera - wyjaśnił. - Na tobie wygląda lepiej.

- Ach. Nie powinieneś był.

- Mylisz się. Właśnie to powinienem był zrobić. Julie wsparła dłoń na biodrze.

- Rozpieszczasz mnie, wiesz? Ludzie zazwyczaj nie robią mi prezentów bez konkretnego powodu.

- Wobec tego, dobrze, że to zrobiłem. Naprawdę uważasz, że zawsze musi być jakiś powód? Nie zdarzyło ci się nigdy zobaczyć czegoś, co wydało ci się idealnym prezentem dla kogoś, i kupić to?

- Oczywiście, ale nie w ten sposób. Nie chcę, byś myślał, że oczekuję od ciebie takich prezentów, bo tak nie jest.

- Wiem, wiem. Częściowo właśnie dlatego sprawia mi to przyjemność. Każdy człowiek zasługuje od czasu do czasu na niespodziankę. - Umilkł. - A zatem, czy gotowa jesteś na kolejną w piątek wieczorem?

- Miałaś podobno wyjechać z miasta na jakieś zebranie.

- Owszem, okazało się jednak, że zebranie zostało odwołane. A raczej ta część, która mnie dotyczy. Mam wolny cały weekend.

- Co proponujesz? - spytała.

- Coś bardzo wyjątkowego. Chciałbym jednak, żeby to właśnie pozostało niespodzianką.

Julie nie odpowiedziała od razu i Richard, jak gdyby wyczuwając jej niezdecydowanie, ujął jej dłoń.

- Spodoba ci się, Julie. Zaufaj mi. Będziesz musiała wyjść z pracy trochę wcześniej. Przyjadę po ciebie do domu koło czwartej.

- Dlaczego tak wcześnie?

- Podróż do miejsca, gdzie cię chcę zabrać, zajmuje trochę czasu. Myślisz, że uda ci się wyrwać?

- Będę musiała nieco zrewidować moje plany, ale chyba mi się uda. Czy mam się ubrać elegancko, czy na sportowo?

Zapytała w ten sposób uprzejmie, czy ma zabrać ze sobą torbę podróżną. Gdyby powiedział, że potrzebne będą oba rodzaje strojów, oznaczałoby to wspólny weekend poza domem i mogłaby mieć obiekcje.

- Ja będę w marynarce i pod krawatem, jeśli ci to coś podpowie.

Bez wątpienia wyglądało to na prawdziwą randkę.

- Chyba będę musiała wybrać się na zakupy - powiedziała wreszcie Julie.

- Jestem pewien, że będziesz wyglądała pięknie niezależnie od tego, co na siebie włożysz.

Tym razem również ją pocałował. Gdy odszedł, Julie przesunęła palcem po

medalionie. Po otwarciu okazało się, że miała rację, zakładając, że w środku jest miejsce na dwa małe zdjęcia. Z zaskoczeniem stwierdziła, że Richard zdążył już wygrawerować jej inicjały, po jednym po każdej stronie.

* * *

- Nie wygląda to dobrze, braciszku - przyznał Henry. - Nieważne, co powiedziała Emma wczoraj wieczorem. Nie wygląda to dobrze.

- Dzięki za aktualizację, Einsteinie - burknął Mike.

- Pozwól, że dam ci pewną radę.

- Jeszcze jedną?

Henry skinął głową, jak gdyby mówiąc, że Mike nie ma powodu mu dziękować.

- Zanim zrobisz cokolwiek, będziesz musiał obmyślić coś w rodzaju planu.

- Jakiego planu?

- Nie wiem, ale na twoim miejscu postarałbym się, żeby to było coś naprawdę atrakcyjnego.

* * *

- Śliczny - powiedziała Mabel, przyglądając się medalionowi. - Chyba naprawdę zawróciłaś temu facetowi w głowie. Musiał wydać na niego majątek. Mam przestać?

Mabel wyciągnęła rękę po wisiorek.

- Nie, mów dalej - odparła Julie, pochylając się ku niej. Mabel obejrzała dokładnie serduszko.

- Z pewnością nie pochodzi od żadnego jubлера w naszym miasteczku. Wygląda na ręczną robotę.

- Tak sądzisz?

- Jestem pewna. I nie tylko tego. Dowiedziałaś się czegoś ważnego o Richardzie Franklinie.

- A mianowicie?

- Ma dobry gust.

Mabel wypuściła z palców medalion, który opadł miękko na pierś Julie. Popatrzyła na niego jeszcze raz.

- Teraz muszę znaleźć dwa zdjęcia, żeby włożyć je do środka.

W oczach Mabel pojawiły się figlarne błyski.

- Och, kochanie, jeśli rozmawiasz ze mną ogródkami, to nie musisz się martwić. Będę naprawdę ogromnie szczęśliwa, ofiarowując ci moją fotografię. Prawdę mówiąc, nawet za-

szczycona. Julie wybuchnęła śmiechem.

- Dziękuję ci, naprawdę. Byłaś pierwszą osobą, o której pomyślałam.

- Jestem tego pewna. A zatem... umiesz w nim zdjęcie Śpiewaka?

Na dźwięk swego imienia pies podniósł łeb. Stał przy swojej pani, odkąd wróciła do salonu. Julie pogłaskała go po grzbiecie.

- Żeby mieć zdjęcie tego „maleństwa”, które zmieściłoby się w medalionie, musiałabym robić je z odległości stu metrów.

- To prawda - przyznała Mabel. - A propos, co się z nim dzieje? Ostatnio jest taki przylepny.

- Nie mam pojęcia, ale doprowadza mnie do szału. Gdziekolwiek się ruszę, potykam się o niego.

- A jak się zachowuje wobec Richarda? To znaczy, w domu?

- Tak samo jak tutaj - odpowiedziała Julie. - Nie spuszcza z niego wzroku, ale przynajmniej nie warczy tak jak za pierwszym razem.

Śpiewak zaskomlił, z jego gardła wydobył się cichy pisk, zupełnie niepasujący do jego postury.

„Przestań narzekać - zdawał się mówić - oboje wiemy, że mnie kochasz bez względu na to, jak się zachowuję”.

* * *

Plan, myślał Mike, potrzebny mi sprytny plan.

Potań brodę, nieświadomy, że zostawia na skórze smugę smaru. Henry ma rację. Chociaż raz ten mądrała powiedział coś naprawdę ważnego, coś rozsądnego. Zdecydowanie potrzebny jest mu plan.

Jednak bardzo szybko zdał sobie sprawę z tego, że o wiele łatwiej jest dojść do takiego wniosku, niż wymyślić dobry plan. Mike nie jest ani nigdy nie był szczególnym planistą. Życie po prostu płynęło, a on dawał się mu unosić niczym korek podskakujący na falach. Zazwyczaj nie było to wcale takie złe. Na ogół był szczęśliwy i raczej zadowolony z siebie, mimo że nie udało mu się do tej pory odnieść sukcesów artystycznych i muzycznych.

Teraz jednak stawka była wyższa. Sytuacja nie wygląda dobrze i pora wyłożyć karty na stół. Wóz albo przewóz. Zadanie jest trudne i trzeba zabrać się do działania. Nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić dziś; kto pierwszy, ten lepszy.

Bierz się do dzieła.

Mimo że wszystkie komunały najwyraźniej pasowały do sytuacji, nadal nie miał

pojęcia, co zrobić.

Plan.

Cały problem polegał na tym, że wciąż nie wiedział, od czego powinien zacząć. W przeszłości był poczciwym facetem, przyjacielem, na którego mogła zawsze liczyć. Naprawiał jej samochód, grał we frisbee z Śpiewakiem, pozwalał jej się wypłakać w swoich ramionach przez pierwsze dwa lata po śmierci Jima. Okazuje się, że nie miało to większego znaczenia, ponieważ już dwa razy Julie umówiła się z Richardem. Potem w ubiegłym tygodniu on sam zmienił całkowicie relacje między nimi, zaczął jej unikać. Nie rozmawiał z nią, nie wpadał do niej do domu, nie zatrzymywał się, żeby się przywitać. I jaki był tego rezultat? Julie również nie wpadała, nie przystawała i w końcu - sądząc po tym, co widział na ulicy - cała ta sytuacja doprowadziła do trzeciej randki z Richardem.

Co ma zatem zrobić? Nie może tak po prostu pójść do niej i poprosić, żeby się z nim umówiła. Jest bardzo prawdopodobne, że wybiera się gdzieś z Richardem, co więc jej powie? Ach, w sobotę jesteś zajęta? A co z piątkiem? Albo może w przyszłym tygodniu? Co powiedziała byś na śniadanie? Pomyślał, że wyglądałby wtedy na zdesperowanego, co zdaniem Henry'ego było niedopuszczalne i czego powinien unikać jak ognia.

Plan.

Mike pokręcił głową. Najgorsze w całej tej sytuacji było, że z planem czy bez planu, czuł się samotny.

Tak, cała ta historia z Richardem to prawdziwy koszmar, ale przez ostatnie parę lat przywykł do tego, że rozmawia z Julie przynajmniej raz dziennie. Czasami nawet częściej.

Byłby załamany, gdyby Julie i Richard się zeszli. Jeśli jednak tak się stanie, to trudno. Być może z czasem potrafi się z tym pogodzić...

Nie potrafił jednak znieść myśli o tym, że mógłby czuć się tak, jak czuł się przez ostatni tydzień. Nie były to tylko rozczarowanie, strach czy zazdrość. Nie była to też depresja. Przede wszystkim brakowało mu Julie.

Tęsknił za rozmowami z nią, za jej uśmiechem, za dźwięcznym śmiechem. Pragnął znowu obserwować, jak jej oczy zmieniają barwę późnym popołudniem, w intensywnym słońcu, z zielonych na turkusowe, słuchać, jak chwyta szybko oddech, zbliżając się do końca zabawnej opowieści. Brakowało mu nawet tego, że czasami szczypała go w ramię.

Może powinien po prostu udać się do Julie i porozmawiać z nią, tak jak to robił kiedyś, jak gdyby nic się między nimi nie zmieniło. Może nawet powie jej, że cieszy się, iż dobrze się bawiła tamtego wieczoru, tak jak zrobiłaby to Mabel, Henry czy Emma.

Nie, pomyślał natychmiast. Do tego się nie posunę. Nie ma powodu, żeby dać się do

tego stopnia ponieść emocjom. Na razie uczynię jeden krok.

Porozmawiam z nią.

Zdawał sobie sprawę, że trudno to nazwać planem, ale tylko to przychodziło mu do głowy.

ROZDZIAŁ 8

- Hej, Julie - zawołał Mike - zaczekaj!

Julie, która szła właśnie do samochodu, odwróciła się i zobaczyła, że Mike ku niej biegnie. Śpiewak popędził wielkimi susami w jego kierunku i przywitał się z nim pierwszy. Unosząc na przemian to prawą, to lewą łapę, zdawał się go obejmować, szykując się do całej serii czułych, przyjacielskich liźnięć. Mike uchylał się, jak mógł - choć bardzo lubił Śpiewaka, nie miał ochoty, żeby pies go obsłinił - ale poklepał go po grzbiecie. Podobnie jak Julie rozmawiał z nim jak z człowiekiem.

- Tęskniłeś za mną, wielkoludzie? Tak, tak, ja też za tobą się stęskniłem. Powinniśmy pomyśleć o jakiejś wspólnej rozrywce.

Śpiewak zastrzygł uszami, wyrażając w ten sposób duże zainteresowanie, ale Mike pokręcił głową.

- Dzisiaj nici z frisbee, przykro mi. Myślałem o późniejszym terminie.

Najwyraźniej Śpiewak nie przejął się jego słowami. Gdy Mike ruszył znowu w kierunku Julie, pies zawrócił i biegł obok niego, trącając go w zabawie nosem. Oczywiście, zabawa jest tu pojęciem względnym. Mike omal nie wpadł na skrzynkę pocztową, zanim udało mu się odzyskać równowagę.

- Chyba powinnaś zabierać Śpiewaka na dłuższe spacerunki - powiedział do Julie. - Jest jakiś podenerwowany.

- Ucieszył się na twój widok. Co słyhać? Ostatnio prawie wcale się nie widzimy.

- Wszystko w porządku. Jestem zavalony robotą, to wszystko.

Rozmawiając z nią, nie mógł nie zwrócić uwagi, że jej oczy mają dziś intensywnie zielony kolor. Niczym nefryt.

- Ja również - powiedziała Julie. - Miło spędziłeś czas z Henrym i Emmą w sobotę?

- Sympatycznie. Szkoda, że byłaś zajęta, ale... Wzruszył ramionami, jak gdyby nie miało to znaczenia, mimo że Julie wiedziała - na podstawie tego, co powiedział jej Richard - że to nieprawda. Zaskoczył ją jednak, zmieniając błyskawicznie temat.

- Mam dobre wieści - oznajmił. - Pamiętasz zespół, który wtedy grał? Ocracoke Inlet? Gdy wychodziłem z baru tamtego wieczoru, Drew spytał mnie, czy nie zastąpiłbym ich gitarzysty, który musi jechać na ślub do Chicago, akurat gdy mają grać w „Clipper”.

- No, no! Wspaniale! Kiedy to będzie?

- Za dwa tygodnie. Wiem, że to tylko jednorazowa okazja, ale powinno być fajnie.

- Granie przy pełnej sali?

- Właśnie - przytaknął. - Pomyślałem sobie, czemu nie? Znam większość piosenek, a kapela nie jest wcale taka zła.

- Przedtem mówiłeś coś innego.

- Ale przedtem nie proponowali mi, żebym z nimi zagrał.

- Ach - byłeś zazdrosny, tak?

Pożałowała tych słów w chwili, gdy je wypowiedziała.

- Nie, nie byłem zazdrosny - odparł Mike. - Urażony, owszem, ale nie zazdrosny. Kto wie, czym to się może skończyć? A gdyby tak udało mi się regularnie robić to, co lubię?

- Cóż - rzekła pojednawczo Julie, nie chcąc studzić jego entuzjazmu - cieszę się, że tak ci się udało.

Przez chwilę oboje się nie odzywali. Mike przestąpił z nogi na nogę.

- A więc, co porabiasz? To znaczy, wiem, że spotykasz się z Richardem, ale ostatnio niewiele rozmawialiśmy. Dzieje się coś ciekawego?

- Raczej nie. Tylko Śpiewak doprowadza mnie do szału.

- Śpiewak? A cóż on takiego robi?

Julie opowiedziała mu o zachowaniu Śpiewaka i Mike roześmiał się serdecznie.

- Może trzeba dać mu prozac albo coś w tym rodzaju?

- Nie mam pojęcia. Jeśli nie przestanie, będę zmuszona kupić mu budę i postawić na podwórku.

- Posłuchaj, chętnie zajmę się nim, gdy tylko będzie trzeba. Zabiorę go na spacer po plaży i obiecuję, że gdy wróci do domu, będzie wykończony. Nie będzie miał siły warczeć, nie mówiąc o szczekaniu czy snuciu się za tobą przez resztę dnia.

- Trzymam cię za słowo.

- Mam nadzieję. Kocham tego wielkoluda. - Pogłaskał psa. - Prawda, stary?

Śpiewak skwitował serdeczne słowa Mike'a przyjaznym szczeknięciem.

- A co nowego u Andrei? - spytał Mike. Andrea była częstym tematem ich rozmów.

- Opowiedziała mi o swojej sobotniej randce. Mike zmarszczył nos.

- Z tym facetem, z którym była w „Clipper”?

- Widziałeś go?

- Tak. Okropny typ. Ze złotym zębem i w ogóle. Myślałem, że Andrea osiągnęła szczyt złego gustu z tamtym facetem z przepaską na oku, ale chyba się myliłem.

Julie parsknęła śmiechem.

- Szkoda, że go nie widziałam. Mabel powiedziała dokładnie to samo.

Zaczęła barwnie opisywać, co Andrea powiedziała o Cobre. Mike'a setnie ubawił

fragment o Edzie DeBonerze, chociaż w żaden sposób nie potrafił zrozumieć, dlaczego właśnie ten szczegół tak przeszkadzał Andrei, a nie inne mankamenty tego typka. Skończywszy opowieść, Julie zaśmiewała się jak szalona.

- Co z nią jest? - spytał Mike. - Czy ona nie widzi tego co wszyscy? Prawie mi jej żal.

- Przynajmniej nie musisz z nią pracować. Chociaż, szczerze mówiąc, dzięki temu mamy w salonie trochę rozrywki.

- Jasne. Och, byłbym zapomniał, Emma prosiła, żebym ci powiedział, iż czeka na telefon od ciebie.

- Zadzwoń. Nie wiesz, o co chodzi?

- Nie bardzo. Pewnie chce ci dać jakiś nowy przepis albo pogadać na wasze zwykłe tematy.

- Nie rozmawiamy o przepisach, tylko o ciekawych sprawach.

- Innymi słowy, plotkujecie.

- To nie plotki - zaprotestowała Julie. - To się nazywa utrzymywanie bliskich kontaktów.

- Wobec tego, jeśli usłyszysz coś interesującego, to zadzwoń do mnie, dobrze? Będę w domu przez cały wieczór. Może coś ustalimy w sprawie Śpiewaka, żebym na trochę cię od niego uwolnił, na przykład podczas weekendu.

- Masz to jak w banku - odrzekła z uśmiechem Julie.

* * *

Cieszę się, że to zrobiłem, pomyślał Mike. Był z siebie bardzo zadowolony.

Dobra, nie była to z pewnością wysoce intelektualna czy intymna pogawędka, ale uspokoiła go, ponieważ okazało się, że Julie nadal lubi z nim rozmawiać. Żartowali, śmiali się, a to przecież o czymś świadczy, prawda? Jasne, że tak.

Rozegrał to we właściwy sposób - prowadził rozmowę lekko, unikał drażliwych tematów, a co najważniejsze, był przekonany, że Julie odezwie się do niego po telefonie do Emmy, która zawsze mówiła coś, co było warte powtórzenia. Ryzyko, że tego nie zrobi, równało się niemal zeru, a jego propozycja zajęcia się Śpiewakiem stanowi praktycznie gwarancję, że Julie zadzwoni.

Starał się w ogóle nie myśleć o Richardzie. Za każdym razem, gdy obraz Richarda - samego albo z Julie czy nawet głupiego medalionu - pojawiał się nagle w jego pamięci, szybko go stamtąd wyganiał. Nie pozwolił zepsuć sobie teraz rozmyślań o Julie.

Zasadniczo jego strategia zadziałała całkiem niezłe. Dobry nastrój Mike'a trwał do

końca pracy, w drodze do domu i podczas kolacji. Prawdę mówiąc, skończył się dopiero wtedy, gdy Mike położył się do łóżka, oglądając wiadomości wieczorne.

Uświadomił sobie ze smutkiem, że telefon milczał jak zaklęty.

* * *

Reszta tygodnia była dla Mike'a torturą.

Julie nie zatelefonowała, nie wpadła też do warsztatu, żeby się z nim przywitać.

Chociaż mógł do niej zadzwonić, a w przeszłości nigdy nie wahał się podnieść słuchawki, żeby z nią porozmawiać, teraz nie potrafił się na to zdobyć. Z tego co wiedział, nie odezwała się, ponieważ była z Richardem. Nie czuł się na siłach stawić czoła ewentualności, że zastanie ją w domu tylko po to, by mu wyjaśniła, iż nie może rozmawiać, bo ma akurat gościa. Albo że szykuje się właśnie do wyjścia. Czy też jest w trakcie czegoś. A gdyby przypadkiem jej nie zastał, spędziłby resztę nocy na zastanawianiu się, dokąd poszła, i oka by nie zmrużył.

Julie nie tylko nie zadzwoniła w tygodniu, Richard nie tylko zjawiał się codziennie (i zapewne wieczorem też!), lecz we wtorek Mike zobaczył, że Julie opuszcza salon po południu. Mimo że nie wiedział, dokąd się wybiera, domyślał się, dlaczego wychodzi tak wcześnie.

Richard, pomyślał.

Starał się zachować obojętność, tłumaczył sobie, że nie ma się czym przejmować. Dlaczego miałoby go obchodzić, co robią? On już zaplanował swój wieczór. W lodówce chłodziło się piwo, za rogiem znajdowała się wypożyczalnia kaset wideo, od pizzerii dzieliło go pół godziny piechotą. Będzie się dobrze bawił. Nie, będzie się bawił świetnie. Uwali się na kanapę, odpręży po całym tygodniu, może zagra kilka kawałków, zanim włączy wideo; jeśli tylko zechce, nie położy się spać do późna w nocy.

Wyobrażając sobie ten scenariusz, uznał, że jest żaloszny. Jego życie wpędziłoby zdrowych ludzi w śpiączkę.

Jednakże kroplą, która przepełniła kielich goryczy, był fakt, że choć solennie nie przejmować się, dowiedział się, dokąd pojechali Julie i Richard. Nie od niej, lecz od osób, które ledwie znał. To tu, to tam, w miasteczku. W sklepie spożywczym, w taniej knajpcie, a nawet podczas pracy w warsztacie. Musiał przełknąć gorzką pigułkę; nawet przygodni znajomi Julie, ludzie, którym składała z rzadka krótkie wizyty w niedzielne popołudnia, znacznie lepiej od niego orientowali się w sytuacji. W poniedziałek rano przez prawie dwadzieścia minut zbierał się, żeby wstać z łóżka.

Okazało się, że Richard przyjechał po Julie limuzyną, z zapasem szampana. Wybrali się na kolację do Raleigh. Następnie oglądali w centrum kulturalnym miasta spektakl „Upiór w operze” na żywo, siedząc w pierwszym rzędzie.

Jak gdyby nie było tego dość, jak gdyby nie było to dostatecznie wyjątkowe, żeby jej zaimponować, w okolicach Wilmington Richard i Julie spędzili razem również sobotę.

Odbyli wycieczkę balonem napełnionym ciepłym powietrzem, a następnie urządzili sobie piknik na plaży.

Jak, u diabła, ma rywalizować z facetem, który robi takie rzeczy?

ROZDZIAŁ 9

Ależ to był weekend, pomyślała Julie. Richard mógłby udzielić Bobowi kilku wskazówek, jak zrobić wrażenie na kobiecie. Do licha, mógłby organizować seminaria na ten temat.

Przyglądając się swemu odbiciu w lustrze w niedzielę rano, wciąż nie mogła w to uwierzyć. Nie spędziła takiego weekendu od... cóż, prawdę mówiąc, nigdy nie spędziła takiego weekendu. Teatr był dla niej nowym doświadczeniem i gdy Richard powiedział jej w limuzynie, dokąd jadą, pomyślała, że zapewne jej się spodoba, nie była jednak do końca przekonana. Jej wyobrażenie o musicalach opierało się na tych, które sfilmowano całe pokolenie temu, jak „Oklahoma” czy „Music Man”. Mając je w pamięci, przypuszczała, że spektakl w Raleigh będzie przypominał niezłe przedstawienie szkolne.

Jakże się myliła!

Była urzeczona absolutnie wszystkim. Patrzyła z zachwytem na pary w wieczorowych strojach, sączące wino na dziedzińcu przed rozpoczęciem musicalu, na cichnący tłum, gdy światła zaczęły przygasać, wzruszała się romantyczną oraz tragiczną fabułą, podziwiała wirtuozowską grę aktorską oraz piosenki. Niektóre były tak piękne, że łzy napłynęły jej do oczu. A kolory! Rekwizyty i kostiumy w najrozmaitszych barwach, jednoczesne zastosowanie jaskrawych reflektorów punktowych oraz upiornych cieni, wszystko to razem sprawiało, że sceniczny świat był surrealistyczny i zarazem barwny i żywy.

Julie pomyślała, że cały wieczór przypominał bajkę. Wszystko stanowiło dla niej nowość i przez kilka godzin czuła się, jak gdyby nagle trafiła do innego świata, gdzie nie była fryzjerką w małym południowym miasteczku, dla której wydarzeniem tygodnia jest zazwyczaj coś tak przyziemnego, jak odkręcanie odpornej zakrętki z tubki. Nie, to był zupełnie inny świat, zamieszkały przez przedstawicieli doborowych, zamkniętych społeczności, przez ludzi, którzy studiowali notowania giełdowe w porannych gazetach, gdy tymczasem niania wyprawiała dzieci do szkoły. Później, gdy oboje z Richardem wyszli po skończonym spektaklu i spojrzeli w niebo, Julie poczuła się dziwniej, niż gdyby zobaczyła nagle dwa księżycy zawieszony na niebie nad centrum miasta.

Ale przecież wcale nie narzekała. W limuzynie, w drodze do domu, wdychając piżmowy zapach skórzanej tapicerki, gdy bąbelki szampana łaskotały ją w nos, przypomniła sobie to, co wtedy pomyślała. A więc tak żyją inni. Rozumiem doskonale, że ludzie mogą się do tego przyzwyczaić.

Kolejny dzień również ją zaskoczył. Nie z powodu samej rozrywki, lecz dlatego że był

to jaskrawy kontrast wobec ostatniego wieczoru - dzień, a nie noc, wycieczka balonem wypełnionym gorącym powietrzem zamiast przedstawienia, spacer po świątecznie przystrojonych ulicach w miejsce przejażdżki limuzyną, piknik na plaży zamiast kolacji w restauracji. Cały repertuar randek w ciągu zaledwie dwóch dni, jak u nowożeńców, którzy chcą zmieścić, co się da, w ostatnich godzinach miesiąca miodowego.

Chociaż wycieczka balonem była świetną zabawą - trochę przerażającą z powodu gwałtownych podmuchów wiatru, niemniej jednak zabawą - to największą przyjemność spośród wszystkiego, co robili, od trzymania się za ręce podczas spaceru po żartobliwe pozowanie do robionych przez niego zdjęć, sprawił jej piknik. Pomyślała, że przynajmniej to mieściło się w ramach sytuacji, do jakich była przyzwyczajona. Była w swoim życiu na wielu piknikach - Jim bardzo je lubił - i przez chwilę poczuła się dawną sobą. To uczucie nie trwało długo. W piknikowym koszyku znajdowała się butelka Merlota, sery i talerz z owocami, a gdy już skończyli jeść, Richard zaproponował jej masaż stóp. Na początku zachnęła się, roześmiała i odmówiła, ale gdy ujął delikatnie jej stopę, zsunął sandałek i zaczął masować, poddała się w końcu, wyobrażając sobie, że Kleopatra musiała czuć się tak samo, gdy odpoczywała pod delikatnie kołyszącymi się pierzastymi palmami.

Dziwne, w tej właśnie chwili przyszła jej na myśl matka.

Mimo iż bardzo dawno temu uznała, że jej matka nie sprawdziła się ani jako matka, ani jako wzór do naśladowania, przypomniała sobie jej odpowiedź, gdy spytała ją kiedyś, dlaczego przestała spotykać się ze swoim ostatnim facetem.

- Nie rozkołysał mojej łodzi - stwierdziła rzeczowo matka. - Czasami tak bywa.

Julie, która miała wtedy osiem lat, pokiwała głową, zastanawiając się, gdzie trzymają łódź i dlaczego nigdy jej nie widziała.

Wiele lat później zrozumiała wreszcie, o co chodziło matce, i gdy teraz przyglądała się Richardowi masującemu jej stopy, nasunęło jej się to określenie.

Czy Richard rozkołysał jej łódź?

Wiedziała, że powinien. Bóg jeden wie, prawdopodobnie nie znajdzie przecież nikogo lepszego, w każdym razie nie w Swansboro. Miał wszystko, co powinien mieć mężczyzna spełniający niezbędne warunki, mimo to właśnie w tej chwili, nawet po czterech romantycznych randkach i wielu godzinach, które spędzili razem, zrozumiała nagle, że „nie rozkołysał jej łodzi”. Uświadomienie sobie tego faktu sprawiło, że poczuła się, jak gdyby opadała na dno głębokiego basenu. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że nie ma między nimi tego, co zbliża dwoje ludzi, jakkolwiek by to zwać - chemią, magią czy wzajemnym przyciąganiem. Nie przebiegały jej po karku ciarki jak wtedy, gdy Jim wziął ją po raz

pierwszy za rękę. Nie miała ochoty zamknąć oczu i marzyć o wspólnej przyszłości, wiedziała też z całą pewnością, że nie będzie nazajutrz chodziła półprzytomna, z zasnutym miłosną mgiełką spojrzeniem. Randka które zaplanował, były fantastyczne, tyle tylko, że choć żałowała, iż nie jest inaczej, potrafiła myśleć o Richardzie wyłącznie jak o sympatycznym facecie, który byłby wręcz idealny dla kogoś innego.

„Czasami tak bywa”, jak powiedziała jej matka.

Zastanawiała się, czy przyczyna nie leży częściowo w tym, że próbuje zbyt szybko się śpieszyć. Może potrzebują oboje więcej czasu, zanim poczują się swobodnie. Przecież z Jimem też nie wszystko potoczyło się szybko. Być może po kilku kolejnych randkach obejrzy się za siebie i powie ze zdziwieniem: „Dlaczego byłam taka kapryśna?”. Prawda?

Rozmyślała nad tym, stojąc przed lustrem i szczotkując włosy. Możliwe. Odłożyła szczotkę i stwierdziła w duchu: Tak, bez wątplenia tak właśnie jest. Musimy po prostu poznać się lepiej. Poza tym częściowo wina leży po mojej stronie. To ja przez cały czas gram na zwłokę.

Aczkolwiek rozmawiała z Richardem godzinami, w większości były to rozmowy bardzo powierzchowne. Owszem, Richard wiedział o niej rzeczy oczywiste, podobnie jak Julie o nim. Nie miała jednak ochoty posuwać się dalej. Ilekroć wypływał temat przeszłości, znajdowała sposób, żeby go ominąć. Nie zdradziła mu do tej pory, jak trudne były jej stosunki z matką, jak bardzo wytraçał ją z równowagi widok mężczyzn przychodzących do jej domu i wychodzących z niego o najrozmaitszych porach, jak straszliwie czuła się samotna, gdy musiała opuścić dom przed ukończeniem szkoły średniej. Albo jak okropnie była przerażona, zwłaszcza późną nocą, gdy mieszkała na ulicy. Nie mówiła też o swoich uczuciach po śmierci Jima, kiedy to nie była pewna, czy uda jej się znaleźć w sobie dość siły, by żyć dalej. To były trudne wspomnienia, które pozostawiały po sobie przykry osad. W głębi duszy odczuwała pokusę, by podzielić się nimi z Richardem, żeby poznał ją naprawdę.

Nie uczyniła tego jednak. Z jakiegoś powodu nie potrafiła.

Zauważyła, że on też nie mówił jej wiele o sobie. On również unikał rozmów o przeszłości.

Tylko czy nie do tego wszystko się w końcu sprowadza? Do umiejętności porozumiewania się, otwierania się, do zaufania? Tak było między nią a Jimem, ale podobnie jak w odwiecznym dylemacie „jajko czy kura?” nie pamiętała, jaka była kolejność - ciarki, przebiegające po jej karku czy wszystkie pozostałe rzeczy.

Z rozmyślań wyrwał ją dzwonek telefonu. Śpiewak podreptał za nią do salonu. Julie podniosła słuchawkę.

- Słucham?

- A więc, opowiadaj - usłyszała głos Emmy. - Chcę usłyszeć wszystko od A do Z. I żebyś nie opuściła absolutnie niczego.

* * *

- Masaż stóp? - spytał Mike, nie próbując nawet ukryć niedowierzania. Był to jedyny szczegół, o którym nie słyszał od obcych ludzi.

- Tak powiedziała wczoraj Emmie.

- Ale... masaż stóp?

- Przyznam, że ten facet ma klasę.

- Nie o to mi chodziło. - Mike umilkł, wciskając ręce do kieszeni. Jego twarz przybrała nieobecny wyraz. Henry pochylił się ku niemu.

- Posłuchaj, przykro mi, że przynoszę ci same złe wieści, ale dzwonił Benny. Prosił, żeby ci przekazać, że przyjeżdża dzisiaj.

Mike skrzywił się. Benny, pomyślał. Dobry Boże, Benny. Och, dzisiejszy dzień zapowiada się wspaniale, nie można powiedzieć.

- Blansen potrzebuje ciężarówkę - mówił dalej Henry. - Zrobisz ją, prawda? To mieści się w ramach umowy, którą zawarłem z facetami od mostu, jest więc ważne.

- Tak, zdążę ze wszystkim.

* * *

Andrea nie mogła wprost w to uwierzyć, nie chciała uwierzyć. z powodu całej tej sprawy dosłownie ją mdliło, zwłaszcza denerwował ją lekceważący stosunek Julie do tego wszystkiego. Limuzyna? Szampan? Przedstawienie... „Upiór w mydlanej operze” czy jak tam? Przejazdźka balonem napełnionym gorącym powietrzem? Piknik na plaży?

Andrea nie miała ochoty o tym słuchać. Nie chciała nawet niczego podsłuchać przypadkiem, lecz było to niemożliwe w tak małym pomieszczeniu.

Jej weekend w niczym nie przypominał tego, który spędziła Julie. Był taki sam jak wszystkie, które miała za sobą po prostu jeszcze jeden z długiego szeregu niewartych zapamiętania weekendów. W piątek była w „Clipper”, gdzie po raz drugi musiała odpierać awanse Cobry. Mimo że nie zaplanowała spotkania z nim, wypatrzył ją od razu i kręcił się wokół niej przez cały wieczór niczym robak na padlinie. A sobota? Niemal cała minęła jej na idiotycznym opiłowywaniu paznokci, które straciła poprzedniego wieczoru. „No i co powiesz na taki weekend, złotko?” - miała ochotę krzyknąć. „Założę się, że krew się w tobie gotuje z zazdrości, może nie?”.

Ale jej, oczywiście, nikt nie spytał, jak się bawiła podczas weekendu. Zarówno Mabel, jak i Julie obchodziło wyłącznie to, co robiła Julie. „A co było potem? Musiało cię to zaskoczyć, co? Było chyba wspaniale”. Julie, Julie, Julie. Świat kręci się dookoła Julie. A Julie wzrusza ramionami i przechodzi nad wszystkim do porządku dziennego, jak gdyby nic szczególnego się nie zdarzyło.

Siedząca w kącie Andrea piłowała paznokcie niczym ludzka szlifierka pasowa. To niesprawiedliwe, myślała.

* * *

Richard otworzył drzwi salonu i przytrzymał je, wypuszczając klientkę Julie.

- Och, witaj - powiedziała Julie. - Masz świetne wycucie czasu. Właśnie skończyłam.

Mimo iż w dalszym ciągu nie potrafiła rozeznaczyć się w swoich uczuciach, była zadowolona, że wpadł, choćby dlatego, że miała nadzieję zorientować się, czy jego obecność wpływa na ich stan.

- Wyglądasz prześlicznie - rzekł, pochylając się, by ją pocałować.

Choć pocałunek był krótki, Julie podeszła do niego wręcz analitycznie. Gdy ich usta się zetknęły, pomyślała: Ziemia się nie zatrzęsała, ale też nie odczuwałam lęku. Zwykły... pocałunek.

Jeśli będę nadal zachowywała się w ten sposób, uderzyła ją nagła myśl, to skończę tak jak moja matka - odbije mi.

- Masz chwilę, żeby wyskoczyć na kawę? - spytał Richard.

Mabel wyszła do banku, Andrea przerzucała w kącie kartki czasopisma „National Enquirer” - czytała gazetę, jak to nazywała, Julie wiedziała jednak, że zwyczajnie podsłuchuje.

- Tak - odpowiedziała - mam trochę czasu. Kolejna klientka przyjdzie za pół godziny.

Gdy mówiła te słowa, spojrzenie Richarda spoczęło na jej dekolcie.

- Gdzie medalion? - spytał.

Dłoń Julie powędrowała automatycznie do piersi.

- Och... nie włożyłam go dzisiaj. Zaczepiał mi się o ubranie w czasie pracy, a dzisiaj czekają mnie dwie trwałe.

- Czemu nie wsunęłaś go za dekolt?

- Próbowałam, ale wciąż mi wypadał. - Julie postąpiła krok w kierunku drzwi. - Wyjdźmy stąd - powiedziała. - Nie byłam od rana na dworze.

- Może powinienem kupić krótszy łańcuszek?

- Nie bądź śmieszny. Jest doskonały.

- Ale go nie nosisz - nalegał Richard.

Julie nic nie odpowiedziała. Przyjrzała się bacznie mężczyźnie. Mimo że się uśmiechał, w jego minie było coś wymuszonego.

- Bardzo masz mi za złe, że go nie włożyłam?

- Po prostu myślałem, że ci się podoba.

- Ależ podoba mi się. Nie chcę go tylko nosić w pracy.

Znowu jego obojętna mina sprawiła wrażenie sztucznej, zanim jednak Julie zdołała dłużej się nad tym zastanowić, Richard jak gdyby nagle wyzwolił się spod uroku i jego uśmiech z powrotem stał się naturalny. Można by pomyśleć, że wszystko to było jedynie złudzeniem.

- Kupię ci krótszy łańcuszek - zdecydował. - W ten sposób będziesz miała do wyboru dwa i nosiła je zamiennie.

- Nie musisz tego robić.

- Wiem - rzekł Richard, odwracając wzrok, a następnie spoglądając znowu w oczy Julie - ale chcę.

Patrzyła na niego, czując nagle... właśnie, co?

* * *

Gdy Richard i Julie wyszli z salonu, Andrea odłożyła natychmiast z niesmakiem „National Enquirer”. Pomyślała, że Julie jest największą idiotką na świecie.

Co ona sobie myśli po takim weekendzie, jaki z nim spędziła?

Musiała wiedzieć, że Richard zjawi się w salonie. Nie było dnia, żeby nie przyszedł, i Julie mogła się spodziewać, że mężczyźnie będzie przykro z powodu braku szacunku dla jego uczuć. Komu by nie było? Nie codziennie trafia się taki facet jak Richard, który przynosi prezenty niczym polityk, spędzający Wigilię w sierocińcu. Ale czy Julie docenia jego gesty? Czy kiedykolwiek pomyślała, że być może powinna zastanowić się, co sprawi przyjemność jemu, a nie jej? Czy kiedykolwiek przyszło jej do głowy, że Richard kupił jej medalion, ponieważ chciał, żeby nosiła tę głupią błyskotkę? Ponieważ okazałaby w ten sposób, że docenia to wszystko, co on dla niej robi?

Problem polega na tym, że Julie nie zdaje sobie sprawy, jak się jej poszczęściło. Bez wątplenia wydaje jej się, że wszyscy mężczyźni są tacy jak Richard, że szastają forszą, kupując drogie prezenty i zapraszając na przejażdżki limuzyną. Tymczasem sprawy wyglądają zupełnie inaczej, zwłaszcza w takiej małej miejscinie. Andrea dobrze wiedziała, że w całym

mieście nie ma ani jednego porządnego faceta. Do licha, pomyślała, sama limuzyna musiała kosztować pewnie więcej niż jej wszystkie zeszłoroczne randki razem wzięte. Gdzie tam, pewnie więcej, niż zarabiają w ciągu całego roku wszyscy faceci, z którymi się umawiała.

Andrea pokręciła głową. Julie zdecydowanie nie zasługuje na takiego mężczyznę.

Ma wielkie szczęście, że Richard jest takim superfacetem. Nie można przy tym zapominać o jego prezencji. Andrea doszła do wniosku, że jest to najbardziej seksowny facet, jakiego kiedykolwiek spotkała.

* * *

Manipulowana.

Tak właśnie czuła się Julie teraz, gdy Richard pojechał z powrotem do pracy.

Manipulowana. Jak gdyby chciał ją zmusić do złożenia obietnicy, że zacznie znowu nosić medalion w pracy. Jak gdyby powinna czuć wyrzuty sumienia, których nie czuła.

Jak gdyby powinna nosić go przez cały czas.

Nie podobało jej się to uczucie i próbowała pogodzić je z mężczyzną, z którym spędziła cały weekend. Dlaczego dotknęło go do żywego coś tak... bez znaczenia? Czy naprawdę było to dla niego takie ważne?

Chyba że, oczywiście, podejrzewał, iż jest to coś w rodzaju podświadomego wyrażenia jej uczuć wobec niego.

Julie zamarła na moment, zastanawiając się, czy przypadkiem nie jest tak w istocie, biorąc zwłaszcza pod uwagę to, jak się czuła w niedzielę. Nosila medalion od chwili, gdy jej go podarował, miała go na szyi podczas weekendu. I dawało się go nosić w pracy, może był tylko trochę niewygodny. Tego ranka jednak postanowiła zostawić go w domu, może więc...

Nie, pomyślała Julie, kręcąc głową, to nie to. Wiedziała dokładnie, co robi. Wisiołek jej przeszkadzał. Dwukrotnie w tym tygodniu omal nie przecięła łańcuszka, kilka razy zaplątał się we włosy klientek. Nie nosila go, ponieważ nie chciała go uszkodzić.

Poza tym nie w tym rzecz. Nie chodziło o nią i o powód, dla którego nie nosi medalionu, lecz o Richarda i o jego reakcję. I nie tylko o sam fakt, lecz o sposób, w jaki to powiedział, o jego minę, o wrażenie, jakie to na niej wywarło... wszystko to ją zaniepokoiło.

Jim nigdy się tak nie zachowywał. Kiedy Jim był wściekły - co, musiała przyznać, wcale nie zdarzało się tak często - nie próbował nią manipulować ani nie starał się zamaskować gniewu uśmiechem. Nigdy też nie pozostawił jej jak Richard z odczuciem, które jej się ani trochę nie podobało.

Richard zdawał się sugerować: Dopóki robimy wszystko według mojego widzimisie,

jest świetnie. Nie będziemy mieli więcej tego problemu.

O co tu chodzi? - pomyślała.

ROZDZIAŁ 10

Mike stał w warsztacie, kiwając w zamyśleniu głową i starając się ze wszystkich sił nie skrzyć karku swojemu klientowi.

Jak również Henry'emu za to, że wmusił mu tego właśnie klienta. Gdy tylko zjawił się Benny Dickens, Henry przypomniał sobie nagle, że ma do załatwienia niecierpiący zwłoki telefon, który kompletnie wyleciał mu z głowy, i czmychnął, zostawiając go samego na polu bitwy.

- Zajmiesz się nim, prawda, Mike?

Benny miał dwadzieścia jeden lat. Do jego rodziny należała kopalnia fosforu tuż za miastem. Firma zatrudniała przeszło trzysta osób, pracowało w niej najwięcej mieszkańców Swansboro. Benny rzucił szkołę, gdy chodził do dziesiątej klasy, ale był właścicielem ogromnego domu nad rzeką, kupionego za pieniądze ojca. Benny nie pracował, nigdy nie przeszło mu nawet przez myśl, żeby pójść do pracy. W Swansboro mieszkało przynajmniej dwóch małych Benny'ch, każdy od innej matki. Rodzina Dickensów miała zdecydowanie najwyższe rachunki w warsztacie. Małe firmy nie mogą sobie pozwolić na utratę takiego klienta. A tatuś kochał swojego synka. Tatuś wierzył, że jego syn potrafi chodzić po wodzie. Tatuś, jak dawno już stwierdził Mike, był idiotą.

- Głośniej - zażądał Benny. Na jego policzki wypłynął krwisty rumieniec, głos nabrał piskliwych tonów. - Powiedziałem ci, że chcę, żeby był GŁOŚNY!

Mówił o silniku kupionej ostatnio corvette calloway. Przywiózł ją do warsztatu, żeby podrasować silnik. Mike przypuszczał, że Benny chce, by chodził tak głośno, ponieważ ma pasować do płomieni, które wymalował na masce w ubiegłym tygodniu i do wykonanej na zamówienie aparatury stereo, którą zainstalował. Benny wybierał się w przyszłym tygodniu swoim samochodem do Fort Lauderdale podczas ferii wiosennych, w nadziei poderwania tyłu dziewcząt, ile się tylko da. Taki to był imponujący młodzieniec.

- Jest głośny - odparł Mike. - Gdybym podrasował go jeszcze bardziej, byłoby to sprzeczne z prawem.

- Wcale nie.

- Ręczę ci, że zatrzymałaby cię drogówka - powiedział Mike.

Benny zamrugał powiekami, jak gdyby próbował zrozumieć słowa Mike'a.

- Nie masz o niczym pojęcia, ty dumny mechaniku! To jest zgodne z prawem, słyszysz?

- Dumny mechanik - powtórzył Mike, kiwając głową. - Zrozumiałem.

Dwie dłonie na szyi smarkacza, dwa kciuki na jabłku Adama. Ścisnąć z całej siły i

potrzęsnać.

Benny podparł się pod boki. Jak zwykle miał na przegubie rolexa.

- Czy mój ojciec oddaje tu do serwisu wszystkie swoje ciężarówki?

- Tak.

- Czy ja nie jestem również dobrym klientem?

- Tak.

- Czy nie tutaj przyprowadzałem mojego porsche i jaguara?

- Tak.

- Czy płacę zawsze w terminie?

- Tak.

Benny zamachał ze złością rękami, podnosząc jeszcze bardziej głos.

- No to dlaczego nie podrasowałeś bardziej silnika?! Pamiętam, że byłem tu dwa dni temu i wyłożyłem kawę na ławę. Powiedziałem, że chcę, żebyś dodał mu CZADU! MAM ZAMIAR ZASUWAĆ PO PLAŻY! CIZIE LUBIĄ, JAK BRYKA DAJE CZADU! A JA NIE JADĘ TAM LEŻEĆ NA SŁOŃCU! SŁYSZYSZ?

- Cizie, a nie słońce - odpowiedział Mike. - Kapuję.

- NO TO ZRÓB, ŻEBY CHODZIŁ GŁOŚNO!

- Głośno.

- WŁAŚNIE! I CHCĘ GO MIEĆ NA JUTRO!

- Na jutro.

- GŁOŚNO! Zrozumiałeś dobrze? GŁOŚNO!

- Dobrze.

* * *

Henry pocierał w zamyśleniu brodę, stojąc za bratem. Gdy tylko Benny odjechał z piskiem opon swoim jaguarem, Henry wrócił do warsztatu. Mike nadal kipiał gniewem, mamrocząc coś do siebie, gdy majstrował przy silniku, nieświadomy obecności starszego brata.

- Może powinienś był dać czadu - powiedział Henry. - Mówię o silniku.

Mike podniósł na niego wzrok.

- Zamknij się.

Henry wznosił ręce do góry, udając niewiniątka.

- Staram się tylko być pomocny.

- Tak, jasne. Mniej więcej jak facet, który włącza dopływ prądu do krzesła

elektrycznego. Dlaczego zmuszasz mnie, żebym zajmował się tym gnojkiem?

- Wiesz, że nie mogę go ścierpieć.

- Och, a ja mogę?

- Może nie, ale potrafisz łatwiej ode mnie znosić zniewagi. Radzisz sobie z nim doskonale, a wiesz, że nie możemy stracić takiego klienta, jakim jest firma jego ojca.

- Omal go nie udusiłem.

- Ale tego nie zrobiłeś. I pomyśl tylko, teraz możemy policzyć mu ekstra. - W dalszym ciągu nie jest to tego warte.

- Ach, daj spokój, Mike. Poradziłeś sobie z nim jak prawdziwy profesjonalista. Zaimponowałeś mi.

- Nazwał mnie durnym mechanikiem.

- Skoro ten epitet padł z jego ust, powinieneś chyba potraktować go jako komplement.

- Henry położył dłoń na ramieniu brata. - Posłuchaj, gdyby taka sytuacja się powtórzyła, może powinieneś spróbować czegoś innego, żeby go trochę uspokoić.

- Zakleić mu usta taśmą?

- Nie, myślałem o czymś trochę subtelniejszym.

- Na przykład?

- Nie wiem. - Henry umilkł i podrapał się po brodzie. - Czy nie brałeś pod uwagę masażu stóp?

Mike otworzył usta.

Czasami nienawidził swojego brata z całego serca.

* * *

Jake Blansen zjawił się nieco później po ciężarówkę. Uregulował rachunek w kantorku i przyszedł do Mike'a.

- Kluczyki są w stacyjce - powiedział Mike. - Zlikwidowałem luzy w hamulcach. Mówię tylko po to, żebyś był przygotowany. Poza tym, możesz ruszać w drogę.

Jake Blansen skinął głową. Świetny pracownik, Jake, miał brzuch piwosza i barczyste ramiona. Trzymał w zębach wykałaczkę, na jego głowie tkwiła czapeczka baseballowa z logo NASCAR. Pot przesiąkł mu przez koszulę, pozostawiając okrągłe plamy pod pachami. Dżinsy i długie buty pokrywał cementowy pył.

- Wszystko im powiem - rzekł Jake. - Chociaż, jeśli mam być szczerzy, nie wiem, dlaczego dałem się w to wrobić. Samochodami powinien zajmować się dział techniczny. Ale pewnie wiesz, jak to działa. Tamci szefowie chrzanią wszystko.

Mike skinął głową w kierunku Henry'ego.

- Wiem, co masz na myśli. Tamten facet też potrafi czasami być nie do wytrzymania. Słyszałem jednak, że musi przyjmować viagrę, toteż nie mogę mieć mu za złe. Trudno chyba znieść świadomość, że jest się półmężczyzną.

Jake wybuchnął śmiechem. Spodobało mu się to. Mike uśmiechnął się również, czując się przynajmniej częściowo pomszczony.

- Ilu pracowników zwolniliście ostatnio?

- Nawet nie wiem. Może ze dwustu. Czemu pytasz? Szukasz pracy?

- Nie... jestem mechanikiem. Pytam, bo poznałem niedawno jednego inżyniera, który pracuje jako konsultant przy budowie mostu.

- Którego?

- Richarda Franklina. Znasz go?

Nie odrywając spojrzenia od oczu Mike'a, Jake wyjął wykałaczkę z ust.

- Owszem, znam go - odpowiedział.

- Sympatyczny?

- A ty jak sądzisz? - odpowiedział pytaniem Jake. Rezerwa w jego głosie sprawiła, że Mike zawahał się.

- Rozumiem, że odpowiedź brzmi: nie. Jake zdawał się ważyć jego odpowiedź.

- Kim on jest dla ciebie? - spytał w końcu. - Przyjacielem?

- Nie. Powiedziałem już, że spotkałem go tylko raz.

- I niech tak zostanie. Nie chciałbyś poznać go bliżej.

- Dlaczego?

Jake pokręcił głową i choć Mike próbował wyciągnąć z niego więcej, nie pisnął już ani słowa na ten temat. Zaczął wypytywać znowu o ciężarówkę i kilka minut później wyszedł z warsztatu, zostawiając Mike'a w niepewności. Mike zastanawiał się, czego nie powiedział mu Jake Blansen i czemu nagle wydało się to ważniejsze od wszystkiego, co powiedział.

jego rozmyślania przerwał jednak Śpiewak, który wbiegł do warsztatu.

* * *

- Witaj, wielkoludzie! - zawołał Mike.

Śpiewak podbiegł do niego i stanął na tylnych łapach, opierając przednie na piersi Mike'a, jak gdyby tańczył z nim na szkolnym balu. Wydał z siebie niski pomruk. Wyglądał na bardzo podnieconego.

- Co ty tutaj robisz? - spytał Mike.

Śpiewak opadł z powrotem na cztery łapy, po czym odwrócił się i ruszył w stronę szafki.

- Nie mam nic do jedzenia - powiedział Mike, idąc za nim. - Wiem, że Henry trzyma coś w szufladzie biurka w kantorku. Chodź, wyczyścimy ją.

Śpiewak pobiegł przodem. Mike otworzył dolną szufladę biurka Henry'ego i wyjął z niej to, co Henry lubił najbardziej - małe ciasteczka posypane cukrem pudrem oraz ciasteczka z kawałkami czekolady. Położył je na fotelu Henry'ego i zaczął rzucać po kolei Śpiewakowi, który chwycił je w powietrzu i połykał niczym żaba muchy. Mimo że nie było to raczej jedzenie zdrowe dla psa, Śpiewak merdał przez cały czas ogonem z aprobatą. Jeszcze bardziej cieszyło Mike'a to, że Henry bez wątpienia wpadnie w okropną złość, gdy zobaczy, że jego zapasy zniknęły. Upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu.

* * *

Gdy salon opuściła ostatnia klientka, Julie rozejrzała się dookoła.

- Widziałaś Śpiewaka? - spytała.

- Wypuściłam go jakiś czas temu na dwór - odpowiedziała Mabel. - Stał pod drzwiami.

- Dawno?

- Może pół godziny temu.

Julie popatrzyła na zegarek. Śpiewak nigdy nie wypuszczał się na tak długo.

- I dotąd nie wrócił?

- Zdaje mi się, że widziałam, jak biegnie w stronę warsztatu Mike'a.

* * *

Śpiewak leżał zwinięty w kłębek na starym kocu, chrapiąc głośno. Odsypiał słodki poczęstunek, Mike tymczasem naprawiał skrzynię biegów w pontiacu sun bird.

- Cześć, Mike - zawołała Julie. - Jesteś tam jeszcze? Słyszac jej głos, Mike wyszedł z samochodu.

- Tutaj! - odkrzyknął. Śpiewak podniósł głowę, patrząc na niego półprzytomnym wzrokiem.

- Widziałeś Śpiewaka?

- Tak, jest ze mną. - Mike schylił się i wziął szmatę, by j wytrzeć ręce. Śpiewak wstał i ruszył w kierunku Julie.

- Tu cię przyniosło - powiedziała. Gdy pies podszedł, podrapała go po grzbiecie, on zaś przytulił się do niej potężnym cielskiem. - Zaczynałam się już o ciebie niepokoić.

Mike uśmiechnął się, wdzięczny, że Śpiewak nie wrócił do salonu. Julie popatrzyła na niego.

- Co się dzieje?

- Nic takiego. Jak się masz?

- W porządku.

- Tylko tyle?

- To jeden z tych dni - powiedziała. - Wiesz, jak to jest.

- Tak, chyba tak - rzekł, skinąwszy głową. - Szczególnie dzisiaj. Najpierw miałem przeprawę z Bennym, a potem Henry omal nie umarł.

- Zaczekaj... Henry omal nie umarł?

- Umarł... został zamordowany... wszystko jedno. Powstrzymałem się w ostatniej chwili. Nie mogłem znieść myśli, co powiedzieliby rodzice, gdybym wylądował za kratkami. Powiem ci, że byłem bliski popełnienia zbrodni. - Dał ci dzisiaj popalić, co?

- A kiedy mi nie daje?

- Biedactwo - uśmiechnęła się Julie. - Przypomnij mi, żebym wyłakała nad tobą morze łez dzisiaj wieczorem.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Julie roześmiała się. Czasami bywa taki rozbrajający, zwłaszcza z tym dołkiem w policzku, pomyślała.

- No, co ci zrobił? Znowu wyciął dziurę w twoim kombinezonie?

- Nie. Ten kawał już się zestarzał. Poza tym ostatnim razem, kiedy to zrobił, posmarowałem klucz francuski bardzo mocnym klejem i poprosiłem, żeby go pottrzymał, podczas gdy ja coś sprawdzałem pod maską. Nie mógł oderwać klucza aż do rana następnego dnia. Był zmuszony z nim spać.

- Pamiętam to - zachichotała Julie. - Potem przez kilka tygodni nie brał do ręki niczego, co mu podawałeś.

- Tak - rzekł Mike nostalgicznym tonem. W jego odczuciu był to jeden z lepszych momentów w jego życiu. - Powinienem być częściej robić mu podobne psikusy, ale zwykle takie rzeczy po prostu nie przychodzą mi do głowy.

- Bez względu na to, co zrobisz, on zawsze będzie dawał ci się we znaki. Pamiętaj jednak, zachowuje się tak, ponieważ jest zazdrosny.

- Tak myślisz?

- Ja to wiem. Łysieje i cierpi na chorobę Wylewa.

- Wylewa?

- Tak, brzuch mu się wylewa nad paskiem. Mike roześmiał się.

- Faktycznie, ten aspekt starzenia się musi być przykry.

- A więc... nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czym ci dokuczył dzisiaj?

Mike nie odpowiedział na to pytanie, ponieważ nie mógł zacytować komentarza Henry'ego. Zamiast tego podszedł do automatu z napojami i sięgnął do kieszeni. Wyjął drobne i wrzucił do niego monetę.

- Och, dobrze wiesz... - rzekł obojętnie. - To samo co zwykle.

Julie podparła się pod boki.

- No, no, chyba nieźle ci dopiekł, skoro nie chcesz mi powiedzieć.

- Nigdy ci nie powiem - odparł Mike, po czym wyprostował się i dodał poważnym tonem: - Czasami nie mogę oprzeć się wrażeniu, że bawią cię jego głupie kawały, i muszę przyznać, że mnie to boli.

Mike podał Julie dietetyczną colę, a dla siebie wziął puszkę Dr Peppera. Nie musiał pytać, na co ma ochotę. Wiedział.

- Boli cię - powtórzyła Julie, biorąc od niego puszkę.

- Jak gdybyś przebijała mnie nożem.

- Czy wobec tego muszę wypłakać wieczorem dwa morza łez?

- Byłoby bardzo miło z twojej strony, ale jeśli wypłaczesz trzy, całkowicie ci wybaczę.

Gdy uśmiechnął się szeroko, Julie uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej tych rozmów.

- Poza tym nie zdarzyło się dzisiaj nic interesującego? Mike milczał przez chwilę, bo i co miał jej odpowiedzieć?

„Pewien facet, Jake Blansen, wpadł dziś odebrać z naprawy firmową ciężarówkę i przy okazji dowiedziałem się paru zagadkowych rzeczy o Richardzie. Chcesz o tym usłyszeć?”. Nie, jeszcze nie pora na to. Pokręcił przecząco głową.

- Właściwie nic. A co u ciebie?

- Nic. - Zerknęła w stronę Śpiewaka. - Poza tym, że ten typek nawiał. Wprawdzie na krótko, ale naprawdę przestraszyłam się, że coś mu się stało.

- Śpiewakowi? Żaden samochód nie miałby szansy, gdyby się z nim zderzył. Zostałaby z niego kupka pogiętej blachy.

- Mimo to martwiłam się.

- To dlatego, że jesteś kobietą. Mężczyźni tacy jak ja nie martwią się. Nauczono nas nie panikować.

Julie uśmiechnęła się.

- Dobrze wiedzieć. Kiedy będzie się zbliżał huragan, do ciebie pierwszego zadzwonię, żebyś pozabijał okna deskami.

- Przecież i tak to robisz. Zapomniałaś? Kupiłaś nawet młotek specjalnie dla mnie.

- No tak, ale nie możesz oczekiwać, że znowu to zrobię. A jeśli spanikuję albo coś w tym rodzaju?

Mike zaśmiał się cicho i na moment zapadła cisza. I co teraz? - pomyślał. Poza sprawą oczywistą.

- Jak tam twoje sprawy z Richardem? - spytał, starając się zachować obojętny ton.

Julie zawahała się. Właśnie, pomyślała, jak tam moje sprawy?

- W porządku - odpowiedziała. - Weekend był udany, ale... - Julie umilkła, zastanawiając się, ile tak naprawdę chce powiedzieć Mike'owi.

- Ale?

- Ach, nieważne.

Mike przyjrzał jej się bacznie.

- Jesteś pewna?

- Tak, jestem pewna. - Na jej wargach pojawił się na krótko wymuszony uśmiech. - Powiedziałam, że to głupstwo.

Mike wyczuł jej napięcie, ale dał spokój. Nie chciała rozmawiać o Richardzie, on również nie miał na to ochoty. Nie ma sprawy.

- Julie, pamiętaj, że jeśli zechcesz pogadać o czymkolwiek, jestem do twojej dyspozycji.

- Dobrze.

- Mówię poważnie - rzekł z naciskiem. - Jestem pod ręką, nigdzie się stąd nie ruszam.

- Wiem, dziękuję. - Położyła mu dłoń na ramieniu przyjaznym gestem, starając się zmniejszyć napięcie. - Prawdę mówiąc, uważam, że powinieneś się trochę ruszyć. Zobaczyć świat, pojechać w egzotyczną podróż.

- Co takiego? I zaprzepaścić całą serię kolejnych wieczorów, spędzonych na oglądaniu powtórek „Słonecznego patrolu”?

- Właśnie - potwierdziła Julie. - Wszystko jest lepsze od oglądania telewizji. Jeśli jednak podróże nie są twoim ulubionym zajęciem, to możesz pomyśleć o czymś innym. Na przykład o grze na jakimś instrumencie albo o czymś podobnym. Mike zacisnął wargi.

- No, moja droga, to już był cios poniżej pasa. Oczy Julie rozbłysły.

- Taki celny jak Henry'ego?

- Nie - odparł Mike po chwili zastanowienia. - Henry trafił celniej.

- Wstręciuchy!

- Cóż mogę powiedzieć? Jesteś nowicjuską.

Julie uśmiechnęła się, po czym cofnęła się nieco, jak gdyby po to, by zyskać trochę czasu, żeby móc go lepiej ocenić.

- Jesteś człowiekiem naprawdę łatwym we współżyciu, wiesz?

- Dlatego że łatwo mi dokuczyć?

- Nie. Dlatego że umiesz śmiać się z żartów na swój temat. Mike milczał przez chwilę, próbując usunąć smar z paznokci.

- To zabawne - powiedział.

- Co takiego?

- Słowa, jakich użyłaś. Andrea powiedziała mi dokładnie to samo parę dni temu.

- Andrea? - powtórzyła Julie, niepewna, czy dobrze usłyszała.

- Tak, podczas weekendu, kiedy byliśmy na randce. Co mi przypomina, że jestem z nią umówiony za kilka minut.

Spojrzał na zegarek, potem na swoją szafkę.

- Ale... zaczekaj... Andrea? - Julie nie potrafiła ukryć zdumienia.

- Tak, jest fantastyczna. Świetnie się bawiliśmy. Ale przepraszam, muszę już lecieć...

Julie dotknęła jego ramienia.

- Ty i Andrea...? - spytała z niedowierzaniem.

Mike patrzył na nią z poważną miną przez kilka sekund, po czym w końcu puścił do niej oko.

- Nabrałem cię, prawda?

Julie skrzyżowała ramiona na piersi.

- Nie - odburknęła.

- Daj spokój. Troszeczkę?

- Nie.

- Przyznaj się.

- No dobrze. Przyznaję.

Mike popatrzył na nią z zadowoloną miną. - W porządku. Teraz jesteśmy kwita.

ROZDZIAŁ 11

Julie puściła drzwi, które zamknęły się za nią, delektując się w myślach rozmową z Mikiem. Mabel, która siedziała przy biurku, podniosła głowę.

- Czy miałaś spotkać się dzisiaj wieczorem z Richardem? - spytała.

- Nie. Czemu pytasz?

- Zaszedł tutaj. Nie widziałaś go?

- Byłam w warsztacie u Mike'a.

- Wracając, nie zauważyłaś Richarda?

- Nie.

- To dziwne - rzekła Mabel. - Powinnaś była spotkać go na ulicy. Chodzi mi o to, że wyszedł parę minut temu.

- Chyba nie. - Julie wyjrzała za drzwi. - Mówił, czego chce?

- Właściwie nie. Po prostu cię szukał. Pewnie go jeszcze dogonisz, jeśli się pośpieszysz.

Mabel włączyła automatyczną sekretarkę i dokończyła porządki na biurku, obserwując Julie, która nie mogła się zdecydować - iść czy nie iść. Gdy minęła dobra chwila - i w ten sposób decyzja została podjęta samoistnie, poza Julie - Mabel mówiła dalej, jak gdyby niczego nie sugerowała.

- Nie wiem jak ty, ale ja jestem skonana. Wszystkie klientki, które dzisiaj obsługiwałam, okropnie narzekały. Jeśli nie na włosy, to na dzieci, mężów, nowego pastora, ujadające psy, beznadziejnych kierowców z północy. Czasami mam ochotę powiedzieć im po prostu, żeby dorosły. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Julie myślała nadal o Richardzie.

- To chyba z powodu pełni - zauważyła. - Wszyscy są skwaszeni.

- Nawet Mike?

- Nie, Mike nie. - Julie machnęła dłonią z wyraźną ulgą - Mike jest zawsze taki sam.

Mabel wyciągnęła dolną szufladę biurka i wyjęła z niej piersiówkę.

- No, pora rozjaśnić umysł - oznajmiła. - Przyłączysz się do mnie?

Mabel lubiła rozjaśniać umysł regularnie, toteż w rezultacie miała jaśniejszy od wszystkich znajomych Julie.

- Tak, chętnie. Zamknę drzwi na klucz.

Mabel wyjęła z tej samej szuflady dwa plastikowe kubeczki i umościła się wygodnie na kanapie. Zanim jeszcze Julie do niej dołączyła, zrzuciła buty, oparła nogi na stole i zaczęła

sączyć drinka. Z zamkniętymi oczami i głową odchyłoną na oparcie, sprawiała wrażenie osoby, której wydaje się, że wygrzewa się w promieniach tropikalnego słońca, wyciągnięta na leżaku na odległej plaży.

- No więc, co porabia teraz Mike? - spytała, nie otwierając oczu. - Ostatnio prawie wcale tutaj nie wpada.

- Nie dzieje się u niego nic szczególnego. Pracuje, sprzecza się z Henrym, wszystko po staremu. Poza tym, niewiele. - Julie umilkła, po czym powiedziała nagle rozpromieniona: - Och, czy słyszałaś, że za kilka tygodni będzie grał w „Clipper”?

- Naprawdę? Hurra. - W głosie Mabel nie słychać było entuzjazmu. Julie roześmiała się.

- Bądź miła. To jest naprawdę całkiem niezły zespół.

- Niewiele to pomoże.

- On nie jest aż taki beznadziejny.

Mabel uśmiechnęła się, opuszczając nogi i siadając.

- Och, kochanie, wiem, że Mike to twój przyjaciel, ale dla mnie jest jak członek rodziny. Pamiętam, jak biegał w pieluchach, i wierz mi, stanowczo jest aż taki fatalny. Wiem, że doprowadza go to do szewskiej pasji, ponieważ jest to rzecz, którą naprawdę chciałby robić. Ale jak głosi Biblia: „Nie słuchajcie okropnych śpiewaków, albowiem zniszczą wam słuch”.

- Biblia niczego takiego nie głosi.

- A powinna. I zapewne głosiłaby, gdyby Mike żył w tamtych czasach.

- Dobrze już, dobrze. On to kocha. Skoro występy sprawiają mu taką radość, cieszę się jego szczęściem.

- Wobec tego jesteś nadzwyczaj uprzejmą i wyjątkową kobietą, Julie - powiedziała Mabel z uśmiechem. - Nie obchodzi mnie, co mówią o tobie inni, ja cię lubię. - Mabel wzniosła toast swoim kubeczkim.

- I vice versa - odrzekła Julie, stukając się z nią.

- A więc, co się dzieje między tobą a Richardem? - spytała Mabel. - Po jego dzisiejszej wizycie w salonie prawie o nim nie mówisz.

- Chyba wszystko w porządku. Mabel zadarła brodę do góry.

- Chyba? Tak jak w: „Chyba nie widzę góry lodowej, kapitanie”?

- W porządku - powtórzyła Julie.

Mabel nie spuszczała czujnego spojrzenia z twarzy Julie.

- Dlaczego więc nie wybiegłaś, żeby go dogonić, kiedy poddałam ci tę myśl?

- Bez powodu - odparła Julie. - Po prostu już się z nim dzisiaj widziałam.

- Ach, tak - wycedziła Mabel. - To chyba sensowne wytłumaczenie.

Julie upiła łyk, czując, jak alkohol pali ją w przełyku. Nie mogła rozmawiać z Mikiem o Richardzie, ale Mabel to całkiem co innego. Miała nadzieję, że Mabel pomoże jej uporządkować uczucia wobec Richarda.

- Pamiętasz medalion, który mi podarował? - spytała w końcu.

- Jak mogłabym zapomnieć, JB?

- No więc - powiedziała Julie - problem polegał na tym, że go dzisiaj nie włożyłam.

- I co z tego?

- Tak właśnie uważałam, lecz Richard wyraźnie poczuł się urażony.

- Jeśli czuł urazę z tego powodu, to przypomnij mi, żebym nigdy nie poczęstowała go moim klopsem. - Gdy Julie nie zareagowała, Mabel machnęła ręką, w której trzymała kubek, i mówiła dalej: - A więc poczuł się dotknięty. I co z tego? Mężczyźni mają swoje dziwactwa i może to jest jedno z nich. Bywają gorsze rzeczy, uwierz mi. Myślę jednak, że powinnaś osądzać to, co zdarzyło się dzisiaj, na tle wszystkiego innego. Byłaś dotąd na ilu randkach... trzech?

- Właściwie czterech. Jeśli policzyć ostatni weekend za dwie.

- I mówiłaś, że było sympatycznie?

- Tak. Na razie tak.

- Wobec tego może miał akurat zły dzień. Mówiłaś mi, że ma nienormowany czas pracy, prawda? Może musiał pójść do pracy w niedzielę i pracować do późna. Nie wiadomo.

Julie bębniła palcami o kubek.

- Może.

Mabel obracała w palcach kubeczek z bourbonem.

- Nie przejmuj się zbytnio - powiedziała spokojnie. - Dopóki nie wpada w przesadę, to nic takiego.

- Czyli mam sobie odpuścić?

- Niezupełnie. Nie powinnaś też całkiem zlekceważyć takiego sygnału.

Julie podniosła głowę. Ich spojrzenia się spotkały.

- Posłuchaj kobiety, która była w swoim życiu na bardzo wielu randkach i poznała bardzo wielu mężczyzn - rzekła Mabel. - Każdy człowiek, nie wyłączając ciebie, na początku znajomości stara się zrobić najlepsze wrażenie. Czasami drobne dziwactwa okazują się dużymi, a ogromną przewagą kobiet... czasami jedyną przewagą... jest ich intuicja.

- Wydaje mi się, że przed chwilą twierdziłaś, iż nie mam się czym przejmować.

- To prawda. Nigdy jednak nie lekceważ intuicji.

- Myślisz zatem, że problem jednak istnieje?

- Kochanie, nie wiem, co myśleć, podobnie jak ty. Nie mam pod ręką magicznej księgi odpowiedzi. Mówię ci po prostu, żebyś nie przechodziła nad tym do porządku dziennego, skoro cię to tak bardzo zaniepokoiło, ale też nie zepsuj czegoś dobrego. Właśnie po to chodzi się na randki, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o drugim człowieku, żeby sprawdzić, czy dwoje ludzi do siebie pasuje. Staram się dorzucić do tej mieszanki odrobinę staroświeckiego zdrowego rozsądku, to wszystko.

Julie milczała, przetrawiając słowa przyjaciółki.

- Chyba masz rację - powiedziała w końcu. Zadzwoił telefon i Mabel odwróciła się w jego stronę. Po chwili włączyła się automatyczna sekretarka. Po odsłuchaniu wiadomości Mabel wróciła spojrzeniem do Julie.

- A więc, cztery randki, tak? Julie skinęła twierdząco głową.

- Będzie piąta?

- Jeszcze się ze mną nie umówił, ale przypuszczam, że zechce to zrobić.

- Dziwny sposób odpowiedzi na moje pytanie.

- O co ci chodzi?

- Nie powiedziałaś, co ty zamierzasz zrobić, jeśli cię o to poprosi.

Julie odwróciła wzrok.

- Nie - przyznała. - Chyba nie powiedziałam.

* * *

Gdy wróciła do domu, Richard już na nią czekał.

Stał oparty o zaparkowany przed domem samochód, ze skrzyżowanymi ramionami i nogą założoną na nogę, przyglądając się, jak skręca w podjazd.

Julie zatrzymała się, zmierzyła ostrzegawczym spojrzeniem śpiewaka i odpięła pas.

- Zostaniesz w dżipie, dopóki cię nie zawołam, dobrze?

Śpiewak zastrzygł uszami.

- I zachowuj się - dodała, wysiadając z samochodu. Richard zdążył już wejść na podjazd.

- Witaj, Julie - powiedział.

- Cześć - odrzekła chłodno. - Co tutaj robisz? Richard przestąpił z nogi na nogę.

- Miałem wolną chwilę i pomyślałem, że wpadnę. Próbowałem złapać cię w salonie, ale dokądś wyszłaś.

- Musiałam pójść po Śpiewaka. Był w warsztacie. Richard skinął głową.

- Tak mi powiedziała Mabel. Niestety, nie mogłem czekać, miałem do podrzucenia kilka planów przed zamknięciem biura i, prawdę mówiąc, muszę tam wrócić, gdy tylko załatwię sprawy tutaj. Chciałem przeprosić cię za moje zachowanie dzisiaj rano. Przemyślałem sprawę i doszedłem do wniosku, że trochę przesadziłem.

Uśmiechnął się ze skruchą, niczym dziecko przyłapano wtedy, gdy sięga do słoja z ciasteczkami.

- Cóż... - powiedziała Julie - skoro już o tym wspomniałeś...

Richard podniósł dłonie, powstrzymując ją.

- Wiem, wiem. Żadnych usprawiedliwień. Chciałem cię tylko przeprosić.

Julie odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk.

- Naprawdę tak cię zdenerwowało, że nie włożyłam medalionu?

- Nie - zaprzeczył Richard. - Uwierz mi, nie o to chodziło.

- A więc, o co?

Richard odwrócił wzrok. Mówił tak cicho, że Julie prawie go nie słyszała.

- Ten weekend był dla mnie taki cudowny, a kiedy zobaczyłem, że nie masz na szyi wisiorka, pomyślałem, że uważasz inaczej. Odniosłem chyba wrażenie, że w pewnym sensie sprawiłem ci zawód. To znaczy... nie wiesz, jak bardzo cieszę się, że spędziłem ten czas z tobą. Czy rozumiesz, co próbuję powiedzieć?

Julie zastanawiała się przez chwilę, po czym skinęła głową.

- Tak - odparła.

- Wiedziałem, że zrozumiesz - rzekł Richard. Rozejrzał się dookoła, jak gdyby nagle jej obecność podziałała na niego onieśmielająco. - No cóż... mówiłem ci już, że muszę wracać do pracy.

- Jasne. - Julie uśmiechnęła się z przymusem. Chwilę później już go nie było. Tym razem nie próbował jej pocałować.

ROZDZIAŁ 12

W ciemności rozjaśnionej tylko poświatą księżyca Richard podszedł do drzwi wiktoriańskiego domu, który chwilowo wynajmował. Znajdował się na peryferiach miasta, jakieś sto metrów od głównej drogi, wokół rozciągały się pola uprawne.

Lśniący w blasku księżyca dom sięgał do połowy wysokości otaczających go sosen. Mimo że nieco zaniedbany, nadal zachował staroświecki urok; z listwami i boazerią przywodził na myśl przystrojone koronką zaproszenie na bal w rezydencji gubernatora. Posiadłość wymagała gospodarskiej ręki. Niegdyś wypielegnowany ogród zarósł chwastami i puerarią łatkowatą, nie odbierało mu to jednak uroku. W nieładzie natury tkwi piękno, pomyślał, w krzywych liniach nocnych cieni, w różnorodności kolorów, kształtów gałęzi i liści w świetle dnia.

Jeśli jednak idzie o wnętrze domu, to był zwolennikiem porządku. Nieład kończył się przy drzwiach. Gdy wszedł do środka, zapalił światła. Wypożyczone meble - nieliczne, ale w dostatecznej ilości, żeby dom wyglądał przyzwoicie - nie były w jego guście, lecz w tak małym miasteczku jak Swansboro wybór był ograniczony. W świecie tanich towarów i sprzedawców w marynarkach ze sztucznego tworzywa wybrał najmniej prymitywne przedmioty, jakie udało mu się znaleźć - kanapy z obiciem z jasnobrązowego sztruksu, niskie stoliki z dębową okładziną, lampy z plastiku imitującego brąz.

Jednakże dzisiaj wieczorem nie zwracał uwagi na wystrój. Dziś jego myśli zaprzętała wyłącznie Julie. I medalion. I to, jak na niego popatrzyła kilka chwil temu.

Znowu zbyt mocno naciskał i ponownie go na tym przyłapała. Stawała się dla niego wyzwaniem, ale podobało mu się to. Czuł szacunek, ponieważ ponad wszystko gardził słabością.

Dlaczego, u licha, ona mieszka w takim małym miasteczku?

Pomyślał, że Julie pasuje do wielkiego miasta, z zatłoczonymi chodnikami i migotliwymi neonami, impulsywnymi obelgami i natychmiastowymi ripostami. Była zbyt inteligentna, nazbyt elegancka na taką miejscinę. Brakowało tu napędu, żeby mogła rozwinąć skrzydła, czegoś, co dodałoby jej sił na dłuższą metę. Niewykorzystywana siła marnuje się i Richard wiedział, że gdyby Julie została tutaj, osłabłaby, tak jak osłabła jego matka. Po pewnym czasie przestałaby zasługiwać na szacunek.

Tak jak jego matka. Ofiara. Wieczna ofiara.

Zamknął oczy, wracając myślą do przeszłości. Był tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty rok.

Z lewym okiem tak zapuchniętym, że nie mogła go otworzyć, i fioletowym siniakiem na policzku, matka pakowała walizkę do bagażnika, starając się robić to możliwie szybko. W walizce znajdowały się ubrania dla nich dwojga. W portmonetce miała trzydzieści siedem dolarów bilonem. Prawie rok zajęło jej uzbieranie takiej sumy. Vernon prowadził rachunki i dawał jej pieniądze wyłącznie na zakupy. Nie wolno jej było nawet dotknąć książeczki czekowej i nie wiedziała, na jakie konto w banku wpływają jego pobory. Drobną sumę, której była właścicielką, zebrała spomiędzy poduszek kanapy, z drobniaków, które wypadały mu z kieszeni, gdy drzemał przed telewizorem. Ukryła monety w pudełku proszku do prania na górnej półce w spiżarni i za każdym razem, gdy Vernon szedł w tamtym kierunku, serce waliło jej w piersi jak młotem.

Mówiła sobie, że tym razem opuszcza go na dobre. Tym razem nie namówi jej do powrotu, nie uwierzy mu, choćby był nie wiem jak miły dla niej, choćby nie wiem jak szczerze obietnice jej składał. Mówiła sobie, że jeśli znowu zostanie, mąż ją zabije. Może jeszcze nie w tym miesiącu, może nie w następnym, ale ją zabije. A potem zabije ich syna. Powtarzała to sobie w kółko, niemal jak mantrę, jak gdyby te słowa miały dać jej siłę do ucieczki.

Richard myślał o zachowaniu matki tamtego dnia. Jak zatrzymała go w domu, nie pozwalając iść do szkoły, jak powiedziała, żeby wbiegł do domu i zabrał bochenek chleba i masło orzechowe, ponieważ wybierają się na piknik. Jak kazała mu wziąć kurtkę, na wszelki wypadek, gdyby zrobiło się chłodniej. Miał zaledwie sześć lat i posłuchał matki, mimo iż wiedział, że kłamie.

Ubiegłej nocy, leżąc w łóżku, słyszał krzyki i płacz matki. Słyszał głośnie plaśnięcie, gdy ojciec uderzył matkę w twarz, słyszał, jak matka gruchnęła całym ciałem o cienką ścianę dzielącą ich sypialnię od jego pokoju, słyszał jej jęki i błagania, żeby przestał, że przeprasza, naprawdę chciała zrobić pranie, ale musiała zaprowadzić ich syna do lekarza. Słuchał, jak Vernon wyzywa ją i rzuca te same oskarżenia, co zwykle, kiedy jest pijany. „Jest do mnie kompletnie niepodobny! - krzyczał. „To nie moje dziecko!”.

Pamiętał, że leżąc w łóżku i słuchając jego wrzasków, modlił się, żeby to była prawda. Nie chciał, żeby ten potwór był jego ojcem. Nienawidził go. Nienawidził tłustego połysku na włosach Vernona, gdy wracał do domu z zakładów chemicznych, woni alkoholu, bijącej od niego w nocy. Nienawidził faktu, że podczas gdy inne dzieci z sąsiedztwa dostawały na Gwiazdkę rowery i wrotki, jemu ojciec kupował kij baseballowy, lecz bez rękawicy czy piłeczki. Nienawidził, gdy ojciec bił matkę za to, że jego zdaniem dom nie był wystarczająco wysprzątnany lub nie mógł znaleźć czegoś, co matka odłożyła na miejsce. Nienawidził tego, że mieli zawsze zaciągnięte zasłony i że nikomu nigdy nie było wolno ich odwiedzać.

- Szybciej - ponagliła go matka, kiwając na niego dłonią. - Chcemy chyba znaleźć dobry stolik w parku.

Richard wbiegł do domu.

Ojciec przyjdzie na lunch za godzinę, jak to robił codziennie.

Mimo że chodził do pracy piechotą, zabierał ze sobą kluczyki samochodowe, nosił je przypięte na kółku do paska, wraz z innymi. Tego ranka matka odczepiła jeden kluczyk, gdy ojciec palił papierosa, czytając gazetę, i jadł jajka na bekonie, które mu usmażyła.

Powinni byli wyjechać natychmiast, gdy tylko ojciec zniknął za wzgórzem, idąc do pracy. Nawet o szóstej rano. Matka siedziała przez kilka godzin przy stole, paląc papierosa za papierosem, ręce jej się trzęsły. Nie powiedziała ani słowa, ani się nie poruszyła, zdecydowała się dopiero kilka minut temu.

Teraz jednak czas ich naglił. Matka odchodziła od zmysłów na myśl, że im się nie uda. Znowu.

Wybiegł jak szalony przez drzwi, tuląc w ramionach chleb, masło orzechowe oraz kurtkę i pobiegł w stronę samochodu. Nawet z daleka widział, że białko w lewym oku matki podpłynęło krwią. Zatrzasnął drzwi pontiaca, matka zaś usiłowała włożyć kluczyk do stacyjki, nie mogła jednak trafić drżącymi palcami. Wzięła głęboki oddech i spróbowała jeszcze raz. Tym razem silnik zaskoczył i matka zmusiła się do uśmiechu. Miała opuchniętą wargę, przez co uśmiech wyszedł krzywy. Z powodu posiniaczonej twarzy i krwawego oka było w nim coś przerażającego. Włączyła wsteczny bieg i wycofała samochód z garażu. Na drodze silnik pracował przez chwilę na jałowym biegu i matka spojrzała na tablicę rozdzielczą.

Na chwilę niemal straciła oddech. Wskaźnik paliwa stał prawie na zerze.

A więc zostali. I tym razem. Jak zawsze.

Tamtej nocy też słyszał za ścianą głosy rodziców, ale teraz nie były gniewne. Przeciwnie, były to odgłosy pocałunków i śmiechy. Później słyszał już tylko przyśpieszony oddech matki, która wymawiała głośno imię ojca. Gdy wstał nazajutrz z łóżka, matka i ojciec obejmowali się w kuchni. Ojciec puścił do niego oko i Richard patrzył, jak przesuwają dłonie niżej, tak że spoczęły na spódnicy matki.

Zobaczył, że matka spłonęła rumieńcem.

Richard otworzył oczy. Nie, pomyślał, Julie nie może tutaj zostać. Nie może, jeśli chce pędzić życie, do jakiego została stworzona, na jakie zasługuje. Zabierze ją od tego wszystkiego.

Postąpił głupio, wspominając o medalionie. Idiotycznie. Nie dopuści do tego, żeby

taka sytuacja się powtórzyła.

Zatopiony w myślach, ledwie usłyszał dzwonek telefonu, ale zdążył wstać i podnieść słuchawkę, nim włączyła się automatyczna sekretarka.

Zdążył odczytać na wyświetlaczu numer kierunkowy Daytona. Zaczerpnął głęboko tchu, zanim się odezwał.

ROZDZIAŁ 13

W ciemności sypialni, czując, jak nasila się alergiczny ból głowy, Julie rzuciła poduszką w Śpiewaka.

- Zamknij się, dobrze? - jęknęła.

Śpiewak nie zareagował na poduszkę. Stał przed drzwiami sypialni, dysząc i warcząc, najwyraźniej domagając się, żeby Julie wstała i wypuściła go na dwór, żeby mógł - jak to tylko psy potrafią - „zbadać sytuację”. Przez ostatnią godzinę snuł się po całym domu, od sypialni do salonu i z powrotem, od czasu do czasu trącąc ją wilgotnym nosem, aż niemal podskakiwała ze strachu.

Nakryła głowę poduszką, nie wystarczyło to jednak, żeby zagłuszyć dźwięki, które wydawał, a brak dopływu powietrza sprawił, że poczuła się jeszcze gorzej.

- Nic tam nie ma - wymamrotała. - Jest środek nocy i boli mnie głowa. Nie wstanę z łóżka.

Śpiewak nie przestawał warczeć. Nie był to złowrogi pomruk ani też warknięcie, jakie wydobywały się z jego gardła, kiedy inkasent przychodził sprawdzić licznik, albo - broń Boże! - listonosz próbował dostarczyć pocztę. Po prostu trudne do zniesienia burczenie, zbyt głośne, żeby można nie zwrócić na nie uwagi.

Julie rzuciła w niego ostatnią poduszką. Śpiewak odpłacił jej pięknym za nadobne, przemierzając cicho pokój i wsadzając jej nos do ucha.

Usiadła, wycierając ucho palcem.

- Dość tego! Spokój! Śpiewak merdał ogonem, najwyraźniej ogromnie z siebie zadowolony. „Teraz pójdziemy dokądś - no, rusz się!”. Wybiegł z pokoju, pokazując jej drogę.

- Świetnie! Chcesz, żebym ci udowodniła, że niczego tam nie ma, ty zwariowany psie?

Julie potarła skronie, jęcząc żałośnie, po czym pokuśtykała za nim do salonu. Śpiewak stał już przed frontowymi oknami. Odsunął nosem zasłony na bok i rozglądał się dookoła.

Julie wyjrzała również, ale niczego nie zobaczyła.

- Widzisz? Nie ma nikogo. Mówiłam ci!

Śpiewaka jednak to nie uspokoiło. Podszedł do drzwi i stanął przed nimi.

- Jeśli wyjdiesz, nie spodziewaj się, że będę na ciebie czekała. Wychodzisz, to wychodzisz. Ja wracam do łóżka. Naprawdę boli mnie głowa... choć ciebie to pewnie nie obchodzi.

Śpiewak chyba rzeczywiście się nie przejął.

- Dobrze - powiedziała Julie. - Niech ci będzie. Otworzyła drzwi. Spodziewała się, że pies pobiegnie prosto w stronę lasu, on jednak tego nie zrobił. Wszedł tylko na werandę i szczeknął dwa razy, po czym opuścił łeb i zaczął węszyć. Julie objęła się ramionami i rozejrzała się dookoła.

Nic. Najmniejszego znaku, że ktokolwiek kręci się w pobliżu. Panowała cisza, słychać było tylko kumkanie żab i ćwierkanie świerszczy. Ulica była pusta. Liście nawet nie drgnęły.

Uspokojony Śpiewak zawrócił i wbiegł do domu.

- I to wszystko? Po to wyciągnąłeś mnie z łóżka?

Pies podniósł swój wielki łeb i spojrzał na Julie. „Droga wolna” - zdawał się mówić. „Nie ma powodu do zmartwienia. Możesz teraz spokojnie położyć się spać”.

Julie zmierzyła go gniewnym spojrzeniem, po czym ruszyła do sypialni. Śpiewak nie poszedł za nią. Gdy obejrzała się przez ramię, wracając do łóżka, zobaczyła, że znowu siedzi przy oknie, odsunąwszy nosem zasłony.

- Rób, co chcesz - mruknęła.

Poszła do łazienki, czując, że serce wciąż mocno jej bije, i połknęła tabletkę tylenolu, żeby móc zasnąć.

Gdy po godzinie Śpiewak zaczął warczeć i szczekać, tym razem nie na żarty, Julie - która zamknęła drzwi sypialni i włączyła wentylator w łazience - nie usłyszała go.

* * *

Nazajutrz rano Julie stała na podjeździe w ciemnych okularach. Słońce żarzyło się na niebie tak błękitnym, że aż wydawało się sztuczne. Ciągłe jeszcze bolała ją głowa, nie był to jednak taki nieznośny ból jak wczorajszego wieczoru. Śpiewak nie odstępował jej na krok, gdy czytała list wetknięty za wycieraczkę dżipa.

Julie!

Zostałem wezwany w sprawie niecierpiącej zwłoki i musiałem wyjechać z miasta, toteż nie będę mógł spotkać się z tobą przez parę dni. Zadzwoń, gdy tylko mi się uda. Nie przestanę myśleć o tobie.

Richard

Julie spojrzała na Śpiewaka.

- A więc to z tego powodu awanturowałeś się wczoraj? - spytała, trzymając list w dłoni. - Chodzi ci o Richarda?

Śpiewak znowu wyglądał na ogromnie zadowolonego z siebie. Jego mina wyraźnie miała znaczyć: „Czemu mnie nie słuchasz, mówiłem ci przecież, że ktoś tam jest”.

Tylenol pozostawił jej uczucie lekkiego otumanienia i niesmak w ustach, poza tym nie była w nastroju, żeby znosić jego poczucie wyższości.

- Daruj sobie, dobrze? Przez ciebie nie spałam pół nocy. W końcu go znasz, miejmy to więc już za sobą.

Śpiewak prychnął i wskoczył do dzipa.

- On nawet nie podszedł do drzwi.

Julie zatrzasnęła tylne drzwi i wsunęła się na przednie siedzenie. Widziała we wstecznym lusterku, jak Śpiewak okręca się, po czym siada zwrócony tyłem do niej.

- Tak, ja też jestem na ciebie wściekła.

Przez całą drogę do pracy, gdy spoglądała we wsteczne lusterko, Śpiewak nie odwrócił się ani też nie wystawił jak zwykle łba przez okno, pozwalając, by uszy i język łopotały mu na wietrze. Gdy tylko zaparkowała samochód, Śpiewak wyskoczył. Mimo że go wołała, nie zatrzymał się, przebiegł przez ulicę i skierował się prosto do warsztatu.

Psy.

Czasami, pomyślała Julie, zachowują się równie dziecinnie jak mężczyźni.

* * *

Mabel siedziała przy telefonie, odwołując umówionych klientów Andrei, która wzięła kolejny dzień „na załatwienie spraw osobistych”. Przynajmniej tym razem zadzwoniła, pomyślała Mabel. Niewątpliwie Andrea znowu opowie jakąś nieprawdopodobną historię. Ostatnim razem twierdziła, że zobaczyła Bruce'a Springsteena na parkingu Food Lion i chodziła za nim przez cały dzień, aż wreszcie okazało się, że to wcale nie on. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że raczej trudno znaleźć powód, dla którego Bruce Springsteen miałby pojawić się w Food Lion w Swansboro.

Gdy Mabel usłyszała brzęk dzwoneczka przy drzwiach, odwróciła się i zobaczyła Julie. Sięgnęła do pudełka z herbatnikami, wyjęła jeden, żeby dać go Śpiewakowi, ale w tej samej chwili zauważyła, że Julie jest sama.

- Gdzie Śpiewak? - spytała.

Julie położyła torebkę na półce obok swojego stanowiska.

- Chyba poszedł złożyć wizytę Mike'owi.

- Znowu?

- Mieliśmy małą sprzeczkę.

Powiedziała to dokładnie w taki sam sposób jak wtedy, gdy kłóciła się z Jimem, i Mabel uśmiechnęła się. Julie nie zdawała sobie jednak sprawy, jak zabawnie to brzmi dla

innych ludzi.

- Sprzeczkę, tak? - spytała Mabel.

- Tak, i przypuszczam, że teraz się na mnie bocy. Jak gdyby chciał mnie ukarać za to, że ośmieliłam się na niego nakrzyczeć. Ale zasłużył na to.

- Ach tak - rzekła Mabel. - Co się stało? Julie opowiedziała Mabel o minionej nocy.

- Zostawił list z przeprosinami? - spytała Mabel.

- Nie, przeprosił mnie wczoraj, gdy wróciłam do domu. W liście poinformował mnie tylko, że musi wyjechać z miasta na parę dni.

Aczkolwiek Mabel miała wielką ochotę dowiedzieć się, jak wyglądały przeprosiny, gołym okiem było widać, że Julie nie jest w nastroju, by o tym rozmawiać. Odłożyła herbatnik do pudełka i obrzuciła spojrzeniem pusty koc Śpiewaka w kącie.

- Zrobiło się okropnie pusto bez niego - zauważyła. - Jak gdyby ktoś usunął kanapę...

- Z pewnością za chwilę wróci. Znasz go przecież. Jednakże, ku ich zdziwieniu, osiem godzin później Śpiewaka nadal nie było.

* * *

- Kilkakrotnie usiłowałem zaprowadzić go do was, do salonu - powiedział Mike, zdumiony nie mniej od Julie. - On jednak nie chciał pójść za mną, choć go wołałem. Próbowałem przekupić go kawałkiem suszonej wołowiny, ale on z uporem nie chciał wyjść z warsztatu. Wziąłem nawet pod uwagę ewentualność wyciągnięcia go siłą, lecz szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby mi na to pozwolił.

Julie popatrzyła na Śpiewaka. Siedział obok Mike'a, obserwując ją z przechylnym na bok łbem.

- Jesteś wciąż na mnie wściekły, Śpiewak? - spytała. - O to chodzi?

- Dlaczego miałby być na ciebie wściekły?

- Mieliśmy małą sprzeczkę.

- Aha - powiedział Mike. - Zamierzasz siedzieć tutaj czy idziesz ze mną? Pies oblizał się, ale nawet nie drgnął.

- Śpiewak, do nogi! - zawołała go. Pies nie ruszył się z miejsca.

- Do nogi! Chociaż nigdy nie wydawała mu tej właśnie komendy, nie miała pojęcia, co innego powiedzieć. Gdy Julie wyraźnie zaczęła tracić panowanie nad sobą, Mike pstryknął palcami.

- No, idź, Śpiewak, zanim wpadniesz w większe kłopoty. Na rozkaz Mike'a Śpiewak wstał i ponad wszelką wątpliwość niechętnie podszedł do swojej pani. Julie wsparła się pod

boki.

- A więc teraz słuchasz tylko Mike'a?

- Nie zwalaj winy na mnie - rzekł Mike z niewinną miną. - Ja nic nie zrobiłem.

- Wcale cię nie winię. Po prostu nie wiem, co w niego ostatnio wstąpiło. - Śpiewak usiadł przy niej i podniósł łeb. - Co robił przez cały dzień?

- Drzemał, zwędził moją kanapkę z indykiem, kiedy poszedłem po coś do picia, wyszedł za swoją potrzebą. Wygląda na to, że zwyczajnie wprowadził się na jeden dzień.

- Czy według ciebie zachowywał się dziwnie?

- Nie, ani trochę. Poza tym, że wmeldował się do mnie, wszystko jest chyba w normie.

- Nie był wściekły?

Mike podrapał się po głowie, wiedząc, że Julie traktuje to pytanie bardzo poważnie.

- Cóż, szczerze mówiąc, o niczym nie wspominał, przynajmniej mnie. Chcesz, żebym spytał Henry'ego? Może rozmawiali, kiedy wyszedłem.

- Natrząsasza się ze mnie?

- Ależ skąd. Nigdy bym się nie ośmielił.

- Twoje szczęście. Po tym jak ktoś omal nie odebrał mi mojego psa, naprawdę nie jestem w nastroju do żartów.

- Nikt ci go nie odebrał. Po prostu mnie odwiedził.

- Tak, i teraz woli ciebie.

- Może tęskni za mną. Łatwo się ode mnie uzależnić. Julie uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, gdy weszła do warsztatu.

- Doprawdy?

- Co mogę na to poradzić? To fatum. Julie roześmiała się.

- Musi ci być bardzo ciężko.

Mike pokręcił głową, myśląc, że Julie wygląda naprawdę pięknie.

- Nie masz pojęcia jak bardzo.

* * *

Po godzinie Julie stała przy zlewie w kuchni, dzielnie przytrzymując ścierki do naczyń, którymi śpiesznie obwiązała ciekący kran, starając się, jak potrafiła najlepiej, zatamować gejzer wody, który wystrzelił niemal pod sufit. Chwyliła jeszcze jedną ścierkę, dodając ją do pozostałych, i zacisnęła mocniej, zmniejszając wreszcie wypływ wody. Niestety, skierowała w ten sposób jej część na siebie.

- Możesz przynieść mi telefon? - krzyknęła, podnosząc wysoko brodę, żeby uniknąć

zalania twarzy.

Śpiewak potruchtał do salonu. Po chwili Julie wyjęła wolną ręką bezprzewodowy telefon z jego pyska. Wcisnęła pierwszy zaprogramowany numer.

* * *

Mike siedział na kanapie, chrupiąc doritos, palce miał poplamione na pomarańczowo, między nogami trzymał puszkę piwa. To - oraz Big Mac, który kupił (i pochłonił) w drodze do domu - była jego kolacja. Obok leżała gitara. Jak zawsze, gdy skończył grać, zamknął oczy i oparł się wygodnie, wyobrażając sobie, jak Katie Couric opisuje tę scenę w ogólnokrajowym programie telewizyjnym.

To najbardziej wyczekiwany koncert roku - rozplywa się Katie. - Swoim jednym albumem Michael Harris podbił muzyczny świat. Jego pierwsza płyta sprzedała się w większej ilości egzemplarzy niż absolutnie wszystkie płyty Beatlesów i Elvisa Presleya razem wzięte. Zapowiada się, że koncert, z którego telewizja przeprowadzi transmisję, zgromadzi największą widownię w historii. Będzie transmitowany jednocześnie na cały świat, szacuje się, że obejrzą go trzy miliardy ludzi, a na żywo około dwóch milionów. Moi drodzy, to są wydarzenia, które przejdą do historii.

Uśmiechając się błogo, Mike wrzucił następnego chipsa do ust. O tak, pomyślał. O tak.

Słyszycie, jak tłumy za mną skandują jego imię. Zdziwiająco, na jak wielu osobach wywarł wielkie wrażenie. Ludzie przychodzili do mnie przez cały dzień, mówiąc, że Michael Harris zmienił swoją muzyką ich życie... a oto i on sam!

Głos Katie tonie w okrzykach napierającego tłumu i ogłuszających oklaskach. Mike wchodzi na scenę, trzymając w dłoniach gitarę.

Rozgląda się po widowni. Publiczność szaleje, hałas jest wręcz przeraźliwy. Gdy zbliża się do mikrofonu, zostaje obrzucony kwiatami. Kobiety i dzieci są pod jego ogromnym wrażeniem. Mężczyźni, przewyciężając zazdrość, żałują, że nie są nim. Katie omal nie mdleje.

Mike stuka w mikrofon, dając do zrozumienia, że jest gotów do rozpoczęcia występu, i nagle widzowie cichną. Czekają na niego, on jednak nie zaczyna grać od razu. Mijają sekundy, potem kolejne, publiczność drży z gorączkowego oczekiwania, a on pozwala, by napięcie rosnęło.

I napięcie rośnie, aż w końcu staje się niemal nie do zniesienia. Widzowie to czują, Katie to czuje. Czują to miliardy ludzi oglądających telewizję.

Mike również.

Wpółleżąc na kanapie, z ręką na torebce chipsów, kąpie się w falach uwielbienia.

O, TAK...

Gdy telefon na stoliku obok rozdzwonił się jak szalony, wyrwany z marzeń Mike aż podskoczył. Ręka, w której trzymał torebkę z chipsami, mimowolnie poszła mu do góry, powodując wulkaniczną erupcję doritos, które rozsypały się na wszystkie strony, nie mówiąc o tym, że wylał sobie piwo na spodnie. Odruchowo chciał je strzepnąć, ale skutek był taki, że na materiale zostały pomarańczowe smugi.

- Cholera! - zaklął, odstawiając pustą puszkę i torebkę. Sięgnął jedną ręką po słuchawkę, gdy tymczasem drugą usiłował wyczyścić plamy. Rozmazał je tylko jeszcze bardziej.

- Daj spokój - powiedział do siebie. - Przestań. - Telefon zadzwonił znowu i Mike podniósł wreszcie słuchawkę.

- Halo?

- Cześć, Mike - usłyszał wyraźnie podenerwowany głos Julie. - Jesteś zajęty?

Piwo przesiąkało przez materiał i Mike zmienił pozycję w nadziei, że poczuje się lepiej. Nic to nie pomogło, wręcz przeciwnie, płyn przesiąkł aż na siedzenie spodni. Teraz czuł się jak gąbka - obrzydliwe uczucie.

- Niezupełnie.

- Sprawiasz wrażenie, jak gdybyś był czymś zajęty.

- Przepraszam. Miałem tylko mały wypadek z moją kolacją.

- Słucham? Mike wziął do ręki torebkę i zaczął strzepywać doritos z gitary.

- Nic poważnego - powiedział. - Poradzę sobie. No, o co chodzi?

- Potrzebuję cię.

- Naprawdę? - Mile połechtany, zapomniał natychmiast o opłakanym stanie swoich spodni.

- Mój kran eksplodował.

- Ach. - Powietrze uszło z niego jak z przekłutego balonika. - Co się stało?

Skąd mam wiedzieć?

- Może go szarpnęłaś?

- Nie. Próbowałam tylko puścić wodę.

- Czy przedtem chodził lekko?

- Naprawdę nie wiem. No, to możesz wpaść czy nie?

Mike podjął błyskawiczną decyzję.

- Dobrze, tylko najpierw zmienię spodnie.

- Słucham?

- Nieważne. Będę za kilka minut. Muszę najpierw wstąpić do sklepu z artykułami metalowymi i kupić nowy kran.

- Mam nadzieję, że nie zajmie ci to dużo czasu. Tkwią tu unieruchomiona ze ścierką, a śpieszy mi się do toalety. Jeśli ścisnę nogi jeszcze trochę mocniej, uszkodzę sobie kolana.

- Już pędzę.

Ubierając się w pośpiechu, podekscytowany perspektywą spotkania z Julie, przewrócił się tylko raz przy wciąganiu spodni. W tej sytuacji wydało mu się to zupełnie zrozumiałe.

ROZDZIAŁ 14

- Julie? - zawołał Mike, wchodząc do domu.

Julie wyciągnęła szyję, uścisk jej dłoni na ścierkach zelżał.

- Jestem tutaj, Mike. Chyba coś się stało. Wydaje mi się, że kran już nie cieknie.

- Zamknąłem dopływ wody głównym zaworem od frontu. Powinno być teraz dobrze.

Mike wsunął głowę do kuchni i w tej samej chwili przyszło mu na myśl jedno słowo „piersi”. Julie, przemoczona do tego stopnia, że widział wyraźnie zarys jej piersi, wyglądała jak ofiara nastolatków podczas ferii wiosennych, chłopaków, którzy uważają wypijanie galonów piwa i konkursy na miss mokrego podkoszulka za szczytowy punkt swojej egzystencji.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem wdzięczna, że przyszedłeś - powiedziała Julie. Otrząsnęła wodę z dłoni i odwinęła ścierki z kranu.

Mike prawie jej nie słyszał. Nie gap się na jej piersi, powtarzał sobie w myśli, cokolwiek robisz, nie gap się na jej piersi. Dżentelmen z pewnością by się nie gapił. Przyjaciel by się nie gapił. Przykucnąwszy, otworzył skrzynkę z narzędziami. Śpiewak usiadł obok niego i obwąchał ją, jak gdyby szukał tam smakołyków.

- Nie ma sprawy - wymamrotał Mike. Julie zaczęła po kolei wykręcać ścierki.

- Mówię serio. Mam nadzieję, że nie oderwałam cię od niczego ważnego.

- Nie przejmuj się tym.

Julie odciągnęła oblepiający ją podkoszulek od ciała i popatrzyła na niego uważnie.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

Mike zaczął grzebać w skrzynce, szukając klucza francuskiego - długiego cienkiego narzędzia, używanego do naprawy urządzeń wodno - kanalizacyjnych tam, gdzie jest trudny dostęp do złązek.

- Dobrze, a czemu pytasz?

- Zachowujesz się, jak gdybyś był zdenerwowany.

- Nie jestem zdenerwowany.

- Nawet na mnie nie spojrzysz.

- Nie gapię się.

- To właśnie powiedziałam.

- Och...

- Mike?

- No, jest wreszcie! - rzekł nagle, dziękując Bogu, że może zmienić temat. -

Wydawało mi się, że go tu włożyłem.

Julie przyglądała mu się, zaintrygowana.

- Chyba pójde się przebrać - powiedziała w końcu.

- Myślę, że to dobry pomysł - mruknął Mike.

* * *

Czekająca go naprawa była świetną okazją, żeby skupić na czymś myśli, zabrał się więc do niej bezzwłocznie, żeby tylko odegnać sprzed oczu obraz Julie.

Wyjął z bielizniarki kilka ręczników i rozłożył je na podłodze, pozwalając, by wchłonęły cienką warstwę wody, następnie opróżnił szafkę pod zlewozmywakiem, ustawiając butelki z najrozmaitszymi środkami czyszczącymi po obu stronach drzwiczek. Gdy Julie wróciła do kuchni, Mike pracował już nad wymianą kranu - widać było tylko jego tułów i dolną część ciała. Nogi wystawały mu na zewnątrz - mimo że zebrał wodę ręcznikami, na kolanach widniały mokre plamy tam, gdzie musiał uklęknąć. Śpiewak leżał obok niego z głową schowaną w szafce.

- Możesz przestać dyszeć? - spytał udręczonym tonem Mike.

Śpiewak zignorował jego słowa i Mike wypuścił powietrze, starając się oddychać przez usta.

- Mówię poważnie. Śmierdzi ci z pyska. Śpiewak pomeł radośnie ogonem.

- Posuń się trochę. Przeszkadzasz mi.

Julie zobaczyła, jak odpycha, a raczej próbuje odepchnąć psa bez zauważalnego efektu. Zmarzła, ubrała się więc w dzinsy i lekką sportową bluzę. Włosy miała wciąż mokre, ale wyszczotkowała je i zaczesła do tyłu, odgarniając z twarzy.

- Jak ci idzie? - spytała.

Na dźwięk jej głosu Mike podniósł głowę, uderzając się o syfon zlewozmywaka. Czuł na policzku gorący oddech Śpiewaka, jego woń wycisnęła mu łzy z oczu.

- Świetnie. Prawie skończyłem.

- Już?

- To nic trudnego, trzeba tylko odkręcić dwie nakrętki i kran sam wyskakuje. Nie wiedziałem, jaki będzie potrzebny, więc kupiłem podobny do twojego starego. Mam nadzieję, że będzie pasował.

Julie przyjrzała się kranowi.

- Jest dobry.

- Bo mogłem kupić inny. To drobiazg.

- Nie, nie, dopóki działa, jest idealny.

Mike sięgnął znowu po klucz i zabrał się do zdejmowania nakrętki. Ku swemu zdziwieniu Julie przyłapała się na tym, że przygląda się jego napinającym się pod skórą mięśniom. Po chwili usłyszała metaliczny stuk, gdy coś upadło na dno szafki.

- No, mam go - powiedział Mike.

Wysunął się spod zlewu i widząc, że się przebrała, odetchnął z ulgą. Tak było łatwiej. Mniej groźnie. Mniej piersiasto. Wstał i wyjąwszy stary kran, podał go Julie.

- Naprawdę go zepsułaś - powiedział, wskazując na otwór ziejący u góry kranu. - Czego używałaś do odkręcenia? Młotka?

- Nie. Dynamitu.

- Następnym razem weź go trochę mniej.

Julie uśmiechnęła się.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego się zepsuł?

- Chyba po prostu ze starości. Pewnie ma tyle lat co ten dom. To jedyna rzecz, której tu nie wymieniłem, i pewnie powinienem był zerknąć nań, gdy ostatnio naprawiałem młynek do rozdrabniania odpadków w zlewozmywaku.

- A więc przyznajesz się do błędu?

- Jeśli ma to sprawić, że poczujesz się lepiej... Ale daj mi jeszcze chwilę i wszystko zacznie działać, dobrze?

- Jasne.

Mike włożył na miejsce świeżo kupiony kran, po czym wczłgał się z powrotem pod zlew i zamocował go. Następnie wyszedł z kuchni na dwór, przy czym Śpiewak deptał mu przez cały czas po piętach. Odkręciwszy główny zawór, wrócił i wypróbował nowy kurek, żeby sprawdzić, czy nie cieknie.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku.

- Wciąż mam wrażenie, że za łatwo ci poszło - zauważyła Julie. - Zanim wróciłeś, zastanawiałam się, do którego hydraulika zadzwonić, gdyby nie udało ci się nic zdziałać.

Mike udał obrażonego.

- Nie mogę uwierzyć, że po tym wszystkim mogłaś nawet o tym pomyśleć.

Julie roześmiała się, gdy Mike przykucnął i zaczął ustawiać butelki w szafce.

- O nie, nie ma mowy, ja się tym zajmę - powiedziała stanowczo, klękając obok niego.

- Coś niecoś potrafię zrobić.

Gdy ustawiali razem środki czyszczące, Julie kilkakrotnie poczuła, jak ich ramiona otarły się o siebie, i zastanawiała się, dlaczego w ogóle zwróciła na to uwagę. W końcu szafka

była zamknięta, mokre ręczniki zebrane i Julie wyszła na moment z kuchni, żeby wrzucić je do pralki. Tymczasem Mike sprzątał narzędzia. Kiedy wróciła, skierowała się prosto do lodówki.

- Nie wiem, jak ty, ale ja muszę napić się piwa po całym tym dzisiejszym galimatiasie. A ty strzelisz sobie piwko?

- Z rozkoszą.

Julie wyjęła dwie butelki Coors Light i podała jedną Mike'owi. Zdjąwszy zakrętkę, stuknęła się z nim butelką.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Wiem, że się powtarzam, ale musiałam powiedzieć to jeszcze raz.

- Hej, po to są przyjaciele, prawda? - odparł Mike.

- Chodź, usiądziemy na werandzie - zaproponowała Julie. - Jest zbyt ładnie, żeby kusić się w środku.

Ruszyła w stronę drzwi, po czym nagle się zatrzymała.

- Zaraz, zaraz... mówiłeś, zdaje się, że jadłeś już kolację? To znaczy, kiedy do ciebie dzwoniłam?

- Dlaczego pytasz?

- Ponieważ jestem śmiertelnie głodna. W całym tym zamieszaniu nie miałam kiedy zjeść. Co powiesz na wspólną pizzę?

- Brzmi bardzo zachęcająco - rzekł Mike z uśmiechem. Julie pobiegła do telefonu, a gdy zniknęła z pola widzenia.

Mike'owi przeszła przez głowę myśl, czy wieczór przypadkiem nie skończy się tym, że jego serce zostanie złamane?

- Szynka z ananasem, dobrze? - zawołała Julie.

- Cokolwiek zamówisz, będzie mi smakowało.

* * *

Usiedli na werandzie w fotelach na biegunach, wieczorne powietrze przyjemnie chłodziło ich rozgrzaną skórę, za siatką dźwięczały cykady i kręciły się komary. Słońce zaczęło kryć się za horyzontem, jego ostatnie promienie prześwitywały przez listowie drzew.

Do liczącej ćwierć hektara parceli, na której stał dom Julie, przylegały od tyłu i po bokach niezabudowane leśne działki. Kiedy chciała być sama, udawała się na spacer właśnie tam. To był zresztą główny powód, dla którego Jim kupił tę posiadłość. Oboje marzyli o tym, żeby mieć stary dom z piękną, rozgałęziającą się od frontu na boki werandą. Mimo że dom

rozpaczliwie wymagał remontu, złożyli ofertę tego samego dnia, gdy go obejrzel.

Śpiewak zasnął na werandzie przy schodkach, otwierając co pewien czas jedno oko, jak gdyby upewniał się, że nic go nie omija. W zapadającym zmierzchu skóra Julie połyskiwała srebrzyście.

- To mi przypomina wieczór, kiedy się poznaliśmy. Pamiętasz? Mabel zaprosiła nas wszystkich do siebie, żebyśmy mogli cię poznać.

- Jak mogłabym zapomnieć? To była jedna z najbardziej przerażających chwil w moim życiu.

- Dlaczego? Jesteśmy przecież tacy sympatyczni.

- Skąd miałam o tym wiedzieć? Nie znałam was wtedy. Nie miałam pojęcia, czego się po was spodziewać.

- Nawet po Jimie?

- Zwłaszcza po Jimie. Upłynęło wiele czasu, nim zdałam sobie sprawę, dlaczego zrobił dla mnie to, co zrobił. Chodzi mi o to, że nigdy nie znałam kogoś takiego jak on i trudno mi było uwierzyć, że istnieją ludzie, którzy są po prostu... dobrzy. Tamtego wieczoru chyba nie odezwałam się do niego ani słowem.

- Rzeczywiście. Nazajutrz Jim wspomniał mi o tym.

- Coś ty?

- Bez złośliwości. Zresztą uprzedził nas wcześniej, żebyśmy nie spodziewali się po tobie szczególnej elokwencji. Powiedział, że jesteś dość nieśmiała.

- Kłamiesz.

- Nazwał cię płochliwą myszką. Julie parsknęła śmiechem.

- Różnie mnie nazywano, ale na pewno nie płochliwą myszką.

- Cóż, powiedział chyba, żebyśmy dali ci szansę. Raczej nie potrzebowaliśmy pretekstu. Wystarczał nam fakt, że oboje z Mabel cię lubili.

Julie milczała przez długą chwilę z niemal posępną miną.

- Nadal trudno mi czasami uwierzyć, że jestem tutaj - wyznała.

- Dlaczego?

- Tak zaskakująco wszystko się potoczyło. Mam na myśli to, że nigdy nie słyszałam o Swansboro, dopóki nie wspomniał o nim Jim, a teraz, po dwunastu latach, ciągle jeszcze tutaj mieszkam.

Mike spojrzał na nią znad swojej butelki z piwem.

- Zabrzmiało to tak, jak gdybyś chciała wyjechać. Julie podwinęła nogę pod siebie.

- Nie. Wcale nie. Podoba mi się tu. To znaczy był taki moment po śmierci Jima, kiedy

pomyślałam, że powinnam zacząć życie od nowa zupełnie gdzie indziej, ale nigdy nie traktowałam tego poważnie. Poza tym dokąd miałabym pójść? Nie wyobrażam sobie, żebym mogła zamieszkać w pobliżu matki.

- Rozmawiałaś z nią ostatnio?

- Nie. Kilka miesięcy temu. Zadzwoiła do mnie w święta Bożego Narodzenia i powiedziała, że chciałaby mnie odwiedzić, ale od tamtej pory nie dała znaku życia. Myślę, że zrobiła to wyłącznie po to, żebym zaproponowała, iż przyślę jej pieniądze na podróż, ale ja nie miałam na to najmniejszej ochoty. Po co jąrzyć stare rany?

- Zdaję sobie sprawę, że musi to być trudne.

- Czasami rzeczywiście jest. A przynajmniej bywa. Ale ja naprawdę nie pozwalałam już sobie na myślenie o tym. Gdy zaczęłam spotykać się z Jimem, chciałam nawiązać z nią kontakt, choćby tylko po to, żeby dać jej znać, że wszystko mi się dobrze ułożyło. Wiesz, chodziło mi chyba o jej akceptację. To dziwne, że mi na tym zależało, ale chociaż zupełnie nie sprawdziła się w roli matki, było to dla mnie ważne.

- Teraz już nie?

- Nie tak bardzo. Nie przyjechała na mój ślub ani na pogrzeb Jima. Potem już dałam sobie spokój. To znaczy nie jestem nieuprzejma, gdy dzwoni, ale nie ma tu miejsca na uczucie. Równie dobrze mogłabym rozmawiać z obcą osobą.

Mike słuchał jej, wpatrując się w coraz głębsze cienie pod drzewami. W oddali pojawiały się małe nietoperze i w gnieniu oka znikwały, jak gdyby nigdy ich tu nie było.

- Henry doprowadza mnie często do szału, a moi rodzice są równie stuknięci jak on, dobrze jednak mieć świadomość, że zawsze mogę na nich liczyć. Nie wiem, co bym bez nich poczuła. Nie wiem, czy potrafiłbym poradzić sobie sam, tak jak ty.

- Potrafiłbyś. Poza tym nie jestem całkiem sama. Mam Śpiewaka i przyjaciół. Na razie wystarczy.

Mike chętnie by spytał, gdzie w tym mieści się Richard, ale zrezygnował. Nie chciał zepsuć nastroju. Nie chciał też zniweczyć uczucia lekkości, które ogarnęło go po wypiciu prawie całej butelki piwa.

- Mogę cię o coś zapytać? - powiedziała Julie.

- Jasne.

- Co zaszło między tobą a Sarą? Myślałam, że łączy was coś szczególnego, a tu nagle przestaliście się spotykać.

Mike poprawił się w fotelu.

- Och, wiesz...

- Nie, właściwie nie. Nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego się to skończyło.

- Nie bardzo jest o czym mówić.

- Zawsze zbywasz mnie w ten sposób. Jak było naprawdę? Mike milczał, po czym pokręcił głową.

- Nie chciałaś wiedzieć.

- Co ona ci zrobiła? Zdradziła cię?

Kiedy Mike nie odpowiedział, Julie domyśliła się nagle, że jej podejrzenia są słuszne.

- Och, Mike, tak mi przykro.

- Ta - ak, mnie również. A w każdym razie było. Z kolegą z pracy. Kiedy pewnego ranka przechodziłem obok jej domu, zobaczyłem, że stoi przed nim jego samochód.

- I co zrobiłeś?

- Pytasz mnie, czy się wściekłem? Oczywiście. Szczerze mówiąc, to nie była wyłącznie jej wina. Trudno mnie było nazwać najbardziej szarmanckim chłopakiem. Pewnie czuła się zaniedbywana. - Westchnął, pocierając policzek dłonią. - Nie wiem... chyba w głębi duszy wiedziałem, że ten związek nie ma przyszłości, więc się nie starałem. Musiało się tak skończyć.

Oboje umilkli. Julie zauważyła, że butelka Mike'a jest prawie pusta, i spytała, wskazując ją palcem:

- Masz ochotę na jeszcze jedno?

- Chyba tak - odpowiedział.

- Bardzo proszę.

Julie wstała i Mike przesunął się śpiesznie z fotelem do tyłu, żeby ją przepuścić, a potem odprowadził ją wzrokiem, gdy wchodziła do domu. Nie mógł nie zauważyć, jak świetnie wygląda w dżinsach.

Pokręcił głową, odpędzając myśl, która zaświtała mu w głowie. Nie pora na to, tłumaczył sobie. Gdyby jedli na kolację homara, popijając winem, to może... ale pizza i piwo? Nie, to zwyczajny wieczór. Tak bywało zawsze - dopóki nie popełnił szaleństwa, zakochując się w Julie.

Nie był pewien, kiedy dokładnie to się stało. Bez wątplenia jakiś czas po śmierci Jima. Nie potrafił jednak określić, w którym momencie. Tak jak gdyby nagle olśniło go światło. A może raczej przypominało to wschód słońca, kiedy niebo niepostrzeżenie rozjaśnia się coraz bardziej i bardziej, aż w końcu uświadamiasz sobie, że nastał już ranek.

Julie wróciła, podała mu piwo i usiadła w bujanym fotelu.

- Wiesz, że Jim mówił zwykle to samo co ty?

- To znaczy co?

- „Chyba tak”. Gdy pytałam go, czy ma ochotę na jeszcze jedno piwo. Czy zapożyczył to od ciebie?

- Chyba tak. Julie roześmiała się.

- Myślisz jeszcze o nim?

- Nieustająco - powiedział Mike, skinąwszy głową.

- Ja też.

- Jasne. Był porządnym facetem, więcej - wspaniałym facetem. Nie mogłaś lepiej trafić. On też powtarzał mi wielokrotnie, że nie mógł trafić lepiej.

Julie umościła się wygodnie w fotelu, myśląc, jak wielką przyjemność sprawiły jej słowa Mike'a.

- Ty też jesteś porządnym facetem.

- Ta - ak. Ja i milion innych. Daleko mi do Jima.

- Wcale nie. Pochodzisz z tego samego miasteczka, masz tych samych przyjaciół, lubisz te same rzeczy. Prawdę mówiąc, jesteście bardziej do siebie podobni niż ty i Henry. Oczywiście, pomijając fakt, że Jim nie potrafiłby nigdy naprawić kranu. Niczego nie potrafił naprawić.

- Cóż, Henry też by go nie naprawił.

- Doprawdy?

- Henry potrafiłby to zrobić, ale by nie zrobił. Nienawidzi brudzić rąk.

- To zabawne, zwłaszcza że obaj jesteście właścicielami warsztatu.

- Co ty powiesz? Ja się nie skarżę. Szczerze mówiąc, wolę moją pracę milion razy bardziej od tego, co on robi. Nie jestem szczególnym amatorem papierkowej roboty.

- Czyli rozumiem, że zajęcie urzędnika bankowego w dziale kredytów nie wchodzi w rachubę?

- To co robił Jim? Nierealne. Nawet gdybym oszukał sam siebie i podjął tego typu pracę, nie zagrzałbym tam miejsca dłużej niż przez tydzień. Udzielałbym kredytu każdemu, kto przekroczyłby próg banku. Nie potrafię odmawiać, kiedy ktoś naprawdę czegoś potrzebuje.

Wyciągnęła rękę i położyła mu ją na ramieniu.

- Co ty powiesz? Naprawdę?

Mike uśmiechnął się. Nagle zabrakło mu słów, modlił się z całego serca, żeby ten dotyk trwał wiecznie.

* * *

W kilka minut później przywieziono pizzę. Pyszczytasty nastolatek w okularach w grubej czarnej oprawce długo studiował rachunek, zanim wreszcie wyjąkał całą należną sumę.

Mike sięgnął do kieszeni po portfel, ale Julie odepchnęła go, wyciągając pieniądze z portmonetki.

- Nie ma mowy. Tym razem moja kolej.

- Ale ja zjem więcej.

- Możesz zjeść nawet wszystko. Ja stawiam.

Zanim zdążył znowu zaprotestować, Julie wręczyła należność roznosicielowi, mówiąc, żeby zatrzymał resztę, po czym zaniósła pudełko do kuchni.

- Mogą być papierowe talerze?

- Zawsze jem z papierowych talerzy.

- Wiem - powiedziała, puszczając do niego oko - i nie masz pojęcia, jak mi przykro z tego powodu.

* * *

Przez następną godzinę jedli razem, gawędząc cicho w przyjacielskim tonie, tak jak to mieli w zwyczaju. Mówili o Jimie i o sytuacjach, które oboje pamiętali, wreszcie rozmowa zesłała na to, co dzieje się w mieście, oraz na ludzi, których znali. Od czasu do czasu Śpiewak skomlił, dając do zrozumienia, że czuje się zaniedbywany, i Mike rzucał mu kawałek skórki, nie przerywając rozmowy.

Gdy wieczór powoli dobiegał końca, Julie przyłapała się na tym, że patrzy w oczy Mike'owi nieco dłużej niż zwykle. Zaskoczyło ją to. Odkąd przyszedł, nie zrobił ani nie powiedział niczego niezwykłego, nie w tym rzecz. Nie chodziło też o to, że siedzieli sami na werandzie, jedząc kolację, niemal jak gdyby wieczór został wcześniej zaplanowany.

Nie, nie było powodu, żeby czuła się dziś inaczej, ale nie panowała nad tym. Uświadomiła sobie, że wcale nie chce, żeby czar prysnął, chociaż nie miało to sensu. W dzinsach i adidasach, z nogami opartymi o balustradę i włosami w nieładzie, Mike był naprawdę atrakcyjny. Jednak zawsze o tym wiedziała, nawet zanim zaczęła spotykać się z Jimem.

Pomyślała, że czas spędzony z Mikiem nie przypominał randek, na których bywała ostatnio, nie wyłączając weekendu z Richardem. Nie było tu miejsca na pretensje, na podteksty w rozmowie, na wymyślne plany zaimponowania sobie nawzajem. Aczkolwiek zawsze czuła się z Mikiem swobodnie, zdała sobie nagle sprawę, że w wirze zdarzeń

ostatnich dwóch tygodni prawie zapomniała, jak wielką przyjemność sprawia jej towarzystwo Mike'a.

To właśnie najbardziej lubiła w małżeństwie z Jimem. Nie tylko uderzający do głowy przyływ emocji, któremu dawała się ponieść, gdy się kochali. Uwielbiała leniwe poranki, kiedy czytali razem w łóżku gazetę, popijając kawę, mroźne grudniowe ranki, gdy zawieszali lampki w ogrodzie, czy godziny, które spędzali, włócząc się po różnych sklepach, wybierając meble do sypialni, rozważając zalety drewna klonowego lub wiśniowego. Bywało, że czuła się absolutnie szczęśliwa, i pozwalała sobie uwierzyć w rzeczy niewiarygodne. W takich chwilach świat wydawał się cudowny.

Wspominając to wszystko, Julie przyglądała się Mike'owi jedzącemu pizzę. Kąciki ust uniosły jej się w lekkim uśmiechu. Zmagał się z długimi pasemkami sera, ciągnącymi mu się od ust do trójkątka pizzy, co stwarzało wrażenie, że cała czynność jest znacznie trudniejsza niż w rzeczywistości. Po odgryzieniu kęsa czasami prostował się gwałtownie, gimnastykując się z trzymanym w dłoni kawałkiem i próbując przytrzymać palcami zjeżdżające dodatki oraz kąpiący sos pomidorowy. Potem, śmiejąc się z samego siebie, wycierał usta serwetką, mruczając pod nosem: „Mało brakowało, a upaprałbym sobie całą koszulę”. Fakt, że Mike nie traktował siebie zbyt poważnie ani też że nie przeszkadzało mu, gdy ona stroiła sobie z niego żarty, budził w niej ciepłe uczucia. Przypuszczała, że tak właśnie czują się wieloletnie małżeństwa, siedzące na ławce w parku i trzymające się za ręce. Myślała o tym nadal, gdy po kilku minutach szła za nim do kuchni, niosąc, podobnie, jak on resztki kolacji. Przyglądała się, jak Mike wyjmuje folię aluminiową z szuflady obok kuchenki, bez konieczności pytania, gdzie ma jej szukać, jak owija w nią pizzę i wkłada do lodówki, a następnie machinalnie sięga po wiaderko ze śmieciami, widząc, że jest pełne. Przez moment, przez jeden krótki moment, miała wrażenie, że to wszystko nie dzieje się teraz, lecz kiedyś w przyszłości, zwyczajny wieczór w długim orszaku wspólnych wieczorów.

* * *

- To już chyba wszystko - powiedział Mike, rozglądając się po kuchni.

Dźwięk jego głosu wyrwał Julie z zamyślenia; poczuła, że lekko się zarumieniła.

- Na to wygląda - przyznała. - Dziękuję, że pomogłeś mi doprowadzić wszystko do porządku.

Oboje zamilkli i Julie usłyszała w głowie refren, który powtarzała w myśli od dwóch lat, jak gdyby ktoś włączył magnetofon. „Związek z Mikiem? Niemożliwe. Wykluczone”.

Mike splótł dłonie, przerywając tok jej myśli, zanim zapędziła się dalej.

- Chyba powinienem już pójść. Muszę jutro wcześniej wstać. Julie skinęła głową.

- Domyślam się. Ja też powinnam się zaraz położyć. Śpiewak nie dał mi spać wczoraj w nocy.

- A co takiego robił?

- Skomlił, warczał, szczekał, snuł się po całym domu... robił właściwie wszystko, żeby mnie wkurzyć.

- Śpiewak? A co się stało?

- Och, Richard był tu wczoraj w nocy. Wiesz, jak Śpiewak zachowuje się wobec obcych osób.

Po raz pierwszy tego wieczoru padło imię Richarda i Mike poczuł gwałtowne ściskanie w gardle, jak gdyby ktoś próbował go udusić.

- Richard był tu wczoraj w nocy? - spytał.

- To nie tak, jak myślisz. Nie byliśmy na randce. Przyjechał, żeby zostawić list za wycieraczką mojego samochodu. Informuje mnie w nim, że musi wyjechać z miasta.

- Aha - powiedział Mike.

- Naprawdę głupstwo - dodała Julie, czując niespodziewanie potrzebę wyjaśnienia sprawy.

- Która była wtedy godzina? - dążył Mike.

Julie odwróciła się, spoglądając na zegar ścienny, jak gdyby musiała zobaczyć pozycję wskazówek, żeby sobie przypomnieć.

- Chyba druga czy coś koło tego. Właśnie Śpiewak zaczął wariować, ale jak powiedziałam, trwało to przez jakiś czas. Dlaczego pytasz?

Mike zacisnął wargi, powtarzając w duchu, że Śpiewak warczał przez całą noc.

- Ciekawe, dlaczego nie zostawił listu rano, przed wyjazdem - zauważył.

Julie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Może nie miał czasu.

Mike pokiwał głową, bijąc się z myślami, czy powiedzieć coś więcej, w końcu jednak postanowił zmilczeć. Podniósł skrzynkę z narzędziami i kran, który wymienił, nie chcąc, żeby wieczór zakończył się przykrym akcentem. Cofnął się o krok.

- Posłuchaj...

Julie przeczesła palcami włosy, dostrzegając po raz pierwszy mały pieprzyk na jego policzku, który wyglądał tak, jak gdyby umieścił go tam świetny charakteryzator dla wywołania odpowiedniego efektu. Ciekawe, dlaczego zauważyła go teraz?

- Wiem, musisz iść.

Mike przestąpił z nogi na nogę. Nie wiedząc, co powiedzieć, podniósł stary kran do góry.

- No cóż, dzięki, że zadzwoniłaś w tej sprawie. Możesz mi wierzyć albo nie, ale cieszę się, że to zrobiłaś. Wspaniale spędziłem czas.

Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym Mike spuścił oczy. Julie odetchnęła - nie zdawała sobie nawet sprawy, że wstrzymuje oddech - i wbrew sobie odprowadziła Mike'a spojrzeniem, gdy skierował się do drzwi. Dżinsy opinały jego pośladki i Julie poczuła, że znowu się rumieni.

Gdy Mike nacisnął klamkę, szybko odwróciła wzrok. Przez chwilę czuła się, jak gdyby obserwowała kogoś na przyjęciu Przez pokój pełen ludzi, człowieka, którego nigdy przedtem nie widziała. W każdej innej sytuacji, w innym czasie, śmiałyby się z absurdalności tej sytuacji.

Ale, dziwna rzecz, jakoś nie potrafiła.

Gdy już się pożegnała, stanęła w progu, patrząc, jak Mike idzie do swojej furgonetki. Zanim zatrzasnął drzwi, pomachał jej, stojąc w mdłej poświacie księżycy.

Julie pomachała mu również, a następnie obserwowała, jak czerwone tylne światła furgonetki nikną w oddali. Przez blisko minutę stała na werandzie, próbując uporządkować uczucia. Mike, pomyślała znowu, Mike.

Dlaczego w ogóle zawraca sobie tym głowę? To się nie zdarzy. Krzyżując ramiona, roześmiała się cicho. Mike? Oczywiście, jest miły, fajnie się z nim rozmawia i, owszem, jest przystojny. Ale Mike?

Wszystko to jest niedorzeczne. Kompletna bzdura. Czyż nie?

Julie weszła do domu.

ROZDZIAŁ 15

Nazajutrz, w swoim kantorku, Henry postawił plastikowy kubek z kawą na biurku.

- A więc to tak? - spytał. Mike podrapał się w głowę.

- Właśnie.

- Po prostu wyszedłeś? Zwyczajnie?

- Tak.

Henry splótł dłonie i oparł na nich brodę. Normalnie nieźle zalazłby za skórę bratu za to, że nie wykorzystał okazji, by umówić się z Julie, ale tym razem nie była pora na dogryzanie.

- Pozwól, że się upewnię, iż dobrze zrozumiałem. Usłyszałeś od Jake'a Blansena bardzo zagadkowe rzeczy o Richardzie, które mogą mieć znaczenie lub go nie mieć, ale stanowczo brzmią dość podejrzanie, zwłaszcza że nie chciał zdradzić nic więcej. Potem dowiadujesz się, że Richard kręci się koło domu Julie w środku nocy, nie wiadomo jak długo, i nie decydujesz się powiedzieć jej, że wygląda to dla ciebie trochę dziwnie? Nie napomknąłeś nawet, że może być w tym coś niepokojącego?

- To ona wspomniała mi o nocnej wizycie Richarda. Wiedziała, że on był pod jej domem.

- Nie o to chodzi i ty dobrze o tym wiesz. Mike pokręcił głową.

- Nic się nie stało, Henry.

- Mimo to powinieneś był wspomnieć.

- Jak?

Henry rozsiadł się wygodniej w fotelu.

- Tak jak to zrobiłem przed chwilą. Po prostu powiedz jej, co myślisz.

- Ty to co innego, możesz to zrobić, a ja nie - rzekł Mike, patrząc bratu w oczy. - Mogłaby pomyśleć, że kierują mną powody osobiste.

- Posłuchaj, Mike - powiedział Henry bardziej ojcowskim niż braterskim tonem. - Jesteś jej przyjacielem i zawsze pozostaniesz jej przyjacielem bez względu na to, czy coś się między wami wydarzy. To samo dotyczy mnie. I nie podoba mi się, że ten facet włóczy się koło jej domu w środku nocy. To niepokojące, niezależnie od motywów, które nim kierują. Mógł podrzucić list rano, mógł do niej zadzwonić, zostawić wiadomość w salonie... Jaki facet ubiera się, wskakuje do samochodu i przejeżdża całe miasto, żeby zostawić list o drugiej nad ranem? Poza tym, czy nie mówiłeś, że Śpiewak nie dał jej spać przez pół nocy? A jeśli to oznacza, że ten typ kręcił się tam przez cały czas, kiedy Śpiewak był niespokojny? A jeśli

Blansen próbował cię przed czymś ostrzec? Nie przyszła ci do głowy żadna z tych ewentualności?

- Oczywiście, że tak. Mnie też się to nie podoba.

- Wobec tego powinienes być ją przestrzec.

Mike zamknął oczy. Wieczór upływał tak wspaniale aż do tamtej chwili.

- Nie było cię tam, Henry - rzekł z rezygnacją. - Poza tym ona chyba nie widziała w tym nic dziwnego, nie rób więc z igły wideł. Przecież nic nie zrobił, zostawił tylko list.

- Skąd wiesz, że na tym poprzestał?

Mike już otwierał usta, ale powstrzymał się od komentarza, widząc minę Henry'ego.

- Posłuchaj - powiedział Henry - wiesz dobrze, że zwykle nie wtrącam się do twoich spraw, nawet kiedy coś schranisz, ale wszystko ma swój czas i miejsce. Nie pora teraz na trzymanie pewnych spraw w tajemnicy przed Julie, zwłaszcza takich spraw. Mam rację? Po chwili namysłu Mike kiwnął głową.

- Tak - przyznał. - Masz rację.

* * *

- Wygląda na to, że oboje miło spędziliście wieczór - zauważyła Mabel.

- Owszem - przytaknęła Julie. - Znasz go. Mike jest zabawny.

Mabel okręciła się w fotelu. Salon był jeszcze pusty. Następna klientka była umówiona dopiero za kilka minut, miały więc chwilę na pogawędkę.

- Kran już działa?

Julie, zajęta przygotowaniem swojego stanowiska, skinęła głową.

- Mike wymienił go na nowy.

- I załatwił to wszystko tak, żeby wyglądało na absolutny drobiazg? Żebyś zastanawiała się, po co w ogóle musiałaś do niego dzwonić?

- Tak.

- Nie denerwuje cię to?

- Za każdym razem. Mabel wybuchnęła śmiechem.

- On jest naprawdę niesamowity, prawda?

Julie zawahała się. Kątem oka widziała Śpiewaka, który siedział przed drzwiami wejściowymi i wyglądał przez szybę, jak gdyby chciał, żeby go wypuścić.

Mimo że pytanie Mabel było retoryczne, ewentualna odpowiedź zawierała w sobie ważny element, o którym nie przestawała myśleć od wczorajszego wieczoru. Nie bardzo wiedziała, dlaczego ten wieczór tak wrył się w jej pamięć. Nie działo się przecież nic szczególnie

interesującego, godnego zapamiętania. Jednak wczorajszej nocy, gdy blask księżyca sączył się przez okno do sypialni, a ćmy tłukły się o szybę.

Mike był osobą, którą wyobraziła sobie, zanim pogrążyła się we śnie. Co więcej, był pierwszą osobą, która przysłała jej na myśl, gdy otworzyła rano oczy.

Toteż odpowiedziała lekko, podchodząc do drzwi, żeby wypuścić Śpiewaka:

- Tak, to prawda.

* * *

- Mike - zawołał Henry - masz gościa.

Mike wysunął głowę z magazynka z częściami zapasowymi.

- Kto to taki? - spytał.

- Zgaduj na chybił trafił.

Zanim Mike zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Śpiewak podbiegł do niego radośnie.

* * *

Późnym popołudniem Julie wmaszerowała do warsztatu. Wsparła się pod boki i zmierzyła Śpiewaka gniewnym spojrzeniem.

- Gdyby nie to, że wiem swoje, pomyślałabym, że to jakiś spisek, który ma na celu zmuszenie mnie do przyjścia tutaj - powiedziała.

Słuchając jej, Mike intensywnie starał się przekazać telepatycznie Śpiewakowi swoje podziękowania.

- Może próbuje w ten sposób dać ci coś do zrozumienia?

- Na przykład?

- Nie wiem. Może czuje się ostatnio trochę zaniedbywany?

- Och, wcale go nie zaniedbuję. Nie daj mu się zwieść. Jest rozpuszczony jak dziadowski bicz.

Śpiewak przysiadł i zaczął się drapać tylną łapą, jak gdyby chciał zademonstrować swoją obojętność wobec tego, co mówią. Mike rozpiął kombinezon.

- Mam nadzieję, że się nie pogniewasz - powiedział - ale mam już dość tego świństwa. Poplamiałem go dzisiaj płynem chłodniczym i przez cały dzień wdychałem opary.

- I jesteś na małym rauszu, co?

- Nie, boli mnie tylko głowa. Takiego szczęścia nie mam. Julie przyglądała się, jak Mike ściąga kombinezon, balansując najpierw na jednej, potem na drugiej nodze, a potem zwija go w kulę i rzuca w kąt warsztatu. Pomyślała, że w džinsach i czerwonym podkoszulku wygląda na młodszego, niż jest.

- Co masz w programie na dzisiejszy wieczór?

- To co zwykle. Zbawianie świata, karmienie głodnych, popieranie pokoju na świecie.

- Zadziwiające, jak dużo może uczynić człowiek podczas jednego wieczoru, jeśli tylko się do tego przyłoży.

- Szczera prawda. - Mike uśmiechnął się jak psotny chłopiec. Gdy jednak Julie podniosła rękę i przeczesała palcami włosy, ogarnęło go takie samo zdenerwowanie jak wczoraj, gdy wszedł do kuchni.

- A ty? Masz jakieś atrakcyjne plany?

- Owszem, niezwykle. Czeka mnie sprzątanie i zapłacenie kilku rachunków. W przeciwieństwie do ciebie muszę zająć się sprawami przyziemnymi, zanim zabiorę się do ulepszania świata.

Mike spostrzegł Henry'ego, który stał oparty o futrynę drzwi, przeglądając uważnie plik dokumentów, trzymany w ręku. Udawał, że nie widzi Julie i Mike'a, chciał jednak wyraźnie, żeby jego obecność została zauważona. Dawał w ten sposób bratu do zrozumienia, że nie wolno mu zapomnieć o tym, co powiedział mu wcześniej. Mike wcisnął rękę do kieszeni. Nie miał ochoty tego robić. Wiedział, że musi, ale za bardzo nie chciał. Wziął głęboki oddech.

- Masz chwilę czasu? - spytał Julie. - Chciałbym porozmawiać z tobą o czymś.

- Jasne. O co chodzi?

- Może gdzieś wpadniemy? Muszę chyba najpierw strzelić sobie piwko.

Mimo że Julie zaskoczyła jego nagłą powagą, nie mogła zaprzeczyć, iż ucieszyła się z zaproszenia.

- Nie mam nic przeciwko piwku - zgodziła się.

* * *

Odbyli krótki spacer i znaleźli się na obrzeżach centrum miasta. Bar „U Tizzy'ego” był wciśnięty między sklep zoologiczny a pralnię chemiczną. Podobnie jak „Sailing Clipper”, nie był ani czysty, ani przytulny. W rogu jarzył się ekran telewizora, szyby w oknach były matowe od brudu, a w powietrzu unosiły się nad stolikami kłęby dymu papierosowego. Dla stałych bywalców baru nie było to istotne, a kilka osób praktycznie tu mieszkało. Zdaniem Tizzy'ego Welborna, właściciela, jego bar zyskał sobie tak wielką popularność, ponieważ „ma charakter”. Mike przypuszczał, że przez „charakter” Tizzy rozumie tani alkohol.

W rzeczywistości popularność baru wynikała z tego, że Tizzy nie był szczególnie skrupulatny, jeśli idzie o przestrzeganie przepisów. Klienci nie musieli wkładać butów ani

koszul, żeby ich obsłużono, nie interesowało go też, co ze sobą przynoszą. Przez wszystkie lata istnienia baru przynoszono do niego najrozmaitsze rzeczy, od samurajskich mieczy do nadmuchiwanym lalek. Pomimo zdecydowanych protestów Julie, wpuszczono tu również Śpiewaka. Gdy Mike i Julie usiedli na stołkach w głębi baru, Śpiewak obszedł ich w kółko i położył się na podłodze.

Tizzy przyjął zamówienie i postawił przed nimi dwa piwa. Choć nie były odpowiednio schłodzone, nie były też ciepłe, co wystarczyło Mike'owi, żeby poczuł się usatysfakcjonowany. W tej knajpcie gość nie mógł liczyć na wiele.

Julie rozejrzała się.

- Ten bar to istna spelunka. Za każdym razem odnoszę wrażenie, że jeśli pozostanę tu dłużej niż godzinę, złapię coś zaraźliwego.

- Ale ma swój charakter - powiedział Mike.

- Jasne, szeroki gest. A więc, co takiego ważnego skłoniło cię do ściągnięcia mnie tutaj?

Mike objął butelkę obiema rękami.

- Coś, co Henry uważa, że powinienem zrobić.

- Henry?

- Tak. - Umilkł na chwilę. - Sądzi, że powinienem być wczoraj powiedzieć o czymś.

To znaczy tobie.

- O czym?

- Właściwie nie o czym, lecz o kim. O Richardzie.

- Ale co o Richardzie? Mike poprawił się na stołku.

- O tym liście, który pozostawił poprzedniej nocy.

- O co chodzi?

- Henry twierdzi, że to trochę dziwne. No wiesz, to, że przyszedł w środku nocy, żeby go zostawić.

Julie popatrzyła na niego sceptycznie.

- Henry się tym przejął?

- Tak, Henry.

- Aha... ale ty się nie przejąłeś?

- Nie - odpowiedział Mike. Julie upiła łyk piwa.

- Czym tak bardzo martwi się Henry? Przecież Richard nie zaglądał przez okno. Gdyby to zrobił, Śpiewak wyskoczyłby razem z szybą. Napisał w liście, że został wezwany w sprawie niecierpiącej zwłoki, może więc wyjechał od razu.

- No cóż... jest jeszcze coś. Dwa dni temu był w warsztacie facet, który pracuje przy budowie mostu, i powiedział coś dziwnego.

- To znaczy?

Przesuwając palcami po wyrytych na blacie baru „dekoracjach”, Mike powtórzył jej to, co powiedział Jake Blansen, po czym dodał więcej szczegółów z komentarza Henry'ego. Gdy skończył, Julie położyła mu dłoń na ramieniu, jej wargi złożyły się powoli do uśmiechu.

- Och, to naprawdę przemiłe ze strony Henry'ego, że się o mnie martwi.

Minęła dobra chwila, zanim Mike przetrwał jej odpowiedź.

- Zaraz, zaraz... nie jesteś wściekła?

- Oczywiście, że nie. Dobrze jest wiedzieć, że się ma takich przyjaciół jak on, którzy czuwają nade mną.

- Ale...

- Ale co?

- No... uhm...

Julie parsknęła śmiechem, delikatnie szturchając go w ramię.

- Daj spokój, przyznaj się... ty też się martwiłeś, prawda? Nie tylko Henry?

Mike przełknął ślinę.

- Tak.

- Czemu więc nie zacząłeś od tego? Dlaczego zważyłeś wszystko na Henry'ego?

- Nie chciałem, żebyś była na mnie zła.

- Dlaczego miałabym być na ciebie zła?

- Ponieważ... no, wiesz... spotykasz się z tym facetem.

- I?

- Nie chciałem, żebyś pomyślała... cóż, nie byłem pewny, czy...

Mike zamilkł, dalsze słowa nie chciały przejść mu przez gardło.

- Bałeś się, że pomyślę, iż próbujesz mnie nakłonić do tego, bym przestała się z nim spotykać? - spytała Julie.

- Tak.

Julie przyglądała mu się badawczo.

- Naprawdę tak mało wierzysz w naszą przyjaźń? Sądzisz, że mogłabym tak po prostu przekreślić ostatnie dwanaście lat?

Mike nie odpowiedział.

- Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek i jesteś moim najlepszym przyjacielem. Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek, o czym powiesz, mogło mi nasunąć podejrzenie, że chcesz sprawić

mi przykrość. Przez tyle lat poznałam cię na tyle, by wiedzieć z całą pewnością, iż nie jesteś zdolny do czegoś takiego. Jak myślisz, dlaczego tak bardzo lubię przebywać w twoim towarzystwie? Ponieważ jesteś porządnym facetem. Przemiłym facetem.

Mike odwrócił głowę, myśląc, że równie dobrze mogłaby nazwać go eunuchem.

- Miły facet to facet bez ikry. Czy nie tak mówią ludzie?

Julie ujęła go za brodę i odwróciła jego twarz ku sobie, by popatrzeć mu w oczy.

- Może ktoś tak mówi. Ja nie.

- A co z Richardem?

- W jakim sensie?

- Spędzałaś z nim ostatnio sporo czasu.

Julie odchyliła się na swoim stołku, jak gdyby próbowała ustawić lepszą ostrość widzenia.

- Gdybym tak dobrze cię nie znała, pomyślałabym, że jesteś zazdrosny - powiedziała.

Mike pociągnął spory łyk piwa, ignorując jej uwagę.

- Nie bądź zazdrosny. Byliśmy na kilku randkach, trochę się pośmialiśmy. I co z tego?

Nie ma o czym mówić. Nie zamierzam poślubić tego faceta.

- Nie?

Julie prychnęła.

- Żartujesz, prawda? - Przerwała, czekając na odpowiedź, ale można ją było wyczytać z miny Mike'a. - Nie, jednak mówisz serio - orzekła. - Co ty? Myślałeś, że jestem w nim zakochana?

- Nie miałem pojęcia.

- Aha. No więc, nie jestem. Nie wiem nawet, czy jeszcze się z nim umówię. I wcale nie z powodu tego, co mi powiedziałaś. Ostatni weekend był wspaniały, świetnie się bawiłam, ale coś było nie tak. A potem, w poniedziałek, wydawał się jakiś nie w sosie i doszłam do wniosku, że nie ma sensu tego ciągnąć.

- Naprawdę?

- Naprawdę - odparła Julie z uśmiechem.

- No, no! - Tylko tyle był w stanie wykrztusić.

- Właśnie, no, no.

Tizzy przeszedł obok nich i włączył kanał telewizji ESPN, po czym spytał, czy podać im po jeszcze jednym piwie. Julie i Mike jak na komendę pokręcili przecząco głowami.

- I co teraz? - spytał Mike. - Będziesz się znowu spotykała z pocziwiną Bobem?

- Liczę na to, że nie będę musiała.

Mike skinął głową. W ponurym otoczeniu Julie wyglądała, jak gdyby była rozświetlona od środka, i Mike poczuł, że zaschło mu w gardle. Upił kolejny łyk piwa.

- Może trafi się ktoś inny - powiedział.

- Może. - Julie wsparła brodę na dłoni, wytrzymując jego spojrzenie.

- Nie będziesz musiała długo być sama. Jestem pewien, że wielu facetów tylko czeka na okazję, żeby się z tobą umówić.

- Potrzebny mi tylko jeden - odparła z szerokim uśmiechem.

- Z pewnością jest taki - oświadczył Mike. - Na twoim miejscu bym się nie martwił.

- Nie martwię się. Chyba mam już teraz rozeznanie, czego szukam u mężczyzny. Po kilku randkach z różnymi facetami wykrystalizowałam sobie zdecydowanie jaśniejszy pogląd. Chcę znaleźć porządnego faceta. Sympatycznego.

- Bez wątpienia na takiego zasługujesz.

Julie pomyślała, że Mike jest czasami tępy jak pień. Spróbowała innej taktyki.

- A co u ciebie? Znajdziesz kiedyś kogoś wyjątkowego?

- Kto wie.

- Znajdziesz. Musisz się tylko rozejrzeć. Bywa, że czasami nie zauważa się tego, co ma się tuż pod nosem.

Mike szarpnął przód koszuli. Nie zdawał sobie sprawy, jak gorąco jest w lokalu. Poczuł, że jeśli za chwilę nie wyjdzie stąd na powietrze, zacznie się pocić.

- Zapewne masz rację - powiedział. Znowu umilkli oboje.

- No to... - odezwała się w końcu Julie, chcąc sprowokować go do działania.

- No to... - powtórzył Mike, rozglądając się po sali.

Julie westchnęła. Chyba sama będę zmuszona uczynić pierwszy krok, pomyślała. Jeśli zechcę czekać na tego casanowę, zestarzeję się tak, że będę szła z nim na spacer, wspierając się na balkoniku.

- Co robisz jutro wieczorem? - spytała.

- Nie zastanawiałem się nad tym.

- Pomyślałam, że moglibyśmy gdzieś się wybrać.

- Wybrać się? - Tak. Na wyspie jest naprawdę sympatyczny lokalik. Jest usytuowany na samej plaży i słyszałam, że bardzo smacznie tam karmią.

- Mam się dowiedzieć, czy Henry i Emma zechcą pójść? Julie postukała się palcem w brodę.

- Hm... a co powiedziałbyś na to, gdybyśmy wybrali się tam we dwoje?

- Ty i ja? - Mike czuł, że serce tłucze mu się w piersi jak oszałałe.

- Właśnie. Czemu nie? Chyba że nie masz ochoty.

- Ależ mam ochotę - zaprotestował trochę za szybko, po czym natychmiast tego pożałował. Spokojnie, mówił sobie. Rzucił jej spojrzenie Jamesa Deana. - To znaczy myślę, że jakoś uda mi się wyrwać.

Julie stłumiła śmiech.

- Rany - powiedziała - serdeczne dzięki.

* * *

- A zatem umówiłeś się z nią na randkę? - spytał Henry. Mike stał niczym kowboj w starym westernie - kolano zgięte, stopa oparta o ścianę, głowa pochylona w dół. Przyglądał się swoim paznokciom, starając się wywołać wrażenie, że sprawa jest błaha.

- Przyszła pora. - Mike wzruszył ramionami w wystudiowany sposób.

- Hm... świetnie. Jesteś pewien, że to randka?

Mike wbił spojrzenie w sufit, jak gdyby pytanie Henry'ego wystawiło jego cierpliwość na ciężką próbę.

- Ależ tak, to zdecydowanie jest randka.

- Mów, jak to zrobiłeś! To znaczy, jak do tego doszło?

- Zwyczajnie do tego doprowadziłem. Krok po kroku.

Pozwoliłem, żeby rozmowa potoczyła się w tym kierunku, a kiedy nadszedł właściwy czas, po prostu stało się.

- Mówisz po prostu?

- Właśnie.

- Aha... - mruknął Henry. Wiedział, że Mike w którymś momencie mija się z prawdą, ale nie potrafił rozgryźć w którym. Przecież naprawdę wyglądało na to, że umówili się na randkę.

- No więc, co powiedziała o Richardzie?

Mike wypolerował paznokcie o koszulę, po czym przyjrzał im się dokładnie.

- To już chyba skończone.

- Powiedziała ci to?

- O, tak.

- Fiu, fiu - zagwizdał Henry. Tym razem wyciągnął pusty los, jeśli idzie o komentarz. Nie mógł bratu dociąć ani służyć radą, nie mógł zrobić kompletnie nic, nie dowiedziawszy się wcześniej, dlaczego bieg wydarzeń wydaje mu się trochę podejrzany. - Cóż, powiem ci tylko, że jestem z ciebie dumny. Najwyższy czas, żebyście zrobili dobry początek.

- Dzięki, Henry.

- Nie ma za co. - Wskazał ręką na kantorek. - Posłuchaj, mam jeszcze trochę papierkowej roboty, a ponieważ chcę wrócić do domu o przyzwoitej porze, pozwól, że się tym zajmę.

- Jasne. - Mike czuł się tak wspaniale jak nigdy w życiu, opuścił stopę na podłogę i po chwili ruszył do warsztatu. Henry odprowadził go spojrzeniem, po czym wszedł do kantorka, zamykając za sobą drzwi. Podniósł słuchawkę, wybrał numer i po chwili usłyszał głos Emmy po drugiej stronie linii.

- Nigdy nie uwierzysz, co właśnie usłyszałem - oznajmił.

- Co takiego?

Henry opowiedział jej o wszystkim.

- No, najwyższy czas - zapiała z zachwytu Emma.

- Wiem. Zareagowałem tak samo. Posłuchaj, może warto, żebyś wysłuchała wersji Julie?

- Myślałam, że Mike opowiedział ci o wszystkim.

- Opowiedział, ale mam wrażenie, że coś przemilczał.

- Nie planujesz niczego, prawda? - spytała Emma po chwili milczenia. - Żeby im to zepsuć?

- No, coś ty! Chcę tylko wiedzieć, jak naprawdę do tego doszło.

- Po co? Żeby mu dokuczać?

- Oczywiście, że nie.

- Henry...

- Daj spokój, kochanie. Znasz mnie przecież. Zależy mi na tym, żeby poznać punkt widzenia Julie. Mike traktuje sprawę bardzo poważnie i nie chcę, by cierpiał.

Emma milczała i Henry wiedział, że zastanawia się, czy mu uwierzyć, czy nie.

- Hm, dawno nie jadłyśmy razem lunchu. Henry pokiwał głową, myśląc: Brawo, kochanie!

* * *

Julie przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi. Trzymając w ramionach torbę z zakupami i korespondencją, przeszła ostrożnie do kuchni. Ponieważ jej lodówka była kompletnie pusta, wstąpiła po drodze do sklepu w nadziei, że kupi coś zdrowego, ale skończyło się na tym, że chwyciła jedną porcję lasagne do odgrzania w mikrofalówce.

Śpiewak nie pobiegł za nią. Wskoczył z dżipa, gdy tylko zaparkowała, i puścił się

pędem przez zalesiony teren, rozciągający się aż do nadbrzeża. Nie było go przez kilka minut.

Julie włożyła lasagne do mikrofalówki, przebrała się w sypialni w szorty i podkoszulek, po czym wróciła do kuchni. Przejrzała pocztę - rachunki, rozmaite próbki, dwa katalogi domów wysyłkowych - a następnie odłożyła wszystko. Nie była w nastroju, żeby teraz się nimi zajmować.

Idę na randkę z Mikiem, pomyślała. Mike.

Wymówiła szeptem jego imię, jak gdyby chciała sprawdzić, czy brzmi tak niewiarygodnie, jak jej się wydawało.

Tak.

Zastanawiając się nad tym, spojrzała na automatyczną sekretarkę i spostrzegła, że lampka mruga. Podeszła, wcisnęła odtwarzanie i usłyszała głos Emmy, która zapraszała ją na lunch w piątek.

„Jeśli nie możesz, zadzwoń do mnie. W przeciwnym razie spotkamy się w barku w delikatesach, dobrze?”.

Świetnie, pomyślała Julie. Po chwili usłyszała bipnięcie automatycznej sekretarki, a następnie głos Richarda. Był wyraźnie zmęczony, jak gdyby mężczyzna machał młotem przez cały dzień w letnim skwarze.

„Cześć, Julie. Dzwonię, żeby się zameldować, ale chyba nie ma cię w domu? Nie będzie mnie wieczorem, ale jutro wracam do Swansboro”. - Umilkł i Julie słyszała, jak bierze głęboki oddech. „Nie uwierzysz, jak bardzo za tobą tęsknię”.

Julie usłyszała stuk odkładanej słuchawki. Spostrzegła przez szybę, jak trznadel podskakuje dwa razy, po czym odfruwa.

O Boże, pomyślała nagle, dlaczego mam wrażenie, że nie przyjmie tego dobrze?

ROZDZIAŁ 16

Tego samego wieczoru Mike przyjechał po Julie trochę przed siódmą. Miał na sobie dockersy i białą płócienną koszulę. Zgasił silnik, wrzucił kluczyki do kieszeni, wziął z siedzenia pudełko czekoladek i ruszył w stronę jej domu, powtarzając w myśli to, co miał powiedzieć. Mimo że Julie chciała, żeby był sobą, nie potrafił pozbyć się pragnienia, by jej zaimponować, olśnić ją, poczynając od pierwszych słów. Po godzinach rozmyślań zdecydował się na „Miałaś świetny pomysł, żeby wybrać się na plażę, jest przepiękny wieczór” nie tylko dlatego, że brzmiało to naturalnie, lecz dlatego, że nie sprawiało wrażenia, iż naciska zbyt mocno. To była jego szansa, być może jedyna, i nie chciał jej zaprzepaścić.

Julie stanęła w progu w chwili, gdy Mike zbliżył się do drzwi, i powiedziała coś przyjaznym tonem, zapewne słowa powitania, ale jej głos w połączeniu z nagłym, upajającym uświadomieniem sobie, że Randka Naprawdę Ma Miejsce! zakłócił bieg jego myśli i Mike'owi wyleciało z głowy, co zamierzał powiedzieć. Prawdę mówiąc, zapomniał o wszystkim.

Ładne kobiety są wszędzie, pomyślał, patrząc na Julie. Są takie, za którymi oglądają się mężczyźni nawet wtedy, gdy trzymają w objęciach swoją dziewczynę, albo takie, które potrafią wykpić się zwykłym ostrzeżeniem, gdy policjant zatrzyma je za przekroczenie prędkości, dzięki temu, że zatrzepczą rękami.

I jest Julie.

Większość mężczyzn uważa ją za atrakcyjną. Oczywiście, jej uroda ma pewne mankamenty - nieznacznie zadarty nos, trochę za dużo piegów, nieposłuszne włosy. Jednak gdy Mike przyglądał się, jak Julie schodzi po schodkach, a jej letnią suknię na ramiączkach wydyma lekka wiosenna bryza, pomyślał, że nigdy nie widział piękniejszej kobiety.

- Mike? - powiedziała Julie.

Jej głos przywrócił mu pamięć. Jednak nie przypomniał sobie słów powitania.

- Dobrze się czujesz? - spytała. - Jesteś trochę blady. Mike otworzył usta, potem zamknął je, gdy uprzytomnił sobie, że nie pamięta, co miał powiedzieć. Nie panikuj, pomyślał, zaczynając panikować. Cokolwiek robisz, NIE PANIKUJ! Postanowił uwierzyć w siebie i wziął głęboki oddech.

- Przyniosłem ci czekoladki - rzekł w końcu, podając jej pudełko.

Julie spojrzała na niego.

- Widzę. Dziękuję.

Przyniosłem ci czekoladki? To wszystko, na co mnie stać?

- Halo...? Jest tam kto? - zawołała Julie Powitanie... co miałem powiedzieć na powitanie...? Mike skoncentrował się i fragmenty obmyślnego powitania zaczęły powoli formować się w jego pamięci. Julie czekała, żeby coś powiedział... cokolwiek.

- Pięknie dziś wyglądasz na plaży - wyrwało mu się. Julie przyglądała mu się przez chwilę uważnie, po czym uśmiechnęła się.

- Dziękuję, ale jeszcze tam nie dotarliśmy. Mike schował ręce do kieszeni. Idiota!

- Przepraszam - rzekł nareszcie, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

- Za co?

- Za to, że tak idiotycznie się z tobą przywitałem. - O czym ty mówisz?

Jej mina stanowiła osobliwe połączenie zakłopotania i cierpliwości i to przede wszystkim sprawiło, że Mike znalazł właściwe słowa.

- Nic, nic. Po prostu cieszę się, że tu jestem. Julie wyczuła szczerość jego słów.

- Ja też - rzekła z uśmiechem.

Mike odetchnął z ulgą, odzyskując częściowo panowanie nad sobą. Uśmiechnął się, lecz jego wzrok błędził gdzieś w oddali, jak gdyby rozpoczął długie, drobiazgowo przeszukiwanie okolicy. Nie odezwał się od razu, nie mając pojęcia, dokąd się wybierają.

- Jesteś gotów jechać? - spytała w końcu Julie.

- Kiedy tylko zechcesz.

Odwrócił się i ruszył w stronę furgonetki, gdy usłyszał z domu szczekanie Śpiewaka. Obejrzał się przez ramię.

- Śpiewak nie jedzie z nami?

- Nie byłam pewna, czy tego chcesz.

Mike przystanął. Pomyślał, że pies może być bardzo przydatny dla ukojenia jego nerwów dzięki temu, że zmniejszy obustronne oczekiwania. Posłuży za rodzaj przyzwyczajenia.

- Może jechać, jeśli chcesz. Będziemy na plaży, a on to uwielbia.

Gdy Julie spojrzała w stronę domu, Śpiewak zaszczekał znowu. Zauważyła jego pysk w oknie. Chciała, żeby pies pojechał z nimi, ponieważ praktycznie wszędzie jej towarzyszył, ale przecież miała to być randka. Nigdy nie brała pod uwagę takiej ewentualności, gdy umawiała się na randki z Richardem lub innymi mężczyznami.

- Jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko temu?

- Ani trochę.

Julie uśmiechnęła się.

- Daj mi tylko moment, otworzę drzwi, dobrze? Gdy po dwóch minutach jechali przez most prowadzący do Bogue Banks, Śpiewak znowu zaczął szczekać. Siedział na skrzyni

furgonetki, fafle i język furkotały mu na wietrze, wyglądał na najbardziej zadowolonego psa pod słońcem.

* * *

Śpiewak zwinął się w kłębek na ciepłym piasku przed restauracją a Julie i Mike usiedli przy małym stoliku na tarasie na piętrze. Słońce zaczęło właśnie chylić się ku zachodowi, nisko zawieszona chmury były coraz rzadsze. Morska bryza, zawsze silniejsza na wyspie, łopotała falbanami parasoli przy stolikach w jednostajnym rytmie i Julie założyła kosmyki za uszy, żeby nie łaskotały jej po twarzy. Sama plaża była prawie pusta, tłoczno zaczęło się robić dopiero po święcie pamięci poległych na polu chwały, przypadającym w ostatni poniedziałek maja. Fale przelewały się przez gładkie wały piasku w pobliżu krawędzi wody.

Restauracja była sympatyczna. Ze względu na jej usytuowanie na samej plaży większość stolików była zajęta. Kiedy podszedł kelner, Julie zamówiła kieliszek wina. Mike wybrał piwo.

Jadąc do restauracji, rozmawiali trochę o tym, co robili wcześniej tego dnia. Jak zwykle, nie obyło się bez ploteczek o Mabel, Andrei, Henrym i Emmie. Gdy tak gawędzili, Mike spróbował się pozbierać. Nie mógł przeboleć, że spartaczył wysiłek całego dnia, kiedy to układał sobie w myśli powitanie, ale i tak wyszło niezłe. Chciał przypisać to swemu wrodzonemu wdziękowi, w głębi duszy wiedział jednak, że Julie nic nie zauważyła, ponieważ nie wydało jej się to niezwykle. Było w tym coś przygnębiającego, natomiast na plus mógł zaliczyć, że przynajmniej mu nie dokuczała.

Podczas pierwszych minut w restauracji Mike'owi trudno było się skupić. Rozmyślał przecież o tej chwili codziennie przez ostatnie dwa lata. I wracał ciągle do myśli, że - jeśli rozegra wszystko dobrze - może uda mu się pocałować później Julie. Kiedy podniosła do ust kieliszek wina, stulając wargi, Mike pomyślał, że nigdy w życiu nie widział czegoś równie zmysłowego.

Podczas gdy pili drinki, Mike podtrzymywał rozmowę i nawet sprawił, że Julie kilka razy wybuchnęła śmiechem, ale gdy podano kolację, nerwy miał tak zszarpane, że nie pamiętał wiele z tego, co mówił.

Weź się w garść, nakazał sobie w duchu.

* * *

Mike nie był sobą.

Nie dziwiło to Julie. Wiedziała, że musi minąć czas, zanim się rozluźni. Miała jednak nadzieję, że stanie się to raczej wcześniej niż później. Ona też nie czuła się całkiem

swobodnie, a Mike niczego jej nie ułatwiał. Sposób, w jaki przyglądał jej się, gdy brała kieliszek do ręki, sprawiał, że miała ochotę zapytać, czy nigdy przedtem nie widział, jak ktoś pije wino. Za pierwszym razem pomyślała, że próbuje ostrzec ją, iż za chwilę połknie robaka, który wylądował w jej winie.

Dzisiejszy wieczór różnił się od tamtego, kiedy wpadł, żeby nareperować kran, ale gdy zapraszała go wczoraj w barze „U Tizzy'ego” na kolację, nie przewidywała tak niezręcznej sytuacji. Przecież Mike był nie tylko ewentualną częścią jej przyszłości, ale i stałym elementem jej przeszłości. I oczywiście Jima.

Pomyślała o Jimie kilkakrotnie podczas kolacji, przyłapując się na tym, że porównuje obu mężczyzn. Zaskoczyło ją, że Mike, nawet utrudniając wszystko, wytrzymuje to całkiem dobrze. Mike nigdy nie był podobny do Jima, jednakże przebywanie z nim przypominało jej pod pewnym względem dobre chwile małżeństwa. Czuła się pewna, tak jak przy Jimie, że Mike nie tylko kocha ją teraz, ale że nie nadejdzie taki dzień, kiedy przestanie ją kochać. Tylko przez jeden krótki moment nawiedziło ją poczucie zdrady, pozostawiając jej wrażenie, że Jim jakimś sposobem ich obserwuje, minęło jednak równie szybko, jak się pojawiło. Po raz pierwszy została jej miła świadomość, że Jim wcale nie byłby niezadowolony.

Gdy skończyli jeść, słońce skryło się już za horyzontem, nad pociemniałą wodą rozpościerał się tylko purpurowy wachlarz.

- Masz ochotę się przejść? - spytał Mike.

- Z wielką przyjemnością - odpowiedziała Julie, stawiając kieliszek na stole.

Mike wstał. Julie wygładziła sukienkę i poprawiła ramiączko, które zsunęło się jej z ramienia. Podchodząc do balustrady, Mike precyzyjnie przeszedł obok Julie i przez zapach soli i morza poczuła woń jego wody kolońskiej, co uświadomiło jej, jak wiele nagle się zmieniło. Mike wychylił się, szukając wzrokiem Śpiewaka, jego twarz skryła się w cieniu, gdy jednak odwrócił głowę, blask księżyca oświetlił jego męskie rysy, nadając mu wygląd kogoś, kogo prawie nie знаła. Palce, oparte na poręczy z kutego żelaza, były poplamione smarem i Julie jeszcze raz pomyślała, jak jest inny od mężczyzny, z którym stanęła kiedyś na ślubnym kobiercu.

Nie, pomyślała, nie jestem zakochana w Mike'u.

Poczuła, że jej wargi same układają się do uśmiechu. Przynajmniej na razie.

* * *

- Zrobiłaś się jakaś milcząca pod koniec kolacji - zauważył Mike.

Szli nad samą wodą. Oboje zdjęli buty, Mike podwinął nogawki spodni do pół łydki.

Śpiewak biegł przed nimi z nosem przy ziemi, polując na kraby.

- Po prostu zamyśliłam się - odpowiedziała cicho Julie. Mike skinął głową.

- Myślałaś o Jimie?

- Skąd wiesz? - spytała Julie.

- Widziałem tę minę wiele razy. Byłabyś fatalną pokerzystką. - Postukał palcem w skroń. - Nic się przede mną nie ukryje.

- Tak? No, to o czym konkretnie myślałam?

- Myślałaś, że... cieszysz się, że za niego wyszłaś. - Och, widzę, że postawiłeś wszystko na jedną kartę.

- Ale miałem rację, prawda?

- Nie.

- W takim razie o czym myślałaś?

- Nieważne. Poza tym wolałbyś nie wiedzieć.

- Dlaczego? To coś złego?

- Nie.

- No, to powiedz.

- Dobrze. Myślałam o jego palcach.

- Palcach?

- Tak. Masz ślady smaru na palcach. Myślałam o tym, że przez cały czas, kiedy byliśmy małżeństwem, nigdy nie widziałam, żeby palce Jima wyglądały tak jak twoje.

Mike z zażenowaniem schował ręce do tyłu.

- Och, nie miałam na myśli nic niemilego - powiedziała szybko Julie. - Wiem, że jesteś mechanikiem. Musisz mieć brudne ręce.

- Wcale nie są brudne. Myję je bez przerwy. Są poplamione.

- Nie zachowuj się tak defensywnie. Wiesz, o co mi chodzi. Poza tym nawet mi się podobają.

- Naprawdę?

- Chyba w pewnym sensie muszą. Należą do wyposażenia. Mike wypiął pierś, gdy przez pewien czas szli w milczeniu.

- Czy miałabyś ochotę pojechać gdzieś jutro wieczorem? Może do Beaufort?

- Brzmi zachęcająco.

- Tym razem moglibyśmy zostawić Śpiewaka - dodał.

- Jasne. To już duży chłopiec. Jakoś to znieśie.

- Czy jest jakiś szczególnie lokal, do którego chciałabyś pójść?

- Teraz kolej na ciebie. Wybieraj. Ja już spełniłam swój obowiązek.

- I to bardzo dobrze. - Mike zerknął na Julie, biorąc ją za rękę. - Miałaś świetny pomysł, żeby wybrać się na plażę. Jest Przepiękny wieczór.

Julie uśmiechnęła się, gdy ich palce się splotły.

- Tak, to prawda - przyznała.

* * *

Po kilku minutach opuścili plażę, ponieważ Julie zrobiło się chłodno. Mike nie zamierzał puścić jej dłoni, nawet gdy dotarli już do furgonetki, nie miał jednak wyboru. Zastanawiał się, czy nie zrobić tego znowu w samochodzie, ale Julie położyła dłonie na kolanach i wyglądała przez boczne okno.

W drodze powrotnej żadne z nich nie było specjalnie rozmowne, a gdy odprowadził ją do drzwi domu, uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, co Julie o tym myśli. Znał dokładnie swoje pragnienia - miał nadzieję, że zatrzyma się na werandzie, zanim się pożegnają, dając mu szansę upewnienia się, że nie ma nic przeciwko jego pocałunkowi. Nie chciał niczego zepsuć.

- To był wspaniały wieczór - powiedział.

- Ja też cudownie spędziłam czas. O której mam być gotowa jutro?

- O siódmej?

- Świetnie.

Mike skinął głową, czując się jak nastolatek. Teraz, pomyślał. Wielka chwila. Wszystko się do tego sprowadza.

- No to... - zaczął, starając się zachować spokój.

Julie uśmiechnęła się, czytając w jego myślach. Ujęła dłoń Mike'a i uściśniła ją, po czym puściła.

- Dobranoc, Mike. Do zobaczenia jutro.

Minęła sekunda, zanim dotarło do niego, że to odmowa, przestąpił z nogi na nogę, potem jeszcze raz, wreszcie spytał niepewnym tonem:

- Jutro?

Otworzyła torebkę i zaczęła szukać w niej kluczy.

- Tak. Mamy randkę, zapomniałaś?

Julie znalazła klucze, włożyła jeden do zamka, po czym spojrzała na Mike'a. W tej samej chwili Śpiewak podbiegł do nich i Julie otworzyła drzwi, wpuszczając go do środka.

- Jeszcze raz dziękuję za przemiły wieczór.

Pomachała mu, wchodząc za Śpiewakiem do domu. Gdy drzwi się zamknęły, Mike gapił się na nie, zanim zdał sobie sprawę, że Julie już nie wyjdzie. Po kilku sekundach zszedł z werandy. Idąc do furgonetki, kopał kamyczki na żwirowanym podjeździe.

* * *

Julie zaczęła kartkować katalog, siedząc na kanapie i odtwarzając w pamięci cały wieczór. Wiedziała, że nie zdoła zasnąć. Była zadowolona, że nie pocałowała Mike'a na werandzie, choć nie miała pojęcia dlaczego. Może potrzebowała więcej czasu, żeby pogodzić się ze swoimi nowymi uczuciami.

A może chciała podręczyć go trochę i przyglądać się, jak zmieszany nie wie, co począć. Zażenowany Mike jest po prostu uroczy, tak jak tylko on potrafi. Henry ma słuszość - dokuczanie mu to czysta przyjemność.

Wzięła do ręki pilota i włączyła telewizor. Było jeszcze wcześniej - nie minęła nawet dziesiąta - zaczęła oglądać na kanale CBS film o małomiasteczkowym szeryfie, który czuje się w obowiązku ryzykować życie dla ratowania ludzi.

Dwadzieścia minut później, właśnie gdy szeryf miał uratować dziecko uwięzione w płonącym samochodzie, usłyszała pukanie do drzwi.

Śpiewak wstał szybko, pokonując jednym susem salon. Rozsunął łbem zasłony, Julie pomyślała więc, że to wrócił Mike.

Wtedy Śpiewak zaczął warczeć.

ROZDZIAŁ 17

- Richard - powiedziała Julie.

- Witaj, Julie. - Podał jej bukiet róż. - Kupiłem je na lotnisku w powrotnej drodze. Przepraszam, że nie są takie świeże, jak powinny, ale nie bardzo miałem w czym wybierać.

Julie stała w progu, Śpiewak tuż przy niej. Przestał warczeć, gdy tylko otworzyła drzwi i Richard wyciągnął otwartą dłoń. Obwąchał ją, spojrzał w górę, upewniając się, że twarz pasuje do znajomego zapachu, wreszcie odwrócił się. „Ach, to on” - zdawał się mówić ten gest. „Nie jestem zachwycony, ale niech będzie”.

Dla Julie nie było to takie łatwe. Zawahała się przez moment, po czym przyjęła kwiaty, żałując, że je przyniósł.

- Dziękuję - powiedziała.

- Przepraszam, że przychodzę tak późno, ale chciałem się przywitać, zanim pojedę do domu.

- Nie szkodzi - odparła.

- Dzwoniłem wcześniej, żeby cię uprzedzić, ale chyba cię nie było.

- Zostawiłeś wiadomość?

- Nie, nie zdążyłem. Właśnie wezwali pasażerów po raz ostatni, a nie miałem potwierdzonej rezerwacji. Wiesz, jak to jest. Wczoraj zostawiłem ci wiadomość.

- Tak - przyznała Julie. - Odsłuchiwałam ją. Richard skrzyżował ręce na piersi.

- A więc byłeś w domu? - spytał. - To znaczy wcześniej? - Umówiłam się z przyjacielem.

- Przyjacielem?

- Pamiętasz Mike'a? Zjedliśmy razem kolację.

- Ach, tak. Spotkaliśmy się w barze, prawda? To ten facet, który pracuje w warsztacie?

- Owszem.

- Aha - rzekł Richard, kiwając głową. - Dobrze się bawiłaś?

- Rzadko się z nim ostatnio widywałam, miło więc było spotkać się i pogadać.

- Świetnie. - Uciekł spojrzeniem w bok, potem spojrzał na własne buty, wreszcie z powrotem na Julie. - Mogę wejść? Liczyłem na to, że porozmawiamy przez kilka minut.

- Nie wiem - odpowiedziała wymijająco. - Zrobiło się późno. Miałam się właśnie położyć.

- Och - rzekł śpiesznie - w porządku. Rozumiem. Może wobec tego zobaczymy się jutro. Zjesz ze mną kolację?

W ciemności jego twarz wydawała się posępna, uśmiechnął się jednak, jak gdyby znał z góry jej odpowiedź.

Julie opuściła powieki na dłuższą chwilę. Nienawidzę tego, co muszę zrobić, pomyślała, nienawidzę, nienawidzę. Bob przynajmniej podejrzewał, że zbliża się koniec. Nie Richard.

- Przykro mi, ale nie mogę - powiedziała. - Mam już plany na wieczór.

- Umówiłaś się znowu z Mikiem? Skinęła twierdząco głową.

Richard podrapał się z roztargnieniem w policzek, nadal nie spuszczać z niej wzroku.

- A zatem to koniec, tak? Mówię o nas.

Mina Julie nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

- Zrobiłem coś nie tak? - spytał.

- Ależ nie - zaprzeczyła - nie o to chodzi.

- Więc o co? Nie spędzałaś miło czasu na naszych randkach?

- Owszem, było miło.

- Wobec tego w czym rzecz? Julie zawahała się.

- To naprawdę nie twoja wina. Chodzi o Mike'a i o mnie. My chyba po prostu... Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Cóż mam powiedzieć?

Gdy próbowała znaleźć właściwe słowa, Richard zacisnął zęby; widziała, jak drga mięsień policzka.

- Widzę, że podczas mojej nieobecności świetnie się bawiłaś? - rzekł w końcu.

- Słuchaj, naprawdę mi przykro...

- Niby dlaczego? Dlatego że umawiałaś się za moimi plecami, gdy tylko zdążyłem wyjechać? Że wykorzystałaś mnie, żeby wzbudzić zazdrość w Mike'u?

Dopiero po chwili dotarło do niej znaczenie tego, co powiedział.

- O czym ty mówisz?

- Słyszałaś.

- Nie wykorzystałam cię.

Richard puścił mimo uszu jej słowa, w jego głosie rozbrzmiewały coraz bardziej gniewne nuty.

- Nie? To dlaczego kończysz naszą znajomość, gdy ciągle dopiero się poznajemy? I jakim cudem Mike stał się nagle taki interesujący? Wyjeżdżam z miasta na kilka dni, po czym dowiaduję się, że między nami wszystko skończone, a na tapecie jest teraz Mike. - Wpatrywał się w nią z wściekłością, wargi mu zbieły. - Jestem pewien jak diabli, że zaplanowałaś

wszystko od początku do końca.

Jego wybuch był taki niespodziewany, taki zdumiewający, że nie zdołała powstrzymać słów cisnących jej się na wargi.

- Ty draniu!

Richard patrzył na nią jeszcze przez długą chwilę, po czym odwrócił w końcu wzrok. Gniewna mina ustąpiła miejsca zranionej.

- To nie fair - powiedział cicho. - Proszę cię, chcę tylko porozmawiać z tobą, dobrze? - błagał.

Gdy Julie spojrzała na Richarda, zauważyła ze zdziwieniem łzy w jego oczach. Ten facet to istna huśtawka emocji, pomyślała. W górę, w dół, i z powrotem.

- Posłuchaj, Richardzie, bardzo mi przykro. Nie powinnam była tego mówić. Nie chciałam sprawić ci przykrości. Naprawdę. - Umilkła, upewniając się, że jej słucha. - Zrobiło się późno i oboje jesteście zmęczeni. Lepiej wejdę do domu, zanim oboje powiemy sobie jeszcze coś. Dobrze?

Gdy Richard nie odpowiadał, uczyniła krok do tyłu, żeby zamknąć drzwi. Richard wyciągnął nagle rękę, przytrzymując drzwi.

- Julie! Zaczekaj! - powiedział. - Przepraszam... Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

Gdy przypominała sobie później tę scenę, za każdym razem przeżywała wstrząs, zdając sobie sprawę, jak błyskawicznie zareagował Śpiewak. Zanim zdążyło dotrzeć do niej, że mężczyzna nie pozwala jej zamknąć drzwi, Śpiewak rzucił się na jego rękę, jak gdyby chciał złapać w locie frisbee. Psie zęby trafiły prosto w cel. Richard jęknął z bólu i przewrócił się na próg.

- Śpiewak! - krzyknęła Julie.

Richard upadł na kolana, tymczasem Śpiewak potrząsał łbem na boki, warcząc groźnie i nie wypuszczając z pyska ręki mężczyzny.

- Powstrzymaj go! - zawołał Richard. - Zabierz go ode mnie!

Julie rzuciła się w stronę Śpiewaka, chwyciła go za obroź i mocno szarpnęła.

- Puść go! - poleciła. - Puść go! Natychmiast!

Pomimo wściekłości, która w nim kipiała, Śpiewak natychmiast się cofnął, Richard zaś przycisnął odruchowo rękę do piersi, przytrzymując ją drugą ręką. Śpiewak stał przy boku Julie ze zjeżoną sierścią, szczerząc kły.

- Śpiewak, NIE! - powiedziała ostro, nadal zdumiona jego zajadłością. - Richardzie, czy ręka jest cała?

Richard poruszył palcami, krzywiąc się.

- Złamania chyba nie ma.

Julie położyła dłoń na grzbiecie Śpiewaka. Mięśnie miał napięte, nie spuszczał oczu z mężczyzny.

- Nie zauważyłem nawet, kiedy się na mnie rzucił - rzekł cicho Richard. - Przypomnij mi, żebyś nie dotykał twoich drzwi, gdy ten pies kręci się w pobliżu.

Chociaż mówił o tym, jak gdyby cały incydent miał w sobie coś zabawnego, Julie nie odpowiedziała. Śpiewak zareagował instynktownie w jej obronie i nie zamierzała karać go za to.

Richard stał, otwierając i zaciskając dłoń. Julie widziała ślady po zębach Śpiewaka, ale skóra nie była chyba zadraśnięta. Richard odsunął się od niej jeszcze o krok.

- Przepraszam - powiedział. - Nie powinienem był powstrzymywać cię od wejścia do środka. To był błąd.

Masz absolutną rację, pomyślała Julie.

- I nie powinienem był gniewać się na ciebie wcześniej - westchnął. - Po prostu miałem naprawdę ciężki tydzień. Dlatego chciałem wejść na chwilę. Wiem, że to żadne usprawiedliwienie, ale...

Jego słowa brzmiały szczerze i wyglądał na skruszonego, lecz Julie podniosła rękę, przerywając mu.

- Richardzie... - zaczęła.

Jej ton świadczył wyraźnie o tym, że nie chce wracać do całej sprawy. Richard uciekł spojrzeniem w bok. Wpatrywał się w jakiś niewidoczny punkt, światło lampy na werandzie padało na jego twarz i Julie dostrzegła, że jej wcześniejsze wrażenie co do łez było słuszne. Oczy Richarda znowu zasłzy mgłą.

Gdy się odezwał, głos miał stłumiony, udręczony.

- Moja matka umarła w tym tygodniu - wyszeptał. - Właśnie wróciłem z pogrzebu.

* * *

- Dlatego musiałem zostawić wiadomość za wycieraczką twojego dżipa tamtej nocy - wyjaśnił Richard. - Lekarz powiedział, żebyś lepiej złapał jak najwcześniejszy lot, ponieważ nie ma pewności, czy matka przeżyje jeszcze jeden dzień. Zarezerwowałem bilet na pierwszy samolot wylatujący z Raleigh we wtorek rano, musiałem więc wyjechać w środku nocy, żeby zdążyć.

Po kilku minutach Richard siedział na kanapie Julie, ze wzrokiem wbitym w podłogę,

próbując powstrzymać łzy. Do Julie dopiero po chwili dotarło to, co powiedział, potem jednak ogarnęło ją współczucie. Gdy wyjąkała zwykle: „Bardzo mi przykro” i „Czemu nie powiedziałaś mi od razu?”, Richard załamał się kompletnie. Pozwoliła mu wejść do domu, zamknawszy uprzednio Śpiewaka w sypialni. Teraz siedziała naprzeciwko Richarda w fotelu, słuchając go i myśląc: Wspaniałe wycucie czasu, Julie. Potrafisz naprawdę idealnie wybrać moment, żeby komuś dokopać, co?

- Wiem, że to nie zmienia tego, co powiedziałaś mi na werandzie, nie chciałem jednak, żeby nasza znajomość zakończyła się kłótnią. Za bardzo cenię chwile, które spędziliśmy razem. - Odchrząknął i przycisnął powieki palcami. - Stało się to tak nagle. Nie byłem przygotowany na to, co mi powiedziałaś. - Westchnął. - Do licha, w ogóle nie byłem na nic przygotowany. Nie potrafisz wyobrazić sobie, co tam przeżyłem. Wszystko... to, jak wyglądała przed śmiercią co mówiły pielęgniarki, ten zapach...

Podniósł obie ręce do twarzy, Julie słyszała jego urywany oddech, serię krótkich wdechów, po których następował głęboki wydech.

- Musiałem po prostu z kimś porozmawiać. Z kimś, kto mnie wysłucha.

O... rany, pomyślała Julie. Czy mogło być jeszcze gorzej? Uśmiechnęła się z przymusem.

- Możemy porozmawiać - zgodziła się. - Przecież jesteśmy nadal przyjaciółmi, prawda?

* * *

Richard plótł przez dwie godziny, przeskakując z tematu na temat. Wspominał matkę, opowiadał, co czuł, gdy przekroczył próg szpitalnej sali, jak czuł się nazajutrz, gdy dowiedział się, że trzymał rękę matki po raz ostatni w życiu. Gdy mówił już dłuższy czas, Julie zaproponowała mu piwo. W ciągu wieczoru wypił trzy, zdając się tego nie zauważać. Co pewien czas przerywał, uciekając wzrokiem gdzieś w bok, z wyrazem oszołomienia na twarzy, jak gdyby zapomniał, co chciał powiedzieć. Kiedy indziej znowu gadał jak nakręcony, jak gdyby właśnie wypił jednym haustem podwójną kawę z ekspresu. Julie słuchała, nie przerywając mu, zadając sporadycznie pytania, kiedy wypadało je zadać, ale to wszystko. Kilkakrotnie dostrzegła łzy w jego oczach, ale gdy wzbierały, Richard przyciskał palcami grzbiet nosa, żeby je powstrzymać.

Nadeszła i minęła północ. Wskazówki zegara na kominku przesunęły się na pierwszą, potem zaczęły zbliżać się do drugiej. Wtedy piwo i wyczerpanie emocjonalne zrobiły swoje. Richard zaczął się powtarzać, bełkotać niezrozumiale. Gdy Julie wyszła do kuchni po

szklankę wody dla siebie, zauważyła po powrocie, że Richard ma zamknięte oczy. Siedział wciśnięty w kąt kanapy, głowa opadła mu na poduszki, usta miał otwarte. Oddychał równo i spokojnie.

Julie stała ze szklanką wody w ręku, myśląc: Po prostu super! Co mam teraz zrobić?

Chciała go obudzić, ale uznała, że nie jest dość trzeźwy, żeby prowadzić samochód. Nie chciała, żeby został, czuła się nieswojo, jednak Richard już spał i gdyby go obudziła, mógłby zacząć znowu gadać. Pomimo że była gotowa wysłuchać go, gdyby tego potrzebował, czuła się wyczerpana.

- Richardzie - spytała szeptem. - Śpisz?

Zero reakcji.

Spróbowała jeszcze raz, z takim samym rezultatem. Zastanawiała się, czy nie zawołać głośno albo nie obudzić go szarpnięciem, ale zważywszy na ewentualne konsekwencje, narobiłaby sobie chyba więcej kłopotu, niż to było warte.

Wielkie rzeczy, pomyślała w końcu, jest przecież zamroczony.

Pogasiła światła i zostawiwszy go na kanapie, wróciła do sypialni, zamykając za sobą drzwi na klucz. Śpiewak leżał na jej łóżku. Podniósł głowę, przyglądając się, gdy wkładała piżamę.

- Wyjątkowo dzisiaj - wyjaśniła, jak gdyby próbowała przekonać sama siebie, że postępuje właściwie. - Nie zmieniałam zdania. Jestem po prostu zmęczona, wiesz?

* * *

Julie obudziła się o świcie i zerknąwszy na zegar, jęknęła, po czym odwróciła się na bok, próbując przegonić dzień. Była ociążała i czuła się, jak gdyby nękał ją straszliwy kac.

Wygramoliła się z łóżka i uchyliła drzwi, wyglądając przez szparę. Richard chyba wciąż jeszcze spał. Wskoczyła pod prysznic i ubrała się do pracy. Nie chciała, żeby zobaczył ją w piżamie. Gdy weszła do salonu - z Śpiewakiem, który nie odstępował jej na krok - Richard siedział na kanapie, pocierając twarz. Kluczyki samochodowe leżały na jego portfelu na stoliku przed nim.

- Ach, dzień dobry - powiedział, wyraźnie zmieszany. - Zdaje się, że kimnałem, co? Bardzo cię przepraszam.

- To był długi dzień - zauważyła.

- Tak, rzeczywiście - odparł. Wstał, biorąc ze stołu portfel. Na jego twarzy pojawił się przelotny uśmiech. - Dziękuję, że pozwoliłaś mi zostać. Naprawdę bardzo ci dziękuję.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Jak się czujesz?

- Będzie dobrze. Musi być. Życie toczy się dalej, prawda? Koszula mu się pogniotła, wygładził ją dłońmi.

- Jeszcze raz przepraszam za moje wczorajsze zachowanie - dodał. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Włosy Julie jeszcze nie całkiem wyschły, czuła, jak krople wody przesiąkają przez materiał bluzki.

- Nie szkodzi - odparła. - Wiem, że to spadło na ciebie jak grom z jasnego nieba, ale...
Richard pokręcił głową.

- Nie... w porządku. Nie musisz się tłumaczyć... rozumiem. Mike wygląda na sympatycznego faceta.

Julie zawahała się.

- Rzeczywiście - powiedziała w końcu - ale dziękuję ci.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa. Zawsze tylko tego pragnąłem. Jesteś wspaniałą kobietą i zasługujesz na to. Dziękuję ci zwłaszcza za to, że wysłuchałaś mojego bredzenia wczoraj w nocy. Nie masz pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczyło. Żadnych pretensji?

- Żadnych pretensji - powtórzyła Julie.

- Będziemy nadal przyjaciółmi?

- Jasne.

- Dziękuję. - Richard wziął kluczyki i ruszył w stronę drzwi. Otworzył je i obejrzał się przez ramię.

- Mike to szczęściarz - zawołał. - Nie zapominaj o tym. Uśmiechnął się, był to jednak raczej melancholijny uśmiech.

- Żegnaj, Julie.

Gdy wsiadł wreszcie do samochodu, Julie odetchnęła z ulgą, ucieszona, że poszło lepiej, niż się spodziewała. W każdym razie lepiej niż wczorajszej nocy, pomyślała, zmieniając zdanie.

Przynajmniej już po wszystkim.

ROZDZIAŁ 18

Gdy Richard znalazł się już w swoim wynajętym wiktoriańskim domu, wszedł po schodach do narożnego pokoju. Po wprowadzeniu się pomalował w nim ściany na czarno i pokrył okna szeroką taśmą klejącą oraz plastikową folią nieprzepuszczającą światła. Nad prowizorycznym stołem ustawionym pod ścianą wisiała czerwona żarówka. W rogu znajdował się sprzęt fotograficzny - cztery różne aparaty, kilkanaście obiektywów, pudełka z rolkami filmu. Zapalił światło, ustawiając abażur w taki sposób, żeby rozeszło się promieniście.

Obok płaskich pojemników z odczynnikami chemicznymi, których używał do wywoływania filmów, leżała sterta zdjęć, które zrobił podczas randki z Julie. Wziął je do ręki.

Zaczął przeglądać fotografie, od czasu do czasu zatrzymując się dłużej nad niektórymi, żeby przyjrzeć się Julie. Pomyślał, że wyglądała na taką szczęśliwą podczas tamtego weekendu, jak gdyby wiedziała, że jej życie zmieni się nagle na lepsze. I była taka urocza. Studiując kolejno wyraz jej twarzy na zdjęciach, nie potrafił znaleźć niczego, co zwiastowałoby to, co stało się wczorajszej nocy.

Pokręcił głową. Nie, nie będzie miał jej za złe pomyłki. Każdy, kto potrafi przejść od gniewu do współczucia tak łatwo jak ona, jest skarbem. Ma szczęście, że ją spotkał.

Wiedział teraz sporo o Julie Barenson. Jej matka jest pijaczką z preferencją do wódki, mieszkającą w rozklekotanej, cuchnącej dymem papierosowym przyczepie na przedmieściach Daytona. Jej ojciec mieszka obecnie w Minnesocie, jest związany z inną kobietą i żyje z renty inwalidzkiej, którą otrzymał po niefortunnym wypadku na budowie. Pobrali się dwa lata po nagłym wyjeździe z miasta. Julie miała wtedy trzy latka. W różnych okresach z Julie i jej matką mieszkało sześciu kolejnych mężczyzn. Najkrócej przez miesiąc, najdłużej przez dwa lata. Przeprowadzały się kilkakrotnie, zawsze z jednej przyczepy do następnej.

Aż do liceum Julie zmieniała co roku szkołę. Pierwszego chłopaka miała w wieku czternastu lat. Grał w futbol i koszykówkę, w księdze pamiątkowej szkoły było zamieszczone ich wspólne zdjęcie. Grała drugoplanowe role w dwóch przedstawieniach szkolnych. Rzuciła szkołę przed maturą i zniknęła na kilka miesięcy przed przyjazdem tutaj.

Zachodził w głowę, co zrobił Jim, żeby zwabić ją do takiej miejsciny jak Swansboro.

Szczęśliwe małżeństwo, nijaki mąż. Miły, ale nijaki.

Wywiedział się też trochę o Mike'u od jednego z miejscowych po spotkaniu w „Clipper”. Zdumiewające, ile może zdziałać postawienie kilku drinków w barze.

Mike był zakochany w Julie, ale o tym Richard już wiedział. Nie znał natomiast

szczegółów znajomości z Sarą i zerwania z nią. Zainteresowała go niewierność Sary. Pamiętał, jak kiwał głową, rozważając możliwości, które się nagle otworzyły.

Dowiedział się też, że Mike był drużbą na ślubie Julie i ich więź stała się dla niego zrozumiała. Mike podnosił ją na duchu, stanowił ogniwo łączące ją z przeszłością, z Jimem. Richard rozumiał pragnienie Julie, by się tego trzymać, by oderwać się od wszystkiego, co mogłoby jej to odebrać. Jednak było to pragnienie zrodzone z obawy. Obawy, że skończy tak jak matka, że straci wszystko, na co tak ciężko pracowała, obawy przed nieznanym. Omal nie roześmiał się głośno, gdy spróbował otworzyć wczorajszej nocy drzwi do jej sypialni i oczywiście zastał je zamknięte.

Jest taka ostrożna, pomyślał. Prawdopodobnie zachowywała się tak zawsze jako dziecko ze względu na wszystkich tych mężczyzn, których matka sprowadzała do domu. Ale teraz takie życie nie ma już sensu. Może posuwać się do przodu tak jak on.

Ich dzieciństwo niewiele się różniło. Pijaństwo. Bicie. Kuchnia pełna karaluchów. Woń pleśni i zagrzybionych nieotynkowanych murów. Gęsta woda gruntowa z kranu, przyprawiająca go o bóle brzucha. Jego jedyną odskocznią były zdjęcia w książkach Anselma Adamsa, które zdawały się mówić cicho o innych lepszych miejscach. Odkrył te książki w szkolnej bibliotece i spędzał nad nimi długie godziny, pogrążony w oglądaniu surrealistycznie pięknych krajobrazów. Matka zauważyła jego zainteresowanie i chociaż Gwiazdka była zwykle ponurym wydarzeniem, gdy Richard miał dziesięć lat, zdołała jakoś namówić ojca do wydania pieniędzy na nieduży aparat i dwie rolki filmu. Richard pamięta, że wtedy po raz pierwszy i ostatni płakał ze szczęścia.

Całymi godzinami fotografował różne przedmioty w domu albo ptaki w ogródku. Robił zdjęcia o zmierzchu i o świcie, ponieważ lubił światło w tych godzinach. Stał się mistrzem w bezszelestnym poruszaniu się, dzięki czemu udawało mu się uchwycić na pozór niemożliwe zbliżenia. Gdy skończył rolkę filmu, wbiegł do domu, błagając ojca, żeby oddał zdjęcia do wywołania. Kiedy były już gotowe, długo oglądał je w swojej sypialni, próbując ocenić, co zrobił źle, a co dobrze.

Początkowo ojca bawiło chyba jego zainteresowanie i obejrzał nawet zdjęcia z pierwszych dwóch rolek. Potem zaczęły się złośliwe uwagi. „Och, popatrz, kolejny ptaszek”, „O, rany, jeszcze jeden ptaszek”. W końcu zaczął żałować pieniędzy wydawanych na hobby syna. „Marnujesz pieniądze, nic więcej!” - krzyczał. Zamiast zaproponować, żeby Richard podjął się pewnych domowych obowiązków, postanowił dać synowi nauczki.

Tamtego wieczoru pił znowu ostro, toteż zarówno Richard, jak i jego matka starali się schodzić mu z drogi. Robili wszystko, co tylko w ich mocy, żeby ich nie zauważył. Do

siedzącego w kuchni Richarda dobiegały przekleństwa ojca, który oglądał mecz futbolowy w telewizji. Postawił na swoją ulubioną drużynę - Patriots - i przegrał. Richard słyszał, jak ojciec idzie ciężkim krokiem przez korytarz. Wszedł do kuchni. W ręku trzymał aparat fotograficzny, który położył na stole. W drugiej ręce miał młotek. Upewniwszy się, że syn patrzy na niego, zamachnął się i roztrzaskał aparat jednym ciosem.

- Haruję przez cały tydzień, a ty chcesz to wszystko zmarnotrawić! Od tej chwili problem przestaje istnieć!

Ojciec zmarł tego samego roku. Wspomnienia z tym związane były wciąż żywe w pamięci Richarda. Plama porannego słońca na kuchennym stole, nieobecne spojrzenie matki, monotonne kapanie z kranu, gdy mijały godziny i zbliżało się popołudnie. Policjanci rozmawiali przyciszonymi głosami, wchodzili i wychodzili. Koroner zbadał ciało, a następnie polecił, żeby je zabrano.

A potem zawodzenie matki, gdy już wreszcie zostali sami.

- Co my zrobimy bez niego? - szlochała, potrząsając go za ramiona. - Jak to się mogło stać?

A stało się tak: ojciec pił w podejrzanym barze w Bostonie, „U O'Briena”, znajdującym się niedaleko ich domu. Klienci baru zeznali, że zagrał jedną partię w bilard, przegrywając ją, następnie przesiedział w barze cały wieczór, pijąc na umór. Dwa miesiące temu został wylany z pracy i spędzał w barze większość wieczorów; wściekły mężczyzna szukający współczucia i pocieszenia w towarzystwie alkoholików. Przez cały ten czas bijął ich regularnie, a poprzedniego dnia szczególnie brutalnie.

Wyszedł z baru trochę po dziesiątej, wstąpił do narożnego sklepiku po paczkę papierosów, a następnie przejechał obok domów w robotniczej dzielnicy, w której mieszkali. Sąsiad, który wyszedł na spacer z psem, widział go, jak podjechał pod dom. Garaż był otwarty i Vernon wprowadził samochód do ciasnego pomieszczenia. Pod obydwoma ścianami piętrzyły się tekturowe kartony.

I od tego momentu zaczynają się spekulacje. To, że zamknął drzwi garażu, nie ulegało wątpliwości, świadczył o tym wysoki poziom tlenku węgla. Koroner zastanawiał się jednak, dlaczego Vernon nie wyłączył najpierw silnika i dlaczego wrócił do samochodu po zniknięciu drzwi garażu. Praktycznie rzecz biorąc, wyglądało to na samobójstwo, chociaż jego kumple twierdzili, że nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś takiego. Ich zdaniem nie należał do facetów, którzy łatwo się poddają. Nie popełniłby samobójstwa.

Policjanci wrócili dwa dni później, zadając pytania i szukając na nie odpowiedzi. Matka płakała, mamrocząc coś nieskładnie, a dziesięciolatek wpatrywał się w nich spokojnie,

bez słowa. Siniaki na twarzach matki i syna nabrały już do tego czasu zielonego odcienia na obrzeżach, nadając im udręczony wygląd. Policjanci odeszli z kwitkiem.

W końcu śmierć Vernona uznano za wypadek i przypisano ją nadużyciu alkoholu.

Na pogrzebie zjawili się kilkanaście osób. Ubrana na czarno matka płakała w białą chusteczkę, Richard stał przy niej. Nad grobem przemawiały trzy osoby, żegnając pełnymi dobroci słowami człowieka, którego opuściło szczęście, ale który mimo to był porządnym facetem, żywicielem rodziny, kochającym mężem.

Syn dobrze odgrywał swoją rolę. Oczy miał spuszczone, od czasu do czasu podnosił rękę do policzka, jak gdyby ocierał łzę. Obejmował ramieniem matkę, kiwał ponuro głową i dziękował, gdy składano im kondolencje.

Nazajutrz, gdy cmentarz był pusty, wrócił nad grób i stanął przed świeżo usypanym kopczykiem ziemi.

Potem nań splunął.

Richard przypiął jedną z fotografii do ściany w ciemni, myśląc, że przeszłość rzuca długie cienie. Łatwo się pogubić. Wiedział, że Julie nie potrafiła nic na to poradzić, i rozumiał ją. Wybaczył jej to, co zrobiła.

Popatrzył na jej zdjęcie. Jak mógłby nie wybaczyć?

ROZDZIAŁ 19

Ponieważ Julie ubrała się, zanim Richard wyszedł, miała dość czasu, żeby przejrzeć gazetę przed pójściem do pracy. Usiadła przy stoliku przed cukiernią, popijając kawę i czytając, Śpiewak zaś ułożył się u jej stóp.

Odłożywszy gazetę, przyglądała się, jak centrum miasteczka budzi się do życia. Jedne po drugich zapalały się szyldy w witrynach sklepów, otwierały się drzwi, żeby wpuścić poranną bryzę. Na niebie nie było ani jednej chmurki, a na przednich szybach samochodów zaparkowanych wzdłuż ulicy zebrały się kropelki rosy.

Julie wstała, podając gazetę parze siedzącej przy sąsiednim stoliku, wrzuciła pusty kubeczek do śmieci i ruszyła ulicą w stronę salonu. Warsztat był już otwarty od godziny i Julie pomyślała, że skoro zostało jej jeszcze kilka minut do zjawienia się pierwszej klientki, to czemu nie? Mike z pewnością nie jest na razie zbyt zajęty. Poza tym chciała wpaść, żeby przekonać się, czy to, co czuła wczorajszego wieczoru, nie było wytworem jej wyobraźni.

Nie zamierzała mówić Mike'owi, że Richard spędził noc w jej salonie. Żeby nie wiem jak się starała, nie potrafiła wymyślić niczego, co nie brzmiałoby podejrzenie, zwłaszcza w świetle tego, co spotkało go ze strony Sary. Czuła, że zawsze by się nad tym zastanawiał, tkwiłaby w nim bolesna zadra. Zresztą to było nieistotne. Już po wszystkim i tylko to się liczy.

Przeszła na drugą stronę ulicy, Śpiewak biegł truchtem przed nią. Mike ruszył ku niej, zanim zdążyła minąć samochody stojące w kolejce do naprawy. Zrobił taką minę, jak gdyby trafił mu się właśnie wygrany los na loterii.

- Cześć, Julie - przywitał ją. - Co za miła niespodzianka.

Chociaż miał na policzku smugę smaru, a na czole perliły mu się krople potu, mimo woli przemknęła jej przez głowę myśl: Do licha, wyglądasz naprawdę super. I nic sobie nie wyobrażam!

- Tak się cieszę, że cię widzę, wielkoludzie - dodał Mike, wyciągając rękę do Śpiewaka. Gdy go głaskał, Julie zauważyła, że palce ma oklejone plastrem.

- Co ci stało? - spytała.

Mike zerknął przelotnie na swoje dłonie.

- Och, nic takiego. Po prostu rano miałem palce trochę obolałe.

- Dlaczego?

- Chyba szorowałem je trochę za mocno wczoraj wieczorem po powrocie do domu.

Julie zmarszczyła brwi.

- Z powodu tego, co powiedziałam wczoraj na plaży?

- Nie - odparł, po czym dodał, wzruszając ramionami: - No, cóż, to chyba częściowy powód.

- Ja tylko się z tobą droczyłam.

- Wiem - powiedział Mike - ale chciałem sprawdzić, czy nowe mydło nie będzie przypadkiem skuteczniejsze.

- Czego więc użyłeś? Ajaxu?

- Ajaxu, czterysta dziewięć, lizolu. Spróbowałem niemal wszystkiego.

Julie podparła się pod boki i przyglądała mu się badawczo.

- Wiesz, czasami zastanawiam się, jaki będziesz, kiedy dorośniesz.

- Prawdę mówiąc, widzę niewielkie szanse. Roześmiała się, myśląc: Lubię tego faceta.

Jak mogłabym go nie lubić?

- Wpadłam, by ci powiedzieć, że wczorajszy wieczór był naprawdę bardzo miły.

- Ja też tak uważam - rzekł Mike - i już nie mogę doczekać się dzisiejszego.

- Na pewno będzie fantastyczny.

Ich spojrzenia się spotkały, po czym Julie zerknęła na zegarek.

- Niestety, muszę już lecieć. Od rana mam umówione klientki, a potem wybieram się z Emmą na lunch, toteż nie mogę mieć żadnych poślizgów.

- Pozdrów Emmę ode mnie, dobrze?

- Jasne - odpowiedziała Julie. - Miłego dnia.

- I nawzajem. Puściła do niego oko.

- Uważaj na palce, dobrze? Za żadne skarby nie chciałabym, żebyś poplamiał krwią te wszystkie silniki, które reperujesz.

- Cha, cha. - Nie miał nic przeciwko temu, że się z nim przekomarzała. Wiedział, że w ten sposób z nim flirtuje.

I, Bóg świadkiem, podobało mu się to! Bardzo mu się podobało!

Pożegnali się i Julie przeszła sprężystym krokiem na drugą stronę ulicy.

* * *

- Wygląda na to, że randka się udała, co? - spytał Henry, trzymając w ręku na wpół zjedzonego pączka.

Mike zaczepił kciuk o kieszeń kombinezonu i pociągnął nosem.

- O tak - odpowiedział. - Udała się kapitalnie. Henry machnął dłonią, w której trzymał pączek, i pokręcił głową.

- Skończ z tym pozowaniem na Jamesa Deana, braciszku, dobrze? To do ciebie nie pasuje. Nie potrafisz też zamaskować tego idiotycznego wyrazu oczu.

- Wcale nie wyglądam idiotycznie.

- A właśnie, że tak. Idiotycznie. Jak zakochany kundel. - Nic nie poradzę na to, że ona mnie lubi.

- Wiem, wiem. Nie można ci się po prostu oprzeć, prawda?

- Myślałem, że będziesz się cieszył z mojego szczęścia.

- Cieszę się i jestem z ciebie dumny.

- Dlaczego?

- Ponieważ jakikolwiek był twój plan, jakimś cudem wypalił.

* * *

- Co się stało z Richardem? - spytała Emma. - Kilka dni temu w barze sprawialiście wrażenie niezwykle dobranej pary.

- Och, wiesz, jak to jest... Był sympatyczny, ale po prostu nic do niego nie czuję.

- To chyba z powodu jego aparycji, co?

- Jeśli o to chodzi, to wypadł nie najgorzej - powiedziała Julie i Emma parsknęła śmiechem.

Jadły lunch - sałatki - w delikatesach mieszczących się w domu w zabytkowej dzielnicy. Promienie słońca padały na ich narożny stolik, sprawiając, że szklanki z herbatą mieniły się bursztynowo.

- To samo powiedziałam Henry'emu po powrocie do domu. Zadręczałam go pytaniami, dlaczego już nie wygląda tak jak on.

- I co ci odpowiedział?

- Odpowiedział... - Emma poprawiła się na krześle i wymówiła grubym głosem, naśladując Henry'ego: - Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale gdybym nie był pewien, że bardzo mnie kochasz, pomyślałbym, że chcesz mnie po prostu obrazić.

Julie roześmiała się serdecznie.

- Zupełnie, jakbym słyszała Henry'ego.

- Kochanie, kiedy będziesz mężatką tak długo jak ja, przekonasz się, że to wcale nie jest trudne. Brakuje mi tylko Pączka w rękę, którym mogłabym gestykulować.

Julie zachichotała, prychając herbatą na stół.

- Ale nadal jesteś z nim szczęśliwa, prawda? Mimo drobnych niedociągnięć?

- Przeważnie jest naprawdę fajnym facetem. Czasami mam ochotę walnąć go patelnią,

ale to chyba normalne, prawda?

W oczach Julie zabłyśły figlarne chochliki, gdy pochyliła się do przodu.

- Czy zdradziłam ci kiedyś, że rzuciłam patelnię w Jima?

- Naprawdę? Kiedy?

- Nie pamiętam. Nie pamiętam nawet, o co się kłóciliśmy, ale cisnęłam patelnię prosto w niego. Nie trafiłam, lecz dzięki temu poświęcił mi całą uwagę.

Emma uniosła brwi.

- Życie za zamkniętymi drzwiami zawsze jest tajemnicą, co?

- Bez wątpienia.

Emma napiła się herbaty, po czym wróciła do sałatki.

- A teraz potwierdź to, co słyszałam o Mike'u.

Julie wiedziała, że nie unikną tego tematu. Ludzie w małych miasteczkach woleli ploteczki o ich mieszkańcach od polityki, sportu czy skrótu najważniejszych wiadomości.

- To zależy, co słyszałaś.

- Słyszałam, że się z tobą umówił i że poszliście razem na kolację.

- Mniej więcej. Prawdę mówiąc, to ja się z nim umówiłam.

- On nie potrafił się na to zdobyć?

- A jak myślisz? - spytała Julie, spoglądając na Emmę znad szklanki.

- Hm... przypuszczam, że był sztywny jak kij.

- Strzał w dziesiątkę - odrzekła Julie ze śmiechem.

- No więc, jak to się odbyło? Co zrobiłaś?

Julie opowiedziała po kolei, jak wyglądała ich randka, a gdy skończyła, Emma odchyliła się na oparcie krzesła.

- Czyli poszło świetnie?

- To prawda.

Przez chwilę Emma przyglądała się badawczo twarzy Julie.

- A co z... no, wiesz... Czy myślałaś o... - Nie dokończyła zdania i Julie zrobiła to za nią.

- O Jimie?

Emma skinęła głową i Julie namyślała się przez chwilę.

- Nie tyle, ile się spodziewałam - odparła. - I ostatecznie nie zmartwiło mnie to. Mike i ja... po prostu jest nam razem dobrze. Rozśmiesza mnie. Sprawia, że lubię siebie. Bardzo dawno tak się nie czułam.

- Dziwi cię to?

- Tak. Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, co z tego wyjdzie.

Twarz Emmy złagodniała.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Twoje małżeństwo z Jimem było przecież wspaniałe. Zawsze, kiedy gdzieś razem się wybieraliśmy, żartowaliśmy sobie z was, jacy jesteście w sobie wpatrzeni.

- Tak, było nam cudownie razem - przyznała Julie w zamyśleniu.

- A jak zachowywał się Mike? - spytała Emma po chwili milczenia.

- Szczerze mówiąc, był raczej dość zdenerwowany, nie sądzę jednak, żeby miało to cokolwiek wspólnego z Jimem. Przypuszczam, że raczej z samą randką.

- O rany, poważnie? Julie uśmiechnęła się.

- Poważnie, ale bawiłam się doskonale.

- A zatem... lubisz go?

- Oczywiście, że go lubię.

- Nie, daj spokój. Pytam, czy go lubisz?

Do tego wszystko się sprowadza, prawda? - pomyślała Julie. Nie musiała nic mówić. Odpowiedź miała wypisaną na twarzy. Emma wyciągnęła rękę nad stołem i uściśnęła dłoń Julie.

- Cieszę się. Zawsze przypuszczałam, że do tego dojdzie.

- Doprawdy?

- Myślę, że wszyscy się tego spodziewali z wyjątkiem ciebie i Mike'a. To była tylko kwestia czasu.

- Nigdy nie mówiłaś nic na ten temat.

- Nie musiałam. Pomyślałam, że zobaczysz w Mike'u to co ja, gdy przyjdzie na to czas.

- To znaczy?

- On nigdy cię nie zawiedzie. Ten chłopak ma serce wielkości Kentucky i kocha cię. To bardzo ważne. Mówi ci to ktoś, kto się na tym zna. Moja mama mawiała, że jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, powinnam poślubić kogoś, kto kocha mnie bardziej niż ja jego.

- Nic takiego nie mówiła.

- Oczywiście, że mówiła. I posłuchałam jej. Jak sądzisz, dlaczego jesteśmy z Henrym tak zgodnym małżeństwem? Nie chcę przez to powiedzieć, że go nie kocham, bo oczywiście go kocham. Gdybym jednak opuściła go czy, broń Boże, coś mi się kiedykolwiek stało, nie wiem, czy potrafiłby żyć dalej. Ten facet zaryzykowałby dla mnie życie w mgnieniu oka.

- I myślisz, że tak jest z Mikiem?

- Kochanie, możesz postawić na to ostatniego dolara.

* * *

Wychodząc pod koniec dnia z salonu, Julie myślała wciąż o lunchu z Emmą.

A właściwie myślała o wielu rzeczach. Zwłaszcza o Jimie. Bez wątplenia nie to było zamiarem Emmy i nawet Julie nie była w stanie zrozumieć swoich uczuć, miało to jednak coś wspólnego z uwagą Emmy o jej matce. I, oczywiście, z jej spostrzeżeniem, że Henry nie potrafiłby żyć normalnie dalej, gdyby ją stracił.

Od dawna już nie tęskniła za Jimem tak bardzo jak tego popołudnia. Przypuszczała, że dzieje się tak z powodu tego, co wydarzyło się między nią a Mikiem. Ona żyła dalej, ale zaczęła się zastanawiać, czy Jim byłby do tego zdolny, gdyby znalazł się w jej sytuacji. Pewnie tak, lecz gdyby jednak nie potrafił, czy oznaczałoby to, że kochał ją bardziej niż ona jego? A co będzie, zachodziła w głowę, jeśli naprawdę zakocham się w Mike'u? Co się stanie z moimi uczuciami do Jima? Ze wspomnieniami o nim? Te pytania nie dawały jej spokoju po lunchu, pytania, na które nie czuła się na siłach odpowiedzieć. Czy wspomnienia stopniowo zblakną niczym stare fotografie?

Nie wiedziała. Nie miała też pojęcia, czemu perspektywa dzisiejszego spotkania z Mikiem wprawiała ją w bardziej nerwowy nastrój niż wczoraj. Bardziej nerwowy niż przed innymi randkami.

Być może dlatego, pomyślała, odpowiadając sobie na to pytanie, iż zdaję sobie sprawę, że to zupełnie co innego.

Dotarła do dzipa i zajęła miejsce kierowcy. Śpiewak wskoczył na tylne siedzenie i Julie uruchomiła samochód. Nie pojechała jednak do domu, lecz minęła kilka przecznic, kierując się główną ulicą ku przedmieściu. Kilka minut później, po kolejnym skręcie, dotarła do cmentarza Brookview.

Do grobu Jima było niedaleko, znajdował się tuż za wzniesieniem, nieopodal głównej alejki, w cieniu orzecha. Julie poszła alejką w tamtą stronę. Gdy już była blisko, Śpiewak zatrzymał się, nie czyniąc ani kroku więcej. Nigdy nie szedł dalej. Początkowo nie była pewna, dlaczego zawsze trzymał się z tyłu, z biegiem czasu jednak zaczęła myśleć, że jakimś sposobem wyczuwał, że woli być tam sama.

Gdy stanęła nad grobem, nie bardzo orientowała się w swoich uczuciach. Westchnęła głęboko, czekając, aż łzy popłyną jej z oczu, one jednak nie popłynęły. Nie czuła też ciężaru, jak zwykle w przeszłości. Zobaczyła Jima oczyma wyobraźni, przywołując na pamięć szczęśliwe chwile, i mimo że wspomnienia wywołały lekkie uczucie smutku i straty,

przypominało to słuchanie z oddali dźwięku dzwonu na wieży, który odbija się cichym echem, zanim się w końcu rozplynie w powietrzu. Miejsce smutku zastąpiło odrętwienie. Nie była pewna, co ono oznacza, dopóki nie dostrzegła skrzydlatego anioła, wrytego nad nazwiskiem, tego, który zawsze przypominał jej list, dołączony do przesyłki z Śpiewakiem.

*Serce pękłoby mi z bólu, gdybym wierzył, że Ty nigdy już nie będziesz szczęśliwa...
Znajdź kogoś, kto Cię uszczęśliwi... Świat jest piękniejszy, kiedy się uśmiechasz.*

Gdy tak stała nad grobem Jima, zaświtało jej w głowie, że być może to właśnie miał na myśli. Podobnie jak poprzedniego wieczoru ogarnęło ją nagłe przeświadczenie, że Jim cieszyłby się z jej powodu.

Nie, pomyślała, nie zapomnę cię. Nigdy. Mike też cię nie zapomni.

I również dlatego jest kimś wyjątkowym.

Została na cmentarzu, dopóki nie zaczęły wokół niej krążyć komary. Spędziła jednego, który usiadł na ramieniu. Była zadowolona, że tu przyszła, wiedziała jednak, że musi się zbierać. Mike miał przyjechać po nią za niecałą godzinę i chciała być gotowa.

Zaszeleściły liście poruszone lekkim powiewem wiatru. Ten odgłos skojarzył się Julie z cichutkim grzechotaniem drobnych kamyczków w słoiku. Po chwili ustał, jak gdyby ktoś wyłączył dźwięk, ale cisza została zakłócona - słychać było samochód przejeżdżający szosą, warkot silnika wznosił się i opadał, aż w końcu umilkł. Od strony odległych domów dobiegło ją wołanie dziecka. Usłyszała delikatne szuranie, jak gdyby coś otarło się o korę pobliskiego drzewa. Z gałęzi sfrunął spłoszony kardynał i gdy Julie obejrzała się przez ramię, spostrzegła, że Śpiewak odwrócił łeb, nastawiając uszy. Nie ruszył się jednak z miejsca i Julie nie zauważyła niczego. Zmarszczyła brwi i skrzyżowała ramiona. Odwróciła się od nagrobka i zaczęła iść w stronę samochodu, czując gęsią skórę na całym ciele.

ROZDZIAŁ 20

Mike przyjechał punktualnie i Julie wyszła na werandę, zamykając drzwi, zanim Śpiewak zdążył wyskoczyć na dwór. Uśmiechnęła się, widząc, że Mike włożył na tę okazję marynarkę i eleganckie spodnie.

- No, no - powiedziała - już dwa wieczory z rzędu wyglądasz po prostu sztywnie. Musi minąć trochę czasu, zanim się do tego przyzwyczaje.

Równie dobrze Julie mogła mówić o sobie. Podobnie jak wczorajszego wieczoru miała na sobie sukienkę na cienkich ramiączkach, która podkreślała jej figurę, a w uszach niewielkie złote kółka. Mike poczuł subtelny zapach perfum.

- Za bardzo się wystroiłem? - spytał.

- Ależ skąd - zapewniła go. Przesunęła palcami po klapie marynarki. - Podoba mi się. Nowa?

- Nie, mam ją już jakiś czas. Po prostu rzadko ją noszę.

- A powinieneś. Dobrze ci w niej.

Mike wzruszył ramionami i machnął dłonią w kierunku furgonetki, ucinając dalsze ewentualne uwagi na ten temat.

- Jesteś gotowa?

- Jeśli ty jesteś gotów...

Gdy Mike zaczął się odwracać, Julie wzięła go za rękę.

- A gdzie są plastry?

- Zdjąłem je. Moje palce mają się lepiej.

- Już?

- Cóż mogę powiedzieć? Wszystko goi się na mnie jak na psie.

Stojąc na werandzie, wyciągnęła rękę niczym nauczycielka, żądająca, żeby uczeń wypluł gumę. Mike podał jej swoją.

- Wciąż są zaczerwienione. - Umilkła i popatrzyła mu w oczy z dziwną miną. - Jak mocno tarłeś te paluchy? Dwa chyba krwawią.

- Już przestały.

- Mój Boże, gdybym wiedziała, co ci strzeli do głowy, nie pisnęłabym ani słowa. Myślę jednak, że mam coś, co z pewnością złagodzi ból.

- Co takiego?

Julie, nie spuszczać wzroku, podniosła jego dłoń do ust i pocałowała czubki palców.

- To - odparła. - No i jak?

Mike odchrząknął. Jak gdyby dotknął przewodu elektrycznego pod napięciem, pomyślał, albo stanął w tunelu aerodynamicznym czy zjeżdżał na nartach po urwistym stoku.

- Lepiej - zdołał wykrztusić.

* * *

Zjedli kolację w „Landing”, restauracji położonej tuż nad wodą w Beaufort. Podobnie jak wczorajszego wieczoru wybrali stolik na tarasie, skąd mogli obserwować przybijające do brzegu i odpływające łodzie. Po nadmorskim deptaku spacerowały pary i całe rodziny, niosąc różki z lodami lub torby z turystycznym ekwipunkiem.

Julie rozłożyła serwetkę na kolanach i pochyliła się ku Mike'owi.

- Świetny wybór - powiedziała. - Bardzo mi się tu podoba.

- Cieszę się - rzekł z wyraźną ulgą. - Ja też lubię ten lokal, ale zwykle wpadam do niego na lunch. Dawno nie jadłem tutaj kolacji. Czułbym się idiotycznie, przychodząc na kolację sam.

- Zawsze mógłbyś wybrać się z Henrym.

- Mógłbym albo nie - odparł Mike, kiwając głową. - Nie lubisz chodzić do restauracji z Henrym?

- Spędzam z nim cały dzień. To tak, jak gdybyś ty umawiała się z Mabel.

- Lubię spotykać się z Mabel.

- Mabel ci nie dokucza.

Julie roześmiała się. Mike przyglądał jej się, rozkładając swoją serwetkę. Wydawała się taka rozluźniona i promienna, całkowicie swobodna.

- Jak tam lunch z Emmą? - spytał.

- Ach, bardzo sympatycznie. Fajnie się z nią rozmawia.

- Tak jak ze mną?

- Nie, nie tak jak z tobą. Ty też jesteś wspaniałym partnerem do rozmowy, ale z Emmą mogę poruszać tematy, których my nie poruszamy.

- Na przykład nie możemy mnie obgadywać? Julie mrugnęła do niego figlarnie.

- Oczywiście. Co to byłoby za przyjemność spotykać się z kimś, gdyby nie można było nikomu o tym opowiedzieć?

- A co mówiłaś? Mam nadzieję, że dobre rzeczy?

- Nie martw się. Same dobre rzeczy. Mike uśmiechnął się, sięgając po kartę.

- Wobec tego może zaczniemy od butelki wina? Proponuję chardonnay. Pomyślałem, że dobre będzie Kendall - Jackson. Jest nie za ciężkie i ma chyba idealny dębowy bukiet.

- No, no - powiedziała Julie - jestem pod wrażeniem. Nie miałam pojęcia, że tak się znasz na winach.

- Jestem wszechstronnie uzdolniony - przyznał Mike i Julie roześmiała się, biorąc kartę.

Jedli, popijając wino, rozmawiali i śmiali się, prawie nie zauważając kelnera, który uwijał się przy stoliku i zbierał talerze. Gdy skończyli kolację i zaczęli zbierać się do wyjścia, niebo skrzyło się od gwiazd.

Deptak nadal tętnił życiem, ale teraz przeważali tam młodzi ludzie, po dwudziestce, po trzydziestce - stali oparci o balustradę, patrząc w morze, odwiedzali tłumnie bary. W odległości zaledwie kilku kroków na bulwarze znajdowały się dwie restauracje z tarasami, w każdej artyści estradowi rozkładali sprzęt i podłączali gitary. Przyplłynęło więcej łodzi, niż było miejsc przy nabrzeżu, i jak to bywało w piątkowe wieczory, spóźnieni przybysze cumowali swoją łódź do najbliższej, toteż w rezultacie kilkadziesiąt łódek najrozmaitszych kształtów oraz wielkości unosiło się w gromadzie na falach niczym pływająca dzielnica biedoty. Częstowano się na lewo i prawo piwem i papierosami, łodzie kołysały się, gdy ludzie używali ich w charakterze zaimprovizowanych chodników. Nieznajomi kumplowali się z ludźmi, których prawdopodobnie nie spotkają już nigdy w życiu, a wszystko w imię dobrej zabawy.

Gdy wyszli z restauracji, Mike wyciągnął rękę, a Julie ją ujęła i ruszyli przed siebie deptakiem. Odgłos, jaki wydawały ich buty w zetknięciu z drewnianą nawierzchnią, przypominał stukot końskich kopyt. Mike czuł, jak ciepło jej dłoni promieniuje wzdłuż całej jego ręki aż do samego środka klatki piersiowej.

* * *

Spędzili w Beaufort jeszcze godzinę, podziwiając widoki i rozmawiając, aż wreszcie Julie poczuła, że resztki zdenerwowania całkowicie się ulotniły. Mike trzymał ją wciąż za rękę, głaszcząc od czasu do czasu kciukiem grzbiet jej dłoni. Zatrzymali się, żeby kupić krówki, po czym poszli bosy przez trawiasty park, szukając jakiegoś miejsca, gdzie mogliby usiąść i delektować się nimi. Gdy wrócili na tętniącą nadal życiem nadmorską promenadę, wzeszedł księżyc i gwiazdy przygasły. Fale pluskały leniwie o brzeg, na wodzie kołysało się migotliwe odbicie księżyca. Przysiedli jeszcze raz przy podnieszczonym stoliku pod obracającymi się ze skrzypem skrzydłami wiatraka. Wokalista skinął głową Mike'owi - najwyraźniej się znali - i Mike zamówił jeszcze jedno piwo, a dla Julie dietetyczną colę.

Gdy słuchali piosenki, przez cały czas Julie czuła na sobie spojrzenie Mike'a i

pomyślała ze zdumieniem, jak wiele się zmieniło w ciągu dwóch ostatnich dni. Jak bardzo ona się zmieniła i jak dużo jeszcze się zmieni.

Zabawne, że można znać kogoś od lat, a mimo to stale odkrywać w nim coś, czego się przedtem nie zauważało. Mimo że światło było przyćmione, Julie dostrzegła pasemka siwizny na skroniach Mike'a i malutką bliznę na czole. Dwa dni temu powiedziałyby, że Mike wygląda na dwadzieścia kilka lat, teraz widziała kurze łapki w kącikach oczu i zmarszczki, które tworzyły się od śmiechu.

Zespół zaczął śpiewać kolejną piosenkę i Mike pochylił się ku Julie, i powiedział:

- Przychodziliśmy tu bardzo często z Jimem, zanim przeprowadziłaś się do naszego miasteczka. Wiedziałaś o tym?

- Tak. Zdradził mi, że zwykle przychodziliście tutaj na podryw.

- A wiedziałaś, że właśnie w tej knajpce po raz pierwszy wspomniał mi o tobie?

- Naprawdę?

- Wybraliśmy się na kolację podczas weekendu, kiedy wrócił z Daytona. Opowiedział mi o dziewczynie, którą poznał.

- A co ci o mnie mówił?

- Że kilka razy zafundował ci śniadanie i że jesteś ładna.

- Wyglądałam wtedy okropnie.

- On tak nie uważał. Zwierzył mi się, że obiecał znaleźć ci pracę i kąt do zamieszkania, jeśli przyjedziesz do Swansboro.

- Czy według ciebie było to szaleństwo z jego strony?

- Bez wątplenia. Zwłaszcza że najwyraźniej nie potrafił przestać o tobie mówić.

- A co sobie pomyślałaś, gdy wzięłam go za słowo?

- Że ty też jesteś szalona. Później jednak zacząłem myśleć, że jesteście oboje odważni.

- Nie wierzę.

- A właśnie, że tak. Trzeba mieć dużo odwagi, żeby zmienić życie, tak jak ty to zrobiłaś.

- Nie miałam wyboru.

- Zawsze jest jakiś wybór. Tylko czasami ludzie podejmują złą decyzję.

- Ojjoj, doprawdy, czyżbyśmy popadli dziś wieczorem w filozoficzny nastrój?!

- To mi się zdarza czasami po kilku drinkach. Muzyka umilkła i ich rozmowa została nagle przerwana, gdy solista odłożył gitarę, po czym podszedł do stolika i powiedział coś szeptem do ucha Mike'owi. Julie pochyliła się do przodu.

- O co chodzi? - spytała. Wokalista spojrzał na nią.

- Och, cześć. Przepraszam, że wam przeszkodziłem, ale mam właśnie przerwę i chciałem się dowiedzieć, czy Mike nie zaśpiewałby piosenki albo i dwóch - wyjaśnił.

Mike zatrzymał przez dłuższą chwilę wzrok na estradzie, po czym pokręcił przecząco głową.

- Może i zaśpiewałbym, ale jestem na randce - odpowiedział w końcu.

- Och, idź, idź - zachęciła go Julie. - Zaczekam na ciebie.

- Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko temu?

- Ani trochę. Poza tym widzę, że aż cię skręca, żeby zaśpiewać.

Mike uśmiechnął się szeroko i odstawił butelkę na stół. Po chwili przewiesił gitarę przez ramię i zaczął przebierać palcami po strunach, strojąc instrument. Popatrzył na Julie i mrugnął do niej, zanim zagrał pierwszy akord. Wszyscy rozpoznali piosenkę niemal natychmiast. Najpierw klaskali i krzyczeli, parę osób zagwizdało, a następnie, ku zdziwieniu Julie, ludzie zaczęli śpiewać razem z Mikiem, machając butelkami z piwem.

Wybrał „American Pie”, nieprzemijający przebój szaf grających, wykonywany chętnie podczas suto zakrapianych alkoholem nocy.

Zauważyła, że jak zwykle, lekko fałszował, ale dzisiaj wieczorem, przy takim tłumie, nie miało to znaczenia. Wszyscy śpiewali i kołysali się przez cały czas, nie wyłączając Julie.

Gdy Mike skończył śpiewać, odłożył gitarę przy głośnych oklaskach i ruszył z powrotem do stolika z miną mówiącą „To dla mnie drobiazg”. Julie przyglądała mu się z nowo odkrytymi podziwem i przyjemnością.

* * *

Podczas jazdy powrotnej do domu Julie myślała z miłym zaskoczeniem, jak świetnie bawiła się dzisiejszego wieczoru. Mike odprowadził ją do drzwi i gdy odwróciła się do niego twarzą, wyczytała z jego miny, że ma wielką ochotę ją pocałować, ale po tym, co się stało wczorajszej nocy, nie bardzo wie, jak się do tego zabrać. Julie uniosła wzrok, udzielając mu oficjalnego przyzwolenia, Mike jednak nie zrozumiał jej sygnału.

- Posłuchaj, wieczór był naprawdę wspaniały...

- Wejdiesz na chwilę? - spytała Julie, przerywając mu. - Może znajdziemy jakiś stary film i obejrzymy go razem?

- Na pewno nie jest zbyt późno?

- Dla mnie nie, ale jeśli wolisz iść...

- Ależ nie, z przyjemnością wejdę.

Julie przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi. Śpiewak, który czekał pod nimi,

przywitał się i wybiegł na dwór. Uniósł nos i zaczął węszyć, szczeknął raz, po czym opuścił łeb i węszył po całym podwórku, wyraźnie zadowolony, że nie ma tam żadnych stworzeń, za którymi trzeba byłoby puścić się w pogoń. Minutę później zniknął w cieniu drzew.

Julie wprowadziła Mike'a do salonu i poszła do kuchni. On tymczasem zdjął marynarkę i przewiesił ją przez fotel. Gdy Julie wróciła z kuchni z dwiema szklankami wody, Mike stał nadal. Wskazała mu gestem dłoni kanapę. Usiedli blisko, lecz się nie dotykając, i Julie zaczęła przełączać kanały. Nie znaleźli filmu, który byłby godny uwagi, ale trafili na stary odcinek „I Love Lucy” i zaśmiewali się, oglądając go. Potem z kolei był „Dick Van Dyke Show”.

Gdy program się skończył, Śpiewak wrócił i szczeknął raz Pod drzwiami. Julie ziewnęła.

- Chyba czas na mnie - powiedział Mike, wstając z kanapy. - Jesteś już zmęczona.

Skinęła twierdząco głową.

- Pozwól, że cię odprowadzę.

Mike przekręcił gałkę i pociągnął drzwi. W tej samej chwili Śpiewak przepchnął się obok nich, kierując się do salonu, jak gdyby on również wiedział, że pora już kłaść się spać.

Gdy Julie patrzyła, jak Mike wkłada marynarkę, stojąc w otwartych drzwiach, przemknęło jej nagle przez myśl, że są przecież od lat przyjaciółmi i zrobienie kolejnego kroku może oznaczać koniec tego wszystkiego. Czy warto ryzykować? Nie była pewna.

I czy, jeśli pocałuje Mike'a, to będzie tak, jak gdyby pocałowała brata? Oczywiście, gdyby go miała?

Nie wiedziała.

Niczym hazardzista przy automacie do gry, który ma nadzieję, że następny ruch odmieni jego życie na lepsze, przysunęła się bliżej w obawie, że za chwilę straci odwagę. Wzięła Mike'a za rękę i przyciągnęła go do siebie na tyle blisko, żeby poczuć dotyk jego ciała. Spojrzała mu w oczy, odchylając lekko głowę. Mike, zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje, lecz wciąż nie mogąc w to uwierzyć, zniżył głowę i zamknął oczy, gdy ich twarze znalazły się tuż przy sobie.

Na werandzie ómy trzepotały się wokół lampy, uderzając o nią, jak gdyby chciały przebić szkło. W pobliskich drzewach pohukiwała sowa.

Mike niczego nie słyszał. Zatracił się całkiem w jej motylim dotyku, wiedział jedynie z całą pewnością, że w chwili gdy ich wargi się zetknęły, poczuł, jak gdyby przeleciała między nimi iskra, co sprawiło, iż uwierzył, że to uczucie będzie trwało wiecznie.

* * *

To było miłe, pomyślała Julie. Prawdę mówiąc, nawet miłsze, niż się spodziewała. I bez wątpienia nie był to braterski pocałunek.

Ciągle jeszcze myślała o tym, gdy usłyszała, że Mike zapuszcza silnik furgonetki i odjeżdża ulicą. Uśmiechając się, sięgnęła do wyłącznika, żeby zgasić światło na werandzie, gdy napotkała spojrzenie Śpiewaka.

Wpatrywał się w nią z przechyloną głową i nastawionymi uszami, jak gdyby pytał: „Czy naprawdę widziałem to, co mi się wydawało, że widzę?”.

- I co? - powiedziała. - Po prostu się pocałowaliśmy. - Pozbierała szklanki ze stolika, stale czując na sobie wzrok Śpiewaka. Z jakiegoś powodu czuła się niemal tak, jak gdyby była nastolatką, przyłapaną przez rodziców.

- Przecież widziałeś już, jak się całowałam z kimś przedtem - dodała.

Śpiewak nadal nie spuszczał z niej wzroku.

- To przecież nic takiego - mówiła dalej, wchodząc do kuchni. Wstawiła szklanki do zmywarki i zapaliła światło nad zlewozmywakiem. Gdy się odwróciła, w polu jej widzenia pojawił się nagle jakiś cień i Julie drgnęła ze strachu, zanim zorientowała się co to.

Do kuchni wszedł Śpiewak. Usiadł obok szafek, przyglądając się jej z taką samą miną. Julie wsparła dłonie na biodrach.

- Przystaniesz gapić się na mnie w taki sposób? I nie skradaj się za mną, dobrze? Przestraszyłeś mnie.

Śpiewak wreszcie odwrócił łeb.

Tak lepiej, pomyślała. Wzięła wilgotną ściereczkę, przejechała nią po kranie i zaczęła wycierać bufet, następnie postanowiła, że na dzisiaj dosyć, i wrzuciwszy ścierkę do zlewozmywaka, wyszła z kuchni, kierując się do sypialni i odtwarzając w pamięci sceny z dzisiejszego wieczoru. Poczwała, że się lekko rumieni.

Trzeba przyznać, pomyślała, że Mike świetnie całuje.

Zatopiona w myślach, ledwie zauważyła snop światła reflektorów samochodu, który przejechał zwykle spokojną ulicą, zwalniając nieco przed jej domem.

* * *

- Nie śpisz? - spytała nazajutrz rano, wykręciwszy numer Mike'a.

Mike zaplątał się z wrażenia w prześcieradło, gdy usłyszał jej głos, po czym usiadł na łóżku.

- Teraz już nie.

- Wstawaj. Szkoda dnia - powiedziała. - Baczość, szeregowy!

Mike przetarł oczy, myśląc, że głos Julie brzmi, jak gdyby od wielu godzin była już na nogach.

- O czym ty mówisz?

- O weekendzie. Co zaplanowałaś?

- Nic, a dlaczego pytasz?

- Wstawaj i ubieraj się. Pomyślałam, że wybierzemy się razem na plażę. Dzień zapowiada się wspaniale. Moglibyśmy zabrać ze sobą Śpiewaka, żeby się trochę wybiegał. Co ty na to?

* * *

Spędzili cały dzień, spacerując boso po białym piasku i rzucając Śpiewakowi frisbee. Siadali na ręczniku, przyglądając się białym grzywaczom. Zjedli na lunch pizzę i zostali na plaży aż do wczesnego zmierzchu, dopóki niebo nie zrobiło się purpurowe od zachodzącego słońca, zjedli też razem kolację. Potem pojechali do kina. Mike pozwolił Julie wybrać film i nie narzekał, gdy się okazało, że to „babski” film. A gdy od połowy Julie miała łzy w oczach i przez pozostałą godzinę siedziała wtulona w niego, zrezygnował z jadawicie krytycznej recenzji, którą przygotowywał sobie w myśli.

Gdy dotarli do domu Julie, zrobiło się późno i znowu pożegnali się pocałunkiem na werandzie. Tym razem trwało to nieco dłużej. Zdaniem Julie pocałunek na tym zyskał. Zdaniem Mike'a już przedtem było tak wspaniale, że nie mogłoby być lepiej.

Niedzielę spędzili w domu Julie. Mike skosił trawnik, przyciął żywopłot, pomógł jej posadzić niecierpki w skrzynkach na kwiaty. Potem przeniósł się do środka domu i zaczął naprawiać drobiazgi, które lubią psuć się w starych budynkach - wymieniał gwoździe sterczące z dębowych desek podłogi, smarował zanki, instalował nową armaturę, którą Julie kupiła do łazienki kilka miesięcy temu.

Julie śledziła go wzrokiem przez cały czas, gdy pracował, zwracając jeszcze raz uwagę, jak świetnie wygląda w dzinsach i jaki jest pewny siebie, zajmując się takimi sprawami. W pewnej chwili pocałowała go, akurat gdy coś przybijał, a wyraz jego twarzy powiedział jej bez najmniejszych wątpliwości, że Mike jest w niej zakochany. Uświadomiła sobie wtedy, że to, co kiedyś sprawiało, że czuła się niezręcznie, teraz było reakcją, jakiej pragnęła.

Gdy Mike w końcu pojechał do domu, Julie weszła do środka i zamknąwszy drzwi, oparła się o nie. O rany, pomyślała, będąc dokładnie w takim stanie jak Mike dwa dni temu.

ROZDZIAŁ 21

W następny czwartek po pracy - a dzień był wyjątkowo ciężki, ponieważ Andrea znowu nie zjawiała się w salonie i kilka jej klientek poprosiło Julie, żeby się nimi zajęła - Julie szła alejką supermarketu, pchając wózek i wkładając do niego produkty potrzebne do kolacji. Mike obiecał przyrządzić dla niej posiłek i chociaż nie była zachwycona listą, którą dla niej przygotował, była skłonna zrobić wszystko, na co ją stać. Pomimo obietnic, że będzie jej smakowało, nie potrafiła wyobrazić sobie, że kolacja, w której skład wchodzi ziemniaczane chipsy oraz pikle na słodko może być uznana za atrakcyjne danie. Mike był jednak najwyraźniej tak podekscytowany, że nie chciała zranić jego uczuć.

Kończyła już zakupy, gdy uprzytomniła sobie, że o czymś zapomniała. Wodziła wzrokiem po półkach z przyprawami, próbując przypomnieć sobie, czy miała kupić krojoną cebulę, czy pikantną, gdy nagle wózek zatrzymał się - wpadła na kogoś.

- Och, przepraszam - powiedziała automatycznie. - Nie zauważyłam pana...

- Nie szkodzi... Nic się nie stało - odpowiedział mężczyzna. Gdy się odwrócił, Julie otworzyła szeroko oczy.

- Richard? - spytała.

- O, witaj, Julie. Jak się masz?

- Świetnie. A co u ciebie? - Julie nie widziała go od tamtego ranka, kiedy wyjechał, i stwierdziła, że wygląda fatalnie.

- Jakoś leci. Ciężko. Tyle jest spraw, którymi muszę się zajmować. Wiesz, jak to jest.

- Tak, wiem. A jak twoja ręka?

- Lepiej. Pozostał mi siniec, ale nie ma się czym przejmować. - Odwrócił wzrok, jak gdyby widok posiniaczonej dłoni przywołał wspomnienia tamtej nocy. - Posłuchaj, chcę cię jeszcze raz przeprosić za moje zachowanie w zeszłym tygodniu. Nie miałem prawa tak się wściec.

- W porządku.

- I jeszcze raz dziękuję ci za to, że mnie wysłuchałaś. Niewiele osób zdobyłoby się na to, co ty zrobiłaś dla mnie.

- Ale ja właściwie nic...

- Właśnie, że tak - rzekł z uporem. - Zrobiłaś. Nie wiem, co stałoby się, gdyby nie ty. Tamtej nocy byłem naprawdę w okropnym stanie.

Julie wzruszyła ramionami.

- Cóż... - zawahał się, jak gdyby usiłował znaleźć odpowiednie słowa. Przełożył

koszyk z zakupami z ręki do ręki. - Proszę, nie potraktuj opacznie tego, co mówię, ale wyglądasz po prostu szalowo.

Powiedział to przyjacielskim tonem, bez aluzji, i Julie się uśmiechnęła.

- Dziękuję - odparła.

Jakaś kobieta szła alejką, w której stali, pchając przed sobą wózek pełen zakupów. Julie i Richard odsunęli się na bok, żeby mogła przejść. .

- Posłuchaj, jeśli idzie o tamtą noc - dodał Richard - to jestem ci winien zadośćuczynienie za wyrozumiałość.

- Nic nie jesteś mi winien.

- Mimo to chciałbym wyrazić moją wdzięczność. To znaczy podziękować ci. Dasz się zaprosić na kolację?

Julie nie odpowiedziała od razu i Richard, zauważywszy jej wahanie, mówił dalej:

- Zwykłą kolację, bez żadnych zobowiązań. To nie będzie nawet konwencjonalna randka. Obiecuję.

Julie odwróciła wzrok, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

- Chyba nie mogę się z tobą umówić - powiedziała. - Przykro mi.

- Nie szkodzi - odrzekł. - Po prostu pomyślałem, że ci to zaproponuję. - Uśmiechnął się. - A zatem żadnych pretensji z powodu tamtej nocy?

- Żadnych pretensji - powtórzyła.

- Świetnie. - Cofnął się o krok. - No, mam jeszcze parę rzeczy do kupienia. Pewnie się jeszcze zobaczymy.

- Z pewnością.

- Do widzenia - powiedział.

- Do widzenia, Richardzie.

* * *

- Czyli co to dokładnie jest? - spytała Julie.

Mike stał przy kuchence w swoim mieszkaniu, na patelni skwierczały kotlety z mielonej wołowiny.

- Kreolskie hamburgery.

- A więc to ma być kuchnia Cajun?

- Tak - odpowiedział. - Jak sądzisz, po co prosiłem o te dwie puszki zupy? To ona nadaje całej potrawie oryginalny posmak.

Tylko Mike, pomyślała, może uważać zupę Campbella Chicken Gumbo za oryginalną

kuchnię Cajun.

Gdy mięso było gotowe, Mike wlał do niego zupę, następnie dodał odrobinę keczupu i musztardy i zaczął mieszać. Julie oparła się o niego, żeby przyjrzeć się potrawie z miną pełną obrzydzenia.

- Przypomnij mi, żebym nigdy nie została kawalerem.

- Tak, tak. Teraz sobie żartujesz, ale za chwilę poczujesz się tak, jak gdybyś jadła w niebiańskim refektarzu.

- Bez wątpienia.

Naparł na nią ciałem z udawaną dezaprobatą i poczuł, jak kołysze się razem z nim.

- Czy ktoś ci kiedyś mówił, że od czasu do czasu miewasz skłonność do sarkazmu? - spytał. . - Dwa razy. Wydaje mi się, że za każdym razem to byłeś ty.

- Zawsze wiedziałem, że bystry ze mnie facet.

- Ja również - powiedziała Julie - ale martwi mnie twoje gotowanie, a nie twoja inteligencja.

* * *

Piętnaście minut później siedzieli oboje przy stole, Julie wpatrywała się w swój talerz.

- To jest „Niedbały Joe” - oznajmiła.

- Nie - odpowiedział Mike, podnosząc kanapkę do góry - to kreolski hamburger. „Niedbały Joe” ma pomidorowy posmak.

- Tymczasem ty preferujesz smak Luizjany.

- Właśnie. Nie zapomnij o piklach. Idealnie pasują do tej potrawy.

Julie rozejrzała się po niedużym mieszkanku, próbując zyskać na czasie. Aczkolwiek meble były dość gustowne, rzuciły jej się w oczy akcenty typowe dla mieszkań samotnych mężczyzn. Na przykład tenisówki w kącie salonu tuż obok gitary. Sterta niezłożonych ubrań, piętrząca się na łóżku. Telewizor z olbrzymim ekranem, na którym stała cała kolekcja butelek importowanego piwa. Tarcza do gry w strzałki, zamontowana na drzwiach wejściowych.

Julie pochyliła się przez stół ku Mike'owi.

- Ogromnie podoba mi się nastrój, który dzisiaj stworzyłeś. Potrzebna jeszcze tylko świeca i poczuję się, jakbym była w Paryżu.

- Naprawdę? Chyba mam jakąś - odpowiedział. Wstał od stołu i otworzył szufladę. Za chwilę między nimi zamigotał mały płomyk. Mike usiadł z powrotem.

- Lepiej?

- Zupełnie jak w akademiku.

- W Paryżu?

- Hm... może się myliłam. Raczej przypomina mi to... Omaha.

Mike parsknął śmiechem.

- Odważysz się spróbować czy tchórzysz?

- Nie, nie. Oczywiście, że spróbuję. Po prostu rozkoszuję się chwilami oczekiwania.

Wskazał na jej talerz.

- Świetnie. Potem możesz obmyślić eleganckie przeprosiny dla szefa kuchni.

Julie podniosła kanpkę do ust i odgryzła niewielki kęs. Mike obserwował ją, gdy smakowała jego kulinarne dzieło.

- Niezłe - powiedziała, przełknąwszy.

- Niezłe?

Popatrzyła na kanpkę z lekko zaskoczoną miną.

- Prawdę mówiąc, całkiem smaczne.

- A nie mówiłem? To dzięki dodatkowi zupy Chicken Gumbo.

Julie wzięła korniszona, puszczając oko do Mike'a.

- Postaram się zapamiętać.

* * *

W środę z kolei Julie przygotowała kolację. Podała solę faszerowaną mięsem kraba i warzywa z wody, a do tego butelkę Sauvignon Blanc. („Wprawdzie to nie kreolskie hamburgery, ale ujdzie” - droczył się z nią Mike). W czwartek spotkali się na lunchu w „Emerald Isle”. Później gdy spacerowali po piaszczystej plaży, Śpiewak stuknął ją w nogę trzymany w pysku patykiem, który przed chwilą znalazł. Rzucił go na piasek przed nimi, a ponieważ nie zwracali na niego uwagi, chwycił znowu patyk w pysk, zagradzając im drogę własnym ciałem. Podniósł łeb, spoglądając na Mike'a, jak gdyby chciał powiedzieć: „No, przecież znasz zasady!”.

- Najwyraźniej chce, żebyś to ty rzucił mu patyk - zauważyła Julie. - Uważa, że ja rzucam nie dość daleko.

- To dlatego, że jesteś kobietą. Julie dała mu kuksańca w bok.

- Uważaj, koleś. Gdzieś tu czai się feministka, która może poczuć się urażona takimi uwagami.

- Feministki czują się urażone z powodu wszystkiego, co mężczyźni robią lepiej.

Mike odsunął się szybko, zanim Julie zdążyła dać mu kolejnego kuksańca, i schylił się po patyk. Zdjął buty i skarpetki, następnie podwinął nogawki spodni. Pobiegł w stronę wody i

wszedł do niej prawie po kolana. Patyk trzymał w wyciągniętej dłoni przed sobą. Śpiewak nie spuszczał z niego oczu, jak gdyby to był kawałek świeżego mięsa.

- Gotów? - spytał Mike.

Podniósł rękę, wykonując szeroki zamach, i rzucił patyk najdalej, jak mógł. Śpiewak puścił się pędem, wskakując do wody.

Julie usiadła na piasku, podciągając kolana pod brodę i obejmując je ramionami. Było dość chłodno. Niebo pokrywały białe pierzaste obłoki, zza których od czasu do czasu wyglądało słońce. Rybitwy śmigły tuż nad samą wodą wypatrując pożywienia, ich głowy to pojawiały się, to znikały.

Wrócił Śpiewak, trzymając triumfalnie w pysku patyk, i otrząsnął się, mocząc przy okazji Mike'a do suchej nitki. Mike zabrał mu patyk, po czym cisnął go jeszcze raz i odwrócił się w stronę Julie. Koszula przylgnęła mu do ciała. Z miejsca, w którym siedziała, Julie dostrzegła jego muskularne ramiona oraz klatkę piersiową, zwężającą się ku biodrom. Miły widok, pomyślała, bardzo miły.

- Wybierzmy się gdzieś jutro wieczorem, dobrze? - zawołał z daleka Mike.

Julie skinęła głową. Gdy Śpiewak znowu wrócił z patykiem do Mike'a, Julie objęła mocniej nogi ramionami i przyglądała się, jak rozpoczynają zabawę od nowa. Daleko na horyzoncie sunął po wodzie trawler do połowu krewetek, ciągnąc za sobą długi włok. W oddali błyskało światło latarni morskiej na przylądku Lookout. Julie czuła na twarzy powiew lekkiego wiatru od morza. Patrząc na mężczyznę z psem, zastanawiała się, dlaczego kiedykolwiek miała wątpliwości.

* * *

- Będziemy odbijali piłeczkę po ziemi? - spytała Julie, gdy nazajutrz wieczorem zatrzymali się na parkingu. Miała na sobie dzinsy, podobnie jak Mike. Powiedział jej wcześniej, żeby ubrała się swobodnie, i teraz zrozumiała dlaczego. - To właśnie chcesz robić?

- Nie tylko. Tu jest mnóstwo możliwości do wyboru. Mają też komputerowe gry wideo i stoły do ping - ponga.

- Ach! Nie posiadam się z radości - powiedziała Julie.

- Ha! To dlatego, że wiesz, iż nie zdołasz mnie pokonać - prychnął pogardliwie Mike.

- A właśnie, że dam radę. W chwili próby jestem niczym Tiger Woods.

- Udowodnij - prowokował ją.

Julie skinęła głową z błyskiem wyzwania w oku.

- Masz to jak w banku.

Wysiedli z furgonetki i udali się do pawilonu po kije golfowe.

- Różowe i niebieskie - powiedział Mike, wskazując kolory piłeczek golfowych. - Ty i ja. Męskość kontra kobiecość.

- To znaczy, które dla ciebie? - spytała Julie z niewinną minką.

- Ha! - zachnął się Mike. - Rób tak dalej, a nie okażę ci żdźbła litości w trakcie gry.

- I vice versa.

Kilka minut później dotarli do pierwszego dołka.

- Wiek ma pierwszeństwo przed urodą - rzekła z uśmiechem Julie, czyniąc zapraszający gest dłonią.

Mike z obrażoną miną położył piłeczkę na murawie. Piłeczka musiała odbyć drogę przez obracający się wiatrak, zanim stoczyła się na niższy poziom, na którym znajdował się pierwszy dołek. Mike zajął odpowiednią pozycję.

- Patrz i ucz się - powiedział.

- Bierz się wreszcie do roboty.

Uderzył piłeczkę pod kątem prostym. Wpadła do otworu wiatraka i stoczywszy się przez rurę, zatrzymała się jakieś trzydzieści centymetrów od dołka.

- Widzisz? To łatwe.

- Odsuń się. Pokażę ci, jak to się robi.

Położyła piłeczkę na ziemi i uderzyła ją. Piłeczka odbiła się od skrzydeł wiatraka i wróciła do niej.

- Hm... tak mi przykro - rzekł Mike, kręcąc głową. - Niedobrze.

- Tylko się rozgrzewam.

Tym razem Julie koncentrowała się dłużej przed kolejnym strzałem i udało jej się trafić. Gdy piłeczka wypadła z rury, potoczyła się w stronę dołka i zniknęła z pola widzenia.

- Ładny strzał - przyznał Mike - ale to fuks na torze. Julie szturchnęła go kijem.

- To wszystko jest częścią planu.

* * *

Richard siedział prawie po ciemku na łóżku w sypialni wynajętego wiktoriańskiego domu, oparty plecami o wezłowie. Zasłony były zaciągnięte. Pokój oświetlała jedynie mała świeczka stojąca na nocnej szafce. Obracając w palcach kulkę wosku, myślał o Julie.

Zachowała się bardzo sympatycznie w supermarkecie, ale najwyraźniej żałowała, że przypadkiem się spotkali. Pokręcił głową, zastanawiając się, czemu próbowała to ukryć. Przecież to bezcelowe, pomyślał. Wie dokładnie, kim jest Julie. Pod pewnymi względami zna

ją nawet lepiej niż ona sama siebie. Wiedział, na przykład, że dziś wieczorem umówiła się z Mikiem i że widzi w nim partnera do wygodnego układu, do którego przywykła kiedyś, i teraz ma nadzieję na powtórzenie tamtej sytuacji.

Richard doszedł do wniosku, że Julie boi się nowości. Pragnął bardzo, żeby zrozumiała, jak wiele możliwości otwiera się przed nią poza tą miejscina, jak wiele możliwości otwiera się przed nimi obojgiem. Czy nie widzi, że jeśli zostanie tutaj, Mike pociągnie ją w dół? Że przyjaciele wyrządzą jej ogromną krzywdę? Tak to bywa, gdy człowiek pozwala, by obawa kierowała jego decyzjami.

Znał to z własnego doświadczenia. Kiedyś gardził ojcem, podobnie jak Julie gardziła mężczyznami, którzy pojawiali się w jej życiu, gdy była dzieckiem, i wkrótce znikali. Nienawidził matki za jej słabość, tak jak Julie nienawidziła swojej matki. Julie próbowała pogodzić się z przeszłością, usiłując przeżyć ją jeszcze raz. Strach prowadził ją do złudzenia komfortu psychicznego, który jednak pozostanie ostatecznie tylko złudzeniem. Nie musi skończyć w taki sposób, jak jej matka. Nie musi powielać egzystencji własnej matki. Jej życie może być takie, jakiego zapragnie. Takie jak jego.

* * *

- Poszcęściło ci się! - zawołał Mike. W połowie pola wynik był remisowy aż do ostatniego strzału Julie, kiedy piłeczka odbiła się rykoszetem od muru i wpadła do dołka. Julie podeszła dumnym krokiem, żeby ją stamtąd wydobyć.

- Jak to się dzieje, że ilekroć ja trafię, jest to szczęśliwy przypadek, a jak trafiasz ty, to kwestia umiejętności? - spytała.

Mike nadal przyglądał się w osłupieniu drodze, którą przebyła piłka.

- Bo tak jest! Nie ma siły, żebyś mogła coś takiego zaplanować!

- Czyżby zaczęły zawodzić cię nerwy?

- Wcale się nie denerwuję.

Naśladowując jego wcześniejsze zachowanie, Julie przesunęła palcami po piersi i prychnęła.

- A powinieneś. Nie znosisz, jak wygrywa z tobą kobieta.

- Nie wygrasz ze mną.

- A jaki jest wynik?

Mike wepchnął kartkę i ołówek do tylnej kieszeni dżinsów. - Nieważne. Liczy się wynik na koniec meczu. Pomaszerował w kierunku kolejnego dołka, a Julie za nim, chichocząc głośno.

* * *

Richard starał się uspokoić oddech, koncentrując się na wizerunku Julie, wyczarowanym w wyobraźni. Mimo że obecnie była zagubiona, wiedział, że różni się od innych ludzi. Jest wyjątkowa, lepsza, podobnie jak on.

Ta skrywana świadomość własnej nieprzeciętności dodawała mu sił w kolejnych rodzinach zastępczych. Poza kilkoma ubraniami, jedynymi przedmiotami, które zabrał ze sobą, miał pudełko ze zdjęciami oraz aparat fotograficzny. Ukraść go jednemu z poprzednich sąsiadów.

Pierwsi ludzie, którzy go przyjęli do siebie, wydawali się dość sympatyczni, ale na ogół miał ich w nosie. Przychodził i wychodził, kiedy mu się żywnie podobało, oczekując wyłącznie, że będzie miał co jeść i gdzie spać. Podobnie jak w wielu innych rodzinach zastępczych, nie był jedynym dzieckiem i dzielił pokój z dwoma starszymi chłopcami. To właśnie oni ukradli mu aparat dwa miesiące po tym, gdy się wprowadził, i zastawili w lombardzie, żeby zdobyć pieniądze na papierosy.

Gdy Richard ich odnalazł, bawili się na pustej parceli w sąsiedztwie. Na ziemi leżał kij baseballowy. Richard wziął go do ręki. W pierwszej chwili zaczęli się śmiać, obaj bowiem byli wyżsi i lepiej zbudowani. W rezultacie jednak zostali odwiezieni do szpitala dwiema karetkami, twarze mieli zmasakrowane do niepoznania. Pracownica opieki społecznej chciała umieścić Richarda w poprawczaku. Tego samego dnia przyjechała po niego z policją. Richardowi nałożono kajdanki i zawieziono go na komisariat. Potem posadzono na twardym drewnianym krześle naprzeciwko przysadzistego policjanta o nazwisku Dugan, w małym pokoju z lustrem weneckim.

Dugan był mężczyzną o dziobatej twarzy, kartoflowatym nosie i chrapliwym głosie. Pochylając się do przodu, powiedział Richardowi, że poranił bardzo ciężko chłopców i że kilka następnych lat będzie musiał spędzić w zamknięciu. Richard nie bał się, podobnie jak nie bał się wtedy, gdy zjawiała się policja, żeby przesłuchać matkę i jego w sprawie śmierci ojca. Wiedział, co się stanie. Pochylił głowę i wybuchnął płaczem.

- Nie zamierzałem tego zrobić - wyjąkał. - Oni zabrali mi aparat fotograficzny, a ja zagroziłem, że opowiem o wszystkim opiekunce społecznej. Chcieli mnie zabić. Byłem przerażony. Jeden z nich zaatakował mnie nożem.

Rozchylił kurtkę i Dugan zobaczył krew.

Richarda zabrano do szpitala. Miał ranę ciętą brzucha. Richard utrzymywał, że rana nie jest cięższa tylko dlatego, że w ostatniej chwili udało mu się wywinąć. Dugan znalazł nóż

na dachu magazynu, dokładnie tam, gdzie według słów Richarda rzucił go jeden z chłopców.

To tamci chłopcy, a nie Richard, zostali umieszczeni w domu poprawczym, mimo ich gorących zapewnień, że żaden z nich nigdy nawet nie dotknął noża, nie mówiąc już o dźganiu nim Richarda. Jednak właściciel lombardu potwierdził, że kupił od nich aparat fotograficzny, toteż nikt nie uwierzył w ich protesty. Obaj byli już notowani.

Wiele lat później Richard spotkał jednego z tych chłopców w swojej dzielnicy - stał po przeciwnej stronie ulicy. Był już wtedy dorosłym mężczyzną, ale gdy zobaczył Richarda, zamarł. Richard uśmiechnął się tylko i poszedł dalej, przypominając sobie z pogardą ciętą ranę, którą tak łatwo sam sobie zadał.

Otworzył oczy. Tak, wiedział z doświadczenia, że można pokonać wszelkie przeszkody. Julie potrzebuje kogoś odpowiedniego, kto jej w tym pomoże. Razem uda im się przenieść góry, ale Julie musi chcieć, żeby to dla niej zrobił. Powinna zaakceptować to, co miał do zaoferowania.

Czy naprawdę za wiele żąda?

* * *

- Jaki jest teraz wynik? - spytała Julie.

Znajdowali się przy ostatnim dołku. Tym razem Mike miał poważną minę. Wiedział, że dostał lanie. Jego piłeczka zbczyła z trasy i zatrzymała się za wystającym kamieniem, uniemożliwiając kolejny celny strzał. Otarł czoło, nie zwracając uwagi na szeroki uśmiech Julie.

- Masz chyba przewagę - odpowiedział. - Tylko nie skus na ostatnim dołku.

- Tak - pokiwała głową Julie.

- Możesz przegrać, jeśli tak się stanie.

- Tak.

- Chodzi mi o to, że na pewno nie chciałabyś spartolić gry na końcu.

- Tak.

- Cokolwiek więc zrobisz, upewnij się, że nie popełniasz najmniejszego błędu.

- Hm... tak jest, trenerze. Dzięki za przemowę zgrzewającą do walki.

Ustawiła piłkę i stanęła nad nią, przenosząc spojrzenie z piłeczki na dołek i z powrotem. Uderzyła lekko i piłeczka potoczyła się jednostajnie, zatrzymując się w końcu w odległości jakichś dwóch centymetrów od dołka. Żałuję, że nie mam aparatu fotograficznego, pomyślała Julie, spoglądając na Mike'a. Wiele bym dała, żeby uwiecznić w tej chwili jego minę.

- Znajdujesz się chyba na przegranej pozycji - zauważyła, rozkoszując się chwilą. - Musiałbyś wbić teraz do dołka swoją piłkę, żeby uzyskać remis, a stamtąd, gdzie stoisz, to absolutnie niemożliwe.

Mike wpatrywał się z niedowierzaniem w jej piłeczkę, wreszcie popatrzył na Julie, wzruszając ramionami.

- Masz rację - przyznał. - To już koniec.

- Ha!

Mike pokręcił głową.

- Bardzo nie chciałem tego robić, ale przyznaję, że nie dałem dzisiaj z siebie wszystkiego - powiedział. - Pozwoliłem ci wygrać.

Julie zaszarżowała na niego ze wzniesionym kijem, a Mike uczynił słabą próbę uchylecia się, ona jednak złapała go, okręciła i przyciągnęła do siebie.

- Przegrałeś - orzekła. - Przyznaj.

- Nie - zaprzeczył, zaglądając jej w oczy. - Mylisz się. Może przegrałem tę partię, ale myślę, że wygrałem mecz.

- Jak to?

Uśmiechnął się, pochylając głowę, by ją pocałować.

* * *

Richard wstał z łóżka. Gdy podszedł do okna, zauważył, że cienie na podwórzu wydłużyły się, spowijając ziemię mrokiem.

Przyjdzie czas, że opowie Julie wszystko. O matce i o ojcu, o chłopcach w rodzinie zastępczej. Nie żywił wątpliwości, że Julie zrozumie, iż nie miał wyboru, musiał uczynić to, co uczynił. Opowie jej o pani Farney, szkolnym psychologu, która otoczyła go szczególną opieką w szkole średniej, gdy dowiedziała się, że jest sierotą.

Pamiętał rozmowę z nią. Siedziała na kanapce w swoim gabinecie. Pomyślał wtedy, że kiedyś musiała być ładna, ale jej uroda dawno przeminęła. Miała brudnoblond włosy z pasemkami siwizny, a gdy się uśmiechała, skóra na twarzy wyglądała na suchą i spękaną. Potrzebował jednak sprzymierzeńca, kogoś, kto by za niego poręczył, kto by powiedział, że nie rozrabia, lecz jest ofiarą. Pani Farney nadawała się do tego idealnie. Całe jej zachowanie świadczyło o pragnieniu, by okazać empatię, życzliwość. Pochylała się ku niemu, w jej oczach malował się smutek, kiwała głową, słuchając jednej za drugą okropnych historii z jego dzieciństwa.

Wielokrotnie oczy zachodziły jej łzami.

W miarę upływu czasu zaczęła traktować go jak syna, a on odgrywał dobrze swoją rolę. Dał jej na urodziny okolicznościową kartkę. Ona kupiła mu kolejny aparat, 35 mm, z obiektywem wysokiej jakości, który ma do tej pory.

Richard był zawsze dobry z matematyki i z przedmiotów ścisłych, a pani Farney odbyła rozmowy z jego nauczycielami historii i angielskiego, którzy zaczęli traktować go łagodniej, jego średnia nagle wyraźnie się podniosła. Co więcej, pani Farney poinformowała dyrektora szkoły, że Richard ma iloraz inteligencji na poziomie geniusza, i wywierała presję, żeby dopuszczono go do programów dla uzdolnionych uczniów. Zasugerowała, żeby przygotował artystyczne portfolio zrobionych przez siebie zdjęć, dla zaprezentowania talentu, i zapłaciła za ich skompletowanie. Napisała list polecający do University of Massachusetts, swojej alma mater, twierdząc, że nigdy nie znała młodzieńca, który przeszedłby tyle w swoim życiu. Złożyła wizytę w uczelni i spotkała się z komisją rekrutacyjną, błagając, żeby dano mu szansę, gdy zaprezentuje swoje portfolio. Uczyniła wszystko, co w jej mocy, i chociaż czuła głęboką satysfakcję, gdy dowiedziała się, że jej ciężka praca nie poszła na marne, to nie Richard powiadomił ją o tym.

Kiedy już przyjęto go na uniwersytet, nigdy się do niej nie odezwał. Spełniła swoją rolę i nie była mu więcej potrzebna.

W taki sam sposób Mike spełnił swoją rolę i teraz nie jest już potrzebny Julie. Był dobrym przyjacielem, ale nadszedł czas, żeby poszedł własną drogą. Mike pętał ją, przeszkadzał jej w rozwoju, nie pozwalał wybrać własnej przyszłości. Ich wspólnej przyszłości - jej i Richarda.

ROZDZIAŁ 22

Dla Julie dni zaczęły toczyć się nowym rytmem. Poczynając od ranków, kiedy Mike wychodził przed warsztat, żeby przywitać się z nią na ulicy, kończąc na lunchach w nieuczęszczanych miejscach i leniwych wieczorach, podczas których toczyli długie rozmowy.

Ich związek zacieśniał się powoli, jak gdyby oboje uważali, że zbyt pośpiech mógłby sprawić, że rozpląnąłby się jak dym. Mike nie spędził ani jednej nocy u Julie, Julie nie spędziła ani jednej nocy u Mike'a, i choć było parę wieczorów, kiedy okazja sama się nadarzała, żadne z nich nie było jeszcze gotowe.

Pewnego dnia, gdy Julie wybrała się po pracy ze Śpiewakiem na spacer, przyznała sama przed sobą, że to jedynie kwestia czasu. Był czwartek, od ich pierwszej randki minęły dwa tygodnie, a co ważniejsze, półtora tygodnia od trzeciej, która, jeśli wierzyć kobiecym czasopismom, jest magiczną liczbą w rozwoju znajomości i zwykle wtedy pary spędzają ze sobą pierwszą noc. Zlekceważyli ten moment zwrotny, ale nie zdziwiło jej to ani trochę. W ciągu lat, które minęły od śmierci Jima, przeżyła chwile, kiedy czuła się dość „erotycznie”, jak to nazywała. Jednak od tak dawna nie była w łóżku z mężczyzną, że w pewnym sensie zaakceptowała celibat jako ustalony styl życia. Zapomniała nawet, jak to jest pragnąć czegoś takiego, ale oto hormony dały ostatnio znać o sobie i bywało, że przyłapywała się na fantazjowaniu o Mike'u.

Nie znaczy to, że była gotowa rzucić się na niego bez uprzedzenia. Nie, Mike mógłby dostać ataku serca. Zresztą Julie była prawdopodobnie równie pełna obaw jak on. Skoro ich pierwszy pocałunek był takim straszliwie stresującym przeżyciem, to jak, u licha, będzie wyglądał kolejny krok? Wyobrażała sobie, jak stoi przed nim w sypialni i mówi: „Och, te wypukłości? Przepraszam, ale wiesz, ostatnio trochę się przejadaliśmy. Przygaś trochę światło, kochanie”.

Możliwe, że wszystko zakończy się fiaskiem, wielkim rozczarowaniem. A co wówczas się stanie? Seks nie jest najważniejszy w związku, niewątpliwie jednak nie znajduje się na bardzo odległym miejscu. Obawiała się, że gdy już dojdzie do pierwszego zbliżenia między nimi, stres spowoduje, że nie będą odczuwali przyjemności, nie będą umieli się tym cieszyć. Czy powinnam się zdecydować? Czy podszeptać mu to? To jak udział w teleturnieju z pytaniami, na które nie ma odpowiedzi, pomyślała, tyle że jego uczestnicy muszą być nadzy.

Dobrze, skarciła się w duchu, może zbyt się tym przejmuję. Tak to jest, gdy było się z jednym mężczyzną w życiu, a w dodatku z własnym mężem. Taką otrzymała nagrodę za

wstrzemięźliwe życie i, szczerze mówiąc, nie miała ochoty więcej o tym myśleć. Spacer ze Śpiewakiem miał być relaksem, a nie przyczyną pocenia się dłoni.

Daleko przed nią Śpiewak błędził po lesistych działkach, które rozciągały się aż do kanału, i Julie zauważyła ścieżkę, z której korzystała większość pośredników handlu nieruchomościami. Miesiąc temu na całym terenie zostały ustawione znaki do samego lustra wody i Julie widziała pomarańczowe plastikowe taśmy, którymi oznaczono przyszłą drogę. Za dwa lata będzie miała sąsiadów, co - mimo iż jest miłe ze względu na wartość posesji - było również nieprzyjemne. Lubiła poczucie prywatności, jakie dawały jej te działki, poza tym Śpiewak miał gdzie biegać. Naprawdę nie miała ochoty zbierać psich odchodów ani kalać świeżo podlanych trawników. Na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze, nie potrafiłaby znieść spojrzeń, które będzie rzucał jej Śpiewak. Nie miała wątpliwości, że pies zrozumie, co się dzieje. Po kilku pierwszych razach będzie spoglądał na nią, zanim odwróci nos, jak gdyby chciał powiedzieć: „Załatwiłem moje sprawy pod drzewem - bądź taka miła i posprzątaj po mnie, dobrze?”.

Za nic w świecie, pomyślała. Nigdy się z tym nie pogodzę.

Po piętnastu minutach dotarła nad wodę i przysiadła na chwilę na pniu, przyglądając się przepływającym w oddali statkom. Nie widziała Śpiewaka, ale wiedziała, że jest w pobliżu. Od czasu do czasu przybiegał, żeby upewnić się, że za nim idzie.

Był wobec niej opiekuńczy. Podobnie jak Mike, na swój sposób.

Mike.

Mike i ona razem. Naprawdę razem. Julie wróciła myślami do spraw, nad którym zastanawiała się na początku spaceru - ■ lepkie od potu dłonie i tak dalej.

* * *

Gdy w godzinę później Julie zbliżała się do domu, usłyszała, że dzwoni telefon. Wbiegła do środka, drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem. To pewnie Emma, pomyślała. Ostatnio Emma telefonowała bardzo często - cieszyła się ogromnie z rozwoju sytuacji z Mikiem i nie mogła się doczekać, kiedy o tym pogada. Szczerze mówiąc, Julie również lubiła te rozmowy. Oczywiście tylko dlatego, że nabierała dzięki nim pewnego dystansu.

Podniosła słuchawkę.

- Halo?

Nikt się nie odezwał, choć wyraźnie osoba po drugiej stronie się nie rozłączyła.

- Halo? - powtórzyła Julie.

Cisza. Julie odłożyła słuchawkę i poszła wpuścić Śpiewaka. W pośpiechu zamknęła

mu drzwi przed nosem. Zaledwie jednak zdążyła do nich dojść, telefon zadzwonił powtórnie i sytuacja dokładnie się powtórzyła.

Znowu nikt się nie odezwał, tyle że tym razem Julie zdawało się, że zanim odłożyła słuchawkę, usłyszała cichy trzask, jak gdyby ktoś się wyłączył.

* * *

- Jak ci idzie z Julie? - spytał Henry.

- Dobrze - odparł Mike, nie podnosząc głowy znad silnika. W ubiegłym tygodniu prawie wcale nie rozmawiał z bratem, ponieważ po prostu nie miał czasu. Z nadejściem lata klimatyzacja psuła się niemal natychmiast po włączeniu i ludzie przyjeżdżali do warsztatu z brudnymi obwódkami na kołnierzykach koszul. Poza tym to takie przyjemne uczucie być w posiadaniu informacji, które Henry ogromnie chciałby poznać, i nie dzielić się nimi. Przynajmniej raz miał przewagę.

Henry przyjrzał się bratu.

- Sądząc po tym, jak często się z nią widujesz, mam nadzieję, że nawet świetnie.

- Wiesz, jak to jest - powiedział Mike, nie przerywając pracy. Sięgnął po klucz nasadkowy i spróbował poluzować śruby, mocujące kompresor.

- Prawdę mówiąc, nie. Jasne, że wiem!

- Tak jak powiedziałem, wszystko idzie dobrze. Możesz podać mi ścierkę? Mam ręce śliskie od smaru.

- Słyszałem, że niedawno zaprosiłeś ją na kolację do swojego mieszkania.

- To prawda - potwierdził Mike.

- I?

- I co?

- No, co się wydarzyło?

- Smakowało jej.

- To wszystko?

- Co chcesz usłyszeć, Henry?

- Jak myślisz, co ona czuje do ciebie?

- Chyba mnie lubi.

Henry splótł palce dłoni. Wreszcie zaczynamy rozmawiać na właściwy temat.

- Chyba cię lubi, co?

Mike zwlekał kilka sekund z odpowiedzią, wiedząc, że Henry chce poznać szczegóły.

- Tak. - Mike uśmiechnął się, chowając głowę pod maską. Super! - pomyślał.

- Hm... - mruknął Henry. Och, temu facetowi wydaje się, że jest bardzo sprytny, ale jest wiele sposobów uzyskania odpowiedzi. - Posłuchaj, pomyślałem, że może mielibyście ochotę wybrać się na wycieczkę łodzią z Emmą i ze mną w przyszły weekend.

- W przyszły weekend?

- Tak. Będziemy łowić ryby, wypijemy kilka piw. Będzie miło.

- Sądzę, że nam się uda.

Henry uniósł brwi. Kochany braciszek uważa się teraz za ważniaka, pomyślał. Zabawne, ile potrafi zdziałać kobieta.

- Widzę, że jesteś zachwycony propozycją - rzekł z wyrzutem.

- Nie denerwuj się. Chodziło mi wyłącznie o to, że muszę najpierw uzgodnić to z Julie.

- Aha, to rzeczywiście rozsądne podejście - powiedział Henry. I, niestety, naprawdę tak uważał.

Stał przy Mike'u jeszcze przez chwilę, ale brat nadal nie pofatygował się, żeby wyjąć głowę spod maski samochodu. W końcu Henry odwrócił się i wszedł do kantorka, myśląc: W porządku, Mike, dostaniesz za swoje. Chciałem się tylko czegoś dowiedzieć, ale nie, ty musiałeś zgrywać się na twardziela - milczka.

Jedyny problem polegał na tym, że po upływie dwudziestu minut nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby zrobić. Lubił złośliwostki, ale uznawał czystą grę i nie zamierzał psuć szyków bratu.

Mogę być słaby, pomyślał, ale nie podły.

* * *

- Mówię ci, ostatnio promieniejesz - powiedziała Mabel.

- Eee tam, to dlatego, że przebywałam sporo na słońcu - odparła Julie.

Wykorzystywały na pogawędkę chwilę przerwy między klientkami. Andrea strzygła właśnie kogoś, rozmawiając o polityce, co było z góry skazane na niepowodzenie, gdy wspomniała, że podoba jej się obecny gubernator, ponieważ „ma ładniejsze włosy od tego drugiego faceta”. „Ten drugi facet”, o którym mówiła, był raczej kompletną abstrakcją dla jej klienta, ale nie przyszedł tutaj przecież dla konwersacji.

- Nie o słońcu mówię i ty dobrze o tym wiesz.

Julie wzięła szczotkę na kiju i zaczęła zamiatać podłogę wokół swojego fotela.

- Tak, Mabel, wiem. Nie jesteś najsubtelniejszą osobą pod słońcem.

- Dlaczego mam być subtelna? Znacznie łatwiej jest mówić wszystko bez ogródek.

- Może tobie. My, zwykli śmiertelnicy, zastanawiamy się czasami, jak odbierają nas inni ludzie.

- Kochanie, nie można przejmować się takimi rzeczami. Życie jest zbyt krótkie. A poza tym przecież mnie lubisz, prawda?

- Bez wątplenia jesteś jedyna w swoim rodzaju. Mabel pochyliła się ku niej.

- No, to otwieraj serce.

W godzinę później wyszedł ostatni klient Andrei, zostawiając jej wysoki napiwek, wystarczający na kupno nowego stanika Miracle, który miała na oku. Dwa tygodnie temu Andrea doszła do wniosku, że ma za małe piersi, które nie przyciągają odpowiednich facetów. Nowy stanik powinien zdecydowanie temu zaradzić.

Dzięki niemu ona sama też poczuje się lepiej. Przez cały ubiegły tydzień i dzisiejszego ranka Mabel i Julie szeptały coś do siebie, jak gdyby zamierzały obrabować bank znajdujący się na tej samej ulicy, ale nawet Andrea domyślała się, że rozmawiają o rozwoju znajomości Julie i Mike'a. Oczywiście mówiły tylko o sprawach zasadniczych. A więc pocałowała go? Wielkie mi meczyje! Andrea całowała się z chłopakami od drugiej klasy, ale Julie najwyraźniej uważała tę sytuację za niemal tak romantyczną jak film „Pretty Woman”.

Poza tym, myślała Andrea, cała ta historia z Mikiem jest idiotyczna. Mike czy Richard? Daj spokój, kobieto, wybór nasuwa się sam, nawet kretyńka by się nie zawahała. Mike jest miłym facetem, ale daleko mu do Richarda. Bardzo daleko. Richard ma w sobie to coś, a Mike? Zero seksapilu. Ale Julie jest ślepa jak nietoperz albinos, jeśli idzie o mężczyzn.

Powinna poradzić się mnie, pomyślała Andrea. Dałabym jej kilka wskazówek, jak naprawić stosunki z Richardem.

Właśnie w tej chwili zabrzączał dzwonek przy drzwiach i Andrea odwróciła głowę, myśląc: O wilku mowa...

* * *

Przez długą chwilę w salonie panował spokój. Mabel wyskoczyła na kilka minut, klientka Julie również wychodziła. Richard przytrzymał jej drzwi. Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne i gdy odwrócił się do Julie, zobaczyła w nich własne odbicie, czując dziwne, nieprzyjemne ściskanie w dołku. Leżący na kocu Śpiewak usiadł.

- Richard? - wymówiła z wahaniem w głosie Julie.

- Witaj, Julie. Jak się masz?

Nie było powodu, żeby zachować się niegrzecznie, ale Julie nie miała również chęci wymieniać uprzejmości. Nie przeszkadzało jej, że od czasu do czasu natyka się na Richarda,

ponieważ w małym miasteczku było to nieuniknione. Niezbyt jednak cieszyła ją perspektywa jego dalszych wizyt w salonie. Co innego przypadkowe spotkania, a zupełnie co innego świadomość, że będzie widywała go regularnie. Obawiała się, żeby nie zrobić mimo woli czegoś, co mogłoby go zachęcić. Z pewnością nie miała ochoty na powtórkę sytuacji z supermarketu.

- O co chodzi? - spytała.

Richard zdjął okulary i uśmiechnął się.

- Spodziewałem się - odparł cicho - że znajdziesz czas, żeby podstrzyć mi włosy.

Wyraźnie się o to proszą.

Zastanawiając się, czy jest to jedyny powód jego wizyty, zajrzała do swojego terminarza, z góry wiedząc, co znajdzie. Pokręciła głową.

- Przykro mi, ale nie dam rady nigdzie cię wcisnąć, jestem dzisiaj bardzo zajęta. Za kilka minut mam kolejnego klienta, a potem robię kolor. To może potrwać naprawdę długo.

- Chyba powinienem był się wcześniej umówić, prawda? - spytał.

- Czasami udaje mi się kogoś zmieścić między umówionymi wizytami, ale dzisiaj to niemożliwe.

- Rozumiem. - Richard odwrócił wzrok. - Wobec tego, skoro już jestem tutaj, może coś ustalimy. Co z poniedziałkiem?

Odwróciła stronę i tym razem wiedząc, co znajdzie.

- Też mam wizytę za wizytą. W poniedziałek jest zawsze mnóstwo osób. To dzień stałych klientów.

- A wtorek?

Julie nie zajrzała nawet do terminarza.

- Pracuję tylko przez pół dnia. Po południu mam parę rzeczy do załatwienia.

Richard zamknął powoli oczy, potem je otworzył, jak gdyby pytając: „A więc tak to będzie teraz wyglądało?”. Nie odwrócił się jednak do wyjścia. Andrea, wyczuwając panujące między nimi napięcie, odeszła od swojego fotela.

- Ja to mogę zrobić, złotko - zaproponowała. - Mam wolną chwilę.

Richard zawahał się przez moment, po czym cofnął się o krok, nadal nie spuszczał wzroku z Julie.

- Dobrze - powiedział. - Chętnie skorzystam.

Andrea obciągnęła minispódniczkę, zerknęła na swoje odbicie w lustrze i wskazała Richardowi drogę.

- Chodźmy, złotko, na zaplecze. Najpierw muszę umyć ci głowę.

- Jasne. Dzięki, Andrea.

Rzuciła mu spojrzenie przez ramię, uśmiechając się do niego najpromienniejszym, jak potrafiła, zachwycona dźwiękiem swego imienia w ustach Richarda.

* * *

- Czego chciał? - spytał Mike. Miał zwyczaj spoglądania w tamtą stronę w każdej wolnej chwili, choćby tylko po to, żeby wyobrazić sobie, co robi Julie w danym momencie. Gdy tylko zobaczył, że Richard wyszedł z salonu, pobiegł do niej śpiesznie. Julie wyszła mu naprzeciw.

- Przyszedł się ostrzyc.

- Dlaczego?

- No cóż, tym właśnie zajmujemy się w salonie. Mike popatrzył na nią ze zniecierpliwieniem.

- Och, nie przesadzaj - mówiła dalej Julie. - Prawie z nim nie rozmawiałam. To Andrea go strzygła, nie ja.

- Ale chciał, żebyś ty to zrobiła, prawda? Mimo że z nim zerwałaś?

- Temu nie mogę zaprzeczyć. Sądzę jednak, że zrozumiał, iż wolałabym go nie widywać, nawet w pracy. Nie zrobiłam przykrew uwagi, ale przypuszczam, że dotarło to do niego.

- No... dobrze - rzekł Mike, po czym dodał po chwili milczenia: - On wie, że ty... to znaczy, że spotykasz się ze mną, prawda?

Zamiast odpowiedzi ujęła jego rękę.

- Wiesz, do twarzy ci z tą zazdrosną miną.

- Nie jestem zazdrosny.

- Oczywiście, że jesteś. Nie przejmuj się, uważam, że i bez zazdrości jesteś ujmujący. Widzimy się dzisiaj wieczorem?

po raz pierwszy od chwili, gdy spostrzegł Richarda, Mike poczuł, że trochę się rozluźnia. - Przyjadę po ciebie - odpowiedział.

* * *

Gdy po kilku minutach Julie wróciła do salonu, Andrea pracowała znowu, ale twarz miała ciągle zarumienioną po strzyżeniu Richarda. Julie uświadomiła sobie, że po raz pierwszy widzi, by Andrea zareagowała nerwowo na obecność mężczyzny. I niech jej będzie. Andrea zasługiwała w końcu na kogoś, kto ma stałą pracę, chociaż Julie nie potrafiła sobie wyobrazić jej w dłuższym związku. Podejrzewała, że dość szybko by się znudziła.

Skończyła pracę po piątej i zaczęła zamykać salon. Andrea wyszła pół godziny temu. Mabel sprzątała zaplecze, do Julie zaś należało główne pomieszczenie. Właśnie wtedy zauważyła na ladzie obok kwiatka w doniczce ciemne okulary.

Zorientowała się natychmiast, że są własnością Richarda, i przez sekundę zastanawiała się, czy do niego nie zadzwonić i nie powiedzieć mu, że zostawił je w salonie. Zdecydowała jednak, że tego nie zrobi. Lepiej będzie, jeśli uczyni to Mabel lub Andrea.

* * *

Julie wstąpiła po drodze do sklepu, żeby zrobić zakupy na kolację, i wchodziła właśnie z pełnymi torbami do domu, gdy zadzwonił telefon. Postawiła je na stole i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Cześć, Julie - usłyszała głos Richarda. Jego ton był przyjacielski, swobodny, jak gdyby rozmawiali przez telefon codziennie. - Nie byłem pewien, czy jesteś już w domu, ale cieszę się, że cię zastałem. Żałuję, że nie udało mi się porozmawiać z tobą dzisiaj.

Julie zamknęła oczy, myśląc: Tylko znowu nie to. Co za dużo, to niezdrowo.

- Cześć, Richardzie - odpowiedziała chłodno.

- Jak się masz?

- Dziękuję, dobrze.

Słyszając jej ton, umilkł na chwilę.

- Zastanawiasz się pewnie, dlaczego dzwonię.

- Właśnie.

- Chciałem cię spytać, czy przypadkiem nie natknęłaś się na okulary przeciwsłoneczne. Podejrzewam, że mogłem zostawić je w salonie.

- Owszem, natknęłam się. Położyłam je na biurku. Możesz odebrać je w poniedziałek.

- Nie pracujecie w soboty?

- Nie. Mabel uważa, że nie powinno się pracować w weekendy.

- Ach. - Znowu zamilkł. - Cóż, wyjeżdżam z miasta i byłoby świetnie, gdybym mógł je odebrać. Czy mogłabyś otworzyć wieczorem na chwilę salon? Zajmie ci to naprawdę niewiele czasu. Tylko je zabiorę i ruszam w drogę.

Julie trzymała słuchawkę przy uchu, nie odpowiadając i myślała: Chyba żartujesz! Dobrze wiem, że zostawiłeś je tam celowo po to, by mieć pretekst do zatelefonowania.

- Julie? Jesteś tam?

Wypuściła głośno powietrze, zdając sobie sprawę, że Richard może to słyszeć, ale

było jej absolutnie wszystko jedno.

- Sądzę, że posuwasz się zbyt daleko, nie uważasz? - powiedziała bez odrobiny współczucia czy uprzejmości. - Wiem, co robisz, i starałam się być dla ciebie grzeczna, ale chyba pora już z tym skończyć, prawda?

- O co ci chodzi? Chcę tylko odebrać moje okulary.

- Mówię serio, Richardzie. Spotykam się z kimś innym. To koniec. Możesz odebrać okulary w poniedziałek.

- Julie... zaczekaj... Julie odłożyła słuchawkę.

ROZDZIAŁ 23

W godzinę później Mike otworzył drzwi wejściowe do domu Julie i wsunął głowę do środka.

- Hej, jestem! - krzyknął.

Julie suszyła włosy w łazience. Śpiewak, słysząc głos Mike'a, natychmiast przycwałował, żeby się z nim przywitać.

- Możesz się już pokazać ludziom? - zawołał. Usłyszał, że Julie wyłączyła suszarkę.

- Tak - odpowiedziała. - Wejdz.

Mike przeszedł przez sypialnię i zajrzał do łazienki.

- Brałaś prysznic?

- Tak. Czułam się brudna - odrzekła. Zwinęła przewód suszarki i schowała ją do szuflady. - Kiedy są takie zwariowane dni jak dzisiaj, po skończonej pracy mam wrażenie, że jestem cała pokryta włosami klientów. Będę gotowa za kilka minut.

- Będzie ci przeszkadzało, jeśli zaczekam na ciebie tutaj?

- Ani trochę.

Mike oparł się o framugę drzwi, przyglądając się, jak Julie nakłada cień na powieki krótkimi, zdecydowanymi ruchami. Potem przyszła kolej na tusz do rzęs. Rozczesywała rzęsy tak samo wprawnie, najpierw górne, potem dolne, przybliżając twarz do lustra.

Malująca się kobieta ma w sobie coś zmysłowego, coś, co świadczy o jej pragnieniu, by wydać się pociągającą, pomyślał Mike, patrząc na Julie. Dostrzegał subtelne różnice, gdy zmieniała się przed jego oczami. Ponieważ dzisiaj wieczorem nigdzie nie wychodzili, robiła to wszystko dla niego, i ta myśl miała niezaprzeczalnie erotyczny podtekst.

Zdawał sobie sprawę, że jest zakochany w Julie. Ostatnie dwa tygodnie, podczas których się spotykali, nie pozostawiły co do tego żadnych wątpliwości. Jednak czuł się inaczej niż wtedy, gdy się nie widywali. Julie nie była już fantazją, lecz osobą absolutnie realną, bez której nie wyobrażał sobie dalszego życia. Skrzyżował ramiona, jak gdyby odgradzając się od ewentualności, że to wszystko mogłoby mu się wymknąć.

Julie włożyła kolczyki, uśmiechając się przelotnie, rozbawiona jego zainteresowaniem i podziwem, a jednocześnie mile połechtana. Wzięła z półeczki perfumy, spryskała lekko szyję oraz nadgarstki, następnie wtarła je w skórę, tym razem wytrzymując spojrzenie Mike'a.

- Lepiej? - spytała.

- Wyglądasz przepięknie - powiedział. - Jak zawsze. Wychodząc z łazienki, Julie precyzyjnie się obok Mike'a, ocierając się o niego całym ciałem. Poszedł za nią, ze wzrokiem

utkwionym w łagodnie kołyszące się biodra i krągłe pośladki. Bosonoga, w spłowiałych dzinsach, była uosobieniem wdzięku, chociaż Mike wiedział, że porusza się tak samo jak zawsze.

- Pomyślałam, że zjemy dzisiaj befsztyki - powiedziała. - Masz ochotę?

- Nawet dużą, ale na razie nie jestem głodny. Zjadłem późny lunch w warsztacie. Za to z przyjemnością napiłbym się piwa.

Julie wspięła się na palce, żeby wyjąć z szafki kieliszek do wina. Przy tym ruchu bluzka uniosła jej się nieco, odsłaniając brzuch, i Mike odwrócił się, starając się myśleć o baseballu. Po chwili stanęła przed nim, podsuwając mu swój kieliszek, i Mike nalał jej wina, po czym wziął dla siebie piwo. Otworzył puszkę i pociągnął długi łyk, potem następny.

- Posiedzimy trochę na powietrzu? - spytała.

- Jasne.

Wyszli na werandę. Julie przytrzymała siatkowe drzwi, żeby Śpiewak mógł wyjść na podwórkę. Miała na sobie bluzkę bez rękawów i Mike zauważył, jak napinają się delikatne mięśnie jej ramienia. Nie uszła też jego uwagi ponętna wypukłość piersi i nie mógł się powstrzymać, żeby nie wyobrażać sobie, jak Julie wyglądałaby nago.

Zamknął oczy i westchnął głęboko. Boże, błagam, nie pozwól, żebym zrobił z siebie idiotę. Proszę.

Pociągnął znowu solidny łyk piwa, prawie kończąc puszkę.

To będzie cholernie długa noc.

* * *

Nie było tak źle, jak się obawiał. Jak zwykle rozpoczęli żartobliwą rozmowę, rozkoszując się chłodną wieczorną bryzą. Mniej więcej po godzinie Mike rozpałił grill i upiekł befsztyki, Julie tymczasem weszła do domu, żeby przyrządzić surówkę.

Stojąc w kuchni, Julie pomyślała, że Mike ma minę maniaka seksualnego, którego pozostawiono na wiele lat na bezludnej wyspie. Biedak gapił się na nią przez cały wieczór jak kot na sperkę i chociaż starał się zachowywać powściągliwie, doskonale wiedziała, o czym myśli, ponieważ, szczerze mówiąc, myślała o tym samym. Miała takie wilgotne dłonie, że ledwie mogła utrzymać w nich warzywa.

Pokroiła ogórki i pomidory, włożyła je do salaterki, po czym nakryła do stołu. Porcelanowe talerze, eleganckie sztuce. Cofnęła się, podziwiając swoje dzieło. Czegoś jeszcze jej brakowało. Znalazła dwie świece, ustawiła pośrodku stołu i zapaliła. Zgasiła górne światło, po czym skinęła głową, zadowolona.

Weszła do salonu i włożyła do stereofonicznego odtwarzacza płytę Elli Fitzgerald. Stawiała właśnie wino na stole, gdy wszedł Mike, niosąc befsztyki. Zatrzymał się w progu, widząc nakryty stół.

- Podoba ci się? - spytała.

- Wygląda... wspaniale - odparł.

Zauważyła, że mówiąc te słowa, patrzy prosto na nią. Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa. W końcu Mike odwrócił wzrok i postawił befsztyki na stole. Zamiast jednak usiąść, ruszył ku niej i Julie poczuła ściskanie w żołądku. O, Boże, pomyślała, czy naprawdę jestem na to gotowa?

Stojąc przed Julie, Mike uniósł dłoń do jej twarzy, jak gdyby prosząc o pozwolenie. W tle słychać było ciche dźwięki muzyki. Smakowite zapachy jedzenia wypełniały niewielką kuchnię. Julie ledwie zauważała to wszystko. Mike wypełniał sobą całe pomieszczenie.

Właśnie w tym momencie Julie zrozumiała, że go kocha.

Mike wpatrywał się w nią, jak gdyby czytając w jej myślach, i Julie się poddała. Przytuliła twarz do jego dłoni, zamykając oczy i rozkoszując się tym dotykiem. Mike przysunął się bliżej, aż poczuła, jak jej piersi zetknęły się z jego torsem. Wsunęła się w jego silne ramiona.

Wtedy ją pocałował. Pocałunek był delikatny, niemal jak muśnięcie skrzydełek kolibra, i chociaż całowali się już wiele razy, ten wydawał się bardziej realny niż jakikolwiek przedtem. Pocałował ją jeszcze raz i gdy ich języki się spotkały, Julie zarzuciła mu ramiona na szyję, pewna, że lata przyjaźni prowadziły ich stopniowo ku tej chwili.

Gdy w końcu odsunęli się od siebie, Mike wziął ją za rękę i poprowadził z kuchni do sypialni. Ich wargi znowu się zetknęły, gdy Mike zaczął powoli rozpinać guziki jej bluzki. Poczuła jego palce na skórze, a potem na zapięciu dżinsów. Pocałował ją w szyję, zanurzając dłonie w jej włosach.

- Kocham cię - wyszeptał.

Pokój tonął w ciemności, w powietrzu drżało jeszcze echo jego słów. Julie westchnęła.

- Och, Mike - powiedziała, czując, jak jego oddech muska jej skórę. - Ja też cię kocham.

* * *

Kochali się i mimo że nie było to takie krępujące, jak się obawiała, ziemia nie zdrząła. Mike pragnął nade wszystko zadowolić Julie, a Julie pragnęła zadowolić Mike'a, toteż oboje za wiele myśleli, a za mało cieszyli się tym, co się dzieje.

Już po wszystkim leżeli w łóżku obok siebie, oddychając szybko i wpatrując się w sufit. Oboje pomyśleli to samo: kompletnie wyszedłem (wyszłam) z wprawy. Mam nadzieję, że Julie (Mike) tego nie zauważyła (zauważył)”.

Jednakże w przeciwieństwie do niektórych par, leżeli potem, obejmując się nawzajem, a dręczące ich pożądanie zastąpiła czułość. Mike jeszcze raz wyznał Julie, że ją kocha. Ona również wyznała mu miłość. Kiedy po upływie godziny kochali się po raz drugi, było idealnie.

* * *

Po północy nadal jeszcze leżeli w łóżku. Julie przyglądała się, jak Mike wodzi palcami po jej brzuchu, zataczając małe kręgi. Gdy nie mogła już dłużej wytrzymać, chwyciła go ze śmiechem za rękę, wijąc się jak piskorz.

- To łaskocze - zaprotestowała. Pocałował ją w rękę i podniósł głowę.

- Byłaś cudowna - powiedział.

- Ach, więc schodzimy teraz na ten poziom? Jak gdybym była dziewczyną na jedną noc, a ty chcesz pojechać moją miłość własną, żeby nie czuć wyrzutów sumienia z tego powodu, że mnie wykorzystałeś?

- Nie, mówię poważnie. Byłaś wspaniała. Najwspanialsza. Nigdy nie przypuszczałem, że może być aż tak.

- Słowa, słowa - roześmiała się Julie.

- Nie wierzysz mi?

- Jasne, że wierzę. Byłam wspaniała. Najwspanialsza. Nigdy nie przypuszczałeś...

Nie udało jej się dokończyć, ponieważ Mike zaczął ją łaskotać. Julie zapiszczała, usiłując mu się wyrwać. Później, leżąc na brzuchu, Mike wsparł się na łokciach.

- Jeśli idzie o ścisłość - zauważył - to wcale cię nie wykorzystałem.

Julie odwróciła się na bok, żeby go lepiej widzieć, i pociągnęła prześcieradło.

- Ach, nie? Wiem tylko, że w jednej chwili zamierzałam właśnie jeść kolację, a w następnej nasze ubrania fruwały po całej sypialni.

- Byłem bardzo uwodzicielski, prawda?

- Bardzo. - Julie wyciągnęła rękę i przesunęła palcem po jego policzku. - Kocham cię, wiesz?

- Tak, wiem. Julie odepchnęła go.

- Dla odmiany próbowałam być absolutnie poważna - oburzyła się. - Mógłbyś przynajmniej powiedzieć, że też mnie kochasz.

- Znowu? Ile razy mam ci to powtarzać?

- A ile razy chcesz?

Mike popatrzył na nią, po czym ujął jej dłoń i pocałował każdy palec po kolei.

- Jeśli chodzi o mnie, mogę powtarzać to codziennie do końca życia.

Ach, to było takie ujmujące.

- No cóż, skoro tak bardzo mnie kochasz, może przyniesiesz nam coś do jedzenia?

Umieram z głodu.

- Już idę.

Gdy Mike schylił się po spodnie, zadzwonił telefon, stojący na niskim stoliku.

Jeden sygnał. Drugi. Przy trzecim Mike podniósł słuchawkę.

- Halo? - powiedział. Milczał chwilę, po czym spytał znów: - Halo?

Julie zamknęła oczy, mając nadzieję, że Mike nie wypowie po raz trzeci tego słowa.

- Halo? Odłożył słuchawkę.

- Nikt się nie odezwał - rzekł do Julie. - Pewnie pomyłka czy coś w tym rodzaju. -

Spojrzał na nią. - Dobrze się czujesz?

Julie uśmiechnęła się z przymusem.

- Tak - odparła. - Dobrze.

Telefon zadzwonił znowu. Tym razem Mike popatrzył na Julie ze zdziwioną miną, po czym sięgnął po słuchawkę.

Sytuacja się powtórzyła.

Julie objęła się ramionami. Chociaż wmawiała sobie, że z pewnością to nie ma znaczenia, nie potrafiła otrząsnąć się z wrażenia deja vu, które nagle ją ogarnęło. Było to identyczne uczucie jak wówczas, gdy stała nad grobem Jima.

Ktoś mnie obserwuje, pomyślała.

ROZDZIAŁ 24

Zmiany w życiu Julie zaczęły się tamtej nocy.

Większość z nich była wspaniała. Mike spędził z nią całą niedzielę i kochali się rano, a potem zanim poszli spać. W poniedziałek pojechali oboje do centrum handlowego w Jacksonville, gdzie Julie kupiła sobie kostium plażowy, szorty i sandały. Gdy po powrocie do domu prezentowała mu bikini jak zawodowa modelka, Mike gapił się na nią okrągłymi z zachwytu oczami, po czym zerwał się z kanapy i zaczął ją gonić. Uciekała przed nim po całym domu, śmiejąc się i piszcząc, aż wreszcie dopadł ją w sypialni, przewracając na łóżko. Kłębili się na nim, chichocząc jak dzieci, by po kilku minutach kochać się pod osłoną prześcieradeł.

Julie była zaskoczona - i pełna ulgi - że mimo iż sypiali ze sobą, pozostali w dalszym ciągu przyjaciółmi. Mike nadal żartował i ją rozśmieszał, ona się z nim przekomarzała, nadal trzymali się za ręce, siedząc na kanapie i oglądając filmy.

Ale, choć bardzo się starała, nie mogła zaprzeczyć, że w tym tygodniu najbardziej zapadły jej w pamięć głuche telefony. Dwa późnym wieczorem w sobotę. W niedzielę - cztery. W poniedziałek pięć; Mike wyszedł akurat z domu i odebrała je sama. We wtorek, gdy już się położyła - Mike wrócił na noc do swojego mieszkania - telefon dzwonił znowu cztery razy, aż w końcu wyłączyła aparat z gniazdka. W środę, gdy weszła po pracy do kuchni, spostrzegła, że automatyczna sekretarka jest przepełniona.

Pamiętała, jak wcisnęła guzik, żeby odsłuchać pierwszą wiadomość, potem przeskoczyła do następnej. I do następnej. Wiadomości nagrały się jedna po drugiej. Na taśmie zostały zarejestrowane czasy połączeń. Każda nowa wiadomość zaczynała się w chwili zakończenia poprzedniej. Przy czwartej Julie zaczęła oddychać szybciej, przy dziewiątej łyzy napłynęły jej do oczu. Przy dwunastej zaczęła kasować wszystkie, naciskając guzik niemal tak szybko, jak przedtem przy odtwarzaniu, gorączkowo próbując powstrzymać to, co się działo.

Gdy skończyła, usiadła przy stole, drżąc na całym ciele.

Tamtego dnia jej automatyczna sekretarka zarejestrowała dwadzieścia połączeń, każde z nich trwało dwie minuty.

Na żadnej z nich osoba dzwoniąca się nie odezwała.

W czwartek i piątek nie było ani jednego głuchego telefonu.

ROZDZIAŁ 25

- Odnoszę wrażenie, że wszystko układa wam się wspaniale - powiedziała w sobotę Emma.

Wcześniej tego samego dnia Mike i Julie spotkali się z Henrym i Emmą na przystani na Harker's Island. Załadowali na łódź łodówki turystyczne z jedzeniem i piwem, kremy z filtrem przeciwsłonecznym, ręczniki i kapelusze, pojemniki z lodem i dość sprzętu wędkarskiego, żeby złowić wszystko, co przypadkiem pojawiłoby się za burtą łodzi, nie wyłączając Moby Dicka, orki i rekina ze „Szczęk”. Późnym rankiem, w zatoce w pobliżu przylądka Lookout, Mike i Henry stali obok siebie z wędkami, absolutnie pochłonięci współzawodnictwem, które można określić wyłącznie jako niesłychanie szczeniackie. Za każdym razem, gdy jednemu z nich udało się złowić rybę, potrząsał butelką piwa i oblewał nim drugiego. W jednym pojemniku było już dość makreli i płastug, żeby nakarmić stado głodnych fok, a obaj mężczyźni zdjęli mokre od piwa koszule i powiesili je na relingu, żeby wyschły.

Julie i Emma siedziały na małych leżakach obok kajuty, zachowując się nieco doroślej i grzejąc się w promieniach słońca. Ponieważ lat dopiero się zbliżało, wilgotność była znośna, chociaż obydwie puszki piwa pokrywała skroplona para.

- Rzeczywiście - przyznała Julie. - Prawdę mówiąc, nawet lepiej. Ubiegły tydzień był taki fantastyczny, że zachodzę w głowę, czego się przez cały czas obawiałam.

Coś w sposobie, jaki o tym mówiła, sprawiło, że Emma spytała po chwili milczenia:

- Ale?

- Ale co?

- Jest coś, co cię niepokoi, prawda?

- Czy to aż tak widać?

- Nie, lecz nie musi wcale być widać. Znam cię dość długo, by wyczuć, iż coś jest nie tak. Czy ma to coś wspólnego z Mikiem?

- Nie. Absolutnie nic.

- Kochasz go?

- Kocham.

- O co więc chodzi?

Julie postawiła ostrożnie piwo na pokładzie.

- Ostatnio odbieram dziwne telefony.

- Od kogo?

- Nie wiem. Nikt się nie odzywa.

- Tylko sapie do słuchawki?

- Nie, nawet nie to. Kompletna cisza.

- I nie wiadomo, kto dzwoni?

- Nie. Kiedy wybrałam sześćdziesiąt dziewięć, dowiedziałam się tylko, że to prywatny numer. Wobec tego zadzwoniłam do operatora. Jedyna informacja, jaką uzyskałam, to że wszystkie połączenia są realizowane z telefonu komórkowego, lecz numer nie jest zarejestrowany, więc nie mogą go ustalić.

- Jak to możliwe?

- Nie mam pojęcia. Coś tam mi tłumaczyli, ale ja właściwie nie słuchałam. Gdy stwierdzili, że nie są w stanie mi pomóc, wyłączyłam się.

- Czy domyślasz się, kto może dzwonić?

Julie odwróciła się, patrząc, jak Mike znowu zarzuca wędkę.

- Podejrzewam, że to może być Richard. Nie potrafię tego udowodnić, ale mam takie przeczucie.

- Dlaczego?

- Po prostu nikt inny nie przychodzi mi do głowy. Nie poznałam żadnego nowego mężczyzny poza nim i... no, nie wiem... Po prostu wydaje mi się, że to on. Wyciągam wnioski na podstawie tego, jak się zachował, kiedy mu powiedziałam, że między nami wszystko skończone, jak nieustannie pojawia się w moim życiu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Takie drobiazgi. Wpadłam na niego w supermarkecie, potem przyszedł do salonu, żeby się ostrzyć. Za każdym razem, gdy się spotykamy, próbuje znowu się do mnie zbliżyć.

Emma przyjrzała jej się bacznie.

- A co na to Mike?

- Nie wiem. Nie powiedziałam mu jeszcze.

- Dlaczego?

Julie wzruszyła ramionami.

- A co zrobi? Będzie go śledził? Mówiłam ci już, nie mam nawet pewności, że to Richard.

- No, dobrze, ile było tych głuchych telefonów? Julie przymknęła na chwilę oczy.

- W środę zastałam dwadzieścia wiadomości na automatycznej sekretarce.

Emma wyprostowała się gwałtownie.

- O, mój Boże! Czy zgłosiłaś to policji?

- Nie - odparła Julie. - Wtedy nie dopuszczałam nawet do siebie myśli, co się dzieje. Liczyłam chyba na to, że to jakaś pomyłka, coś w rodzaju awarii technicznej komputera u operatora telefonicznego. Miałam nadzieję, że to się skończy. Może rzeczywiście się skończyło. Mój telefon milczy od dwóch dni.

Emma ujęła Julie za rękę.

- Tacy faceci nie dają za wygraną. Czyta się o tym bez przerwy w gazetach... „Były chłopak łązi za dziewczyną i wyrównuje rachunki”. To rodzaj prześladowania. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Oczywiście, że tak. Myślałam o tym. Ale co mam powiedzieć policji? Nie potrafię udowodnić, że to Richard dzwonił, podobnie zresztą jak operator telefoniczny. Nie groził mi. Nie widziałam jego samochodu zaparkowanego na ulicy przed domem czy przed salonem. Gdy spotykamy się, jest uprzejmy, poza tym zawsze są w pobliżu inni ludzie. Wystarczy, że wszystkiemu zaprzeczy. - Wyciągała wnioski niczym prawnik podsumowujący sprawę. - A co najważniejsze - dodała na koniec - jak już ci mówiłam, nie mam pewności, czy to on. Może to być równie dobrze Bob albo ktoś, kogo nawet nie znam. Emma przyglądała jej się przez chwilę, po czym uściśnęła jej rękę.

- Ale na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jesteś pewna, że to był Richard.

Po chwili namysłu Julie kiwnęła głową.

- Wczoraj wieczorem nie było żadnych telefonów? Ani przedwczoraj? Wtedy, gdy Mike był u ciebie?

- Nie. Żadnych. Chyba dał spokój.

Emma zmarszczyła brwi, rozważając słowa Julie. Albo chciał, by uwierzyła, że dał spokój. Nie zamierzała jednak uczynić takiej uwagi.

- Dziwne - powiedziała zamiast tego - i przerażające. Ciarki chodzą mi po plecach, gdy o tym pomyślę.

- Mnie również.

- Co zamierzasz zrobić? Julie pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia.

* * *

Julie stała na dziobie, gdy poczuła, że Mike otacza ją ramionami i muska nosem jej szyję. Przytuliła się do niego, czerpiąc osobliwe pokrzepienie z jego bliskości.

- Witaj - powiedziała.

- Cześć. Wydałaś mi się taka samotna.

- Nie, po prostu rozkoszuję się wiatrem. Zrobiło mi się gorąco na słońcu.

- Mnie też. Chyba za mocno się przypiekłem. Piwo splukało pewnie balsam z filtrem przeciwsłonecznym.

- Wygrałeś pojedynek?

- Nie chcę się chwalić, ale powiedzmy, że mój braciszek dostał znacznie większą porcję słońca ode mnie.

Julie uśmiechnęła się.

- To co teraz robi Henry?

- Prawdopodobnie się dąsa.

Julie obejrzała się. Henry, wychylony przez burtę, napełniał morską wodą puszkę po piwie. Gdy spostrzegł, że Julie patrzy na niego, wstał i przyłożył palec do ust, prosząc, żeby go nie zdradziła.

- A zatem jesteś gotów na dzisiejszy wieczór? - spytała Mike'a. - Mam na myśli „Clipper”.

- Tak. Znam już większość piosenek.

- Co włożysz?

- Tym razem pewnie džinsy. Jestem już chyba trochę za stary na to, żeby ubierać się jak dzieciak.

- Teraz zdałeś sobie z tego sprawę?

- Czasami to trochę trwa. Julie oparła się o niego.

- Tak jak ze mną?

- Właśnie.

W oddali najrozmaitsze łodzie zarzuciły kotwice w pobliżu plaży na przylądku Lookout. Był to pierwszy ciepły weekend w tym roku i mnóstwo rodzin wybrało się na powietrze. Dzieci chlapały się w wodzie, piszcząc i się śmiejąc, rodzice rozłożyli ręczniki plażowe na piasku i się opalali. Za nimi wznosiła się biała latarnia morska wysoka na dwadzieścia cztery metry.

- Jesteś dzisiaj milcząca - zauważył Mike, przytulając ją mocno.

- Po prostu myślę.

- O czymś, co usłyszałaś od Emmy?

- Nie. Wręcz przeciwnie. O czymś, co ja jej powiedziałam. Mike czuł, jak włosy Julie muskają jego twarz.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Julie odetchnęła głęboko, po czym zrelacjonowała mu szczegółowo wszystko to, co

przedtem Emmie. Mike słuchał, a na jego twarzy malowały się kolejno: konsternacja, niepokój, a wreszcie gniew. Gdy skończyła, ujął ją za ramiona i odwrócił twarzą ku sobie.

- Myślisz więc, że to był on, kiedy odebrałem telefon tamtej nocy?

- Nie wiem.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Nie było o czym mówić. Przynajmniej jeszcze dwa dni temu.

Mike umknął wzrokiem w bok, marszcząc brwi, po czym spojrzał znowu na Julie.

- Cóż, jeśli to się powtórzy, położę temu kres.

Julie przyglądała mu się uważnie, w końcu jej twarz powoli rozjaśniła się uśmiechem.

- Znowu masz to uwodzicielskie spojrzenie.

- Nie próbuj zmieniać tematu - rzekł Mike. - To poważna sprawa. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w barze „U Tizzy'ego”?

- Tak - skinęła głową Julie - pamiętam. - Jej głos był bez wyrazu. - Po prostu taki mam sposób na radzenie sobie z sytuacją, kiedy jestem zdenerwowana. Staram się obrócić wszystko w żart. Stare przyzwyczajenie.

Po długiej chwili Mike znowu otoczył ją ramionami.

- Nie martw się - powiedział. - Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

* * *

Na lunch zjedli kanapki, chipsy oraz sałatkę ziemniaczaną kupioną wcześniej w delikatesach. Julie poczuła się trochę lepiej, podzieliwszy się swymi obawami z Mikiem i Emmą i zaspokoiwszy głód. Pocieszał ją fakt, że oboje potraktowali całą sprawę równie poważnie jak ona.

Nawet się odprężyła. Chociaż mogła wyczytać z twarzy Mike'a, że nie zapomniał o tym, co mu powiedziała, Mike był sobą i nie potrafił długo zachować powagi, zwłaszcza gdy Henry go podpuszczał. W pewnym momencie podał mu piwo, które sprokurował wcześniej. Mike pociągnął spory łyk, zakrztusił się i wypluł wszystko na pokład. Henry zarykiwał się ze śmiechu, Emma chichotała, Mike wytarł brodę i również się roześmiał. Nie zapomniał tego Henry'emu. Nieco później wyjął z kontenera płastugę i użył jej do przyprawienia kanapki brata, smarując nią chleb.

Henry zzieleniał, rozkasłał się, po czym cisnął kanapką w brata. Mike zrewanżował się, rzucając w niego pełną łyżką sałatki.

Gdy się tak prześcigali w głupich żartach, Emma nachyliła się do ucha Julie.

- Imbecyle - powiedziała szeptem. - Nigdy nie zapominaj, że mężczyźni to imbecyle.

Uprzykrzona myśl o głuchych telefonach spowodowała, że Julie wypita o jedno piwo więcej niż zwykle. Tego właśnie dzisiaj potrzebowałam, pomyślała, i z logiką osoby lekko zamroczonej alkoholem próbowała rozwiać swoje obawy. Może Richard odreagowywał za pomocą tych telefonów rozdrażnienie. Może stracił panowanie nad sobą, ponieważ rozmawiała z nim tak, jak rozmawiała, gdy zadzwonił w sprawie okularów przeciwsłonecznych. Pamiętała, że natarła na niego dość ostro. Niewątpliwie mu się należało, ale nie potrafił się z tym pogodzić. Skoro jednak nie zjawił się w salonie, żeby je odebrać, Julie doszła do wniosku, że nie myliła się, podejrzewając, iż był to podstęp. Telefony miały dać jej do zrozumienia, że jest zdenerwowany, ponieważ jego plan spalił na panewce.

I, powtórzyła sobie jeszcze raz, telefon nie odzywał się od dwóch dni. Nie jest to może długo, ale najważniejsze, że nie dzwoni. Prawdopodobnie już nie zadzwoni, uznała, pocieszając się. Wbrew temu, co myśli Emma, traktuje poważnie całą sprawę. Jako nastolatka była przez krótki czas bezdomna i ten okres nauczył ją ostrożności i podejrzliwości. Dopóki nie będzie pewna, że telefony naprawdę się skończyły, dopóty nie zrobi niczego niemądrego. Żadnych samotnych spacerów późnym wieczorem. Drzwi będzie zamykała na klucz, a podczas nieobecności Mike'a Śpiewak będzie spał w jej sypialni.

Julie skrzyżowała ramiona, słuchając, jak woda przepływa z szumem pod dziobem łodzi.

Nie, pomyślała, nie będzie gorzej. Wykluczone.

* * *

Po południu Emma puściła głośno płytę Jimmy'ego Buffetta. Podnieśli kotwicę i przepłynęli wzdłuż przylądka Lookout, kierując się z powrotem w stronę Harker's Island. Łódź kołysała się łagodnie na falach i Emma przytuliła się do siedzącego przy sterze Henry'ego, skubiąc go od czasu do czasu zębami w ucho.

Mike sprzątał na rufie, układał sprzęt wędkarski w pudle i sprawdzał, czy kołowrotki są zabezpieczone. Julie stała znowu na dziobie, czując, jak wiatr rozwiewa jej włosy. Tak jak Mike, opaliła się i skóra na ramionach trochę ją piekła, podobnie jak inne miejsca, które pominęła, smarując się balsamem z filtrem przeciwsłonecznym - czubek lewego ucha, czoło tuż przy linii włosów, pas na udzie i drugi na łydce. Zdumiewające, pomyślała, jak słońce potrafiło znaleźć te miejsca i dokonać zemsty. Wyglądam jak gepard w różowe cętki.

Chociaż pogoda nadal była wspaniała, trzeba było wracać do domu. Emma i Henry stawili tego ranka czoło małemu buntowi, któremu towarzyszyły łzy i płacz, dzieci bowiem nie potrafiły zrozumieć, dlaczego ich nie zaproszono. Dręczeni lekkimi wyrzutami sumienia,

obiecali solennie, że zabiorą je później na pizzę i do kina. Mike musiał być przed ósmą w „Clipper”, żeby spotkać się z zespołem. Julie zamierzała wybrać się tam, żeby go posłuchać, dopiero koło dziesiątej i chciała wcześniej odrobinę się zdrzemnąć. Była bardzo zmęczona. Słońce i piwo sprawiły, że kręciło jej się w głowie.

Podeszła do swojej torby i wyjęła z niej koszulę. Gdy wkładała szorty, jej wzrok powędrował przelotnie ku plaży, rejestrując coś dziwnego. Nawet po dokładniejszym przyjrzeniu nie od razu zorientowała się, co jest nie w porządku. Osłoniwszy oczy od słońca, przesuwała spojrzeniem po łodziach, potem po linii brzegowej, a następnie po ludziach na plaży.

To było tam. Gdzieś tam.

I cokolwiek to było, zdecydowanie nie pasowało do całości.

Julie zmarszczyła brwi, nadal wodząc wzrokiem po brzegu gdy nagle uświadomiła sobie, co zwróciło jej uwagę. Miała rację. To było jak kwiatek do kozucha w tak gorący dzień na plaży.

Opuściła dłoń, osłupiała.

Ktoś w dzinsach i ciemnoniebieskiej koszuli stał w pobliżu wydmy, trzymając w ręku... co? Lornetkę? Lunetę? Nie potrafiła powiedzieć, ale to coś bez wątplenia było nakierowane na łódź.

Na nią.

Julie poczuła nagle ogromne psychiczne znużenie, gdy mężczyzna opuścił przedmiot trzymany w dłoni i przez sekundę zdołała niemal przekonać samą siebie, że się pomyliła. Wówczas, jak gdyby znając dokładnie jej myśli, mężczyzna pomachał do niej, jego ręka poruszała się powoli w tę i z powrotem, niczym wahadło dziadkowego zegara. Jestem tutaj, zdawał się mówić, jestem zawsze przy tobie.

Richard.

Krew odpłynęła jej z twarzy i Julie wciągnęła gwałtownie powietrze, próbując stłumić ten dźwięk, zasłaniając usta dłonią.

Gdy jednak zamrugała powiekami, Richard zniknął. Przeszła na dziób i pochyliła się do przodu. Nic. Ani śladu Richarda, jak gdyby nigdy go tam nie było.

Mike, który usłyszał jej głośne westchnienie, podszedł do niej szybko.

- Co się stało?

Julie wciąż nie odrywała wzroku od plaży. Mike również popatrzył w tamtą stronę, nie zobaczył jednak ani Richarda, ani niczego niezwykłego. Julie skuliła się pod jego ramieniem.

- Nie wiem - odpowiedziała.

Musiała mi się to uroić, pomyślała. To nie mogło być naprawdę. Nikt nie porusza się tak szybko. Nikt.

* * *

Mike odwiózł Julie do domu i wyładował jej rzeczy z samochodu, ona zaś weszła do środka. Śpiewak pobiegł za nią i gdy położyła torebkę na bufecie, stanął na tylnych łapach, żeby się z nią przywitać. Opędzała się, jak mogła, od jego zaślinionego języka, gdy dostrzegła migającą lampkę automatycznej sekretarki.

Odepchnęła wreszcie Śpiewaka. Opadł na cztery łapy i podreptał przez salon do drzwi wyjściowych, zapewne, by wyjść na spotkanie Mike'owi. W kuchni szumiała lodówka. Mucha brzęczała gniewnie, obijając się o szybę. Julie nie słyszała tych odgłosów. Nie słyszała też Mike'a ani Śpiewaka, ani nawet własnego oddechu. Cała jej uwaga skoncentrowała się na automatycznej sekretarce. Lampka migotała złowieszczo, hipnotycznie.

„Odsłuchaj mnie” - zdawała się mówić. „Odsłuchaj mnie”.

Przez moment Julie miała wrażenie, że podłoga usuwa jej się spod stóp. Czuła się, jak gdyby znowu znalazła się na łodzi i patrzyła w stronę plaży. Pomachał mi, pomyślała. Obserwował mnie i teraz zadzwonił, żeby mi o tym powiedzieć.

Pokręciła głową. Nie, nie. Nie było go tam. Absolutna bzdura. To złudzenie. Wzrok splątał jej figła, wypila o jedno piwo za dużo, skutkiem czego dostała trzęsionki.

Lampka automatycznej sekretarki migąta uparcie.

Daj spokój, pomyślała Julie, weź się w karby. Każdy mógł zostawić wiadomość, o co więc chodzi? Przecież mam to urządzenie właśnie po to, muszę tylko podejść i wcisnąć guzik. Gdy to zrobię, okaże się, że dzwoniła Mabel lub inna znajoma czy ktoś chciał umówić się na wizytę w salonie. A może chcą mnie namówić na prenumeratę jakiegoś czasopisma czy coś w tym rodzaju? Po prostu wciśnij guzik, a przekonasz się, jak idiotyczne są twoje obawy.

Jednakże nie mogła zdobyć się na to, żeby podejść do telefonu. Żołądek miała ściśnięty, kolana się pod nią ugiwały. Wreszcie podeszła do telefonu i wyciągnęła rękę, ale zawahała się, trzymając palec na guziku.

„Odsłuchaj mnie...”.

Zamknęła oczy, myśląc: Potrafię się na to zdobyć.

Oddychała z trudem; nie mogła zaprzeczyć, że bez względu na to, jak bardzo stara się być dzielna i rozsądna, jak bardzo usiłuje przekonać samą siebie, że rozdmuchuje całą sprawę ponad wszelką miarę, obawa wkradała się do jej serca. Proszę, modliła się w duchu, niech nie będzie żadnych głuchych wiadomości. Chcę usłyszeć czyjś głos. Czyjkolwiek, byle nie jego.

Wcisnęła guzik drżącą dłonią.

Z początku była tylko cisza i Julie wstrzymała oddech. Potem usłyszała czyjś cichy szept, niemożliwy do zidentyfikowania. Pochyliła się do aparatu, próbując rozpoznać głos. Słuchała, koncentrując się, i w chwili gdy zamierzała wykasować wiadomość, dotarło do niej. Otworzyła szeroko oczy, poznając refren piosenki, melodię, którą znała na pamięć.

Piosenki, którą śpiewał Mike podczas ich wspólnego wieczoru w Beaufort dwa tygodnie temu.

„Bye, bye Miss American Pie...”.

ROZDZIAŁ 26

Mike wbiegł pędem do środka, słysząc krzyk Julie.

Stała przy aparacie telefonicznym, blada jak ściana, wciskając nieprzytomnie guzik kasowania.

- Co się stało? - spytał Mike. - Dobrze się czujesz?

Julie prawie go nie słyszała. Drżała na całym ciele, a obrazy przesuwwały się błyskawicznie w jej pamięci, jeden za drugim, przyprawiając ją o mdłości. Richard był dzisiaj na plaży - teraz była tego pewna. To Richard był sprawcą głuchych telefonów - nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Zrozumiała, że na tym nie poprzestał. Śledził ich również w Beaufort. Pozostawał niewidoczny, gdy ona z Mikiem jadła kolację, obserwował ich, gdy poszli na spacer do parku, i był blisko, na tyle blisko, że słyszał piosenkę, którą śpiewał dla niej Mike. Prawdopodobnie to on postawił im potem drinki. To on dzwonił tamtej nocy, gdy Mike został u niej. Z zamierającym sercem uświadomiła sobie, że nie kto inny, lecz Richard przyglądał jej się na cmentarzu.

Był wszędzie.

To nie może się dziać, pomyślała ze ściśniętym gardłem, ale się dzieje. Wszystko wydało jej się nagle straszliwie niewłaściwe. Kuchnia zbyt jasna, zasłony rozsunięte, okna wychodzące na leśne działki, gdzie każdy może się ukryć. Cienie wydłużały się coraz bardziej, rozpluwając się w półmroku, na niebie zaczęły zbierać się chmury, pograżając świat w szarości, jak na starym czarno - białym filmie z gatunku horroru. Skoro Richard podglądał ją dzisiaj na łodzi, skoro podglądał ją zawsze, to prawdopodobnie podgląda ją w tej chwili.

Na podwórku Śpiewak podniósł łeb i zaszczekał.

Julie drgnęła, czując, że serce zaczyna walić jej jak młotem, odwróciła się do Mike'a i ukryła twarz na jego piersi. Łzy spłynęły jej po policzkach.

Emma powiedziała, że tacy ludzie jak on nie dają za wygraną.

- Julie? No... powiedz, co się stało - prosił Mike. - O co chodzi?

- Boję się - odpowiedziała cichym, łamiącym się głosem.

* * *

Julie wciąż jeszcze trzęsała się jak galareta, gdy po kilku minutach wsiadała do samochodu Mike'a. Oczywiście nie było już mowy o drzemce, bez wątplenia nie udałoby jej się zasnąć. Za żadne skarby nie zostałyby też w domu sama, podczas gdy Mike byłby w „Clipper”. Mike zaproponował, że zrezygnuje z występu, Julie jednak nie zgodziła się na to, pewna, że siedzieliby w domu, wałkując wszystko od początku przez całą noc. Nie miała

ochoty przeżywać na nowo paraliżującego strachu.

Nie, musi wyrwać się stąd, uciec. Noc w mieście, trochę głośniejszą muzyką, jeszcze parę piw i będzie jak nowo narodzona. Z powrotem ta sama dawna ja, pomyślała.

Tak jak by to było możliwe, sceptycznie podszeptował jej cichy głos wewnętrzny.

Julie skrzywiła się. W porządku, pewnie to się jej nie uda, ale obsesyjne myślenie o całej sprawie to nic dobrego. Nie zostanie w domu. Nie będę sobie zaprzętała tym głowy, powtarzała w duchu, a jeśli już, to by obmyślić, co teraz zrobię.

Zawsze uważała, że ludzie dzielą się na dwie kategorie. Na tych, którzy patrzą przez przednią szybę, oraz na tych, którzy zerkają we wsteczne lustro. Należała do pierwszej grupy;

uważała, że trzeba skoncentrować się na przyszłości, a nie przeszłości, ponieważ tylko ona jest do wzięcia. Matka cię wyrzuciła? Musisz zdobyć coś do jedzenia i znaleźć kątek do spania. Umarł mąż? Pracuj jak szalona, żeby nie skończyć u czubków. Jakiś facet cię prześladowa? Wymyśl sposób, żeby go powstrzymać.

Siedząc w samochodzie obok Mike'a, próbowała się uspokoić. Jestem Julie Barenson, myślała, dziewczyna, która bierze sprawy w swoje ręce.

Pozytywne myślenie zadziało jedynie przez chwilę. To prawda, tym razem nie będzie łatwo, ponieważ ten scenariusz nie jest jeszcze ukończony i raczej trudno skoncentrować się na przyszłości, kiedy nie są zamknięte sprawy przeszłości. Tkwi w teraźniejszości i nie czuje się z tym dobrze. Pomimo że starała się być dzielna, owładnął ją strach, bała się nawet bardziej niż wówczas, gdy mieszkała na ulicy. Tam potrafiła znaleźć sposób, żeby stać się niewidzialną - nazywała to sposobem przeżycia dzięki ukryciu, co stanowiło raczej odwrotność sytuacji z Richardem. Jej obecny problem polegał na tym, że była zbyt wystawiona na widok i nie potrafiła temu w żaden sposób zaradzić.

Gdy Mike zaparkował samochód na ulicy przed swoim domem, Julie obejrzała się przez ramię, wytężając słuch, czy nie dobiegną jej jakieś podejrzone odgłosy. Strachem napętniały ją pograżone w ciemności przestrzenie między domami czy szuranie, które, jak się okazało, było sprawką kota buszującego w pojemniku na śmieci.

I pytania, które ją dręczyły - och, nie dodawały jej odwagi, prawda? Czego on chce? Jaki będzie jego następny krok? Wyobraziła sobie, jak leży nocą w ciemnym pokoju, a gdy jej oczy przyzwyczajają się do ciemności, zdaje sobie sprawę, że Richard stoi przy łóżku, przez maskę widać jedynie jego oczy, trzyma coś w ręku, zbliżając się do niej...

Julie odsunęła ten ostatni obraz. Dość tego, nie pozwól ponosić się wyobraźni. To się nie zdarzy. Nie dopuszczę do tego ani ja, ani Mike. Wykluczone. Nie ma mowy.

Ale co robić?

Żałowała, że skasowała wiadomość. Właściwie żałowała, że skasowała wszystkie wiadomości, ponieważ były jedynym posiadanym przez nią dowodem, że coś naprawdę się dzieje. Może policji udałoby się ustalić coś na ich podstawie.

Julie myślała o tym, dochodząc do wniosku, którym wcześniej podzieliła się z Emmą. Może oczywiście spróbować, ale nawet w obliczu nowego prawa o prześladowaniu, bez dowodów policja jest bezsilna. Skończy się na tym, że Julie będzie siedziała naprzeciwko jakiegoś korpulentnego przepracowanego policjanta, który stukając długopisem w notatnik, poprosi ją o przedstawienie konkretnych dowodów.

Jaka była treść pierwszych wiadomości? Żadna.

Czy kiedykolwiek pani groził? Nie.

Czy zauważyła pani kiedyś, żeby panią śledził? Tylko raz, na plaży.

Ale nie ma pani absolutnej pewności, że to on? Nie, był za daleko.

Skoro ostatnią wiadomość nagrano szeptem, skąd pani wie, że to był Richard? Nie potrafię tego udowodnić, ale wiem, że to on.

Długa chwila milczenia. Uhm. No cóż, czy jest jeszcze coś, co mogłaby mi pani powiedzieć? Nie. Poza tym, że mam straszliwego pietra i chciałabym brać prysznic, nie wyobrażając sobie, że za zasłoną czai się Norman Bates.

Kolejny stuk długopisu. Uhm.

Nawet ona uważała, że jest to mocno naciągane. Samo przypuszczenie, że to był Richard, stanowczo nie wystarczy. Ale to był on! Miała co do tego absolutną pewność.

Czyż nie?

* * *

W „Clipper” Julie usiadła przy barze obok kilku mężczyzn, którzy przyszli wcześniej, żeby obejrzeć mecz baseballu. Zamówiła piwo i sączyła je powoli, aż wreszcie minęła ósma.

Wyłączono telewizor i mężczyźni siedzący przy barze wyszli, gdy członkowie zespołu sprawdzili wzmacniacze i nastroili instrumenty, udali się na zaplecze, żeby trochę się zrelaksować przed występem. Mike przyłączył się do Julie. Postanowili nie rozmawiać o tym, co się stało, co okazało się gorsze od rozmowy. Julie spostrzegła gniewne spojrzenie Mike'a, gdy powiedział w końcu, że jest potrzebny na estradzie.

- Nie spuszczę cię z oka - obiecał.

W tym czasie kilka osób podeszło do baru, inni usadowili się przy stolikach, jeszcze inni gromadzili się w małych grupkach. O wpół do dziesiątej, kiedy zaczął grać zespół,

przybyło znacznie więcej gości. W drzwiach pojawiały się wciąż nowe twarze. Ludzie tłoczyli się przy barze, zamawiając drinki, Julie jednak nie zwracała na nich uwagi, wdzięczna, że rozgwar i ogólna atmosfera sprawiły, iż przestała zadawać sobie niekończące się pytania. Mimo to odwracała się odruchowo ku drzwiom za każdym razem, gdy się otwierały, w obawie, że zobaczy w nich Richarda.

Wchodzący dziesiątki osób, ale Richarda wśród nich nie było.

Godziny mijały monotonię - najpierw dziesiąta, potem jedenasta, wreszcie północ i po raz pierwszy od popołudnia Julie poczuła, że odzyskuje nieco panowanie nad sobą. Podobnie jak u Mike'a wraz z tym uczuciem pojawił się gniew. Bardziej niż cegokolwiek pragnęła publicznie zwymyślać Richarda, wygłosić głośny monolog, szturchając go ostentacyjnie palcem wskazującym w pierś. Wyobrażała sobie, jak wrzeszczy na niego: „Myślisz, że kim ty jesteś? Czy naprawdę wydaje ci się, że zamierzam znosić twoje gówniane wybryki?! (Szturchnięcie). Zbyt wiele zniosłam w życiu - zbyt wiele przeżyłam - żeby teraz pozwolić ci się zaszachować! Nie pozwolę, powtarzam, NIE POZWOLĘ, żebyś zniszczył mi życie! (Dwa szturchnięcia). Masz mnie za kozła ofiarnego? (Szturchnięcie). Płacziwe stworzenie, które będzie siedziało na kanapie, trzęsąc się ze strachu i czekając na twoje kolejne posunięcie? DO DIABŁA, NIE! (Dwa szturchnięcia). Czas pogodzić się z rzeczywistością, panie Richardzie Franklin. Wygrał lepszy i, przykro mi, chłopie, ale to nie ty. Prawdę mówiąc, nigdy nie będziesz taki jak on. (Trzy szturchnięcia, po których następuje spontaniczna owacja kilkunastu kobiet, które podeszły, słuchając jej tyrody)”.

Podczas gdy wyobrażała sobie swoją zemstę, grupa młodych mężczyzn wcisnęła się obok niej, kupując drinki dla siebie oraz dla tych, którzy nie zdołali się dopchać do baru. Przyjmowanie ich zamówienia zajęło kilka minut i gdy odeszli, Julie rzuciła spojrzenie w bok.

Nieco dalej przy kontuarze znajoma postać pochylała się do barmana, zamawiając coś do picia.

Richard.

Na jego widok poczuła się tak, jak gdyby ktoś zadał jej cios w splot słoneczny, zapomniała o wszystkich miażdżących ripostach.

Był tutaj.

Śledził ją.

Znowu.

* * *

Mike zauważył Richarda o minutę wcześniej i miał ochotę zeskoczyć z estrady, żeby zagrozić mu drogę, pohamował się jednak i grał dalej.

Richard również zobaczył Mike'a. Skinął mu głową z uśmiechem, po czym ruszył w stronę baru, udając, że nie zauważa Julie.

Możesz sobie w tyłek wsadzić swoje kiwanie głową, pomyślał Mike, czując nagły przypływ adrenaliny. Jeden fałszywy ruch, a rozwalę ci na niej gitarę!

* * *

Julie widziała go, czuła jego obecność, niczym lubieżne dyszenie w zatłoczonej windzie.

Nie zrobił nic. Nie spojrzał w jej stronę, nie wykonał żadnego ruchu. Po prostu stał tyłem do baru, z drinkiem w ręku, przyglądając się ludziom, wyglądając tak samo jak wszyscy inni faceci na sali. Jak gdyby naprawdę wierzył, iż Julie pomyśli, że ich spotkanie jest wyłącznie kwestią przypadku.

Chrząć się, pomyślała Julie. Nie nastraszysz mnie.

Zespół zaczął grać kolejną piosenkę i Julie zerknęła w stronę Mike'a. Rysy miał ściągnięte, w oczach ostrzegawczy błysk. Poruszył bezgłośnie wargami, dając jej znak, że za moment skończy. Julie skinęła głową, czując nagle, że pilnie potrzebuje drinka. Prawdziwego drinka, czegoś mocnego, co wypija się jednym haustem.

W przyćmionym świetle profil Richarda był pograżony w cieniu. Stał ze skrzyżowanymi nogami i przez chwilę Julie wydało się, iż widzi na jego wargach rozbawiony uśmiech, jak gdyby wiedział, że go obserwuje. Ze zdenerwowania zaschło jej w ustach.

Kogo ja usiłuję oszukać? - pomyślała nagle Julie. Boję się jak cholera.

Czas z tym skończyć.

Nie mając pojęcia, skąd wzięła odwagę do następnego posunięcia, Julie wstała i ruszyła ku swemu prześladowcy. Gdy była już blisko, Richard odwrócił się, robiąc minę, jak gdyby jej widok mile go zaskoczył.

- Julie - powiedział - nie wiedziałem, że tu jesteś. Jak się masz?

- Co tutaj robisz, Richardzie? Wzruszył ramionami.

- Po prostu wpadłem na drinka.

- Skończ z tym, dobrze?

Powiedziała to tak głośno, że stojący nieopodal ludzie odwrócili się w ich stronę.

- Słucham? - spytał.

- Wiesz dobrze, o czym mówię!

- Nie, nie mam pojęcia.

- Przyszedłeś tutaj za mną!

- Co takiego?

Coraz więcej ludzi im się przyglądało i Julie nagle przypomniała się tyrada, którą przygotowała sobie wcześniej w myśli, Mike patrzył na nią ze sceny z gorączkowym napięciem, a gdy tylko piosenka dobiegła końca, ruszył ku nim, upuszczając gitarę na scenę.

- Myślisz, że wolno ci wszędzie za mną łązić, a ja będę to spokojnie znosiła?! - spytała Julie, podnosząc głos.

Richard zasłonił się rękami.

- Julie... uspokój się. Uspokój się. Naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Wybrałeś niewłaściwą kobietę do zastraszenia. Jeśli dalej będziesz tak się zachowywał, zadzwonię na policję i uzyskam zakaz sądowy zbliżania się do mnie. Zamkną cię. Wydaje ci się, że możesz dzwonić do mojego domu i zostawiać wiadomości...

- Nie zostawiłem żadnych wiadomości...

Julie krzyczała i ludzie spoglądali to na nią, to na Richarda. Wokół nich utworzył się wianuszek gapiów, którzy odsunęli się nieco, jak gdyby spodziewali się, że za chwilę pójdą w ruch pięści.

Tymczasem Julie była na fali. Poczwała, że przeżywanie tego w rzeczywistości jest nawet lepsze od wyobrażania sobie. (Tak, właśnie tak! Huzia na niego, dziewczyno!).

- ...i ujdzie ci to płazem? Myślisz, że nie zauważyłam, że mnie śledziłeś z plaży?

Richard cofnął się o krok.

- Widzę cię dzisiaj po raz pierwszy. Cały dzień spędziłem na budowie.

W swoim rozgrzaniu Julie nie zwróciła uwagi na jego protesty.

- Nie zamierzam tego tolerować!

- Tolerować czego?

- PO PROSTU PRZESTAŃ! Chcę, żebyś PO PROSTU PRZESTAŁ!

Richard powiódł spojrzeniem po twarzach otaczających ich ludzi, wzruszając ramionami, jak gdyby starał się pozyskać ich sympatię.

- Posłuchaj, nie wiem, o co tu chodzi, ale może sobie zwyczajnie pójdę...

- To KONIEC. ZROZUMIAŁEŚ?!

W tym momencie Mike zdołał przepchnąć się między gapiami. Julie była czerwona z gniewu, ale wyglądała na przestraszoną. Na sekundę oczy Mike'a i Richarda się spotkały i Mike dostrzegł w przelocie, przez tak krótką chwilę, że nikt inny by tego nie zauważył, ten sam złośliwy uśmiešek na ustach Richarda, z którym kiwnął mu głową, wchodząc do baru.

Rzucił też wyzywająco - lekceważące spojrzenie, jak gdyby prowokował Mike'a, żeby coś z tym zrobił.

Była to kropla, która przepełniła czarę.

Wściekłość, która narastała w Mike'u od popołudnia, eksplodowała z całą siłą. Richard stał, gdy Mike natarł na niego z pochyloną głową, uderzając go w klatkę piersiową niczym futbolista wchodzący w przeciwnika na polu gry. Impet zbił Richarda z nóg; wylądował na barowej ladzie. Butelki i szklanki poleciały z brzękiem na podłogę, odłamki szkła rozprysnęły się dookoła na stojących ludzi.

Mike chwycił Richarda za kołnierz, wykręcił mu rękę i mimo że Richard osłonił dłonią twarz, stracił równowagę, pozwalając, by pierwszy cios Mike' a trafił go w szczękę. Richard upadł znowu na kontuar i chwycił się go, żeby utrzymać się na nogach. Gdy podniósł głowę - tym razem znacznie wolniej - pod jego okiem widoczny był krwiak. Mike uderzył go jeszcze raz. Głowa Richarda majtnęła się na boki. Wypadki potoczyły się jak na zwolnionym filmie. Richard odbił się od wysokiego stołka i rąbnął o ziemię. Gdy się odwrócił, krew płynęła mu z ust. Mike szykował się już do następnego ciosu, gdy kilku mężczyzn złapało go od tyłu.

Bójka trwała nie więcej niż piętnaście sekund. Mike usiłował się wyswobodzić, po chwili jednak zdał sobie sprawę, że mężczyźni, którzy go trzymają, nie robią tego po to, żeby Richard mógł wykorzystać swoją szansę, lecz z obawy, żeby nie poniósł większego uszczerbku. Gdy tylko go puścili, Julie ujęła Mike'a za rękę i wyprowadziła go na dwór.

Nawet członkowie zespołu znali go na tyle, żeby ich nie zatrzymywać.

ROZDZIAŁ 27

Gdy znaleźli się na dworze, Mike oparł się o pokrywę bagażnika, próbując wziąć się w garść.

- Daj mi chwilę - poprosił.
- Nic ci nie jest? - spytała Julie.

Mike podniósł dłonie do twarzy i wypuścił powietrze, mówiąc przez palce:

- Nic. Trochę stłukłem sobie knykcie.

Julie przysunęła się bliżej, pociągając go za koszulę.

- Nie znałam cię od tej strony. Powinieneś wiedzieć, że całkiem dobrze radziłam sobie sama.

- Widziałem, ale kompletnie wyprowadziło mnie z równowagi jego spojrzenie.
- Jakie spojrzenie? Mike opisał je i Julie wzdrygnęła się.
- Nie zauważyłam - powiedziała.
- Nie sądzę, żeby było przeznaczone dla ciebie. Chyba wreszcie jest po wszystkim.

Oboje zamilkli. Kilka osób wyszło za nimi z baru i teraz stało, patrząc w ich stronę. Ale myśli Julie były zaprzątnięte czym innym. Co takiego powiedział Richard? Że pracował? Że przez cały dzień był na budowie? Nie słuchała go wtedy, jednak teraz przypomniała sobie jego słowa.

- Mam nadzieję - odezwała się wreszcie.
- To koniec - zapewnił ją znowu Mike.

Julie uśmiechnęła się przelotnie, lecz najwyraźniej była zdenerwowana.

- Twierdzi, że to nie on obserwował mnie dzisiaj i że głuche telefony to też nie jego sprawka. Że nie ma pojęcia, o czym mówię.

- Nie spodziewałaś się chyba, że się przyzna, co?
- Nie wiem. Nie przypuszczałam, że w ogóle cokolwiek powie.
- Nadal jesteś pewna, że to był on, prawda?

- Tak, jestem pewna. Przynajmniej wydaje mi się, że jestem pewna - dodała po chwili milczenia.

Mike ujął jej dłoń.

- To był on. Miał to wypisane na twarzy. Julie wpatrywała się w ziemię.
- Dobrze - powiedziała. Mike ścisnął jej dłoń.

- Daj spokój, Julie. Nie chcesz przecież, bym zaczął się martwić, że przed chwilą spuściłem manto niewinnemu facetowi, prawda? To on. Zaufaj mi. Jeśli odważy się zrobić

jeszcze cokolwiek, pójdziemy na policję i opowiemy o wszystkim, co się zdarzyło. Uzyskamy sądowy zakaz zbliżania się, wniesiemy oskarżenie. Zrobimy wszystko, co będzie trzeba. Poza tym, skoro to nie był on, to co tam robił dzisiejszego wieczoru?

I dlaczego stał tak blisko, nie witając się? Byłaś najwyżej o metr od niego.

Julie zamknęła oczy. Mike ma rację, pomyślała. Absolutną rację. Richard nie zjawiłby się w „Clipper”. Czyż nie mówił, że mu się tu nie podoba? Nie, na pewno przylazł tutaj za nimi. Wiedział, że tu będą, ponieważ ich śledził. I oczywiście będzie kłamał. Skoro zachowywał się do tej pory jak psychiczny, dlaczego miałyby się spodziewać, że powie prawdę?

Dlaczego tym razem pozwolił się zobaczyć? I co to oznaczało?

Mimo że powietrze było ciepłe, Julie przeszył nagle zimny dreszcz.

- Może mimo wszystko powinnam pójść na policję, żeby złożyć doniesienie, które znajdzie się w ich aktach.

- Myślę, że to niezły pomysł.

- Pójdiesz ze mną?

- Jasne. - Mike wyciągnął rękę i dotknął twarzy Julie. - No co? Czujesz się lepiej?

- Trochę. Nadal się boję, ale czuję się lepiej.

Mike pogłaskał ją po policzku, po czym nachylił się, żeby ją pocałować.

- Obiecałem, że nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało, i obietnicy dotrzymam.

Dobrze?

Poczuła miłe mrowienie skóry pod jego dotykiem.

- Dobrze.

* * *

W barze Richardowi udało się wreszcie stanąć na nogach. Wśród pierwszych osób, które wyciągnęły do niego pomocną dłoń, znalazła się Andrea.

Widziała, jak Mike zeskoczył ze sceny i zaczął przepychać się przez tłum. Facet, z którym tańczyła - kolejny podrywacz, chociaż musiała przyznać, że blizna na szyi była nawet dość seksowna - chwycił ją za rękę i powiedział: „Chodź, będzie nawalanka”. Pobiegli tą samą drogą co Mike, i choć dotarli na miejsce bójki za późno, żeby być jej świadkami, Andrea zauważyła, że Julie wyprowadza Mike'a z baru. Tymczasem Richard usiłował podnieść się z podłogi, przytrzymując się barowego stołka. Pomagali mu w tym inni i gdy świadkowie zdarzenia dzielili się spostrzeżeniami, Andrea zdołała wyrobić sobie pogląd na to, co się stało.

- Po prostu rzucił się na tego faceta....

- Ten facet stał sobie spokojnie, gdy tamta kobitka zaczęła na niego krzyczeć i ten drugi naskoczył na niego...

- On nic nie zrobił...

Andrea zauważyła siniec pod okiem Richarda, krew w kąciku ust, i przestała żuć gumę. Nie mieściło jej się to w głowie.

Nigdy nie słyszała, żeby Mike podniósł nawet głos, nie mówiąc już o tym, aby podniósł na kogoś rękę. Mógł się dąsać, czasami trochę się gorączkować, ale to wszystko. Miała jednak przed sobą niezbity dowód - Richarda, któremu udało się w końcu wygramolić z podłogi. Zareagowała błyskawicznie. Jest ranny! Potrzebuje mnie! Zostawiła partnera, z którym tańczyła, i praktycznie rzuciła się do Richarda.

- O, mój Boże... Nic ci nie jest?

Richard spojrział na nią, nie odpowiadając. Zachwiał się i Andrea podtrzymała go, otaczając ramionami. Przy okazji zauważyła, że Richard nie ma na sobie grama tłuszczu.

- Co się stało? - spytała, czując, że się rumieni.

- Napadł na mnie - odpowiedział Richard.

- Ale dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

Zachwiał się znowu i wsparł na Andrei.

Przy tym ruchu poczuła, że ręce też ma muskularne.

- Musisz na chwilę usiąść. Tutaj... pozwól, że ci pomogę. Richard uczynił niepewny krok i tłum się rozstał. Andrei spodobało się to. Wyglądało to tak, jak gdyby grali w finałowej scenie filmu, tuż przed pokazaniem się napisów. Zatrzepotała dla efektu rzęsami, ale podszedł do nich Kulawy Joe, kuśtykając na swojej protezie, żeby również pomóc Richardowi.

- Chodźmy - burknął. - Jestem właścicielem baru. Musimy pogadać.

Poprowadził Richarda do stolika, zmieniając nagle kierunek, i przy tym ruchu Andrea została odtrącona na bok. Po chwili Kulawy Joe oraz Richard rozmawiali przy małym stoliku.

Andrea przyglądała im się nadąsana, zła, że zmarnowano jej taką okazję. Gdy odnalazł się jej partner, podjęła już decyzję, co robi.

* * *

Ogólnie rzecz biorąc, był to dzień, którego Julie nie chciałyby przeżyć po raz drugi.

Oczywiście, okazał się świetnym sprawdzianem wytrzymałości. Od chwili gdy wstała

z łóżka, przeżyła niemal wszystkie możliwe emocje, i to każdą bardzo intensywnie. Pomyślała, że gdyby miała sklasyfikować minione dni, ten byłby numerem jeden pod względem intensywności strachu (pominawszy pierwszą noc, którą przespała pod wiaduktem autostrady w Daytona), numerem trzy pod względem przygnębienia (dzień śmierci Jima oraz dzień pogrzebu zajmowały dwa pierwsze miejsca w kategorii smutku) i numerem jeden pod względem ogólnego wyczerpania. Jeśli dodać do tego jeszcze odrobinę miłości, gniewu, łez, śmiechu, zaskoczenia, ulgi, jak również całodzienną huśtawkę nastrojów, gdy martwiła się o to, co będzie dalej, to nie ulega wątpliwości, że bardzo, bardzo długo będzie pamiętać ten dzień.

W kuchni Mike wsypywał do filtru zmieloną kawę bezkofeinową. W samochodzie milczał przez cały czas, podobnie zresztą jak teraz. Natychmiast po przyjeździe do domu poprosił o aspirynę, rozgryzł cztery tabletki i popił je szklanką wody. Julie siedziała przy stole. Śpiewak wykorzystał ten moment i zaczął się o nią ocierać, dopominając się o pieśczęty. Wreszcie poświęciła mu nieco uwagi, jego zdaniem ostatnimi czasy stanowczo za mało się nim interesowała.

Mike miał rację. Richard musiał dokładnie zaplanować całą sytuację i nie tylko to. Przewidział jej reakcję. Musiał ją przewidzieć. Jego odpowiedzi, jego kłamstwa następowały za szybko, za naturalnie, za gładko, żeby mogło być inaczej.

I nie wdał się w bójkę.

Niepokoilo ją to. Zwłaszcza to ostatnie.

Coś jej tu nie pasowało. Nawet jeśli w zachowaniu Mike'a był element zaskoczenia, nie było to wielkie zaskoczenie. Richard widział, że Mike nadchodzi, i miał czas zejść mu z drogi, ale nie dość, że się nie bił, to w ogóle się nie poruszył. Skoro Richard wiedział, jak zachowa się ona, czy nie domyślał się również, jak postąpi Mike? Czy nie miał przynajmniej cienia podejrzeń? Dlaczego więc się tym nie przejął?

I dlaczego wyglądało to tak, jak gdyby zaplanował przebieg wydarzeń?

* * *

- Jest pan pewien, że nie kręci się panu w głowie? To paskudny cios - powiedział Kulawy Joe.

Stali z Richardem na progu „Clipper”. Richard pokręcił głową.

- Chcę tylko iść do domu.

- Chętnie wezwę dla pana karetkę pogotowia - zaproponował Joe. Dla Richarda zabrzmiało to tak, jak gdyby w rzeczywistości mówił: „Proszę, nie wnoś oskarżenia

przeciwko mnie”.

- Nie trzeba - odparł Richard, zmęczony starszym panem. Wyszedł na dwór, w ciemność. Przesunąwszy spojrzeniem po parkingu, zauważył, że policja już odjechała. Wszędzie panował spokój. Ruszył powoli w stronę swojego samochodu.

Gdy się zbliżył, spostrzegł, że ktoś się o niego opiera.

- Cześć, Richardzie - usłyszał kobiecy głos.

- Cześć, Andrea - odparł po chwili wahania. Andrea zadarła lekko brodę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Lepiej się czujesz?

Richard wzruszył w odpowiedzi ramionami. Po chwili Andrea odchrząknęła.

- Wiem, że to może zabrzmieć dziwnie, biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło dzisiaj wieczoru, ale czy mógłbyś podrzucić mnie do domu?

Richard rozejrzał się. W dalszym ciągu nie zauważył nikogo.

- A gdzie się podział twój partner? Andrea kiwnęła głową w kierunku „Clipper”.

- Jest ciągle tam. Powiedziałam mu, że idę do toalety. Richard uniósł brwi, nie mówiąc nic.

Andrea podeszła do niego. Gdy była już blisko, uniosła rękę i dotknęła lekko siniaka na jego policzku, nadal patrząc mu w oczy.

- Proszę - wyszeptała.

- A gdybyśmy tak zamiast tego pojechali gdzie indziej? Przechyliła głowę, jak gdyby zastanawiała się, co ma na myśli.

Richard uśmiechnął się.

- Zaufaj mi.

* * *

W kuchni Julie bulgotał ekspres do kawy. Mike tymczasem usiadł przy stole.

- O czym myślisz? - spytał.

O tym, że wszystko, co zdarzyło się dzisiaj wieczorem, wydaje się niefortunne, stwierdziła w duchu. Wiedząc jednak, że Mike uczyni wszystko, co w jego mocy, żeby przekonać ją, iż błędnie interpretuje fakty, odpowiedziała wymijająco:

- Jeszcze raz odtwarzam w pamięci całą sytuację. Nie mogę przestać o tym myśleć, wiesz?

- Tak, ja również.

Rozległ się brzęczyk ekspresu do kawy i Mike wstał od stołu, żeby nalać dwie

filiżanki. Śpiewak nastawił uszy i Julie przyglądała się, jak biegnie przez salon. Wychodząc w pośpiechu z domu, Julie nie zaciągnęła zasłon i teraz widziała, że ulicą jedzie samochód. O tej porze był mały ruch, popatrzyła więc przez okno, żeby sprawdzić, czy to któryś z jej sąsiadów wraca do domu po wieczorze spędzonym w mieście.

Śpiewak podszedł do okna, gdy światła się zbliżyły. Julie zauważyła, że kiedy samochód przemknął obok ich domu, niebo nie pociemniało z powrotem, tak jak należało się spodziewać, lecz dwa snopy światła, padające z przednich reflektorów zatrzymały się. Ómy oraz inne owady, przyciągane do światła, wywoływały wrażenie, jak gdyby jego promienie składały się z wirujących palców. Śpiewak zaszczekał i zaczął warczeć. Blask reflektorów nie gasł.

Julie zorientowała się, że silnik samochodu pracuje na jałowym biegu, i wyprostowała się gwałtownie na krześle. Nagle silnik zawył głośniejsze i światła zgasły. Trzasnęły drzwi samochodu.

Jest tutaj, pomyślała Julie. Richard przyjechał pod dom.

Mike spojrzał w stronę okna.

Śpiewak zaczął warczeć głośniejsze, sierść zjeżyła mu się na karku. Mike poklepał uspokajająco Julie po ramieniu i uczynił niezdecydowany krok w kierunku drzwi. Śpiewak warczał i szczekał bez chwili przerwy, gdy Mike zbliżał się do drzwi.

Teraz pies kompletnie oszalał. Nagle stało się coś nieoczekiwanego. Dźwięk był zarazem normalny i niepokojący. Mike zatrzymał się, jak gdyby nie był pewien, czy naprawdę usłyszał to, co wydaje mu się, że usłyszał.

Po chwili dźwięk się powtórzył i oboje zdali sobie sprawę, że ktoś puka do drzwi. Mike odwrócił się do Julie, jak gdyby zadając jej nieme pytanie: „I co?”.

Wyjrzał przez okno i Julie spostrzegła, jak rozluźniają się napięte mięśnie jego ramion. Gdy znowu na nią spojrzał, na jego twarzy malowała się ulga. Poklepał Śpiewaka po grzbiecie, mówiąc: „Cśś, wszystko w porządku”, i pies przestał warczeć. Nie odstępował jednak Mike'a, który ujął klamkę, otwierając drzwi.

Julie zobaczyła dwoje policjantów, stojących na werandzie.

* * *

Jennifer Romanello pracowała w miejscowej policji od niedawna, była nowa nie tylko w pracy, lecz w mieście, i nie mogła doczekać się chwili, kiedy dostanie swój własny wóz patrolowy, choćby tylko po to, żeby uciec od partnera, z którym pracowała. Po odbyciu szkolenia policyjnego w Jacksonville przeniosła się do Swansboro niecały miesiąc temu.

Jeździła radiowozem z Pete'em Gandym od dwóch tygodni i zostały jej jeszcze cztery - wszyscy nowicjusze muszą pracować z doświadczonym detektywem przez sześć tygodni w ramach uzupełnienia szkolenia - i stwierdziła, że go udusi, jeśli jeszcze raz wspomni o „ostrogach”.

Pete Gandy przekręcił kluczyk w stacyjce, wyłączając silnik, i rzucił jej spojrzenie.

- Zajmę się tym - powiedział. - Ty jeszcze ciągle się uczysz i dopiero zdobywasz ostrogi.

Naprawdę go zabiję, pomyślała.

- Czy mam zaczekać w samochodzie?

Miał to być żart, Pete jednak nie załapał i Jennifer spostrzegła, jak napina mięśnie. Traktował swoje bicepsy bardzo poważnie. Lubił też przeglądać się we wstecznym lusterku, zanim przystąpi do działania.

- Nie. Chodź ze mną. Po prostu nie wtrącaj się do rozmowy. I miej oczy otwarte, dziecińco.

Powiedział to takim tonem, jak gdyby był jej ojcem. W rzeczywistości pracował w policji dopiero od dwóch lat i mimo że Swansboro nie jest gniazdem zauważalnej działalności przestępczej, Pete wysnuł teorię, że mafia przeniknęła do miasteczka, i niech go diabli, jeśli to nie on sobie z tym poradzi. Jego niezmiennie najbardziej ulubionym filmem jest „Serpico”. Z jego powodu wstąpił do policji.

Jennifer zamknęła oczy. Dlaczego spośród wszystkich idiotów musiałam trafić na tego faceta?

- Jak sobie życzysz.

* * *

- Mike Harris?

Pete Gandy przybrał pozę „Wiem, że mundur działa onieśmielająco” i Jennifer z trudem opanowała chęć, by palnąć go w głowę. Wiedziała, że Pete zna Mike'a od lat. Nie musiał nawet szukać adresu Julie. Ją znał również - strzygł nawet kiedyś u niej włosy - chociaż ostatnio wołał, żeby robiła to Andrea. Życie w małym miasteczku, pomyślała. Dla dziewczyny, która dorastała w Bronksie, był to całkiem nowy świat i ciągle jeszcze się do niego przyzwyczajała.

- O, witajcie - odpowiedział Mike. - Czym mogę służyć?

- Możemy wejść? Musimy porozmawiać.

- Jasne - rzekł Mike.

Oboje stali niepewnie w progu i oczy Mike'a powędrowały w dół, ku Śpiewakowi.

- Nie przejmujcie się nim. Nic wam nie zrobi.

Policjanci weszli do salonu i Mike machnął ręką w stronę kuchni, mówiąc:

- Może napijecie się kawy? Właśnie zaparzyłem.

- Nie, dziękujemy. Nie wolno nam pić na służbie. Jennifer podniosła oczy go góry, myśląc: To dotyczy wyłącznie alkoholu, ty dupku.

Tymczasem Julie wyszła z kuchni i stanęła w pewnej odległości od nich, ze skrzyżowanymi ramionami. Śpiewak przydreptał do niej i usiadł.

- O co chodzi, Pete? - spytała Julie.

Detektyw Pete Gandy nie lubił, żeby mówiono mu po imieniu, gdy miał na sobie mundur, i przez chwilę nie bardzo wiedział, jak zareagować na tę poufałość. Odchrząknął.

- Czy byłeś dziś wieczorem w „Sailing Clipper”, Mike?

- Tak. Grałem z Ocracoke Inlet.

Pete spojrzał na Jennifer, jak gdyby demonstrując jej, jak należy postępować. Oooh, wielkie mi mecyje, pomyślała. Ten fakt potwierdziło już z milion osób.

- I wdałeś się w awanturę z panem Richardem Franklinem? Zanim Mike zdążył odpowiedzieć, Julie podeszła bliżej.

- Co się tu dzieje? - spytała.

Pete Gandy żył dla tej chwili. Obok sięgania po broń, była to zdecydowanie najlepsza strona jego pracy, nawet jeśli dotyczyło to kogoś, kogo znał. Służba to służba, i gdyby lekceważył drobne wykroczenia, Swansboro stałoby się w krótkim czasie przestępczą stolicą świata. Tylko w ostatnim miesiącu wlepił kilkanaście mandatów za nieprawidłowe przechodzenie przez ulicę i kilkanaście za śmiecenie.

- Cóż, przykro mi bardzo, że muszę to zrobić, ale mam kilku świadków, którzy twierdzą, że niesprovokowany zaatakowałeś pana Franklina. To czynna napaść i pogwałcenie prawa.

Po dwóch minutach Mike został odprowadzony do radiowozu.

ROZDZIAŁ 28

- Zabrali go do aresztu? - spytała z niedowierzaniem Mabel.

Był poniedziałek rano. Ponieważ Mabel odwiedziła brata w Atlancie, o niczym nie wiedziała. Przez ostatnie dziesięć minut Julie zdawała jej sprawozdanie ze wszystkiego, co się wydarzyło. Andrea, która znęcała się właśnie nad włosami klienta, nadstawiła ucha, usiłując podsłuchać ich rozmowę. Nie uśmiechnęła się od momentu, gdy Julie zaczęła opowiadać, i im więcej udało jej się usłyszeć, tym większą miała ochotę powiedzieć koleżance, że naprawdę nie ma pojęcia, o co jej chodzi.

Richard nie jest niebezpieczny! To Mike go zaatakował! Poza tym Richard nie interesuje się już Julie. Jest pewna, że w końcu doznał olśnienia. A jaki był romantyczny! Zabral ją na plażę i rozmawiali przez wiele godzin! Nawet nie próbował się do niej dobierać! Żaden facet nie potraktował jej nigdy z takim szacunkiem. I był taki rozbrajający! Poprosił ją, żeby nie mówiła nic Julie, nie chciał bowiem zranić jej uczuć. Czy tak zachowuje się prześladowca? Oczywiście, że nie! Mimo że odmówił, gdy zaproponowała, by zaszedł do niej, kiedy wreszcie odwiózł ją do domu, promieniała od chwili, gdy obudziła się wczoraj rano.

Julie wzruszyła ramionami. Twarz miała bladą i ściągniętą, jak gdyby niewiele spała.

- Pete Gandy przesłuchiwał go przez godzinę i Mike siedział w areszcie, dopóki Henry nie wpłacił za niego kaucji.

Mabel była wyraźnie zaskoczona.

- Pete Gandy? Co on sobie myśli? Nie słuchał wyjaśnień Mike'a?

- Tego bym nie powiedziała. Przez cały czas próbował złożyć to na karb sprzeczki spowodowanej zazdrością. Chciał poznać prawdziwy powód, dla którego Mike rzucił się na Richarda.

- Czy powiedziałaś mu, co się dzieje?

- Usiłowałam, on jednak uważał, że to nie ma znaczenia. Nie przy czynnej napaści.

Mabel rzuciła torebkę na stolik, na którym leżała sterta czasopism.

- Jest durniem. Kompletnie nie rozumiem, jakim cudem udało mu się dostać do policji.

- Może masz rację, ale to nie pomoże Mike'owi. Jeśli już o to chodzi, mnie również.

- I co będzie dalej? Mike zostanie oskarżony?

- Nie mam pojęcia. Dowiemy się chyba dzisiaj. Jest później umówiony ze Steve'em Sidesem.

Steven Sides był miejscowym adwokatem. Mabel znała jego rodzinę od lat.

- To rozsądny wybór. Poznałeś go?

- Jeszcze nie, ale Henry go zna. Przy odrobinie szczęścia uda mu się zawrzeć ugodę z prokuratorem.

- A co ty zamierzasz? Mam na myśli Richarda.

- Zmieniam dzisiaj numer telefonu.

- I to wszystko?

- Nie wiem, co więcej mogłabym zrobić. Pete mnie nie posłucha, gada tylko w kółko, że gdyby się to powtarzało, powinnam złożyć doniesienie.

- Dzwonił w niedzielę?

- Nie. Dzięki Bogu.

- I nie widziałas go?

- Nie.

Po drugiej stronie salonu Andrea skrzywiła się. To dlatego, że ciągle myśli o mnie, pomyślała. A teraz przestańcie wycierać sobie nim gębę.

- Czyli przypuszczasz, że wszystko ukartował?

- Wydaje mi się, że ukartował wszystko, łącznie z sobotnim wieczorem.

Mabel popatrzyła jej w oczy.

- To nie zabawa, kochanie - powiedziała.

- Wiem - odparła Julie po dłuższej chwili.

* * *

- No więc, jaki był podczas przesłuchania? - spytał Henry. Siedzieli w kantorku Henry'ego, za zamkniętymi drzwiami.

Mike parsknął z obrzydzeniem.

- Trudno to określić.

- Co masz na myśli?

- Wyrobił sobie chyba zdanie na temat tego, co zaszło, i nic, co powiedziałem, nie było w stanie zmienić jego nastawienia.

- Nie przejął się głuchymi telefonami ani tym, że Richard podglądał was wcześniej?

- Nie. Powiedział, że Julie robi z igły widły. Ludzie chodzą na zakupy, strzygą się. Nic takiego.

- A co mówiła policjantka?

- Skąd mam wiedzieć? Pete nie pozwolił jej się odezwać. Henry podniósł kubek i upił łyk kawy.

- No cóż, tym razem narozrabiałeś, braciszku - powiedział. - Bynajmniej cię nie winię. Zachowałbym się dokładnie tak samo, gdybym tam był.

- Jak myślisz, czym się to skończy?

- Cóż, nie sądzę, żebyś trafił do więzienia, jeśli o to pytasz.

- Nie o tym mówię.

Henry przyjrzał mu się badawczo.

- Chodzi ci o Richarda? Mike skinął twierdząco głową.

Henry odstawił kubek z kawą na biurko. - Bardzo chciałbym móc ci powiedzieć, braciszku - odparł.

* * *

Jennifer miała po dziurki w nosie Pete'a, chociaż dzisiejszego ranka pracowali razem zaledwie od godziny. Przyszła wcześniej, żeby dokończyć niedzielne raporty, do których Gandy się nie zabrał, ponieważ stwierdził: „Jestem zbyt zajęty, starając się chronić ulice, by dać się przywiązać do biurka na cały dyżur. Poza tym pomagam ci zdobyć ostrogi”.

Podczas dwóch tygodni wspólnej pracy nie nauczyła się niczego poza tym, że Pete chętnie zwała na nią całą robotę, żeby mieć więcej czasu na ćwiczenia z ciężarkami przed lustrem. Stwierdziła, że ten facet jest kompletnym debilem, jeśli idzie o przesłuchiwanie ludzi.

Przedwczorajszy wieczór był tego dobitnym przykładem.

Nie musiała być laureatką Nagrody Nobla, żeby zorientować się, że Mike i Julie są przestraszeni, i to wcale nie dlatego, iż zabrano ich na przesłuchanie w środku nocy. Nie, oni bali się Richarda i jeśli to, co mówili, jest prawdą, Jennifer uważała, że mają do tego pełne prawo. Pete Gandy może sobie mieć instynkt drewnianego słupa, ona natomiast ma cholernie wyostrzony, mimo że dopiero niedawno zakończyła szkolenie. Przecież dorastała, słuchając o takich historiach.

Jennifer pochodziła z policyjnej rodziny. Jej ojciec był policjantem, jej dziadek był policjantem, jej bracia również. Wszyscy mieszkali nadal w Nowym Jorku. Można by długo mówić o tym, jak trafiła na wybrzeże, do Karoliny Północnej. College, były chłopak, potrzeba pozostawienia po sobie śladu i pragnienie zobaczenia innej części kraju - wszystko to wpłynęło na jej decyzję. Mniej więcej sześć miesięcy temu nastąpiła pewnego rodzaju kolizja, gdy ni z tego, ni z owego wstąpiła do Akademii Policyjnej. Była zaskoczona, gdy została przyjęta do pierwszej pracy w Swansboro. Jej ojciec, aczkolwiek dumny, że córka „dołączyła do grona porządných facetów”, był jednocześnie przerażony, że robi to akurat w Karolinie

Północnej.

- Oni wszyscy żują tytoń, jedzą kaszkę kukurydzianą i do każdej kobiety mówią „kochanie”. Jak taka miła włoska dziewczyna jak ty ma się tam wpasować?

O dziwo, wpasowała się. Było nawet znacznie lepiej, niż się spodziewała. Podobał jej się zwłaszcza ludzie, którzy byli tak przyjacielscy, że machali nawet nieznanym, prowadząc samochód. Właściwie wszyscy byli fantastyczni, z wyjątkiem Pete'a Gandy'ego. Kątem oka widziała, jak znowu napina bicepsy, a ilekroć wyprzedzał jakiś samochód, kiwał głową do kierowcy, jak gdyby go mitygował: „Zwolnij trochę, kolego”.

- Co sądzisz o historii, którą opowiedział Mike Harris tamtej nocy? - spytała w końcu Jennifer.

Zajęty kiwaniem, Pete dopiero po chwili zorientował się, że Jennifer coś do niego mówi.

- Och, cóż... eee... próbuje się wykręcić - odpowiedział. - Spotykałem się z tym setki razy. Każdy, kto jest oskarżony, zwała winę na tę drugą osobę. Żaden przestępca nigdy nie jest winny, a jeśli już udowodni mu się, że jest, ma w zanadrzu bardzo sensowne wytłumaczenie. Gdy zdobędziesz ostrogi, przywykniesz do tego bardzo szybko.

- Czy nie mówiłeś, że go znasz i że zawsze wydawał się zrównoważonym facetem?

- Nieważne. Prawo jest prawem takim samym dla każdego. Jennifer wiedziała, że Pete stara się, by odbierano go jako mądrego, światowego, a przede wszystkim sprawiedliwego człowieka, ale nie zauważyła, żeby którykolwiek z tych przymiotników do niego pasował. Mądry i światowy? Ten facet uważał zawodowe przepychanki za prawdziwy sport, a słowa „sprawiedliwość” nie było chyba nawet w jego słownictwie. Na miłość boską, kiedyś przecież ukarał mandatem za nieprawidłowe przechodzenie przez jezdnię kobietę z balkonikiem, a tamtej nocy, kiedy otworzyła usta, żeby zadać pytanie Mike'owi Harrisowi, Pete zbył ją, komentując: „Ta mała dopiero zdobywa ostrogi w przesłuchiowaniu. Nie przejmuj się nią”.

Gdyby znajdowali się poza komisariatem, pokazałaby mu, gdzie jest jego miejsce. Omal tego nie zrobiła. Mała? Obiecała sobie, że gdy tylko zakończy się staż, Pete Gandy zapłaci jej za to. W taki czy inny sposób, ale zapłaci.

Ponieważ jednak na razie wciąż jeszcze odbywała staż, jakie miała wyjście? Mogła tylko kipieć ze złości. Zresztą nie to było ważne. Ważna jest sprawa Mike'a Harrisa i Richarda Franklina. No i, oczywiście, Julie Barenson. Po zejściu ze służby nie mogła spać z powodu tego, co usłyszała od Mike'a i Julie, jak również z powodu zachowania Richarda. Gdy z nim rozmawiali, był zbyt gładki, żeby nie budziło to podejrzeń.

Czuła, że Richard nie jest bynajmniej niewinną ofiarą. Ani Julie, ani Mike nie

wyglądali na kłamców.

- Nie sądzisz, że należałoby przynajmniej przyjrzeć się lepiej tej sprawie? A jeśli oni mówią prawdę?

Pete westchnął, jak gdyby ten temat śmiertelnie go nudził.

- W takim razie powinni byli przyjść na komisariat i złożyć doniesienie. Nie zrobili tego. Przyznali, że nie mają dowodów. Barenson nie wiedziała nawet z całą pewnością, że to Franklin dzwonił. O czym to świadczy?

- Ale...

- Świadczy o tym, że prawdopodobnie wyssali całą tę historię z palca. Posłuchaj, aresztowaliśmy go słusznie i zgodnie z prawem.

Jennifer nie dała za wygraną.

- A co z nią? Z Julie Barenson? Wyglądała na przerażoną, nie sądzisz?

- Jasne, że była przerażona. Jej kochaś został zamknięty. Ty też z pewnością byłąbyś przerażona. Każdy byłby.

- W Nowym Jorku policja... Pete Gandy podniósł dłoń.

- Nie mam ochoty słuchać więcej żadnych nowojorskich historii, dobrze? Tutaj sytuacja jest zupełnie inna niż w Nowym Jorku, tu krew szybciej krąży w żyłach. Gdy zdobędziesz już ostrogi, zrozumiesz, że niemal każda utarczka ma coś wspólnego ze sporem rodzinnym lub pewnego rodzaju wendetą, a wymiar sprawiedliwości nie bardzo lubi mieszać się w takie sprawy, chyba że zostanie przekroczona pewna granica. Poza tym, zanim przyszedł, rozmawiałem z komendantem, który poinformował mnie, że dzwonił do niego adwokat i próbują coś wspólnie wymyślić, uważam więc, że sprawa jest właściwie zakończona. Przynajmniej jeśli idzie o nas. Chyba że trafi do sądu. Jennifer spojrzała na niego.

- O czym ty mówisz?

- Tylko tyle mi powiedział - odparł, wzruszając ramionami.

Kolejna rzecz, której nie znosiła u Gandy'ego; nie dzielił się z nią informacjami na temat spraw, nad którymi pracowali. Pete Gandy lubił mieć kontrolę nad sytuacją, dawał jej w ten sposób aluzjnie do zrozumienia, że to on jest tutaj szefem.

Gdy Jennifer pominęła milczeniem jego odpowiedź, Pete znowu zaczął kiwać głową.

Jennifer zacisnęła zęby. Imbecyl.

Wróciła myślami do Mike'a i Julie, zastanawiając się, czy nie powinna porozmawiać z nimi jeszcze raz, najlepiej wtedy, kiedy Pete'a nie będzie w pobliżu.

* * *

Henry stał w kantorku obok Mike'a, podsłuchując jego rozmowę telefoniczną z prawnikiem.

- Chyba pan żartuje! - wykrzyknął jego brat, po czym natychmiast nastąpiły: - Nie mówi pan serio! - i - Nie wierzę!

Mike przemierzał kantorek, tupiąc ze złością i robiąc przy każdym kroku pełną niedowierzania minę. Powtarzał w kółko te słowa, aż wreszcie zacisnął usta, zaczął odpowiadać monosylabami, a w końcu odłożył słuchawkę.

Nie poruszył się i nie odezwał do Henry'ego. Wpatrywał się w telefon, marszcząc nos jak rozzłoszczony pies.

- O co chodzi? - spytał Henry.

Miał wrażenie, że jego pytanie zostało przepuszczone przez gęsty filtr, przetłumaczone z angielskiego na inny język, a następnie w odwrotną stronę. Mike zrobił minę mającą znaczyć: „Jest coraz gorzej”.

- Mówi, że przed chwilą rozmawiał z adwokatem Richarda Franklina - odparł.

- I? Mike unikał spojrzenia Henry'ego. Patrzył w kierunku drzwi, choć nie mógł skoncentrować na nich wzroku.

- Powiedział, że zamierzają wystąpić o czasowy zakaz zbliżania się do Richarda Franklina, póki sprawa się nie wyjaśni. Twierdzi, że Richard uważa, iż stanowią dla niego zagrożenie.

- Ty?

- Mówi też, że wytoczą przeciwko mnie proces z powództwa cywilnego.

- Żartujesz!

- To właśnie powiedziałem. Adwokat utrzymuje, że Richard nadal cierpi na zawroty głowy od tamtej nocy. Ponoć sądził w sobotę, że nic mu nie jest, i udało mu się jakoś wrócić do domu. Ale w niedzielę rano miał zaburzenia wzroku i tak kręciło mu się w głowie, że musiał wezwać taksówkę, żeby pojechać do szpitala. Jego adwokat twierdzi, że spowodowałem u niego wstrząs mózgu.

Henry drgnął ze zdumienia.

- Powiedziałeś mi, że Richard kłamie? Nie, żebym nie doceniał twojego ciosu, ale daj spokój, wstrząs mózgu?

Mike wzruszył ramionami, usiłując przetrwać wszystko i zastanawiając się, jakim sposobem sytuacja mogła do tego stopnia wymknąć się spod kontroli. Dwa dni temu chciał

tylko, żeby Richard odczepił się od Julie. Trzy dni temu w ogóle nie myślał o tym facecie. A teraz uważano go za przestępcę, ponieważ zrobił to, co powinien był zrobić.

Pomyślał, że detektyw Pete Gandy zostaje definitywnie skreślony z listy osób zaproszonych na gwiazdkowe przyjęcie. Nie wydawał nigdy takiego przyjęcia, gdyby jednak kiedykolwiek je wydał, Pete Gandy nie byłby zaproszony. Gdyby ich wysłuchał, gdyby choć spróbował zrozumieć sposób myślenia Mike'a, wypadki inaczej by się potoczyły.

- Muszę porozmawiać z Julie - powiedział, kierując się do drzwi i zamykając je za sobą z hukiem.

* * *

Gdy wszedł do salonu, Julie wystarczył jeden rzut oka, by dostrzec, że jest ogromnie zdenerwowany. Nigdy nie widziała go w takim stanie.

- To po prostu śmieszne! - wybuchnął. - Policja jest do kitu, skoro nie potrafi nic zrobić w tej sprawie! To nie ja jestem cholernym problemem, lecz on.

- Wiem - powiedziała Julie.

- Czy oni nie rozumieją, że nie wymyśliłbym historii, którą usiłowałem im opowiedzieć? Że nie tknąłbym go palcem, gdyby na to nie zasłużył? Po cholere mam przestrzegać prawa, skoro nie wierzą w ani jedno moje słowo? Teraz to ja muszę się bronić. To ja wyszedłem z aresztu za kaucją. To ja muszę wziąć sobie adwokata. Jak to świadczy o systemie sądownictwa karnego? Ten facet może robić, co chce, a mnie nie wolno niczego.

Julie nie odpowiedziała od razu, Mike nie czekał też chyba na odpowiedź. Wreszcie wzięła go za rękę i przyciągnęła ku sobie.

- Masz rację, to jest kompletnie bez sensu - przyznała. - Bardzo mi przykro.

Chociaż bliskość Julie trochę go uspokoiła, Mike unikał patrzenia jej w oczy.

- Mnie również - powiedział.

- Dlaczego?

- Bo schrzaniłem sprawę z policją. Dlatego naprawdę się martwię. Ja sobie poradzę, cokolwiek się wydarzy, ale co z tobą? Przeze mnie policja nie wierzy w twoją historię. Co będzie, jeśli w przyszłości też nie uwierzą tobie albo mnie?

Julie nie miała ochoty więcej o tym myśleć. Dość, że zastanawiała się nad tym przez cały ranek. Wszystko potoczyło się tak, jak chciał tego Richard. Była pewna bardziej niż kiedykolwiek, że Richard wszystko zaplanował.

- To po prostu niesprawiedliwe.

- Czy adwokat powiedział coś jeszcze? Mike wzruszył ramionami.

- Takie tam zwykłe komunały. Że na razie nie ma powodu do zmartwienia.

- Łatwo mu mówić.

Mike puścił Julie, wzdychając głęboko.

- Tak. - Był wyraźnie zmęczony i przygnębiony. Julie popatrzyła mu w oczy.

- Ale przyjdiesz do mnie wieczorem?

- Jeśli tego chcesz. Nie jesteś na mnie wściekła?

- Nie jestem ani trochę. Będę, jeśli nie przyjdiesz. Naprawdę nie chcę być dzisiaj sama.

* * *

Kancelaria Stevena Sidesa mieściła się nieopodal gmachu sądu. Gdy Mike wszedł do środka, zaprowadzono go do wyłożonego boazerią gabinetu, w którym stał duży prostokątny stół, a półki były wypełnione prawniczymi książkami. Usiadł, kiedy adwokat otworzył drzwi.

Steven Sides był pięćdziesięcioletnim mężczyzną o okrągłej twarzy i czarnych włosach, które zaczynały siwieć na skroniach. Miał na sobie drogi garnitur - jeden z tych z prawdziwego jedwabiu, importowanych z Włoch - który był tak pognieciony, jakby właściciel nie powiesił go na ramiączku. Adwokat miał lekko obrzmiałą twarz i zaczerwieniony koniuszek nosa, co mogło wskazywać, że wypijał za wiele drinków po godzinach pracy, lecz z jego zachowania przebijała pewność siebie, która budziła zaufanie. Sides mówił powoli, starannie dobierając słowa, a każde z nich było obliczone na wywołanie efektu. Pozwolił Mike'owi wygadać się przez kilka minut, po czym ukierunkował jego opowieść, zadając mu serię pytań. W krótkim czasie Mike zrelacjonował całą historię.

Gdy skończył, Steven Sides odłożył długopis na notatnik i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Tak jak już powiedziałem panu przez telefon, nie przejmowałbym się teraz sobotnią bójką. Po pierwsze, nie jestem pewien, czy prokurator okręgowy zamierza wnieść oskarżenie, a to z różnych powodów. - Zaczął je kolejno wyliczać. - Nie był pan nigdy karany, ma pan dobrą pozycję w społeczności. Prokurator zdaje sobie sprawę, że w razie procesu może pan przyprowadzić tabuny świadków, którzy poręczą za pana dobry charakter, i żadna ława przysięgłych nie wyda wyroku skazującego. A kiedy mu powiem, co spowodowało pański wybuch, wniesienie oskarżenia stanie się jeszcze bardziej wątpliwe, nawet jeśli nie ma dowodów na prześladowanie. To również podziałałoby na ławę przysięgłych i on o tym wie.

- A co z procesem cywilnym?

- To inna sprawa, ale nie jest on kwestią najbliższej przyszłości, jeśli w ogóle do niego

dojdzie. Jeśli prokurator okręgowy nie wniesie oskarżenia, będzie miało to zły skutek dla sprawy Franklina. Jeśli wniesie oskarżenie i przegra proces, również nie będzie wyglądało to dobrze. Najprawdopodobniej nie pójda do sądu, chyba że wygra w pierwszej instancji, a jak powiedziałem, nie sądzę, żeby do tego doszło. Myślał pan, że Julie ma kłopoty, i zareagował pan. Niezależnie od okoliczności większość ludzi uzna to za uzasadnioną reakcję. A zakaz zbliżania się jest zwyczajnie na pokaz. Zakładam, że nie będzie pan miał trudności z trzymaniem się z daleka od Richarda Franklina.

- Najmniejszych. Zwłaszcza że nigdy nie miałem ochoty przebywać w towarzystwie tego typka.

- To świetnie. Proszę pozwolić, że załatwię sprawę z oskarżycielem, dobrze? I proszę nie rozmawiać więcej z policją. Proszę odsyłać ich do mnie, a ja już sobie z nimi poradzę.

Mike skinął głową.

- Naprawdę pan uważa, że nie mam się czym przejmować?

- Przynajmniej na razie. Porozmawiam z kilkoma osobami i dam panu znać za parę dni, na czym stoimy. Jeśli już ma się pan czymś niepokoić, to raczej Richardem Franklinem. - Steven Sides pochylił się ku niemu z poważną miną. - Powiem panu coś, ale proszę to zachować wyłącznie dla siebie, dobrze? Robię to, ponieważ sprawia pan wrażenie porządnego faceta, jeśli zdradzi pan, że usłyszał o tym ode mnie, wszystkiemu zaprzeczę.

Mike skinął w milczeniu głową.

Adwokat odczekał chwilę, upewniając się, że Mike słucha go uważnie.

- Jest jedna rzecz, którą powinien pan rozumieć, jeśli idzie o policję. Policjanci sprawdzają się w sytuacjach, gdy zdarza się włamanie lub morderstwo. Po to został stworzony system... żeby schwycić przestępcę po fakcie. Chociaż w rejestrach prawnych znajdują się przepisy dotyczące prześladowania, policja jest nadal niemal bezradna w przypadkach, gdy ktoś obrał sobie pana za cel, a jest dość ostrożny, żeby nie zostawić dowodu, na podstawie którego można by go zamknąć. Jeśli ta osoba jest zdecydowana wyrządzić panu krzywdę i nie obchodzi jej ewentualne konsekwencje, wówczas jest pan zdany głównie na siebie. Będzie pan musiał radzić sobie sam.

- Zatem myśli pan, że Richard może chcieć skrzywdzić Julie?

- To nie jest właściwe pytanie. Pytanie brzmi, czy pan tak uważa? Jeśli tak, będzie pan musiał przygotować się, by stawić temu czoło w pojedynkę. Kiedy sprawy przyjmą gorszy obrót, nikt nie zdoła panu pomóc.

* * *

Rozmowa z adwokatem wytrąciła Mike'a z równowagi. Sides był bez wątpienia bystrym facetem i mimo że Mike widział w jaśniejszych barwach swoje szanse w świetle prawa, to ostrzeżenie prawnika zmąciło uczucie ulgi.

Czy kłopoty z Richardem się skończyły?

Mike przystanął obok furgonetki i pogrążył się w myślach. Wywołał w pamięci twarz Richarda w barze, przypomniał sobie wyzywający uśmiezek i odpowiedź sama mu się nasunęła.

Wiedział, że to nie koniec. Richard dopiero zaczął.

Wsiadając do furgonetki, usłyszał znowu głos Sidesa.

„Nikt nie zdoła panu pomóc”.

* * *

Mike i Julie starali się, jak mogli, spędzić zwyczajnie wieczór. W drodze do domu kupili pizzę, potem obejrżeli film, ale żadne z nich nie kryło, że ilekroć ulicą przejeżdżał samochód, oboje sztywnieli, dopóki nie minął domu Julie. Zaciągnęli zasłony i nie wypuszczali Śpiewaka na zewnątrz. Nawet psu udzieliło się ich zdenerwowanie. Przemierzając cały dom, jak na patrolu, nie czekał i nie warczał. Gdy zamknął oczy, zapadając w drzemkę, strzygł jednym uchem.

Jedyną niezwykłą rzeczą tego wieczoru była cisza. Julie zmieniła i zastrzegła numer, więc telefon milczał. Postanowiła podać numer tylko niewielu wybranym osobom. Upредиła Mabel, żeby nie udostępniała go klientkom. Pomyślała, że jeśli Richardowi nie uda się dodzwonić, może wreszcie zrozumie.

Julie poruszyła się niespokojnie na kanapie. Może...

Po kolacji spytała Mike'a o spotkanie z Sidesem. Powtórzył jej to, co usłyszał - a mianowicie, że adwokat nie sądzi, by Mike miał się o co martwić. Jednakże Julie domyśliła się z zachowania Mike'a, że Sides musiał powiedzieć mu znacznie więcej.

* * *

Po drugiej stronie miasteczka Richard, z twarzą oświetloną blaskiem czerwonej żarówki, stał w ciemni nad tacą z odczynnikami chemicznymi, przyglądając się, jak powoli materializuje się obraz na papierze fotograficznym. Ten proces wciąż był dla niego pewnym misterium - duchy i cienie ciemniały, stawały się realne. Stawały się Julie.

Jej oczy rzucały błyski z płaskiego pojemnika, migotały wszędzie dookoła niego.

Zawsze wracał do fotografii, jedynej stałej rzeczy w jego życiu. Wpatrując się w piękno odbitego światła oraz cienie, odnajdywał sens i celowość życia, przypominał sobie, że

jest panem własnego przeznaczenia.

Nie minęła mu jeszcze euforia po tamtym wieczorze. Julie bez wątpienia puściła wodze wyobraźni. Prawdopodobnie nawet teraz zastanawia się, gdzie on jest, o czym myśli, jaki będzie jego następny krok. Jak gdyby był jakimś potworem, straszylłem z dziecinnych koszmarów sennych. Chciało mu się śmiać. Jak coś tak okropnego może wprawiać go w taki dobry humor?

I Mike, który natarł na niego w barze niczym kawalerzysty. To było takie łatwe do przewidzenia. Wtedy też o mało się nie roześmiał. On nie stanowi dla niego żadnego wyzwania. Ale Julie...

Taka uczuciowa. Taka odważna.

Taka pełna życia.

Przyglądając się leżącej przed nim fotografii, jeszcze raz zwrócił uwagę na podobieństwo Julie i Jessiki. Te same oczy. Te same włosy. To samo wrażenie niewinności. Od chwili gdy wszedł do salonu, myślał, że mogłyby być siostrami.

Richard pokręcił głową, czując, jak odżywają mu w pamięci wspomnienia o Jessice.

Na miodowy miesiąc wynajęli dom na Bermudach, nieopodal rojnych kurortów. Spokojny i romantyczny, miał wiatraki pod sufitem, białe wiklinowe meble i werandę z widokiem na ocean. Była tam prywatna plaża, gdzie mogli spędzać długie godziny na słońcu, sami, tylko we dwoje.

Och, jakże na to czekał! Podczas pierwszych dwóch dni zrobił jej kilkadziesiąt zdjęć.

Uwielbiał jej skórę. Była delikatna, bez zmarszczek, lśniąca od własnej naturalnej powłoki tłuszczu. Trzeciego dnia Jessica była już opalona na brąz i wyglądała olśniewająco w białej bawełnianej sukni. Tamtej nocy pragnął tylko wziąć ją w ramiona, powoli zdjęć z niej suknię i kochać się z nią pod gołym niebem.

Ale ona chciała wybrać się na tańce. Do kurortu.

„Nie, zostanmy” - powiedział. „To nasz miesiąc miodowy”.

„Proszę - nalegała - mam taką ochotę. Zrobisz to dla mnie?”.

Uległ jej i pojechali. Było bardzo głośno, a tłum był wstawiony. Jessica również była głośna i nie przestawała pić. Zaczęła bełkotać niezrozumiale, a później zataczała się, idąc do toalety. Wpadła na młodego mężczyznę, omal nie wychlapując mu drinka. Mężczyzna dotknął jej ramienia i roześmiał się. Jessica śmiała się razem z nim.

Patrząc na nich, Richard kipiał z wściekłości. Był zażenowany. Rozgniewany. Wybacz jej, pomyślał. Jest młoda i niedojrzała. Wybacz jej, ponieważ jest jej mężem i ją kocha. Ale będzie musiała obiecać, że nigdy już tego nie zrobi.

Jednakże tego samego wieczoru, gdy wrócili do domu, próbował przemówić jej do rozsądku, a ona nie słuchała.

„Po prostu się bawiłam” - powiedziała. „Mógłbyś też spróbować się bawić”.

„Jak mogłem się bawić, skoro moja żona flirtuje z nieznajomymi?”.

„Wcale nie flirtowałam”.

„Widziałem”.

„Przestań zachowywać się jak wariat”.

„Co ty do mnie powiedziałaś? Coś ty powiedziała?”.

„Au... puść mnie... to boli...”.

„Coś ty powiedziała?”.

„Au... proszę... AU!”.

„COŚ TY POWIEDZIAŁA?”.

W końcu rozczarowała mnie, pomyślał Richard. Julie też mnie rozczarowała. Supermarket, salon, sposób, w jaki rzuciła słuchawkę. Zaczynał już tracić wiarę, ale zrehabilitowała się w barze. Nie potrafiła mnie zignorować, nie potrafiła po prostu odejść. Nie, musiała ze mną porozmawiać i chociaż jej słowa były jadowite, wiedział, co Julie naprawdę czuje. Tak, zależy jej na nim, czyż bowiem gniew i miłość nie są dwiema stronami tej samej monety? Wielki gniew nie jest możliwy bez wielkiej miłości... a ona była taka wściekła.

Ta myśl zdecydowanie wpłynęła na poprawę jego nastroju.

Richard wyszedł z ciemni i skierował się do sypialni. Na łóżku, pośród sterty aparatów i obiektywów, leżał telefon komórkowy. Wiedział, że nie może dzwonić ze stacjonarnego, ponieważ łatwo byłoby wówczas ustalić numer, musiał jednak posłuchać dzisiaj jej głosu, nawet z automatycznej sekretarki. Głos Julie sprawi, że zobaczy znowu ich oboje w teatrze, łączy w jej oczach, usłyszy jej przyspieszony oddech, gdy Upiór podejmował decyzję, czy pozwolić odejść ukochanej, czy też oboje powinni umrzeć.

Wybrał jej numer, a następnie zaniknął oczy, czekając niecierpliwie na połączenie. Jednakże zamiast znajomego głosu Julie usłyszał informację operatora telefonicznego. Przerwał połączenie i jeszcze raz wybrał numer, tym razem bardzo uważnie, ale efekt był taki sam.

Patrzył z niedowierzaniem na telefon. Och, Julie... Dlaczego? Dlaczego?

ROZDZIAŁ 29

Po zamieszaniu w ubiegłym miesiącu kolejny tydzień życia Julie był zaskakująco spokojny. Nie spotkała nigdzie Richarda w ciągu tygodnia ani podczas weekendu. W poniedziałek również nic się nie działo i Julie trzymała kciuki, żeby i dzisiaj nie było inaczej.

Zanosiło się na to. Sprawa z telefonem była dowodem na to, że zastrzeżenie numeru jest skutecznym sposobem położenia kresu niepożądanym rozmowom. Chociaż Julie odczuwała wielką ulgę, że nie musi się już tym martwić, zaczęła myśleć, iż równie dobrze mogłaby wystawić aparat na podwórko za domem. Było oczywiste, że przez resztę życia nikt nigdy nie zadzwoni do niej tylko po to, żeby zwyczajnie popaplać.

Jej numer znały wyłącznie cztery osoby - Mabel, Mike, Henry i Emma - a ponieważ spędzała całe dni z Mabel i całe noce z Mikiem, oboje nie mieli powodu, żeby do niej telefonować. Henry nie zadzwonił ani razu w ciągu wszystkich lat znajomości, pozostawała więc jedynie Emma. Gdy jednak dowiedziała się, jak bardzo telefony szarpią nerwy Julie, najwyraźniej postanowiła dać jej odpocząć. Nie chciała jej niepotrzebnie denerwować.

W porządku, przyznała, z początku nie było to takie złe. To miłe uczucie gotować, brać prysznic, przeglądać czasopismo czy przytulać się do Mike'a ze świadomością, że nikt jej nie przeszkodzi, ale po tygodniu zaczęło ją to irytować. Oczywiście, mogła sama zatelefonować, do kogo chciała, i telefonowała, ale to co innego. Ponieważ nikt nie dzwonił, nikt nie mógł zadzwonić, czasami nawiedzało ją uczucie, że przeniosła się do czasów pionierskich.

Zabawne, jak normalny, senny tydzień potrafi zmienić optykę człowieka.

A sprawa polegała na tym, że panował spokój. Prawdziwy spokój. Zwykły spokój. Nie zauważyła nikogo, kto choćby przypominał Richarda, nawet z daleka, a spodziewała się go ujrzeć praktycznie w każdej chwili. Podobnie zachowywali się Mike, Mabel i Henry. Wyglądała przez okna salonu kilkanaście razy dziennie. Prowadząc samochód, czasami skręcała nagle w jakąś ulicę i zatrzymywała się, patrząc we wsteczne lustro, czy nikt za nią nie jedzie. Przeszukiwała wzrokiem parkingi niczym zawodowy detektyw; była zawsze zwrócona twarzą do drzwi, stojąc w kolejce na poczcie lub w supermarkecie. Po powrocie do domu Śpiewak biegł w stronę lasu, po czym wołała go, żeby sprawdził dom. Czekala na zewnątrz, ściskając w dłoni pojemnik z gazem pieprzowym, który kupiła w Wal - marcie, Śpiewak tymczasem przeszukiwał pokoje. Po chwili wracał, merdając ogonem i śliniąc się, szczęśliwy niczym dziecko na przyjęciu urodzinowym.

„Co robisz jeszcze na werandzie?” - zdawał się pytać. „Nie chcesz wejść do środka?”.

Nawet pies zauważył, że zachowuje się jak paranoiczka. Jak mówi stare przysłowie, lepiej dmuchać na zimne.

No i był Mike. Nie spuszczał jej z oka na dłużej niż kilka minut, z wyjątkiem godzin, kiedy pracowała. Chociaż jego stała obecność była czymś wspaniałym, bywały chwile, kiedy trochę ją przytłaczała. Pewne rzeczy wołałaby robić wtedy, gdy nie byłoby go w pobliżu.

Jeśli idzie o kwestie prawne, to było różnie. Jennifer Romanello wpadła tydzień temu, żeby porozmawiać i z Julie, i z Mikiem. Uwierzyła w ich opowieść i powiedziała, żeby nie mieli żadnych obiekcji i dzwonili, gdyby zdarzyło się cokolwiek odbiegającego od normy. Julie poczuła się dzięki temu lepiej, Mike również, jak dotąd jednak nie mieli powodu, by podnosić alarm. Prokurator okręgowy zrezygnował z wniesienia oskarżenia i chociaż nie wykluczał możliwości, że nastąpi to w późniejszym czasie, Mike miał na razie święty spokój. Prokurator powiedział, że podejmuje taką decyzję nie dlatego, żeby usprawiedliwiać czyn Mike'a, ale dlatego, że Richard nie zjawił się, żeby złożyć oficjalne zeznanie. Nie można było się z nim w żaden sposób skontaktować.

Dziwne, pomyślała Julie, słysząc o tym.

Osiem spokojnych dni bez jakichkolwiek incydentów dodało jej ducha. Nie, nie była na tyle ograniczona, żeby zapomnieć o ewentualnym niebezpieczeństwie - nigdy nie będę jedną z tych maltretowanych kobiet z porannych talk - show, którą wszyscy widzowie uważają za idiotkę, ponieważ nie dostrzegają, co się święci, myślała Julie - ale nastąpiła subtelna zmiana, z której nawet nie zdawała sobie sprawy. Tydzień temu spodziewała się spotkać Richarda. Przewidywała, że może czaić się wszędzie, i była na to przygotowana. To, jak się zachowa, zależało oczywiście od okoliczności, nie zawahałaby się jednak krzyknąć, uciekać czy poszczuć Richarda psem, gdyby musiała. Jestem przygotowana na wszystko, powtarzała sobie, tylko zrób jakiś ruch. Tylko spróbuj mnie niepokoić, a gorzko tego pożałujesz, Richardzie Franklinie.

Jednak tysiące chwil, kiedy wypatrywała go i nasłuchiwała każdego szelestu, a nic kompletnie się nie działo, powoli osłabiały jej determinację. Obecnie, chociaż nadal była bardzo ostrożna, znalazła się w punkcie, kiedy nie spodziewała się go zobaczyć. Gdy więc Mike wspomniał, że Steven Sides zostawił mu wiadomość, prosząc, żeby wpadł do niego na krótkie spotkanie dzisiaj po południu, Julie stwierdziła, że jest zmęczona i zamierza wrócić sama do domu.

- Przyjedź do mnie, kiedy już załatwisz sprawy - powiedziała. - Tylko zadzwoń, gdybyś miał wrócić później, dobrze?

* * *

Śpiewak wyskoczył z dżipa, gdy tylko zaparkowała, i obiegł dookoła podwórze z nosem przy ziemi, oddalając się od niej coraz bardziej. Kiedy go zawołała, podniósł łeb, spoglądając na nią z daleka.

„No, chodź - zdawał się mówić - nie byłeś ze mną na spacerze od wieków”.

Julie wysiadła z samochodu.

- Wykluczone, teraz nie możemy iść - powiedziała. - Może później, kiedy wróci Mike.

Śpiewak nawet nie drgnął.

- Przepraszam, ale naprawdę nie mam ochoty tam iść, rozumiesz?

Nawet z miejsca, w którym stała, widziała, jak strzyże uszami. „No, chodź”.

Julie skrzyżowała ramiona i rozejrzała się dookoła. Nie widziała samochodu Richarda ani po drodze, ani w pobliżu. Jeśli nie zamierzał przejść piechotą kilku kilometrów, nie mógł tu być. Jedyne samochód zaparkowany na jej ulicy miał na karoserii wymalowaną nazwę agencji handlu nieruchomościami, która oferowała na sprzedaż działki, oraz nazwisko Edny Farley, kobiety, która je sprzedawała.

Edna była stałą klientką salonu. Mimo że to Mabel zajmowała się jej włosami, Julie poznała ją przez te lata. Pulchna, w średnim wieku, była sympatyczna w taki sam sposób jak wszyscy pośrednicy handlu nieruchomościami - wesoła i pełna entuzjazmu, chętnie zostawiała w salonie swoje karty wizytowe - ale też nieco postrzelona. W stanie podniecenia, a właściwie był to stan permanentny, nie zauważała rzeczy oczywistych i nigdy nie nadażała za rozmową. Gdy inni dawno już przeczucili się na nowy temat, Edna kontynuowała jeszcze poprzedni. Dla Julie bywało to niekiedy irytujące, ale tolerowała Ednę, ciesząc się, że jest klientką Mabel, a nie jej.

Śpiewak kręcił młynka ogonem. „Prooooooszę?”.

Julie nie miała ochoty iść, ale rzeczywiście od wieków nie wzięła psa na spacer.

Popatrzyła jeszcze raz na ulicę. Nic.

Czy przemaszerowałby piechotą kilka kilometrów, wiedząc, iż ona raczej na pewno nie wybierze się z psem do lasu?

Nie, pomyślała, na pewno nie. Poza tym jest z nią Śpiewak, a Śpiewak to nie chihuahua. Wystarczy tylko, że go zawoła, a pies przybiegnie na pomoc, rzucając się do ataku niczym samurajski wojownik na sterydach.

Mimo to nie miała ochoty na spacer. Bała się teraz lasu. Było tam zbyt wiele miejsc, gdzie można się ukryć. Za dużo punktów, skąd można obserwować i być obserwowanym.

Zbyt wiele okazji dla Richarda. Mógłby schować się za drzewem i poczekać, aż będzie przechodziła, a potem skradać się za nią gałązki trzesczą pod jego ciężarem...

Julie poczuła, że ogarnia ją panika, i wzięła się w karby. Nic się nie stanie, powtarzała sobie. Ma Śpiewaka, poza tym Edna jest gdzieś na okolicznych działkach, zresztą Richard nie zjawiłby się tutaj bez samochodu.

Dlaczego więc nie miałyby wyprowadzić psa na spacer?

Śpiewak zaszcekał, żeby zwrócić jej uwagę. „No i co?”

- Dobrze - zgodziła się wreszcie - ale nie możemy iść na długo. Chyba zbiera się na burzę.

Zanim jeszcze skończyła mówić, Śpiewak odwrócił się i wbiegł do lasu, znikając za kępą drzew.

* * *

Po pięciu minutach Julie uprzytomniła sobie, że przemawia do siebie szeptem.

- Nic się nie stanie - mówiła. - Tutaj jest absolutnie bezpiecznie.

Jest, musi być, pomyślała, ale rozważmy jeszcze raz wszystkie za i przeciw, ponieważ z jakiegoś powodu czuję, że nie postępuję słusznie. Uczyniła to i znowu doszła do logicznej konkluzji, że Richard nie czai się nigdzie. Niestety, nic nie pomogło. Oddech miała coraz bardziej przyśpieszony.

Faktycznie, relaksujący spacer w lesie.

Julie przedzierała się leśną ścieżką, odgarniając zwisające gałęzie. Listowie zgęstniało od czasu, gdy była tu ostatnio, a przynajmniej tak się jej wydawało. Dawniej światło przedzierało się gdzieniegdzie przez korony drzew, teraz jednak słońce było już nisko, a chmury miały barwę ciemnego grafitu i las sprawiał wyjątkowo ponure wrażenie.

To było głupie. Głupie, głupie, głupie. Gdyby gospodarze porannych talk - show mieli jej numer telefonu, pewnie jutro by do niej zadzwonili.

„Dlaczego nie byłaś ostrożniejsza?” - spytałby gospodarz programu.

„Ponieważ - odpowiedziałyby, trąc oczy - jestem kretynką”.

Przestała nasłuchiwać. Nie słyszała niczego poza dalekim skrzeczeniem sroki. Obejrzała się na boki, potem spojrzała w górę i przed siebie na ścieżkę, ale nie zauważyła niczego szczególnego.

- Oczywiście, że tutaj jest bezpiecznie - wyszeptała.

W porządku, dziewczyno, pomyślała, sama się w to wpakowałaś, zachowaj więc spokój. Może nie widzę Śpiewaka, ale z pewnością krąży w pobliżu. Pozwolę mu się trochę

powłóczyć i za kilka minut wracamy do domu. Wszystko będzie znowu normalne. Może będę musiała wypić kieliszek wina, żeby odzyskać równowagę ducha, ale cóż, jestem tylko człowiekiem. A Śpiewak jest taki szczęśliwy...

Usłyszała, że pies szczeka gdzieś dalej i serce zaczęło walić jej w piersi jak oszalałe, pociemniało jej w oczach. Dobrze, pomyślała, zmieniając decyzję, to chyba wyraźny omen...

- Śpiewak, do nogi! - krzyknęła. - Wracaj! Czas do domu!

Czekała, nasłuchując, ale Śpiewak nie przybiegał. Zaszczekał znowu, ale nie było to gniewne szczeknięcie. Raczej jak gdyby witał się z kimś przyjaźnie.

Julie uczyniła krok w tamtym kierunku i przystanęła. Nie idź tam, pomyślała, słysząc jeszcze jakiś inny dźwięk. Czyjś głos. Ktoś przemawiał do Śpiewaka. Odetchnęła z ulgą, rozpoznając znajomy głos. Edna Farley...

Ruszyła szybko przed siebie krętą ścieżką, aż wreszcie dostrzegła wodę kanału. Las się przerzedził i zobaczyła Ednę, poklepującą Śpiewaka po łbie. Przysiadł przed nią z wywieszonym jęzorem. Słyszając, że Julie wchodzi na polanę, odwrócił ku niej głowę.

„Takie jest życie - czytała z jego miny. - Mały spacer, odrobina miłości - czy może być coś lepszego?”.

Edna również się ku niej odwróciła.

- Julie! - zawołała. - Miałam nadzieję, że wybierzesz się tu na spacer. Jak się masz?

Julie szła w jej stronę.

- Witaj, Edno. Dziękuję, dobrze. Rzeczywiście postanowiłam trochę pospacerować ze Śpiewakiem.

- Wspaniały dzień na przechadzkę. A w każdym razie był, gdy tu przyjechaliśmy. Chyba lada moment zacznie padać.

Julie była już całkiem blisko Edny.

- My? - spytała.

- Tak, mój klient ogląda dwie dalsze działki. Są wystawione na sprzedaż od dłuższego czasu, ale on jest chyba mocno zainteresowany, trzymaj więc za mnie kciuki.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy Śpiewak wstał i podszedł blisko do Julie, sierść na karku zjeżyła mu się nagle. Z jego gardła wydobyło się groźne warczenie. Julie poczuła, że serce znowu wali jej, jakby chciało wyskoczyć z piersi, gdy oglądała się w stronę, w którą patrzył Śpiewak. Kiedy po chwili zaczęła z powrotem widzieć ostro, wciągnęła nerwowo powietrze. Jak przez mgłę słyszała słowa Edny:

- O, już jest.

Zanim Julie zdążyła uczynić jakikolwiek ruch, cokolwiek pomyśleć, obok Edny stanął

Richard. Otarł czoło i uśmiechnął się, na co Edna zareagowała lekkim rumieńcem.

- Rzeczywiście - powiedział - tamte działki są również ładne, ale chyba te bliższe podobają mi się bardziej.

- O tak - zgodziła się Edna. - Ma pan absolutną rację. Widok na ocean po tej stronie nie ma sobie równych. Wie pan z pewnością, że nie będą budować dalej nabrzeża. To świetna inwestycja. - Roześmiała się, ale żadne z nich jej nie słuchało. - Ach, gdzie moje dobre maniere? Chciałabym poznać pana z moją znajomą...

- Witaj, Julie - rzekł Richard. - Co za miła niespodzianka.

Julie nie odpowiedziała. Ledwie zdołała utrzymać się na nogach. Śpiewak nie przestawał warczeć, marszczył nos, fagle unosiły mu się, obnażając zęby.

- A, widzę, że się znacie? - spytała Edna.

- Można tak powiedzieć - odparł Richard. - Prawda, Julie?

Julie starała się zapanować nad sobą. Ty... sukinsynu, myślała. Skąd wiedziałeś, że tu będę? Skąd wiedziałeś?

- Julie, co się dzieje ze Śpiewakiem? - zainteresowała się Edna. - Dlaczego tak się denerwuje?

Zanim Julie odpowiedziała, Richard spojrzał na Ednę.

- Czy ma pani przy sobie informację na temat powierzchni działek, o którą prosiłem? I cen? Powinienem chyba rzucić okiem na prospekty, skoro już tu jestem.

Na słowo „ceny” oczy Edny zabłyśły.

- Oczywiście, że mam - zapewniła. - W samochodzie. Zaraz je przyniosę. Jestem pewna, że będzie pan zadowolony. Ceny są naprawdę przystępne. Wracam za kilka minut.

- Proszę się nie śpieszyć - rzekł Richard, wzruszając ramionami.

Po chwili Edna szła w kierunku ścieżki, chwiejąc się niczym kręgiel, który ma się za chwilę przewrócić. Gdy odeszła, Richard spojrzał z uśmiechem na Julie.

- Wyglądasz przepięknie - powiedział. - Tęskniłem za tobą. Co u ciebie słychać?

Właśnie w tej chwili Julie uświadomiła sobie z zamierającym sercem, że są sami, i ta świadomość ją otrzeźwiła. Cofnęła się o krok, dziękując niebiosom, że Śpiewak stoi między nimi.

- Co tutaj robisz?

Richard znowu wzruszył ramionami, jak gdyby wiedział, że o to zapyta.

- To świetna inwestycja. Myślę, że to może być dobre miejsce, żeby wreszcie zapuścił korzenie. Człowiek musi mieć jakieś miejsce, które mógłby nazwać domem, toteż wkrótce możemy zostać sąsiadami.

Julie zbladła.

- Podoba ci się ten pomysł? - spytał z uśmiechem. - Żebyśmy byli sąsiadami przez płot? Nie? No, to może po prostu chciałem z tobą porozmawiać. Zmieniłaś numer telefonu, nie ruszasz się na krok sama. Co miałem począć?

Julie wycofywała się powoli dalej. Śpiewak został na miejscu, jak gdyby prowokując Richarda, żeby do niej podszedł, tylne łapy drżały mu, jakby szykował się do ataku.

- Nie chcę z tobą rozmawiać - powiedziała, zła na siebie za płaczliwy ton. - Dlaczego nie może to do ciebie dotrzeć?

- Zapomniałaś już o naszych randkach? - spytał cicho. Wyglądał na niemal smutnego i cała scena wydała się Julie surrealistyczna. - Nasze spotkania były czymś szczególnym. Dlaczego nie chcesz tego przyznać?

- Nie ma czego przyznawać. - Znowu się cofnęła.

- Dlaczego tak się zachowujesz? - Wydawał się urażony, zdziwiony. - Przecież Mike'a tutaj nie ma, jesteśmy tylko my.

Wzrok Julie powędrował ku ścieżce. Pora jak najszybciej stąd się wynieść.

- Jeśli spróbujesz zbliżyć się do mnie o centymetr albo pójdziesz za mną, będę krzyczała i tym razem nie odciągnę Śpiewaka.

Uśmiechnął się do niej łagodnie jak ktoś, kto cierpliwie stara się wytłumaczyć coś małemu dziecku.

- Nie masz powodu do obaw. Wiesz, że nigdy nie zrobię ci krzywdy. Kocham cię.

Julie zamrużyła powiekami. Kocha mnie?

- O czym ty, u diabła, mówisz? - spytała. Słowa padały z jej ust z siłą, jakiej się nie spodziewała.

- Kocham cię - powtórzył. - Możemy zacząć wszystko od nowa. Pojedziemy jeszcze raz do teatru. Wiem, że ci się podobało. Albo jeśli wolisz gdzie indziej, możemy wybrać się, dokąd tylko zechcesz. Nieważne. Potraktujmy to zadurzenie w Mike'u jako pomyłkę, dobrze? Wybaczam ci.

Richard mówił, a Julie wycofywała się tymczasem nadal krok za krokiem, z każdym jego słowem oczy robiły jej się coraz bardziej okrągłe. Ale to nie słowa ją przeraziły, lecz wyraz absolutnej szczerości na jego twarzy.

Uśmiechnął się chytrze.

- Założę się, że nie wspomniałaś mu nawet słowem, iż pozwoliłaś mi spędzić noc w swoim domu. Domyślasz się, jaka będzie jego reakcja?

Odczuła jego słowa niemal jak fizyczny cios. Richard zauważył, że trafił celnie, i

wyciągnął do niej dłoń.

- Chodźmy do jakiegoś spokojnego lokalu i przekaśmy coś. Julie potknęła się o wystający korzeń, omal nie tracąc równowagi.

- Nigdzie z tobą nie pójdę - wyszczała.

- Nie zachowuj się w ten sposób. Proszę. Uczynię cię szczęśliwą, Jessico.

Przez sekundę Julie nie była pewna, czy się nie przesłyszała, wiedziała jednak, że nie.

- Ty... jesteś... stuknięty - wykrztusiła. Tym razem jej słowa odniosły skutek.

- Nie powinnaś była tego mówić - rzekł Richard, w jego głosie dały się słyszeć ostre tony. - Nie powinnaś mówić, skoro tak nie myślisz.

Kątem oka Julie dostrzegła, że Edna wchodzi znowu na polanę.

- Idę - wołała radośnie. - Idę...

Gdy Edna w końcu do nich dotarła, Richard w dalszym ciągu wpatrywał się w Julie. Edna zerknęła najpierw na jedno, potem na drugie.

- Coś się stało? - spytała. Richard odwrócił w końcu wzrok.

- Nie - odpowiedział. - Absolutnie nic. Próbowaliśmy tylko obliczyć, ile domów może tutaj stać. Julie lubi chyba swoją prywatność.

Julie prawie nie usłyszała jego odpowiedzi.

- Muszę iść - rzekła nagle, odwracając się. Richard uśmiechnął się.

- Cześć, Julie. Do zobaczenia.

Julie opuściła polanę, Śpiewak jednak pozostał przez chwilę na miejscu, jak gdyby upewniając się, że Richard nie podaży za nią, po czym pobiegł za swoją panią.

Gdy oddaliła się na tyle, że nie było jej widać, zaczęła biec. Przedzierała się przez zarośniętą ścieżkę, oddychając ciężko. Raz upadła i szybko wstała, nie zwracając uwagi na stłuczone kolano. Usłyszała jakiś hałas i obejrzała się - ani śladu Richarda. Puściła się znowu biegiem, zmuszając nogi do wysiłku i czując, jak gałązki siekają ją po twarzy. Już niedaleko, powtarzała w myśli, już niedaleko...

Gdy Mike wszedł do domu, Julie z trudem powstrzymała łzy. Potem tulił ją, zanoszącą się płaczem, w ramionach. Gdy wreszcie opowiedziała mu, co się wydarzyło, wzięła się na tyle w garść, że spytała, dlaczego wrócił tak wcześniej do domu.

Mike zbladł jak ściana. Gdy w końcu odpowiedział, jego głos był cichy jak szmer strumyka.

- Mój adwokat nie zostawił mi dzisiaj żadnej wiadomości.

ROZDZIAŁ 30

Godzinę później Jennifer Romanello siedziała przy ich kuchennym stole. Nie spuszczała wzroku z Julie, słuchając jej relacji.

Cała opowieść zajęła niewiele czasu. Aczkolwiek ważne były jej słowa, to mina Julie świadczyła o tym, że mówi prawdę. Mimo że bardzo starała się zachować spokój, widać było, że jest wrakiem człowieka. Nawet Jennifer czuła się nieswojo. Dostała gęsiej skórki, gdy Julie opowiedziała, jak Richard nazwał ją Jessicą.

- Nie podoba mi się to - zauważyła, gdy Julie umilkła.

Wiedziała, że jest to niedomówienie godne człowieka o inteligencji Pete'a Gandy'ego, co jednak miała powiedzieć? Cholera jasna! Kup pistolet i zamykaj drzwi na klucz... Ten facet to wariat! Mike i Julie byli tacy wstrząśnięci, że potrzebowali, by ktoś ich uspokoił. Poza tym jej ojciec zachowałby się dokładnie tak samo. Był mistrzem w uspokajaniu ludzi w trudnych, pełnych napięcia sytuacjach. Powtarzał zawsze, że jest to najważniejsza rzecz, jaką może zrobić policjant, jeśli chce dożyć do emerytury.

- Co nam radzisz? - spytał Mike.

- Nie jestem na razie pewna - odpowiedziała Jennifer. - Czy moglibyśmy wrócić jeszcze do kilku spraw? Chciałam się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiałam.

Julie obgryzała paznokcie z nieobecny wyrazem twarzy myśląc o jednej części historii, którą pominęła.

„Założę się, że nie wspomniałaś mu nawet słowem, iż pozwoliłaś mi spędzić noc w swoim domu. Domyślasz się, jaka będzie jego reakcja?”.

Mike zapewne by się tym nie przejął, ponieważ nic się nie stało. Przecież to nie to samo, co zrobiła mu Sara. I nie ma to znaczenia dla całej sprawy, prawda? Czemu więc o tym nie powiedziała?

Pogrążona w myślach, zorientowała się dopiero po chwili, że Jennifer zadała jej pytanie.

- Czy przychodzi ci do głowy, skąd Richard wiedział, że tam będziesz?

- Nie - odparła.

- Ale zjawił się tam przed tobą?

- Przypuszczam, że przyjechał z Edną. Nie wiem, od jak dawna tam był, lecz bez wątplenia dużo wcześniej przede mną. Widziałam samochód Edny na poboczu, ale nikogo w nim nie było i nikt nie wchodził do lasu.

- A ty myślałaś, że zaprosił cię na spotkanie twój adwokat? - spytała Jennifer Mike'a.

- Po przyjeździe do warsztatu dostałem wiadomość, że mam się z nim spotkać o piątej. Przekazał mi ją jeden z pomocników, ale kiedy przyjechałem do kancelarii, Sides powiedział, że wcale do mnie nie dzwonił, pojechałem więc prosto do Julie.

Mike wyglądał niemal na chorego. I był wyraźnie wściekły. Jennifer odwróciła się znowu do Julie.

- Czy mogę cię spytać, dlaczego w ogóle wybrałaś się na ten spacer?

- Bo jestem kretynką - mruknęła pod nosem Julie.

- Słucham?

- Nic, nic. - Wzięła głęboki oddech. - Nie spotkałam Richarda ani nie rozmawiałam z nim przez telefon przez tydzień i miałam chyba po prostu nadzieję, że prześladowanie się skończyło.

- Nie powinnaś tego raczej robić w przyszłości. Miejsca publiczne... w porządku. Staraj się jednak unikać takich, gdzie mógłby zastać cię samą, dobrze? Julie prychnęła.

- Nie sądzę, żebyś musiała się o to martwić.

- A co wiesz o Jessice?

- Właściwie nic. Mówił tylko, że byli małżeństwem przez kilka lat i nie wyszło im. Nie powiedział nic więcej. Nigdy o niej nie rozmawialiśmy.

- I pochodzi z Denver?

- Przynajmniej tak twierdził.

- Nie straszył cię niczym konkretnym?

- Nie. Ale nie musiał niczego mówić. Jest szalony.

Dla mnie również nie ulega to kwestii, zgodziła się w duchu Jennifer.

Julie pokręciła przecząco głową. Wyobrażałam sobie różne rzeczy, pomyślała, może chciałabyś o nich posłuchać? Zamknęła oczy.

- Chcę tylko, żeby się to skończyło - wyszeptała.

- Aresztujesz go? - spytał Mike. - Albo wezwiesz go na przesłuchanie?

- Zrobię, co w mojej mocy - odpowiedziała nie od razu Jennifer.

Nie musiała mówić nic więcej.

- Czyli co to dla nas oznacza? - spytała Julie.

- Posłuchajcie, wiem, że się martwicie. Wiem, że jesteście przerażeni. I wiercie mi, jestem po waszej stronie, możecie być pewni, że nie zapomnę o całej sprawie po wyjściu stąd. Zamierzam pogrzebać w przeszłości Richarda Franklina, żeby czegoś się o nim dowiedzieć, i niewątpliwie zechcę z nim porozmawiać w odpowiednim momencie. Pamiętajcie jednak, że muszę współpracować z Pete'em Gandym...

- Och, po prostu wspaniale...

Jennifer wyciągnęła rękę przez stół i uściśnęła dłoń Julie.

- Daję wam moje słowo - powiedziała - że przyjrzymy się uważnie tej sprawie i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby wam pomóc. Zaufajcie mi, dobrze?

Był to rodzaj entuzjastycznej gadki - szmatki, którą każdy pragnie usłyszeć w takiej sytuacji.

Nic dziwnego, że została chętnie przyjęta.

* * *

Andrea oglądała „Jeny Springer Show”, gdy usłyszała, że dzwoni telefon. Podniosła z roztargnieniem słuchawkę i mruknęła „halo”, nie spuszczać oczu z ekranu.

Oczy jej rozblęły.

- O, cześć! - powiedziała. - Miałam nadzieję, że zadzwonisz...

* * *

W drodze powrotnej Jennifer nie mogła skoncentrować się na prowadzeniu samochodu. Przeszkadzało jej w tym niemiłe ściskanie w żołądku i ciężki przypadek cykora, wywołującego gęsią skórę, którego nie był w stanie zagłuszyć nawet warkot silnika. Cała ta historia przerażała ją pod wieloma względami. Jako policjantka zdawała sobie sprawę, jak niebezpieczni potrafią być prześladowcy. Wczuwała się także bardziej osobiście w położenie Julie jako kobieta. Wystarczyło, że zamknęła oczy, a była tam z nią, przeżywała jej bezradność. Nie może być nic gorszego. Ludzie żyją w złudnym przekonaniu, że panują nad swoim życiem, tymczasem tak nie jest. Owszem, możesz decydować, co zjesz na śniadanie, w co się ubierzesz, jak również o innych podobnych drobiazgach, lecz gdy tylko wkraczasz w świat, jesteś w dużym stopniu zdany na łaskę otaczających cię ludzi i pozostaje ci jedynie nadzieja, że nie postanowią odegrać się za to na tobie, gdy będą mieli zły dzień.

Wiedziała, że jest to dość ponure spojrzenie na rzeczywistość, ale właśnie miała do czynienia z taką sytuacją. Złudne poczucie bezpieczeństwa, które było udziałem Julie, legło w gruzach, i młoda kobieta pragnęła teraz, żeby Jennifer - ktoś, dalibóg, ktokolwiek - poskładał wszystko z powrotem w jedną całość.

Jak ona powiedziała? „Chcę tylko, żeby się to skończyło”. Jasne, kto by nie chciał. Tak naprawdę znaczyło to, że pragnie, aby sytuacja wróciła do poprzedniego stanu, kiedy świat wydawał się bezpieczny.

To nie będzie łatwe. Problem polegał częściowo na tym, że Jennifer sama czuła się trochę bezradna. Zwrócili się do niej o pomoc, a ona nie mogła na razie nawet porozmawiać z

Richardem w ramach swoich kompetencji. A Pete Gandy, chociaż prawdopodobnie zrobi to, o co go poprosi, jeśli zachowa się odpowiednio kokieteryjnie, bez wątpienia schrzani wszystko, gdy tylko otworzy usta.

Ale może przecież sama przeprowadzić dochodzenie w sprawie tego faceta. I tak, jak obiecała Mike'owi i Julie, to właśnie zamierzała uczynić.

* * *

Godzinę po wyjściu Jennifer Romanello Julie i Mike nadal siedzieli przy stole. Mike popijał piwo, ale Julie odmówiła. Nie mogła przełknąć kieliszka wina, które naląa sobie wcześniej, i wylała wino do zlewu. Patrzyła przed siebie z nieobecnym wyrazem twarzy, prawie się nie odzywała i chociaż wyglądała na zmęczoną, Mike był na tyle rozsądny, że nie zaproponował jej, aby się położyła. Dobrze wiedział, że obojgu nie uda się zmrużyć oka.

- Jesteś głodna? - spytał w końcu.

- Nie.

- Chcesz wypożyczyć film?

- Raczej nie.

- Wiesz co? Mam pomysł - powiedział Mike. - Posiedzmy sobie i popatrzmy na siebie.

Dla odmiany możemy się trochę pomartwić, żeby nie było nudno. Musimy przecież coś robić, żeby czas się nam nie dłużył.

Słyszac jego słowa, Julie uśmiechnęła się wreszcie.

- Masz rację - zgodziła się. Sięgnęła po jego piwo i upiła łyk. - Zaczynam czuć się zmęczona. Chyba nie działa to na mnie dobrze.

- A co chciałabyś robić?

- Mógłbyś po prostu mnie przytulić? - spytała Julie, wstając i podchodząc do Mike'a.

Wstał i otoczył ją ramionami. Przyciągnął ją bliżej do siebie rozkoszując się ciepłem jej ciała. Julie znalazła się w bezpiecznej przystani ramion Mike'a; ukryła twarz na jego piersi.

- Cieszę się, że tu jesteś - wyszeptala. - Nie wiem, co poczęłabym bez ciebie.

Zanim Mike zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Oboje zamarli w napięciu. Stali, wciąż przytuleni do siebie, gdy zadzwonił po raz drugi.

Potem trzeci.

Mike wyzwolił się z jej objęć.

- Nie! - krzyknęła Julie. W jej oczach malował się strach. I czwarty.

Mike nie posłuchał. Przeszedł do salonu i podniósł słuchawkę. Trzymał ją przez chwilę w dłoni, po czym podniósł powoli do ucha.

- Halo? - powiedział.

- O, cześć. Dzwonię już po raz drugi. Myślałam, że was nie ma. - Mike rozluźnił się, słysząc znajomy głos.

- Witaj, Emmo - odpowiedział, uśmiechając się. - Jak się masz?

- Świetnie. - Głos Emmy był pełen energii. - Ale, posłuchaj, jestem w Morehead City.

Nie uwierzysz, kogo właśnie widziałam.

Julie weszła do salonu i stanęła obok Mike'a. Odsunął słuchawkę od ucha, żeby i ona słyszała Emmę.

- Kogo?

- Andreę. I tym bardziej nie uwierzysz, z kim była.

- No, z kim?

- Z Richardem. I wystaw sobie, widziałam, jak ją pocałował!

* * *

- Nie mam pojęcia, co to może znaczyć - powiedziała Julie. - To nie ma sensu.

Mike odłożył słuchawkę. Usiedli na kanapie, w salonie paliła się tylko jedna lampa z tyłu za nimi. Śpiewak spał pod frontowymi drzwiami.

- Czy Andrea nie wspominała o tym ostatnio w salonie? No, że się z nim spotyka?

Julie pokręciła przecząco głową.

- Nie. Ani słowem. Strzygła go, ale nie wiem nic poza tym.

- A słyszała to, co o nim mówiłaś?

- Musiała słyszeć.

- I nie przejęła się tym?

- Albo się nie przejęła, albo mi nie uwierzyła.

- Dlaczego miałyby ci nie uwierzyć?

- Bo ja wiem. Pogadam z nią jutro. Może uda mi się przemówić jej do rozsądku.

* * *

Richard przywiózł Andreę do swego domu. Stali na werandzie, wpatrując się w niebo. Przycisnął ją do siebie, przesuwając dłońmi po jej brzuchu, ku piersiom. Andrea westchnęła, składając głowę na jego piersi.

- Muszę ci się przyznać, że nie byłam pewna, czy zadzwonisz.

Richard pocałował ją w szyję, dotyk jego ciepłych warg sprawił, że przeszył ją dreszcz. Drzewa srebrzyły się w poświacie księżyca.

- Tutaj jest tak pięknie - powiedziała. - Tak cicho.

- Cśś. Nic nie mów. Po prostu słuchaj.

Nie chciał słyszeć jej głosu, ponieważ przypominał mu, że to nie Julie. Był z jeszcze jedną kobietą, kobietą, która nic dla niego nie znaczyła, ale jej ciało było miękkie i ciepłe, i pragnęła go.

- A księżyc...

- Cśś... - powtórzył.

Godzinę później, gdy leżeli razem w łóżku, Andrea jęknęła, wbijając palce w jego plecy, ale Richard kazał jej zamilknąć. Żadnych szeptów, żadnych rozmów. Nalegał też, żeby w sypialni panowała kompletna ciemność.

Poruszał się nad nią, czując, jak jej oddech muska jego skórę. Julie, miał ochotę wyszeptać. Nie możesz ciągle ode mnie uciekać. Czy nie widzisz, że jesteśmy dla siebie stworzeni? Czy nie pragniesz spełnienia, które przyniesie nasz związek?

Wtedy jednak przypomniał sobie ich spotkanie w lesie, przerażenie w jej oczach. Widział odrazę na jej twarzy, słyszał słowa pełne niechęci, czuł jej nienawiść. To wspomnienie raniło go. Julie, omal nie szepnęła, byłaś dzisiaj dla mnie taka okrutna. Zlekceważyłaś moje wyznanie miłości. Potraktowałaś mnie, jak gdybym był niczym...

- Au - usłyszał w ciemności - nie tak mocno... sprawiasz mi ból... Au!

Ten dźwięk przywołał go do rzeczywistości.

- Cśś... - uciszył Andree, nie rozluźniając jednak chwytu. W słabym świetle, padającym z okna, zauważył cień strachu w oczach dziewczyny. Poczul przyptyw pożądania.

ROZDZIAŁ 31

Mimo że jej dyżur zaczynał się o ósmej, Jennifer siedziała w środę przy komputerze już od szóstej rano. Obok niej leżała kopia oficjalnego raportu z aresztowania Mike'a Harrisa. Na samej górze znajdowały się podstawowe informacje: nazwisko i imię Richarda Franklina, jego adres i numer telefonu, miejsce pracy. Opuściła tę część i zabrała się do czytania opisu samego zajścia. Tak jak się spodziewała, nie znalazła nic na temat przeszłości Richarda, czuła jednak, że postępuje właściwie. Potrzebuje czegoś, żeby utrzymać piłkę w grze.

Dzięki Bogu, ojciec bardzo jej pomógł poprzedniego wieczoru. Po powrocie do domu zadzwoniła do niego, żeby podzielić się z nim swymi wrażeniami, a gdy skończyła, ojciec potwierdził jej obawy co do tego, co może zdarzyć się w przyszłości.

- Wszystko jest możliwe - powiedział - musisz więc dowiedzieć się, czy ten facet jest naprawdę stuknięty, czy tylko tak się zachowuje.

Nadal nie była pewna, od czego zacząć, ponieważ informacje o Richardzie Franklinie były pobieżne, a godziny, kiedy musiała nad tym pracować, nie były normalnymi godzinami pracy. Dział personalny przedsiębiorstwa budowy mostów był czynny później i chociaż wydawał się najbardziej oczywistym miejscem, od którego należałoby zacząć, ojciec poradził, żeby najpierw zwróciła się do właściciela domu.

- Są przyzwyczajeni do wieczornych telefonów, możesz więc spokojnie zadzwonić. Może uda ci się zdobyć numer polisy ubezpieczeniowej oraz prawa jazdy, jak również rekomendacje. Zwykle są wymagane przy wynajmie.

Tak właśnie zrobiła. Gdy wysondowała, z pomocą znajomego, pracującego dla władz hrabstwa, kto jest właścicielem posesji, zadzwoniła do niego. Sądząc po głosie, mężczyzna miał nie więcej niż trzydziestkę. Dowiedziała się, że dom był własnością jego dziadków. Czynną płaciła firma, w której pracował Richard Franklin, zawsze o czasie. Zostało też wpłacone z góry wadium za ostatni miesiąc. Sam właściciel nigdy nie spotkał Richarda. Nie odwiedzał posiadłości od przeszło roku. Wszystkim zajmowała się miejscowa agencja obrotu nieruchomościami. Podał jej numer telefonu.

Odłożyła słuchawkę, po czym zadzwoniła do pośrednika, który po chwili podlizywania mu się, przefaksował jej zgłoszenie Richarda. W rekomendacjach podał miejscowego pracodawcę oraz kierownika działu personalnego. Nie było nikogo z Ohio ani z Kolorado. Udało jej się też zdobyć numery polisy ubezpieczeniowej oraz prawa jazdy. Siedząc przy biurku Pete'a Gandy'ego, wpisała je do komputera.

Następną godzinę spędziła na poszukiwaniu informacji. Zaczęła od Karoliny

Północnej. Richard Franklin najwyraźniej nie figurował w kartotekach tego stanu, nie był nigdy aresztowany. Chociaż jego prawo jazdy było wydane w Ohio, pora była zbyt wczesna, żeby sprawdzić to w tamtejszym wydziale komunikacji. Podobnie w Kolorado.

Następnie wykorzystała laptop, podłączając się do Internetu. Posługując się standardowymi wyszukiwarkami, znalazła miliony odniesień do tego nazwiska i kilka stron internetowych Richarda Franklina, ale nie tego, o którego jej chodziło.

Potem zaczęła sprawdzać blokady drogowe. Zdobyć w Kolorado i Ohio informacji dotyczących ewentualnych wykroczeń zajmie co najmniej dzień i wymaga współpracy z policją w innym mieście, ponieważ kartoteki są prowadzone lokalnie. Nie byłoby to szczególnie trudne, gdyby była policjantką, ale sytuacja wyglądała inaczej w przypadku kogoś, kto odbywa staż. Poza tym, będą musieli oddzwonić. Jeśli wypadnie to w czasie, kiedy nie będzie jej w komisariacie - a bez wątplenia tak właśnie się stanie, ponieważ dzisiaj jeździ radiowozem z Pete'em Gandym - będzie się gęsto tłumaczyła przed szefem, po co dzwoniła do policji w Denver i Columbus, co może się skończyć tym, że wykluczą ją całkowicie ze sprawy, a może nawet wywalą z pracy.

Potem jeszcze raz pomyślała z powątpiewaniem, czy rzeczywiście przeszłość Franklina wyglądała tak, jak ją przedstawił.

Czy naprawdę pochodzi z Denver? Tak uważa Julie, ale czy to faktycznie wiadomo? Ojciec Jennifer powiedział wczoraj wieczorem tylko tyle: „Nowy w mieście i sprawia wrażenie czubka? Nie wiem, czy postawiłbym centa na giełdzie na to, co powiedział tej pani. Skoro skutecznie udaje mu się do tej pory rozmijać z prawem, jestem pewien, że równie skutecznie rozmija się z prawdą o przeszłości”.

Mimo że nie było to zgodne z prawem, Jennifer postanowiła sprawdzić rejestr branych przez niego kredytów. Wiedziała, że są trzy główne agencje badające zdolność kredytową klienta i że większość z nich oferuje darmowe roczne zestawienia. Wykorzystując jako wskazówkę zgłoszenie do agencji, wpisała wymagane informacje - bez wątplenia te same, z których korzystała firma wynajmująca mu dom. Nazwisko, numer polisy ubezpieczeniowej, ostatni adres, poprzedni adres, numer konta bankowego - trafiła na żyłę złota.

Analiza zdolności kredytowych Richarda Franklina była przedstawiona szczegółowo na kilku stronach.

Jedynie niedawne badanie przeprowadziła agencja wynajmu - i nic w tym dziwnego - ale uderzyło ją że żaden z zapisów nie miał sensu. Zwłaszcza w przypadku pracującego zarobkowo inżyniera.

Nie było kart kredytowych, zarejestrowanych obecnie albo znajdujących się w użyciu,

kredytu samochodowego, osobistych linii kredytowych. Szybki rzut oka na zestawienie pokazał, że wszystkie konta kredytowe zostały zamknięte.

Przyglądając się dokładniej zestawieniu, zauważyła jedno poważne niewywiązanie się z płatności w banku w Denver, cztery lata temu. Wymieniono je pod nieruchomościami i po jego wysokości domyśliła się, że był to kredyt hipoteczny.

Mniej więcej w tym samym czasie nastąpiła cała seria spóźnionych płatności. Visa. Mastercard. American Express. Rachunek telefoniczny. Rachunek za prąd. Rachunek za wodę. Karta Searsa. Wszystkie zostały zarejestrowane jako zaległe, ale ostatecznie je spłacono.

Później zamknął wszystkie konta Visa i Mastercard, jak również American Express i Searsa.

Jennifer odchyliła się na oparcie. Dobra, wie, że mieszkał kiedyś w Denver, i wygląda na to, że cztery lata temu wpadł w kłopoty finansowe. Przyczyny mogły być naprawdę bardzo różne - mnóstwo osób nie potrafi operować pieniędzmi - poza tym Franklin wspomniał Julie, że się rozwiódł. Może miało to coś wspólnego ze stanem jego finansów.

Wpatrywała się w ekran monitora. Ale dlaczego nie ma żadnych świeższych księgowania? Prawdopodobnie korporacja płaci jego rachunki, podobnie jak należność za wynajem, pomyślała Jennifer. Zapisała sobie, że musi to sprawdzić.

Co poza tym? Wiedziała, że z całą pewnością musi dowiedzieć się więcej o Jessice. Jednakże nie ma na to szansy bez dalszych informacji.

Jennifer wyłączyła laptop i schowała go do wyściełanego pokrowca, zastanawiając się, co powinna zrobić dalej. Postanowiła, że najlepiej będzie, jeśli poczeka, aż zacznie pracę dział personalny, i będzie mogła porozmawiać z jego pracownikami. Richard był doradcą technicznym ważnego projektu i współpracował z dużą firmą, musieli więc mieć inne listy polecające. Może któryś z nich rzuci światło na wydarzenia sprzed czterech lat. Oznaczało to jednak kolejną godzinę czekania.

Szukając czegoś, czym mogłaby się zająć, Jennifer przeczytała jeszcze raz raport z aresztowania, zatrzymując wreszcie spojrzenie na adresie i myśląc: Dlaczego nie? Nie była nawet pewna, czego dokładnie szuka, chciała po prostu zobaczyć, gdzie Richard mieszka, w nadziei, że pozwoli jej to wyrobić sobie opinię. Przewiesiła laptop przez ramię, wypita po drodze w pośpiechu kubek kawy i wsiadła do samochodu.

Wciąż jeszcze nie mając całkiem dobrej orientacji w okolicy, wyjęła mapę ze schowka, po czym wyjechała główną drogą z miasteczka na wiejskie tereny hrabstwa.

Dziesięć minut później Jennifer skręciła na zwirową drogę, przy której mieszkał

Richard Franklin. Zwolniła, przejeżdżając obok skrzynki na listy, żeby sprawdzić numer i zorientować się, gdzie jest. Gdy go odczytała, dodała gazu, widząc, że ma jeszcze kawałek do przejechania.

Uderzyło ją, że domy dzieli od siebie duża odległość. Większość z nich stała na wieloakrowych działkach i Jennifer pomyślała ze zdziwieniem, co też mogło skłonić inżyniera z wielkiego miasta do wyboru takiego stylu życia. Nie było to wygodne ani ze względu na jego pracę, ani, prawdę mówiąc, na inne sprawy. I droga stawała się coraz gorsza.

Im dalej jechała, tym domy były starsze i bardziej podupadłe. Minęła ruiny dawnego magazynu tytoniu. Ściany się pochyliły, dach się zapadł, a cały budynek był zarośnięty puerarią łatkowatą, wijącą się między deskami. Z tyłu widniały wśród zielska rdzewiejące szczątki traktora.

Kolejne kilka minut, kolejna skrzynka pocztowa z numerem domu. Była coraz bliżej.

Jennifer zwolniła. Przypuszczała, że jego dom to ten następny po prawej, i przyjrzała mu się zza drzew. Dwupiętrowy, oddalony od drogi, był mniej zaniedbany od innych, ale ogródek miał okropnie zarośnięty.

Mimo to...

Ludzie, którzy mieszkali w tej okolicy, powodowali się prawdopodobnie tym, że była to ich posiadłość rodzinna albo nie mieli wyboru. Dlaczego on wybrał to miejsce?

Ponieważ chciał się ukryć?

A może coś ukrywał?

Nie zatrzymała się. Minęła dom i zawróciła przeszło pół kilometra dalej. Gdy przejeżdżała jeszcze raz obok posesji, w drodze powrotnej do komisariatu, te same pytania kołatały się jej w głowie.

* * *

Richard Franklin cofnął się od okna, marszcząc lekko brwi.

Miał gościa, ale nie rozpoznał samochodu. Wiedział, że nie należy do Mike'a ani do Julie. Żadne z nich nie miało hondy, poza tym był pewien, że nie przyjechaliby tutaj. Nie był to również ktoś mieszkający w okolicy. Droga kończyła się kilka kilometrów stąd, poza tym nikt z sąsiadów nie był właścicielem hondy.

Ale ktoś przyjechał. Richard obserwował, jak samochód jedzie bardzo wolno, kierowca najwyraźniej czegoś szukał. To, że zawrócił, potwierdziło tylko jego podejrzenia. Gdyby ktoś zabłądził, nie zwolniłby przed jego domem - wyłącznie przed jego domem - a następnie nie dodał znowu gazu.

Nie, ten ktoś przyjechał zobaczyć, gdzie mieszka.

- Czemu się przyglądasz? - spytała Andrea. Richard puścił zasłonę i się odwrócił.

- Niczemu - odpowiedział.

Prześcieradło zsunęło się, odsłaniając jej piersi. Podszedł do łóżka i usiadł obok niej. Zauważył sińce na jej ramionach i przesunął po nich delikatnie palcem.

- Dzień dobry - powiedział. - Dobrze spałaś?

W świetle poranka Richard, który miał na sobie tylko dżinsy, wyglądał egzotycznie, zmysłowo. Co z tego, że był trochę brutalny wczorajszej nocy?

Andrea założyła za ucho pasmo, które opadło jej na policzek.

- Kiedy w końcu poszliśmy spać, tak.

- Jesteś głodna?

- Trochę, ale najpierw muszę iść do łazienki.

- Ostatnie drzwi po prawej.

Andrea wyskoczyła z łóżka, owijając się prześcieradłem. Gdy wychodziła z pokoju, czuła, że nogi lekko pod nią drżą. Richard odprowadził ją wzrokiem, żałując, że została wczoraj, po czym odwrócił się z powrotem do okna.

Ktoś przyjechał zobaczyć, gdzie mieszka.

Nie Henry i nie Mabel. Ich samochody znał również. Wobec tego kto? Potarł w zamyśleniu czoło.

Policja? Tak, potrafił wyobrazić sobie, że Julie do nich zadzwoniła. Zachowywała się wczoraj okropnie nierozsądnie. Była przerażona i wściekła. Teraz próbuje przejąć kontrolę nad sytuacją, zmieniając reguły gry.

Do kogo zadzwoniła? Na pewno nie do Pete'a Gandy'ego. To nie ulega wątpliwości. A co z tą nową, której ojciec jest policjantem w Nowym Jorku?

Zamyślił się głęboko.

Jennifer Romanello nie uwierzyła w jego wersję scysji w barze. Mógł to wyczytać z jej oczu, ze sposobu, w jaki na niego patrzyła. No i była kobietą.

Tak, doszedł do wniosku, to musiała być ona. Czy miałyby poparcie Gandy'ego? Nie, na razie nie, pomyślał. I zatroszczy się o to, żeby go nie miała. Pete Gandy to idiota. Bez trudu sobie z nim poradzi, tak jak kiedyś z Duganem.

Część problemu została rozwiązana. A teraz, co do Julie...

Myśli Richarda przerwał krzyk Andrei. Gdy wszedł do korytarza, Andrea stała jak wrośnięta w podłogę, oczy miała wytrzeszczone, otwarte usta zasłaniała dłonią.

Nie otworzyła drzwi po prawej stronie, prowadzących do łazienki. Stała w drzwiach

po lewej stronie korytarza.

Ciemnia.

Patrzyła na Richarda, jak gdyby widziała go po raz pierwszy w życiu.

- O, mój Boże - wymówiła. - O, mój Boże... Richard podniósł palec do ust, nie spuszczać z niej wzroku.

- Cśś...

Widząc jego minę, Andrea cofnęła się o krok.

- Nie powinnaś była otwierać tych drzwi - rzekł Richard. - Powiedziałem ci, gdzie jest łazienka, ale mnie nie posłuchałaś.

- Richardzie? Zdjęcia... Podeszedł do niej bliżej.

- To jest takie... przykre.

- Richard? - wyszeptała znowu, cofając się.

* * *

Gdy Jennifer wróciła do pracy, przekonała się, że, na szczęście, Pete Gandy jeszcze nie przyjechał, podeszła więc do jego biurka, zdając sobie sprawę, że ma niewiele czasu. Zapisała numer telefonu centrali budowy mostu na skrawku papieru, następnie włożyła raport z aresztowania z powrotem do kartoteki. Nie ma potrzeby, żeby Pete zobaczył, czym się do tej pory zajmowała.

Wybrała numer i po chwili zgłosiła się sekretarka. Jennifer przedstawiła się i powiedziała, że chce rozmawiać z Jakiem Blansenem.

Był to mężczyzna, o którym wspominał Mike.

Czekając na połączenie, Jennifer upominała siebie, że musi działać ostrożnie. Za nic nie chciałaby, żeby Richard dowiedział się o jej posunięciach. Nie mogła też dopuścić, żeby pan Blansen zadzwonił do jej szefa i poskarżył się na nią albo powiedział, że takich informacji będzie udzielał wyłącznie, gdy otrzyma wezwanie z sądu. Żadna z tych opcji nie wchodziła w grę, toteż postanowiła nieco nagiąć fakty pod pozorem zweryfikowania raportu z aresztowania.

Zgłosił się Jake Blansen, głos miał ochryply, jak gdyby od pięćdziesięciu lat palił papierosy bez filtra, mówił z południowym akcentem. Jennifer przedstawiła się jako policjantka ze Swansboro i po krótkiej grzecznościowej rozmowie towarzyskiej przeszła łagodnie do krótkiej rekapitulacji incydentu.

- Nie mogę uwierzyć, że zawieruszyłam gdzieś informację dotyczącą aresztowania, a ponieważ dopiero zaczynam pracę w policji, wołałabym nie pakować się w jeszcze większe

kłopoty. Nie chciałabym też, żeby pan Franklin pomyślał, że mamy bałagan. Chcemy uzupełnić raport na wypadek, gdyby znowu do nas przyszedł.

Odgrywała z wielkim zaangażowaniem nieśmiałą policjantkę i chociaż był to w najlepszym przypadku chybotliwy domek z kart, Blansen wyraźnie niczego nie zauważył ani się nie przejął.

- Nie wiem, czy uda mi się pani pomóc - odparł bez wahania, przeciągając samogłoski.

- Jestem tylko brygadzystą, powinna pani porozmawiać chyba z inwestorem. To oni dysponują tego rodzaju informacjami o konsultantach. Mają biuro w Ohio, ale sekretarka może podać pani numer telefonu.

- Ach, rozumiem. Cóż, może jednak spróbuje pan...

- Nie mam pojęcia, na co mógłbym się przydać.

- Pracował pan z Richardem Franklinem, prawda? Jaki on jest?

Jake Blansen milczał przez długą chwilę, w końcu spytał:

- Czy to prawda?

- Słucham?

- Pani. Zapodzianie raportu z incydentu. Praca w policji. No, wszystko.

- Oczywiście. Jeśli pan chce, mogę podać mój numer wewnętrzny i oddzwoni pan.

Albo przyjadę do pana.

Jake Blansen wciągnął głęboko powietrze.

- On jest niebezpieczny - rzekł w końcu cicho. - Firma zatrudniła go, ponieważ obniża wydatki na budowę, ale robi to kosztem bezpieczeństwa. Wśród pracowników są tacy, którzy przez niego ponieśli uszczerbek na zdrowiu.

- W jaki sposób?

- Ma w nosie konserwację, sprzęt ulega uszkodzeniu. Inspekcja pracy miałaby tutaj niezłe używanie. W jednym tygodniu dźwig. W następnym kocioł na jednej z barek. Złożyłem nawet meldunek u inwestora i obiecali zbadać sprawę. Chyba dowiedział się o tym i dopadł mnie.

- Jak to? Zaatakował pana?

- Nie, ale mi groził. Nie wprost. Zaczął, jak gdybyśmy byli kumplami. Spytał o żonę i dzieci, takie tam. Potem powiedział, że jest mu bardzo przykro, iż mu nie ufam, i jeśli nie będę ostrożniejszy, będzie zmuszony mnie zwolnić. Jak gdyby to wszystko było moją winą, a on wyświadczał mi wielką przysługę, starając się mnie chronić. Klepał mnie po ramieniu, mamrocząc, że szkoda by było, gdyby zdarzyło się więcej wypadków... Sposób, w jaki to powiedział, sugerował, że pije do mnie i mojej rodziny. Dostałem gęsiej skórki i, szczerze

mówiąc, cieszyłem się jak diabli, gdy dowiedziałem się, że odchodzi. Odtńczyłem taniec radości. Podobnie jak inni.

- Chwileczkę... odszedł z pracy?

- Tak. Złożył wypowiedzenie. Musiał pilnie wyjechać z miasta, a kiedy wrócił, poinformował, że potrzebuje więcej czasu na załatwienie spraw osobistych. Od tamtej pory nie widzieliśmy go.

Chwilę później, po przełączeniu z powrotem do sekretarki, która podała jej numer w Ohio, Jennifer odłożyła słuchawkę i zadzwoniła do centrali inwestora. Odsyłano ją od Annasza do Kajfasza, aż wreszcie poinformowano, że osoba, która mogłaby jej pomóc, chwilowo wyjechała, ale wróci dzisiaj po południu.

Jennifer zanotowała nazwisko mężczyzny, do którego ma zatelefonować - Casey Ferguson - i usiadła wygodnie w fotelu.

Richard jest niebezpieczny, powiedział Blansen. W porządku, ale to już wiedziała. I co jeszcze? Richard rzucił pracę kilka tygodni temu. Jej i Pete'owi powiedział całkiem co innego. Normalnie nie miałyby to znaczenia, ale nie umknął jej uwagi czas, w którym to zrobił.

Złożył wypowiedzenie zaraz po powrocie z wyjazdu w sprawach osobistych. Po tym, gdy Julie powiedziała, że nie chce go więcej widzieć.

Czy istnieje jakiś związek?

Zobaczyła przez długość pokoju, że Pete Gandy wchodzi do komisariatu. Nie zauważył, że Jennifer siedzi przy jego biurku, i bardzo ją to ucieszyło. Potrzebowała jeszcze chwili.

To zdecydowanie zbyt duży zbieg okoliczności, pomyślała, zwłaszcza po tym, czego dowiedziała się rano na temat jego przeszłości. Julie sama przyznała, że spotkała się z Richardem zaledwie kilka razy i mimo że dzwonił do niej wielokrotnie, rozmowy nigdy nie trwały długo.

Jennifer popatrzyła przez okno, pogrążona w myślach.

Co wobec tego robił ze swoim czasem?

* * *

Mike zaparkował furgonetkę przed warsztatem. Mgła zaczęła się w końcu przeredzać. Julie patrzyła w dół, na podłogę ciężarówki, i Mike podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, patrząc na czubki jej butów. Były pokryte warstwą rosy z trawnika i gdy Julie uprzytomniła sobie, czemu się przygląda, wzruszyła lekko ramionami, jak gdyby chciała powiedzieć: „Zobaczmy, co się dzisiaj wydarzy”.

Żadne z nich nie spało dobrze i oboje ruszali się niemrawo. Mike nie mógł się ułożyć wygodnie, wstawał czterokrotnie, żeby napić się wody. Ciągnęło go do okna, stał przy nim długo, wyglądając na ulicę. Julie natomiast miała przez całą noc sny, których nie mogła sobie potem szczegółowo przypomnieć, zostawiły jej jednak uczucie lęku. To uczucie nie chciało jej opuścić i wracało falami, gdy ubierała się do śniadania.

Kiedy Julie wysiadła z samochodu, nie panowała nad sobą bardziej niż przedtem. Mike objął ją i pocałował, zaproponował, że odprowadzi ją przez ulicę do salonu, Julie jednak podziękowała. Tymczasem Śpiewak zdążył już pognać do Mabel po swoją porcję herbatników.

- Poradzę sobie - zapewniła. Jej głos nie brzmiał zbyt pewnie, była tego świadoma.

- Wiem - odpowiedział Mike równie niepewnym tonem. - Wpadnę później, żeby zobaczyć, jak się czujesz, dobrze?

- Dobrze.

Gdy Mike wszedł do warsztatu, Julie westchnęła głęboko i przeszła przez ulicę. W centrum nie było jeszcze ruchu - jak gdyby mgła opóźniła trochę zegarki wszystkich mieszkańców miasteczka - ale gdy znalazła się w połowie ulicy, wyobraziła sobie, że jakiś samochód pędzi prosto na nią, i puściła się biegiem, chcąc jak najszybciej znaleźć się na chodniku.

Żadnego samochodu nie było.

Kiedy tylko weszła na chodnik, poprawiła torebkę i rozejrzała się znowu dookoła, próbując wziąć się w garść. Kawa, pomyślała, jeszcze jedna filiżanka kawy i poczuję się lepiej.

Skręciła do kafejki. Kelnerka nalała jej kawy z dzbanka stojącego na podgrzewaczu. Julie posłodziła kawę i dołała sobie śmietanki, rozlewając odrobinę na bufet. Gdy sięgała po serwetkę, żeby zetrzeć płyn, nagle odniosła dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje z rogu sali. Ze ściśniętym gardłem odwróciła się w tamtym kierunku, przesuując spojrzeniem po stolikach.

Na niektórych zostały talerze z resztkami śniadań, ale nikt przy nich nie siedział.

Zamknęła oczy, bliska łez. Wyszła z kafejki, nie mówiąc nawet do widzenia.

Było jeszcze wcześniej - salon będzie otwarty dopiero za mniej więcej godzinę, ale Julie wiedziała, że Mabel już tam jest. We wtorki zawsze robiła inwentaryzację i składała zamówienia. Gdy Julie otworzyła drzwi, zobaczyła, że Mabel sumiennie sprawdza szampony i odżywki na półkach. Spojrzawszy przez ramię na Julie, zrobiła zatroskaną minę. Odłożyła notatnik.

- Co się stało? - spytała natychmiast.

- Wyglądam tak fatalnie?

- Znowu Richard?

Zamiast odpowiedzi, Julie przygryzła wargi. Mabel przeszła szybko przez salon i objęła ją serdecznie.

Julie wciągnęła gwałtownie powietrze, poddając się uściskowi przyjaciółki i próbując powstrzymać łzy. Nie chciała płakać. Poza strachem, płacz towarzyszył jej ostatnio nieustannie.

Była wyczerpana. Mimo że bardzo się starała, czuła pod powiekami piekące łzy. Zaciśnęła mocno powieki, ale nic nie pomogło.

I wtedy kompletnie się rozkleiła. Szlochała w objęciach Mabel, drżąc na całym ciele. Ręce i nogi miała jak z waty, upadłaby chyba, gdyby Mabel jej nie podtrzymała.

- No, no... - uspokajała ją łagodnie Mabel. - Cśś... wszystko będzie dobrze...

Julie nie miała pojęcia, jak długo płakała, ale w rezultacie nos jej poczerwieniał, a tusz całkiem się rozpuścił i spłynął po policzkach. Gdy Mabel wreszcie się odsunęła, Julie pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczkę.

Opowiedziała Mabel o tym, że spotkała Richarda w pobliżu swojego domu. Powtórzyła wszystko, co mówił i jak wyglądał. Nie pominęła swojego telefonu do Jennifer Romanello oraz późniejszej rozmowy z nią w kuchni.

Na twarzy Mabel malowała się głęboka troska i współczucie, powstrzymała się jednak od komentarza. Gdy Julie powiedziała jej o rozmowie telefonicznej z Emmą Mabel wzdrygnęła się.

- Zadzwoń do Andrei - zaproponowała szybko. Julie patrzyła, jak Mabel idzie przez salon i wybiera numer.

Uśmiechnęła się niepewnie. Uśmiech zastąpiło stopniowo zaniepokojenie, gdy zorientowała się, że Andrea nie podnosi słuchawki.

- Na pewno jest właśnie w drodze do pracy - rzekła Mabel. - Będzie tu za dwie minuty. A może postanowiła wziąć jeden z dni wolnych na załatwienie spraw osobistych. Znasz ją. Zresztą we wtorki jest zwykle raczej spokojnie.

Julie pomyślała, że brzmi to tak, jak gdyby Mabel próbowała przekonać samą siebie.

* * *

Jennifer spędziła część ranka - kiedy miała kończyć raporty za Pete'a - na ukradkowych telefonach do zakładów użyteczności publicznej. Jej podejrzenia potwierdziły

się. Wszystkie rachunki płaciła firma Richarda. RPF Industrial Inc. I zawsze o czasie.

Zadzwoiła do biura sekretarza stanu w Denver, Kolorado, i dowiedziała się, że obecnie nie istnieje spółka kapitałowa o tej nazwie, aczkolwiek kiedyś rzeczywiście istniała. Zniknęła z rejestru trochę ponad trzy lata temu. Kierując się przeczuciem, zatelefonowała z kolei do biura sekretarza stanu w Columbus, Ohio, gdzie poinformowano ją, że firma Richarda w Ohio została zarejestrowana mniej więcej na miesiąc przed rozpoczęciem przez niego pracy w J.D. Blanchard Engineering, zaledwie tydzień po tym, gdy RPF Industrial wycofały się z działalności w Kolorado.

Telefony do banku w Columbus, z którego usług korzystała jego firma, dostarczyły jej niewiele informacji poza tym, że Richard Franklin nie miał tam konta osobistego ani oszczędności.

Siedząc przy biurku, Jennifer rozważała te informacje. Wydawało jej się oczywiste, że Richard Franklin zwinął jedną firmę tylko po to, żeby założyć drugą pod podobną nazwą w innym stanie, a następnie postanowił żyć, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Obie decyzje podjął co najmniej trzy lata temu. Dziwne, pomyślała. Nie karygodne, lecz dziwne.

W pierwszej chwili założyła, że był na bakier z prawem - kto inny bowiem zadałby sobie tyle trudu, żeby się ukryć, a w związku z prześladowaniem Julie, nasuwało się to w sposób oczywisty - potem jednak odrzuciła to podejrzenie. Niezwracanie na siebie uwagi to jedno, a kompletne zniknięcie to całkiem co innego; Richarda Franklina względnie łatwo mógł znaleźć każdy, kto chciałby go szukać, zwłaszcza policja. Wystarczyło zajrzeć do raportu o zdolnościach kredytowych, gdzie figurował jego adres. Po co więc cała ta maskarada?

To nie ma sensu.

Jennifer spojrzała na zegar, licząc na to, że rozmowa z J.D. Blanchard rzuci trochę światła.

Niestety, musiała poczekać jeszcze dwie godziny.

* * *

Gdy Pete Gandy wszedł do siłowni w przerwie na lunch, zobaczył Richarda Franklina, wyciskającego sztangę w pozycji leżącej. Udało mu się dojść do sześciu ciężarków - nie było to tyle, ile wyciskał Pete, ale całkiem niezły wynik - po czym odłożył sztangę na ławę. Richard usiadł i spojrzał na Pete'a Gandy'ego.

- Dzień dobry panu. Richard Franklin. Jak się pan miewa? Pete podszedł do niego.

- Dziękuję, dobrze. A pan jak się czuje?

- Coraz lepiej - odpowiedział z uśmiechem Richard. - Nie wiedziałem, że pan tu ćwiczy.

- Jestem członkiem od lat.

- Pomyślałem, że też się zapiszę. Dzisiaj jestem tytułem próby. Chce pan poćwiczyć? Ja muszę trochę odpocząć - dodał po chwili milczenia.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Ani trochę.

Przypadkowe spotkanie, towarzyska rozmowa. Następnie po kilku minutach:

- O, właśnie, panie...

- Proszę mówić do mnie Pete.

- Pete - powtórzył Richard. - Właśnie uświadomiłem sobie, że zapomniałem powiedzieć o czymś, co wydarzyło się tamtej nocy, a powinieneś chyba o tym wiedzieć. Tak na wszelki wypadek.

- Tak?

Richard wyjaśnił, o co mu chodzi.

- Tak jak już powiedziałem, chciałem, żebyś o tym wiedział. - zakończył. - Na wszelki wypadek.

Gdy wychodził z siłowni, przypomniał mu się Dugan i jego mina, kiedy rozpiął kurtkę. Idiota.

ROZDZIAŁ 32

Julie zawsze będzie pamiętała ten dzień jako ostatni normalny dzień w swoim życiu.

I to w ogólnym znaczeniu tego słowa, ponieważ od tygodni nic nie wydawało się normalne. Śpiewak krążył niespokojnie po salonie między fotelami, gdy Julie i Mabel pracowały. Wchodzili klienci, nikt jednak nie był szczególnie rozmowny. Julie przypuszczała, że to dlatego, iż nie miała ochoty być tutaj (prawdę mówiąc, nie miała ochoty być gdziekolwiek indziej, chyba że gdzieś bardzo, bardzo daleko stąd) i jej klienci, zwłaszcza kobiety, wyczuwali to.

Gdy mgła się rozproszyła, temperatura wzrosła, a na domiar złego jeszcze przed południem wysiadła klimatyzacja, co spotęgowało wrażenie dyskomfortu. Mabel podparła otwarte drzwi cegłą dało to jednak niewiele, ponieważ do środka wpadało rozgrzane powietrze. Wiatrak pod sufitem mełł je bezskutecznie, a im robiło się później, tym Julie zaczynała się bardziej pocić. Jej twarz błyszczała coraz mocniej, wachlowała się nerwowo bluzką, żeby ochłodzić skórę.

Nie płakała od chwili, gdy Mabel trzymała ją w objęciach, i do czasu, kiedy wstąpił po nią Mike, pozbierała się na tyle, żeby ukryć, iż znowu jest w dołku. Była na siebie zła, że tak się rano poddała. Chętnie wyobrażała sobie, że znosi to wszystko ze spokojną godnością. Co innego nie kryć prawdziwych uczuć przed Mikiem, a zupełnie co innego zdradzać się z nimi przed innymi, nawet przed przyjaciółmi. Od rana Mabel spoglądała na nią ukradkiem, gotowa w każdej chwili ruszyć ku niej z rozpostartymi ramionami i przytulić ją, gdyby tego potrzebowała. Było to bardzo miłe, lecz przypominało Julie, dlaczego jest taka wytrącona z równowagi.

No i Andrea. Nadal się nie pojawiła. Mabel sprawdziła zapisy i ponieważ okazało się, że Andrea nie umówiła klientów na rano, były przekonane, że skoro pierwszą wizytę ma dopiero tuż przed południem, swoim zwyczajem wzięła sobie wolne.

Czas mijał, klienci Andrei zaczęli się schodzić, a jej jak nie było, tak nie było. Julie się zaniepokoiła.

Mimo że się nie przyjaźniły, żywiła nadzieję, że nic się nie stało. Modliła się, żeby dziewczyna nie była z Richardem. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić na policję, ale co miała powiedzieć? Że Andrea nie przyszła do pracy? Wiedziała, że przede wszystkim zapytają czy jej nieobecność jest czymś niezwykłym. Andrea zawsze była niefrasobliwa, jeśli idzie o obowiązki zawodowe.

A w ogóle, to kiedy Richard i Andrea zawarli znajomość? Podczas strzyżenia włosów?

Widać było wyraźnie, że dziewczynie Richard bardzo się podoba, ale z obserwacji Julie wynikało, że on nie odwzajemnia tego zainteresowania. Nie, pomyślała Julie, przez cały czas zerkał w moją stronę. Patrzył na mnie w taki sam sposób, jak wtedy, gdy Edna poszła do samochodu.

Andrea była z Richardem i widziałam, jak ją pocałował, powiedziała Emma.

Zaledwie na kilka godzin przed telefonem Emmy spotkała go w lesie. Poza tym, jeśli byli razem w Morehead City - pół godziny jazdy samochodem ze Swansboro - musiał udać się na spotkanie z Andrea zaraz po „wizycie” u niej. I tak zrobił, zaraz po tym, jak wyznał mi miłość.

Było to kompletnie bez sensu.

Czy Richard wiedział, że Emma jest w pobliżu? Chociaż spotkali się tylko raz, Julie była pewna, że Richard poznałby Emmę, i zastanawiała się, czy miał to być rodzaj wiadomości, którą jej w ten sposób przesyłał. Jeśli tak, nie potrafiła zrozumieć, co to mogło znaczyć. Jeśli chciał uśpić jej czujność, to grubo się pomylił. Tym razem będzie bardziej ostrożna.

Nie ma mowy, wykluczone. Nie zaskoczy jej już więcej.

Przynajmniej tak myślała.

* * *

Jennifer siedziała z długopisem i notatnikiem, gotowa do zrobienia notatek z rozmowy z Caseyem Fergusonem z J.D. Blanchard.

- Tak, oczywiście - rzekł Ferguson, nadal wykręcając się od odpowiedzi - ale nie wolno nam udzielać takich informacji. Akta osobowe są poufne.

- Rozumiem. - Jennifer poprawiła się w fotelu i powiedziała, starając się, żeby jej słowa brzmiały jak najpoważniej: - Jak już mówiłam, prowadzimy śledztwo.

- Mamy surowe przepisy dotyczące poufności. Władze wymagają tego od nas przy zawieraniu kontraktów.

- Rozumiem - powtórzyła Jennifer. - Jeśli okaże się to konieczne, zdobędziemy nakaz sądowy. Nie chciałabym, żeby pańska firma została oskarżona o utrudnianie śledztwa.

- Czy to groźba?

- Oczywiście, że nie - zaprotestowała Jennifer, zdając sobie sprawę, że przeholowała, gdy Ferguson odezwał się znowu.

- Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc. Proszę przyjść z nakazem, a wtedy oczywiście może pani liczyć na naszą współpracę.

Wyłączył się i Jennifer zakłęta pod nosem, odkładając słuchawkę. Zastanawiała się, co robić dalej.

* * *

Tego samego wieczoru, w domu Julie, Mike wziął ją za rękę i zaprowadził do sypialni. Nie kochali się od nocy poprzedzającej spotkanie z Richardem w barze. Mimo to żadne z nich nie odczuwało potrzeby pośpiechu. Kochali się powoli i czule, całując się delikatnie. Później Mike długo trzymał Julie w objęciach, muskając wargami jej skórę między łopatkami. Julie zdrzemnęła się. Obudził ją Mike, który wstał z łóżka. Było już ciemno, ale dość wcześnie. Dochodziła dopiero dziesiąta. Mike włożył dzinsy.

- Dokąd idziesz?

- Muszę wypuścić Śpiewaka na dwór. Chyba potrzebuje wyjść.

Julie przeciągnęła się.

- Jak długo spałam?

- Niedługo, może z godzinę.

- Przepraszam.

- Podobało mi się to. Było mi miło słuchać, jak oddychasz. Musiałaś być naprawdę zmęczona.

Julie uśmiechnęła się.

- Wciąż jestem, ale mam ochotę coś przegryźć. A ty?

- Tylko jabłko.

- Samo? Nie chcesz sera, krakersów, czegokolwiek?

- Nie. Nie jestem głodny.

Gdy wyszedł z pokoju, Julie usiadła i zapaliła lampę, mrużąc oczy, zanim wzrok przystosował się do światła. Wstała i wyjęła z komódki długi podkoszulek. Wciągając go przez głowę, weszła do holu.

Mike stał w drzwiach, czekając na Śpiewaka. Obejrzał się, gdy mijala go w drodze do kuchni. Julie otworzyła lodówkę, wyjęła jogurt, dwa ciasteczka z kawałkami czekolady, a następnie jabłko dla Mike'a.

Kiedy przechodziła przez salon, nagle zamarła. Na biurku, obok kalendarza, częściowo zasłonięty przez stertę katalogów, leżał medalion. Jego widok sprawił, że zrobiło jej się niedobrze. Przed jej oczami przesuwały się obrazy - Richard dający jej medalion, jego mina, Richard przytrzymujący drzwi, Richard czekający na nią w lesie. Nie chciała mieć medalionu w domu, ale z powodu wszystkiego, co się wydarzyło, kompletnie o nim

zapomniała.

Teraz leżał na biurku i zauważyła go bez trudu, chociaż go nie szukała. Dlaczego przedtem go nie spostrzegła?

Za sobą słyszała tykanie zegara. Kątem oka widziała Mike'a opartego o framugę drzwi. W medalionie odbijało się światło lampy, stojącej na niskim stoliku, dla Julie ten błysk był groźny. Uświadomiła sobie, że ręce jej się trzęsą.

Poczta, pomyślała. Tak, to musiało być tak. Gdy kładłam korespondencję na biurku, musiałam go przesunąć. Przełknęła nerwowo ślinę. Prawda?

Nie była pewna. Wiedziała jedynie, że chce się jak najprędzej pozbyć medalionu. Chociaż zdawała sobie sprawę, że to absurdalne, wydawał jej się teraz złowrogi, jak gdyby dotknięcie go mogło sprawić, że Richard nagle się pojawi. Nie miała jednak wyboru.

Zmuszając się do wyciągnięcia ręki, sięgnęła po niego i wysunęła spod katalogów. To zwykła błyskotka, mówiła sobie. Nic poza tym. Pomyślała przez chwilę, że wyrzuci go do śmieci, zamiast tego jednak postanowiła schować go do szuflady, a później sprzedać w jednym z miejscowych lombardów, gdy wszystko się ułoży. Nie dostanie za niego dużo, ponieważ są tam wygrawerowane jej inicjały, ale całą sumę da na tacę podczas niedzielnej mszy. Nie zamierzała czerpać korzyści z tego przedmiotu, pieniądze pójdą na zbożny cel.

Zaniosła medalion do sypialni i rzuciła nań okiem, otwierając szufladę. Kwiatowy wzór na wieczku sprawiał wrażenie, że tworzył go tygodniami ktoś, kto niechybnie bardzo poważnie traktował swoją pracę.

Szkoda, pomyślała Julie. Będę miała szczęście, jeśli dostanę za niego pięćdziesiąt dolarów.

Gdy zaczęła odkładać na bok swoje rzeczy, medalion znowu przyciągnął jej wzrok. Był ten sam, ale coś się zmieniło. Coś...

Nagle zabrakło jej tchu.

Nie, pomyślała. Proszę... nie...

Rozpięła łańcuszek, wiedząc, że jest to jedyny sposób, by się upewnić. Podchodząc do lustra w łazience, przymierzyła łańcuszek, zbliżając jego oba końce na karku, jak gdyby chciała go zapiąć.

Potem patrzyła w lustro, bezskutecznie starając się zachować spokój. Medalion, który spoczywał przedtem między wzniesieniami jej piersi, teraz znajdował się jakieś pięć centymetrów wyżej.

„Kupię ci drugi, krótszy łańcuszek” - powiedział Richard. „W ten sposób będziesz mogła nosić je zamiennie”.

Julie zakręciło się w głowie. Odsunęła się od lustra, wypuszczając łańcuszek, jak gdyby sparzył ją w palce. Medalion stoczył się po jej bluzce, po czym upadł z metalicznym stukiem na posadzkę.

Mimo to nie krzyknęła.

Nie, nie wydała z siebie krzyku jeszcze przez kilka sekund, gdy patrzyła na medalion.

Padając na posadzkę, otworzył się.

Z obu stron wieczka, na zdjęciach wybranych specjalnie dla niej, uśmiechał się do niej Richard.

* * *

Tym razem Jennifer Romanello nie przyjechała sama do domu Julie. Przy kuchennym stole siedział również Pete Gandy, przyglądając się im przez stół z powątpiewającą miną. Medalion leżał na stole i Pete sięgnął po niego.

- Pozwólcie, że wyjaśnimy pewne rzeczy - powiedział, otwierając medalion. - Spuszczasz facetowi łanie, on zaś w rewanżu daje Julie swoje dwa zdjęcia. Czegoś tu nie rozumiem.

Mike zacisnął pięści pod stołem, żeby nie wybuchnąć.

- Już ci mówiłem. Prześladowuje ją.

Pete pokiwał głową, ale wpatrywał się nadal w fotografie.

- Tak, wiem. Powtarzasz to w kółko, ale ja próbuję ewentualnie spojrzeć na to z innego punktu widzenia.

- Z innego punktu widzenia? - spytał Mike. - Czy nie rozumiesz, że to jest dowód? Że był tutaj, w domu? To włamanie i naruszenie własności prywatnej.

- Chyba niczego nie brakuje i nie ma śladów włamania. Gdy wróciliście do domu, drzwi były zamknięte, okna również.

- Nie mówimy przecież, że cokolwiek stąd zabrał! I nie wiem, jak to zrobił, ale się włamał. Musisz tylko otworzyć oczy!

Pete podniósł ręce do góry.

- Uspokój się, Mike. Nie ma powodu do zdenerwowania. Usiłuję jedynie dotrzeć do sedna sprawy.

Zarówno Jennifer, jak i Julie, były zirytowane tak samo jak Mike. Pete uprzedził jednak swoją podopieczną, że zamierza załatwić tę sprawę raz na zawsze i że nie wolno jej odezwać się nawet słowem. Na jej twarzy malowało się przerażenie pomieszane z niezdrową fascynacją, szczególnie po dochodzeniu, które przeprowadziła na własną rękę dzisiejszego

ranka. Czy to możliwe, żeby był tak ślepy?

- Do sedna sprawy?

- Tak - odpowiedział Pete. Pochylił się, odkładając medalion na stół. - Nie twierdzą, że nie wygląda to trochę dziwnie, ponieważ wygląda. Jeśli Julie mówi prawdę, Richard Franklin ma problem, który będzie wymagał złożenia mu wizyty.

Mięśnie na twarzy Mike'a napięły się.

- Julie mówi prawdę - wycedził przez zaciśnięte zęby. Pete zignorował tę uwagę i popatrzył na Julie.

- Jesteś pewna co do wszystkiego? Jesteś pewna, że Richard mógł włożyć zdjęcia do medalionu, wyłącznie włamując się do twojego domu?

Julie skinęła głową.

- I twierdzisz, że nie dotykałaś naszyjnika podczas kilku ostatnich tygodni?

- Zgadza się - odpowiedziała. - Leżał na biurku pod katalogami.

- Daj spokój, Pete - przerwał im Mike - co to ma wspólnego z całą sprawą?

Pete pominął milczeniem jego uwagę, przyglądając się wciąż sceptycznie Julie.

- I nie było innej okazji, kiedy mógłby umieścić te zdjęcia w medalionie? - nie dawał za wygraną. - Ani jednej w ciągu ostatnich kilku tygodni?

Po tych indagacjach w kuchni zapadło milczenie. Pete nie spuszczał wzroku z Julie i pod jego znaczącym spojrzeniem Julie ołśniło nagle, o czym wie Pete. Poczowała bolesne ściskanie w dołku.

- Kiedy ci powiedział? - spytała.

- Co powiedział? - wtrącił Mike. Gdy Julie wreszcie się odezwała, jej głos był spokojny, lecz pełen odrazy.

- Zadzwoił, żeby powiedzieć ci, iż o czymś zapomniał? Tak to się odbyło? A może wpadł gdzieś na ciebie przypadkiem i wtedy wyciągnął tę sensację?

Pete nie potwierdził, ale nie musiał. Nagły, niemal niezauważalny gest jego głowy upewnił Julie, że jej przypuszczenia są słuszne. Prawdopodobnie to ostatnie, pomyślała. Richard na pewno chciał zdradzić mu swoje rewelacje osobiście, żeby Pete mógł go zobaczyć. Żeby można mu było zrobić wodę z mózgu.

Mike tymczasem spoglądał to na Pete'a, to na Julie, próbując zrozumieć, o czym rozmawiają. Toczyła się między nimi zawoalowana wymiana zdań, która pozostawiła mu uczucie, że cała sytuacja wymyka się spod kontroli.

- Czy mogłabyś odpowiedzieć na pytanie? - nie ustępował Pete.

Julie jednak milczała. Patrzyła Pete'owi prosto w oczy, wytrzymując jego wzrok.

- Odpowiedziała na pytanie! - wkroczył w końcu Mike. - Nie, nie było możliwości...

Julie prawie go nie słyszała. Odwróciła się do okna, utkwivszy puste spojrzenie w zaciągniętych zasłonach.

- Tak - odparła beznamiętnie. - Była taka sposobność, kiedy mógł to zrobić.

Pete odchylił się na oparcie krzesła, unosząc brwi.

- Masz na myśli noc, którą spędził tutaj? - spytał.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Jennifer, otwierając usta ze zdumienia.

- Co takiego?! - zawtórował jej Mike.

Julie odwróciła się twarzą do niego.

- Nic między nami nie było - zapewniła go spokojnie. - Absolutnie nic. Zmarła jego matka, był przygnębiony, chciał porozmawiać. Wyłącznie rozmawialiśmy. Potem zasnął na kanapie. Właśnie o tym mówi Pete.

Chociaż wszystko, co powiedziała, było szczerą prawdą, gdy spojrzała na Pete'a, jego mina była potwierdzeniem, że Richard sugerował całkiem coś innego.

Zauważyła, że Mike również to dostrzegł.

* * *

Richard opuścił aparat. Wyposażony w teleobiektyw, służył jako prowizoryczna lornetka, przez którą obserwował Mike'a i Julie, od kiedy wrócili wieczorem do domu. W ciągu dnia nie było nic widać, ale wieczorem, przy zapalonych światłach, rozróżniał cienie. To mu wystarczało.

Dzisiejszego wieczoru go znajdzie. Musiał położyć medalion w bardziej widocznym miejscu po spotkaniu z Pete'em Gandym, wiedział jednak, że Julie zauważy go na biurku.

To paskudne posunięcie, wiedział o tym, ale nie miał innego wyjścia. Czas zakończyć jej zadurzenie w Mike'u raz na zawsze.

* * *

Gdy Mike zamknął drzwi za policjantami, oparł się o nie obiema dłońmi, jak gdyby miał być przeszukany. Stał z pochyloną głową, Julie słyszała jego długie, głębokie wdechy i wydechy. Śpiewak usiadł przy nim, przyglądając mu się ciekawie, jak gdyby myślał, że to jakaś nowa zabawa. Mike nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytał, unosząc brodę. Julie nadal była w kuchni. Odwróciła wzrok.

- Wiedziałaś, że będziesz wściekły.

Mike parsknął ze złością, ona jednak mówiła dalej, jak gdyby tego nie usłyszała.

- Poza tym, byłam pewna, że to zrani twoje uczucia, no i po co miałam w ogóle o tym wspominać. Przysięgam, nic się nie wydarzyło. Tylko rozmawialiśmy.

Mike wyprostował się i odwrócił z gniewną miną.

- To był ten wieczór, kiedy umówiliśmy się po raz pierwszy, prawda? - Pamiętał, że był to również wieczór, kiedy po raz pierwszy próbował ją pocałować, ona jednak mu na to nie pozwoliła.

Julie skinęła twierdząco głową.

- Świetne wycucie czasu, nie uważasz?

Nie był to czas na żarty i Julie natychmiast pożałowała swoich słów. Postąpiła krok naprzód.

- Nie wiedziałam, że przyjdzie. Miałam się właśnie położyć, gdy zapukał do drzwi.

- I co? Tak po prostu go wpuściłaś?

- To nie tak. Pokłóciliśmy się, ponieważ powiedziałam mu, że nie chcę go więcej widzieć. Dałam się ponieść emocjom, a wtedy Śpiewak...

Umilkła. Nie chciała więcej o tym mówić. Nie chciała zagłębiać się w to, ponieważ wydawało jej się to takie bezcelowe.

- Co zrobił Śpiewak? Julie wzruszyła ramionami.

- Ugryzł go. Gdy próbowałam zamknąć drzwi, Richard przytrzymał je dłonią i Śpiewak rzucił się na niego.

Mike wpatrywał się w Julie.

- I nie pomyślałaś, że jest to na tyle ważne, żeby mi powiedzieć? Nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło?

- Właśnie o to chodzi - odrzekła błagalnym tonem. - To nie było ważne. Powiedziałam mu, że nie chcę go widzieć, a on się wkurzył. Mniej więcej tak samo wyglądały ostatnie dwa tygodnie.

Mike skrzyżował ręce na piersi.

- Wyjaśnijmy więc sprawę do końca. Puka do drzwi, kłócicie się, Śpiewak go atakuje, a potem zapraszasz go do środka i spędza u ciebie noc. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale twoja opowieść chyba nie za bardzo trzyma się kupy.

- Nie zachowuj się w ten sposób, Mike. Proszę...

- To znaczy jak? Jak ktoś, kto zdenerwował się, że został okłamany?

- Nie okłamałam cię.

- Nie? Wobec tego, jak to nazwiesz?

- Nie odpowiem ci, ponieważ nie ma to znaczenia. Nie miało znaczenia i nic się nie

stało. To, co się dzieje teraz, nie jest skutkiem tamtej nocy.

- Skąd wiesz? Może to właśnie popchnęło go do takiego, a nie innego działania.

- Ale ja nie zrobiłam nic poza tym, że go wysłuchałam. Mike milczał, patrząc na Julie oskarżycielskim spojrzeniem.

- Nie wierzysz mi? - spytała. - Myślisz, że z nim spałam?

Pozwolił, żeby pytanie zawisło między nimi.

- Sam już nie wiem, co myśleć.

Julie wzdrygnęła się. Miała ochotę naskoczyć na niego natychmiast, nakrzyczeć, opanowała się jednak, ponieważ słowa Richarda dźwięczały w jej głowie.

„Założę się, że nie wspomniałaś mu nawet słowem, iż pozwoliłaś mi spędzić noc w swoim domu. Domyślasz się, jaka będzie jego reakcja?”

Uświadomiła sobie nagle, że to również było częścią planu Richarda. Bawił się nimi, tak jak bawił się Pete'em Gandym. Jak w „Clipper”. Odetchnęła głęboko, zmuszając się, żeby jej głos brzmiał spokojnie, bez gniewu.

- Czy tak właśnie myślisz, Mike? Że spałam z facetem, którego ledwie znam, tego samego dnia, gdy oznajmiłam mu, że nie chcę go więcej widzieć? Gdy powiedziałam ci, że go nawet nie lubię? Znasz mnie od tylu lat, a uwierzyłeś, że mogłabym zrobić coś takiego?

- Nie wiem.

Te słowa zabolowały ją i Julie poczuła, że łzy zbierają się jej pod powiekami.

- Nie spałam z nim.

- Może i nie - rzekł wreszcie Mike. Położył rękę na kłamce. - Jest mi przykro, gdy pomyślę, że mi nie zaufałaś. Zwłaszcza po tym wszystkim, co się działo.

- Ufam ci. Właśnie nie chciałam sprawić ci przykrości.

- Ale zrobiłaś to - odparł. - Zrobiłaś.

Mówiąc te słowa, otworzył drzwi i Julie uświadomiła sobie, że Mike naprawdę zamierza wyjść.

- Zaczekaj, dokąd idziesz? Mike uniósł rękę.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby to przemyśleć, dobrze?

- Proszę. Nie zostawiaj mnie. Nie chcę być dzisiaj sama. Mike nic nie odpowiedział.

Westchnął głęboko, pokręcił głową i wyszedł.

* * *

Richard patrzył, jak Mike idzie do samochodu i zatrząskuje ze złością drzwi furgonetki.

Uśmiechnął się, wiedząc, że Julie w końcu zrozumie, jaki Mike jest naprawdę. Że nie może na nim polegać. Że jest facetem, który działa impulsywnie i kieruje się emocjami. Że nie jest jej wart, nigdy nie był. Że ona zasługuje na kogoś silniejszego, inteligentniejszego, kogoś godnego jej miłości.

Siedzący na drzewie Richard nie mógł doczekać się chwili, gdy wyprowadzi ją z tego domu, z tego miasta, z tego życia, w którym pozwoliła się uwięzić. Podniósł znowu aparat, śledząc cień Julie przez zasłony w salonie.

Nawet jej cień był piękny.

ROZDZIAŁ 33

- Co zrobiła?! - spytał Henry.

- Słyszałeś - odparł Mike. - Pozwoliła mu spędzić noc u siebie.

W ciągu piętnastu minut, które zajęło mu dotarcie do domu Henry'ego, gniew Mike'a tylko się spotęgował. Stali na podwórku przed domem. Emma otworzyła drzwi jeden raz, żeby spytać, co się stało, ale Mike przerwał w pół zdania i popatrzył na nią groźnie, pewien, że bratowa wie już, co zrobiła Julie. Henry podniósł dłoń.

- Daj mi sekundę, dobrze, Em? Mike jest w tej chwili bardzo zdenerwowany.

Emma rzuciła mężowi przed wejściem do domu spojrzenie, które mówiło wyraźnie: „Zamknę drzwi, ale spodziewam się później pełnego sprawozdania”. Henry odwrócił się do brata.

- Powiedziała ci to? - spytał Henry.

- Tak, kiedy była u niej policja...

- Zaraz, zaraz - przerwał mu Henry - to była u niej policja?

- Właśnie odjechali.

- A po co przyjechali?

- Z powodu medalionu. Richard włożył tam swoje zdjęcia. Co ja, u diabła, mam teraz zrobić?

Henry próbował nadążyć za opowieścią Mike'a, ale był coraz bardziej zdezorientowany. Wreszcie położył mu rękę na ramieniu.

- A teraz, uspokój się, Mike. Zaczynj jeszcze raz.

* * *

- Jak długo zamierzasz milczeć? - spytał Pete Gandy. Krążyli wolno po centrum wozem patrolowym. Od chwili wyjścia z domu Julie Jennifer Romanello nie odezwała się nawet słowem. Na dźwięk głosu Pete'a odwróciła głowę do okna.

- Jesteś nadal wściekła z powodu tej historii z Mikiem Harrisem? - spytał. - Bo jeśli tak, to musisz nauczyć się przechodzić do porządku dziennego nad takimi sprawami. Nasza praca nie zawsze jest łatwa.

Jennifer popatrzyła na niego z niesmakiem.

- Może nie być łatwa - powiedziała - ale ty nie musisz zachowywać się jak palant.

- O czym ty mówisz? Nie zachowałem się jak palant.

- Nie? To co miała znaczyć ta drobna uwaga, którą zrobiłeś przy Mike'u? Nie było powodu, żeby ją robić.

- Chodzi ci o to, że wspomniałem o bytności Richarda w jej domu?

Nie zareagowała, ale nie musiała. Nawet Pete kojarzył, że to jest właśnie powód jej strapienia.

- Dlaczego tak się tym denerwujesz? Przecież to prawda, może nie?

Jennifer pomyślała, że z całego serca gardzi tym facetem.

- Nie musiałeś mówić o tym przy Mike'u - zauważyła. - Mogłeś wziąć Julie na bok i spytać ją o to. Potem mogłaby wyjaśnić wszystko Mike'owi.

- Co za różnica?

- A taka, że ich zaskoczyłeś i zapewne przez ciebie porządnie się pokłócili.

- I co z tego? To nie moja sprawa, jeśli nie są wobec siebie uczciwi. Próbowałem dotrzeć do sedna sprawy.

- Jasne - pokiwała głową Jennifer. - I jeszcze jedno. Jak dowiedziałeś się, że spędził tam noc? Rozmawiałeś z Richardem czy co?

- Tak, rzeczywiście z nim rozmawiałem. Spotkałem go w siłowni. Sprawia wrażenia sympatycznego faceta.

- Sympatycznego faceta?!

- Owszem - odpowiedział Pete obronnym tonem. - Dla twojej wiadomości: nie zamierza wnieść oskarżenia. O czymś to świadczy, prawda? Chce zostawić cały incydent za sobą, zapomnieć o nim. Nie wniesie również oskarżenia z powodztwa cywilnego.

- Kiedy zamierzałeś podzielić się ze mną tą rewelacją?

- A czym tu się dzielić? Sprawa jest zakończona, a poza tym ciebie nie dotyczy. Ciągle jeszcze zdobywasz ostrogi.

Jennifer zamknęła oczy.

- Problem polega na tym, że Richard prześladowuje Julie, która jest śmiertelnie przerażona. Dlaczego tego nie dostrzegasz?

Pete pokręcił głową.

- Posłuchaj, Richard powiedział mi o medalionie. Wspomniał o tym na wypadek, gdyby wyskoczyło coś w tym rodzaju. Zwierzył mi się, że włożył zdjęcia wtedy, kiedy spędził z nią noc. I pamiętaj, nawet Julie przyznała, że dawno nie oglądała medalionu, kto więc powie, że on kłamie?

- A nie obchodzi cię nic innego, co mówiła? Że ją śledzi? Nie sądzisz, że zbyt wiele tu zbiegów okoliczności?

- Ej, ej - zaprotestował Pete. - Rozmawiałem z tym facetem dwa razy...

Nagle ożyła radiostacja. Jennifer, nadal rzucając Pete'owi gniewne spojrzenia,

włączyła odbiór.

Sylvia, dyspozytorka, pracująca w policji od dwudziestu lat i znająca niemal wszystkich mieszkańców miasta, powiedziała, jak gdyby sama nie była pewna, co ma o tym myśleć:

- Dostaliśmy właśnie telefon od kierowcy ciężarówki, jadącego autostradą. Zawiadomił nas, że zauważył coś dziwnego w rowie i pomyślał, że może zechcielibyśmy wysłać radiowóz.

- Jak myśli, co to jest?

- Nie powiedział. Chyba bardzo się śpieszył i nie miał ochoty zatrzymywać się, żeby odpowiadać na pytania. Tuż przy autostradzie numer dwadzieścia cztery, jakieś pół kilometra od stacji benzynowej Amoco, po północnej stronie drogi.

- Sprawdzimy - odparła Jennifer, dziękując losowi za cokolwiek, co zmusi Pete'a do zamknięcia ust.

* * *

Mike wyszedł godzinę temu, w domu panowała upiorna cisza. Julie przeszła się po całym domu, sprawdzając, czy okna i drzwi są zamknięte, następnie okrążyła salon, z nieodstępującym jej na krok Śpiewakiem. Z dworu dobiegało cykanie świerszczy, lekka bryza poruszała liśćmi drzew.

Julie skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała w stronę drzwi. Śpiewak usiadł przy niej, z łbem opartym o jej udo. Po chwili zaskomlał i Julie zaczęła go głaskać. Od czasu gdy Mike wyszedł, pies, jak gdyby wiedząc, co się dzieje, nie odstępował jej na krok.

Była pewna, że Richard nie umieścił fotografii w medalionie tamtej nocy, gdy został w jej salonie. Na miłość boską wracał przecież z pogrzebu. I czy jest prawdopodobne, że przypadkowo miał akurat przy sobie dwa malutkie zdjęcia, które włożył do medalionu, gdy ona spała w drugim pokoju?

Wykluczone.

Nie, on musiał tutaj być. W jej domu. Buszując po wszystkich kątach, grzebiąc w szufladach, w jej rzeczach. Co oznacza, że potrafi dostać się do środka.

I może zrobić to znowu.

Julie ze ściśniętym gardłem przeszła do kuchni. Zabrała krzesło od stołu i podparła nim klamkę drzwi frontowych.

Jak Mike mógł ją zostawić? W sytuacji, gdy Richard ją prześladowuje, a Andrea zniknęła? Jak, u diabła, mógł ją zostawić samą właśnie dzisiaj nocy?

Co z tego, że nie powiedziała mu o Richardzie? Co z tego? Nic się nie wydarzyło!

Mike jej nie uwierzył. Była za to na niego wściekła i miała żal. Ale żeby właśnie tej nocy zostawić ją samą...

Julie wybuchnęła płaczem, idąc w stronę kanapy.

* * *

- Wierzysz jej? - spytał Henry.

Mike zerknął na ulicę i westchnął głęboko.

- Nie wiem.

Henry zmierzył go uważnym spojrzeniem.

- Jasne, że wierzysz.

- Wcale nie - odburknął Mike. - Skąd mam wiedzieć, skoro mnie tam nie było?

- Ponieważ znasz Julie - rzekł Henry. - Znasz ją lepiej niż ktokolwiek.

Po długiej chwili napięcie ramion Mike'a wyraźnie zelżało.

- Nie - przyznał w końcu. - Nie sądzę, żeby z nim spała. Henry odczekał moment, zanim zareagował.

- O co więc ten cały krzyk?

- Okłamała mnie.

- Nieprawda. Po prostu ci nie powiedziała.

- To przecież to samo.

- Nic podobnego. Myślisz, że mówię Emmie absolutnie o wszystkim? Zwłaszcza o sprawach, które nie mają znaczenia?

- Ta ma znaczenie.

- Nie dla niej, Mike.

- Jak mogła nie mieć znaczenia? Po tym wszystkim, co się wydarzyło?

Ma rację, pomyślał Henry. Zapewne powinna była mu powiedzieć, ale nie ma sensu teraz się o to sprzeczać.

- Co zrobisz?

- Nie wiem - odparł Mike po namyśle.

Richard widział cień Julie, gdy siadała na kanapie. Wiedział, że płacze, i pragnął wziąć ją w ramiona, pocieszyć, złagodzić jej cierpienie. Podniósł palec do ust, jak gdyby uspokajał małe dziecko. Przeżywał jej emocje jak swoje własne - samotność, strach, zawód miłosny. Nigdy nie wzruszył go tak bardzo widok czyichś łez.

Pamiętał, że nie czuł się w ten sposób, patrząc na łzy matki w ciągu miesięcy, które

nastąpiły po pogrzebie ojca. Właśnie wtedy zaczął ją nienawidzić.

* * *

Gdy Mike wyszedł od Henry'ego, kierując się do domu, nadal miał mętlik w głowie.

Droga zamazywała mu się przed oczami, okolica po jej obu stronach wydawała się nieznamoma.

Julie powinna była mi powiedzieć, pomyślał znowu. Jasne, że by się zdenerwował, ale w końcu przeszedłby nad tym do porządku dziennego. Kocha ją, a czym jest miłość bez zaufania czy wierności?

Był zły również na Henry'ego za to, że prześlizgnął się tylko po tym, co się stało. Może zachowałby się inaczej, gdyby Emma go zdradziła, tak jak Sara Mike'a kilka lat temu. Kto się na gorącym sparzy, ten dmucha na zimne, mówi stare porzekadło.

Tyle że Julie go nie zdradziła. Wiedział, że nie kłamie.

Nie zaufała mu jednak. Zdawał sobie sprawę, że o to naprawdę chodzi. Kwestia zaufania. Nie miał wątpliwości, że powiedziałaaby o wszystkim Jimowi, dlatego więc jemu nie powiedziała?

Czy ich związek różni się tak bardzo od jej związku z Jimem? Czy nie ufa mu tak samo jak Jimowi?

Czy go nie kocha?

* * *

Przycupnięty na drzewie Richard myślał dalej o matce. Miał nadzieję, że po śmierci ojca stanie się lepsza, silniejsza.

Ona tymczasem zaczęła ostro pić, w kuchni było bez przerwy szaro od dymu z papierosów, które wypalała jeden za drugim. Potem stała się brutalna, jak gdyby chcąc zapamiętać męża, przejmując jego zachowanie. Za pierwszym razem, gdy się to zdarzyło, Richard spał w swoim łóżku i nagle obudził go dotkliwy ból, jak gdyby ktoś przytknął mu do ciała palącą się zapałkę.

Matka, z szalonym spojrzeniem, stała nad nim z pasem ojca, zwisającym z dłoni. Tłukła go końcem, na którym znajdowała się sprzączka.

- To wszystko twoja wina! - krzyczała. - Zawsze udawało ci się go rozgniewać!

Pas wznosił się i opadał. Kulił się ze strachu przy każdym uderzeniu, błagając ją, żeby przestała, i próbując się osłonić, ona jednak machała pasem, dopóki ręce jej całkiem nie osłabły.

Nazajutrz wieczorem zrobiła to znowu, tym razem jednak był na to przygotowany i

przyjął lanie z taką samą cichą wściekłością, jak dawniej, kiedy bił go ojciec. Nienawidził jej już wtedy, ale nie mógł nic zrobić, żeby ją powstrzymać, zwłaszcza że policja miała podejrzenia co do sposobu, w jaki zmarł jego ojciec.

Dziewięć miesięcy później, z nogami i plecami w szramach, rozgniół pigułki nasenne matki i wrzucił je do wódki. Położyła się spać i już się nie obudziła.

Rano, gdy stał nad łóżkiem, przyglądając się jej, pomyślał, jak była ograniczona. Mimo że podejrzewała, iż miał coś wspólnego ze śmiercią ojca, nie potrafiła uwierzyć, że może jej się przytrafić to samo. Powinna była wiedzieć, że ma w sobie dość siły, żeby zrobić to, co zrobił. Julie również miała dość siły, żeby zmienić swoje życie. Julie łatwo się nie poddaje.

Podziwiał ją za to. Kochał ją za to.

Oczywiście, nadszedł czas, żeby położyć kres walce. Richard był pewny, że teraz Julie zda sobie z tego sprawę. Może nie świadomie, lecz podświadomie. Teraz, gdy farsa z Mikiem się skończyła, nie ma sensu odkładać tego, co nieuniknione.

Richard zaczął powoli schodzić z drzewa.

* * *

Jennifer Romanello i Pete Gandy minęli stację benzynową Amoco i zjechali na pobocze. Wzięli latarki i wysiedli z radiowozu.

W niewielkiej odległości Jennifer widziała oświetloną stację, samochody nabierające paliwo. Autostradą mknął sznur aut. Pobocze tonęło w blasku wirujących niebieskich i czerwonych świateł, ostrzegających kierowców o obecności policyjnego wozu patrolowego.

- Ty idź w tamtą stronę - rzekł Pete, wskazując w kierunku stacji. - A ja pójde w tę.

Jennifer zapaliła latarkę i rozpoczęła poszukiwania.

* * *

Julie ciągle jeszcze płakała na kanapie, gdy usłyszała jakiś ruch za drzwiami. Śpiewak nastawił uszu i podbiegł, warcząc, do okna. Z zamierającym sercem rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć jako broń.

Gdy Śpiewak zaszczekał, zerwała się z kanapy z oczyma okrągłymi z przerażenia, po chwili jednak zdała sobie sprawę, że pies merda ogonem.

- Julie? - usłyszała znajomy głos zza drzwi. - To ja, Mike.

Podeszła szybko do drzwi i usunęła krzesło, czując ogromną ulgę. Gdy je otworzyła, Mike spojrzał na nią, po czym odwrócił wzrok.

- Wiem, że z nim nie spałaś - oświadczył. Julie skinęła głową.

- Dziękuję.

- Ale chciałbym z tobą o tym porozmawiać.

- Dobrze.

Nie od razu zaczął mówić. Wepchnął ręce do kieszeni i zaczerpnął głęboko powietrza.

- Czy powiedziałaś o tym Jimowi? - spytał w końcu. Julie zamrugła powiekami.

Absolutnie nie spodziewała się tego pytania.

- Tak - odparła. - Powiedziałabym. Mike pokiwał głową.

- Tak myślałem.

- Byliśmy małżeństwem, Mike. Musisz to zrozumieć.

- Wiem.

- To nie ma nic wspólnego z moimi uczuciami do ciebie. Gdybyś zadał mi pytanie, czy powiedziałabym mu o tym w czasach przedmażeńskich, moja odpowiedź brzmiałaby: Nie.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Nie chciałam sprawić ci przykrości. Kocham cię. Gdybym wiedziała, że to wszystko wymknie się spod kontroli, nie tałabym tego przed tobą. Tak czy owak, postąpiłam źle. Przepraszam.

- Ja też cię przepraszam za moje słowa.

Julie zrobiła niepewny krok do przodu, a kiedy Mike się nie cofnął, podeszła bliżej i wsparła się o niego. Poczwała, że obejmuje ją ramionami.

- Chciałbym zostać dzisiaj na noc - wyszeptał - jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Julie zamknęła oczy.

- Miałam nadzieję, że to powiesz.

* * *

Richard wycofał się natychmiast, gdy tylko zobaczył, że Mike parkuje przed domem Julie, i wdrapał się z powrotem na drzewo. Teraz obserwował ich z coraz bardziej pochmurną miną.

Nie, pomyślał. Nie, nie, nie...

Niczym w koszmarze sennym, widział, jak Julie wtula się w ramiona Mike'a, jak on ją przygarnia do siebie... Nie, to się nie dzieje, to nie może się dziać.

Mike wrócił i oboje się obejmowali. Jak gdyby się kochali.

Zmusił się, żeby się uspokoić, odzyskać panowanie nad sobą. Zamknawszy oczy, wyobrażał sobie swoje zdjęcia Jessiki, Julie, ptaków. Powtarzał w myśli instrukcję aparatu fotograficznego - ustawianie właściwej przesłony w aparacie, obiektyw i jego możliwości,

odpowiedni kąt lampy błyskowej, właściwości światła...

Oddech mu się uspokoił, otworzył oczy. Odzyskał panowanie nad sobą, nadal jednak czuł, że kipi gniewem.

Dlaczego, myślał, Julie z uporem powtarza swoje błędy?

Próbował być miły. Próbował postępować fair. Był ogromnie cierpliwy w stosunku do niej i jej małego przyjaciela. Więcej niż cierpliwy.

Zmrużył oczy. Czy ona nie zdaje sobie ani trochę sprawy z tego, do czego go popycha?

* * *

Jennifer omiatała ziemię snopem światła z latarki, szukając czegoś, co zauważył kierowca ciężarówki.

Księżyc zawisł nisko na niebie, poniżej granicy lasu. Tysiące gwiazd migotało na firmamencie. W powietrzu unosiła się ciężka woń spalin. Jennifer posuwała się powoli naprzód, przeszukując wzrokiem skarpe. Nic.

Jakieś dziesięć metrów od drogi rosła kępa sosen błotnych. Otaczające je poszycie było gęste - krzaki i wysoka trawa, przez które nie mogło przedrzeć się światło latarki.

Ruch samochodów nie zmniejszył się, ale Jennifer prawie ich nie zauważała. Szła powoli, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ostrożnie. Uczyniła kolejny krok, gdy usłyszała z boku jakiś szelest.

Gdy poświeciła w tamtą stronę latarką z ciemności rozbłysło nagle dwoje oczu. Zamarła zaskoczona. Spłoszony jelen z zerwał się gwałtownie do ucieczki.

Oddychając głęboko, pochyliła głowę i kontynuowała poszukiwanie. Zbliżyła się już nieco do stacji benzynowej, penetrując pobocze i zastanawiając się, czego w ogóle ma szukać.

Obeszła dookoła wyrzucony worek ze śmieciami, zobaczyła serwetki i aluminiowe puszki, przewracające się na nasypie. Właśnie gdy zaczynała się zastanawiać, czy nie powinna wrócić i pomóc Pete'owi, snop światła latarki padł na coś, czego w pierwszej chwili jej umysł nie chciał zidentyfikować.

Gdy w końcu dotarło do niej, co widzi, krzyknęła przeraźliwie.

* * *

Pete Gandy odwrócił się, słysząc krzyk, i puścił się pędem w kierunku Jennifer. Dotarł do niej w niecałą minutę i wtedy zobaczył ją, pochyloną nad ciałem. Stał jak wryty, niezdolny do ruchu.

- Wezwij natychmiast karetkę! - zawołała Jennifer. Pete zawrócił i pobiegł do

radiowozu.

Starając się opanować przerażenie, Jennifer skoncentrowała się na ciele młodej kobiety, leżącej w rowie. Jej twarz była zakrwawiona i zniekształcona. Na szyi miała ohydny siną pręgę. Jedna z dłoni była wygięta pod dziwnym kątem, najwyraźniej ręka była złamana w nadgarstku. Jennifer sądziła, że dziewczyna jest martwa, dopóki nie dotknęła jej przegubu i nie wyczuła ledwie namacalnego pulsu.

Kiedy Pete wrócił, przykucnął przy Jennifer.

Gdy rozpoznał ofiarę, zwymiotował na pobocze drogi.

ROZDZIAŁ 34

Gdy Julie przyjechała do pracy w czwartek rano, Pete Gandy i Jennifer Romanello już na nią czekali. Poznała od razu po ich minach, co ich tutaj sprowadza.

- Chodzi o Andreę, prawda?

Mabel stała za nimi, oczy miała zaczerwienione, podpuchnięte.

- Och, kochanie... - powiedziała, przechodząc przez salon i rzucając się w ramiona Julie. - Mike i Henry już tutaj jadą... - Mabel wybuchnęła płaczem, drżąc na całym ciele.

- Co się stało?

- Skatował ją - wykrztusiła Mabel. - Omal jej nie zabił... Jest w stanie śpiączki... Lekarze nie potrafią przewidzieć, czy z niej wyjdzie... Musieli przetransportować ją wczoraj wieczorem helikopterem do Wilmington...

Kolana ugięły się pod Julie, ale z trudem wzięła się w garść. Po chwili do salonu wpadli Mike i Henry. Mike popatrzył na Julie i Mabel, a następnie przeniósł spojrzenie na oboje policjantów.

- Co on zrobił Andrei? - spytał.

Jennifer zawahała się. Jak ma opisać podobne pobicie? Krew, połamane kości...

- To było straszne - odezwał się w końcu Pete. - Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego...

Mabel zaczęła znowu szlochać, Julie powstrzymywała się od płaczu. Henry sprawiał wrażenie, jak gdyby sparaliżowała go ta wiadomość, Mike natomiast spojrzał Jennifer prosto w oczy.

- Aresztowaliście Richarda? - spytał.

- Nie - odparła Jennifer.

- Dlaczego, do cholery?!

- Ponieważ nie wiemy, czy to on jest sprawcą.

- Oczywiście, że tak! Do diabła, czy ktoś inny byłby zdolny do takiego bestialstwa?

Jennifer podniosła rękę, starając się zapanować nad sytuacją.

- Posłuchaj, wiem, że wszyscy jesteście zdenerwowani...

- Jasne, że jesteśmy zdenerwowani! - ryknął Mike. - Jak mogłoby być inaczej?! On jest wciąż na wolności, podczas gdy wy marnujecie czas tutaj z nami!

- Weź na wstrzymanie - powiedział ze zniecierpliwieniem Pete i Mike odwrócił się ku niemu.

- Na wstrzymanie? To ty spieprzyłeś całą sprawę! Gdybyś nie był takim

beznadziejnym idiotą, nic by się nie stało! Mówiłem ci, że ten facet jest niebezpieczny! Błagałem, żebyś coś zrobił! Zbyt cię bawiło odgrywanie twardego gliniarza, żebyś dostrzegł, co się dzieje.

- Uspokój się...

Mike szarpnął się ku niemu.

- Nie mów mi, co mam robić! To twoja wina!

Pete zacisnął wargi i postąpił krok w kierunku Mike'a, ale nagle wskoczyła między nich Jennifer.

- To nie pomoże Andrei! - krzyknęła. - A teraz cofnijcie się obaj! Już!

Mike i Pete mierzyli się gniewnym wzrokiem, ciągle spięci. Jennifer mówiła śpiesznie dalej:

- Posłuchajcie, nie wiedzieliśmy o Richardzie. - Popatrzyła na Julie i Mike'a. - Żadne z was nie wspomniało nawet słowem, że widziano z nim Andreę, a ją znaleźliśmy wczoraj wieczorem po wyjściu od was z domu. Była już w sypialni i nie mieliśmy możliwości dowiedzenia się, kto jej to zrobił. Zostaliśmy z Pete'em na miejscu zbrodni aż do świtu i przyjechaliśmy rano tutaj, ponieważ jest to miejsce pracy Andrei, a nie dlatego że cokolwiek podejrzewaliśmy. Mabel powiedziała nam o nim i o Andrei niespełna pięć minut temu. Rozumiecie?

Mike i Pete nadal piorunowali się wzrokiem, w końcu Mike ustąpił. Zaczepnął tchu i rzekł:

- Tak, rozumiem. Jestem po prostu zdenerwowany. Przepraszam.

Pete ciągle jeszcze nie ochłonął i nie spuszczał z Mike'a wściekłego spojrzenia. Jennifer zwróciła się do Julie:

- Mabel powiedziała, że Emma widziała Richarda z Andreą w Morehead City, tak?

- Tak - odrzekła Julie. - Dwa dni temu. Wtedy, gdy spotkałam go w lesie.

- I żadne z was nie wiedziało, że się z nią spotyka? Jeśli w ogóle to były randki?

- Nie - odparła Julie. - Andrea nic o tym nie wspomniała. Po raz pierwszy usłyszałam o tym od Emmy.

- Mabel?

- Nie. Mnie też nic nie mówiła.

- I wczoraj nie zjawiała się w pracy?

- Nie.

- Nie wydało ci się to dziwne? Skoro wiedziałas, że widziano ją z Richardem?

- Jasne, że się niepokoiłyśmy, ale musielibyście znać Andreę - wyjaśniła Mabel. - To

nie był pierwszy raz, kiedy nie przyszła do pracy. To u niej normalne.

- Zwykle nie dzwoniła?

- Czasami, ale nie zawsze. Jennifer spojrzała znowu na Julie.

- Dlaczego nie wspomniałaś nic o Andrei i Richardzie, kiedy byliśmy u ciebie wczoraj wieczorem z Pete'em?

- Nie myślałam o tym. Byłam zbyt zdenerwowana medalionem, a później, kiedy Pete powiedział...

Jennifer pokiwała głową, wiedząc dokładnie, co Julie ma na myśli.

- Czy mogłaby przyjść tutaj Emma? Chciałabym usłyszeć, co ona ma do powiedzenia.

- Nie ma sprawy - odparł Henry. - Zaraz do niej zadzwonię.

Chcąc mieć pewność, że wszystko jest jasne, Jennifer jeszcze raz zrekapitułowała kolejność wydarzeń, po czym przeszła do ogólniejszych pytań: gdzie Andrea lubiła udzielać się towarzysko, z kim się przyjaźniła, z kim jeszcze była związana? Była to standardowa procedura, Jennifer wiedziała bowiem, że brak poszukiwania ewentualnych innych podejrzanych mógłby być wykorzystany przez obronę do oskarżenia policji w sądzie o stronniczość.

Gdy Jennifer zadawała kolejne pytania, Julie trudno się było skoncentrować. Choć była przygnębiona tym, co przytrafiło się Andrei, nie potrafiła przestać myśleć, że Richard śledzi ją od tygodni. Był w jej domu. Ona może stać się kolejną ofiarą.

Przyjechała wreszcie Emma. Oczy miała zaczerwienione od płaczu. Jennifer zadała jej te same pytania.

Emma nie wiedziała nic więcej poza tym, co powiedziały już Julie i Mabel, podała jednak miejsce, gdzie ich widziała - przed barem „Mosquito Grove”, tuż przy nabrzeżu.

Skończywszy zadawać pytania Emmie, Jennifer popatrzyła w bok.

- Czy będziecie miały coś przeciwko temu, jeśli przeszukam stanowisko Andrei? Mogła zostawić coś, dzięki czemu zorientujemy się, czy spotykała się z Richardem już wcześniej, czy to był pierwszy raz.

- Ależ proszę bardzo - zapewniła Mabel.

Jennifer otwierała kolejno szuflady, przeglądając ich zawartość. Zamknęła je i podnosząc głowę, zauważyła zdjęcie Andrei, zatknięte za lustro.

- Mogę je pożyczyć? Na wypadek, gdyby było potrzebne?

- Jasne - zgodziła się Mabel.

Jennifer przyjrzała się uważnie fotografii Andrei.

- Dobrze - westchnęła - to na razie tyle.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami. Jennifer wiedziała, że powinna się pewnie pożegnać, ale podeszła do Mike'a i Julie.

Po godzinach spędzonych w ich kuchni uważała ich niemal za przyjaciół.

- Pragnę was oboje przestrzec - powiedziała - że jeśli sprawcą jest Richard, to jest on zdolny do wszystkiego. Nigdy w życiu nie widziałam kogoś tak skatowanego. Po prostu nie da się tego opisać. To szaleniec. Chciałam się upewnić, że zdajecie sobie z tego sprawę.

Mike przełknął z trudem ślinę, tak miał ściśnięte gardło.

- Zróbcie wszystko, co w waszej mocy dla własnego bezpieczeństwa. Oboje - dodała Jennifer.

* * *

Gdy wracali do radiowozu, Jennifer szła obok Pete'a, nie odzywając się. On też milczał. Musiała go docenić nie tylko za to, że pozwolił jej prowadzić przesłuchanie, lecz również z powodu nowej determinacji, którą zauważyła na jego nachmurzonej twarzy.

Wsiedli do samochodu, Pete włożył kluczyki do stacyjki, ale odchylił się na oparcie siedzenia, nie zapalając silnika. Zapatrzył się przed siebie.

- Ona mnie strzyże - powiedział w końcu.

- Andrea?

- Tak. Dlatego wczoraj wieczorem wiedziałem od razu, kto to.

Jennifer siedziała w milczeniu, patrząc na Pete'a, który zamknął oczy.

- Nie zasługiwała na to, co się jej przytrafiło. Nikt na coś takiego nie zasługuje.

Jennifer położyła mu dłoń na ramieniu.

- Przykro mi - powiedziała.

Potrząsnął głową, jak gdyby próbował zapomnieć to, co widział poprzedniego wieczoru. Włączył silnik.

- Pora chyba złożyć Richardowi wizytę - rzekł cicho Pete Gandy. - Wolałbym go raczej zaskoczyć, jeśli się uda. Nie chcę, żeby miał czas na wymyślenie jakiejś bajeczki. Jeśli on ją zmasakrował, chcę, żeby za to zapłacił. Ciężko.

Jennifer złożyła ręce na kolanach. Pete skręcił w kierunku mostu, za oknem przemykały zamazane sylwetki drzew i budynków.

- Nie będzie go tam - powiedziała Jennifer. - Złożył wymówienie kilka tygodni temu.

Pete spojrzał na nią. Pod oczyma miał ciemne kręgi. W zacienionej kabinie samochodu wyglądał na równie wykończonego jak ona.

- Skąd wiesz?

- Dzwoniłam do działu personalnego w J.D. Blanchard. Pete nie spuszczał z niej wzroku.

- Sprawdziałaś go?

- Nieoficjalnie.

Pete wrócił spojrzeniem na drogę i zjechał na bok, zatrzymując się pod rozłożystą magnolią.

- Może zaczniesz od początku i opowiesz mi dokładnie, co robiłaś. - Sięgnął po termos i nalał sobie kawy. - Nie martw się, że pakujesz się w kłopoty. To zostanie między nami.

Jennifer wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać.

* * *

W salonie Henry patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem, Mike był blady jak ściana, Mabel ocierała łzy. Emma, wyglądająca jak gdyby miała za chwilę zemdleć, wtuliła się w Henry'ego. Julie skrzyżowała dłonie na piersi i kołysała się powoli na kanapie, w tył i w przód, w tył i w przód.

- To nie do uwierzenia - wymówiła szeptem Emma. - Po prostu nie do uwierzenia. Jak on mógł jej zrobić coś takiego?

Żadne z nich nie odpowiedziało. Mabel spuściła wzrok.

- Chyba pojedę dzisiaj do niej. Nie przychodzi mi nic innego do głowy.

- To moja wina - powiedziała Julie. - Powinnam była ją ostrzec, żeby trzymała się od niego z daleka po tym, gdy strzygła mu włosy. Widziałam, że jest nim zafascynowana.

- Nie mów głupstw, to nie twoja wina! - zaprotestował Mike. - Nie udałoby ci się niczemu zapobiec. Nie byłaby ona, to byłby ktoś inny.

Na przykład ja.

Mike przysunął się bliżej.

- Ona wyjdzie z tego. Julie pokręciła głową.

- Tego nie wiesz, Mike. Nie możesz tego obiecać. Powiedziała to z większym zniecierpliwieniem, niż zamierzała, i Mike odwrócił głowę. Nie, pomyślał, nie mogę.

- Po prostu nie rozumiem! - wybuchnęła Julie. - Dlaczego musiał przyjechać akurat tutaj? Jest tyle innych miast. I dlaczego Andrea? Ona mu przecież nic nie zrobiła.

- Jest nienormalny - stwierdziła Mabel. - Mam nadzieję, że kiedy go złapią, zamkną go na bardzo, bardzo długo.

Jeśli go złapią, pomyślała Julie.

W ciszy, która zapadła, Henry spojrzął w okno, potem na Julie.

- Policja ma słuszość co do tego, że powinniście się mieć na baczności - oświadczył.
- Nie możecie zostać tutaj.

Julie przeniosła wzrok na Henry'ego.

- Zwłaszcza po tym, co spotkało Andreę - mówił dalej Henry. - Zwłaszcza że był w twoim domu, Julie. Tu nie jest już bezpiecznie dla żadnego z was.

- Gdzie mamy wyjechać?

- Dokądkolwiek. Po prostu wyjedźcie z miasta. Ukryjcie się, póki policja go nie schwyta. - Umilkł. - Możecie skorzystać z naszego domu na plaży. Tam was nie znajdzie.

- On ma rację - przytaknęła mężowi Emma. - Musicie się stąd wynieść.

- A co będzie, jeśli się mylisz? - spytała Julie. - Jeśli mnie znajdzie?

- Nie znajdzie. Dom nie jest nawet zarejestrowany na nasze nazwisko. Jest w zarządzie powierniczym, nie ma możliwości, żeby Richard doszedł, że to nasza własność. Od dwóch miesięcy nikogo tam nie było, wykluczone, żeby w ogóle dowiedział się o jego istnieniu. Nie wiedziałby nawet, gdzie szukać.

- Na myśl o wyjeździe tam przechodzą mnie ciarki - powiedziała Julie. - Jest zbyt spokojnie.

- Może wolisz zatrzymać się u mnie? - zaproponował Mike.

- Nie - odparła. - Jestem pewna, że on również wie doskonale, gdzie ty mieszkasz.

- Jedźcie - powiedziała Mabel. - Henry ma rację. Tutaj jest zbyt niebezpiecznie.

- A jeśli on nas śledzi? Jeśli obserwuje mnie w tej chwili? Pięć par oczu mimo woli powędrowało spojrzeniem ku oknu.

- Weź mój samochód - podsunął Henry. - Nie, weź samochód Emmy. I ruszaj natychmiast. Mike i ja sprawdzimy na zewnątrz, czy Richard się tu nie kręci. Jeśli nie, jedź do autostrady i trzymaj się jej. Droga jest prosta i zobaczysz, jeśli ktoś będzie za tobą jechał. Gdy dotrzesz do Jacksonville, skręcaj wiele razy bez sensu, by się upewnić, że nie masz ogona. Najważniejsze, żebyś uciekła stąd, zanim Richard zorientuje się, że cię nie ma.

- A co z policją? Czy nie powinnam ich powiadomić?

- Biorę to na siebie. Jedź. A przede wszystkim nie zahaczaj pod żadnym pozorem o dom.

Mike i Julie wynieśli się po kilku minutach.

* * *

Przez najbliższe dziesięć minut Jennifer zdawała relację z tego, czego się dowiedziała - dziwna sprawa zdolności kredytowych, nowa firma w Ohio, która zastąpiła dawną w

Kolorado, Richard, który stara się nie zwracać na siebie uwagi, oskarżenie Jake'a, że Richard jest niebezpieczny, fakt, że nie pracuje już w J.D. Blanchard. Pete bębnił palcami po kierownicy, a gdy skończyła opowiadać, pokiwał głową. Zrobił minę, jak gdyby uważał bez zastrzeżeń, że wszystko, co powiedziała, miało sens.

- Wiedziałem, że w tym facecie jest coś podejrzanego - rzekł. - Wiesz, że nawet w siłowni wydawał mi się jakiś zbyt gładki?

Jennifer wpatrywała się w niego bez słowa. Chociaż odczuwała ulgę, że chyba doznał wreszcie olśnienia, i żałowała, że musiał zderzyć się z okrutną rzeczywistością, by tak się stało, przynajmniej był teraz po jej stronie.

- Tak, słyszałam - skwitowała krótko jego słowa.

Pete nie zwrócił uwagi na jej ironiczny ton i postukał znowu palcami w kierownicę.

- Skoro więc nie pracuje, to gdzie jest? - spytał.

- Nie mam pojęcia. Możemy spróbować znaleźć go w domu.

Pete skinął głową.

- Wobec tego jedźmy tam.

* * *

W piętnaście minut później Pete i Jennifer wjechali na podjazd wiktoriańskiego domu. Wysiadając z samochodu, oboje odpięli kabury, przeszukując wzrokiem teren.

Gdy podeszli bliżej, Jennifer pomyślała, że dom wygląda na bardziej zaniedbany niż z drogi. We frontowych oknach były spuszczone rolety. Nie było nigdzie widać samochodu, chociaż zarośnięty chwastami podjazd prowadził na tyły domu.

Silnik radiowozu tykał, stygnąc. Stado szpaków poderwało się z drzew ze świergotem i skrzekiem. Obok Jennifer i Pete'a śmignęła wiewiórka, szukając bezpiecznego schronienia na wyższych gałęziach sosny. Poza tym nic, żadnych innych dźwięków. Za oknami nie było widać żadnego ruchu.

- Wygląda na to, że nasz podejrzanym zwiął - powiedział szeptem Pete.

Nie, pomyślała Jennifer z nagłą pewnością, on wciąż tu jest.

* * *

Richard obserwował ich zza drzew. Był znowu na dworze, czyszcząc wnętrze samochodu - wcześniej przepatrzył już wszystkie kąty w domu, żeby wyeliminować najbardziej ewidentne ślady tego, co zdarzyło się tamtej nocy - kiedy usłyszał, że są na podjeździe.

Rzecz jasna, spodziewał się ich, tyle że nie tak szybko.

* * *

Pete i Jennifer podeszli ostrożnie do drzwi wejściowych, deski werandy skrzypiały pod ich ciężarem. Stojąc przed oblażącymi z farby drzwiami, wymienili spojrzenia, po czym Pete zapukał. Jennifer odsunęła się na bok, trzymając dłoń na kaburze. Mierzyła baczny spojrzeniem okna.

Nagle instynktownie wyciągnęła broń.

* * *

Richard obserwował policjantów.

Odetchnął głęboko, po czym cofnął się cicho między drzewa, zastanawiając się, jak mogli tak szybko skojarzyć z nim Andreę?

DNA? Nie, pomyślał, to wymaga czasu, przynajmniej tygodnia. Andrea musiała coś komuś powiedzieć, mimo że kazał jej trzymać buzię na kłódkę. A może ktoś ich widział razem? W barze albo w Morehead City?

Nieważne. Zdawał sobie sprawę, że jego czas jako Richarda Franklina dobiegł końca. Sytuacja z Andreą tylko przyspieszyła nieuniknione. Mimo że wcześniej posprzątał, miał świadomość, że nie dało się usunąć wszystkich dowodów tego, co zrobił Andrei. Współczesna medycyna sądowa rozwinęła się do tego stopnia, że eksperci potrafią odkryć znikome ślady krwi lub pasemka włosów, i dlatego nie zadał sobie nawet trudu, żeby ukryć ciało dziewczyny. Jeśli udało im się jakimś sposobem uzyskać nakaz rewizji - co było tylko kwestią czasu - znajdą to, czego potrzebują, żeby go oskarżyć.

Żałował jednak, że zabrakło mu godziny na pozбиieranie rzeczy stanowiących jego własność. W domu zostały aparaty oraz obiektywy i Richard nie mógł przeboleć, że musi się z nimi rozstać. Jak również z fotografiami, zwłaszcza Jessiki, które znajdowały się w teczce. Wiedział, że jest mało prawdopodobne, iż policja byłaby w stanie wykorzystać je po to, by dowiedzieć się więcej o Jessice - zniszczył starannie wszystkie zdjęcia, które mogłyby choć w najmniejszym stopniu zdradzić, gdzie mieszkali - ale nie zdoła ich odtworzyć.

Szkoda mu było także zdjęć Julie, ale tym się tak bardzo nie martwił. Będą mieli resztę życia na nadrobienie tego, będzie mógł fotografować ją do woli.

Był ciekaw, czy Julie wie już o Andrei. Przypuszczalnie tak, pomyślał. Najprawdopodobniej policjanci właśnie od niej wyszli. Co ona teraz zrobi?

Ucieknie, pomyślał natychmiast. Tak jak uciekła od matki. Będzie próbowała się ukryć i bez wątpienia zabierze ze sobą tego durnia. W rzeczywistości pewnie już wyjechała.

Jeszcze jeden powód, żeby stąd zniknąć.

Rozwazał różne ewentualności. Jeśli poszli sprawdzić tyły domu...

Ryzykowne przedsięwzięcie, ale jaki ma inny wybór? Zaczął się cicho skradać do radiowozu.

* * *

- Obejdźmy dom od tyłu - powiedziała szeptem Jennifer. Pistolet w jej dłoni wydawał się dziwnie lekki. - Mam przeczucie, że on wciąż tutaj jest.

Pete skinął głową i zeszli z werandy. Pete skierował się ku zwirowanemu podjazdowi, kiedy jednak zobaczył, że Jennifer idzie w drugą stronę, zawahał się przez krótką chwilę, a następnie podążył za nią. Z tej strony domu musieli przemykać się między drzewami, gałązki trzeszczały po ich stopami. Wysokie trawy i chwasty ocierały się z szelestem o mundury obojga. Zanim weszli na tyły domu, zatrzymali się. Jennifer, która szła pierwsza, przylgnęła do ściany domu i ostrożnie wyjrzała za róg.

Stał tam samochód Richarda, drzwi od strony pasażera były otwarte.

Trzymając pistolet na wysokości piersi, lufą do góry, kiwnęła głową w tamtym kierunku. Pete podniósł również z wolna broń.

Jennifer wyjrzała znowu, szukając wzrokiem Richarda, po czym skinęła na Pete'a, żeby szedł za nią. Skradali się przez podwórko na tyłach domu, starając się robić to możliwie najciszej.

Minęli narożne okna.

Przez cały czas nasłuchując.

Jennifer zauważyła, że ptaki umilkły.

Przechodząc obok werandy, spostrzegli, że drzwi wejściowe są otwarte. Wskazała w tamtym kierunku i Pete pokiwał głową na znak, że rozumie, po czym zaczął przesuwac się w stronę domu.

Samochód był teraz blisko. Z wnętrza dobiegał cichy dźwięk radia ustawionego na stację w Jacksonville, nadającą dawne przeboje.

Jennifer przystanęła, rozglądając się na boki.

On gdzieś tu jest, pomyślała.

I obserwuje nas.

Śledzi nas. Tak jak śledził Julie. W pamięci stanął jej obraz zmasakrowanej twarzy Andrei. Obejrawszy się przez ramię, zobaczyła, że Pete jest już na werandzie i zbliża się do otwartych drzwi.

Właśnie wtedy usłyszeli krzyk.

Było to przeraźliwe zawodzenie, przejmujące i piskliwe, Jennifer drgnęła, omal nie pociągając za spust. Zawahała się tylko przez moment, po czym spojrzeli na siebie z Pete'em.

Dźwięk dochodził od frontu domu.

Pete zeskoczył z werandy i puścił się pędem w stronę, z której nadeszli. Jennifer zawróciła i pobiegła za nim. Okrążyli róg i pomknęli znowu między drzewami, liście i gałązki siekły im twarze.

Gdy jednak dotarli przed front domu, nie dostrzegli niczego.

Wszystko było dokładnie tak jak przedtem.

Rozdzielili się wtedy - Pete zbliżał się cały czas do fasady domu, a Jennifer posuwała się przed siebie, w głąb podwórka.

Zaschło jej w ustach, oddychała z trudem, próbując zachować zimną krew. Nieco dalej zauważyła kępę niskopiennych drzew, otoczoną gęstymi krzakami.

Obejrzała się, potem spojrzała znowu przed siebie.

Czuła, że pistolet w jej dłoni robi się śliski od potu.

Z pewnością tam właśnie się ukrywa, pomyślała. Przyczaił się i chce, żebym po niego przyszła. Za sobą słyszała kroki Pete'a na zwirowanej nawierzchni.

Jennifer trzymała broń przed sobą na wysokości piersi, tak jak uczył ją ojciec.

- Panie Franklin, tu policja. Detektyw Jennifer Romanello. Mam broń gotową do strzału - zawołała. - Proszę wyjść z rękami podniesionymi do góry.

Pete odwrócił się na dźwięk jej głosu i widząc, co robi, ruszył prędko za nią, przecinając podjazd. Podobnie jak Jennifer, pistolet miał odbezpieczony.

Na podwórzu za domem rozległ się warkot uruchamianego samochodu. Silnik zawył, gdy kierowca wcisnął gaz do dechy, kamienie wystrzeliły spod opon. Samochód wyjechał ostro zza domu i pędził prosto na nich.

Pete'a dosłownie wmurowało w ziemię, nie ruszał się z podjazdu. Zobaczył samochód na moment przed Jennifer.

Kierowca nie zwolnił.

Przez ułamek sekundy Pete stał jak sparalizowany. Wycelował w samochód, ale zawahał się i nawet Jennifer zdawała sobie sprawę, co się stanie.

Dosłownie w ostatniej chwili Pete uskoczył z drogi i auto przemknęło z rykiem silnika obok niego. Upadł na pierś, niczym baseballista, wślizgujący się na bazę, pistolet wysunął mu się z dłoni.

Jennifer miała ćwierć sekundy na oddanie strzału, zrezygnowała jednak ze względu na manewr Pete'a i złą widoczność przez gałęzie drzew.

Samochód pędził podjazdem z rykiem silnika, wszedł ostro w zakręt, po czym zniknął z pola widzenia, zostawiając za sobą pióropusz drobnych kamyczków.

Jennifer pobiegła w stronę Pete'a. Podnosił się właśnie i zanim do niego dotarła, zaczął już szukać swojego pistoletu.

Po chwili znaleźli go i pognali do radiowozu, nie mówiąc do siebie nawet słowa. Jennifer wskoczyła na siedzenie obok kierowcy, oboje równocześnie zatrzasnęli drzwi. Pete sięgnął automatycznie do kluczyków w stacyjce.

Kluczyków nie było.

W tej samej chwili Jennifer zauważyła, że przewody radiostacji zostały wyrwane z tablicy rozdzielczej.

Warkot samochodu Richarda ucichł.

- Cholera! - zaklął głośno Pete, uderzając pięścią w kierownicę.

Jennifer wyjęła szybko telefon komórkowy i zadzwoniła na komisariat. Ponieważ było to nieduże miasteczko i zaledwie kilku policjantów na służbie, nie liczyła specjalnie, że uda im się dopaść Richarda. Gdy się rozłączyła, Pete popatrzył na nią.

- Co teraz robimy?

- Wchodzę do środka.

- Bez nakazu rewizji?

Jennifer otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

- Chciał cię przejechać i prawdopodobnie zamierza zrobić krzywdę komuś innemu.

Uważam, że to uzasadniony powód do wkroczenia. A ty?

Pete Gandy bez słowa wysiadł za nią.

Mimo przyływu adrenaliny i rozczarowania, nie mógł nie zauważyć, że jeśli idzie o zdobywanie ostróg, Jennifer Romanello robi zadziwiająco szybkie postępy.

* * *

Gdy weszli do środka, Jennifer przeżyła zaskoczenie, widząc, jak zwyczajne jest to wnętrze.

To mógłby być dom każdego, pomyślała.

Kuchnia była niebywale czysta. Zlewozmywak lśnił w promieniach słońca, nad nim wisiała starannie złożona ścierka do naczyń. Na kuchence nie było ani jednego garnka, ani jednego brudnego talerza na bufecie. Gdyby zrobiła zdjęcie, nikt nie zauważyłby niczego, co byłoby nie tak. Choć lodówka była stara - wyglądała jak modele reklamowane w katalogu Searsa tuż po drugiej wojnie światowej - i brakowało zmywarki do naczyń oraz mikrofalówki,

w kuchni panowała niemal domowa atmosfera, taka, jaką pamiętają dzieci, gdy myślą o dziadkach.

Jennifer przeszła dalej, mijając wnękę jadalną. Było to zaskakująco widne pomieszczenie, promienie słońca wpadały przez szyby, kładąc się złotymi smugami na podłodze. Wzorzyste tapety - delikatne motywy kwiatowe na jasnożółtym tle - oraz dębowe karnisze nadawały pokojowi aurę dostatku. Stół był prosty, krzesła ustawione wokół niego idealnie równo.

Znalazła się teraz w salonie, jeszcze raz myśląc, że i on niczym szczególnym się nie wyróżnia. Meble były niewyszukane, wszystko na miejscu... Ale...

Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, co ją razi.

Nie ma tu niczego osobistego, pomyślała. Kompletnie niczego. Żadnych fotografii, obrazów na ścianach, czasopism ani gazet na stoliku, żadnych kwiatów. Ani aparatury stereo, ani płyt kompaktowych, ani telewizora.

Tylko kanapa, dwa niskie stoliki i lampy.

Jennifer popatrzyła w kierunku schodów. Pete szedł tuż za nią, z pistoletem w dłoni.

- Raczej pusto, co? - powiedział.

- Idę na górę - odparła.

Pete nie odstępował jej na krok. Będąc na górze, zajrzeli do korytarza, a następnie otworzyli drzwi po prawej stronie. Znaleźli się w ciemni i przekręcili wyłącznik. Skąpana w czerwonym blasku, Jennifer poczuła nagle, że robi jej się słabo, gdy zrozumiała, czym zajmował się Richard, od kiedy rzucił pracę.

- Boże, zmiłuj się nad nami - wykrztusiła.

* * *

Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, Richard zwolnił, gdy tylko wjechał na główną drogę.

Serce waliło mu jak młotem, ale był wolny! Wolny! Uciekł w sytuacji, gdy ucieczka wydawała się niemożliwa. Roześmiał się głośno. Miał wciąż przed oczyma miny policjantów, gdy pędził podjazdem, i odczuwał z tego powodu niemal fizyczną rozkosz.

Niedobrze, że Pete'owi Gandy'emu udało się umknąć spod kół. Richard wyobrażał sobie wspaniały głuchy stuk, który nastąpiłby po zderzeniu ciała policjanta z jego samochodem, niestety, Pete dożyje do jutrzejszego dnia.

Wybuchnął znowu śmiechem, upojony radością, i zaczął koncentrować się na swoim planie.

Musi pozbyć się samochodu, ale chciał odjechać jak najdalej od Swansboro. Skręcił na autostradę prowadzącą do Jacksonville. Zaparkuje samochód tam, gdzie nieprędko go odnajdą, i zacznie szukać Julie.

Pamiętał, że Jessica też kiedyś chciała uciec i myślała, że jest ostrożna. Przejechała autokarem pół kraju i miała nadzieję, że po prostu pozwoli jej odejść. On jednak ją wyszedził. Gdy otworzył drzwi pokoju w podupadłym motelu, gdzie się zatrzymała, i zastał ją siedzącą na łóżku, nie była nawet zaskoczona jego widokiem. Spodziewała się go i w rezultacie to czekanie ją wykończyło. Nie miała nawet siły płakać. Kiedy podał jej medalion, zawiesiła go na szyi, jak gdyby wiedziała, że nie ma wyboru.

Pomógł jej wstać z łóżka, nie zwracając uwagi na jej apatyczne ruchy, i wziął ją w ramiona. Ukrył twarz w jej włosach, wdychając jej zapach, Jessica zaś stała ze zwisającymi bezwładnie rękami.

- Nie sądziłaś chyba, że tak łatwo pozwolę ci odejść? - spytał cicho.

- Proszę - wyszeptała.

- Powiedz to - zażądał.

- Nie, nie mogłeś pozwolić mi odejść - wymówiła załamującym się głosem.

- Postąpiłaś źle, uciekając, prawda?

Jessica wybuchnęła płaczem, przewidując, co za chwilę nastąpi.

- Och... błagam... nie rób mi krzywdy... błagam, nie znowu...

- Ale ty próbowałaś uciec - powiedział. - Sprawiałaś mi ból, Jessico.

- Och... Boże... błagam... nie...

* * *

Stojąc w drzwiach prowadzących do ciemni, Pete Gandy zamrugał powiekami kilkakrotnie i pokręcił głową, jak gdyby próbując ogarnąć to wszystko rozumem.

Ściany były dosłownie wytapetowane zdjęciami Julie. Julie wychodząca z salonu i wsiadająca do samochodu, Julie w lesie na spacerze z Śpiewakiem, Julie przy kolacji, Julie w supermarkecie, Julie na werandzie z tyłu domu, Julie czytająca poranną gazetę, Julie odbierająca pocztę, Julie na plaży, Julie na ulicy, Julie w sypialni.

Julie wszędzie, gdzie była w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Jennifer poczuła, że coś się w niej załamuje. Nawet ona się tego nie spodziewała. Chciała zostać dłużej, wiedziała, jak ważne jest sprawdzenie reszty domu pod kątem śladów bytności Andrei. Pete stał wciąż jak wmurowany w progu.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział szeptem, gdy przechodziła obok niego. W

drugiej sypialni Jennifer znalazła sprzęt fotograficzny Richarda. Wisiało tam lustro, również w otoczeniu fotografii. Jennifer podeszła do ostatnich drzwi, które, jak przypuszczała, prowadziły do jego sypialni. Mimo że nie była pewna, czy jej postępowanie jest zgodne z prawem, zdecydowała się jednak pomyszkować trochę, czekając na przyjazd posiłków.

Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła podniszczoną komodę, która sprawiała wrażenie, jak gdyby zostawił ją ktoś, kto kiedyś tutaj mieszkał. W szafie znalazła powieszony porządnie garnitur.

Pod przeciwległą ścianą stał kosz na brudną bieliznę, a na podłodze przy łóżku telefon.

Ale to fotografia w ramce, ustawiona na nocnej szafce, przykuła jej uwagę.

W pierwszej chwili pomyślała, że to Julie. Takie same włosy, oczy o podobnej barwie, ni to błękitnej, ni zielonej, jednakże po chwili Jennifer zdała sobie sprawę, że to nie Julie, lecz ktoś ogromnie do niej podobny. Kobieta na fotografii, przytulająca rózę do policzka, była młodsza od Julie o kilka lat, jej uśmiech był niemal dziecienny.

Gdy brała fotografię do ręki, zauważyła nagle medalion zawieszony na szyi kobiety. Ten sam medalion, który Julie pokazywała jej w kuchni.

Ten sam...

Trąciła coś stopą. Coś ciężkiego, co jednak przesunęło się nieco. Gdy spojrzała w dół, spostrzegła, że spod łóżka wystaje teczka.

Wyciągnęła ją i położyła na narzucie.

Wewnątrz znajdowało się kilkadziesiąt zdjęć kobiety z ramki na szafce nocnej, Jennifer zaczęła je przeglądać.

Do sypialni wszedł Pete i stanął za nią.

- Co to jest? - spytał. Jennifer pokręciła głową.

- Więcej fotografii - odpowiedziała.

- Julie?

- Nie - odparła wreszcie Jennifer, podnosząc głowę i spoglądając na niego. - Nie wiem na pewno, ale przypuszczam, że Jessiki.

ROZDZIAŁ 35

W ciągu czterdziestu minut dom Richarda Franklina zapełnił się policjantami ze Swansboro oraz szeryfami z hrabstwa Onslow. Ekipa ekspertów medycyny sądowej zdejmowała odciski palców i szukała śladów bytności Andrei.

Jennifer i Pete stali na zewnątrz domu z ich komendantem, Russellem Morrisonem - szorstkim, potężnym mężczyzną o siwych, przerzedzających się włosach i zbyt blisko osadzonych oczach. Kazał im dwukrotnie powtórzyć relację z całego wydarzenia, a następnie wysłuchał meldunku Jennifer o tym, czego się wcześniej dowiedziała.

Gdy skończyła, Morrison nadal kręcił głową. Urodził się i wychował w Swansboro, toteż czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo w mieście. Poprzedniego wieczoru przyjechał jako jeden z pierwszych na miejsce, gdzie znaleziono Andreę, chociaż spał kamiennym snem, gdy do niego zatelefonowano.

- To ten sam facet, na którego napadł Mike Harris w barze? Ten, którego Julie Barenson oskarżyła o to, że ją prześladowuje?

- Tak - odpowiedziała Jennifer.

- Ale nie macie konkretnego dowodu łączącego Franklina z tą zbrodnią?

- Jeszcze nie.

- Rozmawialiście z sąsiadami Andrei, czy przypadkiem go nie widzieli?

- Nie. Przyjechaliśmy tutaj prosto z salonu. Russell Morrison rozważał to, co usłyszał.

- Fakt, że uciekł, nie oznacza, że to on skatował Andreę. Podobnie jak wszystko, czego się o nim dowiedzieliście.

- Ale... - zaprotestowała Jennifer i Morrison podniósł rękę.

- Nie twierdę, że jest niewinny. Do diabła, usiłował zabić policjanta, a to nie ujdzie mu na sucho. - Spojrzał na Pete'a. - Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno. Jestem cholernie wkurzony, ale czuję się dobrze.

- To świetnie. Ty prowadzisz śledztwo, ale zamierzam włączyć w nie wszystkich.

Pete skinął głową. Ich rozmowę przerwał nagle Fred Burris, jeden z policjantów sprawdzających dom. Szedł do nich śpiesznie.

- Panie komendancie? - zawołał. Morrison odwrócił się ku niemu.

- Tak?

- Chyba coś mamy - oznajmił.

- Co takiego?

- Krew - odpowiedział po prostu Burris.

* * *

Wakacyjny dom Henry'ego znajdował się na Topsail Island, skrawku lądu mniej więcej kilometr od brzegu, około czterdziestu minut od Swansboro. Pofalowane diuny, upstrzone kępami turzycy i biały piasek przyciągały wczasowiczów. Chętnie przyjeżdżały tu w lecie całe rodziny, a niektórzy mieszkali nawet przez cały rok. Gdy nadchodziła wiosna, turyści anektowali wyspę dla siebie.

Tak jak we wszystkich domach na wyspie, część mieszkalna została wybudowana nad garażem i powierzchnią magazynową, przewidzianą na wypadek sztormów. Z werandy na tyłach domu schodki prowadziły na plażę, z okien rozciągał się niczym nieprzesłonięty widok na toczące się fale.

Julie stała przy oknie, wpatrując się w ich nieustanny ruch.

Nawet tutaj nie potrafiła się zrelaksować ani poczuć bezpiecznie.

Zatrzymali się z Mikiem po drodze w sklepie spożywczym i kupili jedzenia na co najmniej tydzień, potem wstąpili do Wal - martu, żeby zaopatrzyć się w podstawowe ciuchy na kilka dni. Żadne z nich nie miało pojęcia, jak długo tu zostaną, a Julie nie chciała pokazywać się publicznie, jeżeli nie będzie musiała.

Zasłony były zaciągnięte w każdym oknie, z wyjątkiem tego jednego. Mike wstawił samochód Emmy do garażu, żeby nie było go widać z szosy. W drodze Mike poszedł za radą Henry'ego i trzykrotnie zbaczal z autostrady, krążąc po okolicznych ulicach i bez przerwy patrząc we wsteczne lusterko. Nikt za nimi nie jechał, tego byli pewni. Mimo to Julie nadal nie mogła uwolnić się od przeświadczenia, że Richard jakimś sposobem ją znajdzie.

Mike wkładał na miejsce spożywcze zakupy, Julie słyszała, jak otwiera i zamyka szafki.

- Może go już złapali - odezwał się w końcu.

Julie nie odpowiedziała. Śpiewak podszedł do niej i trącił ją nosem w biodro. Machinalnie położyła mu dłoń na łbie.

- Dobrze się czujesz?

- Nie - odparła. - Nie bardzo. Mike pokiwał głową. Głupie pytanie.

- Mam nadzieję, że Andrea z tego wyjdzie - powiedział. Kiedy Julie nie zareagowała, Mike popatrzył na nią.

- Jesteśmy tutaj bezpieczni. Wiesz o tym, prawda? Nie ma mowy, żeby się dowiedział, że się tu schroniliśmy.

- Wiem.

Nie była jednak wcale taka tego pewna i czuła tak ogromny lęk, że mimowolnie cofnęła się od okna. Ledwie się poruszyła, Śpiewak natychmiast czujnie nastawił uszy.

- Co się stało? - spytał Mike.

Julie pokręciła głową. Po plaży spacerowały dwie pary, idąc skrajem brzegu w przeciwnych kierunkach. Za ledwie kilka minut temu obie minęły dom, nawet na niego nie spoglądając. Poza tym nie było absolutnie nikogo.

- Nic - odpowiedziała wreszcie.

- Piękny widok, prawda?

Julie odwróciła wzrok. Prawdę mówiąc, nawet tego nie zauważyła.

* * *

Morrison, który przejął dowodzenie, stał w otoczeniu grupy policjantów przed domem Richarda, przedstawiając w skrócie, co się dzieje, i co musi być zrobione.

- Policja w Jacksonville i biuro szeryfa szukają samochodu, żeby sprawdzić, czy może nas to naprowadzić na ślad tego typka - powiedział - a tymczasem, oto, co trzeba załatwić.

Wskazywał kolejno podwładnych, przedstawiając im szybko zadania.

- Haroldson i Teeter, pojedziecie na teren budowy mostu i porozmawiacie z każdym członkiem ekipy, który mógłby wiedzieć choćby cokolwiek o miejscach, gdzie bywał Franklin. Dokąd chodzi, jakich ma znajomych, co lubi robić... Thomas, ty zostaniesz tutaj, gdy ekipa zakładu medycyny sądowej będzie szukała dowodów. Dopilnuj, żeby wszystko zewidencjonowali i opisali... W tym przypadku przepisy muszą być ściśle przestrzegane... Burris, chcę, byś pojechał do mieszkania Andrei i wypytał sąsiadów. Dowiedz się, czy ktoś widział u niej tego faceta... Johnson, masz podobne zadanie. Pojedziesz do Morehead City, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze może potwierdzić, że Andrea i Richard Franklin byli razem... Puck, dowiedz się, czy widywano Andreę z jakimś innym facetem, który mógłby to zrobić. Przypuszczam, że namierzylimy sprawcę, ale wiesz, jacy są obrońcy. Musimy wziąć pod lupę wszystkich ewentualnych podejrzanych...

Odwrócił się do Jennifer i Pete'a.

- A wy oboje macie zebrać informacje o tym facecie. Liczy się każdy drobiazg. Spróbujcie wywieść się czegoś również o Jessice. Chciałbym z nią porozmawiać, jeśli się tylko uda.

- A co z nakazem dla J.D. Blanchard? - spytała Jennifer. Morrison spojrzął jej w oczy.

- Zostaw to mnie.

* * *

Podobnie jak Julie i Mike, Richard Franklin wstąpił do sklepu. Zostawił samochód w odległym rogu szpitalnego parkingu - gdzie nie zwróci uwagi, nawet jeśli będzie stał przez kilka dni w tym samym miejscu - wziął torby z zakupami i przeszedł do następnej przecznicy, po czym udał się do toalety na stacji benzynowej. Zamknął za sobą drzwi. Spoglądając w brudne lustro nad umywalką, zaczął znowu metodycznie zmieniać swój wygląd.

W plastikowych torbach znajdowały się przedmioty niezbędne do tego celu (a robił to już po raz drugi) - brzytwa, nożyczki, farba do włosów, samoopalacz oraz tanie okulary do czytania. Niewiele, dość jednak, żeby nie poznać go z daleka. Żeby ukryć się na krótką metę nawet z bliska. Dość, żeby ją znaleźć.

Istniał jednak pewien problem. Dokąd uciekła? Bo tego, że uciekła, był absolutnie pewien. Nikt nie odbierał telefonu w salonie, a gdy zadzwonił do garażu, jeden z fagasów Henry'ego powiedział, że Mike również wyjechał.

Czyli uciekła, ale dokąd? Richard uśmiechnął się, wiedząc, że wkrótce znajdzie odpowiedź na to pytanie. Ludzie popełniają błędy, nawet gdy starają się być bardzo ostrożni. A jej błąd bez wątpienia sprowadzał się do tego, że ktoś wiedział dokładnie, gdzie ona jest.

Wiedzą prawdopodobnie Henry, Emma i Mabel. No i z pewnością policja. Zechcą z nią porozmawiać, powiedziec jej, co odkryli, mieć ją na oku.

Któraś z tych osób, nie miał co do tego wątpliwości, zaprowadzi go pod drzwi Julie.

Gwizdał cicho pod nosem, zaczynając zmieniać swój wygląd. Po półgodzinie wynurzył się na światło dzienne jako opalony blondyn w okularach i bez wąsów. Zupełnie inny człowiek.

Pozostało mi tylko znaleźć nowy samochód, pomyślał. Ruszył ulicą w kierunku centrum handlowego naprzeciwko szpitala.

* * *

Gdy Jennifer wróciła do komisariatu, zadzwoniła natychmiast na policję do Denver, gdzie odsyłano ją od Annasza do Kajfasza, dopóki wreszcie nie trafiła na detektywa Cohena. Przedstawiła mu się i opowiedziała o dochodzeniu. Usłyszała, jak Cohen zagwizdał cicho.

- Ta - ak, zobaczę, co da się zrobić. Nie siedzę przy moim biurku, pozwól więc, że oddzwonię za kilka minut.

Jennifer odłożyła słuchawkę i spojrzała na Pete'a. Telefonował do różnych linii lotniczych w portach lotniczych w Jacksonville, Raleigh oraz Wilmington, próbując dowiedzieć się, czy Richard wyjechał z miasta wtedy, gdy powiedział Julie, że był na pogrzebie matki. Jeśli tak, chcieli wiedzieć, dokąd się udał, licząc na to, że doprowadzi ich to

do kogoś, kto będzie mógł opowiedzieć im więcej na jego temat.

Morrison siedział w gabinecie. U niego znajdowało się centrum dowodzenia, gdzie napływały informacje od detektywów. Kilka minut temu zadzwonił Thomas z wiadomością, że ekipa zakładu medycyny sądowej znalazła na pościeli ślady męskiego nasienia, a teraz sprawdzają dokładnie łóżko w poszukiwaniu dodatkowych dowodów.

Kiedy oddzwonił Cohen, Jennifer podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Mamy informacje o kilku Richardach Franklinach - powiedział. - Nie jest to rzadkie nazwisko, toteż system odnalazł ich więcej. Podaj mi coś konkretnego.

Jennifer opisała krótko Richarda, podając jego wzrost i wagę, kolor włosów i oczu, przybliżony wiek, rasę.

- Dobra, daj mi chwilę.

Słyszała przez telefon, jak Cohen wklepuje informacje do komputera.

- Hm - mruknął w końcu.

- Co?

- Chyba nie mamy dla ciebie żadnych wiadomości - rzekł niezdecydowanie.

- Nic? Nawet aresztowania?

- Nie. Przynajmniej na podstawie danych, które od ciebie dostałem. W naszej kartotece figuruje siedmiu osobników o nazwisku Richard Franklin. Czterech z nich to Afroamerykanie, jeden nie żyje, jeden jest już po sześćdziesiątce.

- A co z ostatnim?

- Typowy ćpun. Jest mniej więcej w tym samym wieku co ten twój facet, ale poza tym nic się nie zgadza. Wykluczone, żeby mógł udawać inżyniera nawet przez jeden dzień. W ciągu ostatnich dwudziestu lat był częstym gościem w więzieniu. Z kartoteki wynika, że nigdy nie mieszkał pod adresem, który podałaś.

- Jest coś poza tym? Moglibyście sprawdzić w kartotekach hrabstwa? A może w innych miastach?

- Mam tu wszystko - odparł Cohen równie zawiedzionym tonem jak Jennifer. - System został uaktualniony dwa lata temu. Mamy informacje o wszystkich aresztowanych w naszym stanie od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku. Gdyby został aresztowany gdziekolwiek w stanie Kolorado, wiedzielibyśmy o tym.

Jennifer postukała długopisem o notatnik.

- Czy mógłbyś mimo to przefaksować mi zdjęcie tego ostatniego faceta? Albo załączyć do maila?

- Jasne. Nie sądzę jednak, żeby to był ten wasz facet - odparł Cohen cicho. Milczał

przez chwilę, po czym dodał: - Posłuchaj... gdybyś potrzebowała jeszcze czegoś, daj mi znać. Ten typak to chyba kawał drania. Wolelibyśmy raczej, żeby nie chodził po ulicy.

Skończywszy rozmowę z Cohenem, Jennifer zadzwoniła z kolei do wydziału policji w Columbus, Ohio, modląc się, żeby tym razem bardziej dopisało jej szczęście.

* * *

Tego samego ranka Mabel zamknęła salon i pojechała do szpitala. Teraz, siedząc przy Andrei na oddziale intensywnej opieki medycznej, ujęła jej dłoń, mając nadzieję, że Andrea jakimś sposobem wie, że ona jest tutaj.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - powiedziała szeptem, próbując właściwie przekonać samą siebie. - Twój rodzice wkrótce do ciebie przyjadą.

Urządzenie monitorujące akcję serca pikało jednostajnie w odpowiedzi. Spojrzenie Mabel padło na telefon.

Bardzo chciałyby wiedzieć, czy są jakieś postępy w śledztwie. Zastanawiała się, czy nie zatelefonować do Pete'a Gandy'ego, ale była nadal wściekła na niego za to, że dopuścił do tak fatalnego rozwoju sytuacji, i z pewnością nie potrafiłaby się powstrzymać, żeby na niego nie nakrzyczeć. Mike miał rację. Gdyby Pete wziął poważnie słowa Julie, nic by się nie stało. Dlaczego musiało dojść do czegoś tak potwornego? Jak, u licha, udało mu się zaliczyć szkolenie?

Usłyszała czyjeś kroki. Obejrzała się. To pielęgniarka przyszła sprawdzić, czy w stanie Andrei nie nastąpiła zmiana. Robiła to co dwadzieścia minut.

Doktor powiedział, że pierwsze dwadzieścia cztery godziny są decydujące. Jeśli Andrea ma wyjść ze śpiączki bez uszkodzenia mózgu, prawdopodobnie do tego czasu jej stan się poprawi.

Mabel przyglądała się ze ściśniętym gardłem krzątaniu pielęgniarki, sprawdzającej funkcje życiowe i robiącej notatki.

Z jej miny Mabel wyczytała, że nie nastąpiła żadna zmiana.

* * *

Jennifer skończyła rozmowę z policją w Columbus w chwili, gdy Morrison wyszedł ze swego gabinetu.

- Mam nakaz - powiedział. - Sędzia Riley podpisał go kilka minut temu i właśnie przesyłają go faksem do J.D. Blanchard. Powinniśmy niebawem otrzymać informacje, chyba że włączą w to swoich prawników i spróbują przeciągnąć sprawę.

Jennifer skinęła głową, nie potrafiła jednak ukryć rozczarowania.

- Nadal nic? - spytał Morrison. Jennifer pokręciła przecząco głową.

- Nic. Absolutnie nic. Nawet mandatu za przekroczenie prędkości w Ohio ani Kolorado. Żadnego aresztowania, zapisu, że był podejrzany w jakiegokolwiek sprawie.

- Faks z Denver nic nie pomógł?

- To nie nasz poszukiwany. Nie jest ani trochę podobny. - Mimo to przyglądała się bacznie zdjęciu mężczyzny. - Nie rozumiem. Taki facet nie zjawia się przecież znikąd. Jestem przekonana, że popełnił już kiedyś coś takiego. Musi figurować gdzieś w archiwum. - Jennifer przeczesła palcami włosy. - Są jakieś nowe doniesienia z domu Franklina?

- Wygląda na to, że ostatnio tam posprzątał. Ekipie udało się zebrać to i owo, ale nie wiemy, czy cokolwiek z tego będzie dla nas przydatne, dopóki nie zbadamy dokładnie. Ktoś już wiezie próbkę krwi do Wilmington. Tamtejsza policja ma najlepsze laboratorium w całym stanie i gdy tylko otrzymają obie próbki, porównają je z próbkami krwi Andrei ze szpitala. To numer jeden na liście priorytetów i przy odrobinie szczęścia uzyskamy potwierdzenie. Ale grupa krwi się zgadza. Andrea ma grupę A plus i taka jest właśnie grupa próbki. Nie występuje tak często jak O, wydaje się zatem wielce prawdopodobne, że to nasz podejrzany.

- Nie ma nic ciekawego z Morehead? Albo od robotników z budowy?

- Na razie nie. Franklin jest chyba niezbyt towarzyskim człowiekiem. Haroldson i Teeter nie znaleźli nikogo, kto by go lubił, nie mówiąc już o kumplowaniu się. Nikt nawet nie wiedział, gdzie mieszka. Nie rozmawiali jeszcze ze wszystkimi, ale nie sądzę, żeby i ci okazali się pomocni. Co do Burnsa i Pucka, mówią, że nikt z sąsiadów Andrei nie pamięta Franklina. Na wszelki wypadek zbierają informacje o innych ewentualnych podejrzanych. Andrea miała skłonność do zadawania się z dość brutalnymi facetami i Puck zajął się teraz ich personaliami.

- Richard Franklin jest poszukiwanym przez nas facetem - powtórzyła po raz kolejny Jennifer.

Morrison podniósł ręce do góry, jak gdyby zdawał sobie z tego sprawę.

- Będziemy to wiedzieli z całą pewnością za parę godzin - oświadczył. - W Morehead City Johnson pokazuje zdjęcie Andrei, komu się da. Notabene, miałaś dobry pomysł, biorąc fotografię. Do tej pory niczego nie znaleźliśmy. Jest tam sporo barów i restauracji, a oni pojechali dopiero niedawno. Wieczorne zmiany zaczynają się około piątej po południu, przypuszczam więc, że to potrwa.

Jennifer pokiwała ze zrozumieniem głową. Morrison wskazał na telefon.

- Czy udało ci się zdobyć jakieś informacje o Jessice?

- Nie - odparła Jennifer. - Jeszcze nie. To mój kolejny krok.

* * *

Julie siedziała na kanapie z Śpiewakiem u boku. Pies miał czujnie nastawione jedno ucho. Mike włączył telewizor i skakał przez jakiś czas po kanałach, aż wreszcie go wyłączył. Przeszedł się po całym domu, upewniając się, że drzwi wejściowe są zamknięte, po czym wyrztał przez okno na ulicę.

Spokój. Absolutny spokój.

- Zadzwoń chyba do Henry'ego - rzekł w końcu. - Dam mu po prostu znać, że dojechaliśmy szczęśliwie.

Julie skinęła głową.

* * *

Jennifer poświęciła całą uwagę fotografiom, które znalazła w teczce Richarda. W przeciwieństwie do Julie, Jessica najwyraźniej pozowała radośnie do większości z nich. Chyba rzeczywiście była jego żoną. Jennifer zauważyła, że na kilku zdjęciach miała pierścionek zaręczynowy, do którego dołączyła później ślubna obrączka.

Niestety, zdjęcia niewiele mówiły o samej Jessice - jeśli było to jej prawdziwe imię. Nie miały też na odwrocie żadnych adnotacji, które zdradzałyby jej panięskie nazwisko albo dostarczały jakichkolwiek wskazówek, gdzie zostały zrobione. Nie było na nich żadnych charakterystycznych obiektów i Jennifer, przejrawszy je pobieżnie, pomyślała, że trudno będzie dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Szukała w Internecie jakiegokolwiek wzmianki o Jessice Franklin - na przykład w Kolorado lub Ohio - i zajrzała na strony prezentujące zdjęcia. Znalazła ich kilka, żadne jednak nie przedstawiało kobiety, której szukała. To jej nie zdziwiło. Po rozwodzie większość kobiet wraca do swego panięskiego nazwiska...

A jeśli wcale się nie rozwiedli?

Udowodnił już, jak potrafi być brutalny. Jennifer popatrzyła na telefon. Po chwili wahania zadzwoniła do detektywa Cohena w Denver.

- Oczywiście, nie ma sprawy - odpowiedział, słysząc, o co go prosi. - Od kiedy zadzwoniłaś, myślałem o tym facecie. Nie wiem dlaczego, ale jego nazwisko brzmi dla mnie znajomo. Chyba nie będę miał zbyt wiele kłopotu ze sprawdzeniem. Chwileczkę.

Jennifer czekała, Cohen tymczasem szukał w komputerze.

- Nie - rzekł w końcu. - Nie ma żadnych ofiar morderstwa ani zaginionych osób, które nosiłyby imię i nazwisko Jessiki Franklin.

- Czy jest jakikolwiek sposób, żebyś dowiedział się czegoś o ich małżeństwie? Kiedy

zostało zawarte, jak długo trwało?

- Nie mamy pod ręką informacji tego typu, ale w hrabstwie mogą nimi dysponować. Powinnaś zajrzeć do dokumentacji podatku od nieruchomości, ponieważ większość domów jest zapisana na nazwiska obojga małżonków i może to być dla ciebie punkt zaczepienia. Musisz jednak znaleźć kogoś, kto ma dostęp do archiwów. No i, oczywiście, jeśli przyjmujemy, że wzięli ślub w tym okręgu.

- Pamiętasz numer?

- Nie, ale zaraz sprawdzę.

Słyszała, jak otwiera szufladę, klnie pod nosem, a następnie woła do któregoś z kolegów, żeby podał mu książkę telefoniczną.

Za chwilę przedyktował jej numer. Jennifer zapisywała go właśnie, gdy Pete podszedł śpiesznie do jej biurka.

- Daytona - powiedział nagle. - Ten sukinsyn pojechał do Daytona wtedy, gdy rzekomo był na pogrzebie matki...

- Daytona? Czy nie stamtąd pochodzi Julie?

- Nie pamiętam - odparł szybko Pete - ale zaczekaj... jeśli umarła jego matka, może znajdziemy jakieś informacje o niej w nekrologu. Zdobyłem już gazetę i właśnie drukuję nekrologi. Sprytne, co?

Jennifer nie odpowiedziała, zastanawiając się nad jego słowami.

- Nie sądzisz, że to dziwne? - spytała. - Mam na myśli to, że jego matka umarła w tym samym mieście, w którym dorastała Julie?

- Może oboje tam dorastali.

Możliwe, ale mało prawdopodobne, pomyślała Jennifer, kręcąc głową. Brzmi to niewiarygodnie. Tym bardziej że istnieje dowód na to, iż był w Denver cztery lata temu, a Julie z pewnością wspomniałaby o jakichś wspólnych historiach. Ale... po co pojechał do Daytona?

Jennifer nagle zbladła.

- Masz telefon do matki Julie? - spytała.

- Nie - odpowiedział.

- Zdobądź go. Myślę, że powinniśmy z nią porozmawiać.

- A co z nekrologami?

- Daj sobie z nimi spokój. Nie mamy nawet pewności, czy historia o jego matce jest prawdziwa. Zdobądźmy raczej wykaz rozmów telefonicznych Franklina. Może dowiemy się, do kogo dzwonił.

Powinam to była zrobić na samym początku, olśniło ją nagle. Zapłata za przemądrzałość.

- Wykaz rozmów?

- Z jego domu, Pete. Zdobądź billingi Richarda Franklina. Pete zamrugał powiekami, starając się za nią nadażyć.

- Czyli nekrologi są nieważne?

- Nie. On nie pojechał tam zobaczyć się ze swoją matką. Pojechał, żeby wywęszyć jak najwięcej o przeszłości Julie. Daję głowę.

* * *

Henry siedział z Emmą przy kuchennym stole, obserwując w zamyśleniu muchę, tłukącą się o szybę.

- Czyli są pewni, że nikt za nimi nie jechał? Henry skinął twierdząco głową.

- Tak powiedział mi Mike przez telefon.

- Myślisz, że rzeczywiście są bezpieczni?

- Mam nadzieję, dopóki jednak nie złapią tego sukinsyna, nie zaznam chwili spokoju.

- A jeśli go nie złapią?

- Wytropią go.

- A jeśli jednak nie? - spytała ponownie Emma. - Jak długo będą zmuszeni się ukrywać?

Henry potrząsnął głową.

- Tak długo, jak będzie trzeba. - Milczał przez chwilę. - Chyba powinienem zadzwonić i powiadomić policję, gdzie są.

* * *

Jennifer nawijała w zamyśleniu na palec pasmo włosów, kończąc rozmowę z Henrym.

- Dziękuję za to, że mnie poinformowałeś - powiedziała. - Jestem ci naprawdę wdzięczna. Do widzenia.

A zatem wyjechali z miasta, pomyślała, odkładając słuchawkę. Z jednej strony, w ich sytuacji pewnie zrobiłaby to samo Ale z drugiej strony, gdyby potrzebowali pomocy, są tak daleko... Mimo że Topsail znajduje się jeszcze na terenie hrabstwa od Swansboro dzieli je przynajmniej czterdzieści minut jazdy samochodem.

Archiwa podatku od nieruchomości okazały się ślepą uliczką Dom figurował wyłącznie pod nazwiskiem Richarda Franklina.

Nie mając gdzie się zwrócić w poszukiwaniu informacji Jennifer skoncentrowała się

znowu na fotografiach. Wiedziała że mogą powiedzieć jej coś nie tylko o obiekcie, lecz również o fotografii. Richard był całkiem niezły - wiele zdjęć było naprawdę pięknych i mimo woli się na nie zagapiła. Stwierdziła że Richard Franklin nie był zwyczajnym niedzielnym fotografem, lecz kimś, kto postrzegał fotografię jako sztukę. Miało to sens, zważywszy na to, jaki sprzęt znaleźli w jego domu.

Nie było to coś, co od razu zwróciło jej uwagę, ale czy ta świadomość może się na coś przydać? Nie była pewna.

Mimo to im dłużej przyglądała się zdjęciom, tym bardziej była przekonana, że jest na właściwym tropie, że jest to prawidłowy tok myślenia. Aczkolwiek nie miała w tej chwili pewności, jakie są odpowiedzi - a szczerze mówiąc, nawet pytania - gdy wpatrywała się w fotografię i zastanawiała się, co mówią o Richardzie, nie potrafiła się oprzeć przeczuciu, że zbliża się do czegoś istotnego.

ROZDZIAŁ 36

W Denver detektyw Larry Cohen rozmyślał o rozmowach telefonicznych.

Jennifer Romanello prosiła o informacje na temat Richarda Franklina i choć Cohen przeszukał bazę danych bez powodzenia, był pewien, że już przedtem słyszał to nazwisko. Tak jak powiedział Jennifer, brzmiało znajomo.

Oczywiście mógł je słyszeć przy wielu okazjach. Mógł to być, na przykład, któryś ze świadków w setkach spraw. Niewykluczone też, że widział kiedyś to nazwisko w gazecie, a może nawet spotkał kogoś nieznanego na jakimś przyjęciu lub będąc gdzieś przejazdem.

Przecucie mówiło mu jednak, że to nazwisko ma coś wspólnego ze sprawami kryminalnymi.

Ale skoro nie został aresztowany, to o co chodziło?

Wstając od biurka, postanowił przejść się i popytać kolegów. Może ktoś pomoże mu rozwikłać tę zagadkę.

* * *

W godzinę później Morrison wynurzył się ze swego gabinetu z billingami oraz z informacją z J.D. Blanchard, którą dostarczył im kiedyś Richard Franklin. Faks zawierał jego życiorys oraz wzmianki o poprzednich przedsięwzięciach, w których był zatrudniony jako konsultant.

Pete wziął wykaz połączeń telefonicznych. Jennifer odłożyła zdjęcia i zaczęła studiować informację z J.D. Blanchard.

W lewym górnym rogu życiorysu Richard wymienił adres mieszkania w Columbus, ale to poniżej odkryła kopalnię złota. Dla kogo pracował i kiedy; wykaz firm, wcześniejsze doświadczenie, wykształcenie.

- Mam cię - powiedziała do siebie cicho. Zadzwoiła do informacji, po czym wybrała numer Lentry Construction w Cheyenne, w stanie Wyoming, ostatniej firmy, w której pracował Richard przed założeniem własnej.

Przedstawiła się recepcjonistce, która połączyła ją z Clancym Edwardsem, wiceprezesem, związanym z firmą od prawie dwudziestu lat.

- Richard Franklin? Oczywiście, że go pamiętam - odpowiedział niemal natychmiast Edwards. - Był świetnym kierownikiem. Naprawdę znał się na swojej robocie. Nie byłem zdziwiony, kiedy postanowił się usamodzielnąć.

- Kiedy rozmawiał pan z nim ostatnio?

- O, rany... Niech pomyślę. Przeniósł się do Denver. Musiało to być jakieś osiem lub

dziewięć lat temu. Pracowaliśmy nad... och, zaraz, chwileczkę... to byłby dziewięćdziesiąty piąty prawda? To chyba było...

- Przepraszam, panie Edwards, ale nie wie pan przypadkiem, czy Franklin był żonaty? Do Edwardsa dopiero po chwili dotarło, że Jennifer zadała mu kolejne pytanie.

- Żonaty?

- Tak, czy był żonaty? Edwards roześmiał się cicho.

- Wykluczone. Wszyscy wiedzieliśmy doskonale, że jest gejem...

Jennifer przycisnęła słuchawkę bliżej do ucha, mając wątpliwości, czy się nie przesłyszała.

- Zaraz, zaraz. Jest pan pewny?

- No, może nie na sto procent. Oczywiście, nie mówił nic nigdy na ten temat. My też nie naciskaliśmy. Nie interesujemy się sprawami osobistymi pracowników, dopóki wywiązują się bez zarzutu z zawodowych obowiązków. To nasza święta zasada. W firmie robimy wiele w dziedzinie akcji afirmacyjnej wobec dyskryminowanych grup społecznych. Zawsze tak postępowaliśmy.

Jennifer prawie się wyłączyła, ledwie słyszała jego dalszą tyradę.

- W Wyoming wiele się zmieniło, ale to przecież nie San Francisco, jeśli domyśla się pani, o co mi chodzi, i nie zawsze bywało to łatwe. Ale czasy się zmieniają, nawet tutaj.

- Jak układały mu się stosunki z pracownikami? - spytała nagle, przypominając sobie, co powiedział jej Jake Blansen.

- Och, znakomicie. Jak już powiedziałem, znał się świetnie na swojej robocie i ludzie szanowali go za to. Był zdecydowanie sympatycznym facetem. Kupił mojej żonie na urodziny kapelusz. Wprawdzie już go nie nosi, ale wie pani, jakie są kobiety...

- A co z robotnikami na budowie? Z nimi też się dogadywał?

Ponieważ przerwała mu w pół zdania, Edwards znowu potrzebował chwili, żeby się przestawić.

- Jasne, że tak. Mówiłem już, wszyscy go lubili. Paru, być może, nie pochwalało jego... hm, życia osobistego, ale wszyscy go akceptowali. Żałowaliśmy, kiedy od nas odszedł.

Gdy Jennifer nic na to nie powiedziała, Edwards wyraźnie odczuł potrzebę wypełnienia ciszy.

- Mogę zapytać, o co chodzi? Chyba nie popadł w tarapaty, prawda? Mam nadzieję, że nie przytrafiło mu się nic złego?

Jennifer ciągle jeszcze przetrawiała tę nową informację, nie mogąc jej zrozumieć.

- Prowadzimy śledztwo w pewnej sprawie. Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć panu

nic więcej - odparła. - Pamięta pan może, czy dzwoniło do pana kiedykolwiek z J.D. Blanchard w sprawie rekomendacji?

- Niestety nie, ale zapewne prezes będzie pamiętał. Było nam naprawdę miło rekomendować takiego pracownika. Jak już mówiłem, odwalił kawał dobrej roboty...

Wzrok Jennifer powędrował z powrotem do fotografii Jessiki.

- A może wie pan, czy zajmował się amatorsko fotografią?

- Richard? Nie mam pojęcia, jeśli nawet tak, to nigdy mi o tym nie wspominał. A czemu pani pyta?

- Bez konkretnego powodu - odrzekła Jennifer. Nagle zabrakło jej pytań. - Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas, panie Edwards. Czy pozwoli pan, że zadzwonię jeszcze raz, gdybym potrzebowała znowu pańskiej pomocy?

- Ależ proszę bardzo. Prawie zawsze pracuję do szóstej. Żywimy tutaj wielki szacunek dla funkcjonariuszy ochrony porządku publicznego. Mój dziadek był szeryfem przez... o, Boże... chyba ze dwadzieścia lat, a może więcej...

Jennifer odłożyła powoli słuchawkę, przerywając potok jego wymowy. Kręcąc bezwiednie głową, zastanawiała się, dlaczego nic z tego, co usłyszała, wydaje się kompletnie nie mieć sensu.

* * *

- Miałaś rację - powiedział Pete do Jennifer kilka minut później, wyraźnie speszony, że instynkt jej nie zawiódł, gdy tymczasem on się mylił. - To był numer prywatnego detektywa w Daytona. - Pete zerknął do swoich notatek. - Richard dzwonił trzykrotnie do agencji o nazwie Croom's Investigations. Zatelefonowałem tam, ale nie zastałem nikogo. Zostawiłem wiadomość. Wygląda mi to na jednoosobową firmę. Nie ma recepcjonistki, a na automatycznej sekretarce nagrany jest męski głos.

- A co z matką Julie?

Pete pokręcił przecząco głową.

- Zdobyłem numer przez informację, ale nikt nie odbiera. Spróbuję trochę później. A ty czego się dowiedziałas?

Jennifer streściła mu rozmowę z Clancym Edwardsem. Gdy skończyła, Pete podrapał się w kark.

- Gej, tak? - Pokiwał głową, jak gdyby to miało sens. - Rozumiem.

Jennifer wzięła do ręki życiorys Richarda, próbując puścić mimo uszu jego uwagę.

- Zadzwonię do kolejnej firmy na liście - oświadczyła. - Minał już kawał czasu, od

kiedy był tam zatrudniony, ale przy odrobinie szczęścia może uda mi się porozmawiać z kimś, kto go pamięta. Potem spróbuję chyba porozumieć się z bankiem w Denver, w którym miał konto, i może zdobędę trochę informacji od jego dawnych sąsiadów, jeśli oczywiście ich odnajdę.

- Zajmie ci to raczej sporo czasu.

Jennifer kiwnęła głową z roztargnieniem, myśląc wciąż o rozmowie z Edwardsem.

- Posłuchaj, Pete - powiedziała, wynotowując podstawowe informacje z życiorysu - w czasie, gdy będę to robiła, postaraj wywieźć się czegokolwiek o jego dzieciństwie. Z papierów wynika, że urodził się w Seattle, zadzwoń więc do większych szpitali i spróbuj odnaleźć jego świadectwo urodzenia. Może dowiemy się czegoś więcej, gdy odzyskamy jego rodzinę. Ja będę dalej szła moim tropem.

- Jasne.

- Och, i dzwoń co jakiś czas do detektywa i matki Julie. Bardzo mi zależy na rozmowie z nimi.

- Załatwione.

* * *

Znalezienie samochodu zajęło mu więcej czasu, niż zakładał, w końcu jednak Richard wyjechał z parkingu przy centrum handlowym zielonym pontiakiem trans am, model 1984. Włączywszy się do ruchu, skierował się w stronę autostrady. Z jego obserwacji wynikało, że nikt go nie śledził.

To idiotyczne, pomyślał, że w dzisiejszych czasach ludzie nadal zostawiają kluczyki w stacyjce. Czy nie zdają sobie sprawy, że ktoś może wykorzystać ich naiwność? Nie, jasne, że nie. Im nigdy nie mogą przytrafić się takie rzeczy. To jest świat Pete'ów Gandych. Ślepi kretyni, którzy sprawiają, że jesteśmy bezbronni wobec terrorystów. Nie tylko przez swoją głupotę, ale i przez brak czujności, pełną samozadowolenia ignorancję. Nigdy nie będzie taki niefrasobliwy, ale nie narzekał. Potrzebny mu był samochód, a ten jest świetny do jego celów.

* * *

Popołudnie upływało powoli.

Podczas kolejnych rozmów Jennifer brnęła z jednej ślepej uliczki w drugą. Odnalezienie sąsiadów okazało się niezwykle trudne - musiała przekonać urzędnika z hrabstwa, żeby pogrzebał w archiwach podatków od nieruchomości, aby odszukać właścicieli, a następnie odnalazła ich nazwiska za pośrednictwem informacji, mając przez cały czas nadzieję, że się nie przeprowadzili - i zajęło jej to więcej czasu, niż przewidywała. W ciągu

czterech godzin rozmawiała z czterema osobami, wszystkie znały Richarda Franklina w tym samym czasie. Dwie to jego dawni sąsiedzi, a dwie - kierownicy, którzy pamiętali słabo Richarda Franklina z czasów, kiedy pracował przez rok w firmie w Santa Fe, Nowy Meksyk. Wszyscy czterej powiedzieli o Richardzie Franklinie w zasadzie to samo co Edwards.

Sympatyczny facet, który był w dobrych stosunkach ze wszystkimi.

Prawdopodobnie homoseksualista.

Jeśli fotografia była jego hobby, nikt o tym nie wiedział.

Jennifer wstała od biurka i poszła zaparzyć sobie jeszcze jedną filiżankę kawy.

Kim jest ten facet? - zastanawiała się. I dlaczego, u licha, ma wrażenie, że wszyscy mówią o zupełnie innym człowieku?

* * *

Prawie w drugim końcu kraju detektyw Larry Cohen roztrząsał całą sytuację z kilkoma swoimi kolegami.

Nazwisko było im znajome, podobnie jak jemu, nie potrafili jednak dopasować go do konkretnej osoby. Jeden z detektywów sprawdził nawet te same informacje, co Cohen, przekonany, że facet musiał być notowany, ale osiągnął dokładnie taki sam rezultat.

Cohen myślał o tym, siadając przy biurku ze zmarszczonymi brwiami. Dlaczego to nazwisko wydaje się znajome nie tylko jemu, lecz również wszystkim innym detektywom? Skoro nigdy nie był aresztowany i nikt nie pamiętał, by występował w charakterze świadka?

Drgnął, prostując się, gdy nagle go olśniło. Stukając w klawiaturę komputera, przeglądał informacje, które pojawiły się na ekranie monitora. Jego przeczucia się potwierdziły, wstał od biurka, żeby znaleźć detektywa, z którym musiał porozmawiać.

* * *

Siedzący przy swoim biurku Pete miał więcej szczęścia. Skończył zbierać informacje o wczesnym okresie życia Richarda, co wcale nie było trudne. Dumny z siebie, zamierzał przekazać je Jennifer, gdy zadzwonił jej telefon. Podniosła rękę, dając znak Pete'owi, żeby zaczekał, dopóki nie skończy rozmowy.

- Wydział policji w Swansboro - powiedziała Jennifer. - Przy telefonie detektyw Romanello.

Usłyszała czyjeś chrząknięcie po drugiej stronie.

- Detektyw Cohen z Denver.

- O... cześć. Znalazłeś coś?

- Tak jakby. Po rozmowie z tobą nie mogłem przestać myśleć o tym, że nazwisko

Richarda Franklina brzmi dla mnie znajomo, zacząłem więc wypytywać kolegów, aż w końcu uświadomiłem sobie, skąd je znam. - Umilkł na chwilę. - Jeden z detektywów powiedział mi później coś bardzo interesującego. Wiąże się to ze śledztwem w sprawie czyjegoś zaginięcia.

Jennifer sięgnęła po długopis.

- Jessiki Franklin?

Pete, słysząc imię Jessiki, popatrzył w stronę Jennifer.

- Nie, nie chodzi o nią.

- Nie? To o kim mówisz?

- O Richardzie Franklinie. Facecie, w którego sprawie dzwoniłaś do mnie.

Jennifer umilkła na chwilę, po czym spytała:

- Co próbujesz mi powiedzieć?

- Richard Franklin - odpowiedział powoli Cohen - jest tą zaginioną osobą.

- Jak to? Przecież on jest tutaj.

- Rozumiem, ale cztery lata temu zniknął nagle jak kamfora. Pewnego dnia nie pokazał się w pracy, a po mniej więcej tygodniu skontaktowała się z nami jego sekretarka. Rozmawiałem z detektywem, który prowadził śledztwo w tej sprawie. Wszystko świadczyło o tym, że facet nagle wyjechał. Łóżko było nieposłane, szuflady wybebeszone. Brakowało dwóch walizek... sekretarka powiedziała, że te właśnie zabierał podczas służbowych wyjazdów... zniknął również jego samochód. Wycofał gotówkę przez bankomat ostatniego dnia, gdy go widziano.

- Uciekł?

- Na to wygląda.

- Dlaczego?

- Właśnie tego nasz detektyw nie mógł dojść. Po przesłuchaniu sąsiadów Franklina sprawa stała się jeszcze bardziej niejasna. Wszyscy zgodnie twierdzili, że nie był typem faceta, który wyjechałby ni stąd, ni zowąd, zostawiając firmę. Nikt nie potrafił tego zrozumieć.

- I nie miał kłopotów z prawem?

- Detektyw niczego nie znalazł. Nie groził mu proces sądowy ani, jak ci już powiedziałem, nie był u nas notowany. Sprawia to takie wrażenie, jak gdyby po prostu postanowił rozpocząć nowe życie.

Jennifer pamiętała, że pomyślała dokładnie to samo, gdy czytała sprawozdanie ze zdolności kredytowych Franklina.

- Dlaczego rodzina nie zgłosiła jego zniknięcia?

- Cóż, tu leży pies pogrzebany. Prawdę mówiąc, nie miał rodziny. Ojciec zmarł, Richard był jedynakiem, a matka przebywała w domu opieki. Cierpiała na demencję.

Jennifer zastanawiała się nad implikacjami.

- Dysponujesz może jakimiś informacjami w tej sprawie, które mógłbyś mi przesłać?

- Oczywiście. Wyciągnąłem już akta. Zrobię odbitki i wyślę ci jutro ekspresem.

- A nie masz możliwości przefaksowania ich?

- To gruba teczka - odparł Cohen. - Przefaksowanie całości zajęłoby co najmniej godzinę.

- Proszę - rzekła błagalnym tonem Jennifer. - I tak będę tutaj siedziała pewnie przez całą noc.

- No dobra - zgodził się w końcu. - Zrobię to dla ciebie. Podaj mi numer swojego faksu.

* * *

Za kuchennym oknem domu na plaży ocean żarzył się pomarańczowym blaskiem, jak gdyby pod powierzchnią wody płonął ogień. Powoli zapadał zmierzch, świetlówka pod sufitem szumiała monotonnie. Julie i Mike siedzieli przy stole, tuż pod oknem.

Mike przysunął się bliżej do Julie, która przyglądała się Śpiewakowi, leżącemu na piasku. Uszy miał nastawione, od czasu do czasu odwracał łeb to w jedną, to w drugą stronę.

- Zjesz coś? - spytał Mike.

- Nie jestem głodna. Mike pokiwał głową.

- Jak tam Śpiewak?

- Leży sobie spokojnie.

- Nikogo tam nie ma, nie musisz się denerwować - rzekł uspokajająco Mike. - Śpiewak by nas ostrzegł.

Julie przytaknęła skinieniem głowy, wtulając się w opiekuńcze ramiona Mike'a.

* * *

Morrison wyszedł z gabinetu, kierując się w stronę Jennifer i Pete'a.

- Dostałem przed chwilą potwierdzenie z laboratorium, że jest to krew Andrei Radley. Nie ma co do tego wątpliwości.

Jennifer prawie go nie słyszała. Wpatrywała się bez słowa w pierwszą stronę, którą otrzymała faksem z Denver.

- I Johnson znalazł świadka - mówił dalej Morrison. - Okazuje się, że jeden z barmanów w „Mosquito Grove” zapamiętał Andreę z wieczoru parę dni temu. Opisał bardzo

dokładnie Richarda Franklina. Powiedział, że ten facet to prawdziwy palant.

Jennifer nadal wlepiła zdumione spojrzenie w pierwszą przefaksowaną stronę, nie zwracając uwagi na to, że schodzą już następne.

- To nie jest Richard Franklin - powiedziała wreszcie cicho.

Morrison i Pete popatrzyli na nią.

- O czym ty mówisz? - spytał Morrison.

- O podejrzanym - odpowiedziała spokojnie. - On nie nazywa się Richard Franklin. Prawdziwy Richard Franklin zaginął cztery lata temu. Proszę... - Podała mu pierwszą stronę faksu. Było to zdjęcie zaginionego i mimo jego kiepskiej ostrości, łysa głowa i grube rysy nie pozostawiały cienia wątpliwości, iż nie jest to mężczyzna, którego szukają. - Właśnie dostałam to z Denver. To jest prawdziwy Richard Franklin.

Morrison i Pete przyjrzeni się zdjęciu. Pete zamrugnął powiekami, skonsternowany.

- To jest Richard Franklin? - spytał.

- Tak.

Pete nie odrywał wzroku od fotografii mężczyzny.

- Ale oni nie są ani trochę podobni. Morrison popatrzył Jennifer w oczy.

- Czy sugerujesz, że ten facet podszył się pod niego?

- Tak - potwierdziła Jennifer.

- Wobec tego kogo my, do cholery, szukamy? Spojrzenie Jennifer powędrowało w kierunku okna w drugim końcu pokoju.

- Nie mam pojęcia.

ROZDZIAŁ 37

- Jakieś pomysły? - spytał Morrison. W godzinę później, podczas odprawy prawie wszystkich podwładnych, Morrison nie potrafił ukryć gniewu i rozczarowania. Razem z Jennifer i Pete'em przejrzał wszystkie przedmioty przywiezione z domu w nadziei, że pomogą w ustaleniu prawdziwej tożsamości podejrzanego, na nic się jednak nie przydały. Nie dała też nic analiza jego billingów.

- A co z odciskami palców? Może one okażą się pomocne? - podsunął Burris.

- Szukamy w kartotekach. Jeśli jednak nie był aresztowany w Karolinie Północnej, to wszystko na próżno. Rozmawiałem z komisarzem policji w Kolorado. Zgodził się przepchnąć te dane, ale nie ma żadnej gwarancji, że podejrzany był kiedykolwiek w Denver.

- Ale przecież ukradł tożsamość Richardowi Franklinowi - zaprotestowała Jennifer.

- Nie mamy dowodu na to, że to on jest odpowiedzialny za zniknięcie prawdziwego Franklina. Z tego, co wiemy, wynika tylko, że wpadł na tę informację i wykorzystał ją.

- Ale...

Morrison podniósł ręce do góry.

- Pozostawmy sobie możliwość wyboru. Nie twierdzę, że nie jest w to zamieszany, ale musimy wziąć pod uwagę wszystko. Poza tym, nie w tym problem. Zajmujemy się w tej chwili Andream Radley, tym, co zrobił i do czego jest zdolny. Co wiemy z całą pewnością? Romanello? Masz chyba najwięcej do powiedzenia o nim.

Jennifer odklepała szybko wszystko, co wiedziała na temat fałszywego Richarda.

- Jest wykształcony. Prawdopodobnie ma dyplom inżyniera, co oznacza, że ukończył college. Lubi fotografować i nieźle mu to wychodzi, należy więc przypuszczać, że robi to od dawna. Miał kiedyś żonę o imieniu Jessica, nic więcej jednak o niej nie wiemy. Prawdopodobnie jest psychopatą. Prześladował Julie od początku ich znajomości, myli ją chyba ze swoją żoną. Są bardzo podobne, nazwał kiedyś Julie jej imieniem. A z powodu zawiłości tego, czego dokonał przez kilka ostatnich lat, jestem prawie pewna, że był kiedyś na bakier z prawem. Podejrzewam, że teraz ucieka, co oznacza, że ma doświadczenie w ukrywaniu się przed policją.

Morrison podziękował jej, po czym rzekł:

- Twoja kolej, Pete.

Pete namyślał się przez chwilę.

- Jest silniejszy, niż na to wygląda. Potrafi wycisnąć w pozycji leżącej prawie tyle samo co ja.

Koledzy spojrzeli na niego pytająco.

- Spotkałem go w siłowni - powiedział obronnym tonem. Morrison pokręcił głową i westchnął, jak gdyby zastanawiając się, po co w ogóle pytał.

- Dobra, oto nasze obecne zadania. Burris, jedź do J.D. Blanchard i sprawdź, czy dysponują jakimiś zdjęciami tego typka. Nie mamy zbyt wiele czasu, ale chcę, żeby zostały zaprezentowane dzisiaj w wieczornych wiadomościach, jeśli to tylko możliwe. Zadzwońię do kierownictwa stacji telewizyjnej i wyjaśnię, jaka jest sytuacja. Chcę też, żeby zamieszczono jego zdjęcie w gazecie, ściągnijcie więc tutaj dziennikarza, żebyśmy mogli kontrolować informacje. Pozostali detektywi spróbują wywęszyć, gdzie może przebywać ten facet. Obdzwońcie wszystkie hotele i motele w Swansboro i Jacksonville, żeby sprawdzić, czy ktoś odpowiadający rysopisowi zameldował się tam dzisiaj. Wiem, że to tylko domniemanie, nie możemy jednak bagatelizować prawdopodobieństwa, że zadekował się gdzieś tuż pod naszym nosem. Gdybyście odkryli coś podejrzanego, nie sprawdzajcie tego w pojedynkę, lecz parami. Dostaniemy mnóstwo telefonów i jak najwięcej osób powinno je przyjmować. Najważniejszą sprawą jest dowiedzenie się, czy ktoś widział go dzisiaj. Nie wczoraj, nie w zeszłym tygodniu. Następnie postarajcie się zrobić odsiew stukniętych i zorientujemy się, na czym stoimy.

Morrison rozejrzał się po swoich pracownikach.

- Wszystko jasne? Usłyszał pomruk pełen aprobaty.

- No, to bierzmy się do roboty.

* * *

Wiedząc, że będą go szukali w okolicach Swansboro, Richard pojechał na północny wschód i zatrzymał się w podupadłym motelu niedaleko autostrady. Był to rodzaj miejsca, gdzie goście płacą gotówką i nie muszą przedstawiać dowodu tożsamości, żeby się zameldować.

Teraz leżał na łóżku i gapił się w sufit. Niech sobie szukają, ile chcą, nie znajdą mnie.

Był ciekaw, czy policja wie już, że nie jest Richardem Franklinem. Jeśli nawet, nie miało to znaczenia. Nie mogą powiązać go ze zniknięciem Franklina, nie uda im się też odkryć, kim jest w rzeczywistości. Najtrudniejsze było znalezienie odpowiedniego człowieka, człowieka nieposiadającego rodziny. Spędził godziny przy komputerach w różnych bibliotekach, które odwiedzał, uciekając przed wymiarem sprawiedliwości. Szukanie za pośrednictwem Internetu w wykazach stowarzyszeń zawodowych było nużące i czasochłonne, nie dawał jednak za wygraną. Skrupulatnie analizował dane, by znaleźć

właściwego człowieka, przenosząc się z jednego miasta do drugiego. Zważywszy na okoliczności, nie miał innego wyboru i do tej pory jeszcze pamiętał uczucie ulgi i satysfakcji, jakie go ogarnęło, gdy wreszcie znalazł to, czego potrzebował.

W swej podróży do Denver przejechał przez trzy stany, przez dzikie obszary o fantastycznych formacjach skalnych w Dakocie Południowej i Nebrasce, przekroczył Missisipi, a następnie spędził trzy tygodnie, ucząc się rozkładu dnia upatrzonej przez siebie ofiary. Śledził prawdziwego Richarda Franklina, tak jak teraz Julie. Dowiedział się, że Franklin, najwyraźniej homoseksualista, jest niski i łysy, i że przeważnie spędza czas samotnie. Zdarzało się, że zostawał do późna w pracy, i pewnego wieczoru przydybał go, gdy szedł do swego samochodu na zaciemnionym parkingu, z pochyloną głową, przebierając kluczyki.

Franklin nie słyszał jego kroków i zorientował się, że ktoś za nim idzie, dopiero gdy miał pistolet przystawiony do głowy.

- Rób, co ci każę - powiedział szeptem do przestraszonego mężczyzny - a pozwolę ci żyć.

Oczywiście, było to kłamstwo, ale służyło jego celowi. Franklin zrobił wszystko, co mu kazał, i odpowiedział na wszystkie pytania. Poszedł z nim do bankomatu, a potem spakował walizkę. Pozwolił nawet się związać i założyć sobie opaskę na oczy, spodziewając się, że jego współdziałanie zostanie wynagrodzone.

Zawiózł Franklina w góry i kazał mu położyć się na poboczu drogi. Pamiętał jego błagania, jak również to, że ten tchórz zsiąkł się ze strachu w spodnie, gdy usłyszał charakterystyczny dźwięk odwodzonego kurka pistoletu.

Omali się nie roześmiał, widząc słabość tego człowieka, jego małość, myśląc, jak bardzo się różnią. Ten mężczyzna był nikim - ograniczonym, nieistotnym zerem. Gdyby on sam znalazł się w takiej sytuacji, walczyłby lub próbował uciec. Franklin zaczął płakać i trzy godziny później został pochowany w grobie, którego nikt nigdy nie odnajdzie.

Wiedział, że skoro nikt nie będzie naciskał na poszukiwanie, akta Franklina znikną w stercie akt innych zaginionych osób i nikt o nich nie będzie pamiętał. Dopóki Richard Franklin jest zaginiony, a nie martwy, łatwo przywłaszczyć sobie jego tożsamość. Od tamtej chwili wprawiał się, uczył się nie reagować na swoje prawdziwe nazwisko, a nawet odwracać się tyłem, gdy słyszał je z drugiego końca pokoju. Kiedy teraz je wymawiał, brzmiało dla niego zupełnie obco.

Zajął się prawdziwym Richardem Franklinem, tak jak zajął się matką i ojcem. I chłopcami w rodzinie zastępczej. I współlokatorem z pokoju w college'u. I Jessicą.

Zmrużył oczy.

A teraz nadeszła pora, żeby zajął się Mikiem.

* * *

Mabel siedziała przy Andrei, kiedy przyjechali z Boone jej rodzice. Mimo lęku i dławiących ich łez jechali przez sześć godzin bez przerwy, toteż Mabel wyszła z pokoju, żeby mogli zostać sami ze swoją córką.

Przechodząc do poczekalni, myślała o Mike'u i Julie, mając nadzieję, że są bezpieczni. Gdy zobaczyła obrażenia Andrei podczas zmiany opatrunków, doszła do przekonania, że Richard Franklin jest bez wątpienia potworem, a Julie i Mike nie zdają sobie sprawy, w jak wielkim znajdują się niebezpieczeństwie.

Topsail leży zbyt blisko Swansboro. Nie, oni muszą wynieść się jak najdalej stąd i pozostać tam jak najdłużej. Musi ich jakoś do tego nakłonić.

* * *

Przez cały wieczór w wydziale policji w Swansboro wrzała gorączkowa praca.

Po odbębnieniu telefonów natknęli się na dwunastu ewentualnych podejrzanych, którzy zameldowali się w hotelach.

Z pomocą pracowników biura szeryfa hrabstwa Onslow szli kolejno tymi tropami, niestety, bez powodzenia.

W J.D. Blanchard mieli dobre zdjęcie podejrzanego i Burris zrobił odbitki, po czym przekazał je stacjom telewizyjnym. Komunikat był nadawany na początku każdego wydania wiadomości, uświadamiając wszystkim, że ten mężczyzna, podejrzany o napaść na Andreę Radley, jest prawdopodobnie niezwykle niebezpiecznym przestępcą. Dołączony był do tego opis jego samochodu wraz z numerem tablic rejestracyjnych.

Tak jak przewidywał Morrison, otrzymali mnóstwo telefonów w kilka minut po nadaniu komunikatu na falach eteru.

Wszyscy policjanci odbierali telefony i notowali informacje. Zapisywali nazwiska, robili odsiew pomyleńców.

Do drugiej nad ranem rozmawiali z ponad dwustoma osobami.

Żadna z nich jednak nie widziała tamtego dnia podejrzanego. Nikt też nie zauważył samochodu.

* * *

Richard, kompletnie wykończony, zasypiając w końcu, myślał o Jessice.

Była kelnerką w restauracji, do której kiedyś wstąpił, i choć to nie ona go obsługiwała, jego spojrzenie bez przerwy ku niej wędrowało.

Jessica zauważyła, że się jej przygląda, i uśmiechnęła się przelotnie, wytrzymując jego spojrzenie. Wrócił do restauracji w porze, gdy ją zamykano, i czekał na dziewczynę.

Odnosił wrażenie, że ona też na niego czekała. Nigdy nie zapomni, jak światła latarń igrały na jej twarzy, gdy szli późnym wieczorem ulicami Bostonu... jak patrzyła na niego podczas kolacji... następny weekend na Cape Cod, kiedy spacerowali po plaży i urządzili sobie tam piknik... piknik i przejażdżkę balonem, napełnionym ciepłym powietrzem... Jessica i Julie... tak bardzo podobne... myślał o nich jak o jednej osobie... wspomnienia o nich zlewały się w jedno... Julie... jej łzy, gdy oglądała „Upiora w operze”... zmysłowy dotyk jej palców, gdy strzygła mu włosy... współczucie, które mu okazała, gdy skłamał jej o niespodziewanej śmierci matki... jaka dumna była, przedstawiając go przyjaciołom w barze...

Boże, jak on ją kocha. Zawsze będzie ją kochał.

Po chwili oddychał już równo i spokojnie.

ROZDZIAŁ 38

Nazajutrz rano lekka mgła snuła się nad kanałem, wyparowując powoli, gdy słońce wznosiło się nad wierzchołkami drzew. Wpadający przez szybę promień słońca odbił się w filiżance kawy, już trzeciej tego ranka, którą zaparzyła sobie Jennifer.

Szukamy ducha, pomyślała.

Nie mieli nic, absolutnie żadnego punktu zaczepienia, a czekanie było czymś najgorszym. Jennifer przyszła do pracy po zaledwie dwóch godzinach snu, ale teraz żałowała swojej decyzji. Nie mogła znaleźć sobie kompletnie niczego do roboty.

Odciski palców nie pomogły w niczym. Wprawdzie Morrison postanowił wykorzystać również bazę danych FBI, ale oni byli zasypani przypadkami z całego kraju i poinformowano go, że ich sprawdzenie może potrwać co najmniej tydzień.

Oczywiście dzwoniono do nich w dalszym ciągu i rozmawiała na bieżąco przez telefon. Komunikat nadano znowu w porannych wiadomościach - miał być powtórzony w południe - ale tak jak poprzedniego wieczoru, nie uzyskała informacji, na którą czekała. Telefonowało wielu przestraszonych obywateli, którzy po prostu pragnęli, żeby ich uspokoić. Niektórzy z kolei twierdzili kłamliwie, że widzieli podejrzanego na swoim podwórku. Większość jej kolegów stawiała się w komisariacie w tym samym czasie, co ona, a następnie wyjechali, żeby sprawdzić zgłoszenia. Gdy została w końcu sama, wątpiła, czy komukolwiek się powiodło, wiedziała jednak, że nie mieli wyboru, musieli pójść ich śladem.

Pomyślała, że zaangażowanie mediów do pomocy było dużym utrudnieniem. Aczkolwiek mogli uzyskać przydatną informację, łączyło się to równocześnie z niewątpliwym napływem fałszywych wiadomości i zawężyło źródła potrzebne do wykonania zadania.

Ale jakiego? - myślała. Jedyne punktem zaczepienia są fotografie z teczki. Nadal nie rozumiała, dlaczego tak bardzo ją zafascynowały. Oglądała je kilkanaście razy, ale gdy tylko odkładała je na bok, czuła nieprzemyślany impuls, żeby znowu do nich sięgnąć.

Przeglądała je kolejny raz. Jessica w ogrodzie. Jessica na tarasie. Jessica stoi. Jessica siedzi. Jessica się uśmiecha. Jessica poważna.

Jennifer odłożyła z niechęcią zdjęcia. Kompletnie nic.

Po chwili znowu zadzwonił telefon.

- Tak, proszę pani - odpowiedziała Jennifer. - Na pewno może pani spokojnie pójść do sklepu z artykułami żelaznymi...

* * *

Gdy Mabel wyjechała z Wilmington - po nieprzespanej nocy - była nieco lepszej myśli co do stanu zdrowia Andrei. Mimo że dziewczyna nie otworzyła oczu, przed świtem poruszyła lekko ręką i lekarze pocieszali rodziców, że jest to bardzo dobry znak.

Zdając sobie sprawę, że nie może już nic zrobić, wsiadła do samochodu i wróciła do Swansboro. Poranne słońce raziło ją w oczy, z trudem koncentrowała się na prowadzeniu samochodu.

W ciągu nocy jej obawy o Mike'a i Julie przybrały na sile. Najpierw się zdrzemnęła, pomyślała, a później wybiorę się na plażę, żeby z nimi pogadać.

* * *

Richard obudził się, wziął prysznic, po czym wsiadł do skradzionego trans ama. Po dwóch godzinach kupił po drodze kawę i kilka czasopism w sklepie spożywczym i skręcił do Swansboro, mając wrażenie, że wrócił do domu.

Miał na sobie dockersy i koszulkę polo. Gdy zerkał we wsteczne lusterko, sam prawie nie poznawał siebie z jasnymi włosami i w okularach. Wyglądał jak przeciętny dobry mąż i ojciec, jadący na weekend nad ocean.

Zastanawiał się, co robi Julie. Bierze prysznic? Je śniadanie? Czy myśli o nim, nawet w tej chwili, gdy on o niej myśli? Uśmiechnął się, wrzucając kilka ćwierćdolarówek do automatu z gazetami. Gazeta z Jacksonville wychodziła codziennie, ze Swansboro - dwa razy w tygodniu.

Wyszedłszy ze sklepu, przysiadł na ławce w niewielkim parku nieopodal huštawek i otworzył gazetę. Nie chciał, żeby jego obecność zaniepokoiła rodziców. W dzisiejszych czasach ludzie reagują paranoicznie na dorosłych pałających się po parkach, ale było to zrozumiałe, nawet w małym miasteczku.

Jego zdjęcie znajdowało się na pierwszej stronie gazety. Przeczytał nieśpiesznie artykuł. Zawierał jedynie podstawowe dane, niewiele poza tym - Richard nie miał wątpliwości, że dziennikarz zebrał je bezpośrednio od policji - i był w nim podany specjalny numer telefonu dla osób, które chciałyby przekazać jakiegokolwiek informacje. Gdy skończył czytać artykuł, przejrzał gazetę, szukając wzmianki o skradzionym samochodzie. Nie znalazł niczego. Wrócił więc do artykułu i przeczytał go jeszcze raz, podnosząc wzrok co kilka minut.

Zaczeka cały dzień, jeśli będzie musiał. Wiedział, kogo wypatruje, kto zaprowadzi go do Julie i do Mike'a.

* * *

Gdy Pete podszedł do biurka Jennifer, wyglądał na równie zmęczonego jak ona. - Nic ważnego? - spytała. Pokręcił głową, powstrzymując się od ziewnięcia.

- Kolejny fałszywy alarm. A co u ciebie?

- Niewiele. Jeszcze jeden świadek z „Mosquito Grove”, który pamięta, że Richard i Andrea byli tam razem. Mam też wiadomość ze szpitala w Wilmington. Andrea nie odzyskała jeszcze przytomności, ale lekarze są dobrej myśli. - Umilkła na chwilę. - Zapomniałam zapytać cię dzisiaj rano, czy udało ci się w końcu porozmawiać z detektywem albo matką Julie?

- Jeszcze nie.

- Daj mi może numery telefonów do nich i idź napij się kawy. Teraz ja spróbuję się dodzwonić.

- Po co? Wiemy już, z jakiego powodu tam pojechał.

- Nie przychodzi mi do głowy nic innego.

* * *

Jennifer udało się w końcu dodzwonić do matki Julie, ale tym razem Pete miał rację. Nie dowiedziała się z rozmowy nic, czego by się już wcześniej nie domyśliła. Tak, powiedziała matka, był u niej mężczyzna, który podał się za dawnego znajomego Julie. Tydzień później przyprowadził przyjaciela. Ów przyjaciel pasował do opisu podejrzanego.

Telefon prywatnego detektywa znowu nie odpowiadał.

Nadal nie nadeszły żadne wiadomości o odciskach palców.

Nie dysponując nowymi informacjami, Jennifer znalazła się w tym samym punkcie, od którego zaczynała, i odczuwała wielkie rozczarowanie. Czy Richard ciągle jest w mieście? Nie wiedziała. Jakie będzie jego następne posunięcie? Nie miała pojęcia. Czy wciąż tropi Julie? Przypuszczała, że tak, ale nie była tego absolutnie pewna. Musiała brać pod uwagę ewentualność, że ponieważ jest poszukiwany przez policję, po prostu wyjedzie z miasta i rozpocznie gdzieś nowe życie, tak jak to zrobił w przeszłości.

Problem polegał na tym, że na dobrą sprawę ten facet stał się Richardem Franklinem. W domu nie było właściwie nic osobistego oprócz ubrań, aparatów fotograficznych oraz zdjęć. A zdjęcia też nie powiedziały jej nic poza tym, że jest dobrym fotografem. Mogły być zrobione wszędzie, w każdym czasie, a ponieważ Richard sam je wywoływał, nie mieli nawet takiego punktu zaczepienia jak pracownia fotograficzna...

Jennifer zamarła nagle, czując, że wszystko zaczyna układać się w całość.

Gdziekolwiek, w każdym czasie?

Dobry fotograf?

Drogi sprzęt?

Własne laboratorium do wywoływania filmów?

Pomyślała, że to nie jest dla niego zwykle hobby. Dobra, to już wie. Co poza tym? Zapatrzyła się na stertę zdjęć na swoim biurku. Jest to coś, czym zajmuje się od dawna. Z pewnością od lat. Co oznacza...

Mógł używać tych aparatów, zanim stał się mężczyzną znanym jako Richard Franklin.

- Pete - zawołała nagle - czy jego sprzęt fotograficzny jest w depozycie materiału dowodowego, czy jeszcze ciągle u ekspertów medycyny sądowej?

- Franklina? Tak. Zdaliśmy go tam wczoraj...

Jennifer zerwała się z krzesła i pobiegła w stronę pokoju, gdzie trzymano zdeponowany sprzęt.

- Dokąd idziesz?

- Przypuszczam, że znalazłam sposób, jak dowiedzieć się, kim jest ten facet.

Pete z trudem dotrzymywał jej kroku, gdy maszerowała korytarzem komisariatu.

* * *

- Co się dzieje? - spytał Pete.

Jennifer podpisywała odbiór sprzętu fotograficznego pod baczny okiem policjanta odpowiedzialnego za depozyt.

- Aparaty - odpowiedziała. - Obiektywy. To drogi sprzęt, prawda? I jak powiedziałaś, te zdjęcia mogły być robione kiedykolwiek. Nawet tymi samymi aparatami, prawda?

Pete wzruszył ramionami.

- Chyba tak.

- Nie rozumiesz, co to oznacza? - spytała. - A jeśli ma ten sam sprzęt od lat?

- Nie, nie rozumiem. Co mianowicie?

Tymczasem policjant postawił pojemnik na kontuarze i Jennifer wzięła go, zbyt pochłonięta myślami, żeby odpowiedzieć.

Gdy zaniósła go do pokoju i postawiła na swoim biurku, Pete patrzył na nią z zaintrygowaniem, gdy oglądała dokładnie spodnią część aparatu.

- Masz mały śrubokręt? - spytała.

- Po co ci on?

- Muszę zdjąć tę płytkę.

- Po co? - powtórzył Pete.

Jennifer nie odpowiedziała, grzebiąc w szufladach w poszukiwaniu choćby pilnika do paznokci.

- Cholera! - zaklęła.

- Może mają jakiś w dziale technicznym - podpowiedział Pete, nadal niepewny, do czego są jej potrzebne numery seryjne.

Popatrzyła na niego z podnieceniem.

- Jesteś genialny!

- Naprawdę?

* * *

Piętnaście minut później dysponowała spisem potrzebnych jej numerów seryjnych. Dała połowę Pete'owi, a z drugą usiadła przy swoim biurku, starając się nie wzbudzać w sobie zbyt dużych nadziei.

Zadzwoiła do informacji i poprosiła o numery telefonów do producentów, po czym wybrała pierwszy. Wyjaśniła osobie, która się zgłosiła, że musi sprawdzić nazwisko oraz adres właściciela aparatu i podała jego serię.

- Aparat należy do Richarda P. Franklina...

Jennifer odłożyła słuchawkę i spróbowała kolejny numer. Potem następny. Podczas czwartej rozmowy usłyszała jednak inne nazwisko.

- Aparat jest zarejestrowany na Roberta Bonhama z Bostonu, Massachusetts. Czy potrzebny jest pani adres?

Ręce Jennifer drżały, gdy zapisywała te informacje.

* * *

Morrison przejrzał jej notatki.

- Jaką masz pewność, że to on?

- Jego nazwisko figurowało przy czterech pozycjach, a zgodnie z kartotekami producentów, nigdy nie zgłoszono kradzieży tego sprzętu. Gotowa jestem założyć się, że to nasz ptaszek.

- Czego potrzebujesz?

- Chciałabym, żeby się pan włączył, gdybym miała jakieś problemy z bostońską policją.

Morrison skinął głową.

- Możesz na mnie liczyć.

Jennifer nie miała najmniejszych problemów. Pierwszy detektyw, na którego trafiła,

dostarczył jej potrzebnych informacji.

- Robert Bonham jest poszukiwany w celu przesłuchania w sprawie zniknięcia jego żony, Jessiki Bonham, cztery lata temu - powiedział.

* * *

Wiedząc, że pozostawanie w jednym miejscu wzbudzi podejrzenia, Richard zebrał rzeczy i przeniósł się na inną ławkę.

Zastanawiał się, co ona tam robi w środku, ale tak naprawdę nie miało to znaczenia. Dawno już nauczył się cierpliwości, przesunął więc tylko spojrzeniem po oknach, po czym znowu podniósł gazetę. Przeczytał każdy artykuł trzy - lub czterokrotnie; niektóre nawet więcej razy. Wiedział, kiedy i gdzie grają jakie filmy, jak również że dom kultury oferuje nieodpłatne kursy komputerowe dla osób starszych, ale gazeta osłaniała jego twarz przed ciekawskimi spojrzeniami mieszkańców miasteczka.

Nie obawiał się, że go poznają. Był świadomy tego, że go szukają, ale nikomu nie przyjdzie do głowy szukać go tutaj. A gdyby nawet komuś przyszło, z pewnością go nie pozna.

Zaparkował samochód tuż za rogiem, na parkingu przed sklepem spożywczym, w razie czego może łatwo do niego dotrzeć. Teraz to już tylko kwestia czasu, pomyślał.

* * *

Po godzinie, gdy z Bostonu wciąż nadchodziły faksy dotyczące zniknięcia Jessiki, Jennifer siedziała przy biurku, przygotowując się do rozmowy telefonicznej, którą musiała przeprowadzić. Wybrała numer i usłyszała po drugiej stronie kobiecy głos.

- Halo?

- Czy dodzwoniłam się do Elaine Marshall?

- Tak. A kto mówi?

- Detektyw Jennifer Romanello. Dzwonię z wydziału policji w Swansboro.

- Swansboro?

- To małe miasteczko w Karolinie Północnej - wyjaśniła Jennifer. - Czy może pani poświęcić mi chwilę?

- Nie znam nikogo w Karolinie Północnej.

- Dzwonię w sprawie pani siostry, Jessiki.

Po drugiej stronie linii zapadło długie milczenie.

- Znaleźliście ją? - spytała kobieta cichym głosem, jak gdyby spodziewając się najgorszego.

- Przykro mi, ale nie. Pomyślałam jednak, że mogłaby mi pani powiedzieć coś o Robercie Bonhamie.

Jennifer usłyszała, że na dźwięk tego nazwiska Elaine Marshall wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Dlaczego?

- Ponieważ właśnie go poszukujemy.

- Z powodu Jessiki?

Jennifer namyślała się przez moment, jak wiele może jej zdradzić.

- Nie - odparła w końcu. - Jest poszukiwany w związku z inną sprawą.

Nastąpiła kolejna długa przerwa w rozmowie.

- Zabił kogoś, prawda? - spytała impulsywnie Elaine Marshall. - W Swansboro?

Jennifer zawahała się.

- Co może mi pani o nim powiedzieć?

- To szaleniec - odrzekła Elaine załamującym się głosem. Słysząc było, że stara się nad sobą zapanować. - Wszyscy się go bali, nie wyłączając Jessiki. Jest gwałtowny, niebezpieczny... i inteligentny. Jessica próbowała kiedyś uciec od niego. Bił ją. Pewnego wieczoru pojechała po zakupy do supermarketu i nigdy więcej jej nie zobaczyliśmy. Wszyscy wiedzieli, że on to zrobił, ale nigdy jej nie odnaleziono.

Elaine Marshall wybuchnęła płaczem.

- O Boże... to było takie straszne... Nie potrafi pani sobie wyobrazić, jak to jest nie wiedzieć... To znaczy, nie być pewnym... Wiem, że ona nie żyje, ale zawsze istnieje maleńka iskierka nadziei, której człowiek trzyma się kurczowo... Próbuje żyć dalej, ale wtedy zdarza się coś, co sprawia, że wszystko staje się znowu takie realne...

Jennifer słuchała szlochów kobiety po drugiej stronie linii.

- Jaki był na początku ich znajomości? - spytała łagodnie Jennifer, odczekawszy chwilę.

- Jakie to ma znaczenie? Na pewno zrobił to, o co go podejrzewacie. To zły człowiek...

- Proszę - powiedziała Jennifer. - Chcemy go ująć.

- I sądzicie, że to może pomóc? Nie. Szukamy go od lat. Zatrudniliśmy prywatnych detektywów, dopilnowaliśmy, żeby policja nie umorzyła śledztwa... - Elaine Marshall umilkła.

- On tu jest - zapewniła ją Jennifer. - Chcemy być pewni, że się nam nie wymknie. Bardzo panią proszę. Czy mogłaby pani jakoś go scharakteryzować?

Elaine Marshall westchnęła głęboko, próbując znaleźć właściwe słowa.

- Och, jest dokładnie tak, jak się pani spodziewa... stara historia, prawda? - Elaine nie potrafiła ukryć smutku w głosie. - Był uroczy, przystojny i kręcił się przy Jessice, aż wreszcie kompletnie straciła dla niego głowę. Na początku wydawał się sympatyczny i wszyscy go polubiliśmy. Po sześciu miesiącach spotykania się uciekli i wzięli potajemnie ślub, a potem wszystko się zmieniło. Robert stał się okropnie zaborczy i nie lubił, gdy Jessica nas odwiedzała. Wkrótce rzadko już wychodziła z domu, ale gdy kilka razy udało się nam z nią zobaczyć, dostrzegliśmy siniaki na jej ciele. Oczywiście usiłowaliśmy przemówić jej do rozsądku, ale minęło wiele czasu, zanim nas posłuchała.

- Powiedziała pani, że Jessica kiedyś uciekła...

- W końcu zrozumiała, że musi to zrobić. Przez dwa dni zachowywał się, jak gdyby nic się nie stało. Próbował nakłonić nas, żebyśmy zdradzili, dokąd wyjechała, lecz oczywiście żadne z nas nie pisnęło ani słowa. Wiedzieliśmy, co by się wtedy stało. Pojechała do Kansas City, miasta, gdzie mogła zacząć wszystko od nowa, on jednak ją wytropił. Nie mam pojęcia, jakim sposobem, ale znalazł ją i przywiózł z powrotem. I została z nim przez dwa tygodnie. Nie potrafię tego wyjaśnić inaczej jak tym, że miał nad nią ten rodzaj władzy, kiedy byli razem. To znaczy, jej oczy były puste, gdy się z nią rozmawiało... jak gdyby wiedziała, że nigdy nie zdoła uciec... pojechałyśmy jednak z mamą do ich domu i w końcu wyciągnęłyśmy ją stamtąd. Zamieszkała z naszymi rodzicami i próbowała jakoś się pozbierać. Po pewnym czasie wydawało się nawet, że wszystko jest na dobrej drodze. A potem pewnej nocy wybrała się na zakupy do supermarketu i nigdy więcej jej już nie zobaczyliśmy.

Jennifer odłożyła słuchawkę i siedziała przez długi czas, myśląc o odbytej rozmowie, słowa nadal dźwięczały jej w uszach.

Wytropił ją.

* * *

Mabel wstała z łóżka i wzięła prysznic. Mimo ogromnego zmęczenia spała bardzo źle, niepokoiła się bowiem o Mike'a i Julie. Musi porozmawiać z nimi osobiście, uprzedzić ich, jak poważnie wygląda sytuacja. Chwyciła kluczyki samochodowe i skierowała się ku drzwiom, ale nagle zadźwięczały jej w głowie słowa, które Julie wypowiedziała w salonie, zanim wsiadła z Mikiem do samochodu Emmy.

A jeśli on nas śledzi?

Mabel stanęła jak wryta w drzwiach. A jeśli Richard zaplanował, że pojedzie za nią na plażę? Jeśli ją teraz obserwuje?

Ulica była zupełnie pusta, ale Mabel nie była pewna.

Ani nie miała ochoty podejmować ryzyka.

Obróciła się na pięcie i weszła do środka.

* * *

Jennifer uporządkowała wszystko, co wiedziała o Robercie Bonhamie, i odbyła jeszcze kilka rozmów telefonicznych - między innymi po raz drugi z Elaine Marshall - a następnie skondensowała informacje do dwóch stron. Powiedziała Pete'owi, co chce zrobić, po czym udali się razem do Morrisona.

Podniósł wzrok na Jennifer, która położyła mu kartki na biurku, przestudiował je dokładnie, a gdy skończył, popatrzył jej badawczo w oczy.

- Jesteś tego wszystkiego pewna?

- Absolutnie. Musimy jeszcze zadzwonić tu i tam, ale sprawdziliśmy wszystko to, co pan widzi.

Morrison odchylił się na oparcie krzesła. Przez chwilę siedział bez ruchu, próbując ocenić powagę sytuacji.

- Co chcecie zrobić? Jennifer odchrząknęła.

- Dopóki go nie znajdziemy, myślę, że najlepiej będzie, jeśli Pete zostanie w domu na plaży z Mikiem i Julie. Nie widzę innego wyjścia. Jeśli to, czego się dowiedzieliśmy, jest prawdą, wie pan, do czego ten człowiek jest zdolny i co prawdopodobnie teraz zrobi.

Morrison nie spuszczał z niej spojrzenia.

- Sądzisz, że zgodzą się na coś takiego?

- Owszem - powiedziała Jennifer. - Jestem tego pewna. To znaczy, kiedy dowiedzą się, co im zagraża.

- Zamierzasz do nich zadzwonić?

- Nie. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy z Julie osobiście.

Morrison skinął głową.

- Jeśli się zgodzi, zezwalam.

Kilka minut później Jennifer i Pete wsiedli do radiowozu. Żadne z nich nie zauważyło pontiaka trans am, który włączył się do ruchu za nimi.

ROZDZIAŁ 39

- Nazywa się Robert Bonham - oznajmiła Jennifer. - Prawdziwy Richard Franklin zaginał trzy lata temu.

- Nie rozumiem - powiedziała Julie.

Znajdowali się w kuchni domu na plaży. Mike i Julie siedzieli przy stole. Pete, który zaczynał się wcielać w rolę gliniarza cienia, stał oparty o bufet.

Mike ujął dłoń Julie i uścisnął ją lekko.

Jennifer zdawała sobie sprawę, że musi zacząć opowieść od początku, ponieważ ani Mike, ani Julie nie wiedzą nic o przebiegu śledztwa. Jeśli wprowadzi ich we wszystko krok po kroku, zmniejszy liczbę ewentualnych pytań do minimum; równocześnie pozwoli jej to na wyjaśnienie powagi sytuacji.

- Jak to możliwe? - spytał Mike.

- Prawdziwy Richard Franklin nie był żonaty i poza matką, która zmarła w zeszłym roku w domu opieki, nie było nikogo, kto zauważyłby, że numer jego ubezpieczenia socjalnego jest znowu w użyciu. A ponieważ został uznany za zaginionego... nie zmarłego... nie było powodu do wszczynania jakiegokolwiek alarmu.

Mike wpatrywał się w nią badawczo.

- Uważasz, że Robert Bonham go zabił. - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Na podstawie tego, czego się o nim dowiedziałam? Tak, wydaje się to prawdopodobne - odpowiedziała po chwili milczenia.

- Chryste...

Julie spojrzała przez okno, nagle zmartwiła. Zobaczyła na plaży starsze małżeństwo, które przystało przed domem. Mężczyzna schylił się i podniósł z piasku muszlę, włożył ją do plastikowej torebki, po czym ruszyli dalej.

- Kim zatem jest Robert Bonham? - spytała. - I skąd wiesz, że to jego prawdziwe nazwisko?

- Doszliśmy do tego dzięki numerom seryjnym jego sprzętu fotograficznego. Zarejestrował je wiele lat temu. To było jedyne ogniwo łączące go z przeszłością, a gdy już poznaliśmy jego nazwisko i dowiedzieliśmy się, skąd pochodzi, reszta przyszła nam łatwo. - Jennifer zajrzała do notatek. - Dorastał na peryferiach Bostonu jako jedynak. Jego ojciec był alkoholikiem, pracował w zakładach chemicznych, matka zajmowała się domem. W ciągu kilku lat tamtejsza policja otrzymała kilkanaście doniesień o znęcaniu się w jego domu i przeprowadziła dochodzenie w tej sprawie. Aż wreszcie jego ojciec zmarł. - Wyjaśniwszy

okoliczności śmierci ojca, Jennifer postukała w notatki. - Rozmawiałam z jednym z detektywów, który prowadził tę sprawę. Jest obecnie na emeryturze, ale dobrze wszystko pamięta. Powiedział mi, że nikt nie wierzył, by Vernon Bonham popełnił samobójstwo, ponieważ jednak nie potrafili niczego udowodnić, a wiedzieli, że Vernon nie był przykładowym mężem i ojcem, odpuścili sobie. On jednak podejrzewał, że to dzieciak zamknął drzwi garażu i włączył z powrotem silnik, gdy Vernon stracił przytomność.

Słuchając jej, Julie poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

- A matka? - spytała szeptem.

- Zmarła z powodu przedawkowania leków niecały rok później. I znowu zostało to uznane za samobójstwo.

Jennifer pozwoliła, żeby milczące oskarżenie zawisło przez moment w powietrzu, po czym mówiła dalej:

- Spędził kilka następnych lat w rodzinach zastępczych. Przenoszony z jednego domu do drugiego, nigdzie nie zagrażał długo miejsca. Jego akta z okresu młodzieńczego są niedostępne, nie potrafimy więc powiedzieć, co mógł zrobić jako nastolatek, ale w college'u był podejrzany o napad i pobicie swego byłego współlokatora, który oskarżył go o kradzież pieniędzy. Robert stanowczo temu zaprzeczył. Kilka miesięcy później współlokator został ciężko pobity kijem golfowym po wyjściu z mieszkania swojej dziewczyny i spędził trzy tygodnie w szpitalu. Mimo że oskarżał o to Roberta Bonhama, nie było dość dowodów, żeby go aresztować. Rok później Robert uzyskał dyplom inżyniera.

- Pozwolili mu zostać na uczelni? - spytał Mike.

- Nie wiem, czy mieli wybór, ponieważ sprawa nie trafiła do sądu. - Jennifer umilkła. - Potem nie mamy nic przez kilka lat. Albo przeniósł się do innego stanu, albo nie pakował się w tarapaty, jeszcze tego nie wiemy. Następna informacja pochodzi z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, kiedy to ożenił się z Jessicą.

- Co się z nią stało? - spytał Mike z wahaniem, niepewny, czy chce poznać odpowiedź.

- Jessica zaginęła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku - odparła Jennifer. - Mieszkała z rodzicami i ostatni raz widziano ją w supermarkecie. Świadek pamiętał, że na parkingu stał samochód Roberta Bonhama, ale nikt nie widział, co się z nią stało. Bonham zniknął tej samej nocy co ona.

- Chcesz powiedzieć, że ją zamordował - rzekł Mike.

- Tak uważa jej rodzina i bostońska policja - odrzekła Jennifer.

Mike i Julie wyprostowali się gwałtownie, oboje wstrząśnięci, bladzi jak ściana. Powietrze wydało się im nagle gęste i duszące.

- Rozmawiałam z siostrą Jessiki - mówiła dalej Jennifer - i między innymi dlatego tu przyjechaliśmy. Powiedziała mi, że Jessica próbowała kiedyś uciec. Przejechała pół kraju, ale Robertowi udało się jakimś sposobem ją odnaleźć. Prawdę mówiąc, użyła słowa „wytropić”.

Jennifer umilkła, żeby jej słowa dotarły do nich w pełni.

- Nie wiecie chyba, że Robert Bonham... Richard... rzucił pracę kilka tygodni temu. Znaleźliśmy w jego domu twoje zdjęcia, Julie. Setki zdjęć. Na ich podstawie możemy stwierdzić, że śledził cię od chwili, gdy zaczęliście się spotykać. I że grzebał w twojej przeszłości.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Julie łamiącym się głosem.

- W tamtym tygodniu, gdy rzekomo siedział przy łóżku umierającej matki, pojechał do Daytona po to, żeby się o tobie więcej dowiedzieć. Zatrudnił prywatnego detektywa, który zbierał informacje. Rozmawialiśmy o tym z twoją matką. Wydaje się oczywiste, że szpiegował cię przez cały czas.

Tropił jak myśliwy zwierzynę, pomyślała Julie, czując, że dławi ją w gardle.

- Dlaczego ja? - spytała w końcu. - Dlaczego wybrał właśnie mnie? - Jej głos brzmiał żałośnie, niczym głos małego dziecka, które za chwilę wybuchnie płaczem.

- Nie wiem tego z całą pewnością - odparła Jennifer - ale pozwól, że pokażę ci, co jeszcze znaleźliśmy.

Jeszcze? Co teraz?

Jennifer wyjęła z teczki fotografię, którą znalazła na nocnej szafce w sypialni Bonhama, i przesunęła ją po stole w kierunku Mike'a i Julie. Oboje na nią spojrzeli.

- Niesamowite, prawda? To Jessica. Proszę, chciałabym, żebyście zwrócili uwagę na to.

Julie, mimo że czuła się, jak gdyby po jej skórze pełzały robaki, zerknęła ponownie na fotografię i tym razem zauważyła to coś, na co wskazywała Jennifer.

Na szyi młodej kobiety był zawieszony medalion, który Richard... Robert... jakkolwiek się nazywa... podarował Julie. Julie wymówiła szeptem jej imię i nazwisko.

- Jessica Bonham. JB.

Usłyszała, jak Mike wciąga nerwowo powietrze.

- Wiem, że to trudne - powiedziała Jennifer - ale chcieliśmy zobaczyć się z wami z jeszcze jednego powodu. Mając na uwadze to, co przytrafiło się Andrei i według nas Jessice, jak również prawdziwemu Richardowi Franklinowi, chcielibyśmy, żeby Pete Gandy zamieszkał z wami przez kilka dni.

- Tutaj, w domu? - spytał Mike.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Oczy Julie sprawiały wrażenie niemal szklanych, gdy spojrzenie Mike'a powędrowało ku Pete'owi.

- Tak - odpowiedział wreszcie. - Myślę, że to dobry pomysł.

* * *

Gdy Pete wyszedł do radiowozu po swoją walizkę, zauważył, że Jennifer lustruje spojrzeniem domy stojące wzdłuż plaży.

- Czy tu zawsze jest tak spokojnie?

- Chyba tak - odpowiedział.

Jennifer przyjrzała się jeszcze raz domom. Na podjazdach było zaparkowanych zaledwie kilka aut. Zwyczajne suvy, toyoty camry oraz trans am, taki, jakim mógłby jeździć nastolatek. Sama chciała mieć taki wóz, gdy była w liceum. W sumie sześć samochodów, co nadal jednak oznaczało, że zaledwie w niespełna jednej czwartej domów mieszkali ludzie. Nie cieszyło jej to, niewątpliwie jednak lepsze to od pozostawania w mieście.

- I będziesz czuwał przez całą noc?

- Tak - odparł, zatrzasnąwszy bagażnik. - Będę przesypiał się kilka godzin rankiem. A ty koniecznie informuj mnie na bieżąco o tym, co się dzieje, dobrze?

- Zadzwoń natychmiast, gdy tylko dowiem się czegoś nowego.

Pete kiwnął głową po czym dodał po chwili:

- Posłuchaj, wiem, że musimy to zrobić, ale czy naprawdę uważasz, że on wciąż kręci się gdzieś tutaj? Albo że znowu ucieka?

- Szczerze? Tak, myślę, że jest w pobliżu. Pete powiodł spojrzeniem za jej wzrokiem.

- Ja również.

* * *

Tej nocy Julie nie mogła zasnąć.

Zza okien dobiegał ją jednostajny szum fal uderzających o brzeg. Mike leżał obok niej w łóżku. Uchylił lekko okno, ale gdy tylko zasnął, Julie wstała i zamknęła je, upewniając się, że zasuwka jest opuszczona.

Przez szparę pod drzwiami prześwitywało światło z kuchni. Pete obszedł wcześniej cały dom, ale od dwóch godzin chyba stamtąd nie wychodził.

Mimo jego wcześniejszego zachowania cieszyła się z jego obecności w domu. Nie tylko dlatego, że jest silny. Co ważniejsze, ma broń.

* * *

Richard obserwował z diuny żółte światło żarzące się w oknie domu na plaży.

Zirytowało go, że Gandy postanowił zostać z nimi, ale wiedział, że policja go nie powstrzyma. Ani Mike, ani Śpiewak. Byli sobie pisani, on i Julie. Pokona wszelkie przeszkody, żeby ostatecznie byli szczęśliwi. Wszystko inne to tylko niedogodność, nie trudniejsza od zmiany wyglądu czy kradzieży samochodu. Albo od konieczności zaczynania wszystkiego od nowa.

Zastanawiał się, dokąd się udadzą po wyjeździe z Karoliny Północnej. Wyobrażał sobie Julie, jak cieszy się nadmorskimi bistrami i widokiem Pacyfiku w San Francisco. Albo odwiedza razem z nim nowojorskie teatry, które proponują premiery w każdym sezonie. A może nawet pojedą do Chicago, które tętni życiem.

Będzie cudownie, pomyślał. Magicznie.

Śpij dobrze, przemawiał do niej w myśli, uśmiechając się. Niech ci się przyśni nowa przyszłość, która zacznie się jutrzejszej nocy.

ROZDZIAŁ 40

Nazajutrz wieczorem w powietrzu była jakaś omdlałość. Wiała lekka bryza, a czerń nieba tonowała cienka powłoka chmur. Ocean był spokojny, fale toczyły się łagodnie. Zapach morskiej wody unosił się w powietrzu niczym mgła.

Skończyli jeść kolację przed godziną i Śpiewak stał przy tylnych drzwiach, merdając lekko ogonem. Julie przeszła przez salon i otworzyła je, patrząc, jak pies zbiega po schodkach i po chwili znika w półmroku.

Nie lubiła go wypuszczać - pomimo obecności Pete'a i, oczywiście, Mike'a - czuła się bezpieczniejsza, gdy Śpiewak był w pobliżu - ale on musiał się powłóczyć, a noc była najlepszą porą. Pozwalała mu biegać luzem rano, kiedy na plaży nie ma nikogo, ale w ciągu dnia kręciło się za wiele osób, żeby mógł chodzić bez smyczy.

Sama miała ochotę pójść na spacer - oczywiście w towarzystwie Pete'a i Mike'a - pomyślała bowiem, że odrobina świeżego powietrza dobrze by jej zrobiła, zrezygnowała jednak. Bez wątpienia Mike i Pete nie zgodziliby się, nawet gdyby nalegała. Mimo to byłoby tak przyjemnie. W każdym razie teoretycznie.

Dzwoniły do niej Emma i Mabel. Później Henry do Mike'a. Żadna z rozmów nie trwała dłużej niż kilka minut. Żadna z tych osób nie miała chyba wiele do powiedzenia, z wyjątkiem Mabel, która zatelefonowała po rozmowie z rodzicami Andrei. Wczoraj późnym wieczorem Andrea obudziła się ze śpiączki i chociaż wciąż jeszcze była zdezorientowana, zapowiadało się, że wróci do zdrowia. Jennifer zamierzała przesłuchać ją za parę dni.

Jennifer Romanello dzwoniła dwukrotnie ze świeżymi wiadomościami. Udało jej się w końcu odnaleźć prywatnego detektywa, który grzebał w przeszłości Julie, i po zwykłym zrzęczeniu, że etyka zawodowa nie pozwala mu zdradzić, kto go zatrudnił, poddał się. Dostarczył również billing, który potwierdzał, że dzwonił dwa razy do domu Richarda.

Niestety, nie udało im się do tej pory natrafić na ślad Richarda Roberta. Jakkolwiek się nazywa.

Odwróciwszy się od drzwi, Julie przeszła przez salon do kuchni, gdzie Mike wkładał naczynia do zlewu. Pete siedział ciągle przy stole, stawiając pasjansa. Od południa postawił ich chyba ze sto, próbując zapełnić czas i usunąć się z drogi, nie licząc chwil, kiedy wychodził, żeby zbadać sytuację na zewnątrz.

- Obrzeża są bezpieczne. - To było jego nowe ulubione powiedzonko.

Julie objęła Mike'a od tyłu. Odwrócił ku niej głowę.

- Prawie skończyłem - powiedział. - Zostało mi tylko parę talerzy. Gdzie Śpiewak?

Julie wzięła ścierkę do naczyń i zabrała się za wycieranie.

- Wypuściłam go na dwór.

- Znowu?

- Nie przywykłam do takiego siedzenia w domu.

- Myślisz nadal o tym, czego dowiedzieliśmy się od Jennifer?

- O tym, o wszystkim. Co zrobił w przeszłości. Co zrobił Andrei. Gdzie jest teraz.

Dlaczego ja. Ilekroć słyszałam o prześladowcach, zawsze była w tym jakaś pokręcona logika. Jak w przypadku osób, które uganiają się za gwiazdami filmowymi. Albo śledzą małżonków lub partnerów. Ale my umówiliśmy się zaledwie kilka razy i prawie się nie znamy.

Zaczęłam więc się zastanawiać, czy zrobiłam coś, co sprowokowało to wszystko.

- On jest po prostu nienormalny - powiedział Mike. - Nie wiem, czy kiedykolwiek to zrozumiemy.

* * *

Richard patrzył ze swojego punktu obserwacyjnego w pobliżu wydmy, jak Julie otwiera drzwi i wypuszcza Śpiewaka. Podświetlona od tyłu, wyglądała jak anioł, który właśnie zstąpił z nieba. Poczuł, jak narasta w nim podniecenie na myśl, co ma się zdarzyć.

Wczoraj, gdy ich zlokalizował, zaparkował samochód na podjeździe domu, na którym znajdowały się tablice agencji nieruchomości. Mimo że o tej porze roku wiele domów na plaży świeciło pustkami, ten wyglądał, jak gdyby był niezamieszkały od niedawna. Po błyskawicznej inspekcji stwierdził, że w domu jest zainstalowany alarm, natomiast w garażu nie. Otworzył prosty zamek śrubokrętem, który znalazł w schowku trans ama. Wyjął z bagażnika łyżkę do opon.

Spał na zakurczonym dmuchanym materacu, który znalazł na półce. W składziku natrafił też na małą lodówkę turystyczną. Chociaż trochę zatęchła, nadawała się doskonale do jego celów i spędził po południu godzinę na zakupach potrzebnych mu rzeczy.

Teraz musiał tylko poczekać, aż Śpiewak powędruje po plaży. Wiedział, że Julie wypuściła psa tak jak wczoraj wieczorem i zapewne przedwczoraj też. Ludzie, znajdujący się pod wpływem stresu, zawsze odwołują się do swoich nawyków, jak gdyby mając nadzieję, że w ten sposób zachowają namiastkę ładu w swoim świecie.

Śpiewak zniknął gdzieś w oddali.

Miał przy sobie cztery hamburgery. Kupił je w Island Deli, obok sklepu żelaznego, który odwiedził dzisiejszego popołudnia.

Nadal były owinięte w folię, ale wcześniej już ją rozwinął i pokruszył je na kawałki.

Wziął jeden i zaczął czołgać się przez trawę w kierunku schodków na tyłach domu.

* * *

- Nienawidzę tego cholernego pasjansa - powiedział Pete. - Nigdy nie chce wyjść.

Julie, która chowała talerze do szafki, spojrzała w stronę stołu.

- Połóż czerwoną siódmkę na czarnej ósemce.

Pete Gandy zamrugął powiekami, w dalszym ciągu nie widząc, jaki ruch ma zrobić.

- Gdzie?

- W ostatnim rzędzie.

- Och, rzeczywiście, dzięki.

Pete skoncentrował się znowu na kartach leżących na stole.

Mike wypłukał ostatni talerz i wyciągnął zatyczkę z odpływu w zlewie, po czym spojrzał w okno.

W szybie, na którą padały refleksy kuchennej lampy, zobaczył tylko swoje własne odbicie.

* * *

Na zewnątrz Richard rozwinął folię i rozsypał pokruszony hamburger na schodkach, prowadzących nad piaszczystą wydumą na tyły domu. Wiedział, że Śpiewak dotrze tam przed Julie i Mikiem, nie obawiał się więc, że zobaczą mięso.

Nie był pewien, ile pies waży, toteż dosypał proszku, ile się tylko dało, ale tak, by nie zabić zapachu wołowiny. Nie chciał, żeby Śpiewak obwąchał mięso parę razy, wyczuł, że nie jest to coś, na co wygląda, i nie tknął go.

Nie, to byłoby bardzo niedobrze. Został już raz zaatakowany przez Śpiewaka i nie miał ochoty na kolejne bliskie spotkanie z jego zębami. Wtedy Julie powstrzymała psa, ale nie miał złudzeń - teraz już by tak nie postąpiła. Poza tym było w tym psie coś, co go niepokoiło, choć nie potrafił zdefiniować dokładnie, co to jest. Coś... niepsiego - z braku lepszego określenia. Wiedział tylko, że dopóki Śpiewak będzie przy niej, Julie będzie nadal dezorientowana i niechętna. Odczołgał się do swojej kryjówki i czekał.

* * *

Mike i Julie siedzieli na kanapie w salonie, przyglądając się, jak Pete'owi nie wychodzi jeden pasjans za drugim.

- Czy mówiłam ci kiedyś o liście od Jima? - spytała Julie. - Tym, który dostałam w święta Bożego Narodzenia po jego śmierci?

Zabrzmiało to tak, jak gdyby chciała uczynić jakieś wyznanie. Cień przemknął po jej twarzy i Mike pomyślał, że Julie chyba nie może zdecydować się, czy mu o tym powiedzieć.

- Wspomniałaś o nim w ogóle, ale nie mówiłaś, jaka była jego treść.

Julie pokiwała głową, po czym oparła się o Mike'a, on zaś otoczył ją ramieniem.

- Nie musisz zdradzać mi jego treści, jeśli wolałabyś tego nie robić - zapewnił ją.

- Chyba powinieneś ją znać - powiedziała. - W pewnym sensie dotyczy ciebie i mnie.

Mike patrzył na nią, czekając na dalszy ciąg. Przez chwilę zatrzymała wzrok na kuchni, po czym spojrzała mu w oczy.

- Jim napisał w liście głównie o Śpiewaku - zaczęła cicho. - Kupił mi doga niemieckiego, bo nie chciał, abym była sama, a ponieważ wie, iż nie mam rodziny, pomyślał o psie. Żywił nadzieję, że jego obecność mi pomoże, i się nie pomylił. Na końcu listu pisze, że pragnie dla mnie szczęścia. Prosi, żebym znalazła kogoś, kto mnie uszczęśliwi.

Umilkła, na jej twarzy pojawił się zamyślony uśmiech, pierwszy od bardzo, bardzo dawna.

- Dlatego uważam, że to dotyczy ciebie i mnie. Wiem, że mnie kochasz, i ja ciebie również kocham. Dajesz mi szczęście, Mike. Nawet w całej tej okropnej sytuacji potrafisz mnie uszczęśliwić. Po prostu chciałam, żebyś o tym wiedział.

Jej słowa brzmiały dziwnie nie na miejscu. Nie miał pojęcia, dlaczego czuła potrzebę, żeby powiedzieć mu o tym akurat w tym momencie. Sprawiało to niemal wrażenie, jak gdyby próbowała znaleźć miły sposób, by się z nim pożegnać. Mike przyciągnął ją bliżej.

- Ty też uczyniłaś mnie szczęśliwym, Julie - odparł. - To prawda, bardzo cię kocham.

Julie położyła dłoń na jego kolanie.

- Nie mówię ci tego po to, by z tobą zerwać. Absolutnie nie. Przysięgam, że gdyby nie ty, nie przetrwałabym tych ostatnich tygodni. Przepraszam, że wciągnęłam cię w to wszystko.

- Nie masz za co przepraszać...

- Właśnie, że mam. Zawsze byłeś właściwym mężczyzną dla mnie i wydaje mi się, że Jim to właśnie próbował mi powiedzieć w swoim liście. Ale przez długi czas byłam zbyt ślepa, żeby to dostrzec. Gdybym go posłuchała, nigdy nie byłoby Richarda. Chcę, byś wiedział, że jestem wdzięczna nie tylko za to, że znosiłeś to wszystko, ale że jesteś tutaj ze mną.

- Nie miałem wyboru - wyszeptał cicho Mike.

* * *

Richard leżał w wysokiej trawie, obserwując schodki. Mijały minuty, wreszcie

zauważył jakiś ruch w ciemności, nieopodal wydm.

W poświacie księżyca ukazał się Śpiewak. Pies obrócił łeb to w jedną, to w drugą stronę. Barwa jego sierści w ciemności oraz potężna sylwetka nadawały mu niemal upiorny wygląd.

Richard przyglądał się, jak Śpiewak zawraca i zaczyna biec w stronę schodków.

Po chwili był już prawie przy nich.

Śpiewak zwolnił, po czym przystanął. Podniósł lekko nos, jak gdyby badając schodki, ale nie uczynił kroku w ich stronę.

No, na co czekasz? - poganiał go w myślach Richard. Śpiewak nadal nie ruszał się z miejsca. Richard czuł, jak sam zaczyna tężeć z napięcia. Jedz, ponaglał psa w myśli.

Nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Słyszał, jak fale toczą się ku brzegowi, a następnie się cofają. Wysokie trawy kołysały się na wietrze. Na niebie spadająca gwiazda zostawiła za sobą białą smugę.

W końcu Śpiewak ruszył przed siebie.

Był to krok raczej niezdecydowany, ale zawsze krok. Pies wyciągnął łeb, jak gdyby wreszcie poczuł woń mięsa. Jeszcze jeden krok, potem drugi i trzeci, aż stanął nad hamburgerem.

Opuścił łeb i powąchał mięso, znowu podniósł łeb, jak gdyby miał wątpliwości, czy powinien zjeść.

Z oddali wiatr przyniósł słaby warkot trawlera.

Śpiewak opuścił znowu łeb i zaczął jeść.

* * *

W Swansboro Jennifer Romanello przez cały wieczór starała się zebrać wszystkie możliwe wiadomości o nieuchwytnym Robercie Bonhamie.

Wcześniej komendant wezwał ją do swojego gabinetu. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale ku jej zaskoczeniu, gdy zamknęła drzwi, pochwalił ją za całość pracy.

- Nie potrafimy szkolić instynktu, ale bardzo się nam tutaj przyda. Pete Gandy może się mylić co do obecności mafii w naszym mieście, ale nie myli się, myśląc, że Swansboro zmienia się razem z resztą świata - rzekł komendant. - Wszyscy chcielibyśmy wierzyć, że jest to małe senne miasteczko i przeważnie tak jest, ale zło zdarza się w takich miejscach jak to.

Jennifer nauczyła się milczeć, gdy komendant ma jej coś do powiedzenia.

- Od początku wiedziałas, że ten facet jest złym człowiekiem, i odwaliłas kawał dobrej roboty. Zdobyłaś wszystkie informacje i rozgryzłaś, kim on jest. To twoja zasługa.

- Dziękuję - odpowiedziała Jennifer.

Żeby przypadkiem nie pomyślała, iż nagle wyzbył się surowości, Morrison zrobił zniecierpliwioną minę, jak gdyby dziwił się, że Jennifer wciąż jeszcze jest w jego gabinecie.

- A teraz wracaj do pracy - burknął, wskazując na drzwi. - Chcę wiedzieć, co powoduje tym facetem. Może dzięki temu uda się nam go przyskrzynić.

- Tak jest - odparła Jennifer. Gdy wychodziła z gabinetu szefa, odprowadzana spojrzeniami innych detektywów, z trudem powstrzymała się, żeby się nie uśmiechnąć.

Teraz, wypełniając polecenia komendanta, ślęczała nadal nad dokumentami z Bostonu i dzwoniła do osób, które znały Roberta. Usłyszała, że Burris rozmawia przez telefon coraz bardziej podekscytowanym tonem, i na niego spojrzała. Kiwał gorączkowo głową i zapisywał śpiesznie informacje, po czym odłożył słuchawkę. Wstał i chwyciwszy kartkę papieru, podszedł do Jennifer.

- Właśnie dostaliśmy telefon - powiedział. - Odnaleziono samochód Bonhama na parkingu szpitala Onslow w Jacksonville.

- A on jest tam nadal?

- Prawdopodobnie nie. Strażnik jest całkiem pewny, że samochód stoi tam od dwóch dni. Co wieczór przemierza parking, sprawdzając i zapisując numery tablic rejestracyjnych. Te są w jego książce od dnia, gdy ty i Gandy pojechaliście do domu Bonhama. Ponieważ strażnik pracuje, zobaczył informację w wiadomościach dopiero wczoraj i skojarzył fakty.

To wyjaśnia, dlaczego nikt nie znalazł samochodu.

- Ale nikt go nie widział?

- Nic nam o tym nie wiadomo. Policja z Jacksonville pokazała strażnikowi zdjęcie Roberta Bonhama, on jednak go nie poznał. Jadę tam teraz, żeby się rozpytać. Może ktoś widział, dokąd się udał. Chcesz ze mną pojechać?

Jennifer rozważała jego propozycję. Na razie nie udało jej się ustalić nic nowego, ale nie była pewna, dokąd zaprowadzą ją dalsze działania. Jasne, mogą znaleźć kogoś, kto widział, jak Bonham wysiada z samochodu, ale co z tego? Muszą wiedzieć, gdzie on jest teraz.

- Nie - odpowiedziała. - Chyba dalej będę grzebała w papierach. Może jest coś, co uszło mojej uwagi.

* * *

Chociaż w większości okien zasłony zaciągnięto, okno jadalni było otwarte i Richard wypatrywał cieni. Nie słyszał niczego poza pluskiem fal. Pogoda była bezwietrzna, jak gdyby

przyłączyła się do niego w zneruchomiałym oczekiwaniu.

Julie wkrótce podejdzie do tylnych drzwi. Zwykle nie wypuszcza Śpiewaka na dłużej niż jakieś dwadzieścia minut. Chciał zobaczyć jej twarz, gdy będzie wołała psa. Spoglądając w stronę domu, zastanawiał się, czy wybaczy mu to, co zrobił.

Pocieszy ją, ale na to przyjdzie czas później. Gdy skończy się już wszystko, co jest przykre. Kiedy będą już tylko we dwoje, tak jak powinni być.

* * *

Śpiewak wbiegł do połowy schodków na tylną werandę, po czym zawrócił na plażę i zaczął biegać w kółko z wywieszonym językiem, jak gdyby chciał strząsnąć ból z brzucha.

Dyszał ciężko.

* * *

Jennifer ślęczała nadal nad informacjami o Jessice Franklin, zastanawiając się, jak udało mu się ją znaleźć.

Czy wytropił ją dzięki kartom kredytowym? Raczej wątpliwe, pomyślała. Chyba że znał kogoś z wymiaru sprawiedliwości, ale to mało prawdopodobne. No więc jak? Może ktoś z rodziny dzwonił do Jessiki, a jemu udało się jakoś zdobyć jej numer telefonu. Niewykluczone - większość ludzi po prostu wyrzuca rachunki po ich zapłaceniu - i wystarczyło, że zadzwonił pod wszystkie numery międzymiastowe z billingu. Ale musiałby grzebać w śmieciach... albo włamać się do nich, kiedy nie było ich w domu.

Zrobił tak z Julie, pomyślała, może więc...

Czy Topsail ma międzymiastowe połączenie ze Swansboro? Jeśli tak, musi ostrzec Henry'ego, Emmę i Mabel, żeby nie dzwonili do Mike'a i Julie. A jeśli już dzwonili, niech spalą billingi, gdy tylko zapłacą rachunki.

Wróciła myślą do samochodu.

Nic dziwnego, że go porzucił, ale musiał się stamtąd jakoś wydostać. Wobec tego jak? Taksówką? Przyszło jej to do głowy, ale pomyślała, że to błędny trop. Był dość inteligentny, by wiedzieć, że wezwanie i adres końcowy byłyby odnotowane, a zważywszy na to, jak ulatniał się w przeszłości, nie sądziła, żeby popełnił taki błąd.

Jeśli zatem nadal kręci się gdzieś w pobliżu i szuka Julie, to jak się tu dostał?

Stukając palcem w książkę telefoniczną, zauważyła komendanta Morrisona, wychodzącego z gabinetu.

- Szefie?

Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

- Myślałem, że pojechałaś do szpitala, żeby sprawdzić samochód.

- Zamierzałam to zrobić, ale...

- Ale co?

- Gdzie dokładnie mieści się szpital? - spytała Jennifer. - W centrum miasta? Na peryferiach?

- W centrum. Czemu pytasz?

- Co jest w pobliżu? To znaczy, był pan kiedyś w tamtej okolicy?

- Jasne, wiele razy. Są tam gabinety lekarskie, stacje benzynowe, centrum handlowe.

Powiedziałem przecież, to centrum miasta.

- Jak blisko znajduje się centrum handlowe?

- Po drugiej stronie ulicy. - Umilkł na chwilę. - O co chodzi?

- Zastanawiam się po prostu, jak się porusza. Myśli pan, że możliwe jest, żeby ukraść samochód?

Morrison uniósł brwi.

- Sprawdzę. Zaczekaj, zaraz zadzwonię.

Jennifer skinęła głową, w myśli przewijały jej się kolejne scenariusze. Wzięła kluczyki do radiowozu.

- Dokąd się wybierasz? - spytał komendant.

- Pojadę do szpitala, żeby sprawdzić, czy nie znaleźli czegoś przydatnego. Gdyby dowiedział się pan o skradzionym samochodzie, proszę mnie niezwłocznie powiadomić, dobrze?

- Jasne.

* * *

Julie podeszła do okna i przysunęła twarz do szyby, lustrując wzrokiem plażę.

- Nie słyszałaś, żeby Śpiewak czekał? - spytała. Mike stanął przy niej.

- Nie, nie słyszałem. Chyba jeszcze nie wrócił.

- Jak długo już jest na dworze?

- Niezbyt długo. Jestem pewien, że zaraz wróci.

Julie skinęła głową. W oddali dostrzegła zamglone światła trawlera. Chociaż plaża była ciemna, myślała, że uda jej się wypatrzeć Śpiewaka.

- Może powinnam go zawołać.

- Chcesz, żebym to zrobił?

- Nie, nie, muszę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Pete obserwował ją, gdy

przechodziła przez próg.

* * *

Richard pochylił się do przodu, gdy zobaczył Julie w drzwiach. Na jej twarz padało światło ze środka domu. Zrozumiał z nagłą pewnością, że nigdy nie kochał nikogo tak bardzo jak jej.

Następnie Mike zakłócił ten obraz, zepsuł go. Zepsuł wszystko. Richard pokręcił głową. Nie żałował tego, co przytrafi się Mike'owi.

Richard czekał, wiedząc, co robi Julie. Za chwilę usłyszy jej głos, dźwięczący echem w słonym powietrzu. Jeśli będzie miał szczęście, Julie być może zejdzie na plażę, nie liczył jednak na to. Nie, ona zawoła Śpiewaka, a pies nie przyjdzie.

Śpiewak zostanie dokładnie tam, gdzie się znajduje.

* * *

Julie wołała psa przez prawie trzy minuty, chodząc z końca w koniec werandy, aż wreszcie Mike przyszedł do niej.

- Jeszcze nie wrócił? - spytał. Julie pokręciła głową.

- Nie. I nigdzie go nie widzę. Mike rozejrzał się na wszystkie strony.

- Chcesz, żebym go poszukał? Może nie słyszy z powodu szumu fal?

Julie uśmiechnęła się.

- Dzięki.

Mike zszedł na dół po stopniach.

- Wrócę za kilka minut.

Za chwilę Julie usłyszała, jak Mike woła Śpiewaka.

ROZDZIAŁ 41

Jennifer Romanello zmrużyła oczy, oślepiły ją bowiem światła nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu. Odczuwała skutki braku snu w ostatnich dniach. Zastanawiała się właśnie, czy wstąpić gdzieś na kawę, żeby się trochę rozbudzić, gdy usłyszała trzask radiostacji. Poznając głos komendanta, podniosła słuchawkę.

- Chyba coś mamy - powiedział Morrison. - Właśnie wyjechałem z wydziału policji w Jacksonville. Mają meldunek o samochodzie skradzionym z parkingu centrum handlowego tego samego dnia, gdy zniknął Richard. Jest zarejestrowany na Shane'a Clintona, który mieszka tutaj, w Jacksonville.

- Czy ma pan adres?

- Czteryście dwanaście Melody Lane.

- Jaki samochód?

- Pontiac trans am z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Zielony. Numer rejestracyjny ZVC sześćdziesiąt siedem dziewięćdziesiąt cztery. Mamy już list gończy.

Jennifer zanotowała numer w pamięci.

- Rozmawiał pan z właścicielem?

- Nie, ale mieszka nieopodal szpitala. Podać ci jego numer telefonu?

- Pewnie.

Morrison podał numer, Jennifer zapamiętała go i ruszyła w drogę.

* * *

Mike brnął po plaży, nogi zapadały mu się w piasku. Gdy oglądał się przez ramię, widział Julie stojącą na werandzie, jej postać malała w oczach z każdym jego krokiem.

- Śpiewak! - zagrział znowu. Jego oczy stopniowo przystosowywały się do ciemności, przeszukiwał wzrokiem diuny, wypatrując psa. Wiedział, że Śpiewak lubi wypuszczać się czasami na wycieczki między domami, ale dziwne, że jeszcze dotąd nie wrócił.

Złożył dłonie przy ustach, żeby zawołać go jeszcze raz, gdy nagle zauważył cień po lewej stronie, przy schodkach. Zmrużył oczy, podchodząc bliżej, i rozpoznał znajomy kształt. Odwróciwszy się, krzyknął w stronę Julie:

- Znalazłem go! Podszedł bliżej.

- Co ty tutaj robisz? Wstawaj. Chodź do domu.

Śpiewak poruszył lekko ogonem i Mike usłyszał cichy skowyt. Pies leżał z

wywieszonym językiem, dysząc ciężko. Jego klatka piersiowa wznosiła się i opadała gwałtownie.

- Wygląda na to, że się nieźle zbiegałeś - powiedział Mike, nie dokończył jednak zdania, słysząc po raz drugi żalospny skowyt.

- Nic ci nie jest? - spytał. Śpiewak w dalszym ciągu się nie poruszył.

- Śpiewak? Mike przykucnął i położył dłoń na piersi psa. Czuł, że jego serce wali jak oszalałe. Śpiewak miał szkliste oczy, nie reagował na jego dotyk. Dopiero w tej chwili Mike dostrzegł, że po tylnej łapie psa przebiegają drgawki.

* * *

Pete Gandy podszedł do Julie, stojącej wciąż na werandzie.

- Co się stało? - spytał.

Julie spojrzała na niego.

- Po prostu czekam, aż Mike wróci z Śpiewakiem.

Pete skinął głową i oboje stali w milczeniu, obserwując plażę. Julie zaczęła się zastanawiać, gdzie mogli zniknąć, gdy dobiegło ją wołanie Mike'a. Nawet z daleka słyszała panikę w jego głosie. Za chwilę pojawił się niżej na piasku.

- Coś stało się z Śpiewakiem! - krzyknął. - Chodź tutaj! Znaczenie jego słów dotarło do niej dopiero po jakimś czasie.

Zamrugła powiekami.

- O czym ty mówisz? Co mu jest? - odkrzyknęła.

- Nie wiem! Pośpiesz się!

Julie ruszyła ku schodkom, czując, że serce w niej zamiera.

- Zaczekaj... - powiedział Pete, próbując chwycić ją za rękę i zatrzymać, lecz Julie zdążyła już przemknąć obok niego.

Patrząc, jak zbiega po schodkach, Pete nie mógł się zdecydować, czy iść za nimi.

- Cholera! - mruknął pod nosem, idąc ku plaży.

* * *

Richard przyglądał się, jak wszyscy troje biegną po plaży. Im bardziej się oddalali, tym czuł większy przypływ adrenaliny. Zaczęło się.

Gdy wreszcie zniknęli z pola widzenia, zakradł się na wydnię. Skrywając się w cieniu, zbliżył się do domu, z łyżką do opon w dłoni.

* * *

Oddychając z wysiłkiem, gdy próbowała dotrzymać kroku Mike'owi, Julie poczuła, jak ogarnia ją straszliwa panika. Za sobą słyszała głos Pete'a, który wołał ją, błagając, żeby wróciła do domu.

Później zobaczyła, dokąd kieruje się Mike - i Śpiewaka, leżącego na piasku.

Puściła się do niego pędem, drżąc na całym ciele. Gdy Pete dobiegł do nich, Julie i Mike pochylali się nad psem.

- Co się stało? - wydyszał.

- Śpiewak? Co ci jest, malutki? - powiedziała pieszczotliwym tonem Julie, głaszcząc psa po grzbiecie.

Zero reakcji. Julie popatrzyła na Mike'a z miną dziecka, które prosi, żeby je pocieszono; chciała, by powiedział jej, że się myli, nie ma powodu do zmartwienia, nie ma czego się bać.

- Dlaczego on się nie rusza? - spytał Pete.

- Mike? - wymówiła drżącym głosem Julie.

- Nie wiem... - odparł niewyraźnie. - Tak go znalazłem...

- Może się zmęczył - podsunął Pete, ale Mike tylko spojrział na niego ostro.

- Co z nim jest? - wykrzyknęła Julie. - Pomóż mu! Mike uniósł delikatnie łeb Śpiewaka z piasku.

- No, stary, wstawaj...

Śpiewak miał sztywny kark, zaczął głośniejsz dyszeć, jak gdyby ten ruch sprawiał mu ból. Gdy zaskomlił, Mike opuścił z powrotem jego łeb. Pete spoglądał to na Mike'a, to na Śpiewaka, to na Julie, nie mając pojęcia, co dalej począć, równie zdezorientowany jak oni.

- Musimy coś zrobić! - zawołała Julie.

Dopiero jej pełen cierpienia okrzyk poderwał wreszcie Mike'a do działania.

- Pete, wracaj do domu i poszukaj dyżuru weterynarza...

- Miałem nie zostawiać was samych...

- Idź już! - wrzasnął Mike. - I pośpiesz się!

- Ale...

- Prędzej!

- Dobrze, już dobrze - zgodził się. Po chwili zniknął w ciemności, pozostawiając Mike'a i Julie z Śpiewakiem.

Nawet biegnąc w stronę domu, słyszał za sobą szlochanie Julie.

* * *

Jennifer przekroczyła właśnie granice Jacksonville, gdy uprzytomniła sobie, że coś nie daje jej spokoju. Zaczęło się to kilka minut po tym, gdy Morrison podał jej informację przez radio, nie potrafiła jednak za żadne skarby połączyć się, co ją gryzie.

Coś przeoczyła, ale co?

Daleko przed nią widać było tylko tylne światła samochodów. Droga zdawała się dzielić świat na pół. Silnik zawył, gdy wcisnęła mocniej gaz. Światła odblaskowe na nawierzchni autostrady przemykały pod kołami, migając szybko.

Wiązało się to ze skradzionym samochodem... czy rzeczywiście? I jeśli...

Nie mogła sobie przypomnieć, ale wiedziała, że tkwi to gdzieś w jej podświadomości, coś oczywistego, coś poza zasięgiem...

Dobra, pomyślała, muszę przejść krok po kroku wszystko jeszcze raz od początku. Samochód Richarda został porzucony. Odfajkowane. Skradziono samochód mniej więcej w czasie, kiedy Richard przyjechał do Jacksonville. Odfajkowane. Połączyć te dwa fakty i podejrzewa - nie, jest pewna - że to Richard go ukraść. Odfajkowane.

Co podał jej Morrison? Markę i model samochodu, nazwisko młodego człowieka, który był jego właścicielem, adres, pod którym mieszka. Zastanawiała się nad tym. Dwie ostatnie informacje nie mają znaczenia, pomyślała, ale co z marką i modelem samochodu?

Zielony pontiac trans am.

Samochód, jaki sama chciała mieć w liceum...

Zmarszczyła brwi, próbując dojść, dlaczego ta myśl wydała jej się taka znajoma.

* * *

Richard słyszał z werandy, jak Julie lamentuje nad swoim psem. Przez chwilę poczuł nawet przyływ współczucia. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że to będzie dla niej trudne, ale gdy słuchał teraz jej przerażonych i rozpaczliwych szlochów, poruszyło go to głębiej, niż się spodziewał.

Nie chciał zasmucać Julie i żałował, że nie można było załatwić tego w inny sposób. Ale nie dało się. Musiał to zrobić. Gdyby Śpiewak był łagodnym psem, miłym psem, nie spadłby mu włos z głowy, ale on był zdezorientowany i chimeryczny, podobnie jak ona.

Krzyki Julie stawały się coraz głośniejsze, coraz bardziej przeraźliwe, dźwięk był okropny. Było mu jej żal i pragnął ją przeprosić, ale zostawi to na później, kiedy będzie już umiała przeboleć i zrozumie, co uczynił dla nich obojga.

Może kupi jej drugiego psa, gdy już wszystko będzie za nimi. Mimo że nigdy nie pragnął mieć psa, pomyślał, że robi to dla niej. Wybiorą go wspólnie i Julie zapomni o

Śpiewaku. Może pojedą specjalnie do schroniska dla zwierząt i wybiorą psa, który będzie lubił polować, tak jak Śpiewak. Albo przejrzą ogłoszenia w gazecie, znajdą kogoś, kto będzie miał szczeniaki na sprzedaż, i wybiorą tego, który najbardziej spodoba się obojgu.

Tak, pomyślał, o to chodzi. Inny pies. Lepszy pies. To właśnie uczyni dla niej, gdy już będzie po wszystkim. Spodoba jej się to. Będzie uszczęśliwiona, a tego właśnie zawsze dla niej pragnął. Szczęścia.

Opanował się i krzyki Julie dochodziły do niego jak gdyby bardziej z daleka.

Dostrzegł nagły ruch na plaży. Wiedząc, co to oznacza, Richard cofnął się za róg, gdzie ukrył się w ciemności.

* * *

Pete Gandy wbiegł śpiesznie po schodkach na werandę, a następnie wpadł przez tylne drzwi do kuchni. Otworzył szarpnięciem szufladę pod telefonem tak gwałtownie, że omal jej całkiem nie wyrwał, i wyjął książkę telefoniczną.

- No, szybciej, szybciej - mówił do siebie, przerzucając strony w poszukiwaniu najbliższego weterynarza.

Znalazł odpowiedni dział i zaczął wodzić palcem po stronie, szukając kogoś, kto mógłby się zająć nagłym przypadkiem.

Najbliższa klinika weterynaryjna znajdowała się w Jacksonville, jakieś pół godziny drogi stąd, i Pete zdał sobie z nagłą pewnością sprawę, że pies nie przeżyje tak długo...

Co mam zrobić? - myślał półprzytomnie Pete. Co zrobić?

Próbował uporządkować rozgorączkowane myśli.

Nazwiska weterynarzy były wyszczególnione i Pete postanowił dzwonić do nich kolejno do domu, ponieważ gabinety o tak późnej godzinie były już zamknięte. To była jedyna szansa dla psa, ale musiał próbować jeden po drugim.

A czas uciekał.

* * *

Jennifer zatrzymała się na czerwonym świetle w centrum Jacksonville. Mimo że formalnie rzecz biorąc, jechała w kierunku Melody Lane, żeby porozmawiać z Shane'em Clintonem, myśli miała zaprzątnięte zielonym pontakiem trans am.

Samochód, jaki sama chciała mieć w liceum.

Niedawno przeszła jej przez głowę ta sama myśl, ale gdzie? W komisariacie? Nie, przez ostatnie dwa dni prawie nie odchodziła od biurka. A jej mieszkanie? Nie, tam też nie. Wobec tego gdzie?

Światło zmieniło się na zielone i Jennifer pokręciła głową, ruszając w dalszą drogę.

Byłam jeszcze gdzieś? Rozmawiałam tylko z Julie i Mikiem, gdy podrzuciłam Pete'a...

Zacisnęła dłonie na kierownicy.

Nie, pomyślała, to niemożliwe...

Sięgnęła po telefon komórkowy i wcisnęła gaz do dechy, wiedząc, że dotarcie do plaży Topsail zajmie jej przynajmniej dwadzieścia minut... tam, gdzie widziała zaparkowany na ulicy zielony trans am.

* * *

Pete Gandy kartkował książkę telefoniczną, sunąc palcem po stronach, coraz bardziej zdenerwowany. Znalazł kilkunastu weterynarzy, ale większość z nich mieszkała w Jacksonville, za daleko, by zdążyć z pomocą.

Zostały mu jeszcze trzy nazwiska i Pete przewracał kolejne strony, nie bacząc na to, że drą mu się pod palcami.

Następna na liście była Linda Patinson. Zaczął szukać jej adresu. Nie mieszkała w Jacksonville ani w Orton, ani w Maysville. Wreszcie zajrzał do ostatniego działu i znalazł ją.

Mieszkała w Sneads Ferry, zaledwie dziesięć minut stąd.

Podniósł słuchawkę i zaczął wybierać numer. Pomylił się i odłożył słuchawkę, oddychając głęboko. Uspokój się, mówił sobie. Jeśli będziesz zachowywał się jak szalony, odmówi pomocy.

Zaczął znowu wybierać numer i po chwili usłyszał sygnał połączenia.

Jeden.

Drugi.

- No, odbierz... Trzeci.

Potem czwarty.

- Bądź w domu...

Po drugiej stronie ktoś odebrał słuchawkę.

- Halo?

Głos był młody jak studentki college'u.

- Dobry wieczór, mówi Pete Gandy z wydziału policji w Swansboro. Przepraszam, ale czy mówię z panią Lindą Patinson, lekarzem weterynarii?

Nastąpiła chwila milczenia.

- Tak - odpowiedziała. Jej głos brzmiał nieufnie.

- Nie wiem, co mam zrobić. Nasz pies ma chyba jakieś konwulsje.

- No cóż, w Jacksonville jest pogotowie weterynaryjne...

- Wiem, ale nie sądzę, żeby wytrzymał tak długo... Trzęsie się na całym ciele i oddycha naprawdę bardzo szybko. Serce wali mu jak oszalałe i nie może nawet podnieść głowy...

Pete opisywał dalej stan Śpiewaka najlepiej, jak potrafił, a gdy skończył, Linda Patinson zawahała się. Aczkolwiek nie miała jeszcze wielkiego doświadczenia - zaledwie kilka lat temu uzyskała dyplom - wiedziała, że sprawa jest poważna. Nie tylko z powodu paniki w głosie Pete'a, lecz przede wszystkim symptomów, które opisywał.

- Czy zjadł coś w garażu? Środek owadobójczy? Albo jakąś inną truciznę?

- Nic o tym nie wiem. Jeszcze przed chwilą czuł się świetnie...

- Jaka to rasa?

- Dog niemiecki.

Linda Patinson zawahała się.

- Czy mógłby pan wsadzić go jakimś sposobem do samochodu i przywieźć do mnie? Będę w gabinecie za dziesięć minut. Mieści się niedaleko, na tej samej ulicy...

- Znajdę go...

Pete odłożył słuchawkę i wybiegł na tylną werandę. Zatrzasnąwszy drzwi za sobą, prawie nie zauważył cienia, skradającego się ku niemu.

* * *

Julie głaskała delikatnie Śpiewaka drżącymi dłońmi.

- Dlaczego to trwa tak długo? - spytała. - Co on robi? Mike nie odpowiedział, zdając sobie sprawę, że Julie mówi raczej do siebie niż do niego. Próbował ją uspokoić.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział szeptem. Śpiewak dyszał coraz ciężiej. Oczy miał szeroko otwarte, a język tak wywieszony, że leżał na piasku, cały pokryty jego ziarenkami. Przy każdym oddechu skomlał.

- Trzymaj się, malutki - błagała Julie. - Proszę... o Boże... proszę...

* * *

Pete Gandy sam nie wiedział, dlaczego się odwrócił. Może spowodował to cichy skrzyp butów o drewno, a może prawie niezauważalne przesunięcie cieni rzucanych przez świecąca żółto lampę na werandzie. To nie była zwykła intuicja, tego był pewien. W tamtej chwili myślał wyłącznie o truciznie i co to mogło oznaczać. W jego podświadomości nie było miejsca na zastanawianie się nad czymkolwiek innym niż tylko nad tym, co musi dalej zrobić.

Wiedział jednak, nawet zanim zobaczył Richarda, że ktoś się do niego zbliża, i

instynktownie zrobił unik, gdy poczuł, że coś twardego uderza go w głowę.

Przeszył go ostry ból, a następnie ujrzał jasny rozbłysk światła w kącikach oczu, po czym wszystko nagle pogrążyło się w ciemności.

* * *

- Może powinienem pójść sprawdzić, co robi Pete - powiedział Mike. - Dlaczego to tak długo trwa. Julie ledwie go słyszała, ale skinęła głową, zaciskając wargi. Mike wstał i ruszył w kierunku domu.

* * *

Richard patrzył na rozciągniętą na deskach werandy nieruchomą postać Pete'a Gandy'ego. Owszem, to okropne, ale konieczne i w pewnym sensie nieuniknione.

Chodziło w dużej mierze o to, że Pete Gandy miał pistolet, co znacznie ułatwiało całą resztę. Wyciągnąwszy mu broń z kabury, Richard zastanawiał się przez moment, czy nie wpakować mu kulki w łeb, rozmyślił się jednak. Nie miał nic do niego. Był po prostu facetem wypełniającym swój obowiązek.

Odwrócił się, kierując się ku schodkom, gdy zobaczył, że Mike idzie plażą ku domowi.

Spojrzał na Gandy'ego, przewidując, że Mike zauważy go natychmiast. Przykucnął, czekając na ciężkie kroki Mike'a na schodkach.

* * *

Jennifer Romanello pędziła w stronę domu na plaży, nie przestając wybierać znanego numeru. Najpierw był zajęty. Teraz nikt nie odbierał. Telefon dzwonił i dzwonił, a Jennifer nie potrafiła pozbyć się uczucia, że stało się coś strasznego. Wezwała przez radiostację posiłki, ale nawet gdy przekazała już swoje obawy, wiedziała, że nikomu nie uda się dotrzeć do domku na plaży wcześniej od niej.

ROZDZIAŁ 42

Mike spojrział w górę w chwili, gdy ciemna postać rzuciła się na niego ze szczytu schodów.

Impet tego ataku zbił Mike'a z nóg, potoczył się do tyłu, uderzając głową o schodki, gdy jednocześnie ktoś zważył się na niego, miażdżąc mu żebra i wbijając krawędzie stopni w krzyż.

Ból był obezwładniający. Mike nie widział nic, ale czuł, że zsuwa się plecami po schodach, głową w dół, przy każdym kolejnym stopniu miał wrażenie, że ktoś wali go młotem w żebra, aż w końcu wyładował głową na piasku i zatrzymał się z szyją wykręconą pod dziwnym kątem. Ktoś pochylony nad nim chwycił go za szyję i próbował dusić, zapierając się stopami w piasku, po obu stronach jego ciała.

Dłonie zaciskały się coraz mocniej i Mike omal nie zwymiotował z bólu. Miał nawet trudności z otwarciem oczu, ale gdy zobaczył twarz Richarda Franklina, nagle wróciła mu jasność umysłu.

„Julie!” - chciał krzyknąć. „Uciekaj!”.

Jednakże z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Z braku tlenu zaczęło mu się kręcić w głowie, myśli mu się plątały. Walcząc o oddech, instynktownie złapał Richarda za rękę, próbując je oderwać. Poziom adrenaliny mu się podnosił, ale Richard nie zwalniał uścisku.

Mike wił się jak piskorz, nadaremnie sięgając do twarzy przeciwnika. Każda komórka jego ciała wołała o tlen. Kopał nogami, usiłując strząsnąć Richarda, tamten jednak nie ustępował. Mike szarpnął głową do przodu i do tyłu, ale to tylko pogorszyło sytuację i Richard zacisnął dłonie na jego szyi jeszcze mocniej.

I ten ból...

Powietrza! To była jego jedyna myśl, gdy sięgnął znowu do twarzy Richarda, celując w oczy. Zakrzywiwszy palce jak szpony, walcząc szaleńczo, trafił na chwilę w cel, ale Richard podniósł głowę, tym samym mu się wymykając.

Właśnie w tym momencie Mike zdał sobie sprawę, że umrze.

Przerażony, ponownie spróbował chwycić Richarda za rękę, tym razem udało mu się złapać go za kciuk, wczepił się weń kurczowo i szarpał resztką sił, która mu jeszcze pozostała.

Usłyszał trzask, a mimo to Richard nadal go nie puszczał. Jego kciuk wykrzywił się pod nienaturalnym kątem. Richard rozluźnił nieco uścisk, na jego twarzy ukazał się grymas bólu. Pochylił się.

O to właśnie chodziło Mike'owi. Wierzgał jak szalony, aż wreszcie udało mu się zaczerpnąć odrobinę tchu. Złapał Richarda wolną ręką za włosy i wbił mu kolana w plecy, wykorzystując rozmach i przesunięcie punktu ciężkości. Richard przeleciał nad nim, lądując z tyłu na piasku.

Łapiąc z trudem powietrze, Mike odepchnął się od schodów, lecz poruszanie się na czworakach wyczerpało go. Chociaż udało mu się nabrać tchu, gardło miał nadal zaciśnięte, co utrudniało oddychanie. Richard podniósł się pierwszy i okręcił się nagle, kopiąc go z całej siły w zębra, potem jeszcze raz. Mike upadł na plecy i zainkasował kolejnego kopniaka w głowę. Ból był tak silny, że niemal go oślepił, znowu stracił oddech.

Pomyślał o Julie.

Julie...

Chwiejąc się na czworakach, rzucił się na Richarda, który nie przestawał go kopać. Mike odbierał ciosy, mimo to posuwał się wciąż naprzód. Wczepił się prawie w krtań Richarda, gdy nagle poczuł, że coś twardego wbija mu się w brzuch, i usłyszał huk wystrzału.

Dopiero po chwili przeszył go przejmujący ból, jak gdyby wrzątek rozlewał mu się po nerwach, wędrując we wszystkich kierunkach, sunąc w górę kręgosłupa. Mike zamrugnął powiekami, zszokowany, tracąc władzę w języku, w nogach; osłabł, i Richard go odepchnął.

Mike dotknął ręką brzucha - był wilgotny i śliski. W półmroku jego krew wyglądała jak kałuża oleju silnikowego pod samochodem. Nie mógł się zorientować, skąd płynie, ale gdy Richard wstał, Mike zobaczył w jego dłoni pistolet.

Richard popatrzył na niego i Mike odtoczył się w bok.

Spróbował wstać... Musi wstać... musi ostrzec Julie...

Wiedział, że Richard ruszy w pościg. Musi go jakoś powstrzymać. Musi uratować Julie. Musi przezwyciężyć ból i zrobić coś, żeby zapobiec kolejnemu kopniakowi w głowę.

Leżał znowu na brzuchu, krew sączyła się spod niego. Przyłożył dłoń do brzucha, czując, jak uchodzi z niego życie.

- Julie! - krzyknął, ale rozległo się tylko rżenie.

Był coraz bardziej oszołomiony... słabszy... Musi ją uratować... musi ją obronić...

Jeszcze jeden kopniak w głowę i zapadł się w nicość.

* * *

Richard stał nad Mikiem. Oczy miał szeroko otwarte, oddychał ciężko, był pobudzony jak nigdy przedtem. Ręce go mrowiły, nogi mu się trzęsły, ale zmysły! Och, były takie ożywione! Miał uczucie, jak gdyby doświadczał całkiem nieznanego świata. Wzrok miał

wyostrzony, dźwięki odbierał w zwielokrotnieniu, czuł najłżejsze muśnięcie wiatru na skórze. Efekt był odurzający, Richard odczuwał zawrót głowy.

Nie da się tego z niczym porównać. Ani z Pete'em. Ani z prawdziwym Richardem Franklinem. Ani nawet z Jessicą. Owszem, Jessica walczyła, ale nie tak. Umarła na jego rękach, nie dało mu to jednak uczucia triumfalnego zwycięstwa. Tylko smutek, że go do tego zmusiła.

Nie, dziś wieczorem czuł się zwycięski, niezmordowany, niepokonany. Miał do wypełnienia misję i bogowie byli po jego stronie.

Nie zwracając uwagi na ból kciuka, Richard odwrócił się i popatrzył na plażę. Po swojej lewej stronie widział diuny porośnięte trawą i sumakiem. Fale toczyły się bez końca w dal. Piękna noc, pomyślał. Przed sobą widział w ciemności sylwetkę Julie, pochyloną nad psem. Pies nie żyje albo wkrótce zdechnie. Będziemy sami, cieszył się w duchu. Koniec z wszelkimi komplikacjami. Nikt nas nie powstrzyma.

Przyśpieszył kroku, podniecony myślą, że za chwilę się z nią spotka. Julie na pewno przestraszy się, gdy go zobaczy. Zareaguje prawdopodobnie tak, jak zareagowała Jessica tamtego wieczoru, kiedy odkryła, że czeka na nią w jej samochodzie na parkingu przed supermarketem. Próbował się przed nią wytłumaczyć, żeby wszystko zrozumiała, ona jednak szarpała się z nim i orała mu paznokciami skórę, on zaś chwycił ją za gardło i ścisnął tak długo, aż oczy wyszły jej z orbit. Przyglądał się, wiedząc, że go do tego zmusiła, zmusiła z własnych egoistycznych powodów. To przez nią ich wspólna przyszłość wymknęła im się z rąk.

Ale Julie potraktuje z wyrozumiałością, na jaką zasługuje. Będzie rozmawiał z nią spokojnie, a kiedy Julie pojmie już naturę jego miłości do niej, kiedy zrozumie, że to wszystko uczynił dla niej - dla nich - w końcu ulegnie. Zapewne nadal będzie przygnębiona z powodu Śpiewaka, lecz w końcu da się pocieszyć, uświadomi sobie, dlaczego nie miał innego wyboru.

Pragnąłby zaprowadzić ją potem do sypialni, zdawał sobie jednak sprawę, że jeszcze nie pora na to. Później, dzisiejszej nocy, gdy już będą bezpieczni, zatrzymają się w motelu i będą się kochali. Przed nimi całe życie na nadrobienie tego, co stracili.

* * *

- On już idzie, malutki - szeptała Julie. - Zaraz tu będzie i zabierzemy cię do weterynarza, dobrze?

Ledwie widziała Śpiewaka przez łyzy. Jego stan pogarszał się z każdą chwilą. Oczy

miął zamknięte i mimo że jeszcze oddychał szybko, oddech miał świszczący. Był to wysoki dźwięk, przypominający świst powietrza, uchodzącego przez malutką dziurkę w dmuchanym materacu. Drgawki ogarnęły już całe ciało, nie tylko łapy. Julie czuła, jak mięśnie Śpiewaka napinają się coraz bardziej pod jej dłonią, jak gdyby próbował zwalczyć śmierć.

Pies zaskomlił i Julie usłyszała panikę w swoim głosie. Głaskała go delikatnie obiema dłońmi, cierpiąc z nim razem, zupełnie jakby to jej się przytrafiło.

- Nie możesz mnie zostawić. Proszę...

Krzyczała w duchu na Pete'a i Mike'a, żeby się pośpieszyli, że czas ucieka nieubłaganie. Chociaż wiedziała, że minęło zaledwie kilka minut, wydały jej się niemal wiecznością, zdawała sobie sprawę, że Śpiewak nie zdoła już walczyć dużo dłużej.

- Śpiewak... uda ci się... Nie poddawaj się. Proszę... Zamierzała właśnie krzyknąć na Pete'a i Mike'a, ale głos uwiązł jej w krtani.

W pierwszej chwili nie uwierzyła własnym oczom, zamrugowała powiekami, odpędzając wizję. Kiedy jednak znowu otworzyła oczy, wiedziała, że się nie pomyliła.

Mimo że zgolił wąsy, miał włosy innego koloru, a na nosie okulary, poznała go natychmiast.

- Witaj, Julie - rzekł Richard.

* * *

Jennifer włączyła migające czerwono - niebieskie światła i pędziła autostradą, manewrując między samochodami.

Z oczami wlepionymi w drogę przed siebie, zaciskała dłonie na kierownicy tak mocno, że aż ją bolały.

Dziesięć minut, myślała. Potrzebuję jeszcze tylko dziesięciu minut.

* * *

Julie patrzyła na Richarda, wstrzymując oddech, wszystko nagle ułożyło się w logiczną całość.

Był tutaj. Zrobił coś Śpiewakowi. Zrobił coś Pete'owi. Zrobił coś Mike'owi.

O Boże...

Mike...

A teraz przyszedł tutaj po nią...

Powoli zbliżał się do niej coraz bardziej.

- Ty... - To było wszystko, co udało jej się powiedzieć.

Po jego twarzy przemknął krótki uśmiech. Oczywiście, zdawał się mówić. A kogo się

spodziewałaś? Zatrzymał się kilka kroków od niej, wytrzymując przez chwilę jej wzrok, po czym przeniósł spojrzenie na Śpiewaka.

- Przykro mi z powodu Śpiewaka - rzekł cicho. - Wiem, jak bardzo go lubiłaś.

Mówił tak, jak gdyby nie miał z tym nic wspólnego. Zrobił smutną minę jak ktoś, kto bierze udział w pogrzebie bliskiego przyjaciela.

Julie poczuła nagle, że za chwilę zwymiotuje, przełknęła jednak z trudem ślinę, starając się zapanować nad sobą. Myślała gorączkowo, co robić. Zastanawiała się, co stało się z Mikiem.

O Boże. Mike!

- Gdzie jest Mike? - spytała, chcąc wiedzieć, a jednocześnie bojąc się tego, co usłyszy. Mogła tylko starać się, by jej głos brzmiał spokojnie.

Richard podniósł głowę, nie zmieniając smutnego wyrazu twarzy.

- Już po wszystkim - stwierdził rzeczowym tonem. Julie odczuła jego słowa niemal jak fizyczny cios i w tej samej chwili ręce zaczęły jej się trząść.

- Co mu zrobiłeś? - wykrztusiła.

- Nieważne.

- Co zrobiłeś?! - krzyknęła, tracąc panowanie nad sobą. - Gdzie on jest?

Richard uczynił kolejny krok ku niej, nadal nie podnosząc głosu.

- Nie miałem wyboru, Julie. Wiesz o tym. On tobą sterował, a ja nie mogłem pozwolić, żeby to dłużej trwało. Ale teraz jesteś już bezpieczna. Zaopiekuję się tobą.

Znowu podszedł bliżej i Julie cofnęła się, odsuwając się od Śpiewaka.

- Mike cię nie kochał, Julie - powiedział. - Nie tak bardzo jak ja...

On mnie zabije, pomyślała. Zamordował Mike'a, Śpiewaka i Pete'a, a teraz przyszła kolej na mnie. W miarę jak się zbliżał, Julie zaczęła się podnosić, przerażenie narastało w niej z każdym jego krokiem. Widziała to w jego oczach, wiedziała dokładnie, co zamierza zrobić.

Zabije mnie, ale najpierw mnie zgwałci...

Ta świadomość omal nie odebrała jej zdolności poruszania się, ale wewnętrzny głos krzyczał: UCIEKAJ! Julie zareagowała instynktownie.

Skoczyła do przodu, nie oglądając się, stopy grzęzły jej w piasku, gdy biegła po plaży.

Richard nie próbował jej zatrzymać. Uśmiechnął się, wiedząc, że Julie nie ma dokąd uciec. Zmęczy się, a strach ją zgubi. Wsunął pistolet za pasek i zaczął biec za nią na tyle szybko, żeby nie stracić jej z oczu i we właściwym momencie zmniejszyć dzielącą ich odległość.

* * *

Mike to odzyskiwał świadomość, to ją tracił. Zawieszony gdzieś między światem rzeczywistym a marzeniami, w końcu uprzytomnił sobie, że bardzo mocno krwawi.

I że Julie go potrzebuje.

Dygocząc z bólu, zaczął powoli się podnosić.

* * *

Julie starała się utrzymywać szybkie tempo, kierując się w stronę jedyne oświetlonego domu na plaży, który sprawiał wrażenie zamieszkanego. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, miała wrażenie, że biegnie w miejscu. Mimo że światła wydawały się bliskie, nie mogła do nich dotrzeć.

Nie, pomyślała. NIE! Nie dostanie mnie. Uda mi się, pomogą mi. Będę wołała ratunku, a oni wezwą policję i...

Ale te omdlewające nogi... i brak tchu... serce omal nie wyskoczyło jej z piersi...

Tylko potworny strach sprawiał, że nadal biegła.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie przez ramię.

Mimo ciemności widziała, że Richard się zbliża.

Julie zdała sobie sprawę, że nie ma szans.

Potknęła się kilka razy. Chwyciły ją kurcze w łydkach. Z trudem utrzymywała pozycję pionową.

A on był coraz bliżej...

„Dlaczego nikogo nie ma?!” - miała ochotę zawołać. „Na pomoc!”.

Wiedziała, że szum fal zagłuszy jej krzyki. Jeszcze kilka kroków i znowu obejrzała się za siebie. Zbliżał się coraz bardziej.

Słyszała już odgłos jego kroków.

Ale siły były już na wyczerpaniu...

Skreśliła w kierunku wydmy, mając nadzieję, że może znajdzie po drugiej stronie miejsce, gdzie mogłaby się ukryć.

* * *

Richard widział, jak jej włosy rozwiewają się w biegu na wietrze. Był już blisko, tak blisko, że mógł je chwytać.

Prawie mu się to udało, gdy nagle Julie skreśliła i zaczęła wdrapywać się na diunę. Straciwszy równowagę, Richard zachwiał się lekko, ale po chwili znowu puścił się w pościg,

śmiejąc się głośno.

Tyle odwagi! Tyle energii! Dorównywała mu pod każdym względem. Omal nie zaklaskał z zachwytu.

* * *

Julie widziała dom wznoszący się za wydumą. Wspinanie się po piasku wyczerpało jej siły. Stopy osuwały się, próbowała utrzymać równowagę za pomocą rąk. Gdy wreszcie dotarła na szczyt, kolana się pod nią uginały.

Przez chwilę jej wzrok zarejestrował sam dom. Był wzniesiony na drewnianych palach, pod spodem było miejsce na zaparkowanie samochodów, ale to była słaba kryjówka. Zboczyła w stronę drugiego domu, który był gęściej zarośnięty.

Właśnie wtedy Richard podciął ją, niczym futbolista, blokujący gracza. Straciła równowagę i stoczyła się na drugą stronę wydmy.

Gdy Richard dotarł do niej, pochylił się i chwycił ją za rękę, pomagając wstać.

- Jesteś naprawdę cenną nagrodą - powiedział, uśmiechając się szeroko, gdy udało mu się złapać oddech. - Wiedziałem o tym od chwili, gdy się spotkaliśmy.

Julie wymachiwała rękami, próbując się uwolnić. Poczowała, że Richard mocniej wbija palce w jej ciało. Szarpnęła się mocniej.

- Nie bądź taka, Julie. Nie rozumiesz, że zawsze było nam to pisane?

Julie znowu próbowała wyrwać mu rękę.

- PUŚĆ MNIE! - krzyknęła.

Richard zacisnął palce mocniej, na jego twarzy pojawił się grymas, który prawie natychmiast zamaskował rozbawionym uśmiechem, jak gdyby pytał: „Widzisz, że to absolutnie bezcelowe?”.

- Musimy już chyba iść - rzekł spokojnie.

- Nigdzie z tobą nie pójdę!

Znowu się szarpnęła, gdy jednak się odsunęła, poczuła, że zachodzi ją od tyłu, rzucając jeszcze raz na ziemię. Popatrzył na nią z góry, kręcąc lekko głową.

- Nic ci nie jest? - spytał. - Przepraszam, ale musimy porozmawiać.

Porozmawiać? On chce porozmawiać? Pieprzę cię, pomyślała. I pieprzę to.

Julie zerwała się i chciała rzucić się do ucieczki, ale Richard chwycił ją nagle za włosy i mocno pociągnął. Usłyszała jego śmiech.

- Dlaczego tak wszystko utrudniasz?

* * *

Na plaży Mike próbował wstać, chwytając się stopni, walcząc z mdłościami, gdy przeszywał go ból, myśli mu się rwały...

Muszę wstać... muszę zadzwonić na policję... pomóc Julie... ale ten ból... strzał... ból... gdzie ja jestem... ten nieustanny ryk... znowu i znowu... ból... nadchodzi falami... fale... ocean... Julie... muszę jej pomóc...

Uczył krok.

Potem następny.

* * *

Julie zamachnęła się z całej siły, trafiając Richarda w klatkę piersiową i w twarz. Szarpnęła ją za włosy, aż krzyknęła.

- Dlaczego ze mną walczysz? - spytał Richard, głos miał spokojny, minę również, jak gdyby próbował przemówić do rozsądku krnąbrnemu dziecku. - Nie rozumiesz, że jest już po wszystkim? Jesteśmy tylko we dwoje. Nie ma powodu zachowywać się w ten sposób.

- Puść mnie! - krzyknęła. - Trzymaj się ode mnie z daleka.

- Pomyśl tylko, jak wiele możemy razem dokonać - powiedział. - Jesteśmy oboje ulepieni z tej samej gliny. Twardziele.

- Nie mamy ze sobą nic wspólnego! - wrzeszczała histerycznie. - Nienawidzę cię!

Pociągnął ją znowu brutalnie za włosy, Julie upadła na kolana.

- Nie mów tego.

- Nienawidzę cię! - zawołała znowu.

- Mówię poważnie - rzekł, zniżając głos, który brzmiał teraz groźniej. - Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale nie chcę zrobić ci krzywdy, Jessico.

- Nie jestem Jessicą!

* * *

W połowie schodów Mike upadł na kolana, ale spróbował się podnieść. Trzymając się jedną ręką za brzuch, drugą chwycił za poręcz i podciągnął się.

Był już prawie na górze, kiedy zobaczył Pete'a leżącego twarzą w dół na deskach, wokół jego głowy utworzyła się kałuża krwi.

Jeszcze dwa stopnie i Mike'owi udało się wciągnąć na werandę. Ruszył ku drzwiom, ale pozbawiony punktu zaczepienia, jakim była poręcz, stracił równowagę, nie spuszczał jednak wzroku z drzwi, koncentrując się na tym, co musi zrobić.

* * *

Richard wpatrywał się w Julie z dziwną miną, jak gdyby nie rozumiał, co powiedziała. Zamrugał powiekami, po czym przechylił głowę na bok, niczym dziecko, przyglądające się swojemu odbiciu w lustrze.

- Co ty powiedziałaś?

- Nie jestem Jessicą! - krzyknęła jeszcze raz. Richard sięgnął wolną ręką za plecy. Za chwilę Julie zobaczyła, że trzyma w niej broń.

* * *

Mike'owi udało się dosięgnąć do klamki, przekręcił ją, czując się, jak gdyby był pozbawiony ciała, gdy drzwi się otworzyły.

Telefon, pomyślał. Muszę dostać się do telefonu, zanim będzie za późno.

W tym samym momencie usłyszał jakiś hałas przy drzwiach wejściowych. Podniósłszy oczy, poczuł nagłą ulgę.

- Julie potrzebuje pomocy - wychrypiął. - Tam, na plaży...

* * *

Wstrząśnięta stanem Mike'a, Jennifer śpiesznie podbiegła do niego i pomogła mu usiąść na fotelu. Chwyciła telefon i wybrała numer pogotowia. Gdy usłyszała sygnał, podała mu słuchawkę.

- Wezwij karetkę! - powiedziała. - Dasz radę?

Mike skinął głową, oddychając z trudem, gdy podnosił słuchawkę do ucha.

- Pete... na werandzie...

Jennifer rzuciła się ku drzwiom, gdy usłyszała, że Mike wzywa ambulans. Gdy zobaczyła Pete'a, w pierwszej chwili pomyślała, że Pete nie żyje. Wokół jego głowy utworzyła się kałuża krwi, gdy jednak pochyliła się nad nim, poruszył ręką i jęknął.

- Nie ruszaj się - powiedziała. - Ambulans jest w drodze.

Spojrzała na schody i popędziła w dół.

* * *

Richard przystawił pistolet do skroni Julie, która instynktownie znieruchomiała. Z twarzy Richarda zniknął spokój. Najwyraźniej opuściło go poczucie rzeczywistości. Widziała to po sposobie, w jaki na nią patrzył, słyszała po chrapliwym oddechu.

- Kocham cię - powtórzył. - Zawsze cię kochałem. Nie ruszaj się, pomyślała. Jeśli się poruszysz, on cię zabije.

- Ale ty nie dałaś mi szansy, żebym ci to okazał. - Pociągnął ją za włosy, przysuwając

jej ucho bliżej swoich warg.

- Powiedz to. Powiedz, że mnie kochasz. Julie milczała.

- POWIEDZ TO! - wrzasnął. Julie drgnęła, słysząc wściekłość w jego głosie. Brzmiał chrapliwie, dziko. Czowała na policzku jego gorący oddech.

- Dałem ci szansę i nawet WYBACZYŁEM CI to, co mi zrobiłaś! Do czego mnie zmusiłaś. No, POWIEDZ TO!

Przerażenie ją obezwładniało, dusiło w piersi, w gardle.

- Kocham cię - jęknęła, bliska łez.

- Powiedz tak, żebym to słyszał. Tak jak to czujesz.

- Kocham cię - powtórzyła Julie, wybuchając płaczem.

- Jeszcze raz.

Po policzkach spływały jej coraz rzęsiście łzy.

- Kocham cię.

- Powiedz, że chcesz ze mną pojechać.

- Chcę z tobą pojechać.

- Ponieważ mnie kochasz.

- Ponieważ cię kocham.

Jak we śnie, kątem oka zobaczyła zjawę na szczycie diuny, swojego anioła stróża, śpieszącego jej z pomocą przez mrok.

* * *

Wizja przed jej oczyma zmaterializowała się i Julie patrzyła, jak Śpiewak rzuca się na Richarda z głuchym pomrukiem, a jego zęby zaciskają się na ręce, w której mężczyzna trzyma pistolet.

Śpiewak nie puszczał jego ręki, zarówno Richard, jak i Julie runęli na piasek, Richard szarpał rękę, próbując się uwolnić. Śpiewak potrząsał łbem, ciągnąc go ze wszystkich sił, jakie mu pozostały, aż Richard zaczął krzyżeć, a broń wypadła mu z dłoni.

Leżał teraz na plecach, zmagając się z psem, który chciał chwycić go za gardło.

Z wykrzywioną twarzą odpychał Śpiewaka jedną ręką, drugą zaś usiłował namacać pistolet. Pies nie zaprzestawał ataku; Julie krzyknęła i ten dźwięk dodał jej siły, by się podnieść.

Gramoliła się, wiedząc, że nie ma wiele czasu.

Palce Richarda zacisnęły się na rękojeści pistoletu.

Huk wystrzału spowodował, że Julie znowu zamarła. Śpiewak zaskowyczał, długo,

żałośnie, po czym dźwięk się urwał.

- ŚPIEWAK! - zawołała Julie. - O Boże... NIEEEE! Jeszcze jeden strzał i znowu skowyt, tym razem słabszy.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Richard spycha z siebie ciało Śpiewaka i podnosi się.

Zaczęła dygotać na całym ciele.

Śpiewak leżał na boku, ale jeszcze próbował wstać, warcząc i skomląc jednocześnie, skręcał się z bólu, krew tryskała na piasek.

W oddali rozległ się dźwięk syren policyjnych.

- Musimy iść - powiedział Richard. - Nie mamy czasu. Julie nie odrywała wzroku od Śpiewaka.

- NO, JUŻ! - ryknął Richard. Chwycił ją znowu za włosy i szarpnął. Julie walczyła z nim, kopiąc i krzycząc, gdy nagle ze szczytu wydmy kobiecy głos zawołał:

- STÓJ!

Richard i Julie zobaczyli Jennifer Romanello jednocześnie.

Richard wycelował w nią pistolet i wypalił. Po chwili z jego ust wyrwało się zduszone stęknienie. Poczł ostry ból w klatce piersiowej, w uszach dudniło mu, jak gdyby przejeżdżał pociąg towarowy. Nagle pistolet wydał mu się dziwnie ciężki. Wystrzelił jeszcze raz, chybił i poczuł w gardle straszliwe pieczenie, jakaś siła popychała go do tyłu. Czuł, że krew zalewa mu płuca, słyszał bulgotanie, gdy próbował wciągnąć powietrze. Nie mógł przełknąć, uniemożliwiał mu to lepki płyn. Chciał odkaszląć, plunąć w stronę policjantki, ale błyskawicznie opadał z sił. Pistolet wyslizgnął mu się z palców, Richard upadł na kolana, myśli zwalniały bieg. Pragnął tylko szczęścia Julie, ich wspólnego szczęścia. Wszystko zacierało mu się przed oczami, ciemniało... Odwrócił się do Julie, próbując coś powiedzieć, ale wargi odmówiły mu posłuszeństwa.

Nadal jednak trzymał się kurczowo swego marzenia, marzenia o życiu z Julie, kobietą, którą kochał. Julie, myślał, moja słodka Jessico...

Runął twarzą w piasek.

Julie spojrzała na rozciągnięte na ziemi ciało, po czym obejrzała się na Śpiewaka.

Leżał na boku, dysząc ciężko, pysk miał otwarty. Julie podeszła i pochyliła się nad nim, prawie go nie widząc przez łzy.

Zaskomlił, gdy położyła dłoń na jego łbie, i spróbował ją polizać.

- Och... mój kochany - załkała.

Pies krwawił z dwóch głębokich ran, krew wsiąkała w piasek pod nim. Dygocząc,

Julie przytuliła głowę do jego ciała i Śpiewak jeszcze raz cicho zaskomlał. Oczy miał szeroko otwarte i przerażone, zaskowytał, gdy próbował podnieść głowę. Słyszając ten dźwięk, Julie poczuła, że serce jej się kraje.

- Nie ruszaj się... Zawiozę cię do weterynarza, dobrze? Czują na skórze płytki, przyśpieszony oddech zwierzęcia.

Polizał ją znowu. Julie pocałowała go.

- Jesteś wspaniały, kochanie. Byłeś taki dzielny... taki dzielny...

Pies wpatrywał się w nią. Julie płakała cicho, słysząc znowu jego skomlenie.

- Kocham cię, Śpiewak - wyszeptała, czując, jak jego mięśnie zaczynają się rozluźniać. - Już dobrze, kochanie. Koniec walki. Jestem już bezpieczna, teraz możesz spokojnie zasnąć...

EPILOG

Julie weszła do sypialni, Mike tymczasem przygotowywał w kuchni kolację. Smakowity zapach sosu do spaghetti wypełniał cały dom. Zapaliła światło.

Od tamtej przerażającej nocy na plaży minęły prawie dwa miesiące. Choć miała żywo przed oczami wszystko, co się wtedy wydarzyło, to co nastąpiło później, pamiętała jak przez mgłę, wypadki zlały się w jedno wspomnienie. Jennifer Romanello, która pomagała jej wrócić do domu, medycy krzątający się wokół Mike'a i Pete'a, dom powoli napełniający się ludźmi. Potem wszystko nagle się zamgliło i zapadła się w ciemność.

Obudziła się w szpitalu. Zawieziono tam również Pete'a, w sali obok leżał też Mike. Pete doszedł do siebie po kilku dniach, ale Mike przez tydzień znajdował się w stanie krytycznym. Wreszcie jego stan się ustabilizował, a następnie ulegał stałej poprawie, ale spędził w szpitalu jeszcze trzy tygodnie. Przez cały czas Julie czuwała przy jego łóżku, trzymając go za rękę i przemawiając do niego szeptem, nawet gdy spał.

Policja zadawała dużo pytań na temat Richarda, miała również dużo informacji na temat jego przeszłości, ale Julie nie chciała o tym słuchać. Richard Franklin nie żył - nie potrafiła myśleć o nim jako o Robercie Bonhamie - i tylko to miało znaczenie.

No, i oczywiście, Śpiewak.

Linda Patinson powiedziała jej później, że Śpiewakowi podano truciznę na szczury w dawce, która wystarczyłaby do zabicia sześciu psów w ciągu kilku minut.

- Kompletnie tego nie rozumiem. To cud, że zdołał się w ogóle poruszać, nie mówiąc o walce z dorosłym mężczyzną.

Ale walczył, pomyślała Julie, i uratował mi życie.

W dniu, w którym pochowali Śpiewaka w ogródku na tyłach domu Julie, ciepły letni deszcz spadł na niewielką grupkę ludzi, którzy zebrali się, by pożegnać wspaniałego psa, który przez lata był wiernym towarzyszem Julie, a na koniec jej aniołem stróżem.

* * *

Gdy Mike wyszedł wreszcie ze szpitala, następne tygodnie minęły im w oszołomieniu. Wprowadził się do Julie. Mimo że zatrzymał swoje mieszkanie, nie przebywał w nim od chwili, gdy pojechali do domu na plażę, i Julie była mu za to wdzięczna. Zawsze wyczuwał, czy chce być sama, czy też pragnie, żeby ją przytulić.

Nic jednak nie wydawało się już takie, jak powinno. Dom był zbyt pusty, resztki jedzenia lądowały w pojemniku na śmieci, nikt nie trącał jej nosem w stopę. Czasami miewała wrażenie, że Śpiewak gdzieś tu jest. Kątem oka spostrzegała jakiś ruch, ale kiedy

odwracała się, żeby sprawdzić - nikogo tam nie było. Pewnego razu poczuła wyraźnie jego zapach. Tak pachniał, gdy siadał przy niej po wyjściu z oceanu. Kiedy jednak wstała z kanapy, chcąc znaleźć źródło zapachu - po prostu zniknął. Którejś nocy poczuła nagle nieprzewartą chęć, by wstać i pójść do salonu. Chociaż w domu było ciemno, Julie usłyszała, jak pies pije w kuchni wodę z miski. Zamarła, serce zaczęło walić jej jak młotem, ale dźwięk ucichł.

Wczorajszej nocy śnili jej się obaj - Jim i Śpiewak. Szli pustym polem, odwrócenii do niej plecami, ona zaś biegła, próbując ich dogonić. Wołała ich, aż wreszcie zatrzymali się i odwrócili. Jim uśmiechnął się. Śpiewak zaszczekał. Chciała do nich podejść, ale nie mogła się ruszyć. Patrzyli na nią, przechylając w identyczny sposób głowy, z identycznym wyrazem oczu, otoczeni jasną poświatą. Jim położył dłoń na grzbiecie Śpiewaka, a pies zaszczekał jeszcze raz radośnie, jak gdyby chciał jej powiedzieć, że tak musiało być. Zamiast zbliżyć się do niej, obaj się odwrócili i ruszyli przed siebie. Patrzyła za nimi, widząc, jak zarysy ich postaci powoli zlewają się w jedno.

Gdy się obudziła, sięgnęła po zdjęcie Śpiewaka, stojące na nocnej szafce. Ogarnęło ją uczucie tęsknoty. Czuła ból w sercu, gdy mu się przyglądała, ale już nie płakała. Wyjęła zatknięty z tyłu ramki list, który napisał do niej Jim, i rozłożyła go.

Przeczytała go w promieniach słońca zagląającego przez okna, jej oczy zatrzymały się na ostatnich słowach.

I nie obawiaj się. Gdziekolwiek się znajdę, będę Cię strzegł. Zostanę Twoim aniołem stróżem, kochanie. Możesz mi zaufać, postaram się, żebyś zawsze była bezpieczna.

Julie podniosła głowę. W oczach miała łzy. Tak, pomyślała, strzegłeś mnie.

OD AUTORA

Geneza powieści jest zawsze złożoną sprawą. Często wszystko zaczyna się od jakiegoś mglistego pomysłu lub, w moim przypadku, tematu. Tym razem wybrałem temat miłości i niebezpieczeństwa. Innymi słowy, pragnąłem opisać historię miłości dwojga zwyczajnych ludzi, chciałem jednak dodać elementy suspense i zagrożenia, które ostatecznie doprowadzą bohaterów do tego, że znajdą się w ogromnie niebezpiecznej sytuacji. Nie przypominam sobie, w którym momencie podjąłem decyzję, by spróbować sił w tym gatunku powieści, pamiętam jednak dobrze, że pomyślałem, iż z przyjemnością napiszę coś, co jest dla mnie absolutną nowością.

Jakże się myliłem.

Dobrze, ujmijmy to inaczej. O ile naprawdę sam proces pisania sprawił mi przyjemność, redakcja powieści okazała się najtrudniejszym zadaniem, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia. Od pierwszej wersji do ostatniej, nanosiliśmy z moim redaktorem istotne poprawki, aż wreszcie obaj stwierdziliśmy z satysfakcją, że mieści się w niej wszystko to, co sobie założyłem, czyli przede wszystkim jest to historia miłości, a po drugie frapujący thriller.

Przeczytałem w życiu zapewne parę tysięcy thrillerów i choć w wielu z nich bohaterowie zakochują się w sobie, nie pamiętam żadnego, w którym wątek sensacyjny miałby drugorzędne znaczenie dla związku. Przyczyna jest prosta - im bardziej coś jest przerażające, tym bardziej przeważa w opowieści. Dlatego wyzwaniem w *Aniele stróżu* było dla mnie wyśrodkowanie między tymi dwoma elementami i poprowadzenie całej historii w taki sposób, żeby czytelnik ani na chwilę nie zapomniał, o czym naprawdę jest ta powieść - a mianowicie o miłości dwojga zwyczajnych ludzi, którzy spotkali na swej drodze złego człowieka. Mimo że brzmi to bardzo prosto, kosztowało mnie wiele nieprzespanych nocy.

Od dawna też pragnąłem napisać powieść, której bohaterem byłby pies. Zawsze uwielbiałem historie o psach, takie jak *Old Yeller* Freda Gipsona, *Where the Red Fern Grows* Wilsona Rawlsa, *To Dance with the White Dog* Terry Kay czy *My Dog Skip* Williego Morrisa, i pomyślałem, że miło byłoby wprowadzić psa do tej właśnie powieści. Jestem wdzięczny tym autorom za ich pracę oraz wiele godzin radości, które dały mi ich książki. Znam również wzruszające opowiadanie pod tytułem *Delayed Deliver* autorstwa Cathy Miller, które ukazało się w zbiorze *Chicken Soup for the Pet Lover's Soul* opublikowanym w serii „Balsam dla duszy” (Health Communications Publishers, w Polsce - Dom Wydawniczy Rebis), redagowanej przez Jacka Canfielda, Marka Victora Hansena, Marty'ego Beckera i

Carol Kline. To ono zainspirowało prolog do *Anioła stróża*. Chciałbym podziękować jej - oraz wydawcom - za to, że łąza zakreśliła się w moim oku.

NICHOLAS SPARKS, współczesny pisarz amerykański, którego książki ukazują się dziś w 33 językach, urodził się w 1966 roku w Nebrasce. Serca czytelników podbił swoją pierwszą powieścią „Pamiętnik” (1997). Kolejne - m.in. „Jesienna miłość” (1999), „Na zakręcie” (2001), „Noce w Rodanthe” (2002) i „Anioł stróż” (2003) - przez wiele miesięcy nie schodziły ze światowych list bestsellerów. Najnowsza, kontynuacja „Pamiętnika” zatytułowana *The Wedding* („Ślub”, 2003), zadebiutowała w czołówce list amerykańskich. Pisarz ukończył już następną książkę *Three Weeks with My Brother* (2004). Po twórczość Sparksa chętnie sięgają twórcy filmowi. W znanych polskim widzom adaptacjach „Listu w butelce” zagrali Kevin Costner i Robin Penn Wright, a „Jesiennej miłości” - Mandy Moore i Daryl Hannah. W trakcie realizacji są pozostałe tytuły pisarza.